Krystyna Mołodyńska

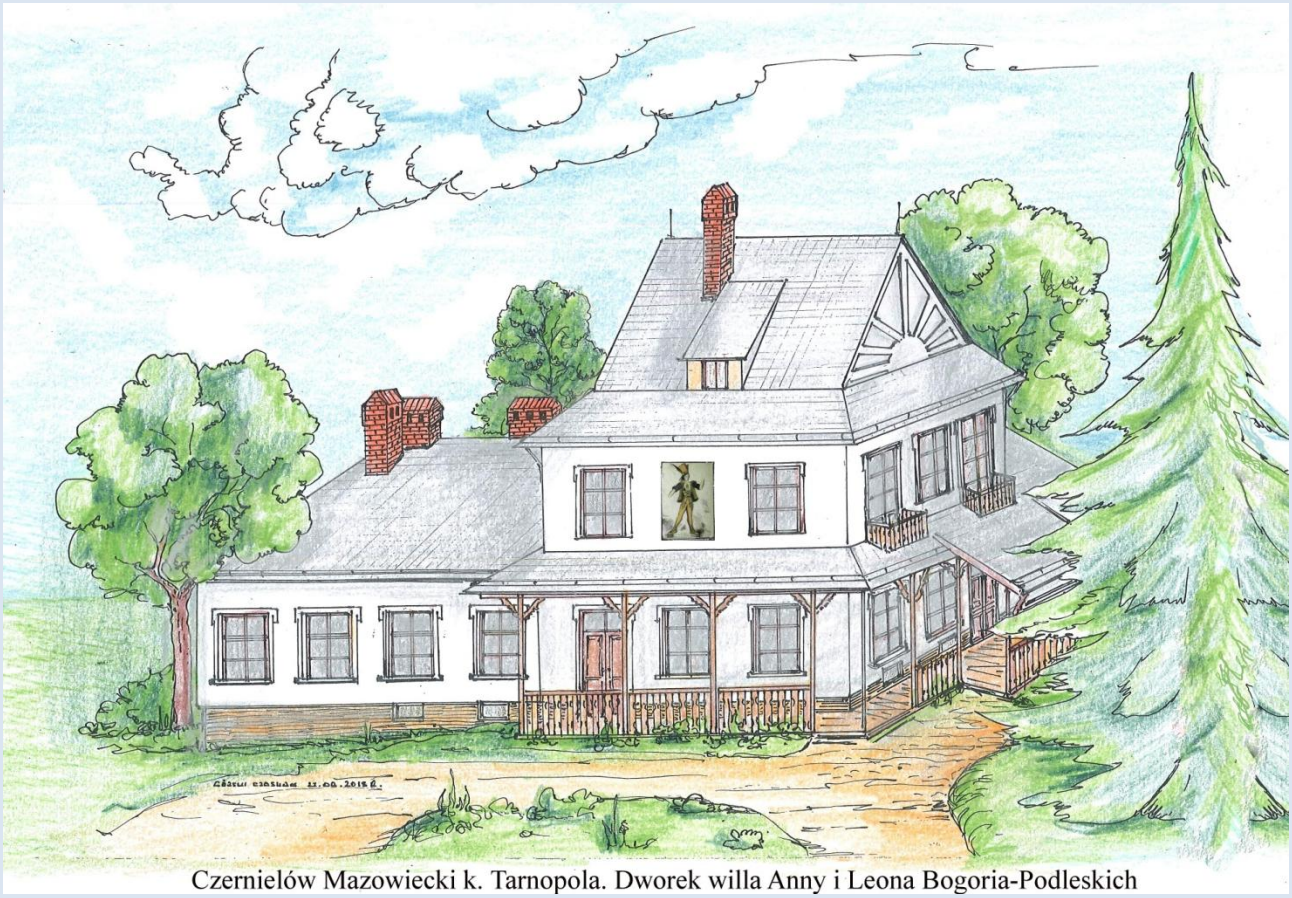

Czernielów Mazowiecki k. Tarnopola. Dworek willa Anny i Leona Bogoria-Podleskich

Czernielów Mazowiecki i okolice - czas wojny, czas pokoju

Tom II. Część A

Legnica 2023

Krystyna Mołodyńska

Czernielów Mazowiecki i okolice - czas wojny, czas pokoju

Tom II. Część A

Legnica 2023

ISBN 978-83-60218-57-0

Okładka i strona tytułowa

Dworek willa Anny i Leona Bogoria-Podleskich,
od czasu II wojny światowej budynek szkoły. Lata 50. XX w.
Rysunek Czesław Górski.
Zdjęcie archiwum rodziny Kityków z Sobornego.

Pomysł napisania opracowania o Czernielowie Mazowieckim
Andrzej Rajfur

Koncepcja, opracowanie, szata graficzna i wybór zdjęć
Krystyna Mołodyńska

Korekta Zbigniew Woźny

© Krystyna Mołodyńska

Publikacja bezpłatna, wykorzystanie fragmentów wymaga podania źródła.

Kontakt do autorki: kmolodynska@wp.pl

Mieszkańcom
CzernielowaMazowieckiego i Sobornego
oraz ich rodzinom

Jastrzębie

Nad Gniezną płynął spokojnie czas,
leniwie toczyło się życie
jak wolne ptaki
budowali domy
bezpieczne gniazda dla dzieci
i przyszedł wrzesień
jastrzębie z dwóch stron
zaatakowały gniazda
mężczyźni poszli na wojnę
niektórzy nie wrócili
czerwony jastrząb
robił swoje porządki
zsyłał na Sybir
czarny jastrząb
tworzył getta i obozy
wywoził na roboty
krogulec mordował
i niszczył gniazda
front się zmienił
znów młodzi chłopcy
bracia i ojcowie
poszli do wojska,
z czerwonym jastrzębiem
w jednym szeregu
atakowali czarnego jastrzębia
w Warszawie, Arnhem, Kołobrzegu, na Odrze
ginęli czernielowscy żołnierze
szli do niewoli
Berlin zdobyty!
można wracać do domu
ale domu nie było…
czerwony jastrząb przesunął granice
gniazda zostały po tamtej stronie

K.M.

Spis treści

		Strona
	O monografii napisali:	**7**
	Słowo wstępne	**17**
Część III.	**W czasie wojny i okupacji, lata 1939-1945**	**19**
Rozdział 10.	**Pierwsza okupacja sowiecka**	**19**
	Wybuch wojny	19
	Obozy internowania, niemieckie obozy jenieckie – stalagi	36
	Sowieckie jenieckie obozy pracy	49
	Pod rządami Sowietów	54
	Szkoła w czasie wojny	68
	Wywózki na Sybir	74
	Pobór do wojska w 1940 roku. *Strojbataliony*	99
	Na Sybirze	105
Rozdział 11.	**W czasie okupacji niemieckiej**	**128**
	Życie codzienne i praca	128
	Tarnopolscy Żydzi. Obóz pracy w Stupkach	153
	Na przymusowych robotach w Niemczech	184
	Nacjonalizm ukraiński, OUN-UPA, banderowcy na Wołyniu	197
	Placówka Armii Krajowej	204
	Polskie siły zbrojne. Armia Andersa. Armia Berlinga	214
Rozdział 12.	**Wojenne losy czernielowian**	**259**
	Wkroczenie Rosjan	259
	Wiosenny pobór do polskiego wojska	282
	Przygotowanie do walk frontowych	300
	Na froncie. Żołnierze z Czernielowa w czasie powstania warszawskiego	309
	Samoobrona przed napadami band UPA. *Istriebitielnyje bataliony*	333
	Na wojennym szlaku	358
	Zakończenie wojny. Ludzkie losy	433
	Bibliografia	**485**
	Źródła fotografii i skanów dokumentów	**494**
	Mapy i tabele	**499**
Załącznik	**Lista mieszkańców Czernielowa Mazowieckiego – ofiar II wojny światowej**	**500**

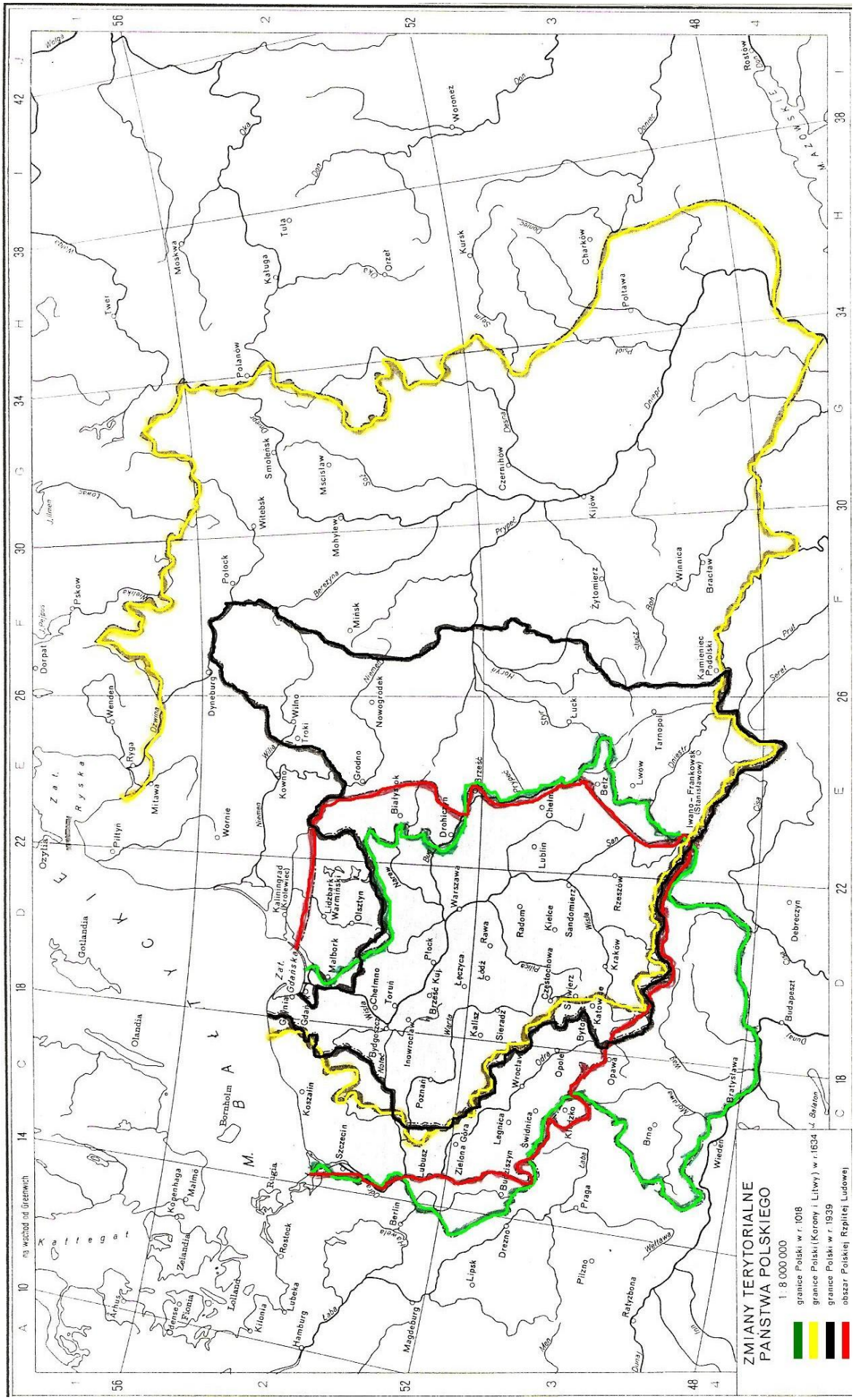

Zmiany terytorialne państwa polskiego

O monografii napisali:

Mamy swoją historię…

Nigdy nie zapomnę zdziwienia archiwisty Uniwersytetu Papieskiego w Krakowie, kiedy poprosiłem go o skany ksiąg metrykalnych Czernielowa Mazowieckiego. Mazowiecki? Na Kresach? Zdziwienie jego było jeszcze większe, gdy okazało się, że nie jestem wariatem, a miejscowość taka rzeczywiście istnieje w zbiorach archiwum.

Nastąpiła wtedy u mnie smutna konstatacja. W pamięci Polaków zachowa się polskość Lwowa, Stanisławowa czy nawet Berdyczowa. Każdy będzie też wiedział, kim byli wielcy ludzie Kresów, jak np.: Maria Konopnicka, Stefan Banach i in. Napisano dziesiątki tysięcy książek o kresowych grodach i ich wybitnych mieszkańcach. A co z nami? Co z kilkusetletnią historią naszego Czernielowa? Co z pamięcią o pochodzeniu naszych rodzin?

W wyniku różnych życiowych kolei losu, zacierają się wiadomości o czernielowianach. Smutne to, ale wiele rodzin odeszło już w historyczny niebyt. Młodsze pokolenia, często nawet nie wiedzą, skąd pochodzili ich dziadowie czy pradziadowie... Czy za kilkadziesiąt lat ktoś będzie pamiętał o kresowych korzeniach Ratowskich, Niebieszczańskich, Rajfurów, Murmyłów... czy Waldunów? A gdy nawet ktoś za te kilkadziesiąt lat będzie chciał się dowiedzieć o losach swoich przodków, to kogo zapyta? Gdzie znajdzie informacje o pięknej podolskiej polskiej wsi, leżącej nad Gniezną i noszącej dumną, historyczną nazwę – Czernielów Mazowiecki?

I wtedy pojawiła się Pani Krystyna Mołodyńska z niniejszą monografią o Czernielowie. Byłem pośrednim świadkiem powstawania tej pracy. Wiem, a zdaję sobie sprawę, że moja wiedza jest jedynie szczątkowa, ile trudu kosztowało dotarcie przez Autorkę do poszczególnych rodzin, zbieranie informacji, ich weryfikacja, gromadzenie dokumentacji fotograficznej. Długie telefoniczne rozmowy, maile... Tytaniczna, wieloletnia praca, z której powstała książka. Tę pozycję obowiązkowo powinien mieć w swoim domu każdy pochodzący z Czernielowa.

Kilka osób z naszej małej ojczyzny znad Gniezny napisało swego czasu wspomnienia. I wielka chwała im za to, bo są źródłem nieocenionej wiedzy, z której czerpała Pani Mołodyńska. Dotychczasowe prace w większości ograniczają się do osobistych historii, zapisu rodzinnych wspomnień, wyrażonej na piśmie tęsknoty za utraconym rajem z dzieciństwa czy młodości. Praca Pani Krystyny jest inna, unikatowa w zakresie Czernielowa. Losy rodzin i poszczególnych osób, twardo zostały osadzone w towarzyszącym im kontekście historycznym, wyraźnie i szeroko zaznaczonym. Dla czytelnika (zwłaszcza młodego) nieznającego dobrze zawiłych losów naszej Ojczyzny, książka staje się w pewnym sensie podręcznikiem. Losy

podolskiej wsi i jej mieszkańców przedstawione są na mapie dziejów kraju. W takiej sytuacji zupełnie inaczej odbiera się cytowane wspomnienia, rozumie się tragedię ludzi, którzy musieli iść tym konkretnym życiowym szlakiem, wytyczonym im przez los. Rozmach pracy zdumiewa. Wiemy wszystko o okresach następujących po sobie okupacji, zsyłkach na Sybir, wędrówce przez Bliski Wschód i Afrykę. Poznajemy bliżej znanych nam dotychczas tylko z nazwiska ludzi, którym często nie dane było wrócić do Polski. Ukazane zostały poszczególne szlaki bojowe, jakimi szli i na jakich ginęli młodzi czernielowianie, ukazano ich działalność konspiracyjną, powojenną ekspatriację z ziemi rodzinnej. Czasem pojawiła się anegdota, czasem ludzki ból, tragedia... czytelnik autentycznie przenosi się w czasie i czuje atmosferę i grozę tamtych dni.

Czernielów był jedną wielką rodziną. Na przestrzeni wieków ludzie, zawierając śluby pomiędzy członkami poszczególnych familii, stawali się dla siebie nawzajem coraz bliżsi. Często nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy rodzinnie powiązani. Czytamy więc o swoich przodkach, krewnych, ich sąsiadach, których nazwiska przewijają się również w naszym życiu codziennym jako znajomi z Trzemeszna Lubuskiego, Trzebowa, Sulęcina czy Grochowa.

Książka nie jest jednak łatwą pozycją do czytania. Inna sprawa, że nigdy z pewnością taką być nie miała. Ogrom zawartej w niej wiedzy i jej szeroki zakres, sięgający w II tomie od czasów wybuchu wojny w 1939 r. aż po dzisiejsze życie nowych mieszkańców tej starej wsi, sprawia, że nie jest to wakacyjna lektura nad jezioro czy miła lektura do poduszki. Nad tą pozycją należy się szczególnie pochylić. Czytać ją należy w kontekście losów swojej najbliższej rodziny, zasłyszanych opowieści, wspomnień dziadków, a nawet być może osobistych wizyt we współczesnej nam miejscowości, o obco brzmiącej dla nas nazwie, Soborne. Książkę Pani Krystyny Mołodyńskiej należy po prostu studiować, aby nie uronić nic z tego, co z takim trudem przez autorkę zostało w niej zapisane. Należy do niej wracać, udostępniać rodzinie, zachować dla potomnych, aby robili to samo, a może z czasem uzupełnili ją o nowe ujawnione przez życie fakty z dziejów Czernielowa Mazowieckiego.

Dzięki Pani Krystynie Mołodyńskiej, można z dumą powiedzieć, parafrazując znany tekst ojca renesansowej polszczyzny: „Czernielowianie nie gęsi i swą historię mają”.

Jeszcze raz wielkie podziękowania i ogromny szacunek dla Autorki wspaniałej monografii Czernielowa Mazowieckiego.

Mirosław Wilk – wnuk Franciszka Walduna, Czernielów Mazowiecki 91

O Czernielowie Mazowieckim historia bardzo obszerna a jednocześnie arcyciekawa

Krystyna Mołodyńska napisała i wydała własnym sumptem pierwszy i drugi tom monografii podtarnopolskiej wsi podolskiej w latach 2015 i 2019. Tom 1 zatytułowała *Czernielów Mazowiecki i okolice – śladami przeszłości.* Obejmował on lata 1410-1939. Książka liczyła 420 stron i zawierała dodatki w postaci: słownika wyrazów, wyrażeń i zwrotów gwarowych używanych w podolskiej wsi i jej najbliższej okolicy; spisu przedwojennych mieszkańców wioski; kilku mapek Czernielowa Mazowieckiego oraz Czołhańszczyzny i Czernielowa Ruskiego, sporządzonych przez ekspatriantów i ich potomków. Tom pierwszy zawierał omówienie dokumentów historycznych związanych z podtarnopolską miejscowością i opisywał życie codzienne czernielowian z 20-lecia międzywojennego.

W 2019 roku do rąk czytelników trafił tom drugi historii podolskiej wsi podtarnopolskiej, wydany w dwóch częściach (tom 2, część A i tom 2, część B), które łącznie liczą ponad 800 stron. (Całość razem z t. 1 liczy ponad 1200 s.). Tom 2 obejmuje lata 1939-2019. Monografię autorka zatytułowała *Czernielów Mazowiecki – czas wojny, czas pokoju*. Do pracy dołączono: listę mieszkańców, którzy zginęli podczas II wojny światowej, wiersze zapamiętane z Czernielowa, wykazy przesiedlonych a ponadto jako pozycję odrębną płytę z nagranymi z nagranymi czernielowskimi piosenkami śpiewanymi przez ziomków oraz czytanymi wspomnieniami napisanymi przez ich autora, a także zdjęcia polskich nagrobków sprzed 1945 r. wykonane przez studentów instytutu historii sztuki w czasie badań terenowych na starym cmentarzu w Sobornem w 2017 r.

Gdy Krystyna Mołodyńska została szczęśliwą stypendystką ZUS-u, poświęcała swój wolny czas rodzinie i studiowaniu na uniwersytecie trzeciego wieku. A dziedziną najbardziej ją interesującą jest historia regionalna.

Nadmienić wypada, że opowieść o Czernielowie Mazowieckim nie jest pierwszą próbą popularyzowania regionalizmu dokonaną przez autorkę. Krystyna Mołodyńska popełniła 2 publikacje z tego zakresu tematycznego, a mianowicie *Mieszkańców Miechowa* (2011), opracowanie popularyzujące swoją rodzinną wieś z powiatu sulęcińskiego oraz *Fabrykę Nakryć Stołowych „Lefana”* (2013), opracowanie opisujące historię trzech fabryk sztućców działających w Legnicy pod jednym adresem przez 143 lata od 1869 r. do 2012 r.

Mikrohistoria podtarnopolskiej wsi podolskiej jest najważniejszym i najobszerniejszym dziełem popularyzującym regionalizm, w tym wypadku regionalizm podolski i Ziem Zachodnich, gdzie Podolacy się osiedlili po zawierusze wojennej. Temu tematowi historyczka poświęciła z przerwami 6 lat intensywnej pracy. Zainteresowania mikrohistorią mają oparcie w korzeniach rodzinnych autorki,

bowiem jej matka i dziadkowie pochodzili z opisywanej przez nią podtarnopolskiej wsi. Mieszkali tam od pokoleń.

Historyczka amatorka nigdy nie była w Czernielowie Mazowieckim, bo nie miała po temu okazji. Dla historyka to dobra sytuacja wyjściowa do napisania monografii miejscowości skąd pochodzili jego przodkowie. Dokumentalistka znała natomiast wioskę z rodzinnych opowieści mamy, ciotek, wujków i sąsiadów. Jej mama napisała w 2007 r. obszerne wspomnienia. Zatytułowała je *Historia rodzinna. Wspomnienia z dzieciństwa i nie tylko...*. Ich zakres obejmował między innymi 20 lat życia w Czernielowie Mazowieckim od 1926 roku, a w szczególności życie rodzinne i życie codzienne na wsi kresowej, zwyczaje praktykowane przez chłopów wschodniomałopolskich. Świat rolników podolskich sprzed 1945 r. był światem przednowoczesnym. To życie było oparte na kalendarzach rolniczym i kościelnym, zgodne z naturą i religią wyznawaną przez czernielowian. To one były najważniejszymi drogowskazami w ich życiu. Tworzyły mikrokosmos i makrokosmos jej mieszkańców, nadawały sens życiu i zachęcały do wykonywania ciężkiej pracy we własnym gospodarstwie rolnym siłą własnych mięśni i siłą mięśni swoich zwierząt gospodarskich dla swojego dobra i dobra swojej rodziny. Wspomnienia matki autorki monografii były podstawowym źródłem, najczęściej cytowanym przy opisywaniu życia codziennego czernielowian.

Z monografii wsi możemy się dowiedzieć, że pierwsza wzmianka o Gerlenowie, bo tak się nazywała pierwotnie osada, przypadła na rok bitwy polsko-krzyżackiej pod Grunwaldem w 1410 r. Za jej pierwszego historycznego posiadacza uznaje się Chodkę Łojewicza z Wyżnian. Badaczka weszła w spór interpretacyjny z ukraińskimi historykami co do osoby pierwszego właściciela, którą pominięto w ukraińskim opracowaniu oraz prawa donacji wsi w XIV wieku. Autorka wykorzystała w 1. tomie ponad 50 prac historycznych przybliżających epokę. Obficie korzystała z wujka Google'a i ciotki Wikipedii. A swoje poszukiwania zamieściła w bibliografii, która jest śladem jej warsztatu badawczego, swego rodzaju posagiem erudycyjnym.

Monografistka prześledziła losy wsi szlacheckiej do XVIII w. i doszła do wniosku, że po ostatnim najeździe tatarskim, w którym wyginęła ludność podolska, w pierwszej połowie tegoż wieku osiedliło się tam razem z jaśnie wielmożnym Michałem Mateuszem Markowskim, szlachcicem pochodzącym z Podlasia, wiele rodzin chłopskich pochodzących z Mazowsza i zamieszkujących jego podlaskie dobra. Do takich osiedleń zachęcały lata wolnizny. Ślad ich pierwotnego pochodzenia zachowany został w nazwie miejsca nowego zasiedlenia, wskazywał na Mazowsze i przetrwał do 1946 r. w nazwie wsi.

W 1768 r. kolejna właścicielka wsi Joanna z Sierakowskich Jastrzębska, troszcząc się o kondycję duchową swoich poddanych, ufundowała chłopom parafię

rzymskokatolicką z drewnianym kościołem i plebanią, aby się nie rozpłynęli w morzu unickiego chłopstwa ruskiego. I tak było do 1945 r. Kościół łaciński najskuteczniej utwierdzał polskość czernielowian i mieszkańców okolicznych wsi przyznających się do związków z nim. Niektórzy z nich z czasem zaprzestali mówić po polsku, ale trzymali się kurczowo swojej religii, swojego obrządku, bo tak było w ich rodzinach od kilku pokoleń. Wypada tu jeszcze wspomnieć o jednej ważnej rzeczy, w 1852 r. (tej daty nie odnotowuje autorka) w Czernielowie Mazowieckim otwarto szkołę trywialną. Od tej pory dzieci czernielowskie mogły zdobywać edukację na poziomie elementarnym.

Gdy zbyt polsko brzmiący przymiotnik z nazwy miejscowej (Mazowiecki) nie pasował do polityki kolonizacyjnej sowieckiego imperium, w skład którego weszła wieś z regionem po 1945 r., postanowiono zmienić jej toponim i uhonorować nową nazwą. Wiosce nadano miano najgroźniejszego sowieckiego marsa wojny i wielkiego okrutnika, marszałka Żukowa, który w tej miejscowości przez parę tygodni stacjonował ze sztabem. Ta nazwa jakoś dziwnym trafem długo się nie utrzymała i porywisty huragan historii już po 11 latach zmiótł ją z map definitywnie. Trzeba smutno skonstatować, że były Czernielów jakoś nie miał szczęścia do nowych nazw. Toponimy zmieniano mu w ostatnich 70 latach 3-krotnie.

Drugą część 1. tomu autorka poświęciła życiu codziennemu podolskiej wsi podtarnopolskiej w latach II Rzeczypospolitej. Aby zebrać dodatkowy materiał źródłowy Mołodyńska zwróciła się do krajan z apelem, który zamieściła na stronie internetowej poświęconej ziomkom czernielowskim. Prosiła o podzielenie się swoimi opowieściami o czernielowskiej przeszłości, o czernielowskiej codzienności, o rozterkach związanych z ewakuacją i przystosowywaniu się do życia w nowym, jakże odmiennym od podolskiego, poniemieckim środowisku wiejskim. Prośba autorki spotkała się z szerokim odzewem. Swoje wspomnienia i pamiątki przekazało autorce po pierwszym apelu 50 osób: czernielowian, ich potomków, mieszkańców sąsiednich wsi bliżej (Czołhańszczyzna, Czernielów Ruski) i dalej (Borki Wielkie, Stupki) od Czernielowa Mazowieckiego położonych. Z tak pozyskanego materiału źródłowego (wywiady z czernielowianami, rozmowy telefoniczne, korespondencja tradycyjna i elektroniczna, skanowane dokumenty, pamiętniki, wspomnienia, wspomnienia i wywiady zamieszczane w prasie lokalnej, książki wspomnieniowe, zasoby archiwalne) dokumentalistka odtworzyła i opisała bardzo szczegółowo życie codzienne podolskiej wsi w dwudziestoleciu międzywojennym.

W podziękowaniach zamieszczonych w 2. tomie autorka wymienia różne, bardzo liczne grupy współpracowników. W ostateczności ich liczba wzrosła do 122 osób (w tym 5 z Sobornego i jednej osoby z Kanady), z których wiedzy i pomocy w różny sposób skorzystała przy pisaniu monografii podolskiej wsi podtarnopolskiej. Badaczka przeszłości sięgnęła do literatury napisanej w języku

niemieckim (wsparła się o fachową pomoc zaprzyjaźnionych tłumaczy z tego języka) i ukraińskim (sama tłumaczyła teksty na potrzeby monografii). Aby się w tym oceanie źródeł i opracowań nie pogubić, regionalistka musiała opracować żelazne metody zbierania, selekcjonowania i przechowywania przydatnych i potrzebnych materiałów źródłowych. Musiała opracować żelazną metodę ich wykorzystania w trakcie pisania monografii Czernielowa Mazowieckiego. Już po pobieżnym przeczytaniu dostarczonego materiału pasjonatka historii szybko orientowała się, czy rzecz jest przydatna i wstępnie zaklasyfikowała ją do rozdziału, w jakim powinna się znaleźć.

Jej krewni opuścili swoją ojcowiznę 12 sierpnia 1945 r., co skrupulatnie regionalistka odnotowała, i udali się w mityczną podróż ewakuacyjną w poszukiwaniu nowej ojczyzny na krótki czas ewakuacji, która dla nich i pozostałych 1200 mieszkańców Czernielowa Mazowieckiego miała się znajdować w nowych granicach Polski, gdzieś na Zachodzie. Niczym odysowie XX w. w stalowych wagonach statkach po morzu torach, ciągniętych przez gorące stalowe smoki z dymiącymi czarnymi pióropuszami, wyruszyli na poszukiwanie Nowej Itaki. Dusze przesiedleńców przeniknęły tęsknoty, a tułactwo tęsknoty napędzało. Ekspatrianci łudzili się, że utraconą ojcowiznę znajdą w innym miejscu, a odnalazłszy Nową Itakę gdzieś na szerokich ziemiach dorzecza Odry, przekonali się, że to jest ziemia dla nich zupełnie obca. Tu po zasiedleniu nowych domostw, jakże bogaciej wyposażonych niż te zabugowskie, zorientowali się, że nie są już ewakuantami, tylko wygnańcami, którzy muszą na nowo oswoić obcą ziemię, aby poczuć namiastkę nowej małej ojczyzny.

Podolscy odysowie nie mogli głośno tęsknić za swoją Itaką Czernielowską, nie mogli opowiedzieć o swojej krzywdzie związanej z deportacją, trudną adaptacją do nowych warunków i nie mieli możliwości odwiedzenia miejsca, gdzie zakopano ich pępki, bo ówczesna poprawność polityczna wymagała od nich wychwalania dominującego w tej części Europy zwycięskiego agresora. Parafrazując epopeję Homera i dramat Stanisława Wyspiańskiego, można napisać, że nie było w tym przypadku powrotu podolskich odysów do czernielowskiej Itaki.

Jak to Krystyna Mołodyńska zrobiła, że ziomkowie, dzieci i wnukowie ziomków czernielowskich i o czernielowskich korzeniach, a także ekspatrianci z sąsiednich wsi chętnie udzielali jej informacji na temat przeszłości osady i mieszkających tam swoich rodzin? Czyżby miała dar przekonywania do swojej wizji mikrohistorii wsi podolskiej? Czyżby umiała wyłuszczyć swoim rozmówcom, że dla historii przesiedleń ważne jest, aby każdy najstarszy przesiedleniec z każdej rodziny opowiedział o swoim postrzeganiu życia na ojcowiźnie i wypędzeń z małych ojczyzn, bo historię tworzą nie tylko władcy i ich marszałkowie, odkrywcy i wynalazcy, filozofowie czy artyści. Dziś wiemy, że historię tworzą szarzy zjadacze

chleba, a ich opowieści na temat doświadczeń życiowych są równie ważne, jak opowieści luminarzy światowych. Szarzy czernielowscy ludzie umieją opowiadać o swojej przeszłości, o swojej rodzinie, o swoich przeżyciach, o swoich marzeniach, o swojej codziennej mozolnej pracy, wypowiadając się z charakterystycznym dźwięcznym *h,* miękkim *gie* i kresowym przedniojęzykowym (aktorskim) *ł*. Umieją spisać swoje opowieści. Czynią to czasem nieporadnie, językiem chropawym, niegramatycznie, używając gwary, powtarzając wielokrotnie te same zwroty i wyrażenia, wtrącając w swoją wypowiedź liczne rutenizmy, gubiąc wątek główny, zakręcając się w nieistotnych szczegółach czy detalach. Ale ich opowieści są autentyczne, odzwierciedlają czas i miejsce, w którym żyli, oddają ducha epoki i ich sposób myślenia, oddają emocje i ich wyobrażenie o świecie i życiu. Warto było je zebrać w jedno miejsce, uporządkować czasowo, dodać ogólną wiedzę historyczną o epoce i procesach w niej zachodzących. I na takim podglebiu historycznym osadzić opowieści czernielowian o ich życiu codziennym w czasie pokoju i w czasie wojny.

A wojna była okrutna. Dwie nienasycone i zdegenerowane oświeceniowe formy rządów sprawowane w znacznej części Europy przyczyniły się do wybuchu wojny o charakterze światowym 1 września 1939 r., a nieliczne demokracje ówczesnego świata były obojętne i bezsilne na to zagrożenie dla pokoju. Wojny bardziej niszczycielskiej niż ta z lat 1914-1918, bo wykorzystującej najnowsze osiągnięcia techniki do narzucenia swojej woli podbitym narodom i do ich eksterminacji.

Z powodu fałszywych wyobrażeń o kulcie klasy i kulcie rasy (nowych bożków XX wieku) zgotowano Europejczykom piekło na ziemi, w które sami wyznawcy totalitarnych idei nie wierzyli. Oni ahistorycznie wołali na lata przed Sartrem, że piekło to inni i z dziką satysfakcją na ustach do takiego piekła chętnie kierowali swoich wrogów, prawdziwych czy urojonych, i przeciwników politycznych, ekonomicznych, religijnych, osoby upośledzone i żyjące na granicach społeczeństwa - wszystkich, którzy przeszkadzali w urzeczywistnieniu ich wspaniałych wizji chorych utopii.

Bolszewizm od samego początku swego istnienia praktykował totalitarną ideologię w sposób cyniczny i prostacki. Ograbiał z mienia właścicieli dóbr, w tym chłopów z ziemi. Przeciwników uważał za wrogów, których należy bezwzględnie rozstrzelać, a w łagodniejszej wersji reedukować poprzez przemoc fizyczną i pracę katorżniczą w obozach nazywanych cynicznie przez strażników komunistycznej ideologii obozami pracy poprawczej. Tam marnie odżywianych niewolników XX w. zmuszano do ponadludzkiej pracy w skrajnie niekorzystnych warunkach klimatycznych. Zdegenerowany czekistowski aparat represji żywił się cierpieniem niewinnych więźniów różnej narodowości. Byli wśród nich po 17 września 1939 r. obywatele II RP, tacy jak: osadnicy, oficerowie, urzędnicy, ziemianie, poborowi.

O obozach pracy przymusowej zorganizowanych dla polskich jeńców wojennych przez Sowietów w latach 1939-1941 w Stupkach, Czołhańszczyźnie, a także o zesłańcach na Sybir z lat 1940-1941 o czernielowskich korzeniach informuje Mołodyńska w rozdziale *Pierwsza okupacja sowiecka* w 2. tomie monografii.

Dla fałszywej teorii rasowej naród panów, zaczadzeni faszyzmem Niemcy, wyniszczył w Holokauście 6 milionów europejskich Żydów. Dziś wiemy z genetyki, że wszyscy ludzie pochodzą z jednego środowiska z Afryki Wschodniej. Jacyż ci antysemici byli niedouczeni i chorzy z nienawiści! W monografii Krystyny Mołodyńskiej jest poświęcony temu rozdział. Opisuje obóz pracy niewolniczej dla Żydów z Tarnopolskiego ulokowany w Stupkach. Dwie osoby narodowości żydowskiej nie pochodzące z Czernielowa Mazowieckiego przetrwały Zagładę właśnie w Czernielowie. W wiosce znalazło się co najmniej 20 anonimowych sprawiedliwych, aby ukrywający się mogli przetrwać okupację niemiecką. O tym można przeczytać w rozdziale *Tarnopolscy Żydzi. Obóz pracy w Stupkach.*

A cóż można powiedzieć o materiałach zamieszczonych w monografii na temat walki na różnych frontach II wojny światowej żołnierzy pochodzących z Czernielowa Mazowieckiego i okolicznych wsi? Można zadać pytanie: gdzie nie walczyli czernielowianie lub osoby czernielowskiego pochodzenia? Krystyna Mołodyńska nie znalazła ich jedynie w 1. Dywizji Pancernej generała Stanisława Maczka walczącej w Normandii, Belgii, Holandii i Niemczech w latach 1944-1945. Domniemywam, że regionalistka nie przyłożyła się i nie dotarła do wszystkich źródeł archiwalnych.

Kolejnym z wątków poruszanych w monografii jest czernielowska społeczność ukraińska. Według ukraińskiego badacza Wołodymyra Kubijowycza miało ich być w Czernielowie w 1939 r. 160. Dookoła Czernielowa Mazowieckiego przeważały wsie z ludnością ukraińską, takie jak: Ochrymowce, Czernychowce, Bajkowce, Czernielów Ruski, Stupki. Ukraińcy w rejonie wielkoboreckim w 1945 r. stanowili 65% mieszkańców spisu przeprowadzonego przez Sowietów. Czernielów był dużą wyspą polonizmu na morzu ukraińskiej większości. Prawie wszyscy miejscowi Polacy znali język ukraiński, czasem w tym języku lepiej mówili niż po polsku. Natomiast według legend opowiadanych przez czernielowian w wiosce miało mieszkać siedem mitycznych rodzin ukraińskich. Prawie wszyscy wypędzeni podawali tę liczbę w swoich opowieściach, ale dziś po 70 latach jest trudno zweryfikować nazwiska tych rodzin. Rodziny te pozostały we wsi. Nikt z najstarszego żyjącego grona czernielowian już ich nie pamięta.

Hobbystka muzy Klio doprowadziła historię opisywanego miejsca do roku 2019. Naszkicowała dla potomków czernielowian, jak wieś zmieniała się na przestrzeni ostatnich 75 lat, aby z Czernielowa Mazowieckiego wchodzącego w skład województwa i powiatu tarnopolskiego II RP, stać się Sobornem w rejonie i obwodzie tarnopolskim Ukrainy. Omówiła najważniejsze przemiany, jakie zaszły

we wsi, a więc prawie kompletną wymianę mieszkańców. W Czernielowie Mazowieckim pozostało 114 osób (8,2%) z 34 rodzin ludności autochtonicznej (10,2%). Wsi nie zaorano i nie posadzono na tym miejscu lasu bukowego. Historia nie znosi pustki, a więc na miejsce opróżnione przez czernielowian osiedliły się 254 rodziny z 1205 osobami. A byli to polscy Ukraińcy i Łemkowie pochodzący z 28 wsi z obecnych terenów południowo-wschodnich Polski, często mówiący lepiej po polsku niż niektórzy czernielowianie. Ci już raz zostali wysiedleni ze swojej ojcowizny. Trafili do Czernielowa Mazowieckiego z wcześniejszych miejsc wygnania, a mianowicie z dalekich stepów wschodniej czy południowej Ukrainy. Łącznie w Czernielowie Mazowieckim w 1946 r. mieszkało 1319 osób z 284 rodzin. Faktografka odtworzyła procesy: zasiedlania wioski przez nowych mieszkańców, kolektywizacji rolnictwa w Żukowie, edukacji młodego pokolenia, ateizacji społeczeństwa, życia codziennego kołchoźników, a także upadku komunistycznej utopii, odnowy życia religijnego we wsi i powrotu do normalności. Ta część jej opracowania jest przewodnikiem po Sobornem.

Trzeba wspomnieć, że okoliczne wsie ukraińskie posiadają popularne monografie historyczne napisane przez Ukraińców i adresowane do Ukraińców. I tak: emerytowany dyżurny ruchu Jewhen Baran, napisał o Stupkach *Narysy z istoryji Stupok* (Szkice z historii Stupek), Tarnopol 2014; archeolog Bogdan Stroceń, nauczyciel historii Zinowij Iwachiw, dziennikarka łemkowskiego pochodzenia Hanna Makuch i nauczycielka nauczania początkowego Iryna Humenna zredagowali opowieść o Czernielowie Ruskim *Czerneliw Ruśkyj – istorycznyj narys* (Czernielów Ruski – szkic historyczny), Tarnopol 2011; inżynier i historyk regionalista Roman Maceluch, nauczyciel historii Bogdan Pober i dziennikarz tarnopolski Wołodymyr Chanas napisali monografię Borek Wielkich *Wełyki Birki. Z hłubyny wikiw do naszych dniw. Istoryczno-krajeznawczyj narys* (Borki Wielkie. Z głębi dziejów do naszych dni. Szkic historyczno-krajoznawczy). Tarnopol 2005. Tylko Soborne jest sierotą histograficzną i nie ma wydanej swojej ukraińskiej historii. Wśród mieszkańców Sobornego nie znalazł się odważny amator historyk, który popełniłby takie opracowanie. Tę lukę bardzo dobrze uzupełnia rozdział 15 drugiego tomu *Czernielowa Mazowieckiego i okolic – czasu wojny – czasu pokoju* zatytułowany *W Sobornem, czyli w dawnym Czernielowie Mazowieckim.*

A jak wygląda sprawa monografii podtarnopolskich wsi wśród polskich ziomków? Z tego co wiadomo, nikt niczego na ten temat nie napisał. Monografie małych kresowych ojczyzn zaczęły powstawać w Polsce po 1989 r. Ziomkowie wydawali je w niszowych wydawnictwach i małych nakładach, często bez rejestracji pozycji w Bibliotece Narodowej, a więc bez numeru ISBN, ciężko więc jest coś znaleźć w katalogach bibliotecznych. Czernielów Mazowiecki doczekał się jej dziś!

Bardzo dobrze się stało, że za tym przedsięwzięciem kryje się osoba głównego sprawcy owego zamieszania, osoba Krystyny Mołodyńskiej!

Na koniec warto by zachęcić naszą regionalistkę do podróży do opisywanego miejsca: Dla nas, ziomków czernielowskich, zawsze będzie to ziemia czernielowska, niezależnie od tego, jak się obecnie nazywa i jak została zmieniona przez nieuchronnie modyfikowaną zabudowę architektoniczną. W Sobornem zawsze będziemy szukać śladów Czernielowa. Odwiedziny są w zasięgu ręki. Tylko trzeba posiadać ważny paszport.

A w Sobornem to … Ale po co Pani będę opowiadał…

A na finał wyprawy wypadałoby popełnić reportaż-wspomnienie rodzinne z podróży do krainy dzieciństwa Pani mamy uzupełniony fotografiami i zamieścić go w jednym z licznie ukazujących się czasopism kresowych.

Warto jechać, choć powiem szczerze za Adamem Mickiewiczem, parafrazując cytat z sonetu „Stepy Akermańskie”: Jedźmy! Nikt nie zawoła.

Zbigniew Woźny, syn Lulki (Julii), wnuk Marynki (Marii) i Jóźka (Józefa) Żarkowskich, ostatnich spóźnionych czernielowskich „repatriantów” z 1957 r.

Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina
na wszystkie sprawy pod niebem:
Jest …czas wojny i czas pokoju **Koh 3, 1-11**

Słowo wstępne

Po dłuższej przerwie, po kilku latach, jakie upłynęły od przygotowania I tomu opracowania pt. *Czernielów Mazowiecki i okolice – śladami przeszłości*, obejmującego historycznie okres 1410-1939, ukazuje się zapowiadany dalszy ciąg monografii *Czernielów Mazowiecki i okolice – czas wojny, czas pokoju* jako II tom opracowania, w dwóch częściach: tom II. Część A i tom. II. Część B.

Za przygotowaniem tomu II w dwóch częściach składowych stoją wyłącznie względy techniczne wynikające z objętości tekstu i zgromadzonych zdjęć dokumentujących losy czernielowian i ludzi o korzeniach czernielowskich oraz nowych mieszkańców wsi Czernielów Mazowiecki, obecnie Soborne, którzy zamieszkali w wiosce po wysiedleniu stamtąd Polaków. Można powiedzieć, że opracowanie ma niejako postać albumu poświęconego dawnym i obecnym mieszkańcom tej podtarnopolskiej wsi i zostało im zadedykowane.

Tom II, którego zakres historyczny i merytoryczny był już wcześniej sygnalizowany, obejmuje okres od 1939 r. do około 1960 r., czyli od wybuchu II wojny światowej do zmian popaździernikowych, a w przypadku Sobornego do czasów współczesnych. Na tle wydarzeń historycznych, które w tym czasie miały miejsce w Polsce i na świecie, pokazano na podstawie wspomnień, do których udało się dotrzeć, i innych dostępnych materiałów, życie mieszkańców wioski w czasie II wojny światowej i bliżej wojenne losy niektórych ludzi, w tym dużej grupy żołnierzy z Czernielowa i o czernielowskich korzeniach.

Zaprezentowano w nim obszerniej niż w tomie I zdarzenia i losy ludzi z okolic Czernielowa, a w tym z: Borek Wielkich, Bajkowiec, Czołhańszczyzny, Łozowej, Stupek. Tarnopolskie wsie nie żyły w izolacji, a bliskie odległości, przynależność do tej samej parafii i spokrewnienie z rodzinami z okolicznych wiosek, powodowały, że mieszkańcy tych miejscowości utrzymywali bliskie kontakty, spotykali się, doskonale się znali i się odwiedzali.

W trudnym wojennym czasie, podczas kolejnych okupacji: rosyjskiej, niemieckiej i znów rosyjskiej, połączyła ich wspólnota wynikająca z zagrożenia niebezpieczeństwami: aresztowaniami, poborem do Armii Czerwonej, a potem do strojbatalionów, wywózką na Sybir, wywożeniem na przymusowe roboty do Niemiec, ponoszenia konsekwencji za pomoc prześladowanym Żydom, mordów na polskiej ludności przez bandy OUN-UPA i przeciwdziałania im w akcjach samoobrony, licznego udziału mężczyzn w wojnie, w 1. i 2. Armii Wojska Polskiego.

Czernielowianie i mieszkańcy sąsiednich wsi współdziałali ze sobą, pomagali sobie wzajemnie, przekazywali informacje i organizowali wspólne akcje - wszyscy współodczuwali los, który dotyczył skrzywdzonych.

Dlatego w opracowaniu pokazano szerzej niż wynikałoby to z bezpośredniego udziału czernielowian, historię obozu żydowskiego w Stupkach, zesłanie kilkunastu rodzin na Sybir, pobyt niektórych członków tych rodzin w obozach dla uchodźców w Afryce, udział żołnierzy w Armii Andersa, napady band UPA.

Z uwagi na polityczne następstwa wojny, skutkujące między innymi zmianami granic na wschodzie i zachodzie Polski i przesiedleniami ludności polskiej na Zachód i ukraińskiej, w tym Łemków, na zabrane tereny na wschodzie Rzeczpospolitej, pokazano w oparciu o wspomnienia przesiedlenie liczącej ponad 1200 mieszkańców czernielowskiej społeczności do trzech głównych skupisk na zachodzie Polski: na Dolnym Śląsku, Pomorzu Zachodnim i Ziemi Lubuskiej oraz pokrótce ukazano, jak przebiegało oswajanie przez nich nowych miejsc.

W opracowaniu przedstawiono też dalsze, sięgające do dzisiejszych czasów, dzieje miejsca zamieszkałego przez przodków czernielowian, przybyłych prawdopodobnie w XVIII w. z Mazowsza i nazwanego przez nich Czernielowem Mazowieckim. Omówiono historię przymusowego przesiedlenia w latach 1944-1946 Ukraińców, w tym Łemków, z Polski do Ukrainy Wschodniej i Południowej oraz ich ucieczki z tamtych terenów na zachód, na Tarnopolszczyznę, dokąd ostatecznie przemieścili się przodkowie dzisiejszych sobornian.

Przez kilka lat wędrowałam razem z bohaterami monografii, śledziłam ich losy, poznawałam na nowo historię Polski, trudne wojenne przeżycia żołnierzy 1. i 2. Armii Wojska Polskiego, Armii Andersa, skomplikowane sprawy polityczne, mające skutki dla dziejów państw środkowoeuropejskich po dzień dzisiejszy. Poznałam w tym czasie osobiście oraz przez kontakt korespondencyjny, telefoniczny i internetowy wielu czernielowian, ich potomków i ludzi związanych z Tarnopolszczyzną, którzy stali się niejako współautorami tego opracowania. Z przykrością muszę powiedzieć, że wielu starszych mieszkańców byłego Czernielowa w tym czasie odeszło od nas na zawsze. Zachowuję ich we wdzięcznej pamięci.

Zapraszam do dalszej lektury ☺.

Krystyna Mołodyńska, z d. Górska,
wnuczka Tomasza Woźniaka i Rozalii z Chabzów

Tak jak w przypadku tomu I proszę, by ewentualne uwagi, zapytania, sprostowania, a także uzupełnienia do monografii kierować na mój adres: kmolodynska@wp.pl

Część III. W czasie wojny i okupacji, lata 1939-1945

Rozdział 10. Pierwsza okupacja sowiecka

Wybuch wojny

O tym, że w 1939 roku wybuchnie wojna było wiadomo od pewnego czasu, nieznana była tylko data rozpoczęcia. Nawet niezainteresowani polityką zdawali sobie sprawę z kulminacji militarnych i propagandowych przygotowań Niemiec, które niezadowolone z ładu politycznego w Europie po I wojnie światowej, nie zgadzając się od początku na powojenny układ sił, na straty terytorialne na wschodzie i zachodzie, na ogromne reparacje niewspółmierne do stanu ich gospodarki, na radykalne ograniczenia w prowadzeniu polityki wojskowej i izolację na arenie międzynarodowej, podjęły w kolejnych latach, stopniowo, szereg działań naruszających postanowienia traktatu wersalskiego związanych z wdrażaniem nowej ideologii faszystowskiej. W 1933 roku w ramach systemu parlamentarnego władzę przejęła Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników, NSDAP (niem. *Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei*) pod przywództwem Adolfa Hitlera. W drugiej połowie lat 30. XX w. w wyniku realizacji przy poparciu społeczeństwa polityki tej partii nastąpiło odrodzenie militarnej, politycznej i gospodarczej potęgi Niemiec, wtedy już Rzeszy Niemieckiej, zwanej też III Rzeszą. Uruchomiona machina zbrojeniowa wobec braku zdecydowanych kroków ze strony mocarstw zachodnich i słabości Ligi Narodów musiała znaleźć ujście.

W marcu 1938 roku hitlerowskie Niemcy przyłączyły do III Rzeszy Austrię, we wrześniu 1938 roku szefowie rządów państw zachodnich: Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch na konferencji w Monachium bez udziału Czechosłowacji zgodziły się oddać III Rzeszy zamieszkany w 85% przez ludność niemiecką Kraj Sudecki, należący do Czechosłowacji, graniczący z Niemcami i Austrią. W październiku tego samego roku przy braku sprzeciwu państw zachodnich, wobec zmian dotychczasowych granic wymuszanych przez hitlerowskie Niemcy, Polska zażądała od Czechosłowacji oddania Zaolzia, zamieszkanego w przeważającej części przez ludność polską. Rząd czechosłowacki zgodził się na przekazanie Polsce spornego terytorium i na Zaolzie wkroczyły oddziały Wojska Polskiego. Chociaż roszczenia wobec Zaolzia były dobrze umotywowane i uzasadnione – Czesi zajęli je wbrew umowom, gdy Polacy w 1920 roku walczyli z bolszewikami – to jego zbrojne zajęcie po przedstawieniu Pradze ultimatum spotkało się z potępieniem mocarstw zachodnich. W 1939 roku kolejnymi punktami zapalnymi stał się tak zwany korytarz polski, czyli polskie Pomorze uniemożliwiające łączność lądową Niemiec z Prusami

oraz sytuacja w Wolnym Mieście Gdańsku, w którym po przejęciu władzy przez NSDAP nasilały się antypolskie prowokacje i represje przeciw Żydom.

Międzypaństwowy konflikt zbrojny był więc nieunikniony. Nikt chyba jednak nie spodziewał się takich rozmiarów wojny, która objęła niemal cały świat, okropności, które przyniosła, strat i ofiar, które pochłonęła i zmian, które nastąpiły po jej zakończeniu.

Tak jak w całej Rzeczpospolitej mieszkańcy Czernielowa Mazowieckiego od dłuższego czasu spodziewali się konfliktu z Niemcami. Jednak do momentu ogłoszenia mobilizacji perspektywa niebezpieczeństw i okrucieństw wojny była odległa. 24 sierpnia 1939 r., rozpoczęto tajną mobilizację kartkową. Mężczyźni z Czernielowa też zostali nią objęci. Powołanie do wojska dostał ktoś z rodziny, koledzy, sąsiedzi. Sytuacja zmieniła się z dnia na dzień. Ludzie uświadomili sobie, że realne zagrożenie przybliżyło się, że to, co było odległe, stało się faktem, że nieszczęście może dotyczyć ich samych lub ich najbliższych. 30 sierpnia ogłoszono mobilizację powszechną.

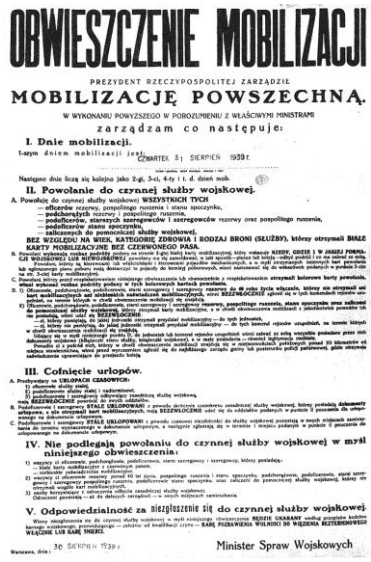

OBWIESZCZENIE MOBILIZACJI

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ ZARZĄDZIŁ

MOBILIZACJĘ POWSZECHNĄ.

W WYKONANIU POWYŻSZEGO W POROZUMIENIU Z WŁAŚCIWYMI MINISTRAMI

zarządzam co następuje:

I. Dnie mobilizacji.

II. Powołanie do czynnej służby wojskowej.

III. Cofnięcie urlopów.

IV. Nie podlegają powołaniu do czynnej służby wojskowej w myśl niniejszego obwieszczenia:

V. Odpowiedzialność za niezgłoszenie się do czynnej służby wojskowej.

Minister Spraw Wojskowych

Obwieszczenie mobilizacji z 30.08.1939 r.

Ogólnie znany jest przebieg i klęska wojny obronnej Polski we wrześniu i październiku 1939 roku i to nie wymaga dokładnego opisu. Przewaga militarna III Rzeszy od dawna przygotowującej się do wojny nad stanem uzbrojenia II Rzeczpospolitej od początku stawiała Polskę na przegranej pozycji. Jak można przeczytać w opracowaniach historycznych do momentu niemieckiej agresji Polska zdołała zmobilizować 39 dywizji piechoty, 11 brygad kawalerii, 2 brygady pancerno -motorowe, 5 brygad piechoty oraz jednostki Korpusu Ochrony Pogranicza i Obrony Narodowej, tj. około 900 tysięcy żołnierzy. Siły zbrojne Niemiec liczyły 2 mln 750 tysięcy żołnierzy, z czego 1 mln 850 tysięcy skierowano do ataku na Polskę. Olbrzymie nakłady finansowe na rozwój wojsk pancernych i lotnictwa uczyniły z Wehrmachtu najsilniejszą armię w Europie. Przeciwko 3 tysiącom czołgów i samochodów pancernych, 1640 samolotom myśliwskim i bombowym Polska mogła przeciwstawić 900 czołgów i samochodów pancernych oraz 400 samolotów bojowych.

Polski plan obrony zakładał rozlokowanie wojsk półkolem wzdłuż granicy państwa, a ostateczna linia obrony miała być oparta o rzeki Narew, Wisłę i San. Naczelne dowództwo zgodnie z konstytucją przejął marszałek Edward Rydz-Śmigły. Polskie siły zbrojne zostały podzielone na kilka głównych związków: Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew” oraz armie: „Modlin”, „Pomorze”, „Poznań”, „Łódź”, „Kraków”, „Karpaty” i „Prusy”. Na początku września utworzono Armię „Lublin”.

Mimo że w wykonaniu zobowiązań sojuszniczych wobec Polski dwa mocarstwa zachodnie Anglia i Francja już 3 września znalazły się w stanie wojny, nie zmieniło to w zasadniczym stopniu przebiegu wydarzeń wojny, bowiem faktyczne zobowiązania dotyczące uderzenia na Niemcy przez wojska sojusznicze w piętnastym dniu wojny nie zostały wypełnione. Stało się to jedną z podstawowych przyczyn przegrania batalii polsko-niemieckiej.

Dla zobrazowania teatru wojny kilka zdań przedstawiono w oparciu o kalendarium kampanii wrześniowej: Wojnę rozpoczął 1 września 1939 r. o świcie atak niemieckich sił zbrojnych na pozycje polskie rozmieszczone wzdłuż granic: zachodniej, północnej i południowej. Wojna od początku objęła nie tylko rejony zgrupowania wojsk, lecz w wyniku nalotów Luftwaffe na miasta, linie kolejowe i drogi straty ponosiła także ludność cywilna i zaplecze frontu.

Niemiecki plan ataku na Polskę przewidywał strategię *Blitzkriegu,* czyli wojny błyskawicznej, której celem miało być przełamanie polskiej obrony, a następnie okrążenie i zniszczenie głównych sił przeciwnika.

Mimo bohaterskiej obrony, wobec przewagi technicznej i liczebnej agresora polskie wojska w większości przypadków były rozbijane, rozpraszane lub zmuszane do wycofania się w głąb kraju. W kolejnych dniach września Niemcy przełamali polską obronę i Armia „Modlin" dokonała odwrotu na linię Wisły i Narwi, rozbili częściowo armie „Pomorze" i „Kraków", otwierając sobie tym samym drogę na Warszawę, otoczyli i rozbili organizującą się w rejonie Radomia i Kielc odwodową Armię „Prusy". 8 września niemieckie jednostki pancerne stanęły pod Warszawą, a 12 września oddziały 14. Armii po przekroczeniu Sanu znalazły się pod Lwowem. Po zachodniej stronie Wisły pozostały trzy armie polskie: „Łódź", „Poznań" i „Pomorze", które w dniach od 9 do 18 września 1939 r. stoczyły bitwę nad Bzurą, przez Niemców nazywaną bitwą pod Kutnem, zakończoną, po początkowych sukcesach, klęską. Bitwa nad Bzurą była największą bitwą w kampanii wrześniowej. W dniach od 17 do 26 września rozegrała się bitwa pod Tomaszowem Lubelskim, druga pod względem ilości sił zaangażowanych do walki. Stało się to, gdy armie „Kraków" i „Karpaty", a także oddziały innych ugrupowań rozpoczęły koncentryczny marsz w kierunku Lwowa i Rawy Ruskiej, zatrzymując właśnie pod Tomaszowem Lubelskim wojska niemieckie. Niestety, również w tej bitwie wobec dużych strat, braku amunicji, braku pomocy innych jednostek, które nie zdążyły na czas dotrzeć na pole walki, Polacy skapitulowali.

Nie były to oczywiście jedyne bitwy stoczone przez Wojsko Polskie broniące Ojczyzny przed atakiem niemieckiego agresora. Do historii rozegranych bitew w czasie kampanii wrześniowej przeszły między innymi bitwy: pod Mokrą, pod Mławą i obrona Węgierskiej Górki, pod Piotrkowem Trybunalskim, pod Tomaszowem Mazowieckim, pod Iłżą i pod Kockiem.

W tych bitwach brali również udział żołnierze pochodzący z Tarnopolskiego, w tym z Czernielowa Mazowieckiego. Wielu z nich dostało się wtedy do niewoli niemieckiej. O niektórych z nich będzie mowa.

17 września 1939 r. niespodziewanie Rzeczpospolita Polska została zaatakowana od wschodniej granicy. Na terytorium Polski wkroczyły oddziały Armii Czerwonej. Nastąpił czwarty rozbiór Polski. Była to realizacja układu Ribbentrop -Mołotow z 23 sierpnia 1939 r. Zgodnie z tajnym protokołem dodatkowym, stanowiącym załącznik do oficjalnego dokumentu umowy - paktu o nieagresji pomiędzy Rzeszą Niemiecką i ZSRR, dokonano podziału terytoriów suwerennych państw: Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii i Rumunii.

Milion żołnierzy Armii Czerwonej, 5 tysięcy czołgów i 2 tysiące samolotów napotkało słaby opór. Marszałek Rydz-Śmigły nakazał wycofanie jednostek polskich do Rumunii i na Węgry. Również prezydent Ignacy Mościcki, rząd i Wódz Naczelny, którzy już 6 września wobec bezpośredniego zagrożenia natarciem niemieckim, ewakuowali się z Warszawy do Nałęczowa i Brześcia, przekroczyli granicę polsko-rumuńską, gdzie zostali internowani.

22 września w Brześciu nad Bugiem odbyła się wspólna sowiecko-niemiecka defilada.

Cały czas broniła się Warszawa. Począwszy od 6 września, rozpoczęło się formowanie obrony cywilnej oraz Robotniczej Brygady Obrony Warszawy, która wraz z oddziałami wojska wzięła udział w obronie stolicy. W dniach 13-15 września miasto zostało całkowicie okrążone. Na czele cywilnej obrony Warszawy stanął Stefan Starzyński, komisaryczny prezydent miasta i komisarz cywilny jego obrony. W dniach 17–22 września garnizon warszawski został wzmocniony przez oddziały Armii „Poznań" i Armii „Pomorze", które po bitwie nad Bzurą przez Puszczę Kampinoską przedarły się do stolicy.

Po 17 września 1939 r., po agresji ZSRR na Polskę, wojska niemieckie podjęły eskalację działań skierowanych przeciwko ludności cywilnej Warszawy, mających zmusić miasto do jak najszybszej kapitulacji.

Brak wody, żywności i amunicji, ciężkie położenie ludności cywilnej oraz ogólna sytuacja strategiczna zmusiły dowództwo obrony Warszawy do zaprzestania dalszego oporu. Warszawa skapitulowała 28 września 1939 r. Do niewoli niemieckiej dostało się około 120-140 tysięcy polskich żołnierzy walczących w obronie stolicy.

28 września bezpośrednio po kapitulacji Warszawy III Rzesza i ZSRR dokonały wbrew prawu międzynarodowemu wytyczenia granicy niemiecko-sowieckiej na okupowanym wojskowo terytorium Polski.

5 października w Warszawie odbyła się defilada oddziałów Wehrmachtu z udziałem Adolfa Hitlera, a 8 października podpisał on w Berlinie dekret

o włączeniu do III Rzeszy polskich ziem zachodnich i północnych: Pomorza, Wielkopolski, rejonu Łodzi i Śląska.

To tylko niektóre podstawowe informacje z przebiegu wojny obronnej 1939 r. Zostały zaczerpnięte z *Wikipedii* i opracowań historycznych.

Przeżycia wojenne, w tym moment wybuchu wojny, jako jedne z ważniejszych w życiu pozostały na trwałe w pamięci byłych mieszkańców Czernielowa i we wszystkich ich wspomnieniach mają swoje miejsce.

Stefania Górska, z d. Woźniak, wtedy niespełna trzynastoletnia dziewczynka, w *Historii rodzinnej. Wspomnieniach z dzieciństwa i nie tylko…* okres na krótko przed wybuchem wojny i pierwszy jej dzień w Czernielowie opisała w 2007 r. następująco: *Napływały pogłoski o wojnie, coraz częściej słychać było, że wojna wisi w powietrzu. Ale jakoś tak strasznie nikt się nie przejmował. Wszystko było normalnie, były żniwa, ludzie byli zajęci pracą. Ja skończyłam piątą klasę. Chciałam pójść do szóstej klasy do Borek Wielkich, bo wybudowali tam siedmioklasową szkołę. Dobrze się uczyłam i to było blisko z Czernielowa. Ale ciągle te informacje o wojnie nie dawały spokoju.*

Pod koniec sierpnia, nie wiem dokładnie którego dnia to było, ale to była niedziela i na majątku pana Podleskiego odbywały się dożynki. Ja też poszłam ze swoimi koleżankami, chociaż Ajki w majątku nie było, bo też miała wakacje i była ze swoimi rodzicami. Robotnice uplotły wianki ze zboża, była muzyka, śpiewali piosenki i po wstępnej ceremonii dożynkowej była zabawa na placu przy gorzelni.

Sierpień 1939 r. Dożynki w Czernielowie Mazowieckim.

Oprócz robotników majątkowych na zabawę przyszły też dziewczyny i chłopcy ze wsi. Ja, co prawda, nie zaliczałam się do nich, byłam za mała, ale z koleżankami takimi jak ja, kręciłam się tam. Wieczorem, może była siódma godzina, ale to było lato, więc dzień długi, przyjechał jakiś posłaniec z Borek i przywiózł powołania do wojska, ale nie dla młodych rekrutów, tylko dla pięciu żonatych mężczyzn, w tym dla mojego szwagra Karola Ziemby. Szwagier był w tym czasie u nas w domu z żoną, czyli moją siostrą Agnieszką i ich córeczką Weroniką i tam się dowiedział o powołaniu do wojska. Na drugi dzień odjechali do Tarnopola.

A wojna rozpoczęła się 1 września 1939 roku. Ja szłam z Mamą z pola do domu i usłyszałyśmy, że dzwonią dzwony przy kościele. Stanęłyśmy i Mama powiedziała, że wybuchła wojna i zaczęłyśmy płakać. A tak niedawno, jak chodziłam jeszcze do szkoły, to śpiewaliśmy:

Marszałek Śmigły Rydz, nasz drogi dzielny wódz,
gdy każe, pójdziem z nim najeźdźców tłuc.
Nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie ruszy nic,
bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły Rydz.

A tak początek wojny i związane z tym przeżycia zrelacjonował w swoich *Wspomnieniach –zapiskach* urodzony w lutym 1931 roku Jan Bachalski, syn Józefa: *W 1938 roku zacząłem chodzić do szkoły podstawowej w Czernielowie. 1 września 1939 roku Niemcy wypowiadają wojnę Polsce. Dzień ten pamiętam doskonale. Już w sierpniu zarządzono mobilizację chłopów do wojska. Główny pobór miał miejsce w niedzielę, nie wiem, którego to było. Dzień ten był straszny, całe działanie było skupione w naszym domu, ponieważ ojciec był sołtysem, przez co organizował wyprawianie chłopów na wojnę. Prawie z każdej rodziny ktoś został zabrany. Pamiętam płacz matek, żon i dzieci. Bardzo przerażające było wycie psów, a pies był w każdym gospodarstwie. Już w pierwszych dniach września widziałem bardzo wysoko samoloty, mogły być to nawet niemieckie. Informacje z frontu docierały z opóźnieniem, bowiem we wsi nie było radia. Wiedzieliśmy, że Niemcy idą do przodu, a wojska nasze nie są w stanie ich zatrzymać. Byłem świadkiem, jak przez Czernielów przejeżdżały samochody pełne ludzi w kierunku Rumunii. Z perspektywy czasu myślę, że byli to ważni ludzie z Wołynia, Polesia, a może nawet z Baranowicz czy Wilna.*

Bardzo ogólnie, a jednocześnie z dużym ładunkiem emocji, odnosząc swoje spostrzeżenia i odczucia z pierwszego okresu po wybuchu wojny do ówczesnej sytuacji Polski, przedstawił w swoich *Wspomnieniach* pisanych w latach 80. XX w. Wiktor Mielnik. Gdy rozpoczynała się wojna, miał trzydzieści kilka lat: *W sierpniu 1939 roku Ribbentrop i Mołotow podpisali pakt o nieagresji z Rosją a zarazem rozbiór Polski. To już było widoczne, że lada chwila Niemcy uderzą na Polskę. 27 sierpnia ogłoszono mobilizację, ściągając wszystkich rezerwistów. W całym kraju powstał płacz i lament. 1 września 1939 roku o świcie samoloty niemieckie bez wypowiedzenia wojny zaczęły bombardować polskie miasta. Tak więc zaczęła się wojna. Wojska niemieckie przechodzą granicę uzbrojone w czołgi i lotnictwo, wdzierają się w głąb kraju. Wojska polskie powstrzymują ataki dzielnie, biją się, rzucają na czołgi z bagnetem, kawaleria atakuje, zapalają czołgi. Ale zmotoryzowana armia wdziera się klinem na tyły szybko. Toteż wojska nasze cofają się, nie dają się okrążyć. Po paru dniach wojska niemieckie wdarły się w głąb kraju. Samoloty krążą ponad głowami, biją kogo tylko zobaczą, nawet cywilów. Ludność wystraszona, kto może ucieka na wschód. W całym kraju panika, po drogach pełno uciekinierów. Po dwóch tygodniach walki nierównej Niemcy okrążyli Warszawę. Naród broni się jak może, ale bezskutecznie. Rząd ucieka do Rumunii.*

Leon Podleski w pisanej w grudniu 1946 roku części swoich *Wspomnień* zatytułowanej *Moje przeżycia w czasie drugiej wojny światowej* poprzedzające wojnę zwiastuny i pierwsze dni wojny zobrazował następująco: *Moja Matka zmarła 29 kwietnia 1938 roku, przeżywszy 93 lata. Gdy przed śmiercią powiedziała, że Bóg łaskaw, iż oszczędza jej tych cierpień, które nas jeszcze czekają, miałem przekonanie, że dożyjemy jeszcze poważnych zmian społecznych i że jesteśmy ostatnią generacją ziemian. Rok 1939 od samego początku „pachniał" wojną i zawahałem się na wiosnę z wykonaniem potrzebnego dla gospodarstwa mego inwestycji, jak gruntowne wyczyszczenie młynówki, tak doniosłej dla mego zelektryfikowanego gospodarstwa*.

Ogłoszona dnia 27 sierpnia 1939 roku mobilizacja pozbawiła mnie rządcy, kilku fornali i dozorców, ośmiu koni, pięciu wozów i tyluż par uprzęży, co dla gospodarstwa stanowiło w tym czasie najpilniejszych robót poważniejszą lukę, a zdenerwowanie całej ludności zmniejszyło u pozostałych pracowników chęć do pracy i jej wydajność. Wraz z początkiem września zaczęli do nas zjeżdżać bieżeńcy z Warszawy (...) pracownicy Banku Polskiego i kilka innych osób, z Jarosławia dwaj księża, z Krakowa kilkunastu kleryków jezuickich, znaleźli się i żołnierze Szlązacy.

W tym miejscu można przywołać fragment innego wspomnienia opublikowanego w numerze 3 z 2013 r. pisma „Wspólnota Polska", poświęconego Polonii i Polakom za granicą. Okazuje się, że księdzem, który zatrzymał się w Czernielowie był Adam Kozłowiecki, późniejszy kardynał, misjonarz z Afryki. Wybuch II wojny światowej zastał ks. Adama Kozłowieckiego w Chyrowie. Był w grupie księży przeznaczonych do tak zwanego pogotowia kapłańskiego polegającego na udzielaniu rannym podczas bombardowania miasta ostatniego namaszczenia olejami świętymi, słuchania spowiedzi, udzielania rozgrzeszenia. Był przerażony ludzkim cierpieniem. Z polecenia rektora 9 września 1939 r. z grupą kleryków wyjechał z Chyrowa. Po kilku dniach dotarli do Czernielowa Mazowieckiego i zatrzymali się na dworze Leona Podleskiego, szambelana papieskiego i przyjaciela ojca Adama Kozłowieckiego. W Czernielowie dowiedzieli się, że wojska rosyjskie bez wypowiedzenia wojny przekroczyły granice Polski. Był 17 września 1939 roku.

Uciekinierzy z zachodu zatrzymali się nie tylko w dworze Podleskich. Byli również we wsi. Właściciel czernielowskiego majątku odnotował w swoich *Wspomnieniach* wiejskie zebranie, które odbyło się w szkole przed samym południem 17 września. Podjęto wówczas uchwałę o zorganizowaniu dla nich pomocy w naturze. Ten dzień i następny Leon Podleski opisał następująco*: W niedzielę 17 września nie słuchaliśmy o 7 godzinie radia, tak że o wkroczeniu bolszewików do Polski dowiedzieliśmy się dopiero przy czarnej kawie po obiedzie na ganku, po odbytym przed samym obiadem w sali szkolnej zebraniu, na którym uchwalono wydatną pomoc w naturze, dla licznych i po wsi mieszkających bieżeńców*

z zachodu. Przewidując, że wypadnie mi wkrótce opuścić mój warsztat, zaraz nazajutrz wydałem osobiście całej służbie folwarcznej i domowej kwartalne pobory w naturze, z góry oraz rozdarowałem wszystkie prosięta, każdemu po sztuce. Również i gotówkowe należności wypłaciłem na kwartał naprzód.

Do dworu rodziców w Czernielowie przyjechały też z rodzinami ich dwie córki. Leon Podleski wspominał: *Po 20 września zjechała z dziećmi swymi (trojgiem) nasza najstarsza córka Maria (Myszka) Małachowska, z dwojgiem dzieci jej młodszej siostry Cesi (która pojechała była z Turówki do Stanisławowa męża swego pożegnać) i z nauczycielką domową panią Tołkaczową, ze dworu w Turówce wyrzucone do nas. Niedługo potem wróciła Cesia ze Stanisławowa, zabrała swe dzieci i odjechała do Stanisławowa, gdzie zamieszkała u krewnych Pieniążków z powodu uszkodzenia przez bomby ich mieszkania. Mąż Cesi Erwin Friedberg odmaszerował był 17 września 1939 r. ze swoim szwadronem zapasowym 9. Pułku Ułanów na Węgry.*

Leon Podleski w swoich *Wspomnieniach* nie odnotował ostrzeżenia, jakie w sierpniu otrzymali właściciele majątków o przegrupowaniu sił rosyjskich na pobliskiej granicy. Pisał o tym Tadeusz Borsa, opowiadając o rodzinie Friedbergów w artykule *Dwór w Bajkowcach Starych w powiecie tarnopolskim* w tomie VI publikacji *Dwór polski*: *W dniu 23 sierpnia w kancelarii pana Friedberga pojawił się niepozorny człowiek z wiadomością, iż sowieckie czołgi, od kwietnia zgromadzone nad granicą pod maskującymi siatkami, ostatnio nadzwyczaj ożywiły się, przegrupowując siły wzdłuż szlaków drogowych. Odległość 30 km od granicy do Bajkowców mogą pokonać w ciągu jednej godziny. Trzeba uciekać! Nasz informator wsiadł na rower i pojechał z tą wiadomością do następnych dworów. Pan Friedberg postanowił, że mimo wszystko pozostanie na miejscu, jak to w czasach najazdów tatarskich bywało, a wszystkich gości odesłał pociągiem do Lwowa.*

Udało się dotrzeć do niewielu wspomnień opisujących udział czernielowian w wojnie we wrześniu 1939 roku. Jednymi z nich są wspomnienia urodzonego w 1915 roku Józefa Mielnika „Bogaczyny". Swoje zapiski zatytułowane *Żołnierski chleb. Moje wspomnienia z czasów II wojny światowej* przygotował w 1990 roku. Oto fragment dotyczący jego udziału w kampanii wrześniowej: *W marcu 1938 r. zostałem powołany do odbycia czynnej służby wojskowej w 51. pułku piechoty 12. dywizji, stacjonującego w Brzeżanach, woj. Tarnopol. Były to czasy nie bardzo pewne i nie bardzo spokojne w naszym kraju. Służba wojskowa szła normalnym trybem. Zostałem przydzielony do 3. kompanii ciężkich karabinów maszynowych. W jesieni po manewrach naszej 12. dywizji wojsko powróciło do koszar. Zaczęły się częste alarmy i ogłoszono pogotowie wojenne, wydawało się, że w niedługim czasie coś wybuchnie, ale to wkrótce minęło, skapitulowała Czechosłowacja i zdawało się nam, że Hitler zaspokoił już swoje potrzeby.*

W październiku 1938 r. przydzielono mnie do szkolnego plutonu działek

przeciwpancernych. Po ukończeniu szkoły dostałem awans na starszego strzelca i tak moja służba wojskowa zbliżała się do końca, liczyłem miesiące a później tylko dni. Niestety, polityka Hitlera skierowała się na Polskę i znowu zaczęły się alarmy i pogotowie wojenne.

Gdy 1 września 1939 r. hitlerowskie Niemcy napadły na Polskę, nasza jednostka została skierowana na front centralny w okolicach Kielc. Transportem kolejowym przez Lwów, Przemyśl, Stalową Wolę i Sandomierz nasz transport dotarł na miejsce i pośpiesznie się wyładował, a nasze jednostki wycofały się pod Sandomierz i zajęły stanowiska obronne na prawym brzegu Wisły, bo Niemcy wbili się klinem w front centralny. Obronę nasza jednostka trzymała przez pięć dni, powstrzymując duży napór jednostek pancernych i lotnictwa. Wielu moich kolegów zostało zabitych i rannych pod koniec piątego dnia obrony, gdy zaczął się tragiczny odwrót w kierunku Zaklikowa, Modliborzyc, Janowa Lubelskiego. W rejonie Janowa Lubelskiego zaatakowało nas lotnictwo wroga i znów łzy po ginących kolegach i znowu rozpacz z naszej niemocy. Na drogach działy się dantejskie sceny. Masa ludzi cywilnych, kobiety, dzieci, wymieszani z wojskiem opuszczali swoje domostwa, swoje gniazda rodzinne i szukali ratunku przed śmiertelnym wrogiem. Krzyki rannych i umierających mieszały się z nawoływaniem się bliskich, rżeniem koni, głosami komend, świstem kul i grzmotem wybuchów bomb. Zdziesiątkowani, zmęczeni i głodni przedostaliśmy się w lasy koło Tomaszowa Mazowieckiego. W tej beznadziejnej walce wierzyliśmy, że świat nie pozwoli na tak haniebny zabór naszego kraju. Poświęceniem i oddaniem w sprawie ratowania ojczyzny nie byliśmy w stanie stawić czoła wrogom. Jednocześnie dotarła do nas wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich na teren Polski. Początkowo wydawało się nam, że to nadchodzi pomoc, ale po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że pomiędzy ZSRR a Niemcami został zawarty pakt Ribentrop–Mołotow i zrozumieliśmy, że to koniec. Tak więc 22 września 1939 r. zostałem wzięty do niewoli niemieckiej i zagnany do Przeworska.

Jak opisuje Anna Zapalec w opracowaniu pt. *Ziemia tarnopolska w okresie pierwszej okupacji sowieckiej 1939-1941*, już po kilku dniach od ataku III Rzeszy na Polskę do tarnopolskich miast i wiosek zaczęli napływać uciekinierzy z terenów zagrożonych niemieckim natarciem. Napływali samochodami, pociągami a nawet pieszo, transportując ze sobą część dobytku. Niektórzy zatrzymywali się u znajomych czy rodziny, aby przeczekać wojenną zawieruchę, inni bezpośrednio zmierzali do granicy rumuńskiej. Walki toczące się w początkach września 1939 roku daleko od granic województwa tarnopolskiego ludność śledziła poprzez prasowe i radiowe informacje oraz rozmowy z uchodźcami.

Wkrótce wskutek gromadzenia przez ludność zapasów żywności i artykułów pierwszej potrzeby, a także z powodu utrudnień w handlu, powstał w sklepach niedobór towarów, a przede wszystkim nafty, zapałek i soli.

Wojna stała się odczuwalna na Tarnopolszczyźnie z powodu nalotów niemieckich, między innymi na stacje i linie kolejowe, wiadukty oraz jednostki wojskowe. Anna Zapalec pisała, że Tarnopol i jego najbliższe okolice były bombardowane przez niemieckie samoloty w dniach 13 września, gdy miał miejsce nieudany nalot na dworzec kolejowy oraz 15 września, kiedy został ostrzelany i zbombardowany pociąg z uciekinierami między Białą a dworcem kolejowym w Tarnopolu.

Mapa województwa tarnopolskiego, 1939 r.

Tarnopol przed 17 września był dla wojsk polskich miastem etapowym. W samym mieście i okolicach, oprócz wojska, rozlokowane były szpitale wojenne.

W jednym z tarnopolskich szpitali wojskowych kilka tygodni pracowała Jadwiga Podleska, najmłodsza córka właścicieli czernielowskiego majątku. Można o tym przeczytać zarówno we *Wspomnieniach* jej ojca Leona Podleskiego, jak i z jej życiorysu przekazanego do Ossolineum oraz aneksu do *Pamiętnika* ojca.

Latem 1939 roku 19-letnia Jadwiga odbyła przeszkolenie w Przysposobieniu Wojskowym Kobiet. Parokrotnie pełniła nocne dyżury na dworcu kolejowym w Tarnopolu, wydając kawę żołnierzom z rozbitych formacji. Od 10 września, po kursie ochotniczek organizowanym przez PCK, skróconym do 5 dni ze względu na przybycie rannych z frontu, była pielęgniarką na sali operacyjnej Szpitala Wojskowego nr 504-A i 504-B w Tarnopolu. Szpital mieścił się przy ul. Kościuszki w dwóch budynkach szkoły średniej. Wraz z nią była tylko jedna zawodowa pielęgniarka. Jadwiga Podleska pracowała tam do początku października 1939 roku.

Jej ojciec napisał we *Wspomnieniach*, że pracowała w szpitalu Czerwonego Krzyża. Przez tydzień nie mieli od niej żadnej wiadomości, bo wstęp do Tarnopola był zamknięty. Rodzina obawiała się, że może być wywieziona wraz ze szpitalem w głąb Rosji. Ale opiekując się ranną kuzynką, Jadwiga Podleska zrezygnowała z pracy w szpitalu, a wkrótce z ojcem wyjechała do Lwowa.

Przez tereny województwa tarnopolskiego odbywały się nie tylko przemieszczenia ludności cywilnej i oddziałów wojska, ale także ewakuacja polskich władz państwowych. 16 września przejechała przez Tarnopol w kierunku na Zaleszczyki i dalej do Rumunii kolumna samochodów rządowych i przedstawicieli państw akredytowanych przy rządzie Rzeczpospolitej Polskiej oraz prezydent Ignacy Mościcki. W tym kierunku zmierzały też tysiące uciekinierów z wojska i ludności cywilnej.

Ale jak wcześniej pisano, już następnego dnia przed świtem, 17 września 1939 roku, zgodnie z zawartym niemiecko-sowieckim układem Ribbentrop-Mołotow, na wschodnie tereny Rzeczpospolitej wkroczyły oddziały Armii Czerwonej. W tym samym dniu o godzinie 15 wojska sowieckie znalazły się w Tarnopolu.

Tarnopolanin, Tadeusz Bednarczuk, opisywał: *Pierwsze czołgi wjechały na ulicę Tarnowskiego i Ruską, za nimi ukazały się potężne działa, a dalej piechota na samochodach i traktorach. Rozrzucono ulotki wzywające polskich żołnierzy do poddania się, do nieposłuszeństwa polskim oficerom. Okupacja miasta rozpoczęła się od ulicznych strzelanin i zabójstw, ostrzelania z armatek fasady i wież kościoła Dominikanów, a przybyłą straż pożarną ostrzelano. Klasztor ograbiono, zakonników wywieziono wraz z kilkuset wcześniej aresztowanymi osobami. Przy użyciu czołgu zniszczono pomnik Józefa Piłsudskiego. Sklepy tarnopolskie, w większości żydowskie, szybko zostały ogołocone ze wszystkiego. NKWD przystąpiło do rewizji i aresztowań, rozpoczynając od polskich oficerów, policjantów i urzędników miejskiego magistratu. Pałac w Zagrobeli i koszary zajęło wojsko sowieckie*.

Moment zniszczenia pomnika zanotował też w swoich *Wspomnieniach* Józef Mielnik „Bogaczyna”: *Muszę wspomnieć, że w Tarnopolu stał piękny pomnik Piłsudskiego na koniu odlany z brązu. Gdy Armia Czerwona zajęła bez boju Tarnopol, za parę dni zwalili ten pomnik, pocięli go na kawałki i wywieźli*

w nieznanym kierunku. Na tym pomniku było napisane: Wodzowi Narodu Ziemia Podolska.

Pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego na placu Sobieskiego w Tarnopolu wykonany przez tarnopolskiego artystę rzeźbiarza Apolinarego Głowińskiego. 11.11.1935 r.

17-18 września Rosjanie znaleźli się też w Czernielowie Mazowieckim i okolicznych wsiach. Gdy Jan Bachalski odtwarzał to zdarzenie po sześćdziesięciu latach we *Wspomnieniach*, przedstawił je następująco: *17 września 1939 roku wojska Czerwonej Armii wtargnęły bez wypowiedzenia wojny do Polski. Około godziny 10, będąc na dworze, zobaczyłem 5 żołnierzy na koniach przejeżdżających naszą ulicą. Na czapkach mieli szpikulce i pięcioramienne czerwone gwiazdy. Wyglądali strasznie. Bogatsza część mieszkańców była przerażona, natomiast ci biedni cieszyli się, ale niedługo. Po paru minutach nadciągnęła cała masa żołnierzy. Zachowywali się, jakby byli pod wpływem narkotyków. Pytali, gdzie są polscy żołnierze. Po dwóch może trzech dniach przyszło do nas bardzo dużo wojska. Była to prawdopodobnie kompania. Ich dowódca poinformował ojca, że będą u nas robili rewizję, szukając broni. Przewrócili wszystko, dosłownie: w stodole, szopie, na strychu, w oborze, szukali w słomie, a nawet w oborniku, jednak nic nie znaleźli. Po skończonej rewizji czerwonoarmiści zabrali ojca, wsadzili na ciężarowy samochód, tak zwany ZIS-5 i odjechali. Cała nasza rodzina wpadła w panikę. O dziwo, ojciec wrócił. Jak się okazało, zawieźli go do Tarnopola i przesłuchiwali. Nie wiem, o co pytali.*

Maria Cieplak, z d. Piotrowska, przywołując w pamięci pierwsze dni wojny, powiedziała: *Rosjanie zjawili się w Czernielowie 18 września 1939 r., był to oddział konny. Po paru dniach wybrano sołtysa, został nim Danyło Jacykowski.*

Danyło Jacykowski pochodził z niewielkiej w Czernielowie Mazowieckim społeczności ukraińskiej. W czasie okupacji sowieckiej był hołową, czyli

przewodniczącym sielrady, po polsku rady wsi, rady gromadzkiej. W czasie okupacji niemieckiej również był przedstawicielem władzy.

Rozpoczęcie wojny, wkroczenie Rosjan do wsi we wrześniu 1939 roku - to obrazy będące początkiem okresu pamięci z czasów dzieciństwa w Czernielowie Mazowieckim urodzonego w 1936 roku Szczepana Studennego. Po siedemdziesięciu kilku latach pamiętał słoneczny dzień, gdy wraz z innymi stał pod dużą lipą i przyglądał się samolotom, które zrzucały bomby na okoliczne pola w pobliżu domów.W jego wspomnieniach notowanych w lutym 2016 r. można przeczytać: *W niedługim czasie przyszły wojska rosyjskie, które zabierały we wsi dobytek mieszkańców. Zabierali krowy, konie, zboże. Zabrali nawet dwa dzwony z dzwonnicy, jeden zostawili w wyniku płaczu kobiet.*

W wywiadzie pod tytułem *Najgorzej nam było za Niemca* opublikowanym w „Gazecie Lubuskiej" Marian Kubiszyn mówił o wkroczeniu Rosjan do Czołhańszczyzny: *17 września 1939 roku. Słychać było szum na głównej ulicy w sąsiedniej wsi Stupki koło Borek Wielkich. A na drugi dzień przez Czołhańszczyznę jechały czołgi, kuchnie polowe, samochody, na koniach kawalerzyści, prymitywni, obdarci. „Na Giermana idiom"- kłamali. Za Ruskich ludzie, którzy wcześniej pracowali na folwarku, mieli trochę lepiej. Dostali kawałek ziemi, pędzili samogonkę, więc mogli pohandlować. A przed wojną fornal dostawał cztery fury słomy na opał, 12 kwintali zboża, 1 litr mleka dziennie, jeśli miał małe dzieci, 100 zł na buty. Nam żyło się tak jak wcześniej. Mieliśmy konia, krowy, ojciec musiał zdawać. kontyngent… Nie, jednak trochę gorzej było.*

Inaczej ten moment opisywał w swoich wspomnieniach pt. *W cieniu historii* Tadeusz Nowak-Cieplak, któremu po wybuchu wojny udało się wraz z kolegą Wojtkiem dotrzeć z Warszawy do Czołhańszczyzny, gdzie mieszkali jego rodzice. W Warszawie przebywał od 1938 r., kontynuując na Uniwersytecie im. Józefa Piłsudskiego studia prawnicze rozpoczęte dwa lata wcześniej na Uniwersytecie we Lwowie.

Z lewej: Tadeusz Cieplak w czasie studiów w Warszawie

Szli, kryjąc się po rowach i lasach przed nalotami od 5 do 16 września wieczorem. 17 września 1939 r. była niedziela, odpoczywali w domu po trudach podróży. Oto jego relacja: *Około godziny drugiej po południu zobaczyliśmy przez okno, że na podwórze spadają jakieś kartki papieru. Wybiegłem na podwórze i podniosłem jedną czy dwie. Był tam wydrukowany tekst, a więc pomyślałem, że to są ulotki. Była napisana w języku polskim. Dowództwo armii radzieckiej donosiło*

ludności wschodniej Polski, że rząd polski zbiegł za granicę, armia została pokonana i dlatego armia radziecka wchodzi do zachodniej Ukrainy (tj. Małopolski Wschodniej i Wołynia) jako armia wyzwoleńcza, dla obrony życia i mienia jej mieszkańców. Z wielkim bólem zaczęliśmy sobie zdawać sprawę, że to oznacza koniec naszej, polskiej niepodległości. Tak to w owo niedzielne popołudnie zaczęła się okupacja sowiecka.

Pamięć Stanisława Gęślowskiego, w 1939 r. 15-letniego chłopca, zachowała następujące obrazy: *17 września - była to niedziela. Przyszedłem z kościoła, usłyszałem strzały. Gdzieś około pierwszej-drugiej godziny w południe zobaczyłem na drodze wóz. Jechał w kierunku Tarnopola. Wiózł dwóch rannych żołnierzy. Około piątej–szóstej godziny po południu przyszli do nas „wyswobodziciele". Tego dnia była duża mgła. W wiosce zapanował smutek.*

I jeszcze krótki opis wkroczenia Armii Czerwonej do wsi Tarnopolszczyzny na podstawie wspomnianego już opracowania Anny Zapalec: … *natomiast w Romanówce, pow. Tarnopol, żołnierze Armii Czerwonej rozgłaszali wśród ludności, że idą walczyć z Niemcami. Ludność przekonana, że jest to prawda, witała ich kwiatami.*Za autorką, która powołuje się na protokoły przesłuchania wielu osób, można dodać opis zachowania wojska: *przejeżdżający żołnierze sowieccy mówili, że idą państwu polskiemu z pomocą, wojsko sowieckie rzucało dzieciom cukierki, w miejscowości Jazłowiec, pow. Buczacz, do jednego z polskich żołnierzy jeden z czołgistów Armii Czerwonej krzyczał: „Niech żyje Polska!".* Anna Zapalec pisała również o istnieniu poglądu, iż *jeszcze przed wkroczeniem wojsk ZSRS do Polski rozpoczęła się akcja przerzucania na obszary polskie - z powietrza i przez granice - specjalnych grup NKWD, które wzniecały niepokoje. Wykorzystywały one do tego bezpośrednie kontakty z miejscową ludnością i kolportowały ulotki, w których zapowiadały rychłe wyzwolenie polskich ziem od ucisku narodowego i socjalnego.*

Wkroczenie Rosjan rozpoczęło etap sowieckiej okupacji. Jednak najpierw trzeba jeszcze wspomnieć o losach żołnierzy z Czernielowa, którzy brali udział w wojnie obronnej 1939 roku.

Trudno jednoznacznie powiedzieć, ilu czernielowskich mężczyzn po ogłoszeniu mobilizacji znalazło się w wojsku. Z wspomnień Stefanii Górskiej, z d. Woźniak, wynika, że w sierpniu 1939 r. pięciu żonatych mężczyzn otrzymało powołanie do wojska. Jan Ziemba dodał, że oprócz Karola Ziemby, jego starszego brata, wśród powołanych do wojska w sierpniu 1939 r. z roczników 1910-1912 znaleźli się: Piotr Ruściński, Józef Kozłowski, Franciszek Klepajczuk i jeszcze jeden niezapamiętany z nazwiska czernielowianin.

Bronisława Honc, z d. Ruścińska, nie potwierdziła w korespondencji, by jej brat Piotr Ruściński był zmobilizowany w 1939 r. Jej zdaniem poszedł do wojska dopiero wiosną 1944 r.

Stanisław Gęślowski przypomniał sobie, że do wojska w tym czasie zostali zmobilizowani: Sławek Jacykowski, Michał Kobylny, Jan Paleń, Jan Niebieszczański, Andrzej Gęślowski, Franciszek Żarkowski, Karol Ziemba, Jan Kolasa, Jan Czubko, Franciszek Klepajczuk, Piotr Mielnik „Bogaczyna", Antoni Szełepko, Leon Giemski, Antoni Gęślowski, Tomasz Dochniak. Mobilizacja obejmowała roczniki mężczyzn urodzonych do 1914 r. włącznie. Natomiast urodzeni w roku 1915 byli wtedy w czynnej służbie i automatycznie brali udział w działaniach wojennych. Według Stanisława Gęślowskiego byli to: Stanisław Słoboda „Maksio", Kazimierz Paleń, Józef Mielnik „Bogaczyna", Jan Dochniak.

Ponadto zdaniem Stanisława Gęślowskiego do pomocy policji w Tarnopolu zaangażowano: Jana Błaszkiewicza, Jana Piotrowskiego, Franciszka Żarkowskiego. Czernielowianin dodał też, że w policji w Borkach na początku wojny służył Franciszek Kozłowski. Gdy wkroczyli Rosjanie, przyszedł do domu z karabinem. Szedł przez Błota do majątku, gdzie stacjonowało sowieckie wojsko, zdał karabin i był przez cały czas w domu.

W nawiązaniu do wymienionych przez Stanisława Gęślowskiego dwóch Żarkowskich o imieniu Franciszek na podstawie przekazu rodzinnego można dodać, że Franciszek Żarkowski, syn Karola, urodzony w 1900 r., zwany „Małym", we wrześniu 1939 roku służył jako podoficer w żandarmerii. Po przegranej wojnie wracał do domu. W Tarnopolu przypadkowo spotkał czerwonoarmistę na koniu, który po krótkiej pogoni go aresztował. Został osadzony w tarnopolskim wiezieniu. Wkrótce wszystkich więźniów z Tarnopola, a wśród nich Franciszka Żarkowskiego Sowieci pędzili pieszo w kierunku sowieckiej granicy. Jednak na usilne prośby krewnych, którzy interweniowali u władz sowieckich, gdy dowiedzieli się o niewoli mężów, synów, duża część jeńców, wśród nich kilku czernielowian, w tym Franciszek Żarkowski, zostali zwolnieni i wrócili do domu.

1939 r. Franciszek Żarkowski z żołnierzami swego plutonu, w środku między siedzącymi

Na wiosnę 1944 roku Franciszek Żarkowski został ponownie żołnierzem. Będzie o nim mowa.

Według Marii Cieplak, z d. Piotrowskiej, na wojnę w 1939 r. zostali zmobilizowani: Karol Murmyło, Karol Ziemba, Stanisław Jacykowski i Franciszek Dochniak, który dostał się do niewoli.

Na pierwszym zdjęciu z lewej Jan Błaszkiewicz, na drugim- z lewej Franciszek Żarkowski „Mały”

Z lewej Tomasz Hrycaj

Niżej z lewej Piotr Górski z Rusianówki

Wyżej z prawej Piotr Dziadas, w środku Semko Tkacz, z lewej Franciszek Żarkowski

Niżej z prawej Jan Waldun, rocznik 1895

Marian Dziadas przypomniał o udziale w wojnie swego kuzyna: *Zaraz po wybuchu wojny zrobili pobór, na który poszli niektórzy mężczyźni, a wśród nich kuzyn ze strony matki Jan Kulasa, urodzony około 1910-1913 roku. Kulasa przez pewien czas był w niewoli, wrócił po wojnie.*

O mobilizacji do wojska w sierpniu 1939 r., udziale w kampanii wrześniowej swego ojca Franciszka Jakubiszyna, urodzonego w 1913 r., opowiedziała jego córka Teresa Dudek, z d. Jakubiszyn.

Jak wspomniano, Leon Podleski pisał w *Pamiętniku* o mobilizacji do wojska rządcy i kilku fornali, ponadto o zabraniu z majątku kilku par koni i wozów. W nawiązaniu do tego ostatniego zapisu Stanisław Gęślowski wspomniał, że również gospodarze musieli jechać do Tarnopola z końmi i wozami. Między innymi ich sąsiad pojechał końmi i wozem, a wrócił z batem w ręku i z płaczem.

Na podsumowanie przekazanych wiadomości, można powiedzieć, że z Czernielowa we wrześniu 1939 r. do wojska i innych służb przypuszczalnie było zmobilizowanych trzydziestu kilku do czterdziestu kilku młodych mężczyzn. Zatem informacja Jana Bachalskiego o tym, że prawie z każdej rodziny ktoś został zabrany do wojska w sierpniu-wrześniu 1939 r. wydaje się być nieścisła.

Większość z czernielowskich żołnierzy po klęsce kampanii wrześniowej 1939 r. wróciła do domu. Do szczęśliwców należał między innymi Jan Błaszkiewicz.

Jan Błaszkiewicz, 1939 r.

Opowiadał o tym jego syn Franciszek: *Gdy we wrześniu 1939 roku wybuchła II wojna światowa, to ojciec dostał powołanie i pełnił służbę jako pomoc policji na posterunku w Głęboczku za Tarnopolem. Pilnowali mostów. Był ubrany w ciemne spodnie i zieloną marynarkę. Ale 17 września na nasze tereny wkroczyli Rosjanie, wyłapywali wszystkich, którzy byli w mundurach. I ojciec razem z Antonim Waluszem dostał się do niewoli. Żołnierze rosyjscy całą grupę jeńców prowadzili na wschód, w kierunku Skałatu. W Stupkach ojciec zobaczył znajomą i krzyknął do niej, żeby zawiadomiła w Czernielowie rodzinę - jego i Walusza. Kobieta przekazała wiadomość. Raniutko dziadek Jan Chabza, teść Jana, zabrał swoją córkę Agnieszkę, żonę Jana, i Waluszową, na wóz, wzięli jedzenie i pojechali w stronę Skałatu szukać grupę jeńców. Znaleźli ich na łące, nocowali tam. Z Tarnopola pędzili ich przez trzy dni, nie mieli co jeść i pić. Wodę zdobywali, robiąc dołki w ziemi na łące. Oprócz ojca i Walusza z Czernielowa było jeszcze parę innych osób. Dziadek Jan Chabza w czasie I wojny był na Syberii w niewoli i dobrze znał język rosyjski. Wytłumaczył pilnującym jeńców żołnierzom, że czernielowianie to chłopi, zwykli ludzie, są w mundurach, bo pilnowali porządku. Rosjanie zapytali „jeńców": „Kto jest z tarnopolskiego*

i stanisławowskiego?" Wszyscy się zgłosili i ich wypuścili. Dziadek Chabza i żony Jana Błaszkiewicza i Antoniego Walusza podeszli do swoich, żeby dać im jeść. Wtedy wszyscy rzucili się na przywiezione jedzenie, ojcu została tylko odrobina w ręce. W drodze powrotnej Ukraińcy chcieli zabrać im te mundury.

Nie udało się ustalić, jak duża grupa czernielowian przeszła drogę taką jak urodzony w 1904 r. Ignacy Figiel z Czernielowa Ruskiego, o którym opowiadał jego syn Marian w wywiadzie *Żegnaj, ziemio moja* dla „Gazety Lubuskiej": *Pamiętam, jak w sierpniu 1939 roku ktoś w nocy zapukał do okna. Ojciec pyta: „Kto tam?" I słyszy: „Figiel, wstawaj! Wezwanie na wojnę masz!". Matka w płacz. Ugotowała kilka jajek, słoninę i chleb w torbę dała. Poszedł ojciec na wojnę. Pięć tygodni był, potem polnymi drogami do domów wracali. Bo jakby szli główną w mundurach, to Rosjanie łapali i od razu na Sybir.*

Obozy internowania, niemieckie obozy jenieckie – stalagi

Kilku czernielowian, uczestników wojny obronnej 1939 r. trafiło do obozów internowania w Rumunii i na Węgrzech.

W tym miejscu warto przypomnieć, że po zaatakowaniu Polski przez ZSRR u granic państwa rumuńskiego stanęły tysiące polskich uciekinierów, żołnierzy, ludności cywilnej oraz władze Rzeczpospolitej. Mimo różnych nacisków hitlerowskich Niemiec oraz Związku Radzieckiego Rumunia wyraziła zgodę na ewakuację polskich służb państwowych, armii oraz ludności cywilnej, a w związku z podjętą decyzją o neutralności władze Rumunii oznajmiły Polakom, że władze oraz żołnierze zostaną internowani. Ocenia się, że po 17 września 1939 r. granicę polsko-rumuńską przekroczyło ponad 30 tysięcy osób, z tego 23 tysięcy żołnierzy i oficerów. Oddziały polskie przekraczały granicę głównie w Kutach przez most na Czeremoszu. Inne ważne przejścia graniczne, do których kierowali się uciekinierzy wojskowi i cywilni, to Zaleszczyki na Dniestrze i w pobliżu Śniatynia.

W jednym z internetowych reportaży o tych dniach ucieczki z Polski autor napisał: *Tłumy przestraszonych ludzi na furmankach, z tobołkami, plecakami, walizkami, a obok nich przemykały eleganckie limuzyny dygnitarzy państwowych, dyplomatów, artystów, kupców, biznesmenów. Nie brakowało też przepełnionych do granic możliwości autobusów z omdlewającymi w ścisku pasażerami. Tu i ówdzie przez tłum przedzierali się rowerzyści i motocykliści. Każdy, z możliwym do wzięcia dobytkiem, jechał w kierunku granicy, czym tylko mógł. Im bliżej Zaleszczyk, tym częściej przy rowach i na poboczach mnożyły się porzucone ze względu na brak paliwa limuzyny i inne pojazdy mechaniczne. Stacje benzynowe były właściwie nieczynne, a paliwo zarekwirowało wojsko. Nad głowami uciekinierów bezkarnie szarżowali lotnicy Luftwaffe, bombardując oszołomionych sytuacją nieszczęśników.*

Pierwsza największa fala polskich oddziałów wojska przekroczyła granicę 18 września. W większości zostali oni internowani na południu Rumunii. Polscy żołnierze przebywali w ponad 20 obozach internowania. Znakomita większość zdołała, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, opuścić Rumunię i przedostać się do Francji. Po przystąpieniu rumuńskiego rządu Iona Antonescu do paktu antykominternowskiego władze tego kraju przekazały Niemcom w lutym 1941 r. około 5000 żołnierzy polskich, w tym około 800 oficerów. Żołnierze po przeniesieniu na tereny Rzeszy zostali przymusowo skierowani do prac w przemyśle i rolnictwie, oficerowie trafili do oflagów.

Wśród internowanych w Rumunii znaleźli się młodzi czernielowianie, w tym Karol Ziemba, którego wojenny los na podstawie dokumentów i opowieści rodzinnych przybliżył syn Kazimierz.

Karol Ziemba

Jak wcześniej wspomniano, Karol Ziemba brał udział w wojnie obronnej we wrześniu 1939 r. Był starszym strzelcem 6. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej. Gdy po klęsce wrześniowej podjęto decyzję o wycofaniu polskiego wojska do Rumunii, jego jednostka znajdowała się około 15 września w Tarnopolu i maszerowała na wschód w kierunku Czerniowiec. Przed dalszym marszem udało mu się przyjść do domu, do Czernielowa, pożegnać się z rodziną. Powiedział żonie, że musi się śpieszyć, że idą do Rumunii.

Wraz z innymi znalazł się w obozie internowania w miejscowości Turnu Severin, niemal w linii prostej na zachód od Bukaresztu. Po wojnie opowiadał, że sami żołnierze budowali baraki do zamieszkania w obozie. Podając dane osobowe, początkowo wspólnie z kolegą zgłosił się jako szewc i w dokumentach obozowych został tak zarejestrowany. Ale po pewnym czasie kolega ujawnił, że są rolnikami i pracowali w polu. Gdy Niemcy weszli do Rumunii we wrześniu 1940 r., został przekazany do *Kriegsgefangenenlager* (obozu jeńców wojennych), zwanego też Stalag XVII A w miejscowości Kaisersteinbruch. To był jeden z pierwszych obozów jenieckich na terytorium Rzeszy Niemieckiej, znajdował siew Dolnej Austrii .

***Kriegsgefangenenlager* (Obóz Jeńców Wojennych), zwany też Stalag XVII A, w Kaisersteinbruch**

Wkrótce jako jeniec wojenny z numerem 42 350 znalazł się w Stalagu V B zlokalizowanym w niemieckim Schwarzwaldzie, na obrzeżach miasta Villingen, 40 km od Freiburga, niedaleko od granicy szwajcarskiej. W 1941 roku przebywało tu około 15 tysięcy jeńców wojennych: brytyjskich, francuskich, serbskich, polskich, ukraińskich, rosyjskich. Do 1942 roku byli zatrudnieni głównie w rolnictwie.

Obozy jenieckie w Niemczech

O dalszych losach Karola Ziemby będzie mowa w rozdziale 12.

W obozie w Rumunii znalazł się również urodzony w 1912 r. czernielowianin Franciszek Klepajczuk, brat Michała i Kazimierza. Krótkie wspomnienie o nim przekazała córka Krystyna Kowalczyk, między innymi na podstawie napisanej przez niego *Kroniki* i kilku wywiadów zamieszczonych w dziennikach i czasopismach: „Gromada Rolnik Polski", „Dziennik Ludowy", „Przyjaźń": *Franciszek Klepajczuk w okresie 04.03.1934 r. do 10.10.1935 r. odbywał służbę wojskową w 6. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej we Lwowie. Przeniesiony do rezerwy w stopniu kaprala. Przed wybuchem wojny komendant Związku Strzeleckiego w Czernielowie Mazowieckim. 24 sierpnia 1939 r. otrzymał nagłe wezwanie do stawienia się w swojej macierzystej jednostce. Wykonując rozkaz, pożegnał poślubioną ledwie rok wcześniej żonę Genowefę, z d. Ziemba, córkę Anny i Grzegorza, oraz bliskich.*

Kiedy 1 września 1939 roku bombowce niemieckie obwieściły światu początek II wojny światowej, Franciszek wraz ze swym pułkiem był już w Mościcach koło Tarnowa. Tu swoim działem strącili pierwszy niemiecki bombowiec, broniąc Zakładów Azotowych. Po walkach w różnych miastach jego pułk został skierowany do obrony Warszawy. Nim dotarli do stolicy, ta była okrążona. Przerzucono ich do obrony Lwowa.

W przegranej bitwie o Lwów został ranny. Potem wraz ze swoim oddziałem zmierzał do granicy z Rumunią. W jednym z wywiadów opowiadał, że na granicy rumuńskiej widział, jak trzech oficerów zastrzeliło się. Wspominał też o bombardowaniu cukrowni koło Czerniowiec. Prawdopodobnie wtedy w czasie bombardowania w wyniku ponownej kontuzji stracił przytomność i odzyskał ją dopiero w rumuńskim szpitalu w Targu Jiu. Stąd wkrótce został przeniesiony do obozu dla internowanych w Turnu Severin. Próbując ucieczki z tego miejsca, został schwytany i zamknięty w warowni Fagaras, wykorzystywanej w czasie wojny jako więzienie dla internowanych polskich żołnierzy. Uwolniony po sześciu miesiącach wraz z innymi Polakami ponownie trafił do obozu.

Franciszek Klepajczuk

Gdy po wkroczeniu Niemców do Rumunii żołnierze Września zostali przeniesieni do niemieckich obozów jenieckich, Franciszek Klepajczuk trafił do obozu na terenie Austrii, za drutami kolczastymi w warunkach typowych dla niemieckich obozów. Po jakimś czasie został skierowany do pracy w gospodarstwie bauera. Zachowały się dwa zdjęcia z 1941 roku dokumentujące jego zatrudnienie w tym miejscu. Według przekazu rodzinnego w maju 1942 roku został zwolniony z niewoli niemieckiej. Jako robotnik cywilny pracował na dworcu kolejowym w Wiedniu.

Jak można przeczytać w jednym z internetowych artykułów *Historia nieznana*, jeńcom wojennym oferowano możliwość dobrowolnej zmiany statusu z jeńca na robotnika cywilnego. I tak mogło się zdarzyć w przypadku Franciszka Klepajczuka. Z pomocą Polaków jadących na urlop do Polski, a zatrudnionych na przymusowych robotach u Niemców, przedostał się do Krakowa. Stąd pieszo dotarł do Tarnopola, a później do domu rodzinnego. Jego wojenne losy będą opisane w dalszej części.

Internowanie, ale na Węgrzech, przeżył urodzony w 1913 r. mieszkaniec Czernielowa Franciszek Koryluk. Był jednym z ponad 40 tysięcy polskich żołnierzy (w tym około 5400 generałów i oficerów), którzy do końca października 1939 r. przekroczyli granicę węgierską i zostali rozmieszczeni w dziesiątkach obozów dla internowanych. Na podstawie rodzinnych pamiątek opowieść o jego wojennych przeżyciach przekazali w czerwcu 2017 r. Zbigniewowi Woźnemu jego synowie Julian i Jan Korylukowie, przypominając na wstępie, że Franciszek Koryluk od 15.03.1936 r. do 15.10.1937 r. służył w 54. Pułku Piechoty w Tarnopolu, w plutonie łączności, gdzie zapoznano go z wykorzystaniem gołębi pocztowych i psów do przenoszenia informacji. Czernielowianin otrzymał stopień wojskowy strzelca. Oto jak Julian i Jan Korylukowie opisali losy swego ojca:

Franciszek Koryluk

We wrześniu 1939 roku nasz ojciec ze swoim 54. Pułkiem Piechoty udał się na Węgry. Bał się dostać do sowieckiej niewoli. Tam został internowany przez władze węgierskie w obozie w miejscowości Sárvár. Znalazł pracę jako woźnica w okolicznym majątku (Rababogyoszlo - dop. Z.W.) *należącym do węgierskiego dziedzica. Na początku skierowano go do powożenia wołami, ale nigdy nie miał do czynienia z tego typu powożeniem i nie umiał powozić takim zaprzęgiem, więc zrezygnował z tej pracy. Dla swoich kolegów, którzy pozostali w obozie internowania, podkradał z piwnicy dziedzica wino i im je zanosił. W czasie pobytu na Węgrzech został poinformowany listownie o śmierci w Czernielowie Mazowieckim swojego ojca.*

Internowani żołnierze polscy w obozie wSárvár na Węgrzech, w drugim rzędzie pierwszy z prawej Franciszek Koryluk

W obozie internowanych. Franciszek Koryluk siedzi na ławce pierwszy z prawej

W obozie dla żołnierzy internowanych na Węgrzech, drugi z lewej Franciszek Koryluk

Polscy żołnierze w niewoli niemieckiej. Wśród jeńców Andrzej Ziemba

Franciszek Koryluk jako stangret w majątku Rababogyoszlo koło Szombathely

Przed siedzibą węgierskiego dziedzica w Rababogyoszlo

Franciszek Klepajczuk na robotach w Niemczech po internowaniu w Rumunii

Pracując w majątku, zapoznał się z najnowszą techniką. Znał się na obsłudze maszyn napędzanych prądem (młocarni, sieczkarni, śrutownika, obsłudze silników elektrycznych). Tam spędził całą wojnę. Nauczył się bardzo dobrze mówić po węgiersku. Pobyt na Węgrzech dobrze wspominał. Gdzieś w 1944 roku został załadowany do wagonów towarowych i miał być wywieziony z innymi polskimi internowanymi do Niemiec na roboty. Ojciec wraz z dwoma innymi Polakami uciekł z tego transportu.

Fakt pobytu Franciszka Koryluka wraz z innymi polskimi żołnierzami w obozie internowania potwierdzają zachowane grupowe zdjęcia z obozu.

Tablica na kościele św. Władysława I w Sárvár

Wśród pamiątek rodziny Koryluków przechowywane jest również zdjęcie pamiątkowej tablicy z napisem w języku wegierskim i polskim na zewnętrznej ścianie kościoła św. Władysława I w Sárváro treści: *W kościele tym modlili się polscy żołnierze internowani do Boga o wolność Ojczyzny i chwałę Węgier w latach 1939 -1944*

Temat internowania polskich żołnierzy i pomocy dla ludności cywilnej przybliża artykuł Kazimierza Stasierskiego pt. *Polscy uchodźcy na Węgrzech w latach 1939-1945* publikowany w „Przeglądzie Historycznym", t. 52, zeszyt 2.

Trudno powiedzieć, ilu w sumie żołnierzy pochodzących z Czernielowa dostało się już na początku września do niewoli niemieckiej. W takiej sytuacji znalazło się kilku mieszkańców Smykowiec, w tym Władysław Górski (kuzyn dziadka autorki), Grzegorz Kuchmister, Piotr Postoł, którzy po przegranej bitwie pod Piotrkowem Trybunalskim trafili do niemieckiego obozu, a później przez cały okres wojny przebywali w miejscowościach położonych koło Stuttgartu – Pleidelsheim, pracując w gospodarstwach rolnych.

Z czernielowian do niewoli niemieckiej we wrześniu 1939 r. został wzięty Franciszek Jakubiszyn. Zapisy w książeczce wojskowej przekazanej przez córkę Teresę Dudek pokazują, że służbę wojskową odbył od marca 1937 roku do września 1938 r. w 54. Pułku Piechoty w Tarnopolu, gdzie jako strzelec był przydzielony do 2. kompanii strzeleckiej. W 1939 r. przez 4 tygodnie uczestniczył w ćwiczeniach wojskowych jako strzelec rezerwista, a 28 sierpnia 1939 r. został zmobilizowany do 54. pp i brał udział w kampanii wrześniowej. 20 września trafił do niewoli niemieckiej.

Po kilku dniach, 28 września, szczęśliwie udało mu się uciec z niewoli i wrócił do domu, do Czernielowa.

Jak wynika z przytoczonego wcześniej fragmentu wspomnień, do niewoli niemieckiej, a potem do obozu w Przeworsku trafił Józef Mielnik „Bogaczyna". Miejscową cukrownię zamieniono na przejściowy obóz jeniecki. Naoczni świadkowie stwierdzili, że przez teren cukrowni i inne pomieszczenia w tym czasie przewinęło się ponad 20 tysięcy jeńców wojennych. Autor wspomnień *Żołnierski chleb* tak opisał krótki pobyt w niewoli i udaną ucieczkę: *Tam na placu w cukrowni urządzono obóz jeniecki. W tym obozie byłem trzy dni. Niemcy jeść nie dawali, tylko na trzeci dzień przywieźli furmankami konnymi ziemniaki surowe prosto z pola i gralami rzucali za druty, robiąc równocześnie zdjęcia jeńcom walczącym między sobą o złapanie chociaż jednego ziemniaka. Pamiętam, jak leżałem na spodzie przyciśnięty przez innych i o mało nie wyzionąłem ducha.*

Rozpacz była wielka dla nas, bo już za drutami dowiedzieliśmy się całej prawdy o naszej sytuacji i o błędach naszych przywódców i o tych, co mieli Polsce pomagać, walczyć z Niemcami. Ale pomimo tego nadzieja była, że Polska, nasza Ojczyzna, będzie wolna.

Na czwarty dzień Niemcy dzielili nas na grupy i w różnych kierunkach wywozili do Niemiec. W okolicach Krakowa udało się mi zbiec z pociągu z dwoma kolegami. Schowaliśmy się w słomie w stodole. Na drugi dzień przyszła gospodyni do tej stodoły, pokazaliśmy się jej i poprosiliśmy o kawałek chleba. Powiedziała, żeby poczekać i nie pokazywać się, bo Niemcy mogą nas złapać i nas ukarać. Przyniosła chleb i kaszę jaglaną, bardzo smaczna była. Potem przyszedł jej brat i podpowiedział którędy mamy iść, tylko żeby nie głównymi drogami.

Ryzyko wielkie, przecież tak daleko nasze strony rodzinne i granica między Niemcami i Związkiem Radzieckim na Sanie. Jeden z towarzyszy niedoli, ja i mój drugi kolega ze Lwowa postanowiliśmy za wszelką cenę przedostać się na wschód. Byliśmy zdania i wierzyliśmy w to, że Hitler Polską się nie zadowoli i czy prędzej, czy później może przyjść ta chwila dziejowa i tę wolność odzyskamy. Gdy w naszej wędrówce dobiliśmy do Jarosławia, do Radymna, tu na Sanie była już granica. Jak dostać się na drugi brzeg Sanu? Był to bardzo ciężki problem, bo można byłoby przejść przez most, ale mówiono nam, że na moście z jednej strony, a na drugiej to tak samo łapią do niewoli. Dwa dni i noc czekaliśmy na jakąś okazję. Na trzecią noc padał silny deszcz i nam jeden przewodnik powiedział którędy najlepiej przejść i mundur trzeba zrzucić. Przebrnęliśmy przez San w ciemną noc. Wody nalało się nam wszędzie, przemokliśmy tak, że nie było na nas jednej suchej nitki. Słyszeliśmy szczekanie psów z niemieckiej straży granicznej, ale los nam dopisał i szczęśliwie znaleźliśmy się na drugiej stronie Sanu i tu też jakoś szczęśliwie udało się przejść przez strzeżoną strefę graniczną. Gdy zrobił się dzień, to byliśmy coraz to dalej od tej zielonej granicy i tu zobaczyliśmy czerwonoarmiejców. No cóż, w tym czasie, to zdawało się nam, że znajdziemy się znów w niewiadomym miejscu z naszej wspólnej

ucieczki z niewoli. Czuliśmy się nieswojo, choć niedawno te ziemie były polskie. I tak zmierzaliśmy w kierunku Lwowa. Gdy dobiliśmy w lasy Janowa Lwowskiego, spotkaliśmy na drodze samochód ciężarowy. Jechał nim radziecki żołnierz do Lwowa. Prosiliśmy go, aby nas zabrał, zgodził się nas wziąć. Gdy jechaliśmy tym samochodem, mówiliśmy do siebie, że z jednej niewoli uciekliśmy, a do drugiej sami przyszliśmy. Skóra nam cierpła ze strachu, samochód pędził szybko, nigdzie się nie zatrzymywał. I tak dojechaliśmy do Lwowa. Mój kolega niedoli i tułaczki był jak w domu, znał tu każdy zakątek, każdą ulicę. I tak zaszliśmy do jego domu. Przenocowałem i odpocząłem. Na drugi dzień zaprowadził mnie na główny dworzec kolejowy, skąd pojechałem koleją do Tarnopola, a stamtąd pieszo do Czernielowa Mazowieckiego, do swojej rodziny. Po przywitaniu się z rodzicami i rodzeństwem zapłakałem. Moja matka też zalała się łzami z radości, że zdrów wróciłem. Pytała, skąd wróciłem, przecież wojna skończyła się więcej niż miesiąc temu.

W wojnie obronnej 1939 r. brał udział i w niewoli niemieckiej znalazł się również Józef Żarkowski, syn Karola i Tekli z Rejfurów, który w latach 1926-27 odbył służbę wojskową w Tarnopolu i otrzymał stopień wojskowy strzelca. Kilka zdań wspominających Józefa Żarkowskiego napisał jego wnuk Zbigniew Woźny*: Dziadzio został zmobilizowany w 1939 roku. Służył przy karabinach maszynowych. Wrzesień 1939 roku miał być bardzo upalny i w studniach brakowało wody... Oddział, w którym dziadzio służył, dostał się do niewoli niemieckiej w okolicy Radomia. Dziadzio Józef wspominał swój pierwszy dzień w niewoli niemieckiej. Tego dnia padał ulewny deszcz. Żołnierze siedzieli pod gołym niebem na ziemi i mokli na deszczu. Jeden z żołnierzy niemieckich (Ślązak) podszedł do dziadzia i po polsku powiedział: „Proszę pana, niech pan da menażkę, ja panu przyniosę coś dobrego". W niewoli przebywał parę miesięcy.*

Zbigniew Woźny przytoczył też anegdotę związaną z pobytem jego dziadka, Józefa Żarkowskiego w niewoli: *Wśród osadzonych po paru tygodniach (miesiącach) rozeszła się pogłoska, że będą zwalniać szeregowców Ukraińców, którzy pochodzą z terenów okupowanych przez ZSRR. Dobry kolega dziadzia, Ukrainiec, poradził mu, aby się podał za takowego i skorzystał z możliwości zwolnienia z obozu jenieckiego. Sprawa wydawała się bardzo prosta. Ukraińscy nacjonaliści zwietrzyli jakiś podstęp i postanowili zweryfikować kandydatów do zwolnienia. Wpadli na bardzo prosty, ale genialny pomysł: sprawdzenie znajomości pacierza. Każdy z jeńców, który chciał być zwolniony, poddany został egzaminowi ze znajomości katechizmu. Mój dziadzio znał treść Modlitwy Pańskiej w języku ukraińskim, gdyż jego mama była ochrzczona w cerkwi. Okazało się, że to była pierwsza część egzaminu. Gorzej było z drugą częścią egzaminu – z przeżegnaniem się, gdyż uczynił to według rytu łacińskiego, a nie bizantyjskiego, co nie uszło bystrej uwadze samozwańczych „katechetów".*

Takich żołnierzy, którzy oblali egzamin, było ponoć kilkuset. Zostali zatrzymani w obozie na dłużej, a po pewnym czasie zwolnieni i mogli wrócić do swoich domów. Józef Żarkowski powrócił do Czernielowa.

Zbigniew Woźny na zakończenie dodał*: Egzaminy ze znajomości katechizmu były powszechnym sposobem weryfikowania narodowości w czasie drugiej wojny światowej przez różne siły polityczne.*

To pokrótce omówione losy tylko kilku żołnierzy z Czernielowa powołanych do wojska i broniących Ojczyzny we wrześniu 1939 r. O losach pozostałych żołnierzy Września pamięć przetrwała w ich rodzinach i warto jeszcze o nich opowiedzieć.

Pamięć Stanisława Gęślowskiego odnotowała nazwiska kilku czernielowian, którzy nie wrócili z wojny w 1939 r.: Jana Kolasy, Franciszka Żarkowskiego, Jana Czubki i Kazimierza Palenia. Ten ostatni był w Korpusie Ochrony Pogranicza w Cieszynie. Gdy wybuchła wojna prawdopodobnie został zabity i słuch o nim zaginął. Natomiast pozostali przeżyli wojnę. Zaraz po zakończeniu wojny wrócił do Polski Jan Kolasa, w 1948 r. do brata Jakuba w miejscowości Rurka koło Chojny przyjechał Franciszek Żarkowski, w Anglii po wojnie pozostał Jan Czubko.

Na stronie internetowej www.straty.pl odnaleziono informacje o pobycie kilku innych czernielowskich żołnierzy po kampanii wrześniowej 1939 r. w niemieckich obozach jenieckich dla szeregowców i podoficerów, tak zwanych stalagach. (niem. skrót od *Stammlager für kriegsgefangene Mannschaften und Unteroffiziere*).

I tak: Wspomniany przez Stanisława Gęślowskiego Jan Kolasa, który urodził się w Czernielowie 21.05.1911 r., zarejestrowany według danych Polskiego Czerwonego Krzyża jako kanonier, artyleria, przebywał w Stalagu XI B, nr jeńca 4895. Na karcie jenieckiej jest stempel z datą 15.06.1940 r. Według *Wikipedii* Stalag XI B to obóz położony na wschód od miasta Fallingbostel w Dolnej Saksonii, w północno-zachodnich Niemczech. Został wybudowany w 1937 r. jako kwatera dla robotników budujących koszary w pobliskim Westlager. We wrześniu 1939 r. chatki zostały ogrodzone i oznaczone Stalag XI B. Pierwszymi więźniami byli Polacy, którzy przybyli tu w 1939 r., a w następnym roku Holendrzy, Francuzi i Belgowie. Pod koniec 1940 r. zarejestrowano tam około 40 000 jeńców wojennych, chociaż tylko około 2 500 z nich było zakwaterowanych w obozie, większość przydzielono do różnych *Arbeitskommando,* czyli obozów pracy w okolicy. W tym właśnie obozie został zarejestrowany Jan Kolasa. Prawdopodobnie pracował w jednym z pobliskich gospodarstw.

O pracy w obozach na podstawie jednego z internetowych artykułów z cyklu *Historia nieznana* można dodać: *Obowiązek pracy w obozach jenieckich dotyczył podoficerów i szeregowców, jednak skierowanie zależeć miało od stanu ich zdrowia. Zatrudniani mieli być tylko jeńcy zdrowi, a funkcje nadzorcze sprawować*

podoficerowie. Za pracę należała się jeńcom zapłata, a w tygodniu jeden dzień wolny. Konwencja genewska zakazywała także wykorzystywania jeńców wojennych do pracy przy instalacjach o charakterze wojskowym. Mimo to pozostający w niewoli żołnierze byli zatrudniani na poligonach, przy produkcji amunicji, budowie lotnisk. Zmuszano ich także do pracy w majątkach rolnych, przy grzebaniu zwłok. Oferowano jeńcom możliwość dobrowolnej zmiany statusu na robotnika cywilnego. Wynagrodzenie wypłacane było w tzw. lagermarkach, wprowadzonych do obiegu obozowego w 1939 roku. Po 1943 roku, w związku z zapotrzebowaniem na siłę roboczą, władze nakazywały łagodniejsze traktowanie żołnierzy pozostających w niewoli.

O Franciszku Żarkowskim, synu Wawrzyńca, urodzonym w Czernielowie 8.02.1914 r. na podstawie danych zgromadzonych przez Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu na www.straty.pl zarejestrowano między innymi informację o adresie rodziny: Józefa Żarkowska, Czernielów.

Ponadto zapisano, że Franciszek Żarkowski jako strzelec 54. pp był uczestnikiem walk kampanii wrześniowej. Do niewoli trafił 10.09.1939 r. w Kuniowej (Kunowo). Miał numer jeniecki 4303. Figurował na stanie Stalagu V C w Wildbergu, filii obozu w Offenburgu, dokąd później przeniesiono siedzibę obozu. Odnotowano również kolejne miejsca osadzenia w obozach jenieckich: od 26.06.1940 r. Stalag V A w Ludwigsburgu i przeniesienie w dniu 1.06.1942 r. ze Stalagu V D ze Strassburga do V C w Offenburgu. 17.09.1944 r. Franciszek Żarkowski został przeniesiony do Stalagu XII A w Limburgu.

Franciszek Żarkowski

Podobnie dużo informacji na www.straty.pl odnotowano o Janie Czubce, synu Aleksandra, urodzonym w Czernielowie 10.11.1914 r. On również brał udział w kampanii wrześniowej i jako szeregowy strzelec 54. pp został wzięty do niewoli. Stało się to w Ostrowcu 11.09.1939 r. Według danych PCK i Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu z numerem jenieckim 728 figuruje na stanie Stalagu V C, miejsce osadzenia Offenburg. Następnymi jego obozami jenieckimi były: Stalag VIII A w Görlitz, Stalag XII D wTrewirze, od 16.10.1940 r. Stalag V E wMülhausen, od 31.01.1942 r. Stalag V D w Strasburgu i od 01.06.1942 r. Stalag V C w Wildbergu-Offenburgu.

Poza wzmianką Stanisława Gęślowskiego o zamieszkaniu po wojnie w Anglii późniejsze losy Jana Czubki nie są znane.

W tym samym czasie i w tym samym miejscu co Franciszek Żarkowski, bo 10.09.1939 r. w Kuniowej do niewoli niemieckiej trafił Jan Pasiecznik, syn Marii

i Andrzeja, według www.straty.pl urodzony w Czernielowie 12.02.1915 r. został zarejestrowany w Stalagu V C w Wildbergu, przebywał w Stalagu V A w Ludwigsburgu, miał numer jeniecki 4301. Odnotowano, że został zwolniony z obozu 8.08.1940 r. Potem do 1945 r. pracował jako robotnik przymusowy w Buesch (prawdopodobnie nazwa fabryki). Podano też dodatkowe informacje: Z.P. –Gemeinde Marenfels (Marienfeld?) oraz że przeżył, zmarł 8.09.1998 r.

Na stronie o stratach osobowych i osobach represjonowanych są dane o pochodzącym z Czernielowa Jakubie Maliszkiewiczu, synu Wawrzyńca. Urodził się 7.10.1909 r. W czasie wojny obronnej służył jako strzelec w 54. pp. Przebywał w Stalagu V A w Ludwigsburgu jako jeniec wojenny. Nosił numer jeniecki 4304 i prawdopodobnie do niewoli niemieckiej został zabrany z Kuniowej, razem z wymienionymi wcześniej Franciszkiem Żarkowskim i Janem Pasiecznikiem, którzy mieli numery jenieckie 4303 i 4301 i też przebywali w Stalagu V A. Następnie Jakuba Maliszkiewicza 24.06.1941 r. skierowano do gminy Walkenweser, być może do pracy w gospodarstwie. Dalsze jego losy nie zostały zarejestrowane.

Ponadto na stronie www.straty.pl wyszukano dane o Franciszku Dochniaku. Czernielowianin ur.11.11.1915 r. (źródło: PCK) jako strzelec 51. Pułku Piechoty Strzelców Kresowych z Brzeżan po wzięciu do niewoli niemieckiej nosił numer jeniecki 5431. Jego droga jeniecka wiodła przez Stalag XVII A w Kaisersteinbruch, skąd 1.09.1941 r. został przekazany do Stalagu XII B w Frankenthal w Nadrenii-Palatynacie, a następnie do Stalagu XII F w Forbach.

Nie wiadomo, jakie były jego dalsze losy wojenne. O prawdopodobieństwie jego śmierci poinformowała siostrzenica Kazimiera Ochendowska. W 2016 r. na podstawie relacji jej mamy Marii przekazała kilka informacji o Franciszku Dochniaku: *Gdy wybuchła wojna mój wujek Franciszek (ur. 1915), a mamy brat, był w czynnej służbie wojskowej. Wujek poszedł na wojnę i nie wrócił z lagrów niemieckich. Raz w miesiącu dostawali od niego listy, przychodziły nie w kopertach, ale były składane w cztery podłużne części, które były wkładane jak jedna kartka w drugą. Mama pamięta, że wujek pisał, iż nie ma co jeść, tak jak zając wypuszczony na pustynię. Pisał też, że może sobie polepszyć i być Niemcem oddelegowanym na gospodarstwa niemieckie do roboty. Dziadek mu napisał, że ma tak zrobić, a on napisał, że nigdy tak nie zrobi, gdyż urodził się Polakiem, jest Polakiem i umrze jako Polak. Po wojnie moja mama wspólnie z ojcem przez Polski Czerwony Krzyż długo poszukiwali wujka Franka, ale bez skutku. Dowiedzieli się tylko, że uciekł z lagru, został złapany przez Niemców na granicy i wtrącony do bardzo ciężkiego lagru, gdzie oślepł. Nie wiadomo, czy został zastrzelony, czy podczas interwencji amerykańskiej armii lagier został zbombardowany i wtedy zginął. Więcej informacji o nim moja mama i dziadek nie otrzymali.*

Kolejnym czernielowianinem przebywającym w niemieckich obozach jenieckich był Tomasz Dochniak. Urodzony w Czernielowie 10.08.1913 r. (25.08.1913), szeregowiec 54. pp, jako jeniec wojenny został zaewidencjonowany pod numerem 7106. Figuruje na stanie Stalagu 5 E w Mülhausen, Stalagu V C w Offenburgu i Stalagu VIII B w Lamsdorf. Następnie 1.06.1940 r. został przeniesiony do Stalagu V B w Villingen, 31.01.1942 r. przekazany do Stalagu V D w Strasburgu i 1.06.1942 r. przeniesiony do Stalagu V C w Wildbergu-Offenburgu. Dalszych losówTomasza Dochniaka również nie ustalono.

Następnym jeńcem w obozie niemieckim zarejestrowanym na www.straty.pl jest Bartłomiej Hrycaj, syn Wincentego i Marii. Urodził się w Czernielowie 25.03.1910 r. Do niewoli trafił we wrześniu 1939 r. Według informacji przekazanej przez Urząd ds. Kombatantów przebywał w obozie jenieckim (brak numeru i nazwy miejscowości), zwolniony 1.07.1940 r. Zmarł w 1977 r.

Wśród objętych represjami pojawił się urodzony 1.03.1914 r. Józef Hrycaj, syn Eliasza i Magdaleny. Ale ze względu na brak miejsca urodzenia nie ma pewności czy to czernielowianin. Józef Hrycaj do niewoli został wzięty w 1939 r., do pracy przymusowej w rolnictwie, w miejscowości Kleinpoezna koło Lipska trafił w 1940 r. i przebywał tam do 1945 r.

Na www.straty.pl znalazł się też urodzony 30.08.1917 r. (lub 1915) w Czernielowie (Czernichowie) Stanisław Pałentka. W jego przypadku odnotowano, że w czasie kampanii wrześniowej był w 51. pp. Jako jeniec wojenny z numerem 664 znalazł się w Stalagu XII B w Frankenthal w Nadrenii-Palatynacie. Następnie 10.10.1940 r. przybył do Stalagu XII A w Limburgu. W ewidencji strony odesłano też bez komentarza do karty jenieckiej Gedeonow Paweł. Ponadto na podstawie International Tracing Service (ITS) in Bad Arolsen odnotowano, że Stanisław Pałentka był deportowany na roboty do III Rzeszy. Ze względu na różne daty urodzenia być może chodzi o dwie różne osoby.

Na stronie strat osobowych i osób represjonowanych odnaleziono urodzonego w Czernielowie 28.04.1914 r. Jana Walduna, syna Antoniego i Józefy. Do niewoli trafił w październiku 1939 roku, przebywał w Stalagu III A w Luckenwalde w Brandeburgii i VIII B w Lamsdorfie. Z niewoli został zwolniony w kwietniu 1942 r. Był w czernielowskiej placówce AK. Będzie o nim mowa.

I jeszcze o zerejestrowanych na www.straty.pl dwóch jeńcach o nazwisku Andrzej Ziemba. Pierwszy - syn Andrzeja i Anny, urodził się w Czernielowie 1.07.1913 r. Do niewoli został wzięty 10.09.1939 r. Przebywał w obozie jenieckim (bez nazwy) do 1.04.1945 r. Zmarł 20.01.1968 r.

Drugi Andrzej Ziemba, syn Piotra i Magdaleny, wg FPNP urodził się w Czernichowie (lub Czernielowie) 19.11.1911 r., do niewoli został wzięty we

wrześniu 1939 r. Trafił do w Stalagu XI B w Fallingbostel, gdzie przebywał do maja 1941. Jego dalsze losy nie zostały odnotowane. Zmarł 29.01.1992 r.

Z pewnością nie jest to pełna lista mieszkańców Czernielowa, którzy po przegranej wojnie obronnej 1939 roku trafili do niemieckich obozów dla jeńców wojennych. Ze względu na niekompletność danych w bazie osób represjonowanych bliższe informacje i pamięć o nich pozostały w rodzinach.

Sowieckie jenieckie obozy pracy

Losy polskich żołnierzy, którzy znaleźli się po 17 września 1939 r. w Tarnopolskiem i w ogóle na wschodnich terenach Rzeczpospolitej zostały przesądzone. Wojskowi, jeśli nie udało się im zbiec, stawali się jeńcami wojennymi. Wiele polskich jednostek w taki właśnie sposób zakończyło swój szlak bojowy, a mieszkańcy Tarnopolszczyzny obserwowali rozbrojonych żołnierzy prowadzonych pod strażą, w pieszych kolumnach najpierw do obozów przejściowych, z których następnie piechotą, samochodami lub koleją przewożono ich za Zbrucz do punktów zbiorczych w miejscowościach: Olewsk, Szepietówka, Wołoczyska, Jarmolińce, Kamieniec Podolski.

Obóz jeniecki w Brodach założony pod koniec września 1939 r. początkowo jako przejściowy w rzeczywistości stał się obozem rozdzielczym. Część przebywających w nim jeńców, zamieszkałych na terenach Polski zajętych przez ZSRS zwolniono, oficerów i policjantów w połowie października wywieziono w głąb ZSRS, a obóz zamieniono na jeniecki obóz pracy.

Na terenie Tarnopolszczyzny istniało około 25 jenieckich obozów pracy. Są one wymienione w opracowaniu Anny Zapalec *Ziemia tarnopolska*…. Źródłem informacji, jak podaje autorka, był artykuł Jacka Pragi *Obozy dla polskich jeńców wojennych na wschodzie* z publikacji pod redakcją Stanisława Jaczyńskiego pt. *Obozy jenieckie NKWD IX 1939-VIII 1941*.

Żołnierze przebywający w jenieckich obozach pracy pracowali najczęściej w kamieniołomach. Anna Zapalec opisuje ich sytuację jako złą ze względu na warunki życia i pracy. Jako przykład podaje obóz w Busku, powiat Kamionka Strumiłowa: *Obóz dla około 1000 żołnierzy urządzono w stajniach pomieszczeń folwarcznych, dostosowując je do przetrzymywania ludzi. Spali oni na pryczach pobudowanych z drzewa, na które rzucono tylko słomę. Teren obozu był otoczony dwumetrowym murem i stajniami. Po posiłki jeńcy wychodzili z obozu do innego kompleksu budynków, otoczonych też wysokim murem. Jedzenie w środku dnia dostarczano na trasę prac prowadzonych poza obozem.*

W październiku 1939 roku zdarzyły się przypadki ucieczek jeńców, pomimo że przez cały czas pilnowali ich wartownicy. Był ktoś, kto ucieczki organizował, czyli

przyjmował zgłoszenia, ustanawiał kolejność, pilnował czasu, zawiadamiał i wskazywał trasę. Początkowo łatwo było ukryć uciekających, gdyż inni przetrzymywani pobierali za nieobecnych posiłki i chleb. W końcu jednak straż obozowa zauważyła braki w stanie osobowym i zwiększyła nadzór nad jeńcami. W późniejszym okresie zdarzały się ucieczki z terenu pracy poza obozem. Z upływem czasu życie jeńców stawało się coraz bardziej uciążliwe (...) Jeńcy z obozu w Busku, którzy budowali drogę, musieli pokonywać coraz dalsze trasy do miejsca pracy. W grudniu szli tam i z powrotem około 5 godzin dziennie. Praca ich polegała na wykopie i przerzutach ziemi oraz na budowie nasypów. Później wyładowywali także bloki kamienne z wagonów kolejowych, ładowali na ciężarówki i rozładowywali w pobliżu budowanej drogi. Tam je tłuczono i układano kruszywo na drogę (...) W zimie 1939 roku jeńcy pracowali w typowych ubraniach wojskowych: płaszcz wojskowy, mundur sukienny, zwykła lniana koszula, które nie chroniły przed zimnem. Pracowano w temperaturze od minus 10 do minus 20 st. Celsjusza.

We wspomnianym wykazie obozów dla polskich jeńców wojennych znajduje się zapis o obozie w Czernielowie Ruskim. Istniał od czerwca 1940 do czerwca 1941 r. Przeszło przez niego około 1200 jeńców, pracowali przy budowie szosy. W tym samym wykazie wymieniona jest również Romanówka, lecz nie w powiecie tarnopolskim, a w powiecie skałackim.

Krótka notka o karnym obozie sowieckim dla jeńców polskich w Czernielowie Ruskim, wsi nad Gniłą, na wschód od Tarnopola znajduje się pod hasłem Czarnolew Ruski w 31. tomie *Wielkiej encyklopedii powszechnej* z 2005 r. Odnośnie czasu trwania obozu oraz liczby jeńców podano te same informacje co w artykule Jacka Pragi. Ponadto napisano, że kierowano do niego osoby uznane przez władze sowieckie za niebezpieczne, jeńcy byli zmuszani do niewolniczej pracy.

Obydwie informacje o istnieniu obozu są nieścisłe, ponieważ w rzeczywistości obóz był usytuowany nie w Czernielowie Ruskim, lecz w Czołhańszczyźnie.

Funkcjonowanie obozów pracy jeńców wojennych w pobliżu Czernielowa Mazowieckiego wspominają byli mieszkańcy Czołhańszczyzny i Romanówki, dziś osoby starsze, a wtedy jeszcze dzieci.

O obozie w Czołhańszczyźnie dla potrzeb niniejszego opracowania napisał urodzony w tej wsi w 1931 r. Marian Kubiszyn: *Jeśli chodzi o obóz jeniecki w Czernielowie Ruskim, to odkąd sięgam pamięcią, to tam takiego obozu nie było, bo niby gdzie on by się mógł mieścić? W Czołhańszczyźnie był obóz z polskimi jeńcami wojskowymi na folwarku do 22 czerwca 1941 r. Ilu ich było to trudno powiedzieć, ale pamiętam, jak dwa samochody codziennie woziły ich do pracy do Borek Wielkich. Pracowali na drogach i na kolei. Kiedy Rosjanie odstawiali ich na wschód po wybuchu konfliktu niemiecko-rosyjskiego, to pamiętam, dwóch Polaków uciekało przez łąki do Czernielowa Mazowieckiego, a rosyjski oficer na koniu strzelał za nimi.*

Polscy żołnierze jeńcy konwojowani do kolejowych punktów załadunku za granicą polsko-sowiecką, wrzesień 1939 r.

Wyżej i niżej – kolumny polskich wojskowych, cywilów i funkcjonariuszy prowadzeni przez żołnierzy Armii Czerwonej, wrzesień 1939 r.

W korespondencji z lutego 2016 r., wspominając wkroczenie Rosjan w 1939 r., Marian Kubiszyn wątek o obozie w Czołhańszczyźnie uzupełnił: *Za jakiś miesiąc lub dwa od wkroczenia Armii Czerwonej, przywieźli Rosjanie na folwark jeńców wojennych, polskich szeregowych. Według mojej oceny mogło ich być około 100. Kwaterowali w stajni, a kadra dowódcza rosyjska w pokojach pańskich, a niektórzy*

podoficerowie rosyjscy wynajęli sobie mieszkania na wsi. Ich mogło być około 30. Jeńcy codziennie dojeżdżali do pracy do Borek i tam byli wysyłani do prac na kolei lub na drogi główne.

Polskich żołnierzy na folwarku w Czołhańszczyźnie i oborę ogrodzoną drutem widział z drogi, gdy jechał z ojcem furmanką z Czernielowa Mazowieckiego do Borek, nastoletni wówczas Franciszek Błaszkiewicz.

Urodzony w 1924 roku Stanisław Gęślowski opowiedział, że będąc wtedy 15-letnim chłopcem, chodził do obozu w Czołhańszczyźnie pomagać robić ogrodzenie, a także stawiać prycze w oborach. Wspomniał, że jeńcy opiekowali się bocianem, który na zimę nie odleciał do ciepłych krajów.

Informację o obozie w Czołhańszczyźnie na folwarku pana Glogiera i pracy jeńców przy budowie szosy przekazała również Maria Cieplak, z d. Piotrowska, do wczesnej młodości mieszkanka Czernielowa Mazowieckiego, a po wyjściu za mąż – Czołhańszczyzny.

Natomiast istnienie obozu pracy jeńców w Romanówce, położonej kilka kilometrów na wschód od Czernielowa, potwierdził Adam Balik: *Na kilka godzin przed wkroczeniem Rosjan we wrześniu 1939 roku do Romanówki, właścicielka folwarku z córką kazała się odwieźć furmanką do Tarnopola. Na tym folwarku urządzono kołchoz, w drugiej części podwórza NKWD urządziło obóz dla polskich jeńców wojennych. Do tego celu wykorzystano stojące tam dwa rzędy obór i ogrodzono podwójnym drutem kolczastym. Jeńców było około 200. Chodzili w mundurach wojskowych. Wykorzystywano ich do robót na szosie Tarnopol-Podwołoczyska. W pierwszych dniach wojny niemiecko-sowieckiej (czerwiec 1941) obóz ewakuowano, a jeńców poprowadzono szosą w kierunku Podwołoczysk.*

O jeszcze jednym obozie pracy w pobliskich Stupkach wspomina Józef Czubko: *W Stupkach za pierwszego sowieta w specjalnie wybudowanym drewnianym baraku urządzono obóz pracy przymusowej. Przetrzymywano jeńców, którzy budowali drogę do Podwołoczysk, w stronę granicy z Rosją oraz naprawiali tory kolejowe. Po przyjściu Niemców tam zrobiono getto dla okolicznych Żydów.*

O obozie w rodzinnych Stupkach napisał także Jewgien Baran w opracowaniu *Нарисы з гісторыі Стынок* (Szkice z historii Stupek), wydanym w 2014 roku: *17 września 1939 roku do Stupek weszli „wyzwoliciele" i od razu pokazali, do czego są zdolni. Wkrótce przystąpili do rozbiórki folwarku, jednak ze względu na mocną kamienną budowlę, przekraczającą ich siły, potem zostawili. W 1940 roku na ziemi stupeckiej zaczęto układać drugą linię torów na trasie ze Złoczowa do Podwołoczysk. Do tych prac do wsi przyjechało kilka tysięcy ludzi zza Zbrucza. Robotnicy mieszkali w różnych warunkach, namioty stawiano w szczerym polu, pod gołym niebem. Na folwarku urządzili bazę samochodową, zabudowania majątkowe przeznaczyli na warsztaty, a w środku dworskiego dziedzińca zbudowali drewniane baraki i ogrodzili*

drutem kolczastym. W 1941 roku zebrano w tym miejscu kilkuset więźniów, którzy ciężko pracowali przy budowie kolei. (tłum. K.M.)

Gdy Jewhen Baran pisał o robotnikach i więźniach, nie wspominał o polskich jeńcach wojennych z września 1939 roku, którzy przebywali w obozach pracy przymusowej i budowali drugą linię kolei do Podwołoczysk.

Józef Mielnik „Bogaczyna" w swoich *Wspomnieniach* napisał kilka zdań o obozie oddalonym o 4 km. Prawdopodobnie miał na uwadze obóz w Stupkach. Czernielowianin zanotował: *Muszę wspomnieć, że wczesną wiosną 1941 roku władze radzieckie pobudowały w odległości 4 km od naszej wioski duże baraki i zapełnili je więźniami. Mówili na nich zakliuczonyje. Oni pracowali przy budowie torów kolejowych z Tarnopola do Podwołoczysk. Do tych więźniów nie można było zbliżyć się, bo byli pilnowani przez specjalnych strażników. Sam wygląd tych ludzi świadczył, że mieli piekło na ziemi. Ale przed wybuchem wojny z Niemcami wywieźli ich na wschód.*

Jak widać, są tu pewne rozbieżności co do opisu stanu faktycznego, czasu i uczestników obozu: czy byli to jeńcy, jak pisał Józef Czubko, czy byli to robotnicy, a potem więźniowie - jak pisał Jewgien Baran, czy byli to więźniowie, jak wspominał Józef Mielnik.

O pracy polskich żołnierzy, jeńców, pisała też Maria Markowicz, z d. Paliwoda, w kolejnym odcinku swoich wspomnień *W Bajkowcach na Podolu* w 92. numerze „Głosów Podolan": *Z nadejściem wiosny 1940 roku zaprzestano zmuszania mieszkańców Bajkowiec i innych okolicznych wsi do prac szarwarkowych na drodze z Tarnopola do Zbaraża, wyłożonej tłuczniem z kamienia. Utrzymanie tej drogi przejął oddział jeńców-żołnierzy polskich. Z wyglądu byli zwykłymi żołnierzami. Mieli mundury wojskowe i rogatywki polówki bez orzełków. Oddział ten liczył około 150 ludzi. Pracowali w 5-10 osobowych grupach w odległości 50-100 m jedna od drugiej. Pilnowani byli przez gęste posterunki uzbrojonych czerwonoarmistów, którzy nie dopuszczali do jakichkolwiek kontaktów jeńców z ludnością cywilną. Ze strony jeńców także takich prób nie było. Pracowali od rana do wieczora. Przywożono ich wojskowymi samochodami od strony Zbaraża. Pracowali na tej drodze aż do 25 czerwca 1941 r., czyli jeszcze przez trzy dni od rozpoczęcia wojny niemiecko-sowieckiej, po czym zostali wywiezieni na wschód.*

Gdy mowa jest o obozach jenieckich i obozach pracy żołnierzy polskich wziętych do niewoli sowieckiej w 1939 roku, trzeba podkreślić rolę grup operacyjnych NKWD, czyli Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych w ich organizowaniu. Anna Zapalec w opracowaniu *Ziemia tarnopolska*… przedstawiła to następująco: *W ślad za wojskiem Armii Czerwonej wkraczały na wschodnie tereny Polski grupy operacyjno-czekistowskie NKWD, przed którymi postawiono szereg zadań specjalnych. To one były odpowiedzialne za pierwsze represje wobec ludności*

cywilnej i polskich jeńców wojennych. Miały natychmiast zajmować wszystkie obiekty łączności, lokale państwowe i prywatne, w których spodziewano się wartościowych przedmiotów, banków, drukarń, składów papierów i archiwów. Do nich też należały kwalifikacja i aresztowanie wrogów władzy sowieckiej. Osoby, które za takie uznano, eliminowano ze społeczeństwa tuż po wkroczeniu Armii Czerwonej poprzez aresztowania a niekiedy rozstrzelanie.

Wśród aresztowanych i wkrótce rozstrzelanych znalazł się urodzony w 1910 roku w Czernielowie Mazowieckim phm. Rudolf Weidel. Przed wojną był zastępcą hufcowego Związku Harcerstwa Polskiego w Tarnopolu, a w czasie wojny organizatorem Tajnej Organizacji Harcerskiej „Młody Las", zastępcą Komendanta Okręgu ZWZ–1 Tarnopol.

Pierwszy z lewej Rudolf Weidel, 1935 r.

Jak wynika z notki zamieszczonej w książce *Polskie podziemie 1939-1941*, t. 1, pod redakcją Zuzanny Gajowniczek, przygotowanej na podstawie opracowania Czesława Blicharskiego *Tarnopolanie na starym ojców szlaku*, Rudolf Weidel został aresztowany 26 marca 1940 r. w Tarnopolu. Sądzony przez Trybunał Wojskowy KOWO (Kijowski Specjalny Okręg Wojskowy) w październiku 1940 r. skazany został na karę śmierci. Izba Wojskowa Sądu Najwyższego ZSRS w 22.11.1940 r. oraz Prezydium Rady Najwyższej ZSRS w dniu 21.12.1940 r. utrzymały wyrok w mocy i Rudolf Weidel został rozstrzelany w Tarnopolu 27.12.1940 r.

Pod rządami Sowietów

Zajęty przez Związek Radziecki we wrześniu 1939 roku obszar Polski został podzielony na dwie jednostki administracyjne: Zachodnią Ukrainę i Zachodnią Białoruś. Województwo tarnopolskie wraz z stanisławowskim, częścią lwowskiego i wołyńskim znalazło się w Ukrainie Zachodniej. W początkowym okresie okupacji sowieckiej zachowane zostały przedwojenne granice województw i powiatów. Używano również dotychczasowego nazewnictwa, chociaż niektóre nazwy próbowano rusyfikować, na przykład dla województw wprowadzono nazwę „obwód". Działały komendantury wojskowe. Natychmiast po wkroczeniu wojska sowieckiego w miejsce polskich władz administracyjnych tworzono pod nadzorem NKWD, głównie spośród ludności ukraińskiej, nowe władze i oddziały milicji. Wyższe stanowiska zajmowali działacze przysłani ze Związku Radzieckiego. Na wzór sowiecki dążono do stworzenia trójczłonowej struktury władzy: partia-administracja-organy bezpieczeństwa.

Z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej w stosunku do ludności cywilnej prowadzona była na szeroką skalę akcja propagandowa. Agitatorzy - pracownicy polityczni, dowódcy, oficerowie politrucy i żołnierze - organizowali spotkania z ludnością, przemawiali na mityngach, prowadzili rozmowy, w czasie których uzasadniali słuszność wkroczenia Sowietów do Polski oraz tłumaczyli rychłą zmianę dotychczasowych stosunków społecznych, wzbogacenia życia kulturalnego, zapowiadali przyszły dobrobyt.

W celu szybkiego przekazywania komunikatów władzy, ale też wyznaczenia osób odpowiedzialnych za frekwencję większej grupy mieszkańców, badania nastrojów społecznych, na wsiach wyznaczono tak zwanych dziesiętników. Pełnili oni rolę pośredników pomiędzy wyznaczoną grupą dziesięciu domów i rodzin a sielsowietem, czyli radą wsi.

Wkrótce przystąpiono do uregulowania statusu państwowego ludności na przyłączonych obszarach. Dekretem z 29 listopada 1939 r. Rada Najwyższa Związku Radzieckiego nadała obywatelstwo sowieckie wszystkim osobom zamieszkałym na zaanektowanych terenach, również przebywającym tutaj uciekinierom z Polski centralnej i zachodniej. W grudniu 1939 r. Rada Komisarzy Ludowych wydała postanowienie o przeprowadzeniu paszportyzacji, czyli o wystawieniu nowych dowodów osobistych-paszportów. Akcja paszportyzacji była przeprowadzana od początku 1940 roku i wiązała się z zarejestrowaniem przez miejscowe władze odpowiednich danych o ludności na podstawie dokumentów: określających stosunek do służby wojskowej, zaświadczeń z miejsc pracy, zaświadczeń zarządu domu lub rady rejonowej o miejscu stałego zamieszkania, dokument stwierdzający miejsce i datę urodzenia (odpis metryki, świadectwo urodzenia) oraz fotografie. W czasie paszportyzacji ludność z zajętych terenów podzielono na dwie kategorie: stałych mieszkańców i tak zwanych bieżeńców, czyli uciekinierów z Polski centralnej i zachodniej, wydając im paszporty tymczasowe. Paszporty tymczasowe wydawano też polskim urzędnikom, właścicielom majątków, wojskowym.

Jednym z celów ataku władz sowieckich stali się właściciele ziemscy i ich rodziny. Rozpoczęły się aresztowania i wywózki członków tych rodzin. Wielu właścicieli majątków wypędzono z ich posiadłości. Ich mienie zostało rozdane dotychczasowym pracownikom lub rozgrabione przez miejscową ludność. Do opuszczonych dworów przenoszono szkoły.

W krótkim czasie, bo już na początku 1940 r. dworskie budynki gospodarcze w większości zostały wykorzystane do tworzących się kołchozów, zwanych z ukraińska kołhospami. Był to skrót nazwy kołektywnoho hospodarstwa.

Opis początków sowieckiej okupacji przedstawiono na podstawie opracowania Anny Zapalec *Ziemia tarnopolska*...

A co działo się w początkach wojny i sowieckiej okupacji w Czernielowie Mazowieckim i okolicach?

O tym pierwszym okresie wojennej rzeczywistości Stefania Górska, z d. Woźniak, we *Wspomnieniach z dzieciństwa i nie tylko…* pisała: *Kilka tygodni trwało to zamieszanie, mężczyźni politykowali, że tak nie może być, że Anglia, że Ameryka jest po naszej stronie, że nam pomogą. Ale to tylko my tak chcieliśmy, a wszystko było inaczej. No i wstąpiła na nasze tereny Armia Czerwona. Przedstawiali się, że są naszymi wyzwolicielami, że nas wyzwolili od naszych panów, od pamieszczikow. Ukraińcy podnieśli głowy, cieszyli się, że przyszli „nasi" i będzie Ukraina. Ruscy zrobili zebranie i powiedzieli nam, że wsio rawno, to znaczy wszyscy są równi: Polak, Ukrainiec czy Jawrej, czyli Żyd. Ale do urzędów pchali się Ukraińcy, hołową wsi, to jest sołtysem, został Ukrainiec. Do policji też szli Ukraińcy, którzy czuli się o wiele pewniej i bezpieczniej niż Polacy. Polacy mieli siedzieć cicho i tylko wykonywać rozkazy (...)*

Od razu trzeba było płacić podatki i kontyngent w postaci zboża i mięsa. Ludzie dobierali się, żeby móc wspólnie zdać zwierzęta na kontyngent. Naszą młocarnię zabrali na Ruski Czernielów i zostaliśmy z niczym. Na szczęście niejaki pan Murmyło Bartłomiej miał młocarnię i motor na benzynę i za opłatą młócił nam zboże, podobnie jak innym gospodarzom. Jego młocarnia była o wiele mniejsza od naszej, ale dobrze, że wiała i ziarno od razu było czyste. U mojej siostry Agnieszki też mieli młocarnię, ale do kieratu i potrzebne były dwie pary koni do poruszania kieratem.

Po przyjściu Rosjan zaczęły się też akcje na rzecz ogółu. Zaczęli wysyłać furmanki do Smykowiec na lotnisko plantować ziemię, w zimie do śniegu, bo gdzieś tam zawiało. Czasem trzeba było przez kilka dni chodzić w jedno miejsce i usuwać zaspy. Z nikim się nie liczyli. Władza obrosła w piórka. Powołali tak zwanych dziesiętników i jak coś trzeba było zapowiedzieć, to każdy miał swój rejon i w mig było załatwione. Zebrania zwoływali bardzo często, zaczęli uświadamiać jak to w kołchozie dobrze, jak dobrze żyje się kołchoźnikom. Mają czas, bo wszystko robią maszynami, mają czas pójść do kina, wyjechać do teatru. Ale jakoś nikt się do kołchozu nie śpieszył, nawet ci, co byli fornalami i wcześniej pracowali na majątku.

Podobnie o tym okresie wojny opowiedział w swoich *Wspomnieniach* Józef Mielnik „Bogaczyna": *Pamiętam jak w każdej wiosce, w każdym osiedlu zrobiono dziesiętników, którzy musieli pilnować tych ludzi, do których byli przydzieleni. To znaczy, gdy miało być zebranie, to ten dziesiętnik chodził po swoich ludziach i każdy musiał podpisać, czy pójdzie na zebranie, czy nie, czy wykona te robotę, czy nie. Pamiętam, jak na każdą wioskę wyznaczono roboty na kolei na odcinku Tarnopol-Podwołoczyska. Robiono drugi tor i tam każda wioska miała wyznaczony*

swój teren. Kierownik tej budowy mówił nam, żeby się pośpieszyć z robotą, bo zima nadchodzi. Zdążyliśmy przed zimą, ale znów nam dali nowej roboty tyle, nie mniej niż przedtem. W gazecie było napisane, że ta wioska roboty wykonała i postanowili, to znaczy podjęli zobowiązanie wykonać jeszcze więcej pracy. A z wiosną 1941 roku były inne prace - na budowie lotniska pod Tarnopolem. Trzeba było jechać końmi z wozem na cały tydzień, a potem na kolejne. Nie było na to rady. Pamiętam, jak na pasterce w noc wigilijną Bożego Narodzenia nie było człowieka, żeby nie zapłakał. Jeden tylko szloch było słychać, gdy śpiewano kolędę „Bóg się rodzi" i jej końcowe strofy: „Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą!" A Ojczyzna była w ciężkiej niewoli.

O pracy przy odśnieżaniu oraz przy budowie linii kolejowej pisał w korespondencji Stanisław Gęślowski: *Podczas całej okupacji za Ruskich zimową porą chodziłem na różne drogi za wieś śnieg odwalać, żeby były przejezdne. Natomiast wiosną i latem wraz z innymi chłopakami, starszymi mężczyznami, a także dziewczynami chodziłem na roboty na kolei, bo robili w tym czasie drugi tor na trasie Lwów-Tarnopol-Podwołoczyska. Ja najczęściej ładowałem ziemię na wozy.*

Stanisław Gęślowski miał w tym czasie 16 lat.

To, co działo się w Czernielowie i najbliższej okolicy, nie odbiegało od postępowania władz sowieckich w innych miejscowościach.

Budowa drugiego toru kolei na odcinku z Tarnopola do Podwołoczysk była dużym i pilnym przedsięwzięciem w czasie okupacji sowieckiej. Wspomina o nim wielu mieszkańców Tarnopolszczyzny biorących udział w tych pracach.

Jan Kanas, mieszkaniec Łozowej, autor *Podolskich korzeni*, wspomnień wydanych w 2002 r., w rozdziale *Okupacja sowiecka* pisał między innymi: *Na 40-kilometrowym odcinku z Tarnopola do Podwołoczysk pracowało tysiące furmanek i tyle samo, a nawet więcej pieszych spędzonych z wiosek odległych nawet o 30 kilometrów (...) Odległość z Łozowej do tej budowy wynosiła około 20 km. Łozowianie wyjeżdżali do pracy na 3 dni, nocując pod gołym niebem. Pożywieniem był suchy chleb, ewentualnie ze słoniną, jeśli ktoś ją posiadał. Popijano wodą źródlaną…*

Pełniejsze wyjaśnienie charakteru prac na drodze i na kolei na odcinku Tarnopol-Podwołoczyska znajdziemy we *Wspomnieniach* Jerzego Stopy, w tym czasie 14-letniego chłopca. Podczas okupacji sowieckiej siedmioosobowa rodzina Stopów została zmuszona do opuszczenia Tarnopola. Udało się im znaleźć mieszkanie w niedalekich Borkach Wielkich. Jerzy Stopa na ten temat napisał: *Rosjanie po wkroczeniu przystąpili do poprawy gościńca Tarnopol-Podwołoczyska. Do czasu wybuchu wojny gościniec ten nie miał większego znaczenia gospodarczego. Po wkroczeniu Rosjan stał się ważnym traktem i dlatego przystąpiono do jego renowacji. W mojej pamięci pozostała nazwa „budowy autostrady", ale oczywiście to*

nic z autostradą nie miało wspólnego. Po prostu koło wsi Stupki, którą od Borek dzieliła tylko łąka nad Gniłą, był zbyt ostry zakręt. To jego właśnie w naszej okolicy postanowiono nieco złagodzić (...) Ponadto Rosjanie szybko zorientowali się, że ze względów strategicznych istnieje pilna potrzeba zbudowania drugiego toru kolejowego na stosunkowo krótkim odcinku Podwołoczyska-Tarnopol i kilkadziesiąt kilometrów w kierunku na Lwów, w sumie nieco ponad 100 km. W ten sposób powstała ważna południowa dwutorowa arteria kolejowa przechodząca przez Śląsk-Kraków-Przemyśl-Lwów-Tarnopol-Podwołoczyska-Winnica-Kijów-Charków itd. Przed wojną budowa drugiego toru do Podwołoczysk byłaby zbędnym wydatkiem dla państwa. Rosjanie prace te tylko rozpoczęli. Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej przerwał ją na krótko.

Jerzy Stopa znalazł zatrudnienie przy pracach ziemnych.

Kilka zdań o wielkoboreckiej rzeczywistości z okresu pierwszej okupacji sowieckiej można dodać z opracowania *Великі Бірки. З глубини віків до наших днів* (Borki Wielkie. Od dawnych wieków do naszych dni): *Nowa władza zaczęła wprowadzać nowe porządki. W pierwszym rzędzie zabroniona została działalność wszystkich narodowych partii, organizacji, grup. Czytelnię „Proświty" zamieniono na klub. Z inicjatywy nowej władzy stworzono tymczasowy wiejski komitet, wiejską drużynę do ochrony mienia gromady (...) Szczególną uwagę radziecka władza poświęcała młodym. Jak donosiła 15 grudnia 1939 r. gazeta „Wolne życie" młodzież węzła kolejowego Borki Wielkie zaczęła uczyć się programu i statutu Komsomołu. Aktywnie propagowano ekonomiczne osiągnięcia systemu radzieckiego (...) Nowa władza pragnęła ograniczyć albo i zniszczyć tych, którzy im stali na przeszkodzie. Pozostałą większość chcieli otumanić swoją propagandą o kołchozowych porządkach i świetlanej przyszłości. Przywozili do wsi propagandowe filmy, wyświetlali „Czapajewa" i historyczno-rewolucyjny film „Szczors", a także inne. Początkowo kino robiło wrażenie, bo nikt filmów jeszcze nie oglądał. Dawne sklepy ukraińskie, polskie, żydowskie zostały zniszczone przez bolszewików. Na ich miejsce pojawiły się sklepy radzieckie. Lista tanich towarów była niewielka: śledzie, wódka, płótno, perkal i inne. Dużego wyboru nie było i mieszkańcy brali, co było (...) 3 stycznia 1940 roku w nowo utworzonej siedmioklasowej szkole zaczęto nauczać według radzieckiego programu i podręczników. W tym czasie w szkole uczyło się 250 uczniów, pracowało 11 nauczycieli. W okresie 1939-1941 mieszkańcy wsi dobrze poznali co, to radziecka władza. Liczne represje trzymały ludzi w ciągłym strachu i niepewności. Jeśli chodzi o stronę ekonomiczną, to nowe władze pozwalały ludziom zaspokoić minimalny poziom potrzeb. Dużych właścicieli ziemskich pozbawiano majątków, wielu z nich aresztowano i wywieziono na Sybir. W 1940 roku radziecka władza zorganizowała we wsi kołchoz im. 17 Września. Pierwszym przewodniczącym został Marcel Zioła*. (tłum. K.M.)

O wyświetlaniu przez Rosjan filmów również w Domu Ludowym w Czernielowie opowiadał w 2019 r. Franciszek Błaszkiewicz. Zapamiętał przede wszystkim filmy propagandowe, ale zwykłe niepropagandowe też były wyświetlane. Początkowo filmy jako nowość budziły duże zainteresowanie mieszkańców wsi, zwłaszcza wśród młodych. Imprezami i tym, co działo się w domu ludowym, zarządzał tak zwany zawiedujuszczij kłuba. Był nim tak jak przed wojną Franciszek Żarkowski, zwany „Sto Pięć". Przez wiele lat opiekował się wiejską biblioteką, był na specjalnym kursie animatorów kultury. Wiedział, jak zorganizować i przygotować przedstawienie. W czasie wojny też próbował jakieś scenariusze rozpisać.

Ale wojna narzuca swoje reguły i życie ma inny przebieg. Jest podporządkowane zasadom okupanta. Franciszek Błaszkiewicz przypomniał, że Rosjanie wyznaczyli między innymi grupy mieszkańców po 10 osób, które przychodziły do domu ludowego, by słuchać czytania. Wyznaczono specjalnego człowieka, który czytał wybrane przez nich książki, a czernielowianie słuchali. Tak to zapamiętał nastoletni wówczas Franciszek.

Tadeusz Nowak-Cieplak we wspomnieniach *W cieniu historii* ówczesne działania okupanta opisał następująco: *Zaraz następnego dnia po wejściu armii sowieckiej na nasze tereny okupanci usuwali poprzednich wybranych przedstawicieli ludności i zastępowali ich swoimi ludźmi. W wioskach usuwano sołtysów i wójtów oraz współpracujące z nimi posterunki policji państwowej, a w miastach burmistrzów, prezydentów, starostów, wojewodów i ich współpracowników, wszystkie komendy policji powiatowe i wojewódzkie oraz sędziów i prokuratorów. Wielu spośród przedstawicieli dawnej władzy od razu aresztowano i wywożono w głąb Rosji, szczególnie tych wyższej rangi. W Czołhańszczyźnie, wiosce z większością ludności polskiej, gdzie mój ojciec* (Antoni Cieplak - dop. K.M.) *był sołtysem od paru lat, władze sowieckie mianowały na tak zwanego przedstawiciela rady wioskowej Ukraińca nacjonalistę, właściciela średniej wielkości gospodarstwa. Na sekretarza tej rady wyznaczyły młodego, biednego, ale bardzo sprytnego obieżyświata, ponoć członka tajnej partii komunistycznej Ukrainy, który pod rządami Sowietów decydował we wsi o wszystkim. Tak samo było w Czernielowie Mazowieckim, wsi prawie w całości polskiej. Na kierownika nowej rady wioskowej władze sowieckie wyznaczyły jednego z nielicznych Ukraińców. Początkowo Sowieci faworyzowali Ukraińców, nacjonalistów i komunistów. Rzecz jasna, takie traktowanie podobało się wszystkim Ukraińcom, którzy nie ukrywali zadowolenia z tego powodu. Co więcej, okazywali pogardę Polakom i wszystkiemu, co polskie. Niejednokrotnie niszczyli symbole polskości, na przykład popiersia marszałka Piłsudskiego, które były niemalże w każdej wsi, w miastach pomniki wielkich Polaków, a potem palili książki z polskich bibliotek.*

Rodzina Podleskich została zmuszona do opuszczenia swego majątku w Czernielowie. Leon Podleski w części wspomnień zatytułowanej *Moje przeżycia w czasie drugiej wojny światowej*, pisanej od grudnia 1946 r. tak przedstawił te wydarzenia: *Wojskowi bolszewiccy przyjeżdżali samochodami po zakupy: cieląt, świń, baranów, nabiału etc. Płacili normalne ceny, przyzwoicie się do nas odnosili. W domu nas na razie nie nachodzili i odnosiło się wrażenie, że nas może nie wyrzucą, zrobią z gospodarstwa „sowchoz" i mnie zostawią jako rządcę (...) W jakieś dwa tygodnie po wkroczeniu Rosjan przyjechał do gminy oficer dla odbioru broni, do domu ludowego. Dozorca mój przyszedł po nią i odniósł moich 7 sztuk broni, które mu oddał za zapewnieniem, że to jest wszystko, co posiadałem. Ale w kilka dni później zjawił się pod wieczór cały oddziałek w poszukiwaniu za bronią. Postawiłem im tego świadka. Jakiś czas się certowali, grozili rozstrzelaniem wszystkich mieszkańców, gdyby coś się znalazło, zaglądnęli do dwóch szaf i poszli. 6 października przysłał zarząd gminy zbiorowej w Borkach polecenie, po południu, byśmy się do dwóch godzin wyprowadzili. Odpowiedziałem, że to wykluczone, ale następnego dnia możemy się usunąć. Część rzeczy osobliwie zimowych, prowianty, trochę węgla oraz dwie krowy miałem w Tarnopolu u znajomych już zdeponowane i to przeważnie dzięki naszej ukochanej Myszce (najstarszej córce), która nie zważając na szósty miesiąc ciąży, wraz ze służącym Bartkiem Maślukiem te rzeczy pakowała, jak również bibliotekę do pak składała. Ale moja żona osobistej garderoby pakować nie chciała, ciągle się łudząc, że jeszcze zdołamy zostać. Jadzia wróciła na wieczór z Tarnopola i odbyło się całonocne pakowanie, my na górze odzież, pościel i wszelkie inne domowe ruchomości, palenie niepotrzebnych papierów, na dole w kuchni i spiżarni dużych zapasów spiżarnianych, na folwarku węgla i nieco zboża. Rano, gdyśmy kończyli się ładować na wozy, zjawił się oddział bolszewików, który opału i prowiantów zabrać nie pozwolił, a wszystkie kufry już na wozach kazał pootwierać i szczegółowo rewidował. Wiktuały zaraz rozdawali ludziom, którzy się zbiegli na tę wiadomość. Wyjechaliśmy wreszcie. Małachowscy (Myszka z dziećmi i nauczycielką domową p. Tołkaczową) naprzód, my na ostatnim wozie. W drodze do Tarnopola uradziliśmy z moją żoną, że ja wraz z Jadzią wyjedziemy zaraz do Lwowa, bo w chwili naszego wyjazdu znaleziono u Jadzi w biureczku flobertowe naboiki. Wyjechaliśmy nazajutrz rano. Żona moja została na razie u doktorowej Mostowowej, żony dyrektora szpitala, a Myszka z dziećmi u teściowej.*

Zatem Podlescy na polecenie Rosjan opuścili swój dom i majątek 7 października 1939 r. i rozdzielili się. Z dalszych fragmentów *Wspomnień* wynika, że po miesiącu pobytu we Lwowie za namową żony, która go odwiedziła, Leon Podleski wyjechał wraz z córką na zachód do Generalnej Guberni i do połowy maja 1940 roku zamieszkiwali w Chłopicach niedaleko Jarosławia w gościnie u zaprzyjaźnionej Marii Lisowieckiej, wdowy po marszałku powiatu jarosławskiego.

Następnie Jadwiga Podleska przebywała w Pantalowicach u rodziny swojej koleżanki, a właściciel czernielowskiego majątku przez kilka miesięcy zatrzymał się w niedalekich Mikulicach w rodzinie Stefana Turnaua, a od października po odwiezieniu córki Jadwigi do Warszawy na kursy handlowe przez 13 miesięcy do listopada 1941 r. mieszkał w Zbydniowie niedaleko Sandomierza z rodziną ciotecznego siostrzeńca Zbigniewa Horodyńskiego. W listopadzie przyjechał do Tarnopola.

Anna Podleska natomiast, jak wspominał jej mąż, po opuszczeniu Czernielowa nie mogła wyjechać do Lwowa i zatrzymała się w Tarnopolu, głównie dlatego, że nie chciała rozłączać się z będącą w 7. miesiącu ciąży córką Marią Małachowską i trójką jej dzieci, a także dlatego, że w razie wyjazdu nie mogła zabrać ze sobą ani też zostawić nikomu pod opieką ociemniałej na kataraktę, wówczas 77-letniej byłej bony, Franciszki Wróblewskiej, która od 1901 roku była w ich domu i wypiastowała ich pięć córek.

Anna Podleska początkowo przemieszkiwała gościnnie u doktorowej Mostowowej przy ul. Bocznej Sokoła, a następnie przeniosła się na ul. Matejki na Zarudzie do doktorostwa Lenardów, gdzie miała swój pokój i kuchnię. Leon Podleski podkreślił we *Wspomnieniach*, że poczciwi czernielowiacy, przede wszystkim służba domowa i folwarczna, dostarczali jego żonie wiktuałów, których pewne zapasy Podlescy mieli zdeponowane u znajomych. Właściciel majątku zwrócił też uwagę na wyjątkowe przywiązanie i opiekę nad jego żoną ze strony Józi Świcarz, która wcześniej, będąc pokojową, pozostała z Anną Podleską na trudny czas wojny i była dla niej jak córka. Wspomniał też poczciwość i pomoc oferowaną przez innych byłych pracowników czernielowskiego folwarku, np. przez Jaśka Hrycaja, Saleckiego, Franka Niedojadłę, Pawła Maśluka i jego synów Jaśka i Julka, Karola Rajfura oraz niektórych zamożnych gospodarzy, jak Lak, Smolscy, Żarkowscy i inni.

W tej części *Wspomnień* Leon Podleski opisał, jak to dzięki energicznym staraniom jego żony bona Franciszka Wróblewska była bezpłatnie operowana w szpitalu (prawdopodobnie w Tarnopolu) przez znakomitego rosyjskiego okulistę Woronycza kolejno na oboje oczu z bardzo dobrym wynikiem. Po otrzymaniu szkieł czytała, szyła, cerowała.

We wrześniu 1940 roku NKWD wezwało Annę Podleską na przesłuchanie, jako żona byłego ziemianina musiała opuścić Tarnopol i zamieszkała w Łozowej w domu Franciszka Kłosa, rodem z Bajkowiec, który rodzinę Podleskich pamiętał jeszcze z czasów, gdy tam mieszkali na początku XX wieku. Również tu Anna Podleska doznała, jak podkreślał jej mąż „najpoczciwszej gościnności", zupełnie bezinteresownej. Miała do dyspozycji izbę i kuchnię. Mieszkała tam do sierpnia 1941 roku.

Z obydwiema rodzinami Lenardów i Kłosów Anna Podleska nawiązała serdeczną trwałą przyjaźń, której w następnych latach 1942-45 doznał również Leon Podleski, o czym pisał we *Wspomnieniach.*

Córki Anny i Leona Podleskich początkowy okres wojny spędziły w różnych miejscach. Najstarsza Maria, zwana Myszką, zamężna za Ryszardem Jaxą -Małachowskim 29 grudnia 1939 roku urodziła córeczkę Jadwisię i przebywała wraz z czwórką swoich dzieci w Tarnopolu, początkowo u teściowej, a potem z powodu ciasnoty przeniosła się na Zarudzie. Jej mąż po ogłoszeniu przez władze rosyjskie obowiązkowej rejestracji wszystkich oficerów: czynnych, rezerwowych czy emerytowanych nieopatrznie zarejestrował się, opisując szczegóły swojej wojskowej rosyjsko-polskiej przeszłości. Mianowicie, gdy mieszkał w rodzinnym majątku w Wapniarce pod Odessą pod koniec I wojny światowej, służył w wojsku rosyjskim jako sanitariusz, a po wyjeździe z Odessy w 1918 r. okrężną drogą dostał się do Polski i w 1920 r. służył jako podporucznik sanitarny w polskim wojsku. Gdy w 1928 r. ożenił się z Marią Podleską, prowadzili gospodarstwo w Turówce w powiecie skałackim, które zostało spłacone przez Leona Podleskiego pozostałym współwłaścicielom. Po wybuchu wojny Małachowscy przyjechali do Tarnopola. Ryszard Małachowski jako były obywatel rosyjski został aresztowany 9 grudnia 1939 r. i przez jakiś czas przebywał w więzieniu w Tarnopolu i stąd w marcu 1940 r. został wywieziony. Nikt z rodziny już go nie widział. Po roku jego współwięzień zawiadomił rodzinę, że został w Odessie skazany na 2 lata więzienia. W 1947 r. rodzina Podleskich otrzymała wiadomość, że Ryszard Małachowski zginął w Katyniu (w innym miejscu rodzinnych zapisków wymieniono Starobielsk). Natomiast jego żonę wraz dziećmi, matkę i siostrę deportowano na Sybir, do Kazachstanu. O ich pobycie na zesłaniu będzie mowa w podrozdziale *Wywózki na Sybir*.

Druga córka Felicja Żeromska mieszkała w Warszawie. To u niej zatrzymała się jej najmłodsza siostra Jadwiga, gdy podjęła studia handlowe. Mąż Felicji, Stanisław Żeromski, trafił w 1940 roku do KZ Lager Auschwitz. Jak opisywała Jadwiga Podleska w ankiecie PAN pt. *Ziemiaństwo polskie w latach II wojny światowej* udało się go wydobyć z oświęcimskiego obozu, działał w konspiracji w grupie przemysłowej.

Trzecia córka, Barbara Myszkowska, która wraz z mężem Tadeuszem w październiku 1939 r. musiała opuścić ich majętność Hruszowice w powiecie jaworowskim, od grudnia 1940 roku z dwoma synami i mężem zamieszkała w Zbydniowie u krewnych Horodyńskich. Dzięki stawiennictwu Leona Podleskiego Tadeusz Myszkowski dostał tu posadę rządcy. Ich córka Anna w tym czasie była u sióstr Niepokalanek w Jarosławiu.

Cecylia Friedbergowa, czyli Cesia, z dwójką małych dzieci przez jakiś czas przebywała w Stanisławowie. Jednakże później, jak wspominał Leon Podleski, gdy

groziło jej wywiezienie na Sybir, zmuszona została uciekać do Delatyna. Zmieniła nazwisko, udawała żonę sierżanta, dzięki temu uniknęła aresztowania. Potem ukrywała się we Lwowie. Nie doszły do skutku jej próby przekroczenia zielonej granicy. Udało się jej opuścić Lwów po długich staraniach dopiero po zajęciu go przez Niemców. Wyjechała na zachód, najpierw do Krzepina, a potem do Krakowa. Opisując jej wojenne perypetie, Leon Podleski wspomniał o podziale na dwa obozy wewnątrz austriackiej rodziny Friedbergów, z której zięć Podleskich Erwin był w polskim wojsku i wraz ze swoim pułkiem po kampanii wrześniowej udał się na Węgry, jeden jego brat miał sympatie prohitlerowskie, a drugi brat nie krył się ze swymi antyhitlerowskimi przekonaniami.

A jakie były losy ziemian z okolicznych majątków?

Jak wcześniej wspomniano, właścicielka folwarku w Romanówce wraz z córką zdążyła wyjechać do Tarnopola na kilka godzin przed wkroczeniem Rosjan. Również właścicielki majątku w Czołhańszczyźnie: Michalina, żona Konrada Glogiera i ich córki Stefania i Aniela zdążyły opuścić rodzinny dom. Według relacji Mariana Kubiszyna, mieszkańca tej wsi, 16 września 1939 r. wyjechały do Jarosławia. Natomiast o Adamie Glogierze, synu Konrada i Michaliny, z sąsiedniej Anielówki mówiono, że w czasie pierwszej okupacji sowieckiej pracował w charakterze palacza na parowozie kolejowym. Zdaniem Adama Balika, urodzonego w Romanówce, ta praca mogła go uchronić przed wywiezieniem na Sybir.

O właścicielach majątku w Bajkowcach będzie mowa w dalszej części.

A tak opisywał we *Wspomnieniach* pierwszy okres wojny Jan Bachalski: *Po paru dniach na majątku Podlewskiego utworzyli władzę składającą się głównie z Ukraińców. W naszej wsi było parę rodzin ukraińskich (...) Byli to przeważnie ludzie pracujący na majątku. Władza ta zaczęła działać, poczynając od rozdawania inwentarza żywego i martwego. Każdy z robotników folwarcznych otrzymał krowę lub konia, a niektórzy nawet krowę i konia. Następnie przystąpili do dzielenia ziemi. Tym biedniejszym ziemi dawali, ile kto chciał. Jednak nie została ona obsiana, ponieważ ziarno zabrało wojsko. Na gospodarzy, którzy mieli parę morgów ziemi, nałożono podatek i tak zwany kontyngent zboża i ziemniaków. Najprawdopodobniej w grudniu 1939 roku wieś została podzielona na części. Jedna część składała się z dziesięciu chat (rodzin). Do każdej takiej dziesiątki przydzielono jednego człowieka zaufanego władzy radzieckiej. Człowiek ten przeprowadzał szkolenia ideologiczne, polegające na czytaniu stalinowskiej konstytucji i jakichś broszur wydanych przez bolszewików. Ponadto miał on obowiązek zapamiętywania, co kto na ten temat mówi, wyłapywania tych, którzy są przeciwni władzy radzieckiej i o tym wszystkim miał donosić NKWD.*

W dalszej części *Wspomnień* Jan Bachalski napisał o zakładaniu w Czernielowie kołchozu: *Zbliżała się wiosna. Ze strony władzy radzieckiej nastąpił generalny atak na miejscową ludność w postaci zakładania kołchozów. Zaczęli*

zmuszać wszystkich do wstępowania do kołchozu, a polegało to na tym, że należało oddać swój cały dobytek, inwentarz żywy i martwy, do wspólnego korzystania. Kołchozem miał zarządzać „hołowa kołchoza". Do kołchozu wstąpili prawie wszyscy, którzy przed wojną pracowali na majątku, bowiem oni oddali tylko to, co przed paru miesiącami otrzymali. Natomiast chłopi własnego dorobku nie chcieli tak szybko się wyzbyć. Na tych, którzy nie zapisali się do kołchozu, zaczęto nakładać nowe podatki gruntowe, oczywiście według uznania władzy radzieckiej (...) Niemożność wywiązania się z nakładanego obowiązku podatkowego zmuszała chłopów do zapisywania się do kołchozu. Zgoda była wyrażana, jednak po spełnieniu obowiązku podatkowego. Tym najbogatszym, w tym i ojcu, nie wyrażano zgody na wstąpienie do kołchozu, ponieważ byli oni traktowani jako kurkuli albo kułacy. Od czego te określenia pochodzą, trudno mi powiedzieć. Wśród tych kurkuli największym był mój ojciec i na niego nałożono największy podatek. Po spłaceniu jednego, nakładano po raz drugi. W ciągu 1940 roku ojcu została tylko jedna krowa i jeden koń. Wszystko pozostałe zostało sprzedane. Podatek ojciec płacił, ponieważ uważał, że go to może uchronić od Sybiru. Być może, że i tak było. Nie będę tu pisał, że w tym czasie głodowaliśmy, szczególnie na przednówku. Na pocieszenie mogę powiedzieć, że wszyscy byli w podobnej sytuacji.

Natomiast Józef Mielnik „Bogaczyna" o okupacji sowieckiej i na temat kołchozu w swoich *Wspomnieniach* zanotował: *Gdy 17 września wojska radzieckie przekroczyły granice i wtargnęły bez wypowiedzenia wojny na tereny polskie zdawało się nam, Polakom żyjącym na Podolu, że jest to okupacja. Władza radziecka wzięła niby w opiekę naród uciskany i przyłączyła do swego imperium. Nasze myśli były takie, że to przejdzie i przeminie i przyjdzie ten czas, że Polska będzie tu dalej. Przecież nasze tereny nie były nigdy pod berłem rosyjskim. Takie były nasze nadzieje i myśli, ale władza radziecka od początku robiła swoje. Zaraz tej jesieni 1939 roku nałożyli na nas, rolników, kontyngenty zboża, mięsa, mleka, ziemniaków i ten plan musiał być w oznaczonym czasie wykonany. Były też przymusowe bezpłatne roboty na drogach i torach kolejowych. Nie było mowy, żeby ktoś mógł się sprzeciwić i coś powiedzieć, bo go zaraz wskazywano jako wroga władzy. Już w listopadzie powołano w naszym środowisku komisję rolną, która miała podzielić pomiędzy biednych ziemię, inwentarz żywy i martwy po dziedzicu Podlewskim i podzielili. Ale już w styczniu 1940 roku wszystko, co dostali ci fornale, musieli zwrócić, bo w ustroju radzieckim własności prywatnej nie ma, tak głosili. Często, niekiedy trzy razy w tygodniu robili zebrania wiejskie i nie było mowy o tym, żeby na to zebranie, na ten mityng nie pójść. Tłumaczono nam, że Polski nie będzie, że Polska była tworem Wersalu i trzeba podpisać zajawki, to znaczy podanie o przyjęcie do kołchozu. Ciężkie to były czasy. A na dodatek, aby kupić jakiś materiał na ubranie lub skóry na buty trzeba było jechać do miasta: naprzód jeden dzień, aby stać w ogonku jedną noc, i na drugi dzień*

albo udało się kupić, albo nie. I w tym czasie już wiedzieliśmy, że ci, którzy nie podporządkują się nowej władzy, znajdą się na ziemi, gdzie są białe niedźwiedzie.

Pamiętam, jak w naszym środowisku rządził wysłannik władzy, który przyjeżdżał z rejonu i na co dzień miał dużo roboty, bo zwoływał przez gońca mieszkańców wsi pojedynczo do siebie i z nimi rozmawiał na różne tematy, a najwięcej o wstąpieniu do kołchozu. Pamiętam, jak mój ojciec chodził do niego wiele razy, tak że znał ojca na wylot. Nie raz ojciec przychodził do domu i płakał, bo mu groziła kara. Ojciec był aktywnym ludowcem i nie można było wytłumaczyć się z tego czy innego „grzechu". Pamiętam, gdy raz przyszedł z tej „spowiedzi" bardzo smutny i nie chciał nic mówić. W końcu opowiedział rozmowę z urzędnikiem, który wyznaczył mu termin dwóch tygodni na złożenie podania o przyjęcie do kołchozu. Ojciec mu powiedział, że on chce, ale żona i dzieci nie chcą nawet słyszeć, to co ma robić? I powiedział, że chyba zabije swoją żonę i dzieci i przyjdzie do kołchozu. A ten urzędnik popatrzył na ojca i powiedział, nie, nie nada tak, codziennie trzeba im tłumaczyć, to oni zrozumieją.

Hołową – przewodniczącym kołchozu w Czernielowie Mazowieckim został Szymon Maśluk. Jego syn, Józef we *Wspomnieniach* napisał, że ojciec po powrocie w 1939 roku z kolonii w Klebanówce dokąd z rodziną trafił jako były żołnierz gen. Hallera, ciesząc się zaufaniem mieszkańców wsi, został wybrany na przewodniczącego kołchozu. Mimo to w obawie przed wywózką na Sybir nocami rodzina Maśluków ukrywała się w różnych miejscach poza domem. Natomiast on sam, wtedy 15-letni chłopak, pracował od 18 września 1939 r. w kołchozie jako pomocnik traktorzysty za 2 kg zboża dziennie. Rok wcześniej od 1 września 1938 r. podjął pracę - naukę zawodu kowala w folwarku pana Podleskiego, mając płatne 30 gr dziennie. Dniówki były różne za 8-10 godzin dziennie. Józef Maśluk dodał: *Mając 14 lat, zacząłem pracować i myśleć samodzielnie. To było moja szkoła życia.*

We wspomnieniach urodzonej w 1933 roku Stanisławy Bodnar, z d. Mielnik, zatytułowanych *Moje życie, mój los* o tym pierwszym roku wojny można przeczytać: *W połowie września 1939 roku tereny ziem wschodniej Polski, w tym moją wieś, zajęły wojska radzieckie. Wkroczenie tych wojsk ludność miejscowa przyjęła ze spokojem, wierząc, że ochronią nas przed Niemcami. Mieszkańcy wsi szybko zostali wyprowadzeni z błędu. Okazało się, że Rosjanie są okupantami i na terenach zajętych przez ich wojska, wprowadzili swoje rządy, oparte na wzorach radzieckich. Z tego okresu zapamiętałam niepokój moich rodziców o utrzymanie gospodarstwa rodzinnego. Niepokój ten wywołany był przymuszaniem indywidualnych gospodarzy do tworzenia wspólnego gospodarstwa rolnego, czyli kołchozu. Ziemie i majątek dworski były podstawą do utworzenia kołchozu. Do wspólnego gospodarowania wyraziło chęć zaledwie kilkunastu gospodarzy, mimo prowadzonych indywidualnych rozmów przez władze terenowe z właścicielami gospodarstw rodzinnych. Mój ojciec*

został wyznaczony na sekretarza kołchozu, ponieważ był uważany we wsi za człowieka prawego, umiał dobrze pisać, czytać i znał się na rachunkach. Kołchoz powstał w 1940 roku, a rozwiązany został latem 1941 roku, kiedy wkroczyli Niemcy.

Odtwarzając w pamięci warunki życia w okresie okupacji sowieckiej Stefania Górska, z d. Woźniak, we *Wspomnieniach z dzieciństwa i nie tylko*… pisała: *W 1940 i 1941 roku cały czas żyliśmy w niepewności, zdawało się, że w każdej chwili mogą z nami coś zrobić, że my do nich należymy, mogą zrobić, co zechcą. Zaczęło wszystkiego brakować, najbardziej odczuwalny był brak mydła, cukru, zapałek, a o innych rzeczach to się nie mówi. Zaczęły się kolejki, wtedy mówiliśmy ogonki. Ludzie szli do Tarnopola na noc do kolejki, żeby cokolwiek dostać, ale od nas nie było komu iść. Ojciec nie, bo miał pracę w polu, brat nie, bo pracował na folwarku, ja nie, bo miałam dopiero piętnaście lat, a byłam szczupła jak pięć minut. Ale mieliśmy szczęście, że w sklepie pracował kolega mojego brata Jan Piotrowski (brat Zosi). I jak coś przywieźli do sklepu, to on zawsze coś wydzielił dla nas, bodaj jedno mydełko, bodaj paczkę zapałek, to dwadzieścia deko cukierków. Nie było cukru, więc piliśmy herbatę z cukierkiem. Mój Ojciec miał dużo kolegów i znajomych, ludzie zaczęli się wspierać nawzajem. My to chociaż mieliśmy chleb, kaszę, mąkę, ale w mieście zaczęło brakować wszystkiego. Ojciec przywiózł z Tarnopola sodę kaustyczną i przepis jak robić mydło. Mama zabiła kurę i kaczkę. Odważyli ileś tam tej sody i gotowali. Soda rozpuściła i mięso i kości, wylali do płytkiego naczynia, tak żeby dobrze było kroić. No i mieliśmy już mydło. Podzieliliśmy się z siostrą Agnieszką, daliśmy też wujkowi, Babcia zaniosła kawałeczek do cioci Frani. I tak cała rodzina dzieliła się, czym miała.*

I jeszcze krótkie wspomnienia Mariana Kubiszyna, który w korespondencji w lutym 2016 roku opisywał życie w Czołhańszczyźnie po wkroczeniu Rosjan: *Już na drugi dzień, czyli w poniedziałek 18 września, Ukraińcy zajęli sklep kółka rolniczego. Ale na szczęście, polscy mieszkańcy Czołhańszczyzny, członkowie kółka, spodziewając się takiego postępowania, w nocy z niedzieli na poniedziałek, przenieśli towar ze sklepu do prywatnego domu i tam się nim podzielili. Przez cały czas rządów rosyjskich brakowało wszelkich towarów. Od czasu do czasu, naturalnie za kolejką, można było kupić: mydło, sól, którą wożono z Borek z wagonu luzem, bardzo zanieczyszczoną i w domu trzeba ją było wsypać do wody, a następnie przecedzić przez gęste sito i tą wodą solić. Niekiedy można było kupić ciastka i chałwę luzem, również cukier, bardzo rzadko można było dostać materiał na bieliznę, zapałki i naftę do lamp. Na ścianie bocznej wisiała rosyjska bałałajka, ale nikt nie był nią zainteresowany. Inwentarz żywy z folwarku: konie, krowy zostały rozebrane, ale jakimi kryteriami się kierowano i kto o tym decydował, tego nie wiem.*

O trudnościach codziennego życia i zmianach, które przyniosła pierwsza okupacja sowiecka, można przeczytać w VII części wspomnień Marii Markowicz,

z d. Paliwoda *pt. W Bajkowcach na Podolu*: *Po 17 września 1939 roku prawie każdego dnia organizowano w Tarnopolu mitingi poszczególnych grup pracowników, wyrażających poparcie dla władzy radzieckiej. Nikt nie odważył się nie wziąć udziału w tak „spontanicznych" manifestacjach… Ja z siostrą prawie codziennie wyznaczane byłyśmy do bezpłatnego odśnieżania drogi łączącej Tarnopol ze Zbarażem, a dalej z Krzemieńcem, aby umożliwić przejazd w obie strony niekończącym się kolumnom kołowym ze sprzętem wojskowym. Potem późnym wieczorem lub po północy szłam, na zmianę z siostrą, do Tarnopola, aby zająć miejsce w kolejce i następnego dnia kupić kawałek szarego mydła, trochę soli lub zapałki. Zdobycie tego towaru dawało możność odpoczynku przez dzień lub dwa, a później w ten sam sposób zaopatrzyć się w szpulkę nici czy bawełniany podkoszulek. Bez trudu zdobyć można było tylko zabawki dziecięce, a nawet dobrą wodę kolońską czy perfumy. O kupieniu jakiegokolwiek ubrania nie było mowy. Obuwia - poza trampkami - w ogóle nie było w sprzedaży.*

W innym miejscu Maria Markowicz, z d. Paliwoda, pisała: *Tymczasem po dokonanym znienacka w październiku 1939 roku unieważnieniu polskich pieniędzy i wprowadzeniu rubli, miejscowa ludność znalazła się bez środków płatniczych do nabycia najpotrzebniejszych nawet artykułów do życia. W tym pierwszym okresie ruble można było zdobyć, tylko sprzedając towar obywatelowi radzieckiemu.*

Trudne warunki egzystencji w czasie sowieckiej okupacji wynikające z braku środków do życia potęgował strach o życie spowodowany wszechobecnym terrorem, aresztowaniami z powodów politycznych, zwłaszcza inteligencji, rozstrzeliwaniami, wywózkami.

Ani w opowiadaniach , ani we wspomnieniach czernielowian nie odnotowano aresztowań mieszkańców w czasie pierwszej okupacji sowieckiej. Takie aresztowania miały miejsce w Borkach Wielkich. Autorzy opracowania *Великі Бірки. З глубини віків до наших днів* (Borki Wielkie. Od dawnych wieków do naszych dni) pisząc o aresztowaniach i represjach wobec wszystkich kategorii ludności, wspomnieli między innymi o zasądzeniu na 8 lat obozu 42-letniego Wiktora Pachołka, który służył w polskiej policji w latach 1922-1936, a potem był księgowym. Jego późniejszy los był nieznany. Na rozstrzelanie i konfiskatę mienia sąd w Tarnopolu skazał komendanta policji Michała Szczęsnego. Podobnie został skazany na 5 lat obozu inny mieszkaniec Borek, Jewgien Demiańczuk, również księgowy. Jego przestępstwem był udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1921. Jego los również pozostał nieznany.

W sąsiednich Stupkach zostali aresztowani Jan Demczuk i Marian Czepczak. Przebywali jakiś czas w więzieniu w Tarnopolu. Potem zostali wywiezieni w głąb Rosji. Będzie o nich mowa w dalszej części.

Szkoła w czasie wojny

Podczas pierwszej okupacji sowieckiej nauka w szkole w Czernielowie Mazowieckim rozpoczęła się od stycznia 1940 r. Po wkroczeniu Rosjan szkołę urządzono dodatkowo w dworze rodziny Anny i Leona Podleskich. Wspominał o tym Marian Dziadas: *Kiedy pan Podleski opuścił folwark, zrobiono tam drugą szkołę*. Klasy były liczne, początkowo uczyło w niej kilkoro nauczycieli. Dyrektorem szkoły cały czas był dotychczasowy kierownik Józef Skoczylas, krótko w 1940 r. uczyli: Tadeusz Cieplak z Czołhańszczyzny i Marian Murmyło oraz dwie nauczycielki Wiśniewska i Walanowska o imionach Izabela i Maria.

Załatwianie formalności i przygotowania do kilkumiesięcznej, jak się potem okazało, pracy w szkole w Czernielowie Mazowieckim opisał we wspomnieniach *W cieniu historii* Tadeusz Nowak-Cieplak: *Wkrótce po powrocie do domu* (we wrześniu 1939 r. – dop. K.M.) *dowiedziałem się, że do Czernielowa Mazowieckiego przyjechał Franek Murmyło z żoną i trzema synami i zamieszkał u swojej siostry. Jeden z jego synów - Marian, chodził do tego gimnazjum co ja i zdawał maturę w dwa lata po mnie. W niedzielę wybrałem się na sumę do kościoła w Czernielowie. Po mszy spotkałem się z Murmyłami i poszedłem do nich na pogawędkę. Opowiedzieli mi o gehennie swej ucieczki z kolonii w powiecie podhajeckim. Dziękowali Bogu, że uszli z życiem. Jako rodak czernielowski Franek znał we wsi wszystkich i wszyscy jego. Powiedział mi, że parę dni temu rozmawiał z dyrektorem szkoły, panem Skoczylasem i ten bardzo namawiał Mariana na posadę nauczyciela w jego szkole. „Szkoła w Czernielowie - mówił Skoczylas- jest z polskim językiem wykładowym i takim nadal pozostanie. Do końca roku szkolnego będziemy używać starych podręczników, bo nowe sowieckie będą gotowe dopiero za rok. Nie będzie więc wtłaczania dzieciom do głów propagandy politycznej. Jeśli się Marian na to zgodzi, to od 1 stycznia 1940 roku będzie miał płatne zajęcie, które bardzo pomoże rodzinie powiązać koniec z końcem". Wszyscy zgodziliśmy się z tym, że oferta Skoczylasa jest interesująca. Wszyscy wiedzieliśmy już wtedy, że praca jest bardzo ważna dla każdego, kto mieszka w Związku Radzieckim: chroni bowiem przed posądzeniem przez władze o pasożytnictwo, nieróbstwo, a w efekcie przed jakimś obozem pracy na Syberii. Umówiliśmy się z Marianem, że nazajutrz wybierzemy się do dyrektora Skoczylasa na rozmowę. Przywitał nas bardzo serdecznie i ucieszył się, gdy powiedzieliśmy, że obaj chcemy doszlusować do jego grona nauczycielskiego. Dał nam list do kierownika zarządu szkolnego w Tarnopolu, niejakiego Iwanczenki, z zawiadomieniem, że chce nas zatrudnić w swojej szkole jako nauczycieli od początku stycznia. Wkrótce po tym pojechaliśmy z Marianem do Tarnopola. W zarządzie szkolnym spotkaliśmy dyrektora naszego gimnazjum doktora Adama Heilperna, od którego otrzymałem kopie swojego świadectwa dojrzałości, którego oryginał został na uniwersytecie w Warszawie. To świadectwo z podpisem i pieczęcią*

dyrektora było jedynym dokumentem, jaki wywiozłem z Polski, i strzegłem go jak oka w głowie przez całe życie. Wizyta u Iwanczenki skończyła się pomyślnie. Na świstku papieru napisał, że zgadza się na zatrudnienie nas w szkole w Czernielowie Mazowieckim od stycznia przyszłego roku. Dyrektor Skoczylas był z tych papierków Iwanczenki bardzo zadowolony i nauczycielki - Izabella i Marysia - również, bo od nowego roku będą miały mniejsze klasy.

Wspomnienia Tadeusza Cieplaka co do terminu rozpoczęcia w czasie okupacji sowieckiej zajęć w szkole w Czernielowie od stycznia 1940 roku są zbieżne z wspomnieniami Jana Bachalskiego, który zanotował: *Nie pamiętam dokładnie, kiedy otworzyli szkołę. Mogło to być w grudniu albo w styczniu już 1940 roku. Wiem, że było bardzo zimno. Językiem wykładowym był polski, ale uczyliśmy się też rosyjskiego i ukraińskiego. Język polski jako wykładowy był chyba dlatego, że nasza wieś w około 95% była wsią polską, a języka ukraińskiego niewiele kto umiał*.

Tadeusz Cieplak uczył w szkole w Czernielowie Mazowieckim do czerwca 1940 roku. Prawdopodobnie z powodu wizytacji inspektora szkolnego z Tarnopola, który przekazał dyrektorowi szkoły opinię o braku akcentu rosyjskiego w klasach prowadzonych przez jego nauczycieli, po wakacjach przeniesiono go do szkoły w Czernielowie Ruskim, gdzie językiem wykładowym był ukraiński, a dzieci uczyły się z sowieckich podręczników *pełnych peanów na cześć komunistycznych przywódców, nowego ustroju, w którym żyją szczęśliwi obywatele sowieccy*.

Do tej szkoły w Czernielowie Ruskim w tym czasie uczęszczał urodzony w 1928 roku Marian Figiel. Wspominał o tym w wywiadzie dla „Gazety Lubuskiej" zatytułowanym *Jak nam nie kochać tej ziemi.*

Jednakże po dwóch tygodniach nowego roku szkolnego 1940/1941 wraz z grupą czernielowian Tadeusza Cieplaka zabrano na wschód. Będzie o tym mowa.

Czynna była też istniejąca od 1912 r. szkoła w Czołhańszczyźnie. Uczęszczał do niej Marian Kubiszyn. Jest na zdjęciu z października 1942 r. z dużą grupą dzieci i nauczycielem. W liście przysłanym w lutym 2016 r. o swojej szkole Marian Kubiszyn napisał: *1 września 1939 roku miałem rozpocząć edukację w drugiej klasie, lecz w wyniku napaści w tym dniu przez Niemcy, szkoła została zamknięta aż do odwołania. 17 września nasz kraj został zaatakowany przez wschodniego sąsiada, czyli przez ZSRR i znaleźliśmy się pod okupacją sowiecką. Po kilkunastu dniach nauka w szkole została wznowiona. Ale dzieci, które w ubiegłym roku szkolnym ukończyły pierwszą klasę i miały iść do drugiej klasy, znowu poszły do pierwszej klasy. Radzieckie władze szkolne twierdziły, że w radzieckiej szkole poziom nauczania jest wyższy. I tak rozpoczęliśmy naukę w języku ukraińskim i rosyjskim. Nauczycielem jak dotychczas został Józef Nawarecki. Trzecia i czwarta klasa miała lekcje rano od 8 do 12, natomiast pierwsza i druga klasa uczyła się od 12 do 16 z trzema przerwami. Z początku nie było żadnych podręczników. Dopiero po jakimś miesiącu*

zaczęły regularnie napływać. Jak się nie mylę było siedem przedmiotów: ukraiński, rosyjski, rachunki, biologia, geografia, rysunki i kultura fizyczna. Ale to było chyba już w starszych klasach. Najbardziej dotkliwy był brak zeszytów, które dostarczano bezpośrednio do szkoły, ale bardzo nieregularnie.

Okazało się, że Józef Nawarecki nie był w Czołhańszczyźnie nauczycielem i kierownikiem szkoły przez cały okres wojny. Jak wspominała Maria Cieplak, z d. Piotrowska, po przyjściu Niemców w 1941 r., wyjechał z rodziną do Poczapiniec koło Draganówki, skąd pochodził, i tu kierował szkołą. Gdy Armia Czerwona i Rosjanie po raz drugi przyszli na wiosnę 1944 r. i front zatrzymał się pod Tarnopolem, mieszkańców tych terenów ewakuowano, część z nich przydzielono do Czołhańszczyzny. Wśród nich był Józef Nawarecki ze swoją rodziną: żoną Emilią, z d. Maliszewską, i młodszymi synami Stanisławem i Szczepanem. W tym czasie w budynku szkoły stacjonowało rosyjskie wojsko. Nawareccy na około dwa miesiące zamieszkali w stodole u sołtysa Antoniego Cieplaka. Gotowali i w ciągu dnia przebywali w domu Cieplaków. Córka Nawareckich, Maria, urodzona w 1924 r., i prawdopodobnie syn Tadeusz z 1925 r., w czasie wiosennego poboru otrzymali powołanie do polskiego wojska i znaleźli się w ośrodku formowania w rejonie Sum koło Charkowa, a potem trafili na szkolenie. Maria została pielęgniarką. Będzie jeszcze o niej mowa.

Na Ziemie Zachodnie rodzina Nawareckich wyjechała jednym z pierwszych transportów na przełomie maja i czerwca 1945 r. Według zapisu Antoniego Cieplaka w kalendarzu na 1947 r. zatrzymali się w Chrząstowicach, w powiecie opolskim. Mieszkali też w Ozimku, w Niwkach, gdzie Józef Nawarecki pracował jako nauczyciel i w urzędzie gminy. Ostatecznie osiedlili się w Suchym Borze koło Opola, gdzie również był nauczycielem. Józef Nawarecki zmarł w 1978 r. w wieku 86 lat.

Informacje o rodzinie Nawareckich zaczerpnięto z opracowania Krzysztofa Barcikowskiego *Moi przodkowie - dzieje rodzin…,* tom II, *Nawareccy* oraz na podstawie korespondencji z Stanisławem Cieplakiem, powołującym się na rozmowę z jego mamą Marią Cieplak, z d. Piotrowską.

Trudno powiedzieć czy w czasie nieobecności Józefa Nawareckiego, jak również po jego powrocie na wiosnę 1944 r., w szkole w Czołhańszczyźnie i pod czyim kierownictwem odbywała się nauka. Nie udało się dotrzeć do świadków pamiętających zdarzenia z tamtych lat.

Natomiast, wracając do szkoły w Czernielowie Mazowieckim, warto zwrócić uwagę na przerwy w nauce spowodowane działaniami wojennymi i powtarzanie klasy z powodu zmiany programów nauczania przez okupantów.

Starsi obecnie byli mieszkańcy Czernielowa, których dzieciństwo przypadło na okres wojny, podkreślają kilkakrotne uczęszczanie do tej samej klasy. Marian Dziadas wspominał, że trzykrotnie rozpoczynał naukę w trzeciej klasie - w czasie

pierwszej okupacji sowieckiej, po raz drugi gdy w 1941 r. wkroczyli Niemcy i ponownie gdy znowu przyszli Rosjanie.

Urodzona w 1934 r. Ludwika Dziadas, z d. Jacykowska, opowiadała, że chodziła do szkoły od 1941 r. z przerwami, cały czas była w I klasie. Klasa była bardzo liczna, było w niej około 40 osób. Według niej kierownikiem szkoły był pan Skoczylas, nauczycielki to panie Wiśniewska i Walanowska. Zapamiętała w budynku szkoły dwie duże klasy i korytarz. W klasach stały piece, dwa rzędy ławek, tablica i wiadro z wodą. Na tablicy pisano kredą, dzieci pisały ołówkiem kopiowym w zeszycie. Na zapleczu była część mieszkalna dla nauczycieli.

O swojej nauce w szkole w czasie wojny opowiedziała również urodzona w 1931 r. Maria Jakubiszyn, z domu Żarkowska, córka Piotra i Agnieszki: *Do szkoły odległej ok. 2-3 km chodziłam tylko 1 rok. Później szkoła była w majątku, przerobiona z domu mieszkalnego pana Podleskiego: jedna klasa mieściła się w dawnej sypialni, w salonie była duża klasa z fortepianem i jeszcze jedna klasa w innym pokoju, w sumie były trzy klasy. Do jednej klasy chodziło około 30 dzieci. W starej szkole były 3 izby, były już zeszyty, a dzieci uczyły się również języka ukraińskiego. Jeden nauczyciel uczył wszystkich przedmiotów.*

Natomiast Stanisława Bodnar, z d. Mielnik, która urodziła się w 1933 r., o swojej nauce w szkole, ale dopiero w 1941 r. we wspomnieniach napisała: *W pierwszym roku radzieckiej władzy okupacyjnej skończyłam siedem lat i od września 1940 roku powinnam rozpocząć naukę w szkole powszechnej. Nauki nie rozpoczęłam, bo Rosjanie wprowadzili nowy system edukacyjny, który nie pokrywał się z systemem polskim. Rosjanie uważali, że ich poziom nauczania w szkołach jest wyższy i rekrutację do poszczególnych klas obniżyli o jeden rok. Do klas pierwszych we wrześniu 1940 roku przyjęto uczniów, którzy według polskiego systemu nauczania powinny być w klasie drugiej. Nowego naboru do szkoły nie było. Dlatego ja nie rozpoczęłam nauki w szkole od września 1940 roku. Byłam zawiedziona. Czytania i pisania nauczał mnie mój ojciec w domu.*

Na temat swojej nauki w późniejszym okresie, czyli już w czasie okupacji niemieckiej zanotowała: *Jako dziewczynka w wieku szkolnym cieszyłam się, że po wakacjach pójdę do normalnej szkoły powszechnej, bo dotychczas uczył mnie w domu tylko tata. Rozczarowałam się bardzo, gdy jesienią 1941 roku szkoła w naszej wsi nie została otwarta. Rodzice wytłumaczyli mi, że Niemcom nie zależy na kształceniu polskich dzieci. W tej sytuacji rodzice uzgodnili z nauczycielką wiejską, że będzie uczyła potajemnie mnie i brata za odpowiednim wynagrodzeniem. Na te tajne lekcje chodziłam do domu nauczycielki, nosząc w koszyku jajka lub ser biały niby do sprzedaży, na wypadek gdyby Niemcy chcieli mnie zrewidować. Czasami w słoneczne dni brałyśmy koc i szłyśmy nad rzekę, gdzie nauczycielka przepytywała mnie lub coś opowiadała. Udawałyśmy, że się opalamy. Jednak to nauczanie było*

niesystematyczne, uzależnione od pogody i zagrożeń we wsi. Uczyłam się pisać, czytać, geografii, historii i rachunków (...) Od września 1942 roku Niemcy zezwolili na otwarcie u nas szkoły powszechnej. Nauka w szkole trwała do marca 1944 roku.

Z okresu okupacji niemieckiej Maria Hrycaj, z d. Mielnik, zapamiętała wizytę Niemców w szkole w pobliskim majątku: *Przyszli do szkoły, pamiętam, przyglądali się, jeden z nich w czasie lekcji w mundurze chodził „urzędowo" po klasie, przyglądał się.* W 2018 r. opowiadała o tym Andrzejowi Krywalewiczowi, który jej wspomnienia i jej siostry Stanisławy Piotrowskiej, z d. Mielnik, zapisał w artykule *W Czernielowie Mazowieckim generała Żukowa widziałam na własne oczy*, opublikowanym na portalu chojna24.pl.

A oto wspomnienia o szkole, które zachował urodzony w 1935 r. Marian Murmyło, syn Jana i Marii, z d. Piotrowskiej, wnuk „Pisarza". Mieszkali naprzeciw kościoła, ich sąsiadami byli Stanisław Nietreba i Piotr Kubiszyn. Marian Murmyło jesienią 2015 r. opowiedział: *Z domu do szkoły miałem blisko, około 300 m. W szkole był jeden nauczyciel, uczył dwie klasy, w jednym rzędzie była jedna klasa, w drugim rzędzie druga. W szkole stosowano różne kary: nauczyciel wołał do tablicy, kazał podciągać nogawki do góry, nasypał grykę i kazał klęczeć. Jak to nie pomogło, kazał przyjść ojcu, a ojciec dołożył. Z rana pasłem krowy. O 8 albo o 11 szedłem do szkoły. Jak zaczęła się wojna, Niemcy zajęli szkołę. Chodziłem z chłopakami patrzeć, jak ćwiczą i musztrują. Wtedy szkołę przenieśli do majątku. Gdy w 1944 roku przyszli znowu Rosjanie, zajęcia odbywały się w dawnym budynku szkoły.*

Podobnie z przerwami odbywała się nauka w szkole w sąsiednich Stupkach. Pisał o tym Jewgienij Baran w opracowaniu *Нарисы з гісторыі Стынок* (Szkice z historii Stupek), przypominając, że wybudowana w Stupkach w 1851 r. w centrum wsi szkoła w czasie I wojny światowej została przez wycofujące się wojska rosyjskie spalona. Nową szkołę wybudowano dopiero w 1931 r. jako szkołę czteroklasową. Do 1941 r. nauczycielką była Sabina Szutówna. Gdy rozpoczęła się okupacja niemiecka, szkoła została zamknięta, a w jej pomieszczeniach ulokowało się biuro firmy Otto Hel, która rozpoczęła budowę asfaltowej drogi do Podwołoczysk. W związku z tym, żeby jakiekolwiek nauczanie w czasie okupacji było możliwe na potrzeby nauki połowę swego domu odstąpił Grzegorz Rogowski. Kolejna zmiana w szkole miała miejsce wraz z nadejściem Armii Czerwonej na wiosnę w 1944 r. i zarządzania przez nową władzę radziecką.

Uczniowie ze Stupek uczęszczali również do niedaleko położonej szkoły w Borkach Wielkich. W wspominanym opracowaniu *Великі Бірки...* (Borki Wielkie…) autorzy potwierdzają, że nauka w siedmioklasowej szkole z radzieckim programem i podręcznikami rozpoczęła się 3 stycznia 1940 r. W szkole uczyło 11 nauczycieli, do szkoły uczęszczało 250 uczniów. W czasie okupacji niemieckiej sytuacja była podobna jak w innych szkołach. Nauka odbywała się z przerwami.

Uczniowie szkoły w Czernielowie Mazowieckim, nauczycielki Izabela Wisniewska i Maria Walanowska, 1942-43

Uczniowie szkoły w Czołhańszczyźnie, 9.04.1942 r., pierwszy z prawej w górnym rzędzie Marian Kubiszyn

Mieszkający w Stupkach Zbigniew Kubów o nauce w szkole w Borkach w okresie wojny pisał między innymi: *Po napaści przez Sowietów na Polskę i zajęciu terenów na zachód od rzeki Zbrucz, nauka odbywała się w języku rosyjskim i ukraińskim, polskiego języka nie uczono. Celem wyrównania znajomości języka rosyjskiego, wszystkie dotychczasowe klasy cofnięto o jeden rok nauki. W okresie okupacji niemieckiej językiem wykładowym był ukraiński. Nauka w języku polskim odbywała się przez cztery-pięć miesięcy w pomieszczeniach pałacu hrabiny Marii z Baworowskich Mittrowskiej, która była ostatnią właścicielką pałacu i majątku ziemskiego w XX wieku. Na wiosnę 1942 roku otwarto tam polską szkółkę, ale już latem Niemcy nakazali ją zamknąć, a cały pałac zajęli na własne potrzeby. Ja, mój brat Oktawian i siostra Angelika również do niej uczęszczaliśmy. Program nauki w tej odnowionej szkole obejmował pięć przedmiotów: przyrodę, matematykę, religię, język polski i niemiecki. Wspominana była historia Polski, lecz mocno ukryta w nauce przyrody i religii. Z uwagi na bezpieczeństwo dochodzącej młodzieży z okolicznych miejscowości nauka odbywała się w godzinach od dziewiątej do trzynastej. Po zamknięciu tej polskiej szkółki była możliwość pobierania nauki w szkole ukraińskiej, z czego skorzystało moje starsze rodzeństwo.*

To był trudny czas wojny, kiedy najważniejszym celem we wszystkich rodzinach było zapewnienie wyżywienia i w miarę bezpiecznych warunków życia. Nauka w szkole schodziła na plan dalszy i w niektórych okresach wojny, trwającej kilka lat, nauki nie było.

Wywózki na Sybir

Od początku wojny minęło kilka miesięcy. Przyszła zima, mroźna zima 1940 r. Od 8 lutego Rosjanie rozpoczęli wywózkę Polaków z obszarów okupowanych na Sybir. Była to już wcześniej zaplanowana w Moskwie na dużą skalę akcja deportacji obywateli polskich, głównie Polaków, do łagrów i na przymusowe osiedlenie w północnej części Rosji europejskiej, na Syberię i do Azji Środkowej.

Trzeba podkreślić, że w powszechnej świadomości Polaków zakorzeniło się określenie Sybir zarówno w odniesieniu do rzeczywistego obszaru tej krainy geograficznej, jak i do wszystkich miejsc deportacji Polaków przez Rosjan po wybuchu wojny. Dlatego mówiąc o Sybirze, Syberii i Sybirakach należy pamiętać, że terenem przesiedlenia obywateli polskich był też Kazachstan a także inne rejony Rosji Sowieckiej.

Aby przybliżyć temat deportacji warto zacytować fragment artykułu *Wywózki Polaków na Sybir w czasie II wojny światowej*, którego autorką jest Anna Kubajak: *Wywózki miały na celu zmianę składu narodowościowego ziem polskich, leżących na wschód od Bugu.*

Rosja sowiecka dążyła do zagarnięcia tych ziem II Rzeczypospolitej. Podjęła bezwzględną walkę z polskością.

Zorganizowano cztery wielkie deportacje obywateli polskich: – pierwszą 8–10 II 1940 r., – drugą 12–15 IV 1940 r., – trzecią na przełomie czerwca i lipca 1940 r. oraz czwartą (niedokończoną z powodu ataku Niemiec na Rosję) w czerwcu 1941 r. Obejmowały one całe rodziny.

W czasie pierwszej deportacji wywieziono osadników wojskowych, służbę leśną, urzędników państwowych, nauczycieli, harcerzy, kolejarzy, rodziny żołnierskie i innych. Deportacja odbywała się zimą przy 25°–40° mrozie. W tych trudnych warunkach bardzo dużo ludzi umierało, szczególnie dzieci. Zesłańców kierowano głównie na Syberię do pracy w tajdze. Osiedlano ich w „specposiołkach" o charakterze lagrowym. Istniał tam przymus pracy i zakaz opuszczania obozu.

Druga wywózka objęła rodziny wojskowych, urzędników państwowych, kupców, rodziny aresztowanych. Wywieziono ich głównie do Kazachstanu, ale też w rejon Irkucka i Jakucka. Przeważały tu kobiety z dziećmi.

Trzecia deportacja objęła głównie uchodźców z centralnej i zachodniej Polski, tzw. bieżeńców. Ulokowano ich nad Wołgą i na Syberii.

Czwarta deportacja objęła osoby ze środowisk inteligenckich, ale też działaczy lewicowych i komunistycznych. Miała to być największa deportacja, ale przerwała ją napaść Niemców na ZSRR. Deportowano wtedy zesłańców w rejony Syberii.

Obecnie podawane liczby deportowanych są bardzo rozbieżne. Niektóre źródła podają, że w tym okresie zesłano od 1,5 do 2 mln ludzi, w tym co najmniej połowę stanowili Polacy, pozostałą zaś część obywatele państwa polskiego innych narodowości: Żydzi, Ukraińcy, Białorusini. Większość z zesłańców stanowiły kobiety i dzieci. Liczbę dzieci ocenia się na ponad 30%. Dane te są przedmiotem dyskusji, podobnie jak liczba zesłanych, którzy zmarli na Sybirze. Szacuje się, że do 1945 r. przeżyło zesłanie 554 tys.

Deportacja ludności polskiej w głąb ZSRR zatwierdzona została postanowieniem Rady Komisarzy Ludowych ZSRR 29 grudnia 1939 r. Wydana wtedy została instrukcja dla NKWD ZSRR *O porządku przesiedlania polskich osadników z zachodnich rejonów USSR i BSSR*. Napisano w niej między innymi:

„5. Odprawa osadników na miejsce przesiedlenia odbywa się w składzie 55 wagonów, przygotowanych do zimowego przewozu ludności (w tym jeden wagon osobowy dla ochrony i jeden z przeznaczeniem na wagon sanitarny) (...)

8. Specprzesiedleńcy-osadnicy skierowani zostają do prac leśnych w gestii Narkomlesa do Kirowskiej, Permskiej, Wołgodońskiej, Archangielskiej, Iwanowskiej, Jarosławskiej, Nowosybirskiej, Swierdłowskiej i Omskiej obłasti, do Krasnojarskiego i Ałtajskiego Kraju oraz Komi ASRR i rozmieszczeni na miejscu robót w wydzielonych posiołkach, od 100 do 500 rodzin na każdym.

Wywózki na Sybir odbywały się najczęściej w skandalicznych warunkach higienicznych, z przekroczeniem wszelkich norm humanitarnych. Można o tym przeczytać w wielu wspomnieniach zesłańców. Niektórzy deportowani mieli zaledwie od 15 do 20 minut na spakowanie swojego dobytku. Ludzi stłaczano w wagonach do przewozu bydła, z zadrutowanymi małymi okienkami pod dachem. W kącie wagonu stał mały piecyk zwany kozą. Opału było bardzo mało albo wcale. Za sanitariat służyła wycięta w podłodze dziura. Pociąg zatrzymywał się bardzo rzadko, najczęściej w szczerym polu. Pozwalano wtedy oczyszczać wnętrza wagonów z ciał zmarłych oraz rozdawano gorącą wodę, tak zwany kipiatok. Wielu zesłanych nie przeżyło ciężkich warunków podróży. Szczególnie ciężkie były warunki pierwszego transportu w lutym 1940 roku w czasie wyjątkowo mroźnej zimy.

Zesłańcy przybywali wycieńczeni trudami podróży do łagrów, kolonii pracy lub kołchozów, w których panowały równie ciężkie warunki bytowania i pracy.

Jak pisał Stanisław Ciesielski w artykule *Polscy zesłańcy w Komi ASRR w latach 1940–1941* największa część ofiar deportacji lutowej trafiła na północ Rosji europejskiej, do obwodu archangielskiego i Komi ASRR (w sumie 36%). Do Komi w ramach tej fali deportacyjnej skierowano przymusowych przesiedleńców z zachodnich obwodów Ukraińskiej SRR. Według danych Wojsk Konwojowych NKWD ZSRR skierowano tam 7 transportów z obwodu tarnopolskiego z 9927 zesłańcami, 1 transport z obwodu lwowskiego z 1472 zesłańcami i 1 transport z obwodu stanisławowskiego z 1194 zesłańcami, a więc w sumie 12 593 osoby. Niestety, nie wiadomo, jaka część deportowanych tymi transportami trafiła do Komi ASRR, a w konsekwencji jak wielkie były straty w czasie podróży. Pierwsze dane dotyczące liczebności kontyngentu rozsiedlonego już w Komi odzwierciedlają stan na 1 kwietnia 1940 r. Wówczas doliczono się tam 10 773 tzw. osadników, co stanowiło wówczas 7,4% tego kontyngentu w skali całego ZSRR. Zdecydowanie największym ich skupiskiem w republice stał się rejon priłuzski (54,6%). W drugim pod tym względem rejonie syktywdinskim znalazło się 24,6% tzw. osadników deportowanych do Komi ASRR, czyli ponad dwukrotnie mniej.

Właśnie do Republiki Komi, do rejonu priłuzskiego trafiła większość zesłańców wywodzących się z Czernielowa. Losy niektórych z nich poznamy na podstawie przekazu rodzinnego i samych deportowanych.

Pierwsze wiadomości o wywózkach przez Rosjan Polaków na Sybir dotarły do Czernielowa od kolejarzy ze stacji w Borkach Wielkich. W mroźne, lutowe dni 1940 r. w zamkniętych wagonach jechali ludzie, którzy wcześniej mieszkali w Czernielowie, a po parcelacji ziemi osiedlili się na kolonii w Proszowej, położonej około 30 km na południe od Tarnopola. Oni dali znać pracownikom kolei przez małe okienka w wagonach o tym, że jadą na Sybir.

Wśród stałych mieszkańców Czernielowa nie było aresztowań i wywózek na Sybir ani w lutym, ani w kwietniu czy lipcu 1940 roku. Rosjanie deportowali natomiast z Czernielowa dwie rodziny: Sokołowskich i Sowów–Ratowskich, które kilka lat przed wojną przeprowadziły się ze wsi do pobliskich Borek i po wkroczeniu Armii Czerwonej, obawiając się wywózki, wróciły do swoich bliskich. Poza tymi dwiema rodzinami każdy z mieszkańców wsi znał kogoś albo z bliższej, albo z dalszej rodziny, albo ze znajomych, kolegów, spoza Czernielowa, kogo to nieszczęście dotknęło. W pierwszej kolejności, jak wspomniano, wywózki objęły osadników wojskowych i kolonistów.

Jak opisano w tomie I, w rozdziale *Ziemia, osadnictwo, kolonie i parcelacje,* w latach 30. XX wieku i wcześniej, z Czernielowa Mazowieckiego wyjechało co najmniej kilkanaście rodzin, które na korzystnych warunkach nabyły ziemię z parcelacji i osiedliły się w kilku miejscowościach położonych w promieniu kilkunastu a nawet kilkudziesięciu kilometrów od Tarnopola. Czernielowskie rodziny osiedliły się między innymi w Woli Gołuchowskiej w powiecie podhajeckim, w Buchtance koło Płotyczy, Fedorowiczówce koło Czernychowiec, w Klebanówce w powiecie zbaraskim, w Proszowej koło Mikuliniec, w pobliskich Borkach Wielkich. Do wybuchu wojny rodziny te dużym nakładem środków i ciężkiej pracy zdążyły wybudować nowe domy, zabudowania gospodarcze i okrzepnąć w nowym miejscu.

I właśnie te rodziny, niemal wszystkie, zostały w pierwszej kolejności w lutym 1940 roku wywiezione na Sybir. Wśród rodzin dawniej zamieszkałych w Czernielowie lub takich, gdzie przynajmniej jedno z małżonków wywodziło się z Czernielowa, których dotknął ten straszny los, znalazły się między innymi rodziny: Tomasza Chruszcza, Franciszka Dużego, Mikołaja i Józefa Piotrowskich, AntoniegoWalduna, Bartłomieja Walusza i Tomasza Świcarza - wywiezione z Woli Gołuchowskiej koło Bohatkowic w powiecie podhajeckim, Franciszka Niebieszczańskiego i Michała Kozłowskiego z Buchtanki koło Płotyczy, Marii, z d. Żarkowskiej i jej męża Józefa Niebieszczańskiego z Fedorowiczówki koło Czernychowiec, Pawła Sowy-Ratowskiego, Kolasów i Sokołowskich z Borek Wielkich. Była o nich mowa we wspomnianym wyżej rozdziale o osadnictwie i koloniach.

Z Proszowej została deportowana rodzina Teodozji i Franciszka Rajfurów z czwórką dzieci, a z pobliskich Stupek rodzina Józefa Marchewki i jego żony Marii z Nietrebów z dwójką dzieci. Tu trzeba dodać, że Franciszek Rajfur, syn Tomasza i Justyny, z d. Lak, i Maria Marchewka, z d. Nietreba, córka Ignacego i Agnieszki, pochodzili z Czernielowa Mazowieckiego, a Teodozja Rajfur, z d. Marchewka, i Józef Marchewka z Czernielowa Ruskiego.

Ponadto z Woli Gołuchowskiej wraz z rodzinami pochodzącymi z Czernielowa na Sybir zostały wywiezione dwie rodziny: Marcina Rajfura i Franciszka Bednarczuka, wcześniej mieszkające w Kujdańcach, ale spokrewnione z rodzinami czernielowskimi.

Wśród szczęśliwców, którym udało się uniknąć deportacji, była rodzina Franciszka Murmyły, która po wkroczeniu Rosjan we wrześniu 1939 roku, jakby przeczuwając plany sowieckich władz, wróciła z Woli Gołuchowskiej do Czernielowa. Ich syn Marian wraz z Tadeuszem Cieplakiem uczył na początku wojny w czernielowskiej szkole, o czym była mowa.

Do swych dawnych domów w Czernielowie lub do swych krewnych wrócili też z Klebanówki: Anna i Kazimierz Ratowscy z córkami Marią, Salomeą i Franciszką; Michał Andrusyszyn, jego żona i dzieci: Józef i Anna oraz Szymon Maśluk z żoną Franciszką, z d. Szewczuk.

Te rodziny uniknęły deportacji.

Urodzony w 1924 r. Józef Maśluk, który nie wyjechał ze swoimi rodzicami na kolonię do Klebanówki i pozostał w Czernielowie z dziadkami, we *Wspomnieniach* napisał: *Dnia 17 września 1939 r. ZSRR napadł na Polskę. Rodzice, uciekając z kolonii Klebanówka do dziadków w Czernielowie Mazowieckim, od teraz zaczęli się ukrywać. W dzień praca, noc spędzamy na strychu, w stodole, w oborze, w piwnicy, by nie dać się zaskoczyć enkawudzistom, którzy deportowali Polaków, dając im 30 minut na zabranie swych rzeczy osobistych i wprost w nieludzki sposób w bydlęcych wagonach, pod kluczem i strażą, wieźli tysiącami kilometrów na Sybir.*

Rodziny z Woli Gołuchowskiej i z Buchtanki trafiły do obozów w Republice Komi na północy europejskiej części Rosji. Opowiadał o tym latem 2014 r. Wiktor Duży: *Ledwie zdążyliśmy zamieszkać w nowym domu, gdy wybuchła II wojna światowa i na tereny wschodniej Polski 17 września 1939 roku wkroczyli Rosjanie. Miałem 13 lat, mój brat Janek – 11 lat. W lutym 1940 roku niemal wszystkie rodziny z kolonii wywieźli na Syberię, do Republiki Komi. Nie zabrali rodziny Franciszka Murmyły, bo oni zdążyli wrócić do Czernielowa. Nie wywieźli też rodziny Gagatka, bo on pracował we wsi Skomorochy. Pamiętam moment aresztowania: 10 luty 1940 roku, godzina ranna. Podjeżdża pod dom saniami Ukrainiec oraz drugi Ukrainiec i żołnierz NKWD. Wchodzą do mieszkania i żołnierz czyta wyrok. Na zebranie się wyznacza dwie godziny. Nie wolno było nic brać, oprócz odzieży. Naszą rodzinę razem z innymi załadowali na sanie i zawieźli najpierw na stację kolejową Denysów. 6 km do tej stacji jechaliśmy cały dzień. To był bardzo przykry widok. Na stacji Denysów przebywaliśmy trzy doby. Były rodziny nie tylko z Woli Gołuchowskiej, ale również z okolic. A potem zawieźli nas do Tarnopola, gdzie nas przeładowali na szerokie tory i odjazd do „raju". To była bardzo mroźna zima.*

Jechaliśmy do „raju" cały miesiąc. Nasz transport trafił do czterech miejscowości w Komijskiej ARSR, nasza rodzina została skierowana do Werch Lapomos.

Wspomnienia Wiktora Dużego uzupełniła Maria Larenta-Kozyra, wnuczka Tomasza Świcarza, opowiadając o swojej rodzinie. Dodała, że na Sybir z Woli Gołuchowskiej zostali wywiezieni: jej dziadek Tomasz Świcarz, trzecia żona dziadka ze swoimi córkami i ich wspólną córką Józią oraz syn Tomasza, Marian Świcarz.

Pochodzący spod Trembowli a mieszkający również w Woli Gołuchowskiej Stanisław Mróz przekazał autorce w rozmowie telefonicznej kilka zdań o tym aresztowaniu i zsyłce: *10 lutego 1940 r. około 4 rano do wsi wjechali ruscy żołnierze. Dali mieszkańcom 10 minut na zabranie niezbędnych rzeczy. Zabierali ludzi na sanie i do wieczora wieźli na stację kolejową, gdzie czekały wagony. Pociąg jechał dwa tygodnie do stacji kolejowej Muraszi. Stamtąd samochodami wieźli ludzi jeszcze ok. 200 km do miejscowości Górny Lapomos (ros. Werch Lapomos) i Dolny Lapomos, odległe od siebie około 4 km. Rodzina Świcarzów trafiła do Dolnego Lapomosu. Zesłańcy mieszkali w barakach po około piętnaście rodzin (60-70 osób). W baraku na środku był piec, a dookoła prycze. Polacy pracowali od 7 rano do ciemna.*

Jesienią 2015 r. Stanisław Mróz opowiedział sybirskie losy swojej rodziny dziennikarzowi Andrzejowi Krywalewiczowi. Pierwszą część wywiadu, którego tytuł pochodzi od słów piosenki *Dziesiąty luty będziem pamiętali, przyszli Sowieci, gdyśmy jeszcze spali i nasze dzieci na sanie wsadzili* autor opublikował na portalu Chojna24.pl, 2 listopada, a drugą zatytułowaną *W bardzo bliskiej odległości tonących pojawiła się pojedyncza kłoda drzewa. Spojrzałem wtedy w niebo i pomyślałem - „to chyba od Pana Boga"* 22 listopada 2015 r. Oto obszerne fragmenty pierwszej części tego wywiadu i wspomnień Sybiraka dotyczące podróży do miejsca przeznaczenia w Republice Komi: *Kiedy wybuchła II wojna światowa w roku 1939, skończyłem 9 lat. Urodziłem się 12 września 1930 r. w miejscowości Łoszniów, 7 km na północ od Trembowli (...) 12 kwietnia 1939 r. rodzice moi zdecydowali o przeprowadzeniu się do nowo utworzonej w roku 1926 gminy wiejskiej - Woli Gołuchowskiej (w powiecie podhajeckim, województwie tarnopolskim). W dniu agresji ZSRR na Polskę 17 września 1939 r. mój tato został zamordowany przez ukraińskiego nacjonalistę. Do pamiętnego dnia 10 lutego 1940 r. mieszkaliśmy z mamą i rodzeństwem w Woli Gołuchowskiej. Dobrze zapamiętałem datę 10 lutego 1940 roku: Nagle w nocy w mojej wiosce zrobiło się głośno, słychać było głośne, agresywne ujadanie psów, w okna i drzwi mojego rodzinnego domu mocno ktoś walił. Mama powiedziała: „Ktoś się dobija do drzwi...". Leżałem w łóżku i zapamiętałem sołdata ze skierowanym w kierunku domowników karabinem z zamocowanym bagnetem. Głośno oznajmił, że w ciągu 10 minut musimy opuścić dom i oczekiwać na wskazanym miejscu na dalsze decyzje. Mama w pośpiechu zapakowała pościel, natomiast ja z rodzeństwem: Anielą, Władysławem, Marią i najmłodszą siostrą Jadzią, która urodziła się w 1938 r.*

ubieraliśmy się. Zapamiętałem, że grupa opuszczających swoje domy Polaków była bardzo duża. Jechaliśmy na saniach. Było zimno, pierwszych chwil nie pamiętam. Po pewnym czasie wjechaliśmy na obszar równiny, nie było tam żadnego wzniesienia. Wtedy zwróciłem uwagę na długą kolumnę sań przemieszczających się wraz z deportowanymi rodakami. Z uwagi na płaski teren określiłem jej długość na około 3 kilometry. Dotarliśmy do stacji kolejowej Denysów, która znajduje się pomiędzy Lwowem i Tarnopolem. W rozmowach wspominano o celowym wyborze małych stacji kolejowych przez organizujących deportację, aby nie zwracać uwagi mieszkańców oraz uniknąć zorganizowanych protestów polskiej ludności. Oczekiwał nas skład drewnianych wagonów, które wcześniej najprawdopodobniej służyły do przewozu bydła. Wagony zostały specjalnie przystosowane; zamontowano nary, czyli prycze umieszczone po obu stronach wagonu, które w naszej tułaczce służyły do spania i siedzenia. Deski pachniały żywicą. W pobliżu drzwi, w środku wagonu został wycięty otwór służący do załatwiania potrzeb fizjologicznych. W wagonach stały żelazne piece ogrzewane drzewem i węglem. Na dużych stacjach otwierano drzwi wagonów i do przygotowanych metalowych wiader wlewano zupę z prosa, zwaną pszoniana. Transportu strzegli uzbrojeni konwojenci. Istniała instrukcja konwojowania deportowanych wyznaczająca w składzie pociągu 55 wagonów, przystosowanych do transportu ludzi w warunkach zimowych. Wagony wyposażone były w piecyk, tak zwaną tiepłuszkę. Instrukcja przewidywała w każdym eszelonie, czyli pociągu składającym się z wagonów towarowych transport około 1250-1500 osób, którym przysługiwał jeden ciepły posiłek oraz 800 g chleba na osobę.

W czasie I etapu naszej tułaczki kuzyn mamy (nazywał się Skorupski) mieszkający w sąsiedniej wiosce, dowiedział się o deportacji naszej rodziny i natychmiast pośpieszył z pomocą. Zdobył worek pełen chleba i udał się do Denysowa, mając nadzieję, że zdąży przed odjazdem składu wagonów, przemieszczających się na wschód, w którym umieszczono również moją mamę i nas, dzieci. Spóźnił się jednak, więc wsiadł do pociągu pasażerskiego do Tarnopola, wiedząc, że tam jego bliscy będą mieli postój. Szczęśliwie odnalazł skład pociągu i przekazał rodzinie wiktuały. Dostarczony w worku chleb wystarczył dla całej rodziny do połowy drogi.

Po długiej i ciężkiej podróży, która trwała około jednego miesiąca, dotarliśmy do miasta Kirow, leżącego w europejskiej części Rosji nad rzeką Wiatką. Stacjami rozładunkowymi dla zsyłanych na wschód Polaków mieszkających w dawnym województwie tarnopolskim były stacje Muraszy i Piniug w obwodzie kirowskim. Ostatnim etapem tułaczki było miasto Muraszy, leżące od Kirowa o ponad 100 km w kierunku północnym. Tutaj rozładowano na peron dobytek przywieziony przez Polaków. Na podłodze całego dworca kolejowego były rozsypane trociny.

Spędziliśmy tutaj dwie doby, panował zgiełk i ścisk, pomieszczenia dworcowe ogrzewały ciała ludzi.

Z kilkudziesięcioosobowej lub nawet większej grupy osadników – mieszkańców Woli Gołuchowskiej w powiecie podhajeckim deportowanych do Republiki Komi na dostępnych w Internecie listach ofiar masowych politycznych represji (*Списки жертв*) udało się odnaleźć tylko kilkanaścioro z nich, w tym członków rodziny Piotrowskich, Waldunów i Waluszów.

Według tej listy wszyscy zesłani pochodzący z Woli Gołuchowskiej zostali skazani 10 lutego 1940 r. Byli to: urodzony w 1885 r. Józef Piotrowski, syn Bartłomieja i jego żona Antonina, urodzona w 1890 r., oraz syn Jan z 1919 r. i córka Maria z 1925 r. Ta rodzina przebywała w specposiołku Soksja.

Natomiast w specposiołku Lapomos (Lapomos Górny i Dolny) według tej listy zamieszkali na zesłaniu trzej synowie Mikołaja Piotrowskiego: urodzony w 1921 roku Józef, z 1924 roku Jan i Marian z 1929 roku. Była tu też prawdopodobnie ich matka Maria Piotrowska, córka Karola. Do tego samego specposiołka trafili Waluszowie: urodzony w 1896 roku Bartłomiej, syn Jana, prawdopodobnie z żoną Pauliną, córką Wojciecha, urodzoną w 1897 roku, ich synowie Leon z 1927 r., Marian z 1924 r., Jan z 1934 r. i córka Leokadia z 1931 r. W Lapomosie byli też Waldunowie: Antoni, urodzony w 1888 r., jego żona Józefa z 1893 r. i młodszy syn Marian, urodzony w 1921 lub 1923 r.

W spisie odnotowano również urodzoną w 1911 roku Janinę Piotrowską, córkę Jana, z tym że przebywała ona w specposiołku Gobszor w priłuzskim rajonie.

Przy braku danych o miejscu urodzenia trudno na podstawie powyższych informacji potwierdzić, czy wszyscy oni mieli czernielowskie korzenie. W *Księdze pamięci Republiki Komi* brak również informacji o dalszych losach skazanych.

Natomiast Kris Fenwick, poszukując informacji o miejscach pobytu na zesłaniu rodziny Niebieszczańskich i spokrewnionych z nimi Kozłowskich z Buchtanki koło Płotyczy, ustaliła, że rodziny te przebywały w priłuzskim rajonie w specposiołkach Noszul (Ношуль-База) i Soksja (Сокся).

W dostępnych w Internecie *Księdze pamięci Republiki Komi* i listach ofiar masowych politycznych represji Kris znalazła potwierdzenie zesłania do bazy w Noszulu urodzonego w1897 r. w Czernielowie Michała Kozłowskiego, syna Bartłomieja oraz pobytu w Soksji urodzonej w Czernielowie w 1905(3) r. Marii Niebieszczańskiej, córki Karola, jej męża urodzonego w 1903 r. w Czernielowie Józefa Niebieszczańskiego, syna Antoniego, oraz dzieci Bronisławy Niebieszczańskiej, córki Józefa, z 1929 roku i Leona Niebieszczańskiego, syna Józefa, z 1936 r.

Spędziliśmy tutaj dwie doby, panował zgiełk i ścisk, pomieszczenia dworcowe ogrzewały ciała ludzi.

Z kilkudziesięcioosobowej lub nawet większej grupy osadników – mieszkańców Woli Gołuchowskiej w powiecie podhajeckim deportowanych do Republiki Komi na dostępnych w Internecie listach ofiar masowych politycznych represji (*Списки жертв*) udało się odnaleźć tylko kilkanaścioro z nich, w tym członków rodziny Piotrowskich, Waldunów i Waluszów.

Według tej listy wszyscy zesłani pochodzący z Woli Gołuchowskiej zostali skazani 10 lutego 1940 r. Byli to: urodzony w 1885 r. Józef Piotrowski, syn Bartłomieja i jego żona Antonina, urodzona w 1890 r., oraz syn Jan z 1919 r. i córka Maria z 1925 r. Ta rodzina przebywała w specposiołku Soksja.

Natomiast w specposiołku Lapomos (Lapomos Górny i Dolny) według tej listy zamieszkali na zesłaniu trzej synowie Mikołaja Piotrowskiego: urodzony w 1921 roku Józef, z 1924 roku Jan i Marian z 1929 roku. Była tu też prawdopodobnie ich matka Maria Piotrowska, córka Karola. Do tego samego specposiołka trafili Waluszowie: urodzony w 1896 roku Bartłomiej, syn Jana, prawdopodobnie z żoną Pauliną, córką Wojciecha, urodzoną w 1897 roku, ich synowie Leon z 1927 r., Marian z 1924 r., Jan z 1934 r. i córka Leokadia z 1931 r. W Lapomosie byli też Waldunowie: Antoni, urodzony w 1888 r., jego żona Józefa z 1893 r. i młodszy syn Marian, urodzony w 1921 lub 1923 r.

W spisie odnotowano również urodzoną w 1911 roku Janinę Piotrowską, córkę Jana, z tym że przebywała ona w specposiołku Gobszor w priłuzskim rajonie.

Przy braku danych o miejscu urodzenia trudno na podstawie powyższych informacji potwierdzić, czy wszyscy oni mieli czernielowskie korzenie. W *Księdze pamięci Republiki Komi* brak również informacji o dalszych losach skazanych.

Natomiast Kris Fenwick, poszukując informacji o miejscach pobytu na zesłaniu rodziny Niebieszczańskich i spokrewnionych z nimi Kozłowskich z Buchtanki koło Płotyczy, ustaliła, że rodziny te przebywały w priłuzskim rajonie w specposiołkach Noszul (Ношуль-База) i Soksja (Сокся).

W dostępnych w Internecie *Księdze pamięci Republiki Komi* i listach ofiar masowych politycznych represji Kris znalazła potwierdzenie zesłania do bazy w Noszulu urodzonego w1897 r. w Czernielowie Michała Kozłowskiego, syna Bartłomieja oraz pobytu w Soksji urodzonej w Czernielowie w 1905(3) r. Marii Niebieszczańskiej, córki Karola, jej męża urodzonego w 1903 r. w Czernielowie Józefa Niebieszczańskiego, syna Antoniego, oraz dzieci Bronisławy Niebieszczańskiej, córki Józefa, z 1929 roku i Leona Niebieszczańskiego, syna Józefa, z 1936 r.

Galyna, prawnuczka Tomasza Murmyło powołując się w korespondencji na wspomnianą wyżej *Księgę pamięci* https://base.memo.ru/person/show/329832 wymieniła skazane 10.02.1940 ofiary terroru politycznego osiedlone w Noszul-baza, wcześniej zamieszkałe w Buchtance: Michała Kozłowskiego, syna Barłomieja, jego

żonę Eudoksję, teściową Teklę Jacykowską, dzieci Kozłowskich: córkę Genowefę i synów Mariana i Mieczysława.

Galyna napisała też o deportowanych przez władze sowieckie jej pradziadkach i rodzinie ich córki. W 1940 roku z Buchtanki zostali wywiezieni do Republiki Komi urodzony w 1883 roku Tomasz Murmyło i jego żona Maria, z domu Jacykowska, rocznik 1890. Ich „przewinieniem" było to, że byli rodziną osadnika wojskowego. Jak wspomniano w I tomie w podrozdziale *Ziemia, osadnictwo, kolonie i parcelacje* Tomasz Murmyło jako weteran I wojny światowej nabył ziemię z parcelacji w okolicach Buchtanki. Osadnicy wojskowi w pierwszej kolejności znaleźli się na listach NKWD do wywiezienia na Sybir i w transportach w lutym 1940 roku trafili do miejsc zesłania.

Razem z rodzicami Marią i Tomaszem Murmyło została deportowana z rodziną ich córka Katarzyna Jarosz. W tomie 5 *Księgi pamięci Republiki Komi* wymieni są: Katarzyna Jarosz, z d. Murmyło, córka Tomasza, urodzona w 1909 roku, jej mąż Tymoteusz Jarosz z 1902 roku oraz ich dzieci: urodzona w 1928 roku córka Waleria, druga córka Eugenia z 1930 roku i syn Zenon z 1935 roku.

Wywózki na Sybir, zdjęcie z Internetu

Wszyscy oni przebywali w ASSR Komi w osadzie specjalnej Noshul-Baza, w rejonie priłuzskim.

Maria i Tomasz Murmyło nie przeżyli trudów zesłania, obydwoje spoczywają na nieludzkiej, sybirskiej ziemi. W indeksie represjonowanych podana jest data zwolnienia Marii Murmyło 27.08.1941 r. Jest to prawdopodobnie data jej śmierci.

W tej samej *Księdze* zarejestrowano zesłanie z Woli Gołuchowskiej do Lapomosu rodziny Chruszczów: Tomasza, syna Piotra, ur. 1898 r.; Franciszki, córki Pawła, ur.1903 r. oraz Bronisławy, córki Tomasza, ur.1933 r.; Dominiki, córki Tomasza, ur. 1935 r.

Naocznym świadkiem wywozu z Czernielowa na Sybir rodziny Sokołowskich był Tadeusz Cieplak. Opisał to w swoich wspomnieniach „*W cieniu historii*": *Codziennie rano i po południu szedłem piechotą do Czernielowa Mazowieckiego rzadko uczęszczaną drogą. Pewnego ranka w lutym zauważyłem na drodze troje sań. Na pierwszych i trzecich saniach za woźnicą cywilem siedziało paru żołnierzy z bagnetami na karabinach. Na środkowych saniach z małym bagażem ulokowana była rodzina Sokołowskich z dwojgiem dzieci. Wszyscy byli bardzo zapłakani. Pozdrowiłem ich, ale pan Sokołowski tylko odkiwnął mi głową. To był dzień wywózki Polaków z Małopolski Wschodniej. Sokołowscy jechali na Sybir. Obstawa wojskowa była po to, by nie próbowali uciekać. Odprowadzała ich do stacji kolejowej w Borkach Wielkich, gdzie później mieli dołączyć do specjalnego pociągu wiozącego zesłańców z innych miejscowości.*

W tym samym fragmencie wspomnień Tadeusz Cieplak dodał, że taki sam los, czyli wywózka na Sybir w lutym 1940 r., spotkał jego kuzynów Marchewków, pochodzących z Czernielowa Ruskiego, którzy kilkanaście lat temu osiedlili się na kolonii w Proszowej koło Mikuliniec, na południe od Tarnopola. Trzech braci z żonami i dziećmi miało tam trzy piękne gospodarstwa. Rodzice z synem Wiktorem mieszkali razem z rodziną jednego z synów.

Dalej autor wspomnień opisał tragiczne losy tej rodziny: Na jakiejś stacji przed Podwołoczyskami Marianowi Marchewce wraz z żoną i czteroletnią córeczką udało się wymknąć z transportu. Po kilku dniach dotarli do domu na kolonii w Proszowej. Dom nie był jeszcze zamieszkały. Ale w dzień lub dwa po powrocie wszystkich ich spotkała śmierć od kuli mordercy.

Jak pisał Tadeusz Cieplak we *Wspomnieniach*, pozostałe rodziny Marchewków po długim czasie podróży wysadzono na jakimś pustkowiu w Krasnojarskim Kraju. Matka ich zmarła na atak serca w parę miesięcy po przywiezieniu na Syberię, a ojciec zmarł dwa lata później.

Inny przebieg zdarzeń dotyczący rodziny Mariana Marchewki z Proszowej, a wcześniej z Czernielowa Ruskiego, przedstawił w korespondencji Zbigniew Kubów, siostrzeniec wspomnianych przez Tadeusza Cieplaka jego kuzynów Marchewków, opisując historię swojej rodziny ze strony mamy Katarzyny Kubów, z d. Marchewka: 29-letni Marian Marchewka został zabrany na Sybir razem ze swoimi rodzicami Antonim i Heleną Marchewkami. W czasie przymusowej podróży dwukrotnie udało mu się zbiec z transportu, jeszcze na terenie Rosji, niedaleko od granicy polsko-rosyjskiej z 1939 r. Jak opisywał Zbigniew Kubów, Maria, żona Mariana, w dniu wywózki była u swoich krewnych w Hałuszczyńcach i uniknęła deportacji. Marian po ucieczce ukrywał się przed sowieckimi władzami. Kiedy latem

Niemcy wyparli Sowietów z Kresów Marian Marchewka z żoną Marią wrócili do Proszowej na swoje gospodarstwo. Nie uniknęli jednak śmierci. W dniu 11 września 1941 r. zostali bestialsko zamordowani przez ukraińskich napastników. Najpierw zamordowano ich dwuletnią córeczkę Krysię, później żonę Marię i na końcu związanego drutem kolczastym Mariana.

Losy pozostałych członków rodziny Marchewków zostaną opowiedziane w dalszej części.

Jak to się stało, że Tadeusz Cieplak spotkał rodzinę Sokołowskich na swojej drodze z Czernielowa Ruskiego do Mazowieckiego, mimo że rodzina ta od pewnego czasu mieszkała w Borkach, wyjaśnił Marian Dziadas: *Sokołowscy mieszkali w Borkach, ale wrócili do Czernielowa, bo tam bali się wywózki, czego i tu nie uniknęli. Z rodziny Sokołowskich wywieziony był Piotr z żoną Katarzyną i trójką dzieci: Franciszek, rocznik ok. 1924, Jan - 1928 i Marian - 1931. Po pierwszej żonie był tam jeszcze syn Józef (ur. ok. 1921 r.), ale on uciekł, czy nie było go w chwili aresztowania i nie był wywieziony. Na Syberii zmarł Piotr i syn Jan.*

Taki sam los jak Sokołowskich spotkał drugą rodzinę z Borek: Sowów -Ratowskich. Paweł Sowa kilka lat przed wojną ożenił z wdową Rozalią Ratowską, z d. Rajfur, z dwójką dzieci: synem Józefem z 1922 r. i córką Janiną z 1925 r. Po jakimś czasie zakupili ziemię z parcelacji w Borkach i tam zamieszkali. Urodziła się im córka Bronisława. Oni również, spodziewając się niebezpieczeństwa wywozu na Sybir, tak jak Sokołowscy wrócili do Czernielowa. Niestety, jak wcześniej wspomniano, plany deportacji polskich rodzin były dawno przygotowane i skrupulatnie realizowane. Rodzina Sowów-Ratowskich, dwoje dorosłych i troje dzieci, nie uniknęła wywózki na Sybir.

O rodzinie Sokołowskich i swoim koledze kilka zdań we *Wspomnieniach* napisał też Jan Bachalski, syn Józefa: *No i nadeszła ta noc, a było to między 8 a 10 lutego 1940 roku. Przychodzę do szkoły, ale mojego kumpla z ławki nie ma. Na pierwszej lub drugiej przerwie ktoś mi mówi, że Józia Sokołowskiego wywieźli na Sybir. Ja się przeraziłem, zasmuciłem, ale równocześnie ucieszyłem. Zasmuciłem się, że kolegę wywieźli i będzie miał dopiero ciężkie życie na Syberii. Ucieszyłem się, że mojej rodziny nie wywieźli, przynajmniej tym razem. Jak się okazało, wywózka w naszej wsi była ograniczona tylko do dwóch rodzin, do tak zwanych kolonistów. Ojciec Józia Piotr Sokołowski, kolega mojego ojca, krótko przed wojną sprzedał swoje gospodarstwo i kupił w Borkach Wielkich trochę ziemi z parcelowanego podupadającego majątku. Drugą wywezioną rodziną była rodzina nosząca nazwisko Sowa. Oni byli w identycznej sytuacji co Sokołowscy. Nastąpiło odprężenie, oczywiście chwilowe, bowiem nikt nie wierzył, że to już koniec z Sybirem.*

Jan Bachalski pisał we *Wspomnieniach* o swoim koledze Józiu Sokołowskim, ale jego rówieśnikiem był Marian i prawdopodobnie jego miał na myśli. Józefowi

Sokołowskiemu natomiast, starszemu o 10 lat od Mariana, jak wspominają czernielowianie, rzeczywiście udało się uniknąć wywózki na Sybir.

Ratowscy i Sokołowscy byli spokrewnieni ze sobą. Żoną Piotra Sokołowskiego była Katarzyna Ratowska, siostra Franciszka Ratowskiego, pierwszego męża Rozalii, z domu Rajfur. Los rodzin Sowów-Ratowskich i Sokołowskich nie jest dokładnie znany. Ponoć najpierw trafili do Kazachstanu, a później znaleźli się w pasiołku Ozierki nad Tawdą w rajonie Tabory w obwodzie swierdłowskim, w swierdłowskiej obłasti jak mówiono.

Do posiołka Ozierki wraz z innymi rodzinami z Borek trafiły też Wiktoria Kolasa i jej córki: starsza, urodzona w 1913 roku, Maria Studenna z córeczką i młodsza, z 1919 roku Franciszka. Pochodzące z Czernielowa rodziny Kolasów - rodzice Jan i Wiktoria - z rodziną córki Marii i z najmłodszą córką Franciszką, dorośli synowie Jan i Antoni z rodzinami, mieszkali w Borkach Wielkich na ziemi z parcelacji. Zamieszkali tam wraz z innymi rodzinami około 1930 roku. Jan Kolasa, senior, jako uczestnik I wojny światowej i wojny w 1920 roku, korzystał z ulgi przy zagospodarowaniu ziemi na kolonii. Mimo że on sam zmarł w 1937 roku, jego najbliżsi, którzy mieszkali wcześniej razem z nim w nowo budowanym domu, znaleźli się na liście do wywózki na Sybir. Nie zostali wytypowani do deportacji mieszkający oddzielnie synowie: Jan i Antoni z rodzinami. Trzeci syn, Franciszek, nie mieszkał w tym czasie w Borkach.

Prawdopodobnie posiołek Ozierki nad Tawdą był miejscem zsyłki dla większej grupy mieszkańców pochodzących z Borek Wielkich.

W elektronicznym wydaniu „Echa Złotoryi" z września 2010 r. ukazał się artykuł Danuty Sosy pt. *Utracone dzieciństwo*, w którym na podstawie rozmowy z Walerią Biernacką, z d. Kotarską, opisano losy rodziny Kotarskich wywiezionej z Borek w lutym 1940 roku do Ozierek. Urodzona 19 lutego 1933 r. Waleria była najmłodszym dzieckiem w rodzinie. Oto pochodzący z tego artykułu opis momentu aresztowania i niechcianej podróży: *Nadchodziła kolejna mroźna noc. Mieszkańcy Borek Wielkich zakończyli obrządek, spożyli lekką kolację. Niektórzy, nie wiedzieć czemu, jakoś dłużej i żarliwiej się modlili, polecając opiece boskiej rodzinę. Zasnęli nawet maruderzy. Wieś spowiła ciemność i cisza... Nagle, w spokój nocy wdarły się pojedyncze wystrzały i nawoływania. Z każdą chwilą potęgował się hałas. Dominowały męskie głosy: groźne, stanowcze, wrogie. Coraz głośniej, przejmująco płakały dzieci i zawodziły kobiety. Pamiętnej nocy 10 lutego 1940 r., po oddaniu strzałów w powietrze, do domu wdarli się Rosjanie i Ukraińcy. Wszystkich mężczyzn ustawiono twarzą do ściany. Mama dostała pół godziny na spakowanie się (...) Pani Andrzejowa była bardzo praktyczną kobietą, opanowała strach i zgromadziła w dwóch amerykańskich kufrach odzież, a potem jeszcze dorzuciła kilka przydatnych przedmiotów i żywność. (Wkrótce kufry utracono z całą zawartością). Rodzina*

Kotarskich trafiła na listę zesłańców na Sybir. Wszystkich zapakowano do bydlęcych wagonów. Podróż była długa i skomplikowana. Kiedy ze zmęczenia Waleria zasnęła na podłodze wagonu nawet nie poczuła, że jej włosy przymarzły do desek. Obudziło ją przeraźliwe zimno, ale nie mogła się ruszyć. Przecież nikt jej nie trzymał, a jednak. Serce trzepotało się w maleńkiej piersi. Narastał strach. Na ratunek pośpieszył Czesiek Piekoszewski, chłopiec z sąsiedztwa. Powoli nożyczkami odcinał kolejne pasemka włosów, aż wreszcie uwolnił dziewczynkę z mroźnej uwięzi. Mama utuliła w ramionach małą rozczochraną istotkę. Przypadkowe cięcia odebrały resztę urody. Walerka wyglądała tak żałośnie, że aż wzruszająco. Zasnęła i nawet nie poczuła spływających po jej twarzy matczynych łez. Marzenia senne przeniosły ją gdzieś do lepszego świata. Z całą pewnością to nie był „ten świat", który się działo. Nie licząc epizodu z włosami, długą drogę Walerka zniosła na tyle dobrze, że nie zachorowała ciężko i ostatecznie przeżyła koszmar zesłania. Żyje (...), ale dolegliwości zdrowotne i ból nie opuszczają jej. Jednak najboleśniejsze są wspomnienia, miota się wtedy jak ranny ptak, targają nią sprzeczne uczucia, jest pełna gniewu, żalu za bliskimi, utraconym dzieciństwem, doświadczanym wyzyskiem i upokorzeniem. Za co! Dlaczego? Kiedy dobili do celu, pod pociąg podjechały ciężarówki. Kolejna przesiadka. Nieludzkie warunki i niskie temperatury doprowadzały najsłabszych do chorób i zgonów. Pani Waleria wspomina: „Dotarliśmy do rzeki Tawda, a stamtąd przeładowaliśmy się na barki. Tak nas wieźli aż do Ozierek w świerdłowskoj obłasti. Był marzec. Zamieszkaliśmy w wielorodzinnym baraku, według zasady: jedna izba dla jednej rodziny, bez względu na jej liczebność".

W pasiołku Ozierki według Zbigniewa Kubowa osadzono też rodzinę Józefa Marchewki, jego żonę Marią, ich córkę Janinę i syna Kazimierza. Jak wcześniej wspomniano, Maria Marchewka pochodziła z Czernielowa Mazowieckiego. Była córką Ignacego Nietreby i Agnieszki ze Smolskich. Po zawarciu małżeństwa, w 1929 r. młodzi sprzedali swoje posiadłości w rodzinnych wsiach w Czernielowie Ruskim i Mazowieckim, nabywając nowe w Proszowej i tam zamieszkali z rodzicami. Dalsze ich losy Zbigniew Kubów opisał następująco: *W 1937 roku sprzedali obszar ziemski w Proszowej i zakupili w Borkach Wielkich, powiększając go z 12 morgów do 30 morgów. Rok wcześniej, to jest w 1936 roku, kupili mały, stary dom mieszkalny na niewielkiej posesji, który miał służyć do czasu budowy nowego domu i całego gospodarstwa w Borkach Wielkich na tak zwanej kolonii. W tym też czasie wspólnie z Julianem Dąbrowskim uzyskali prawa do eksploatacji tak zwanego srebrnego piasku w Stupkach, bardzo dobrego i poszukiwanego do budowy nowoczesnych i ekskluzywnych obiektów. Również w tych latach Józef Marchewka rozpoczął wydobycie kamienia budowlanego zwanego opoką z góry kamiennej, która wchodziła w obszar jego ziemskiej posiadłości w Borkach, a którą nabył z parcelacji majątku ziemskiego. Interes dochodowy zaczął się rozkręcać. Niestety, krótko, bo już*

10 lutego 1940 r. cała rodzina z dwójką dzieci: dziewięcioletnią Janiną i niespełna czteroletnim Kazimierzem zostali deportowani do Rosji i osiedleni w obłasti Swierdłowsk, posiołok Ozierki. Wywiezienie na Sybir nastąpiło ze Stupek transportem kolejowym ze stacji w Borkach Wielkich. Pamiętam dokładnie, jak razem z moją mamą chodziliśmy na stację do Borek, donosząc ugotowane ciepłe potrawy i inne produkty dłuższej przydatności do spożycia.

Jak z tego widać prawdopodobnie wszyscy deportowani mieszkańcy z kolonii w Borkach trafili do opisywanego posiołka Ozierki.

Do innej części Związku Radzieckiego, do północnego Kazachstanu zostały wywiezione w kwietniu 1940 r. rodziny ze Stupek. Nie ustalono czy wszystkie w tym samym czasie. Według Zbigniewa Kubowa*: Oprócz rodziny Józefa Marchewki ze Stupek wywieziono na Sybir jeszcze pięć innych rodzin o nazwiskach: Koryluk, Czepczak, Demczuk, Wysocki i Wójtowicz, z których dwie osoby - Jan Demczuk, sołtys, i Marian Czepczak, kowal - były wcześniej uwięzione. Powodem deportacji dalszych dwóch rodzin Wojciecha Koryluka i Piotra Wysockiego było powołanie ich do wojska na wojnę w 1939 roku. W konsekwencji z rodziny Wojciecha Koryluka na Sybir wywieziono również jego żonę Annę, syna Fryderyka, córkę Eugenię i matkę Anny, Antoninę Andruszewską. Z rodziny Jana Demczuka deportowano żonę Stefanię i córkę Janinę, z rodziny Mariana Czepczaka żonę Marię, syna Bronisława i dwie córki Marię i Adelę, natomiast z rodziny Wysockich - samotnego ojca i powołanego do wojska syna. Rodzina Wójtowiczów składała się z trzech pokoleń i liczyła siedem osób. Tak więc ze Stupek deportowano łącznie 26 osób.*

Uzupełniając wypowiedź Zbigniewa Kubowa, za Jewgienijem Baranem, autorem pracy *Нарисы з гісторыі Стынок* (Szkice z historii Stupek), który wymienił tylko trzech mieszkańców Stupek wywiezionych na Sybir: Jana Demczuka, Mariana Czepczaka i Włodzimierza Wójtowicza, można dodać, że Jan Demczuk był sołtysem wsi w latach 1932-1939.

Bliższe informacje o wspomnianej przez Zbigniewa Kubowa deportacji rodziny Koryluków uzyskano z opracowania genealogicznego przygotowanego w 2003 roku przez Sylwię Rembecką, prawnuczkę Anny i Wojciecha Koryluków. Na podstawie rozmów z babcią Eugenią Wolańską i prababcią Anną Koryluk autorka pracy *Genealogia rodziny repatriantów z Ukrainy* w następujący sposób opisała niechcianą podróż: *Moją babcię Eugenię wywieziono na Sybir 13 kwietnia 1940 r. za to, że jej rodzina i ona byli Polakami. W tym czasie przebywała ona u swoich dziadków ze strony ojca w Kujdańcach. Do domu mojej babci Anny przyszli pracownicy NKWD, czyli policja polityczna z zamiarem wywiezienia całej rodziny na Sybir. Pradziadka Wojciecha nie było, bo po kampanii wrześniowej został internowany na granicy litewskiej, a w 1940 roku po przyłączeniu Litwy do ZSRR wywieziony z innymi polskimi żołnierzami w głąb Związku Radzieckiego. Prababcia*

Anna, jej matka Antonina Andruszewska i Ferdynand, brat mojej babci Eugenii, zostali zabrani na dworzec kolejowy w Borkach Wielkich. Jednak prababcia Anna nie chciała jechać bez swojej córki Eugenii. Do Kujdaniec pojechało po nią NKWD. Na dworzec w Borkach odwiózł ją brat jej ojca Franciszek Koryluk. Po przybyciu babci Eugenii na dworzec, pociąg za godzinę odjechał. Podczas pożegnania bliscy i znajomi płakali (...) Jechali w bydlęcych wagonach, w których były zbite półki, czyli tak zwane prycze (dwa rzędy) i tam spali, dzieci na dole, a dorośli na górze. W rogu wagonu znajdował się wycięty otwór, mający służyć za ubikację. Po drodze na stacjach pociąg zatrzymywał się i Rosjanie dawali „kipiatok", czyli gorącą wodę i „sup", czyli zupę. Postoje na stacjach były bardzo długie, co ułatwiało obserwację nieznanego kraju. Dzieci w czasie jazdy sprawiały wiele kłopotów, dlatego ludzie w wagonach wybrali najpierw starostę wagonowego, a później jego zastępcę. Mogli oni przywoływać do porządku najbardziej nieznośne dzieciaki. Babcia mówiła, że wagony podzielili na rejony, korytarz i piętra. Każdy miał do swojej dyspozycji dokładnie 50 cm kw. Dziurę, która służyła za ubikację, oddzielili parawanem. Ludzie wyznaczyli dyżury kobiet do utrzymania czystości i porządku. Mimo takiej organizacji nadal były kłopoty. Trudno było jechać tylu ludziom w jednym wagonie. Każdy miał do kogoś o coś pretensje, a to, że pieluchy dzieci śmierdzą, innym razem, że ktoś chciał mieć więcej miejsca. Trwała walka o przeżycie. Skłócone kobiety płakały i obiecywały poprawę, tylko po to, by w niedługim czasie znów się pokłócić. Podczas podróży zupę i chleb dostawali co drugi dzień, czasem co trzeci. Przeważnie była to rozgotowana kasza jaglana lub jęczmienna okraszana niezbyt suto olejem. Chleba razowego przypadało po pół kilograma na osobę. W Kijowie dano im bardzo gęstą kaszę mannę. W wagonie, w którym jechała moja babcia zabrakło jej dla wszystkich. Wybuchła o to awantura między dwiema paniami. Aby sprawiedliwie podzielić, każdy odlał ze swojej miski po dwie łyżki zupy. Później stacje zdarzały się rzadko. Wszędzie były tylko lasy i lasy. Co sto czy dwieście kilometrów znajdowała się jakaś mała stacyjka. Czasami nie było ani jednego domu. Wtedy nie dostawali ani zupy ani „kipiatka" (...) Pili surową wodę z rowów, która była żółta i pachnąca siarką czy naftą. Czasami bywało, że pociąg zatrzymywał się w szczerym polu, daleko od stacji, by go naprawić lub nabrać wody. Babcia wspomina, że wtedy podchodzili do nich wieśniacy i przynosili gotowane jajka lub mleko, przeważnie kozie. Tylko dzięki temu dzieci mogły przeżyć. Ale później przed Omskiem nie było już widać ani ludzi, ani zwierząt. Najgorsze było to, że skończył się prawie cały zapas jedzenia. Dzieci płakały z głodu. Wszędzie był smród, zalęgły się wszy. Wszystkich ogarnął strach przed czekającym ich mrozem. Ludzie płakali, że tego nie wytrzymają, że mają dosyć, inni zaczęli się modlić żarliwie i prosić o siłę doprzetrwania. Gdyby nie ta modlitwa, wielu ludzi umarłoby z załamania. Tylko wiara podtrzymywała ich przy życiu (...) Podróż w wagonach trwała trzy tygodnie. Ostatnią stacją była stacja Pietuchów.

Później kazano im przesiąść się na ciężarówki i odwieziono ich do wsi Małas, Ferma nr 4 w obłasti Siewiero-Kazachstańskiej, czyli w północnym Kazachstanie, około 150 km od stacji…

Również do stepów w północnym Kazachstanie, ale do innej fermy hodowlanej, trafiła rodzina Mariana Czepczaka – kowala ze Stupek. On sam został aresztowany przez NKWD w nocy 3 kwietnia 1940 r. Dziesięć dni później 13 kwietnia 1940 r. deportowano na Sybir jego żonę Marię, urodzoną w 1896 r., oraz dorosłe lub prawie dorosłe dzieci: starszą córkę Marię z 1920 r., syna Bronisława z 1922 roku i córkę Adelę z 1924 r.

Opis drogi swojej rodziny na zesłanie do Kazachstanu przedstawił Bronisław Czepczak-Górecki w fragmencie referatu wygłaszanego na spotkaniach z kadrą oficerską w bazach specjalnych Stanów Zjednoczonych w październiku 1995 r. W czasie wojny Bronisław Czepczak był jednym z cichociemnych, spadochroniarzy do zadań specjalnych i będzie o nim jeszcze mowa w dalszej części.

Na spotkaniach Bronisław Czepczak opowiadał: *Dano nam pół godziny na zabranie bagażu na wóz konny. Matkę, dwie siostry i mnie odtransportowano na stację kolejową i załadowano do bydlęcego wagonu. Lamentujące kobiety, płaczące dzieci i milczący strażnicy - tak mógłby wyglądać dzień Sądu Ostatecznego. Ludzie nie tylko utracili cały dobytek, ale nie mogli zrozumieć, dlaczego i dokąd ich wywożą. W naszym wagonie był jeden dorosły mężczyzna, trzech młodych chłopców, kobiety i dzieci - razem trzydziestu ludzi z bagażami - było tłoczno. Wieczorem wagony zamknięto - płakały już tylko dzieci. Pociąg ruszył, wieziono nas na wschód. W wagonie był żelazny piecyk i trochę węgla. Najbardziej upokarzał nas otwór w podłodze służący jako toaleta. Dawano nam dwa wiadra wody dziennie, ale nic do jedzenia przez cały tydzień. Po tygodniu otrzymaliśmy po kawałku chleba i kilka razy dwa wiadra zupy. Po 16 dniach przejechaliśmy Ural i zatrzymaliśmy się na terenie Azji. Po dalszych 3 dniach pociąg zatrzymał się na małej stacji Pietuchowo i otworzono nam drzwi wagonów. Był 1 maja, najważniejsze sowieckie święto. Pozwolono nam wyjść z wagonów i dopiero wtedy na świeżym syberyjskim powietrzu zobaczyliśmy, jacy jesteśmy brudni i jak cuchniemy.*

Na dworcu była studnia i strażnicy pozwolili nam umyć ręce i twarze. Na budynku stacji wisiały transparenty, sławiące radzieckie zwycięstwa w Polsce i w Finlandii. Otrzymaliśmy świąteczną porcję - kawałek chleba, zupę szczi (kapuśniak) i pierwszy raz gorącą herbatę. Co więcej, mogliśmy to wszystko zjeść, siedząc na ziemi. Jak okiem sięgnąć rozciągał się syberyjski step. Następnego dnia rano pociąg zatrzymał się na stacyjce Mamiutka i strażnicy kazali nam wysiadać z bagażami. Po sprawdzeniu i selekcji załadowano nas na cieżarówki i po 6 godzinach jazdy bezdrożami zatrzymaliśmy się pośród kilkunastu chat krytych darnią.

Była to państwowa ferma hodowlana, położona na stepach Północnego Kazachstanu, który stał się republika sowiecką dopiero w 1936 roku.

W innym opracowaniu biograficznym o cichociemnym Bronisławie Czepczaku-Góreckim jest mowa, że wraz z rodziną przebywał w oktriabskim rejonie Mariewka, w stiepnym sowchozie Dmitrowka, w Fermie nr 3.

Szczegóły dotyczące wywózki i pobytu na Sybirze swojej rodziny Bronisław Czepczak dokładnie przedstawił we wspomnieniach *Na szachownicy losu. Wspomnienia skoczka*, które po jego śmierci do druku przygotowała w 2017 r. córka Dorota. Z tego opracowania pochodzi wiele jego rysunków i akwareli dokumentujących warunki życia zesłańców i kazachstańskie pejzaże.

Właśnie z tych wspomnień można dowiedzieć się, że wraz z rodziną Czepczaków w Fermie nr 3 przebywała też druga rodzina ze Stupek Stefania Demczuk z 8-letnią córką Janeczką oraz pochodząca z Romanówki Anna Cembrowska, siostra Jana Demczuka, męża Stefanii.

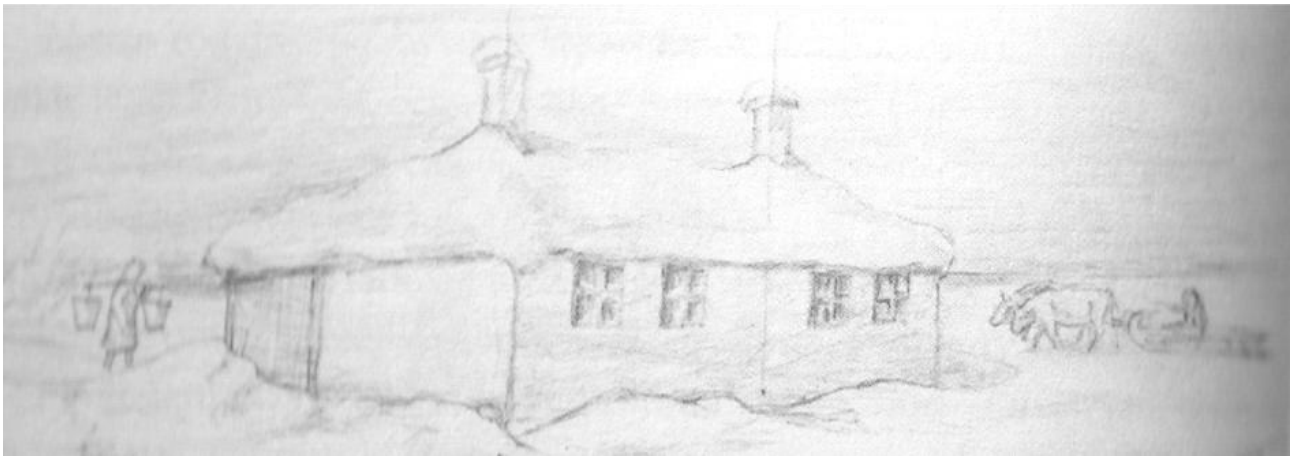

Ziemianka- rysunek Bronislawa Czepczaka

Zesłanie na Sybir było również udziałem pochodzącego z Czernielowa Mazowieckiego, a ożenionego w Stryjówce Stefana czy Antoniego Hrycaja i jego rodziny. Wraz z innymi deportowanymi ze Stryjówki prawdopodobnie też przebywał w Ozierkach nad Tawdą.

Na Sybir wywieziono małego Zdzisława Kozłowskiego i jego dziadków Łabiaków ze strony mamy. Jego ojciec Józef Kozłowski pochodził z Czernielowa, ożenił się z Marią Łabiak, która zmarła wkrótce po urodzeniu syna. Rodzice Marii, Jan i Maria Łabiakowie, z zięciem i około półtorarocznym wnukiem Zdzisławem mieszkali w Chodaczkowie Małym, zwanym kolonią i stąd wszyscy zostali zabrani przez enkawudzistów. Józef Kozłowski zbiegł z pociągu jadącego na Sybir.

Dziadkom, mimo podjętych prób, nie udało się przekazać dziecka pod opiekę obcym ludziom i mały chłopiec wraz z nimi trafił do ich miejsca zesłania. Nie są znane szczegóły dotyczące przymusowego pobytu na Sybirze. Wiadomo tylko, że wszyscy troje przeżyli trudy deportacji i życia w nieludzkich warunkach.

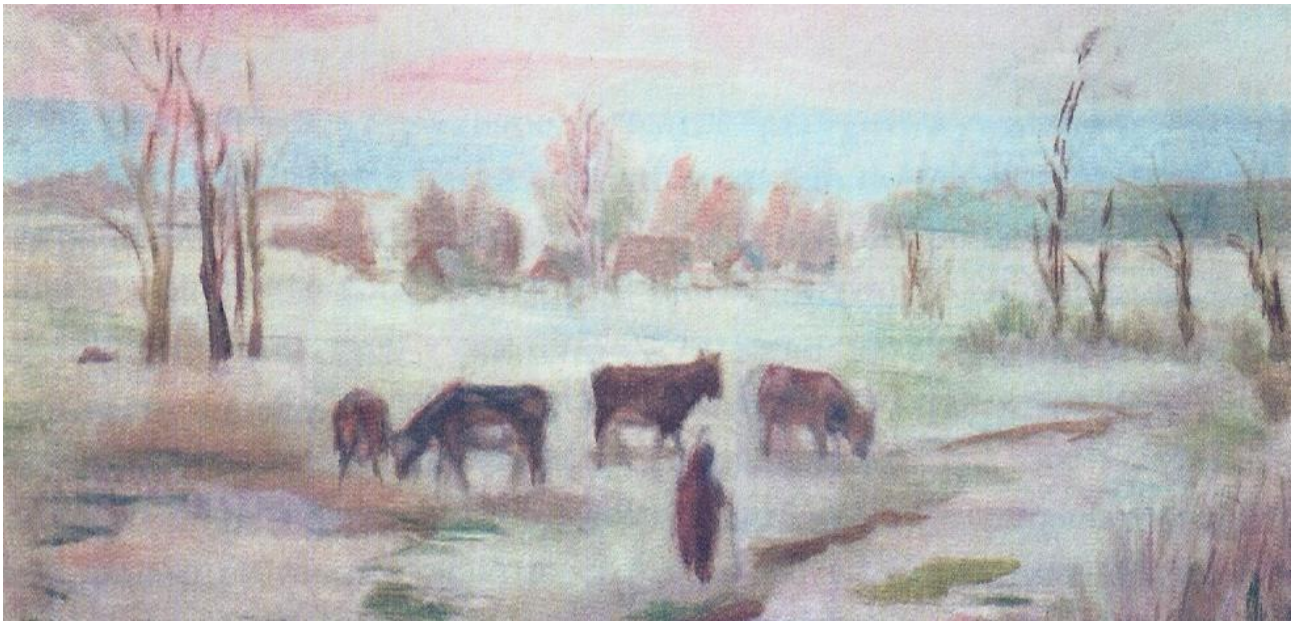

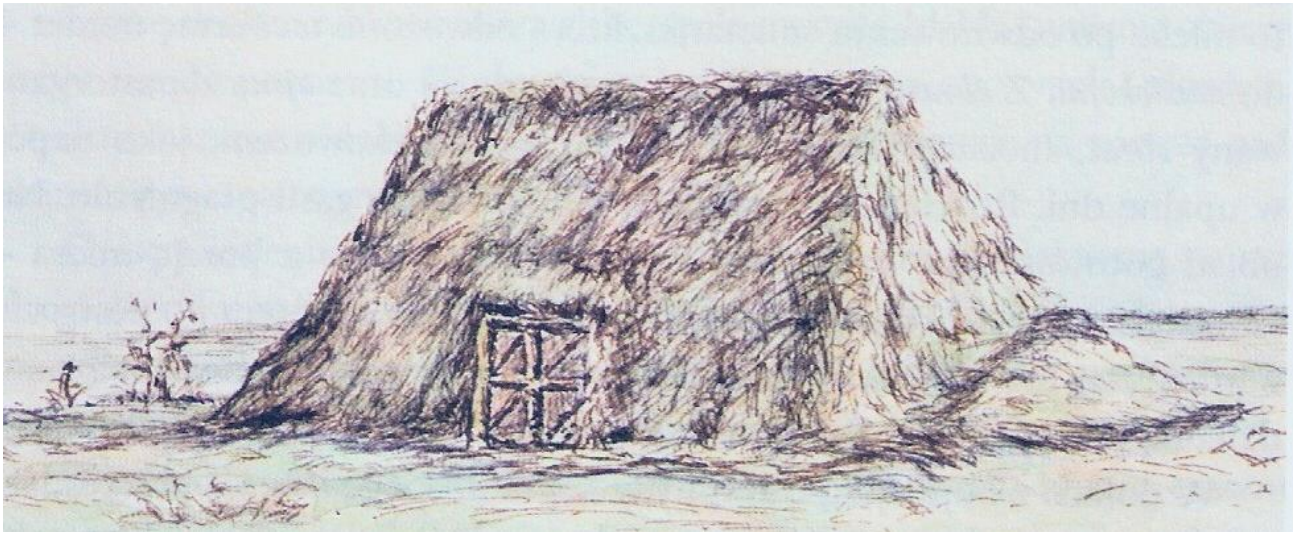

Akwarele Bronisława Czepczaka: ***Step jesienią, Wypas bydła na stepie, Stodoła w stepie kryta sianem, zwana kłunią***

Akwarele Bronisława Czepczaka: ***Ferma nr 3, Ferma zimą, Chata Bek Bulata, Tężeniewa***

Prawdopodobnie nikogo nie wywieziono na Sybir bezpośrednio z Czernielowa Ruskiego. Pochodzący z tej wsi Marchewkowie zostali wywiezieni z Proszowej, o czym będzie jeszcze mowa. Natomiast z Czołhańszczyzny wywieziono rodzinę Markowiczów. Wspominał o niej Marian Kubiszyn w wywiadzie pt. *Najgorzej było nam za Niemca* dla „Gazety Lubuskiej" z kwietnia 2014 r: *Jedną kobietę wywieźli na Sybir. Jakoś na wiosnę 1941 roku, chyba w marcu. Błoto takie było. Nazywała się Maria Markowicz, jej mąż Tomasz był kapralem. Przyjechali w nocy, dobijali się do drzwi, w godzinę musiała się spakować.*

Z dużym prawdopodobieństwem można sądzić, że to o tej właśnie rodzinie, choć nieco inaczej, wspominał urodzony w 1926 r. w Czołhańszczyźnie Ferdynand Matuszek, opowiadając historię swego życia autorom książki *Ich hatte nichts gegen Deutsche nur gegen Faschisten. Die Lebensgeschichte des Ferdinand Matuszek.* (Nie miałem nic przeciwko Niemcom, tylko przeciw faszystom. Historia życia Ferdynanda Matuszka), wydanej w 2014 r. w Niemczech. Autorzy Friedhelm Schäffer i Oliver Nickel na podstawie rozmów z bohaterem książki, Polakiem z Czołhańszczyzny, opisują między innymi sytuację w Galicji Wschodniej w czasie okupacji niemieckiej i okres wcześniejszy, zwłaszcza w pobliskich Stupkach i Borkach Wielkich.

O wywiezionej rodzinie na Sybir w czasie okupacji sowieckiej Ferdynand Matuszek powiedział: *To była polska rodzina, on był oficerem, ale zwolnionym, więc gdy Armia Czerwona wkroczyła, praktycznie dla niego wojna była skończona. Żołnierze rosyjscy przyszli do wsi, w nocy otoczyli dom, zabrali mężczyznę i jego żonę. Wzięli ich na Sybir. Kilka tygodni później jego matka otrzymała list i mogła napisać list do syna. Po pół roku wróciła synowa, po około roku wrócił także syn.*

Tych wiadomości o wcześniejszym powrocie z Sybiru mieszkanki Czołhańszczyzny nie potwierdzają inni świadkowie.

Maria Markowicz, jak wynika z opisu Sylwii Rembeckiej o pobycie na Sybirze jej prababci Anny Koryluk i babci Eugenii, przebywała w tym samym miejscu zesłania co rodzina Koryluków, o czym będzie jeszcze mowa.

Sybirski wątek dotyczący rodziny Marchewków mieszkających w Proszowej a wcześniej w Czernielowie Ruskim, można uzupełnić w oparciu o korespondencyjną wypowiedź Zbigniewa Kubowa, który napisał, że jego dziadkowie ze strony mamy Antoni i Helena Marchewkowie, brat mamy Wiktor Marchewka oraz siostra mamy Teodozja z mężem Franciszkiem Rajfurem i czwórką dzieci: Emilią, Tomaszem, Leszkiem i Walentym zostali zabrani 10 lutego 1940 r. z Proszowej, gdzie mieszkali od kilku lat i osadzeni początkowo w posiołku Kuźnia, w nowosełowskim rajonie, w Krasnojarskim Kraju.

Z Proszowej został zabrany również drugi brat mamy Zbigniewa Kubowa - Szymon Marchewka z żoną Karoliną i córką Franciszką. Miejsce ich pobytu nie zostało zapamiętane.

I jeszcze kilka zdań o wywiezionej na Sybir, a pochodzącej z Czernielowa, rodzinie Józefa Niebieszczańskiego i jego żony Marii z Żarkowskich. Historię ich aresztowania na podstawie opowiadań swego dziadka Józefa Żarkowskiego, brata Marii i wspomnień Anny Gniteckiej, córki Franciszka Żarkowskiego, opisał Zbigniew Woźny. Dzieci Niebieszczańskich: Bronisława i Leon po zakończeniu odwiedzin w Czernielowie Mazowieckim u swojego starszego wujka Franciszka Żarkowskiego zostały w niedzielę, 10 lutego 1940 r., odwiezione saniami przez młodszego wujka Józefa Żarkowskiego do swojego rodzinnego domu w Fedorowiczówce koło Czernychowiec, wybudowanego w połowie lat 20. XX w. na ziemi z parcelacji. Józef Żarkowski postanowił przenocować u siostry... *W tę noc enkawudziści otoczyli cały przysiółek, obudzili śpiących i wszystkich mieszkańców poinformowali o tym, że zostaną wywiezieni na Sybir. Dano im jakiś czas na spakowanie niezbędnych rzeczy. ...Sowiecka policja polityczna miała sporządzone listy proskrypcyjne przeznaczonych do wywózki. Wysiedlano ich za to, że byli osadnikami.*

Czernielowianina nie wywieziono, ale co się strachu wtedy najadł, to było jego. Nie było go na liście przeznaczonej na wywózkę. Była to za mała podstawa, aby go zwolnić. Musiał potwierdzić swoją tożsamość. Tę czynność wykonał sołtys… W końcu dziadziowi pozwolono na powrót do domu. Poinformował swoich bliskich o tym strasznym wydarzeniu. Ludzie zaczęli się bać Sowietów.

Po wywózce rodziny Józefa Niebieszczańskiego na Sybir, mienie ruchome zostało rozgrabione przez okoliczną ludność. Pozostały tylko budynki. Antoni Niebieszczański, ojciec Józefa, postanowił ratować majątek syna. Zamieszkał w opuszczonym gospodarstwie. Został tam zamordowany przez Ukraińców w 1942 lub 1943 roku. Taką informację podawała Anna Gnitecka.

Rodzinę Niebieszczańskich, jak i pozostałych „wrogów" władzy radzieckiej zesłano do Republiki Komi. Wywożono ich specjalnymi eszelonami.

Jak wcześniej podano rodzina Józefa Niebieszczańskiego trafiła do specposiołka Soksja.

Naocznym świadkiem wywózki na Sybir była Maria Markowicz, z d. Paliwoda, z Bajkowiec. Oto kilka fragmentów z części VII jej wspomnień *W Bajkowcach na Podolu* publikowanych w „Głosach Podolan": *10 lutego było wiele śniegu i siarczysty mróz. Wczesnym rankiem zajechało osiem sań pod domy ośmiu rodzin wytypowanych do wywózki w głąb ZSRR (pięć rodzin polskich i trzy ukraińskie). Wśród tych pierwszych znajdowała się rodzina brata mojej matki, wójta gminy zbiorowej Łozowa, aresztowanego w październiku 1939 r. oraz rodzina właściciela folwarku - Mariana Niesiołowskiego. On sam nie wrócił jeszcze z wojny. Wywieziono tylko jego żonę z trojgiem dzieci, a także czteroosobową rodzinę folwarcznego kowala, Jakuba Witczymiszyna. Oświadczono mu, że jest to kara za*

umacnianie przez niego polskości i za zwalczanie Ukraińców przez jego syna Ludwika. Dwie pozostałe rodziny polskie były zaangażowane w budowę kościoła w naszej wsi. Na kilka dni poprzedzających wywózkę mówiono głośno we wsi i w Tarnopolu o mającym nastąpić lada dzień jej terminie. Po dwóch dniach oczekiwania na stacji kolejowej w Tarnopolu pociąg towarowy z wywożonymi ludźmi, otoczony zbrojną strażą ruszył na wschód wśród głośnego płaczu i modlitewnych pieśni uwięzionych w wagonach (...) W dwóch następnych wywózkach do ZSRR nikt z Bajkowiec nie został już wysiedlony. Ja natomiast osobiście przypatrywałam się wywózce w czerwcu 1941 r. Stałam na wysokiej kładce dla pieszych nad torami kolejowymi w Tarnopolu. W dole stał na bocznym torze już trzecią dobę transport z wywożoną ludnością. Dzień był skwarny i część drzwi wagonów była odchylona. Warowali przy nich uzbrojeni żołnierze z wojsk konwojowych NKWD. Głośny płacz dzieci, nawoływania i krzyki dorosłych, zawodzenie głosów pełnych rozpaczy, a także złorzeczenia na krzywdę wyrządzoną niewinnym ludziom, były trudne do zniesienia. Stojący obok mnie, kobiety i mężczyźni, płakali i modlili się, a niektórzy przeklinali władze sowieckie i ich przywódców. Obserwowany przeze mnie transport składał się z 20 wagonów i przygotowany już był do odjazdu.

W tym samym fragmencie wspomnień Maria Markowicz napisała o Friedbergach, właścicielach drugiego z majątków w Bajkowcach. Jej zdaniem o tym, że uniknęli oni wywózki do ZSRR zdecydował nie tyle wiek obojga, bo oboje mieli już po 80 lat, ile sprzeciw całej służby folwarcznej zgłoszony radzie wiejskiej i u władz terenowych. Służba ta niemal jednomyślnie potwierdziła dobroć Friedbergów w stosunku do niej oraz ich pomoc dla mieszkańców wsi w losowych przypadkach. Przesiedlono ich tylko do sąsiedniej Łozowej. Tam w grudniu zmarł Juliusz Friedberg, a jego żona Maria przeniosła się pod koniec 1941 r. do Tarnopola. W ich folwarku urządzono szkołę wiejską, a zabudowania gospodarcze wykorzystano dla kołchozu.

Od wspomnień mieszkanki Bajkowiec opisującej losy Juliusza i Marii Friedbergów różni się nieco w szczegółach wypowiedź Tadeusza Borsy, który w artykule *Dwór w Bajkowcach Starych…* pisał: *Czerwona Armia pojawiła się w Bajkowcach 17 września, a za nią bandy cywilów, głodnych wszelkiego mienia. Miejscowi chłopi próbowali bronić dworu- nadaremnie. Dwór splądrowano, jednak „panom" pozwolono ujść do Tarnopola z życiem, lecz bez środków do życia. NKWD aresztowało pana Friedberga dopiero w mieście. Po pewnym czasie zwolniono go ze względu na bardzo zły stan zdrowia. Pojawił się jeszcze we Lwowie, lecz nie przeżył ciężkiej zimy 1939/40. Maria Friedbergowa pozostała w Tarnopolu wspierana przez mieszkańców wioski Bajkowce.*

W wielu czernielowskich rodzinach pojawiła się niepewność najbliższej przyszłości, pojawił się ogromny strach przed wywiezieniem rodziny na zesłanie.

Moment ten we *Wspomnieniach*... opisywała Stefania Górska, z d. Woźniak*:*

Dochodziły do nas wieści z różnych stron, że Rosjanie zabrali też w plen oficerów, wywieźli kolonistów, pojedynczo aresztowali nauczycieli, leśniczych, komendantów strzelców, czyli tych, którzy posiadali broń, a także sołtysów i tych, którzy interesowali się polityką, bogatych gospodarzy, tak zwanych kułaków, a potem zabierali ich rodziny. Wywozili Polaków, ale nasz hołowa, choć był Ukraińcem, nikogo nie wydał. Były różne pogłoski, że wszyscy Polacy będą wywiezieni, a nie tylko ci, którzy mają dużo ziemi. W zasadzie na Sybir nie wywozili Ukraińców, chyba w jakichś wyjątkowych przypadkach. Ludzie na wsi zaczęli się bać, niewiadoma była straszna. Mama zaczęła piec chleb, kroić w kromki i suszyć w piecu, zaczęliśmy robić zapasy, choć to na długo by nie wystarczyło, ale chociaż na początek. Ktoś puścił pogłoskę, że jest lista ludzi z Czernielowa, których mają wywozić na Sybir. Panika niesamowita. Na tej liście ponoć jest wujek Jan Chabza, siostra Agnieszka, my, w sumie około dwudziestu rodzin. U wujka dwoje staruszków, dziadek i babcia, córka wujka chora od kilku lat, dwoje małych dzieci. Przyszedł do nas i płakał jak dziecko, martwiąc się, co zrobią i że poginą wszyscy. Ojciec zapewniał go, że będą trzymać się razem, że wszyscy razem zginiemy. Ale jakoś nie doszło do wywózki.

Podobnie strach i przygotowania swojej rodziny do wywózki przedstawił we *Wspomnieniach* Jan Bachalski: *Od momentu wkroczenia bolszewików, szczególnie wśród ludności bogatej, która miała od paru do parunastu morgów ziemi, zapanowała psychoza strachu wywiezienia ich na Sybir. Ludzie ci od samego początku czekali na dzień tzw. wywózki i do tego przygotowywali się w ten sposób, że suszyli chleb, pakując go do worków. Każdy członek rodziny miał pewne obowiązki, co ma ze sobą zabrać i w co ubrać się. Ja np. oprócz własnego ubrania miałem nałożyć na siebie skórzaną kurtkę brata, a ponadto miałem wziąć do ręki jakiś pakunek, tylko nie pamiętam, co w nim było. Wszyscy mówili, że w pierwszej kolejności wywiozą tych bogatych i tych, którzy zajmowali się polityką. A że ojciec zajmował się polityką, był sołtysem, a ponadto był prawie najbogatszy we wsi, bo miał 24 morgi ziemi, 2 ładne konie, 4 krowy, owce, to nikt nie wątpił, że w pierwszej kolejności na pewno Bachalscy zostaną wywiezieni, a i inni też pojadą z nimi. Każda noc to jedno oczekiwanie, kiedy wreszcie zapukają do okna lub drzwi.*

Nawiązując do wywózek czernielowskich rodzin na Sybir, Stanisław Gęślowski w korespondencji napisał: *I tak każdy we wiosce czekał Bożego Miłosierdzia. Ludzie bali się, niecierpliwili, czekali kiedy przyjdą i powiedzą: sobirajties. A jednocześnie przygotowywali się na najgorsze: piekli chleb, suszyli i układali do worków, spalali jęczmień, aby mieli z czego kawę gotować.*

Również Stanisława Bodnar, z d. Mielnik, mimo że była wtedy 6-7-letnim dzieckiem, zapamiętała niepokój i lęki rodziców związane z grożącą im zsyłką na Sybir. We *Wspomnieniach* przeżycia swojej rodziny przedstawiła następująco: *W tym*

okresie mieszkaliśmy u dziadka Karola (Piotrowskiego - dop. K.M.), *którego gospodarstwo wyróżniało się zamożnością wśród gospodarstw wiejskich. Na gospodarstwie dziadka i swoim pracowali moi rodzice. Zaliczono ich do kułaków i groziła nam wywózka na Syberię. Rodzice zostali o tym ostrzeżeni przez jednego z Ukraińców, który był uczestnikiem miejscowej władzy. Natychmiast rodzice przenieśli się do znacznie skromniejszego gospodarstwa własnego i wtedy ojciec zapisał się do kołchozu. Tak uniknęliśmy wywózki. Do dziś pamiętam tę pośpieszną przeprowadzkę, choć nie rozumiałam jej powodów.*

A tak o ówczesnych deportacjach Polaków w swoich wspomnieniach napisał Józef Mielnik „Bogaczyna": *I tak w lutym 1940 roku jak grom z jasnego nieba padła wiadomość, że w nocy robiono masowe wywózki rodzin polskich do stacji kolejowych a dalej na Sybir. Jak odbywało się to dzieło zorganizowanego zabrania rodziny? Otóż gdy rodzina spała spokojnie w nocy, trzy-cztery pary sań zaprzężonych w konie i na tych saniach z innych miejscowości przyjechali czerwonoarmiejcy z bronią. W ciągu 15 minut mieszkańcy musieli być gotowi do wyjazdu, zabrać nie wolno było nic, tylko ubranie. Rozpacz, płacz i jęk słychać było daleko. Naprawdę w życiu takiej sceny nie widziałem: staruszki, matki, dzieci, niemowlęta. Za co ich nieszczęsnych wywożono, całe rodziny, do korzenia? Tam na tej stacji, nie wiem ile rodzin dawano do jednego wagonu, jak śledzi w beczce, tak dużo ich było. To były wagony towarowe. Widziałem taką scenę: przez okienko wagonu zaglądał stary człowiek, płakał i krzyczał, żeby go zabić, bo on nikomu nic złego nie zrobił. Ale nie było miłosierdzia, bo jego syn był policjantem. A potem po tej masowej wywózce Polaków na Sybir, ci, którzy pozostali, czekali, że może następnym razem ich zabiorą. Smutek i trwoga ogarniała nas w ciężkich czasach. Wierzyliśmy, że tylko Bóg nas uratuje.*

Opisane wywózki na Sybir dotyczyły pierwszej i drugiej deportacji. Z rodzin powiązanych z Czernielowem Mazowieckim, których dotknęło to nieszczęście w kwietniu 1940 roku trzeba wymienić jeszcze rodzinę Podleskich. Właśnie wtedy została wywieziona z Tarnopola Maria Małachowska, zwana Myszką, najstarsza córka Anny i Leona Podleskich. Wspomniano wcześniej w oparciu o informacje właściciela czernielowskiego majątku, że mąż Marii, Ryszard Jaxa-Małachowski jako były oficer rosyjskiego i polskiego wojska został aresztowany w grudniu 1939 roku i w marcu 1940 roku wywieziony z Tarnopola. Maria Małachowska została deportowana z Tarnopola 13 kwietnia 1940 roku z najstarszym synem Tadeuszem, córką Anną i urodzoną w grudniu 1939 roku córką Jadwisią. W tym samym pociągu, ale w innym wagonie jechała jej teściowa Ludgarda Małachowska, matka Ryszarda. Wraz z nią była jej córka i mały Stanisław, drugi syn Marii i Ryszarda. Rozdzieleni na czas podróży również po dotarciu do celu w Kazachstanie trafili w różne miejsca zesłania: Marię Małachowską umieszczono na jakimś odludziu na wydmie, a Ludgarda Małachowska z córką Janiną i małym Stasiem zostali osadzeni

w powiatowym mieście, w Pawłodarze. Zamieszkali w baraku. Dopiero po wielu staraniach we wrześniu 1940 roku Maria Małachowska uzyskała zgodę na przeniesienie do Pawłodaru.

Leon Podleski o wywiezieniu na Sybir córki z dziećmi dowiedział się w drugiej połowie kwietnia 1940 roku, będąc w tym czasie w Jarosławiu. Z przekazanej przez znajomą informacji wynikało, że wraz z rodziną Małachowskich została deportowana również jego żona, co oczywiście nie było zgodne z prawdą. Leon Podleski podjął natychmiastowe starania o pomoc dla wywiezionych między innymi za pośrednictwem rodziny Friedbergów z Wiednia, za pośrednictwem przyjaciela w Ameryce barona La Motte oraz generała Józefa Hallera. Wszystkie jego starania okazały się bezskuteczne.

Jako uzupełnienie syberyjskich historii rodzin powiązanych z Czernielowem i okolicznymi wsiami należy wymienić stosowanie przez system sowiecki zasady odpowiedzialności zbiorowej. Zasada ta w praktyce sprowadzała się do rozciągnięcia represji na członków rodzin osób „winnych". Jak opisano w niektórych przypadkach prześladowania spokrewnionych z osobą represjonowaną, nie przerywała nawet śmierć tej osoby. Machina poniesienia kary działała skutecznie. Dotyczyło to zarówno rodzin kolonistów wywiezionych na Sybir w lutym 1940 r., jak i rodzin jeńców wojennych i więźniów deportowanych w kwietniu 1940 r.

Życie na Sybirze oraz losy niektórych rodzin zostaną przedstawione jako odrębny wątek.

Pobór do wojska w 1940 roku. *Strojbataliony*

Jeszcze nie przebrzmiały echa i strach powodowany wywózkami Polaków na Sybir na wiosnę 1940 roku, a już nowa grupa ludzi podlegała rejestracji i jako poborowi byli wcielani do Armii Czerwonej i wywożeni w głąb Związku Radzieckiego.

Nie jest dokładnie znana liczba obywateli polskich pochodzących z dawnych województw wschodnich II Rzeczpospolitej wcielonych do Armii Czerwonej, nie mówiąc o rejestrach. Dość rozbieżne dane szacunkowe mówią o 100-200 tysiącach, z czego ok. 35% stanowili Polacy. Pobory jesienią 1940 r. i wiosną 1941 r. objęły roczniki 1918 i 1919, czyli młodych dwudziestoletnich mężczyzn. Kwalifikowano głównie mężczyzn z tak zwanego proletariatu miejskiego, bezrolnego i małorolnego chłopstwa. Rosjanie uważali, że to będzie pewniejszy materiał na żołnierza Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Poborowych wywieziono w głąb Związku Radzieckiego i rozproszono po różnych jednostkach wojskowych. Nadal był to jednak dla Rosjan element niezbyt pewny. W momencie wybuchu wojny rosyjsko–niemieckiej znaczną część z nich przeniesiono do strojbatalionów, czyli batalionów roboczych.

Trudno powiedzieć, ilu dokładnie młodych mężczyzn zostało zabranych do wojska w 1940 roku z Czernielowa Mazowieckiego i najbliższych okolic.

Zapytany o to urodzony w 1924 roku Stanisław Gęślowski wymienił nazwiska następujących czernielowian, którzy jego zdaniem poszli do wojska ZSRR: Sławko Romaniuk z Błot, Piotr Walusz, Józef Sobol, Sławko Bereza, Karol Rajfur, Jan Hrycaj i Marian Murmyło. Z Czołhańszczyzny zapamiętał Tadeusza Cieplaka.

W rozmowie telefonicznej z autorką dodał, że razem z Cieplakiem Rosjanie wzięli wtedy z Czernielowa Mazowieckiego: Wiktora Jacykowskiego, syna Danyły, i Władka Hrycaja, a z Czołhańszczyzny Bartka Chabzę.

Maria Cieplak, z d. Piotrowska, w korespondencji z sierpnia 2018 r. przypomniała, że do Armii Czerwonej jesienią 1940 r. z Czołhańszczyzny zabrano jeszcze Jana Cieplaka i Józefa Andruszewskiego. Z Czernielowa Ruskiego wcielono dwóch kuzynów o nazwisku Gruby i trzeciego mieszkańca, którego nazwiska nie pamięta. Wszyscy byli Ukraińcami, dwóch z nich zginęło, a Stefan Gruby dostał się do niewoli i uciekł do Czernielowa.

Z pewnością nie jest to pełna lista młodych mieszkańców Czernielowa i sąsiednich wsi, którzy w czasie wojny poszli do rosyjskiego wojska od 1940 r.

Ich droga wiodła aż do Aszchabadu, stolicy Turkmenii, gdzie przechodzili szkolenie wojskowe, następnie część przeniesiono do Taszkientu, a część skierowano do Czirczika koło Taszkientu. Gdy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, wyruszyli na front. Jednak po kilku dniach wycofano ich do Moskwy, a stamtąd na wschód do Swierdłowska za Ural. Tu dowiedzieli się o tworzeniu polskiego wojska, ale zanim trafili do wojska pracowali w strojbatalionach. Będzie o tym mowa.

Pewną garść szczegółów o poborze czernielowian do armii radzieckiej i pobycie w Republice Turkmeńskiej dostarczają wspomnienia Tadeusza Nowaka-Cieplaka *W cieniu historii*. W rozdziale *Pod sowiecką okupacją* opisywał to następująco: *W czerwcu na całym terytorium okupowanym przez Sowietów zarządzono pobór wojskowy dla młodzieży męskiej urodzonej w latach 1917-1920. Komisja poborowa, przed którą ja i Marian* (Murmyło - dop. K.M.) *stanęliśmy, uznała nas za zdolnych do służby wojskowej. Parę miesięcy później zawiadomiono nas, że 15 (a może 16) września 1940 roku mamy się stawić w określonym miejscu w Tarnopolu. Parę godzin po zbiórce wprowadzono nas do specjalnych wagonów dołączonych do pociągu, który odchodził do Lwowa. We Lwowie te wagony doczepiono do pociągu z poborowymi ze Lwowa i okolic, który miał nas wieźć do miejsca przeznaczenia w Związku Sowieckim. Pociąg wiózł nas z powrotem przez Tarnopol, a stąd przez Podwołoczyska, Winnicę, Kijów, Połtawę, Charków, Czkałów na Uralu, Akmolińsk aż do Aszchabadu, stolicy Turkmeńskiej Sowieckiej Republiki Socjalistycznej. Podróż ta trwała około dwóch tygodni. W pewnych przewidzianych miejscach dawano nam trzy posiłki dziennie. W niektórych większych ośrodkach, jak*

Winnica, Kijów, Połtawa czy Charków pociąg zatrzymywał się na parę godzin i po posiłku mogliśmy pokręcić się między ludźmi w poczekalniach kolejowych. Wszyscy z zachodu byli lepiej ubrani niż tubylcy. Bardzo często nas zagadywano, skąd jesteśmy albo: „Ile kosztuje to ładne ubranie, w którym jesteście?", „Czy możemy dotknąć materiału?". Ze stacji w Aszchabadzie maszerowaliśmy kolumnami do koszar artylerii górskiej (...) Następnego dnia po badaniach lekarskich otrzymaliśmy mundury. Były to lekkie drelichy ze względu na ciepły klimat w Turkmenii

Potem przydzielono nas do niższych jednostek w organizacji pułku, do batalionów, baterii, drużyn. Poznaliśmy swoich dowódców, oficerów, podoficerów. Po rannej gimnastyce, wyczyszczeniu i nakarmieniu koni i zazwyczaj złośliwych mułów, szło się na śniadanie. Po śniadaniu była zwykle lekcja wychowania politycznego, która polegała na wysłuchaniu wykładu politruka przeważnie o jakimś fragmencie historii partii komunistycznej. Następnie były zajęcia wojskowe, teoretyczne w jakiejś sali, a praktyczne – na dużym placu przy koszarach. Niekiedy więcej jednostek brało udział w zajęciach.

Wtedy odbywały się one na dużych polach u wejścia na pustynię Kara-Kum albo na stokach gór po południowo-wschodniej stronie Aszchabadu. Turkmeni służący w naszych jednostkach mówili: „Za tamtym szczytem zaczyna się terytorium Iranu (...) Po mniej więcej miesiącu życie w pułku artylerii górskiej stawało się rutyną. Od czasu do czasu tę monotonię przerywały mniej lub bardziej przykre niespodzianki. Wielu z nas, chyba na skutek wiele pozostawiających do życzenia warunków sanitarnych zapadało na dyzenterię. Były też wypadki zachorowań na malarię. Chorych zabierano do szpitala w Aszchabadzie (...)

Na parę dni przed świętami Bożego Narodzenia 1940 roku wielu z nas przeniesiono do pułku artylerii haubicznej w Taszkencie. Innych przeniesiono do pułku piechoty w Czirczyku koło Taszkentu, a jeszcze inni zostali w Aszchabadzie. Jeśli dobrze pamiętam, 23 grudnia wyjechaliśmy pociągiem osobowym i rano mieliśmy dłuższy postój w Bucharze.

Tadeusz Cieplak, z tyłu, na zajęciach wTaszkiencie

Po obejrzeniu paru meczetów, wracaliśmy grupkami na stację kolejową. Po drodze nuciliśmy sobie kolędy dla uczczenia Wigilii. Przedpołudnie w dzień Bożego Narodzenia wypadło nam w Samarkandzie. Tam też były wspaniałe meczety, w jednym z nich oglądaliśmy grób Tamerlana. Samarkanda była stolicą jego mongolskiego imperium, które sięgało od granicy Chin po Morze Czarne.

Po przyjeździe do Taszkentu z bólem w sercu skonstatowałem, że mój bliski kolega Marian Murmyło i sąsiad z Czołhańszczyzny Bartłomiej Chabza oraz młodszy kolega z II Gimnazjum w Tarnopolu, Jonas Gelber, zostali skierowani do Czirczika. Nie wierzyłem, że ktoś inny mógł ich zastąpić.

Z lewej Tadeusz Cieplak w Armii Czerwonej, 1940-1941

Jak zwykle, zaraz po przyjeździe do nowego miejsca zarządzone były badania lekarskie i po nich ogłoszono, gdzie i do jakiej baterii i drużyny każdy z nas ma się zgłosić. Ja zostałem przydzielony do sztabowej baterii, w której nie było ani jednego rodaka (...) Zajęcia wojskowe w Taszkencie niewiele różniły się od zajęć w Aszchabadzie (...) W połowie maja pułk wyjechał na poligon w okolice Czirczika…

W tym czasie Tadeusz Cieplak miał kłopot zdrowotny. Ze względu na ból w prawym kolanie trafił do szpitala wojskowego w Taszkencie. Po wyleczeniu miał być 22 czerwca wypisany ze szpitala i zabrany przez kogoś na poligon do Czirczika. W tym dniu jednak wybuchła wojna niemiecko–sowiecka i nikt w szpitalu po niego się nie zjawił. Po dwóch dniach podjął decyzję o odbyciu około 15-kilometrowej drogi pieszo. Po powrocie dowiedział się, że 5 lipca jego pułk wyrusza na front. Kilka dni później przejeżdżali przez Moskwę, a następnego dnia na małej stacji za Moskwą w kierunku Smoleńska pociąg zatrzymał się i rozpoczęło się wyładowywanie armat, koni i ludzi. Była pełna noc, gdy konwój ruszył w drogę. Nad ranem zatrzymali się w lesie i odpoczywali. Z okolic Smoleńska dochodziły odgłosy strzałów. Wczesnym popołudniem Tadeusz Cieplak i grupa innych żołnierzy, w której, jak się później okazało było pięciu Polaków, dziewięciu Ukraińcówi jeden Żyd otrzymała polecenie stawienia się w sztabie. Byli bez broni i bez pasów. Pod nadzorem sierżanta wyruszyli marszem w kierunku stacji kolejowej, po pewnym czasie wsiedli do pociągu, który zawiózł ich do Moskwy. Stąd mieli się udać na wschód. Po kilku dniach dojechali do stacji w Swierdłowsku. Skierowano ich na olbrzymi plac. Takich jak oni było około 4 tysięcy. Rozmawiali po polsku, ukraińsku, białorusku. W tej masie ludzi Tadeusz Cieplak odnalazł kolegów, którzy byli skierowani do Czirczika: Bartka Chabzę, Mariana Murmyłę i innych z okolic Tarnopola: Bronisława Anczarowskiego z Łozowej, Michała Studennego z Borek Wielkich. Wyjaśniła się przyczyna niespodziewanego przemieszczania żołnierzy

w rejon Moskwy, wycofania z jednostek rosyjskich i zgromadzenia ich tutaj. Przemawiający oficer zawiadomił zgromadzonych, że rząd sowiecki podpisał umowę z polskim rządem emigracyjnym w Londynie o wznowieniu stosunków dyplomatycznych i że z obywateli polskich w ZSRR ma być stworzona Armia Polska, która będzie się bić u boku Armii Czerwonej przeciwko wspólnemu wrogowi. Jednocześnie oficer zawiadomił, że zanim to nastąpi, to znaczy do czasu, zanim żołnierze zostaną skierowani do polskich jednostek wojskowych, będą pracować z Rosjanami na rzecz wspólnego zwycięstwa.

Dalej Tadeusz Cieplak opisał, jak tę masę ludzką podzielono na jednostki liczące po 200-250 ludzi, tworząc strojbataliony i wysłano do prac w różnych miejscowościach. Jego jednostka została wysłana do miejscowości Złatotust na środkowym Uralu. Umieszczono ich w starych wagonach na bocznicy kolejowej przy fabryce. Wagony były wyposażone w prycze legowiska, na posiłki chodzili do jadłodajni fabrycznej. Jednak nie pracowali w fabryce. Głównym ich zajęciem było wycinanie sosen w lesie, dochodzącym do granic miasta. Do dyspozycji mieli piły ręczne, siekiery, kilofy. Nie była to bezpieczna praca.

W tym miejscu kilka zdań o strojbatalionach albo strojbatach. Jest to skrót od nazwy: *wojennyje stroitielnyje bataliony*, czyli wojskowe bataliony pracy albo bataliony robocze, jeszcze inna nazwa to bataliony budowalne. Strojbataliony były formacją pomocniczą Armii Czerwonej. Można je określić jako oddziały zmilitaryzowanej, niewolniczej siły roboczej, w których warunki pracy i egzystencji były równie ciężkie, jak w łagrach podlegających NKWD. Do strojbatalionów wcielani byli wszyscy ci w wieku poborowym, którym ze względu na „brak zaufania" nie można było dawać broni do ręki. Oprócz Polaków w strojbatalionach było wielu Azjatów, poborowych z Kaukazu. Strojbaty były zorganizowane po wojskowemu - podzielone na kompanie, plutony, drużyny. Dowódcami byli przeważnie Rosjanie. Ludzie nosili mundury, pracowali w przemyśle, w lesie, przy budowie umocnień. Historycy zajmujący się tą tematyką podkreślają, że ogromna większość Polaków przeniesionych z oddziałów bojowych Armii Czerwonej do strojbatalionów nie przeżyła. Zabiła ich praca ponad siły i głód. Tylko nielicznym udało się przetrwać do czasu tworzenia Armii Andersa czy Armii Berlinga.

Tematykę strojbatalionów przybliżył we wspomnieniach *Widziane z oddali* Bolesław Gleichgewicht. W dostępnym w Internecie rozdziale XI tego opracowania można przeczytać: *Strojbaty były formacjami wojskowymi, przeznaczonymi do wykonywania ciężkich robót o charakterze obronnym – głównie ziemnych, takich jak kopanie rowów przeciwczołgowych, pozycji artyleryjskich, ziemianek, budowanie bunkrów itp. Służyły w nich głównie dwie kategorie ludzi: zdolni do służby wojskowej, ale nie liniowej ze względu na wiek lub stan zdrowia oraz*

niebłagonadiożnyje, którym nie powierzano broni i bano się posłać na front, widząc w nich potencjalnych zdrajców.

Strojbaty można częściowo porównać z łagrami. Oczywiście częściowo. W łagrach siedzieli skazańcy pozbawieni wolności, żyli za drutami, pilnowani przez wochrę (woorużonnaja ochrana łagieriej – uzbrojona straż obozowa), szykanowani, dręczeni i nikła była dla wielu nadzieja wyjścia stamtąd kiedykolwiek. My w strojbatach byliśmy ludźmi wolnymi, ba – żołnierzami. Podobieństwa sprowadzały się do głodowego wyżywienia, identycznego w batalionach budowlanych i w obozach, nędznego umundurowania oraz katorżniczej pracy. Do tego wszystkiego dochodził brak stałego zakwaterowania, brud, wszy, choroby. Miałem się o tym przekonać w czasie swej około czteromiesięcznej służby w tych formacjach.

Opisany na podstawie wspomnień Stanisława Gęślowskiego i Tadeusza Cieplaka pobór młodych czernielowian i mieszkańców sąsiednich wsi do Armii Czerwonej w 1940 r. nie był jednostkowy. Z fragmentów innych wspomnień można dowiedzieć się, że Rosjanie wcielali okresowo w szeregi swojego wojska młodych i starszych mężczyzn z terenów zajętych we wrześniu 1939 r., wykorzystując ich do różnych prac.

Pisał o tym między innymi w swoich *Wspomnieniach* Józef Mielnik „Bogaczyna”: *Na początku maja 1941 roku zabrano mnie do wojska, do Armii Czerwonej. Byłem w Tarnopolu, a potem wywieziono naszą jednostkę za Lwów, w okolice Jaworowa pod Przemyśl. Byłem żołnierzem na taczankach z wyposażeniem w karabiny czterolufowe przeciwlotnicze. W mojej jednostce było więcej Polaków (...) Po jakimś czasie naszą jednostkę wojskową załadowano do wagonówi odesłano z powrotem do Tarnopola, a z Tarnopola mieliśmy wyjechać na wschód, w nieznane.*

Z lewej Józef Mielnik w Armii Czerwonej, 1941 r.

W czasie postoju na stacji w Tarnopolu, a było to nocą, udało się mi z kolegą z Czernielowa zbiec z tego transportu. A że do naszych domów nie było tak daleko, około 10 km, mieliśmy nadzieję, że nam się uda.

Józef Mielnik nie napisał, kim był ten drugi czernielowianin, któremu prawdopodobnie też szczęśliwie udało się wrócić do domu. Wkrótce jednak czekały wszystkich mieszkańców Czernielowa nowe wojenne przeżycia.

O młodych żołnierzach z wschodnich terenów II Rzeczpospolitej zajętych we wrześniu 1939 roku przez Armię Czerwoną, powołanych do tej armii w 1940 r., pracujących w strojbatalionach pisał także w swoim opracowaniu *Podolskie korzenie* Jan Kanas: *Od lotniska w Gajach Wielkich rozpoczęto budowę linii kolejowej, która w Łozowej miała się łączyć z linią Tarnopol–Zbaraż. Na tej budowie zatrudniono wyłącznie wojsko. Zjechało około 400 żołnierzy. Oficerowie rozlokowali się we wsi, po 2-3 na kwaterze, nigdy samotnie. Żołnierzy zaś umieszczono w pobliskim lesie. Choć to był luty, mieszkali pod namiotami (...) Zauważyłem dziwną rzecz, że wojsko pracujące przy torach nie posiadało zupełnie broni. Jedynie służba wartownicza miała kilka karabinów. Ćwiczeń z bronią też nie odbywali. Odżywiali się bardzo skromnie. Mięsa ani tłuszczu nie widzieli, chleb jedli czarny jak święta ziemia, czasem suchary i przeważnie kapuścianą zupę. Na drugie danie też dostawali kapustę lub kaszę owsianą. (...)Wojsko miało czas wypełniony zajęciami, bez wolnych chwil i przepustek. Starano się wszelkimi sposobami, aby żołnierze nie stykali się z cywilami.*

Gdy Tadeusz Cieplak opowiadał o swoim pobycie w Taszkencie i Aszchabadzie, poza Marianem Murmyłą i Bartłomiejem Chabzą, nie wymienił nazwisk innych czernielowian, ale nie dało się wykluczyć, że pozostali mieszkańcy Czernielowa Mazowieckiego, którzy trafili do rosyjskiego wojska w 1940 r. byli w tych samych miejscach w Turkmenii i w początkowym okresie przeszli podobną drogę. Kilku z nich trafiło później do strojbatalionów, a za jakiś czas zostali żołnierzami 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

O tym, jak potoczyły się dalsze losy niektórych z nich, będzie mowa w następnych rozdziałach.

Na Sybirze

Życie byłych czernielowian wywiezionych w lutym 1940 roku na Sybir: do Republiki Komi, do Ozierek nad Tawdą w obwodzie swierdłowskim, do Krasnojarskiego Kraju, być może również do Kazachstanu w ciągu kilku lat pobytu w obozach pracy było ciężkie, okupione niewyobrażalnym wysiłkiem, znaczone krzyżami na nieludzkiej ziemi. Nie odbiegało od życia innych zesłanych w te miejsca.

Ogólnie, sucho i rzeczowo warunki życia deportowanych zostały przedstawione w sprawozdaniu sporządzonym przez rząd Stanisława Mikołajczyka w 1944 roku: *Przesiedleni umieszczeni zostali po kilkadziesiąt rodzin w opustoszałych wsiach (tzw. posiołkach), z dala od linii kolejowych i większych ośrodków miejskich. Na czele takiej wsi stał komendant, najczęściej podoficer NKWD, a zadaniem przesiedlonych jest wykonywanie pracy gospodarczej, przeważnie wyrąb lasu, zbiór żywicy, spław drzewa, oczyszczanie dróg itp. Jeżeli wysiedleńcy wykonują pracę dla innych przedsiębiorstw (np. tartaku, cegielni itp.),*

administracja NKWD pobiera 10% ich zarobku. Przesiedleni nie otrzymują żadnego pożywienia, otrzymują natomiast wynagrodzenie pieniężne obliczone według stawek akordowych. Za otrzymane wynagrodzenie mogą nabywać produkty najbardziej prymitywne w sklepie „wioski" zaopatrywanym przez władze, zaś ci, którzy wykonali 50% normy, podlegają sankcjom karnym. Inny system zastosowany został do części rodzin i osób samotnych, wysiedlonych do Kazachstanu, Jakuckiego Kraju itp. Rozmieszczeni oni zostali po kołchozach jako siła najemna i przeznaczona do spełniania najprymitywniejszych prac gospodarskich, jak wypasanie owiec w stepie, roboty ziemne, zwózka gnoju i wyrób z niego opału. (Oryginał AZHRL, archiwum prof. S. Kota, sygn. 89. 231 Kronika)

Sprawozdanie to, przygotowane przez obserwatora z zewnątrz, ze względu na brak znajomości zesłańczych realiów w bardzo dużym uproszczeniu pokazuje życie wywiezionych na Sybir, nie oddaje w pełni ogromu nieszczęścia, jakie było udziałem zesłańców z Polski. Jedynie sami deportowani, którzy doświadczyli sybirskiej gehenny mogli, i to tylko do pewnego stopnia, przybliżyć położenie, w jakim oni sami i ich bliscy znaleźli się na zesłaniu, opisać warunki i zrelacjonować sposób przeżywania przez nich rzeczywistości.

Z wyjątkiem krótkich wspomnień Wiktora Dużego i Janiny Marchewki nie udało się dotrzeć do wspomnień innych zesłanych o czernielowskich korzeniach.

Z opisem warunków życia, pracy, nauki na zesłaniu można zapoznać się na podstawie rozmów, jakie przeprowadzili dziennikarze z Stanisławem Mrozem i Walerią Biernacką, z d. Kotarską. Oto fragmenty zapisanych rozmów z wspomnianych wcześniej artykułów Andrzeja Krywalewicza na portalu chojna24.pl i Danuty Sosy z „Echa Złotoryi".

Jesienią 2015 roku Stanisław Mróz kontynuował opowieść o tym, jak jego rodzina wraz z innymi z Woli Gołuchowskiej koło Podhajec przybyła do osady Lapomos w Republice Komi: *Drugiego dnia przyszedł oficer NKWD i pytał kolejno dorosłych o ilość członków rodziny. Mama odrzekła, że wspólnie z nią jest nas pięcioro. Uformowani w grupy członkowie rodzin opuszczali dworzec w kolejności narzuconej przez oficera, i udawali się do podstawionych dużych samochodów. Nadwozia potężnych samochodów zostały zbudowane z desek. Po pewnym czasie duży samochód dostawczy, na którego nadwoziu przebywałem z najbliższymi wyruszył w drogę, zapamiętałem rozstawione dość gęsto słupy telegraficzne przy drodze. Wyruszyliśmy w trasę około 170 km na północ od miasta Muraszy, pokonaliśmy ostatni etap, dojechaliśmy do miasta Zanulie. Dotarliśmy do leśniczówki, w pobliżu której znajdowało się 11 baraków. Osada, na której obszarze zostały wybudowane baraki, nazywała się Lapomos Górny i była oddalona od Zanulie o około 8 km. W późniejszym czasie dowiedziałem się, że w trzech najstarszych barakach mieszkalnych przebywali po roku 1863 uczestnicy powstania*

styczniowego. Wśród nas przebywał nauczyciel geografii ze Śląska, który od samego początku pobytu wspominał, że osada, do której przybyliśmy znajduje się na 51 południku. W barakach znajdowały się prycze piętrowe, pomieszczenia ogrzewane były piecami ceglanymi opalanymi drzewem. Gdy zbliżała się pora odpoczynku, układaliśmy na drewniane prycze ubrania, kurtki, co kto posiadał, aby uniknąć bezpośredniego kontaktu z deskami, teren, na którym znajdowały się drewniane baraki, nie był ogrodzony. Po trzech dniach odpoczynku z nowo przybyłymi robotnikami spotkał się administrator, najprawdopodobniej współpracownik NKWD. W jednym z baraków mieścił się magazyn, do którego udali się robotnicy po sprzęt do pracy. Rozpoczął się ciężki, często tragiczny etap w życiu rodaków. Praca rozpoczynała się o godzinie 7, robotnicy udawali się do lasu, praca przy wyrębie drzewa była bardzo ciężka i wymagała wiele trudu i poświęcenia. Początkowo karczowano las w pobliżu baraków, po czym stopniowo droga codzienna do pracy wydłużyła się do 8 km w jedną stronę. Starsi i dzieci przebywali przez cały dzień w miejscu zakwaterowania. Zimą pracowano do temperatury - 40 stopni, jeżeli temperatura była niższa pozostawano w obozie, ponieważ drzewo przy tak niskich temperaturach kruszeje.

Robotnicy z Polski otrzymywali za pracę symboliczną zapłatę, niektórzy robotnicy przekraczający obowiązujące normy otrzymywali dodatkowe wynagrodzenie. Moja mama bardzo ciężko pracowała, była świadoma, że na niej jednej spoczywa ogromny obowiązek i odpowiedzialność. Nad naszym życiem czuwał działacz NKWD, który zamieszkiwał w mieszkaniu zaadoptowanym z kilku małych pomieszczeń w jednym z baraków. Dwa razy w miesiącu enkawudzista organizował dla ciężko pracujących rodaków zebrania, mówiono o sposobach wynagradzania, aktualnych normach, często bolesnych sprawach bieżących. W pierwszym okresie na porcje żywnościowe składały się produkty mleczne, mączne, pieczywo, jednak po II połowie roku 1941, po inwazji Niemiec na ZSRR racje żywnościowe zmniejszyły się bardzo. Nad stanem zdrowia Polaków czuwała rosyjska lekarka „doktor Lidzia", która jednak w obliczu nowej sytuacji politycznej, stała się zupełnie bezradna wobec coraz częściej chorujących i umierających z głodu przebywających w obozie Polaków. Ciężko

pracujący robotnicy bardzo często po powrocie po zmierzchu do baraków nie byli w stanie opiekować się dziećmi, co zmotywowało kierownictwo obozu do utworzenia domu dziecka oddalonego od osady Lapomos Górny, gdzie zbudowane zostały baraki, o ponad 30 km.

Dla przypomnienia w Republice Komi na zesłaniu były rodziny o czernielowskich korzeniach, wywiezione z Woli Gołuchowskiej koło Bohatkowic w powiecie podhajeckim: Tomasza Chruszcza, Franciszka Dużego, Józefa i Mikołaja Piotrowskich, Antoniego Walduna, Bartłomieja Walusza, Tomasza Świcarza, Marcina Rajfura i Franciszka Bednarczuka, Niebieszczańskich z Fedorowiczówki koło Czernychowiec oraz Niebieszczańskich i Kozłowskich z Buchtanki koło Płotyczy.

Gdy Wiktor Duży wraz z rodziną znalazł się na zesłaniu, miał 14 lat. Po ponad 70 latach o swojej pracy i stracie bliskich opowiedział: *Nasz transport trafił do czterech miejscowości w Komi ASRR, nasza rodzina do Werch la Pomos. Po przyjeździe rozlokowali rodziny w barakach. Jak już byliśmy rozlokowani, było zebranie, na którym naczelnik NKWD oznajmił, żeby zapomnieć o Polsce, mówił, że jemu jak włos wyrośnie na dłoni, tak będzie Polska. Do końca 1940 roku byłem z rodzicami. Miałem wtedy 14 lat. Mieszkaliśmy w barakach specjalnie budowanych w tych miejscach, gdzie trwał wyrąb lasu. Zatrudnieni przy wyrębie cięli drzewa piłą ręczną. Potem wywozili ludzi w drugie miejsce wyrębu i tam też były przygotowane baraki. Mama pracowała w lesie, ojciec chorował. Ja po przyjeździe całe lato 1940 roku byłem zatrudniony przy różnych pracach. Jesienią 1940 roku, w listopadzie zostałem wysłany do miejscowości Porub i byłem zatrudniony przy wywozie drewna z miejsca pozyskania nad rzekę. Drewno było składowane nad rzeką Łuzą. Drewno służyło do opalania w tak zwanych parochodach, które w czasie wiosny jak była wielka woda, to kursowały. Nie mieszkałem już z rodzicami, byłem w odległości 20-30 km. Przychodziłem do nich czasami. Od maja 1941roku pracowałem nad drugą rzeką przy wywozie drewna. Latem 1942 i latem 1943 roku pracowałem w rybołówstwie. Brygada liczyła 10 ludzi, łowiliśmy ryby na rzece Łuzie i na jeziorach. Moi bliscy wszyscy zmarli na zesłaniu. Najpierw w maju 1941 roku zmarł brat, miał 13 lat. W tym samym roku w listopadzie zmarł ojciec. Mama też nie wytrzymała ciężkiej, wycieńczającej pracy i trudów zesłania. Zmarła w lutym 1943 roku, miała 50 lat. Nie byłem przy śmierci ani brata, ani rodziców (...)*

W dodatkowej korespondencji Wiktor Duży napisał, że z rodzin o czernielowskich korzeniach oprócz jego rodziców Franciszki i Franciszka Dużych oraz brata Mariana trudów ciężkiej pracy i warunków pobytu na zesłaniu w Republice Komi nie przetrwali: Franciszek Bednarczuk, Tomasz Chruszcz, Józef Piotrowski i jego żona Antonina, Tomasz Świcarz, Antoni Waldun i jego żona Józefa. Ich mogiły zostały na dalekiej północy. Szczęśliwie udało się przeżyć

członkom ich rodzin: żonie i dwom córkom Franciszka Bednarczuka, żonie i dwom córkom Tomasza Chruszcza, dzieciom Antoniny i Józefa Piotrowskich: córce Marii i synowi Janowi, żonie Bartłomieja Walusza, dwójce ich dzieci i starszemu synowi Marianowi, który został oficerem, dwom synom Mikołaja Piotrowskiego, którzy wstąpili później do Armii Andersa, Marianowi Świcarzowi, synowi Tomasza, żonie Tomasza Świcarza i dwom córkom, Marianowi Waldunowi, synowi Antoniego. O losach niektórych z nich będzie mowa w dalszej części.

Również na północy w europejskiej części Związku Radzieckiego, w Republice Komi, w specposiołku Soksja, w priłuzskim rejonie przebywała na zesłaniu rodzina Józefa Niebieszczańskiego i Marii, z d. Żarkowskiej, z dziećmi: córką Bronisławą i synem Leonem. Przed wywózką według zarejestrowanych danych w *Księdze pamięci Republiki Komi* rodzina mieszkała w Fedorowiczówce (jest też podana nazwa Iławla). Moment ich aresztowania opisano wcześniej.

O życiu na zesłaniu opowiadała wiele lat temu Zbigniewowi Woźnemu córka Niebieszczańskich Bronisława Statkiewicz. Oto ich wspólna relacja: *Zesłańców osadzono w drewnianych barakach specpasiołków zarządzanych przez sowiecką policję polityczną. Każdej rodzinie wydzielono odpowiednią część miejsca. Nadzorcy protestujących lub przeszkadzających im zesłańców traktowali obcesowo i często używali nahajki do wymuszenia posłuszeństwa lub wyładowania swoich frustracji. Więźniowie zatrudnieni byli przy wyrębie tajgi. To była bardzo wyniszczająca organizm ludzki praca. Zesłańcy cierpieli głód. Rzesze strażników nie dawały im żadnej nadziei na poprawę swego losu, informując jednocześnie ich, że pozostaną w tym miejscu do swojej śmierci (wyrażali to w sposób bardziej dosadny słowami: zdechniesz tutaj).*

Przybyszy informowano, jak się zachować w przypadku spotkania z białym niedźwiedziem. Osoba, która znalazła się w pobliżu misia, powinna położyć się na śniegu, leżeć i nie ruszać się. Niedźwiedź mógł podejść do leżącego, powąchać go, ewentualnie osikać, ale krzywdy nieszczęśnikowi nie robił. Starsi mieszkańcy specposiołka radzili nowym, aby latem zbierali pędy leśnych malin i je suszyli. Zimą miały zastąpić herbatę i przeciwdziałać zachorowaniu na szkorbut. Dzieci zesłańców uczęszczały do szkół organizowanych w obozach.

Mimo ogromnej odległości do Czernychowiec i Zbaraża od miejsca zesłania, Niebieszczańscy wraz z innymi zaufanymi rodzinami zdecydowali się na ryzykowną ucieczkę z Sybiru. Zbigniew Woźny opisywał: *Przygotowali zapasy, sanie, opracowali sposób porozumiewania się, aby nie zwrócić uwagi innych więźniów, którzy mogliby udaremnić ucieczkę. Uciekli z miejsca zesłania. Za uciekinierami wyruszyła konna pogoń enkawudzistów. Desperaci dotarli do stacji kolejowej. Przekupili sowieckiego urzędnika, który schował ich przed pościgiem w jakimś pomieszczeniu (ziemiance). Na pytanie grupy pościgowej o uciekinierów ów urzędnik*

odpowiedział, że nikogo nie widział. A uciekinierzy siedzący w ziemiance mieli możność słuchania treści rozmowy enkawudzistów z zawiadowcą stacji. Następnie zesłańcy wsiedli w pociąg.

Niestety, nie dane im było wrócić w rodzinne strony. Wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, powrót okazał się niemożliwy, a uciekinierzy trafili do Guzaru w Uzbekistanie. Tam, a być może już wcześniej w Piotrowce, Niebieszczańscy spotkali się z rodziną Pasiecznych, zesłańcami ze wsi Kołki na Wołyniu. Edward Pasieczny miał 8 lat, gdy wraz z rodziną został zesłany na Sybir, pierwotnie do wsi Pietrowka w obwodzie czkałowskim, w północnym Kazachstanie. W 1997 roku napisał wspomnienia *Na skraju życia*, w których opowiada też o losie zaprzyjaźnionej z nimi rodziny Niebieszczańskich. Na podstawie jego wspomnień i relacji Bronisławy Statkiewicz Zbigniew Woźny w swoim opracowaniu *Od Czernielowa Mazowieckiego do Sobornego. Gawęda o rodzinie Żarkowskich z dziejami podolskiej wsi podtarnopolskiej w tle* przedstawił kilka wątków z życia obydwu rodzin na zesłaniu.

Z okresu pobytu w Kazachstanie zapamiętano, że: *Kazachstańskie kołchozy nie miały magazynów, gdzie można byłoby przechowywać zboże. Pszenicę sypano więc w kopce tak, jak sypie się kartofle. Tych kopców nie nakrywano niczym, gdyż tam rzadko padał deszcz. A gdy spadł, to zboże porosło z wierzchu kopca, ale w środku było suche i nadawało się do użycia. Wybierano suche ziarna, a resztę zostawiano. Nikt się takim marnotrawstwem zboża z władzy sowieckiej nie przejmował.*

Edward Pasieczny podawał, że w 1942 roku zachorował na tyfus i zmarł Józef Niebieszczański. Przebywając wśród muzułmanów, którzy chowają zmarłego w postaci embrionalnej i zawijają nagie ciała tylko w płótna, rodzina miała kłopot z pogrzebaniem go według chrześcijańskiego obrządku. Uzbekowie niejako zmusili rodzinę do pochówku zgodnie z miejscową tradycją. Ciało Józefa Niebieszczańskiego położono bez trumny w grobie w ubraniu (z zawodu był krawcem i mimo zesłańczej nędzy zachował swoją odzież) i nie zasypywano ziemią. Nadeszła noc, zrobiło się ciemno, a żałobnicy nie doczekali się zasypania grobu. Rodzina w bólu musiała odejść z cmentarza. Już w Polsce córka zmarłego wielokrotnie nawiązywała do dramatycznie niedopełnionego pochówku ojca.

Anna Gnitecka, kuzynka Bronisławy Statkiewicz, wspominała natomiast, że Niebieszczańscy pracowali w kołchozie przy zbiórce bawełny. Józef Niebieszczański wstąpił do polskiego wojska. Zachorował na tyfus i zmarł w szpitalu. Jednak w *Wykazie poległych i zmarłych żołnierzy PSZ na obczyźnie w latach 1939-1946* Józef Niebieszczański nie figuruje.

Dalej autor wspomnień *Na skraju życia* pisał, że kilka rodzin, w tym jego rodzina i Niebieszczańscy, wyjechali z Uzbekistanu pociągiem do Czkałowa (Orenburga), położonego na Uralu w Rosji, na ważnej trasie kolejowej prowadzącej

z Taszkientu do Moskwy. Tam zgłosili się do pracy w kołchozie *Politotdielec* we wsi Ryszowka, odległej o 70 km na północny zachód od Czkałowa. W wiosce spotkali Polaków z Ukrainy Zazbruczańskiej, osiedlonych tam przymusowo w latach 20. XX wieku. Kołchozy w Związku Sowieckim niewiele się różniły między sobą. Wszędzie była ciężka praca fizyczna za darmo, marnotrawstwo, bieda, zimno. Pracujący w kołchozie mieszkali w lepiankach, podlegali nadzorowi.

Osierocona rodzina Marii Niebieszczańskiej z dziećmi: córką Bronisławą i synem Leonem również utrzymywała się z pracy w kołchozie. Na podstawie przekazu rodzinnego i wspomnień Pasiecznego Zbigniew Woźny o ich ówczesnym życiu zanotował: *Bronisława orała traktorem pola. W kołchozie panował straszny głód, racje żywnościowe były niskie, a zboże pilnowali enkawudziści. Normalni ludzie nie umieli kraść. Musieli się tego nauczyć. Pechowcom zdarzało się wpaść w łapy enkawudzistów ze skradzionym zbożem schowanym w nogawkach spodni i obuwiu. Za to karano ich karą główną. Taka kara spotkała Michała Dziubę. Za kradzież zboża został wysłany do kompanii karnej na front, z której już nie wrócił. Kołchoźnicy wzajemnie na siebie donosili do czekistów. W lokalnej społeczności nie było minimum zaufania społecznego. Kierowano się zazdrością, a donoszenie było wychwalane jako szczyt moralności socjalistycznej.*

Mama i siostra doradziły Leonowi, aby założył buty o dużym rozmiarze i szedł pobawić się tam, gdzie czyszczono wialnią pszenicę. Leon bawił się w zbożu tak długo, aż nasypało mu się dużo ziaren pszenicy do tych za dużych butów. Wtedy, nie wysypując pszenicy z butów, wracał do swojej lepianki. Wysypywał zboże z butów i rodzina miała dodatkowy półprodukt do spożycia, który mogła przeznaczyć na pożywienie po zmieleniu go na ręcznych żarnach.

Edward Pasieczny opisując swoją pracę pomocnika stróża przez dwa letnie sezony 1944-45 na oddalonej od kołchozu plantacji dyni i arbuzów wspominał : *Niby do pomocy zabierałem na plantację kolegę Leona Niebieszczańskiego, aby na miejscu pojadł sobie tych smacznych owoców. Przed nadejściem jesiennych przymrozków arbuzy i dynie sprzątnięto, więc i nasza stróżka się zakończyła. Odtąd pozostały mi dwa stałe obowiązki: nauka w szkole i obrządzanie koni.*

We wspomnieniach Edward Pasieczny nawiązał też do pracy Bronisławy Niebieszczańskiej w charakterze listonosza i jej szybkiej rezygnacji z tej pracy w obawie o własne życie, gdy dowiedziała się, że jej poprzednika zjadły wilki. Autor opisywał, że dzikie zwierzęta, a szczególnie wilki były plagą w okolicy. Atakowały podróżnych i pracowników, a właśnie listonosze pracując w terenie, z dala od siedzib ludzkich, byli szczególnie narażeni na ich atak. Jeden z listonoszy, rozwożąc pocztę po okolicznych wsiach, został zjedzony zimą przez watahę wilków, która go zaatakowała przed Ryszowką. Następnego dnia znaleziono puste sanie, buty filcowe z resztkami stóp nieszczęśnika i konia porozrywanego na strzępy.

W innym miejscu Pasieczny powołał się na opowiadanie Bronisławy, która miała okazję zobaczyć pokazany jej, w wielkiej tajemnicy przez Polkę, Barbarę Chomę, w domu przewodniczącego kołchozu Matanowa zasłonięty mały ołtarz z ikonami. Barbara Choma służyła u rodziny Matanowów, a towarzysz Piotr Piotrowicz Matanow był byłym popem, w domu posiadał ołtarz, przed którym odprawiał nabożeństwa i udzielał sakramentów dla osób zaufanych. O podwójnym życiu przewodniczącego kołchozu szeptali między sobą mieszkańcy Ryszowki.

Kontynuując ten wątek, Woźny za Pasiecznym dodał: *W czasie świąt kościelnych w lepiance Marii Niebieszczańskiej zbierały się polskie rodziny na śpiewanie pieśni religijnych i odmawianie modlitw, a przewodniczący kołchozu Piotr Piotrowicz Matanow, zakonspirowany ksiądz prawosławny, przymykał na to oczy.*

Maria, Józef, Bronisława i Leon Niebieszczańscy byli w Komi, Kazachstanie a potem na Uralu kilka lat. Do Polski przyjechali bez męża i ojca dopiero w kwietniu 1946 roku. Będzie o nich mowa w podrozdziale *Zakończenie wojny. Ludzkie losy.*

Kilka lat na zesłaniu w Republice Komi przebywała z rodziną, urodzona w 1923 roku w Czernielowie Józefa Rajfur. Miała 16 lat, gdy została wywieziona na Sybir z Woli Gołuchowskiej z siostrą Antoniną, z matką Paraskowią Rajfur-Świcarz, z d. Kłos, z ojczymem Tomaszem Świcarzem i jego synem Marianem. Jej ojciec, Wincenty Rajfur, zmarł, gdy miała 2 lata. Oto fragmenty jej wspomnień zatytułowanych *Nadzieja na powrót nigdy we mnie nie zgasła* przekazane Piotrowi Słomskiemu do zbioru: *Świadkowie historii. Deportacje na Syberię.* i opublikowanych w książce *Do zobaczenia, kasztanku!: Gdy opuściliśmy dom nie wsiedliśmy na sanie, bo panowało tak przenikliwie zimno, że lepiej było utrzymać ciało w ruchu. Szliśmy więc za saniami. Wszyscy tak zrobili. Szary i długi sznur ludzi ciągnął się na tym dystansie, który dzielił nas od stacyjki. W Denysowie staliśmy jeszcze ze trzy dni, zanim ruszyliśmy na Sybir w pociągu składającym się z bydlęcych wagonów(…) Po miesiącu dotarliśmy w końcu do stacji w jakiejś miejscowości położonej gdzieś nad rzeką Łuzą w Republice Komi. Podzielono nas na mniejsze grupy i ulokowano w barakach. Zostaliśmy przeznaczeni do wycinki lasu. Praca była bardzo ciężka, niewolnicza. Trzeba było wstawać codziennie wcześnie rano, na długo przed wschodem słońca i iść do roboty ponad siły z tymi skromnymi racjami żywnościowymi, które każdego dnia otrzymywaliśmy. Za pracę płacono nam grosze. Ojciec, z racji, że znał się trochę na budowaniu pieców pracował też jako zdun. Co prawda na miejscu były sklepy, ale nie można tam było za wiele kupić. Chleb był bardzo niedobry, ciężki, trochę niedopieczony. Ludzie cały czas się skarżyli na bardzo słabą jakość pieczywa. W końcu jedna z Rosjanek powiedziała:" To pokażcie, jak piec chleb! „ I kilka kobiet wraz z moją mamą podeszło i pokazało jej, jak to robić.*

W stołówce podawano czasami zupę. Ale jaka to była zupa. Liście kapusty, nie z główki, tylko te zielone; posiekane na drobno do beczki i zalane wodą, która przybierała gorzkawy posmak. Kucharka nabierała tę zupę czerpakiem i rozdawała deportowanym. A do tego były odwiane łuski z owsa z mąką i kaszą owsianą, które gotowano. Robiła się z tego taka galaretka. Dostawało się więc pół litra zupy i parę łyżek tej galaretki. To wszystko było bez smaku, ale się jadło, bo głód był strasznie dojmujący. Jak ktoś chciał zdobyć ziemniaki , to w pierwszym roku musiał wymienić na nie jakieś części garderoby. W późniejszych latach natomiast dawano nam je w lesie. Można było wykarczować też sobie jakąś część terenu w tajdze pod kartofle. W lecie zaś robiliśmy kaszę z pszenicy. Trzeba było jakoś dawać sobie rady dostępnymi środkami. Ojciec pocieszał nas: „Nie martwcie się. Cierpimy co prawda chłód i głód, ale przynajmniej noce mamy spokojne. Nie patrzymy ze strachem w okno, czy jacyś Ukraińcy nie jadą nas zarżnąć" - wspomina pani Józefa. W pewnym momencie zapadłam na zapalenie płuc. Zabrano mnie do szpitala, choć trudno było nazwać to szpitalem. Jedynym dostępnym dla nas lekiem były sosnowe szpilki, cedzone na parze. Po dwóch tygodniach lekarz mnie wypisał. Miałam jednak przychodzić do łaźni i brać kąpiele. Łaźnia to był w zasadzie barak. Pośrodku wielkiej izby leżała ułożona sterta nagrzanych kamieni, na które ktoś co rusz wylewał kubeł wody, aby powstawała para. Po bokach zaś były zainstalowane półki. Można było się na nich położyć. I właśnie jak to się nazywa bania, miała być lekarstwem na zapalenie płuc.(...) Na Syberii przebywało się na miejscu pracy czasami przez całą zimę, mieszkając w szałasie i dopiero np. na wiosnę wracało się do obozowiska. Kiedyś przy wycince pracował z nami pewien chłopak o imieniu Marian. Kiedy przyjechaliśmy po kilku miesiącach do baraku, to okazało się, że jego mama, Józia, od jakiegoś czasu już nie żyła. Nie otrzymał od władz nawet wiadomości o jej śmierci. Był zupełnie nieprzygotowany na to, że na miejscu zastanie już tylko swojego młodszego braciszka, Janka. Strasznie rozpaczał, gdy się dowiedział, że jego mama odeszła. Nigdy nie zapomnę jego bólu - wspomina pani Józefa (...)Ciężkie warunki bytowe i wyczerpująca praca dawały się nam ciągle we znaki. Co rusz ktoś z naszej rodziny zapadał na większe lub mniejsze schorzenia. Najciężej te warunki zaczął znosić mój ojciec. (Tomasz Świcarz – dop. K.M.) Był o wiele starszy, gdy ożenił się z mamą i miał już swoje lata. Niedobór witam powodował u niego bardzo szybkie wycieńczanie organizmu. Nadszedł rok 1943. Zima jak zawsze była bardzo ostra, przytłaczająca. To był dokładnie 7 lutego. Ojciec od rana leżał i bardzo ciężko oddychał. Mijały godziny. Tata był coraz słabszy. Wiedzieliśmy, że już odchodził. Czuwaliśmy przy nim. W pewnym momencie po prostu przestał oddychać. Wybiegłam z izby i krzyknęłam: „Mamo, mamo! Tata chyba nie żyje!" „Niech już śpi"-. odpowiedziała mama i z bólem serca. Ojciec miał przy sobie do końca książeczkę do nabożeństwa w skórzanej oprawie. Niemal natychmiast po jego śmierci udaliśmy się

do naczelnika. Zbiliśmy trumnę z desek. Drugi dzień prawie cały zszedł na kopanie grobu, bo ziemia była zmarznięta na kamień. Na szczęście sił nam przy tym nie zabrakło i zdołaliśmy, jak mogliśmy w tamtych warunkach najgodniej, ojca pochować. I tak pozostaliśmy sami - wyznaje z zadumą i wzruszeniem pani Józefa. ..Zdaje się, że katorżnicza praca zabijała u niektórych z nas chęć do walki o przetrwanie. Kiedyś wracałyśmy z siostrą do domu z lasu. Siostra była słabsza, usiadła sobie na pieńku i powiedziała do mnie: „Wiesz co, tak mi teraz dobrze, oj jak bym sobie tutaj pospała." A ja, nie namyślawszy się, wzięłam ją natychmiast za rękę. I powiedziałam: „Szybko! Chodź! Musimy iść!" I zaraz ją rozruszałam, mimo że sama ledwo żyłam. Przecież gdybym jej tam pozwoliła zostać, to na pewno by zamarzła -wspomina pani Józefa.(...)Na początku 1946 roku otrzymaliśmy wiadomość, że wracamy do ojczyzny. Szczęście było nieopisane. Wszyscy nie mogliśmy się już doczekać momentu kiedy wyruszymy do Polski. Oczywiście różne dolegliwości mnie z tego powodu nagle nie opuściły. Pewnego dnia dostałam jakiejś biegunki. Tak silnej, że cokolwiek zjadłam, to od razu wydalałam krwią. Myślałam, że już się wykończę i jak na ironię akurat w momencie kiedy mieliśmy wracać. Miałam jednak szczęście. Pomogła mi mieszkająca z nami Żydówka. „Mam znajomą w aptece, może uda się z nią coś załatwić"- stwierdziła. Noi przyniosła od tej swojej aptekarki jakiś specyfik w buteleczce. Wypiłam z czasem całą tę buteleczkę. Zaczęło pomagać. Mama powiedziała do tej naszej Żydówki:" Dziękuję. Faktycznie pomaga, ale już się butelka skończyła". A Żydówka od razu na to:" Nie ma sprawy. Przyniosę wam drugą". I dopiero wypicie tej drugiej buteleczki już całkiem mi pomogło. Na pewne poświęcenie dla mnie zdobyła się również moja siostra, Antonina. Miała taką spódniczkę, jeszcze z domu, i powiedziała, że nikomu jej nie sprzeda. Ale gdy trzeba było mi pomóc, to poszła bez wahania, sprzedała tę spódnicę i przyniosła trochę mąki. Mama przysmażyła tę mąkę na patelni; kiedy nabrała brązowego zabarwienia, dolała do niej wody, zrobiła papkę i dawała mi do jedzenia. Żołądek zaczął jakoś pracować. Po czasie wydobrzałam i nabrałam sił. Nadszedł w końcu zapowiedziany czas podróży powrotnej. Wsiedliśmy z jakimiś tobołkami do wagonów. W środku było czysto a wrota - otwarte. Wszyscy byli szczęśliwi, że wracają(...) Po miesiącu podróży zatrzymaliśmy się ostatecznie w Stargardzie. Stamtąd ruszyliśmy do Gryfina.

O życiu na Sybirze rodziny Józefa Marchewki i jego żony Marii z Nietrebów na podstawie rodzinnych opowiadań napisała w korespondencji w listopadzie 2015 r. Stanisława Zarzycka, z d. Nietreba, bratanica Marii. Oto jej krótki przekaz: *Maria urodziła się w 1910 roku w Czernielowie Mazowieckim w rodzinie Ignacego Nietreby i Agnieszki-Jagny Smolskiej. Po wyjściu za mąż za Józefa Marchewkę mieszkali niedaleko Czernielowa na kolonii. Jak na tamte czasy byli dosyć zamożni, mieli swoją żwirownię. Ze względu na niesprawną rękę Marii do pomocy mieli służącą. Urodziło*

się im dwoje dzieci: w 1930 roku córka Janina i w 1936 roku syn Kazimierz. Jako ludzie bogaci zostali wywiezieni na Sybir. Po wojnie Maria Marchewka, z d. Nietreba, opowiadała, że było im na zesłaniu ciężko, a przede wszystkim zimno. Mieszkali w barakach, jedzenie było reglamentowane. W zimie grzebali w śniegu, szukając bulw do zjedzenia. Herbatę gotowali z gałązek. Dzieci chorowały na tyfus, szkarlatynę i inne choroby. Te, które były słabsze, umierały. Rodzina Marchewków przeżyła zesłanie.

Warunki pobytu na Sybirze swojej rodziny przedstawiła w 1995 roku Janina Marchewka w korespondencji do swego kuzyna Zbigniewa Kubowa. Urodzona w 1930 r. w czasie wywózki nie miała jeszcze 10 lat. Janina Marchewka pisała między innymi: *W Rosji byliśmy prawie dwa lata. Przywieźli nas wśród zimy do posiołka Ozierki, obłaść Swierdłowsk, gdzie już w 1936 roku poprzednicy nasi, wysiedleńcy z Polski sprzed I wojny światowej musieli się przeprowadzić w inne miejsce, bo Stalin już planował, że tam innych ludzi nawiezie, żeby lasy karczować. I tak gdy raz przyjechał taki staruszek, to mówił do nas: „Wy macie dobrze, bo was chociaż przywieźli do jakich takich domów, a nas rzucili na śniegi. Ludzie zbierali gałęzie i robili szałasy, żeby ochronić się przed zimnem. I z zimna i głodu umierali. Na tym cmentarzu w grobie leży nie jedna osoba, a co najmniej dziesięć" (...) Pierwszy rok ojciec pracował przy spławie drzewa, to jest zimą ścinali drzewa, oczyszczali z gałęzi, a jak tylko na wiosnę lody puściły, a rzeka rozmarzła, spławiali drzewo rzeką z prądem wody. To była ciężka praca, przy której pracowali mężczyźni, kobiety bezdzietne i młode dziewczęta. Co miesiąc przychodzili na dwudniowy wypoczynek, obdarci i zmęczeni po 20 km marszu. Latem, gdy przychodził ten weekend, na powitanie wracających kilka kilometrów naprzeciw wychodzili ludzie z baraków, przeważnie dzieci. Bardzo często i ja brałam mego brata, dołączałam do grupy i szliśmy na spotkanie. Po powitaniu ojciec brał brata Kazika na ręce, bo on miał czwarty rok życia dopiero. Mnie ojciec oddawał torebkę z sucharkami. Ze swojej porcji chleba, czarnego jak ziemia, ojciec każdego dnia odkrawał mały kawałeczek, który zasuszał i odkładał dla dzieci. I to był dla nas poczęstunek, smakował jak najlepsza czekolada (...) Ja byłam w tym szczęśliwym okresie swojego życia, że nie musiałam pracować, chodziłam do szkoły. Ale że byliśmy z matką i bratem, to moim obowiązkiem było wstać rano o czwartej, gdy mama mnie budziła i pójść do sklepu, wykupić należny nam chleb czy krupy. Nie było źle, gdy mogłam coś kupić, ale gdy nic nie dostałam, a zwłaszcza zimową porą, to mówiłam do mamy, że wolę umrzeć niż iść jutro do sklepu. Zmieniałam zdanie, gdy się trochę ogrzałam i zjadłam, wtedy mówiłam do mamy, żeby następnego dnia obudziła mnie wcześnie. Gdy ja szłam do sklepu, to mama gotowała trochę jakiejś zupy, bo ona też na siódmą szła do pracy. Kazika pilnowała staruszka, która mieszkała z nami w drugiej połowie domu ze swoją córką, mężem i dziećmi. To były trudne czasy. Ale my zaliczamy się do szczęśliwych,*

bo mała rodzina, no i cała rodzina mojej mamy została na miejscu w Czernielowie Mazowieckim. Im możemy zawdzięczać przetrwanie. Przysyłali nam ciągle paczki żywnościowe, jak również pieniądze. Ojciec przy wyrębie i spławie drzewa nie był w stanie wyrobić nawet na wyżywienie. Jesienią 1941 roku dostaliśmy „amnestię". Mogliśmy wyjechać na południe Rosji, gdzie tworzyła się Armia Polska. I jak kilka rodzin z naszych okolic wyjechaliśmy w stronę Swierdłowska. Organizatorem wyjazdu był Janek Flisak z Borek Wielkich. On wynajął traktor i dwie duże pary sań. Dzieci, trochę bagażu i najpotrzebniejszy prowiant do podróży zapakowali na sanie, a dorośli - kobiety i mężczyźni szli. Dzięki temu, że rodzice mieli trochę pieniędzy dotarliśmy do pierwszej stacji kolejowej Tabory, oddalonej od naszego posiołka o 120 km. W Taborach po kilku dniach Janek Flisak wystarał się o pociąg, który szedł do Swierdłowska. Tu czekaliśmy chyba dwa tygodnie na transport w stronę Taszkientu. A rodziny bez zasobów materialnych zmuszone były pozostać. Byli i tacy, którzy pracowali na rzecz Rosjan i nie chcieli wyjechać.

Dalsze fragmenty wspomnień Janiny Marchewki zostaną przedstawione w następnych podrozdziałach.

Pochodząca z Borek Wielkich Waleria Biernacka, z d. Kotarska, młodsza o trzy lata od Janiny Marchewki swoje przeżycia z pobytu na zesłaniu w Ozierkach nad Tawdą w obwodzie swierdłowskim przedstawiła po 65 latach. We wrześniu 2010 r., opowiadając wspomnienia, dziennikarce z „Echa Złotoryi" mówiła: *Na Syberii chodziłam do szkoły przez 3 lata. Językiem wykładowym był język rosyjski. Mile wspominam wychowawczynię Ninę Prokofiewną, była dla nas dobra i wyrozumiała. Po lekcjach prowadzono nas parami na pole i pomagaliśmy dorosłym. Robiliśmy wszystko to samo, co dorośli, tylko na miarę swoich sił. Tato pracował w sowchozie jako rymarz i muzyk. W każdą sobotę urządzano całonocne potańcówki. Tańce były obowiązkowe, miały potwierdzać, że zesłańcy wiodą tam życie beztroskie i radosne. Po roku z wycieńczenia ojciec umarł. Został pochowany w syberyjskim Ozierku. Mama ciężko pracowała w sowchozie, głównie w polu. Uprawiano tam także rzepę - ogromną, którą potem wrzucano nam do kotła. Hodowano tam także pomidory w cieplarniach na stoły rosyjskich dygnitarzy. Kochana pani Nemecowa, żona przedwojennego majora z Borek, podkradała pomidory dla mnie, bo byłam żałośnie chuda i słaba. Mąż tej pani zginął w Katyniu. Ludzie byli zgaszeni. Nie słyszałam o ślubie, nie urodziło się żadne dziecko. Byliśmy szykanowani. Nie wolno było śpiewać pieśni religijnych ani modlić się po polsku, nawet na pogrzebie ojca. Od końca r. 1941 do połowy 1943 natarczywie zmuszano nas do przyjęcia obywatelstwa rosyjskiego. Nikt się nie zgodził, pomimo okrutnych represji, takich jak stanie w wodzie czy przemoc fizyczna. W Ozierku byli Niemcy, Polacy i Rosjanie – sami kryminaliści. Ale tylko Polakami usiłowano wzmocnić naród rosyjski. Kazano kopać rowy, nie wiadomo po co, ale kopano. Wycieńczonych i niedożywionych czepiało się*

robactwo. Raz w tygodniu obowiązkowo kąpaliśmy się w saunie. W tym czasie dezynfekowano nasze ubrania. Po kąpieli pogryzione ciało i spocona skóra mniej bolały i swędziały. Brat Marian przebywał w tajdze w podobnym baraku, pracował przy wyrębie drzew. Brat Tadeusz został księgowym i zaopatrzeniowcem na grupę polską w naszym sowchozie. Była to ciężka praca, bo jeździł po terenie odległym, by zdobyć żywność. Bywało, że wracał na „naszą trasę", przeprawiał się promem, przenosił na plecach całą zdobycz. Produkty trafiały do kuchni polskiej. Wszystkim potem wydawano jednakowy posiłek. O innych niewiele wiedzieliśmy, bo nie wolno było się nam kontaktować, ucina rozmówczyni. Nastał 1942 rok, zachorowaliśmy całą rodziną na tyfus. Był tam felczer, który zajmował się nami. Najsłabszych odstawiano do szpitala w taboryńskim rejonie. Niestety, nie było lekarstw i wiele osób zmarło. Byliśmy zajęci pracą, chorobami, walką z insektami. Największe obrzydzenie wywoływały w nas pluskwy, które boleśnie gryzły i wciskały się do ust – mówiąc to pani Waleria wstrząsa się z odrazą. Gdzieś daleko trwały walki, nie znaliśmy szczegółów, czasami czegoś dowiedział się brat i w czasie odwiedzin opowiadał – dodaje. Zbliżał się front. Po zesłańców przyjechali umundurowani polscy wojskowi. Zebrano swoich i ruszono w drogę. To była szczęśliwa chwila, niestety chwila, gdyż Sowieci nas zatrzymali i dla osłabienia naszego ducha rozrzucili po różnych sowchozach.

Przez jakiś czas Waleria przebywała w sowchozie im. Szczorsa w czernigowskoj obłasti. Do Borek wróciła z bratem Tadeuszem. Jej mama w obawie przed banderowcami nie zdecydowała się od razu na powrót, dołączyła do rodziny po ogłoszeniu zakończenia wojny i wkrótce razem wyruszyli na Ziemie Odzyskane. Rodzina Kotarskich zamieszkała w Wińsku na Dolnym Śląsku.

W czasie dodatkowej rozmowy z Danutą Sosą w lutym 2016 r. Waleria Biernacka, z d. Kotarska, opowiedziała o rodzinach z Borek Wielkich, z którymi rodzina Kotarskich dzieliła los na zesłaniu w Ozierkach. Wśród zapamiętanych przez nią rodzin i pojedynczych osób byli: panowie Karpiszow, Piekarzewski, Pasierb Bronisław, Krzysztofów, Szymaniak czy Szymański, Machurowie oraz pani Nemecowa - żona majora, który był gdzieś w obozie, policjantowa Raczyńska, Woźniakowa, żona kolejarza z dziećmi.

Gdy pani Waleria przeglądała zdjęcia, najcenniejsze pamiątki z tamtych lat, na zdjęciu przy trumnie jej ojca, zmarłego w lipcu 1941 r., rozpoznała panią Sokołowską z Borek Wielkich.

Jak wcześniej wspomniano rodziny Sowów-Ratowskich, Sokołowskich oraz Kolasów również przebywały w Ozierkach nad Tawdą.

Uzupełnieniem opisu warunków życia deportowanych na Wschód będzie relacja z pobytu rodziny Koryluków ze Stupek w Północnym Kazachstanie zanotowana przez Sylwię Rembecką na podstawie rozmów z jej babcią Eugenią

Wolańską i prababcią Anną Koryluk. W swojej pracy o genealogii rodziny ze Stupek pisała: *Po przyjeździe rozdzielono ich rodzinami do rodzin rosyjskich. Wieś* (Małas - dop. K.M.) *była niewielka. Z rzadka rozsiane bez ogrodzeń lepianki. Wokoło nich udeptano ścieżki. Na ich powitanie przyszło wiele rdzennej ludności, mieszkańców Kazachstanu Kazachów, których Polacy nazywali Kirgizami... Ludzie miejscowi przynosili im mleko, chleb, naftę. Ilość darów świadczyła, w jakim poszanowaniu był chleb i artykuły pierwszej potrzeby. Mąkę przynosili im w miseczkach, a ziemniaki w garści. Byli to przeważnie Ukraińcy, wysiedleni przed laty spod Kijowa i Charkowa, posługujący się mieszaniną słów rosyjskich, ukraińskich, kazachskich i tatarskich. Doradzali, uczyli, pokazywali i dziwili się, dlaczego Polacy nie umieją palić kiziakiem, dlaczego nie chcą wybudować sobie własnych domów. Byli szczerzy i gadatliwi, weseli i gościnni. Niektórzy pomagali w pracy samotnym kobietom, które nie dawały sobie rady. Pokazywali, jak przeżyć najtrudniejsze chwile w odległym Kazachstanie.*

Po trzech miesiącach otrzymali barak jednoizbowy, w którym mieszkały cztery rodziny z okolic Tarnopola: Anny Koryluk z Stupek, Marii Baran ze Smykowiec, Anny Szymczak z Zadnieszówki i Marii Markowicz z Czernielowa (Ruskiego, a ściślej z Czołhańszczyzny - dop. K.M.).

Prababka moja, Anna Koryluk wraz z innymi kobietami była dojarką. Miała na utrzymaniu dwoje nieletnich dzieci i matkę Antoninę. Dzieci uczęszczały do szkoły. Znajdowała się ona w dwuizbowym baraku. W jednej izbie był tzw. kantor, czyli biuro, a w drugim uczyły się dzieci. Anna Koryluk pilnowała i doiła krowy - trzy razy dziennie latem, a zimą i jesienią dwa razy. Latem całe rodziny wraz z bydłem wywożono na step, zwany tajdusz. Dojarki miały kolejki w pasieniu krów. Jeden tzw. hurt miał 150 sztuk. Dlatego nawet w ciągu roku szkolnego prababcia Anna zabierała babcię Eugenię do pomocy przy pasieniu bydła, gdyż ta bardzo bała się wilków i nie lubiła pomagać przy wypasie. Jedna osoba nie była w stanie dopilnować rozchodzących się po stepie krów. Przez całe lato od czerwca do sierpnia spano na ziemi. Komary tak dokuczały, że w ciągu dnia dzieci zbierały suche łajno bydlęce, które nocą palono, żeby odymić komary.

Dojarka dostawała ½ kilograma chleba dziennie, niezależnie od ilości członków w rodzinie, niepracujący dostawali przydział tzw. uzadki, czyli poślad zboża, ok. 3,5 kilograma na dwa tygodnie.

W różny sposób próbowali znaleźć dodatkowe zajęcie i pożywienie: na stepie poszukiwali nor suślików, czyli dzikich chomików, przy pomocy specjalnych koszyków z wikliny, które wyplatał Fryderyk, brat babci Eugenii, łowili ryby, w czasie krótkiego lata, głównie w niedziele, uprawiali warzywa w przydzielonych im przez kołchoz działkach.

W tych trudnych warunkach próbowali tak żyć, by przeżyć. Krewna zesłańców opisywała*: Z wikliny brat babci Fryderyk plótł tzw. winciory, czyli koszyki, w których łapało się ryby. Koszyki były skonstruowane tak, że jak ryba wpłynęła, nie mogła się z niego wydostać. Wiązano je na sznurku do kija wbijanego na brzegu jeziora. Fryderyk był kaleką, dlatego do różnych prac wysyłano babcię Eugenię. Na przykład w nocy około godziny 23 szła 2-3 kilometry do jeziora i wtykała koszyk, a około 5 rano szła wyjmować ryby. Pamiętała, jak jako 10-letnia dziewczynka bardzo bała się iść sama i do dziś ma żal do matki i brata, że ją wysyłali samą nad jezioro. Gdy szła, za każdym razem płakała ze strachu, że idą za nią wilki. One obwąchiwały ją, ale nigdy nie zrobiły krzywdy. Jednak najbardziej bała się tego, że przy wejściu do jeziora, trzeba było przejść przez wielkę wiklinę.*

W izbie, w której mieszkali, znajdowała się jedna kuchnia do gotowania, płyta z fajerkami. Jak nie było drzewa, to palili sianem lub wysuszonym łajnem krowim. Tak zwane kiziaki robili latem w specjalnych formach, suszyli, zawozili do chaty i tym w zimie palili. Brakującą ilość kiziaku (jeśli nie zdążył wyschnąć) zastępowali wiklinowym drewnem, które cięli w nadrzecznym gaiku. Targali je nocą, a później ukrywali w zaroślach do wyschnięcia… Nauczyli się piec chleb bez drożdży, których tam nie było. Zastępował je chmiel rosnący w dużych ilościach. Wysuszony na wietrze, sparzony wrzątkiem, zatarty z razową mąką, dawał rozczyn pulchny i aromatyczny. Słońce było takie, że warzywa rosły duże i soczyste, co było plusem tego miejsca. Podobno pieczone buraki miały smak lukrecji, a duszona marchew przypominała konfiturę z dyni. Wszystko jedli bez soli i przypraw… W lecie panowały straszne upały, około 40-50 stopni. Było jedno lato, gdy słońce piekło tak mocno, że ludziom schodziła kolejna skóra od oparzenia. Latem pracowali przy sianokosach. Babcia mówiła, że zmęczenie czasami było tak silne, że go nie odczuwali, pracowali jak automaty. W beczkowozie często brakowało wody. Ludzie żłopali ją jak kaczki, bo pragnienie stale dokuczało. Zabierało apetyt i odbierało chęć do życia. Nie chciało się im nawet czytać gazet, które ktoś czasem przywoził. W świadomości mieli tylko dwa słowa: woda i słońce. Pierwsze było upragnione, a drugie znienawidzone… Polacy mieszkający w Kazachstanie pragnęli choć w małym stopniu celebrować swoje tradycje. To nie był ich kraj i ich miejsce na ziemi. Ale skoro przyszło im tam żyć, to chcieli, by w kołchozie było choć trochę tak jak w domu. Polacy wyznania katolickiego zrobili sobie w małej glinianej chatce namiastkę kościółka. Nabożeństwa odprawiane w tej chatce stanowiły ważną cząstkę wygnańczego życia. Zaraz po porannej mszy robiło się tam ciasno i gwarno. Do tej skromnej chatki przychodziło wielu Polaków, nawet z odległych stron. Czytali tam od deski do deski wszystkie numery „Orła Białego”, czasami nawet po kilka razy. Niektórzy przepisywali wystąpienia Sikorskiego, by potem przeczytać je w domu tym, którzy nie mogli przybyć na msze. Tam też decydowali komu należy się pomoc z Czerwonego Krzyża.

Często też robili świece do nabożeństw. Chatka zamieniała się w szkołę, w której uczono języka polskiego, historii i geografii Polski. Nauka w niej trwała około tygodnia. Nie były to idealne warunki do nauki z kilkoma książkami do języka polskiego. Reszta to opowieści starszych doświadczonych ludzi. Dzieci nie siedziały w ławkach, tylko na cegłach. Za tablicę służyła nauczycielowi ściana pobielona na biało, na której pisał węgielkiem. Stare gazety z miejscami między wersami służyły za zeszyty. Jak nigdy przedtem była wielka chęć poznania historii swojego kraju, wszyscy chłonęli wiedzę o swoim ukochanym, utęsknionym kraju. Choć na chwilę mogli przenieść się nad Wisłę.

W promieniu kilkudziesięciu kilometrów od miejsca pobytu rodziny Koryluków był położony kołchoz Dmitrowka i Ferma nr 3, w której przebywali Czepczakowie, Demczukowie i Anna Cembrowska, pochodzący również ze Stupek. Wspomniany wcześniej Bronisław Czepczak-Górecki we fragmentach referatu wygłaszanego na spotkaniach z kadrą oficerską jednostek specjalnych USA opowiadał: *Na fermie było około 200 krów i 2 podziemne obory. W 12 chatach mieszkało tam około 50 tubylców i 21 Polaków, w tym tylko 3 mężczyzn. Ludzie ci zbierali siano w bezkresnym stepie na paszę dla krów na długą i mroźną zimę. Pracujący otrzymywał 1 kilogram chleba dziennie i wypłatę miesieczną, a niepracujący tylko pół kilograma chleba. Podczas sianokosów w stepie dawano nam też zupę, ale zimą tylko chleb. Poza solą i igłami nic tu nie można było kupić. Czasem udało mi się ukraść trochę mleka, ale to było bardzo ryzykowne.*

We wspomnieniach *Na szachownicy losu* Bronisław Czepczak bardzo szczegółowo i obrazowo opisał miejsce pobytu w Kazachstanie: *Ferma nr 3, bo tak się ta osada nazywała, należała do miaso-mołocznogo sowchoza i zgodnie z nazwą jej podstawowym zadaniem była produkcja mięsa i mleka. Ze zbóż uprawiano głównie pszenicę, trochę owsa i słoneczniki na kiszonkę. W dwóch wkopanych w ziemię bazach przebywało ponad 200 krów, osobno był młodniak dla podrosłych jałówek i dwa cielętniki. Była też baza dla wołów zwanych tu bykami i mała koniusznia na kilkanaście koni. Koni do pracy w polu nie używano. Na fermie znajdował się jeden kombajn zbożowy, jeden traktor CzTZ na 8 lemieszy, jeden SHTZNATI - staliniec na gąsienicach na pięć lemieszy i trzy kołowe - po trzy lemiesze każdy. Były też doczepne mechaniczne kosiarki do trawy, grabiarki, siewniki, kultywatory, brony. Takiego wyposażenia nasi dotychczas nie oglądali (...) Kilkanaście chat, szkoła, kantora i klub, zbudowane z drewnianych bali górowały nad ziemiankami. Do naziemnych budowli należał też magazyn zbożowy, młyn - duże żarna napędzane przez traktor, kuźnia, stolarnia, maleńka bania i przewiewny ustęp na cztery oczka.*

W osadzie żyło około120 ludzi, mieszkających z rodzinami w pojedynczych izbach chat i ziemianek. Skupisko małe, ale urozmaicone. Ponad połowę stanowili

Kazachowie, zwani też Kirgizami, koczujący do niedawna ze swoimi stadami owiec i koni po rozległych stepach… Chachły - jak nazywano tu przesiedlonych Ukraińców – trzymali się razem i nie darzyli sympatią Kirgizów, naśmiewając się z ich obyczajów … Na Fermie nr 3 zastaliśmy również kilkunastu Turkmenów - w tym dwie kobiety i dziewczynę - zesłanych tu z Aszchabadu. Zajmowali się wyrabianiem serów z odciągniętego mleka, nazywano ich serowarami.

W takim środowisku na początku maja 1940 r. znaleźliśmy się i my - dwadzieścia trzy osoby z Polski - tworząc z konieczności jeszcze jedną, odrębną językowo, obyczajowo i religijnie grupę. Więzią łączącą ten konglomerat była na pewno wspólna niedola i trudne warunki bytowania.

Ferma nr 3, szkic autora z książki *Na szachownicy losu*

Bronisław Czepczak miał wtedy 18-19 lat. Wiosną pracował jako pomocnik traktorzysty, a po zakończeniu wiosennej orki i siewów kosił i grabił trawę na siano. Sianokosy trwały do pierwszych przymrozków. Zimą, gdy bydło spędzano do baz na fermie, po 100 krów w jednej bazie, młody zesłaniec pracował jako oborowy. Wywoził saniami obornik, przywoził ze stepu siano do karmienia, słomę na ściółkę, wyciągał kołowrotem wodę ze studni do pojenia w długich korytach. Jak sam pisał, była to ciężka praca, w warunkach surowej zimy, gdy mróz zaczynał się od minus 30 stopni. Zimą musiał też zadbać o drewno do gotowania i wypieku, bo do spalania w piecu do ogrzewania służył kiziak, przygotowany latem z wywożonego obornika w specjalnych formach i wysuszony na słońcu. Po drewno wyprawiano się saniami zaprzęgniętymi w woły do odległego lasu.

Czepczakowie razem ze Stefanią Demczuk, jej córką Janeczką i panią Cembrowską mieszkali w ziemiance, razem siedem osób.

I jeszcze kilka zdań o pobycie na Sybirze rodziny Marchewków z Czołhańszczyzny. Ich historię napisał w kwietniu 2016 roku urodzony w Stupkach w 1931 r. Zbigniew Kubów, którego mama pochodziła z tej rodziny:

Pierwszym miejscem zesłania Heleny i Antoniego Marchewków, ich syna Wiktora i córki Teodozji Rajfur z mężem Franciszkiem i dziećmi był posiołek Kuźnia w wielkim kompleksie leśnym–tajdze Krasnojarskiego Kraju. Mieszkali

w drewnianych barakach. We wrześniu 1940 r., zaledwie kilka miesięcy po przybyciu na miejsce zesłania, zmarła Helena. Miała 63 lata. Przyczyną jej śmierci był skręt kiszek spowodowany niedożywieniem i ciężką pracą. Po podpisaniu porozumienia Władysława Sikorskiego ze Stalinem cała rodzina przeniosła się do posiołka Kartuzy. Również zamieszkali w budynku drewnianym, ale samodzielnym.

Tu z wycieńczenia i głodu w kwietniu 1943 r. w wieku 73 lat zmarł Antoni Marchewka. Za rok w kwietniu 1944 r. na chorobę płuc zmarł 28 letni Wiktor Marchewka. Wiktor chorował od czasów nauki w gimnazjum w Tarnopolu. Mimo iż, jak twierdził, klimat Sybiru był czynnikiem podtrzymującym jego życie, to warunki ciężkiej pracy, brak należytego odżywiania i ciągłe prześladowanie przez NKWD powodowały utratę sił, pogorszenie stanu zdrowia i przedwczesną śmierć.

O pracy zesłańców i organizowanej dla rodziny pomocy żywnościowej Zbigniew Kubów napisał między innymi: *Wszystkich trzymających się na nogach zaganiano do ciężkiej pracy w skrajnie niebezpiecznych warunkach przy wyrębie drzew, oczyszczaniu i składowaniu w bardzo wysokie stosy. Wiek i płeć nie miały znaczenia. Wyznaczano normy wykonania zleconych robót, a niewykonanie groziło karami, zmniejszeniem racji żywności lub w ogóle ich wstrzymaniem i potrąceniem zapłaty za pracę. Ludzie podupadali na siłach i zdrowiu, głodowali, chorowali, skutkiem czego śmierć ich dziesiątkowała. W takich warunkach znalazły się i nasze bliskie rodziny zesłane w głąb dalekiego Sybiru, w bezkresnych lasach, o ciężkim surowym klimacie: zimy długie, śnieżne, o bardzo niskiej temperaturze, sięgającej do minus 60-65 ^{0}C, z kolei lato krótkie, gorące, ciężkie do zniesienia z uwagi na plagę czarnych, mikroskopijnych muszek, które mimo stosowania różnych zabezpieczeń właziły pod odzież i gryzły niemiłosiernie (...)*

Największym dramatem zesłańców był głód i niemoc przetrwania. Przydziałowe racje żywnościowe nie zaspokajały 1/3, a nawet 1/4 niezbędnego pokarmu dziennego do utrzymania przy życiu człowieka. O ile osoby pracujące wykonywały normy przydzielonej roboty, mogły wyjątkowo otrzymać minimalne dodatkowe racje żywności, to pozostałe starsze, niezdolne do pracy i dzieci po prostu głodowały. Jeśli komuś z zesłańców udało się zabrać ze sobą przy wywózce nieco więcej odzieży, pościeli itp. rzeczy, mogli czasami wymieniać ją na żywność u osiadłych tam Rosjan - wcześniejszych zesłańców (...)

Tę gehennę udało się przeżyć jedynie osobom naprawdę wyjątkowo zdrowym i silnym lub bardzo zaradnym. Rodziny deportowanych pozostałe w swoich miejscach zamieszkania nie mogły w dostatecznym stopniu pomóc swoim bliskim, znajomym i zaprzyjaźnionym. Zakazana była pomoc we wszystkich formach np. wysyłanie pieniędzy czy paczek żywnościowych, a jeśli komuś udało się coś wysłać, to dzięki nielicznym wyjątkowo ludzkim pracownikom poczty, którzy mogli ponieść surowe kary. Oficjalnej możliwości pomocy żywnościowej nie było.

A jeśli nawet udało się wysłać kilkukilogramową paczkę żywnościową z artykułami o dłuższej przydatności, jak mąka, kasze, słonina solona czy kilkadziesiąt rubli to stanowiło to krople w morzu potrzeb (...) Błogosławiona jednak była przez nich wszelka pomoc, jak pisał nieraz wujek Wiktor, brat matki: Kochana siostro, ostatnie ziarenka kaszy wytrzepywałem z woreczka, których nie starczyło nawet na okraszenie zupy z samej wody. A tu wiadomość! Paczka od was przyszła. Jaka to była błogosławiona pomoc i radość, łzami pokropiona przez całą rodzinę. Ten dzień był świętem dziękczynienia.

Wiktor Marchewka w miejscu pracy na Sybirze, 1943 r.

Sytuacja w rodzinie Marchewków i Rajfurów skomplikowała się po śmierci kolejno Heleny, Antoniego i Wiktora. W trzypokoleniowej rodzinie piątką małoletnich dzieci (na Sybirze w lipcu 1941 r. w rodzinie Teodozji i Franciszka przyszła na świat córka) opiekowali się niepracujący członkowie rodziny. Ale gdy zabrakło starszych, a Franciszka w 1942 r. powołano do wojska jedynym opiekunem i żywicielem rodziny z pięciorgiem dzieci została trzydziestokilkuletnia Teodozja. Jak pisał Zbigniew Kubów: *Zaparła się sama w sobie, nie poddała się niczemu i nikomu. Postawiła sobie za cel życia - dzieci i powrót do Polski.*

Właśnie w takich rodzinach niepełnych i z małymi dziećmi, które znalazły się na zesłaniu w skrajnie nieludzkich warunkach, pomoc żywnościowa była najbardziej potrzebna, dawała szansę na przeżycie.

W niewyobrażalnie trudnej sytuacji życiowej znalazła się wraz z dziećmi Maria Małachowska, najstarsza córka Anny i Leona Podleskich. Jej rodzice, a zwłaszcza ojciec podejmowali różne działania, aby ulżyć ich doli. Leon Podleski, jak wspominał, wysłał około 60 listów interwencyjnych do różnych osób i instytucji, w tym w Austrii, Stanach, Niemczech, Szwecji, Włoszech w sprawie uwolnienia z zesłania Marii i czwórki jej dzieci. Niestety, wszelkie interwencje okazały się bezskuteczne. Wiadomo z zapisków Leona Podleskiego, że zarówno on, przebywając w Generalnej Guberni, wysyłał paczki żywnościowe i z odzieżą, jak również jego żona z Tarnopola wysyłała paczki i pieniądze. Nie było tego pewnie zbyt wiele, nie wszystkie też pewnie doszły do adresatki. Nieliczne paczki i pieniądze, w tym przez bank w Szanghaju dotarły do rodziny Małachowskich od znajomych, do których Leon Podleski zwrócił się o pomoc.

Nic nie wiadomo, w jakim charakterze Maria Małachowska pracowała i z czego utrzymywała siebie i swoją rodzinę.

Na Sybirze. Posiołek Ozierki nad Tawdą w swierdłowskiej obłasti, lato 1941 r. druga od prawej za dwoma mężczyznami Janka Ratowska

Posiołek Ozierki. Na pierwszym planie z synem Kazimierzem na kolanach pochodząca z Czernielowa Mazowieckiego Maria Marchewka, z d. Nietreba, obok niej w berecie i ciemnej sukience jej córka Janina

Posiołek Ozierki. Pierwsza z lewej Maria Marchewka, z d. Nietreba, za nią w sukience z wiązaniem jej córka Janina, obok córki syn Kazimierz

Dzieci ze szkoły w Ozierkach. W najwyższym rzędzie dziewczynka to Waleria Kotarska z Borek. Z lewej Polki kucharki: p. Zuzanna i p. Kawowa.

Ozierki. Pogrzeb Andrzeja Kotarskiego z Borek w lipcu 1941r. Dziewczynka przy trumnie to Waleria Kotarska (po mężu Biernacka), obok jej mama i bracia. Z lewej strony w białej chustce z plamą na policzku Katarzyna Sokołowska

Cmentarz w posiołku Ozierki

Leon Podleski tylko raz wspomniał o ciężkiej pracy fizycznej swojej córki. Było to już prawdopodobnie w At-Bazarze, dokąd trafili z Jermaku. Jak wcześniej wspomniano, po długich staraniach udało się Marii Małachowskiej z trójką dzieci we wrześniu 1940 roku przenieść do Pawłodaru, gdzie od początku przebywała jej teściowa z swoją córką Janiną i Stasiem, synem Marii. W nowym miejscu mieszkali w baraku w trudnych warunkach, spali na gołej ziemi, bez podłogi, tylko na kocach. Bardzo w tym mieszkaniu zimą marzli: *śnieg we wiadrze wieczór przyniesiony, by rano mieć czystą wodę, nie tajał*. Do problemów mieszkaniowych i braku jedzenia dołożyły się choroby. Najpierw zachorowała Maria: uczestnicząc w czasie wyprawy po prowiant, w wyniku wypadku samochodu ciężarowego miała pękniętą miednicę, w kolejnej wyprawie odmroziła nogę skutkiem czego powstała niegojąca się rana, po odłączeniu od piersi po 14 miesiącach karmienia najmłodszej córki Jadwisi wytworzył się stan zapalny, pomoc lekarza uzyskała w szpitalu dopiero po 7 tygodniach, gdy zebrało się już 1,5 l ropy, wreszcie wskutek niedożywienia zapadła na kurzą ślepotę. Braki w pożywieniu pojawiły się jakiś czas potem, gdy od lipca 1941 roku po zajęciu Tarnopola przez Niemców przestały przychodzić paczki żywnościowe wysyłane przez matkę. Rodzina Małachowskich od wiosny 1941 roku mieszkała już wtedy w Jermaku. Na miejscu dostawali jedynie żytnią mąkę. Niedożywienie było przyczyną dezynterii, czyli czerwonki, na którą w lipcu i sierpniu 1942 roku zmarły dzieci Marii: najstarszy Tadeusz, wówczas 13-letni i najmłodsza niespełna 3-letnia Jadwisia oraz teściowa Ludgarda Małachowska.

Z dalszych wspomnień Leona Podleskiego wynika, że: *Z Jermaku zabrano ich do At-Bazaru po bardzo krótkim czasie ze względu na transporty wojskowe gęsto kursujące. Tam musiała wycieńczona złym odżywianiem fizycznie pracować i to jej odebrało resztę sił i odporności na panującą dyzenterię.* Maria Małachowska zmarła po kilkutygodniowej chorobie w noc wigilijną 1943 roku. Pochowano ją w prostej pace. Trochę ziemi z jej grobu dzieci Staś i Anusia zabrały ze sobą. W dwa miesiące po Marii zmarła Janina Małachowska, siostra jej męża.

O śmierci córki Marii jej rodzice dowiedzieli się dopiero 13 czerwca 1944 r., w dzień urodzin Anny Podleskiej. Wcześniej, jak pisał Leon Podleski we *Wspomnieniach*, mieli złe przeczucia, gdyż dłuższy czas nie otrzymali od niej żadnej wiadomości.

Jadwiga Podleska, uzupełniając wspomnienia ojca, dodała: *Najstarszy syn Tadzio miał iść do junaków Andersa, lecz zachorował i umarł.*

Natomiast o swojej najstarszej siostrze Marii dodatkowo napisała: *Według relacji dzieci Myszki, dwojga, którzy wrócili, Myszka, wskutek tej choroby żołądka i biegunki, przez dzień czy dwa nie mogła wyjść do roboty w budownictwie. Nie było przecież mowy o wezwaniu lekarza i uzyskaniu w domu zwolnienia lekarskiego. Gdy wreszcie mogła pójść do roboty, została przez kierownictwo robót pobita, że miała*

połamane obie nogi i jeszcze jakieś kości, o obrażeniach wewnętrznych nie mówiąc. Odwieziono ją do szpitala, i tam wskutek tego pobicia - umarła. To nie tylko dyzenteria byłą powodem śmierci.

Poprawę losu dla części zesłańców przyniosła amnestia dla obywateli polskich przewidziana w umowie Sikorski-Majski z sierpnia 1941 roku. Możliwość wstąpienia do Armii Polskiej, wymuszona możliwość dołączenia ludności cywilnej do tworzącego się wojska, przemieszczenia poza miejsce zesłania uratowały od niechybnej śmierci wielu deportowanych na Sybir.

Na koniec trzeba podkreślić, że niezależnie od warunków, w jakich znaleźli się zesłani na Sybir i z jakimi trudnościami przyszło im zmierzyć się, o ich przeżyciu na nieludzkiej ziemi decydowała wola ratowania się, a przede wszystkim uświadomienie sobie od początku położenia i instynktowna, z ogromną determinacją walka o przetrwanie. Nie każdemu tych sił i woli starczyło, nie każdemu pisany był szczęśliwy los powrotu do domu.

Rozdział 11. W czasie okupacji niemieckiej

Życie codzienne i praca

Od wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku i okupacji sowieckiej na wschodnich terenach II Rzeczpospolitej, w tym na Tarnopolszczyźnie, minęło kilkanaście miesięcy. W niedzielę 22 czerwca 1941 r. nastąpił atak hitlerowskich Niemiec na Związek Radziecki. Operacja nosiła kryptonim „Barbarossa" i była realizacją pierwotnego planu zdobycia przestrzeni życiowej na wschodzie, odroczonego w czasie po zawarciu w sierpniu 1939 roku paktu Ribbentrop-Mołotow o wzajemnej nieagresji. Znowu samoloty Luftwaffe przypuściły zmasowane naloty na lotniska znajdujące się przy granicy, trwało bombardowanie miast, toczyły się walki. Tym razem wojska niemieckie parły na wschód, a Rosjanie wycofywali się. Jak podają historycy, do działań na froncie wschodnim Hitler skoncentrował 4,7 mln żołnierzy w 164 dywizjach. Armia niemiecka na wschodzie dysponowała czołgami w liczbie 3,6 tysiąca, działami w liczbie 12,6 tysięcy i prawie 3 tysiącami samolotów. Rozpoczęcie ataku poprzedzone zostało dużą liczbą misji samolotów zwiadowczych oraz zbieraniem danych wywiadowczych. Pomimo rozległości niemieckich przygotowań i dokładnych meldunków wywiadu, atak całkowicie zaskoczył Armię Czerwoną.

Już 29 czerwca do opuszczonego przez Rosjan Lwowa weszły oddziały niemieckie. Tarnopol został zajęty 2 lipca 1941 r.

Tuż przed opanowaniem miasta przez Niemców, NKWD wyprowadziło z tarnopolskiego więzienia kolumnę ponad tysiąca więźniów. Było wśród nich wielu

przedstawicieli polskiej inteligencji, aresztowanych już po 22 czerwca. Niewytrzymujących tempa marszu mordowano. Mordy rozpoczęły się już na ulicach Tarnopola. Pozostałych więźniów, głównie Ukraińców, NKWD zamordowało. Wśród ofiar byli także niemieccy jeńcy wojenni. Ciała wrzucono do piwnic i do wykopu na podwórzu więziennym. Według niemieckiego meldunku wojskowego, zginąć miało ponad dwustu więźniów i dziesięciu niemieckich jeńców wojennych. Świadkowie polscy szacowali liczbę ofiar na mniej więcej tysiąc, a prasa polska w Wielkiej Brytanii wspominała za prasą niemiecką o kilkuset.

Do końca lipca trzy polskie województwa: lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie w całości znalazły się pod okupacją niemiecką. 16 lipca 1941r. odbyła się narada pod przewodnictwem Adolfa Hitlera, w czasie której poinformował on, że rezygnując z planu utworzenia państwa ukraińskiego, postanowił przyłączyć Galicję Wschodnią do Generalnego Gubernatorstwa pod nazwą Dystrykt Galicja (*Distrikt Galizien).*

Tak więc Tarnopol, wszystkie miasteczka i wsie Tarnopolszczyzny, w tym Czernielów znalazły się niespodziewanie w nowej wojennej rzeczywistości.

W pamięci Stefanii Górskiej, z d. Woźniak, co zostało zapisane we *Wspomnieniach…* przechowały się takie oto sceny z okresu, gdy rozpoczął się kolejny etap okupacji, tym razem niemieckiej: *Było lato, gorąco. Niemcy jechali samochodami od strony Tarnopola przez Smykowce, Stupki i dalej do Podwołoczysk. Szosa była zapchana samochodami, motocyklami, samoloty kręciły się i nie było wiadomo, czy to ruskie, czy niemieckie.*

A Rosjanie wycofywali się bocznymi drogami i lasami. Dużo z nich dostało się w plen, czyli do niewoli. Ale też po lasach tworzyli partyzantkę, później przebierali się za cywilów, służyli po gospodarzach, ale w dalszym ciągu utrzymywali łączność z partyzantką.

Ludwika Dziadas, z d. Jacykowska, urodzona w 1934 roku pamiętała scenę, kiedy bawiła się z koleżanką przed domem ludowym i do wsi wjechali na motorach niemieccy żandarmi w czarnych płaszczach. Stanęli przed drzwiami domu ludowego – jeden z nich kopnął w drzwi i weszli do środka. Po chwili wyszli, wynieśli ze sobą polską flagę narodową, podarli ją i rzucili w błoto. Następnie deptali ją i śmiali się. One zaś stały i patrzyły. Dopiero babcia Maliszkiewiczowa wciągnęła je dyskretnie do swojej obory.

Nikt o tym nie wspomina i trudno powiedzieć czy w Czernielowie zatrzymał się oddział Niemców, którzy wcześniej byli w Bajkowcach. Pisała o nich Maria Markowicz, z d. Paliwoda, w swoich wspomnieniach *W Bajkowcach na Podolu* cz. VIII. opublikowanych w biuletynie „Głosy Podolan" nr 92 z 2009 r.: *W ostatnim dniu czerwca 1941 r. Niemcy wkroczyli do Bajkowiec. Najpierw kilku żołnierzy na motocyklach zatrzymało się rano na wzniesieniach wokół wsi*

i wystrzeliło rakiety. Po dwóch godzinach wkroczył oddział piechoty, ponad stu żołnierzy i kilku oficerów. Sami młodzi i dorodni ludzie z furażerkami założonymi pod naramienniki, z zakasanymi rękawami bluz. Bardzo szybko na placu w środku wsi, okolonym dwoma małymi strumykami, z czystą krystaliczną wodą urządzili sobie miejsce postoju. Broń ustawili w kozły, rozbili kilka namiotów, sporządzili ziemną latrynę i osłonili ją szczelnie gałęziami drzew. Potem zaczęli się myć w strumykach, golić i zmieniać skarpety. Wkrótce przyjechała samochodem kuchnia polowa. Po obiedzie część żołnierzy obnażonych do pasa grało w siatkówkę, pozostali czytali gazety. Sporo mieszkańców Bajkowiec przyglądało się im z zainteresowaniem, w tym wiele młodych dziewcząt i to z bliskiej odległości. Ale żołnierze odwracali się do dziewcząt, z niesmakiem demonstrując palcami rąk zabijanie wszy. Po kilku godzinach odpoczynku oddział wyruszył do Czernielowa Mazowieckiego. Wszystko to wyglądało tak, jakby żołnierze traktowali ten wstępny okres starcia niemiecko-sowieckiego jak harcerską przygodę turystyczną, połączoną z biwakowaniem.

O zachowaniu Niemców w Borkach Wielkich w pierwszych dniach po wkroczeniu na ziemię tarnopolską w swoich *Wspomnieniach* napisał Jerzy Stopa: *Wojska niemieckie prące szybko na wschód w zasadzie przez Borki Wielkie nie przechodziły. Niemcy jechali gościńcem na Podwołoczyska i dalej. Po kilku dniach w Borkach Wielkich po południu zjawił się patrol na motocyklu, ludzie wybiegli z domostw zobaczyć, jak wyglądają Niemcy, a ten wysiadłszy z kosza stanął w typowym dla nich rozkroku i pistolet maszynowy po zarepetowaniu skierował w biegnących ludzi, jakby chciał strzelać. Ostudziło to zainteresowanie wszystkich, od razu wyjaśniono, kto tu rządzi.*

W innym miejscu *Wspomnień* Jerzy Stopa dodał: *Po ustaleniu się władzy i wyjaśnieniu, że tu nie będzie „samostijnej" tylko Generalne Gubernatorstwo, nastąpiła chwila spokoju – władze rozpoczęły nowy system okupacyjny. Teraz paszporty zostały zastąpione przez tak zwane kennkartę lub ausweis.*

Kilka zdań opisujących sceny po wkroczeniu Niemców do Tarnopola można przeczytać we *Wspomnieniach* napisanych w 1990 roku przez Józefa Mielnika „Bogaczynę": *W czerwcu 1941 hitlerowskie Niemcy napadły na Związek Radziecki i całą swoją potęgą ruszyły na wschód. My, Polacy mieszkający na Podolu, byliśmy zdziwieni, że tak silna Armia Czerwona ugięła się pod naporem hord Hitlera. Zdawało się nam, że wolność dla naszego kraju nie przyjdzie. Z dnia na dzień czekaliśmy na jakiś cud na świecie, a wojska Hitlera posuwały się jak lawina wulkaniczna pewne zwycięstwa. Gdy Niemcy zajęli Tarnopol, znalazłem się już na trzeci dzień w tym mieście. Widziałem bardzo bolesne i smutne sceny. Kto wymordował więźniów, tego nie wiem. Niemcy wywozili z więzień masę ludzkich ciał rozstrzelanych więźniów, których ciała już ulegały rozkładowi. Ciała ładowali na samochody i wywozili. Układali rzędami na łące i tam leżały te ciała parę dni.*

Ludzie, którzy mieli swoich najbliższych w więzieniu, próbowali rozpoznać tych nieszczęsnych ludzi, którym taki los zgotował wróg.

W dalszej treści swoich *Wspomnień* Józef Mielnik o okresie okupacji niemieckiej notował: *Ciężka była okupacja. Niemcy ściągali nałożone kontyngenty: zboża, mięsa, mleka, ziemniaków. Wyznaczony plan musiał być w całości wykonany. Zabierano wszystko, co było w gospodarstwie, a nawet dzwony z kościołów. Gdy rolnik pod przymusem odstawił swój plan zboża, to za każdy kwintal dostawał jakąś zapłatę a na dodatek wódkę, aby zapomniał o wszystkim, nawet o tym, że jest Polakiem.*

O nałożonych kontyngentach przez okupacyjne władze niemieckie pisali również autorzy opracowania *Велики Бірки…* (Borki Wielkie…): *Ludność zmuszona była wykonywać różne zobowiązania na rzecz okupanta niemieckiego. Z każdego domu pobierali podatek - kontyngent - w postaci zboża i zwierząt hodowlanych. Na 1942 rok dla Dystryktu Galicji wyznaczono kontyngent 400 tysięcy ton zboża.*

Tego okresu wojny dotyczy też fragment wspomnień Stanisławy Bodnar, z d. Mielnik, której ojciec Franciszek Mielnik został zabrany przez Rosjan. Autorka wspomnień *Moje życie, mój los* przedstawiła to następująco: *Koniec okupacji radzieckiej dla wielu mieszkańców naszej wsi był tragiczny. Wycofujące się wojska radzieckie zabierały gospodarzy wraz z końmi i wozami w celu transportowania rannych żołnierzy i sprzętu wojskowego oraz różnych rzeczy z ich magazynów na dalekie tereny wschodnie. Zabrali też mojego ojca. Ja nie zdawałam sobie sprawy z zagrożenia, na jakie był narażony. Widziałam rozpacz mamy, która na pewno bardzo bała się o to, czy ojciec wróci cały i zdrowy do nas. Nie pamiętam, jak długo nie było ojca. Wiem, że codziennie o nim rozmawialiśmy i niepokoiliśmy się o niego. Szczególnie mama. Podobne sytuacje były w wielu domach. Nie przypominam sobie, kiedy ojciec wrócił. I choć nie był ranny, to jednak był bardzo odmieniony na gorsze i przerażony tym, co w czasie transportu widział i przeżył. Unikał kontaktów z sąsiadami, był zamknięty w sobie. Rozmawiał najczęściej tylko z mamą i to szeptem.*

Stanisława Bodnar, z d. Mielnik pisała także o swoich odczuciach małej przecież wtedy dziewczynki: jak postrzegała niemieckie wojsko, jak odbierała lęki rodziców związane ze sprawami bytowymi w czasie okupacji, jak nieświadomie pośredniczyła w przekazywaniu informacji dla dorosłych. We *Wspomnieniach* ujęła to następująco: *Okupacja niemiecka była bardzo uciążliwa dla mieszkańców wsi. Okupant nakładał coraz większe kontyngenty, zobowiązując gospodarzy do dostarczenia zboża, żywca, mleka oraz świadczenia bezpłatnej pracy przy naprawie dróg, torów kolejowych i innych budynków wojskowych, a zimą do odśnieżania. Niezależnie od kontyngentów i darmowej pracy na rzecz okupanta, administracja niemiecka urządzała tzw. łapanki i zbierała młode i silne fizycznie osoby do pracy w Niemczech. Wiele młodych osób ukrywało się przed wywózką na roboty*

przymusowe do Niemiec. Był to wyraźny opór społeczeństwa przeciwko okupantowi. Opór ten wywoływał represje ze strony władzy niemieckiej.

Mama bardzo się bała, żeby Niemcy nie zabrali ojca. Lęk ten powodowany był dodatkowo informacjami, jakie w nieznany mi sposób docierały do rodziców o obozach koncentracyjnych. Pamiętam słowo Majdanek, które mama, płacząc, wymówiła do taty. Wtedy absolutnie nie wiedziałam, co to słowo znaczy. Jednak zapamiętałam je. Dopiero po wielu latach poznałam grozę tej nazwy. W wieku dojrzałym odwiedzałam to miejsce.

Wielokrotnie nieświadoma przenosiłam jakieś kartki przekazywane mi przez ojca do wskazanej przez niego osoby. Teraz wiem, że to były tajne informacje. Pewnego razu, gdy przenosząc te informacje, weszłam do domu Józefa Bachalskiego, zastałam tam żołnierzy niemieckich. Przeżyłam chwile ogromnego lęku. Żołnierze nie zwracali na mnie uwagi. Miałam dziewięć lub dziesięć lat. Zaczęliśmy zabawę z synem gospodarza. Po powrocie do domu opowiedziałam o tym ojcu, który przytulił mnie mocno i pochwalił moją odwagę. Przypomniał z naciskiem, że nigdy, przenigdy, nikomu oprócz niego i mamy nic na ten temat nie powiem. Choć nie wiedziałam, o co chodzi - tajemnicy dochowałam.

Innym wydarzeniem z tego okresu był pobyt w naszym domu na kwaterze żołnierza niemieckiego. Nazywał się też Fritz Urban i miał 52 lata. Często częstował mnie i brata słodyczami – odczuwaliśmy, że jest przyjaźnie do nas nastawiony.

Z rozmów, jakie prowadzili z moim ojcem, wynikało, że pochodzi z miasta położonego nad rzeką Wartą, w którym są duże zakłady przemysłowe, chyba włókiennicze. Nazwy tego miasta nie pamiętam. Czyżby to właśnie Gorzów Wielkopolski? Niemiec ten miał żonę, której zdjęcie nam pokazywał i jedynego dwudziestosześcioletniego wówczas syna, który w tym czasie walczył na froncie wschodnim. Żołnierz ten był kierowcą, transportował różne materiały wojskowe, które składowane były na terenie naszej posesji i w zabudowaniach. On nie wzbudzał we mnie lęku, mimo że miał broń, mundur i mówił po niemiecku.

Mój tata miał wtedy mapę, na której w ukryciu, w wielkiej tajemnicy odnotowywał przebieg działań frontowych niemiecko-radzieckich. Zdarzyło się raz, że ojciec został zaskoczony przy tej mapie przez stacjonującego u nas Niemca, w czasie kiedy nanosił jakieś znaki i analizował przebieg frontu. Niemiec przyjrzał się mapie oraz znakom na niej naniesionym i spokojnie przestrzegł ojca przed grożącymi mu konsekwencjami. Powiedział, że on sam tej mapy nie widział, ale nakazał ojcu zniszczenie jej, lub ukrycie tak, żeby jej nikt nie znalazł w czasie ewentualnej rewizji. Ojciec zamarł ze strachu i przez klika dni i nocy oczekiwał na aresztowanie. Tak się nie stało. Fakt ten mówi za siebie - ten Niemiec był bardzo dobrym człowiekiem.

Jak to bywa? W 1940 roku Ukrainiec ostrzegł moich rodziców przed wywózką

na Sybir, a w 1943 roku Niemiec ocalił życie mojemu ojcu.

Z tamtego czasu pamiętam, jak awaryjnie wylądował niemiecki samolot na polach niedaleko naszej wsi. Wzbudziło to bardzo duże zainteresowanie wiejskich dzieci. Biegaliśmy tam codziennie, żeby go podziwiać. Samolot strzeżony był przez żołnierzy niemieckich. Mimo tego dzieci w różnym wieku i w różnych grupach chciały go zobaczyć z bliska, dotknąć, a może nawet wejść do wewnątrz. Za dwa jajka od dziecka żołnierze pozwalali zbliżyć się do samolotu, dotknąć go i przez okienko zajrzeć do środka. Co to była za frajda! Powstały jednak nieporozumienia w niektórych rodzinach. Ginęły jajka. Każda gospodyni wiedziała po wymacywaniu kur, ile jajek będzie danego dnia. Dzieci po kryjomu zabierały prawie codziennie po dwa jajka i z wielką radością biegły oglądać samolot. Najczęściej jajka niesione były w kieszeniach lub nawet w rękach, to też zdarzało się, że jajka w drodze zostały zgniecione lub rozbite. Wtedy był płacz, rozpacz i kłótnie. Ja i mój brat też do samolotu biegaliśmy z jajkami bez wiedzy mamy. Sytuacja wyjaśniła się, kiedy Niemcy zabrali samolot.

Dom Tekli i Franciszka Mielników nie był jedynym, w którym mieszkali Niemcy. O tym, że w domu Agnieszki i Piotra Żarkowskich w czasie wojny mieszkało dwóch Niemców wspominała Maria Jakubiszyn, z domu Żarkowska. Niemiecki oficer stacjonował też w domu Franciszki i Wincentego Studennych, o czym napisał ich syn Szczepan Studenny. Ale było to dopiero jesienią 1943 r., gdy Niemcy wycofywali się już ze wschodu. Będzie jeszcze o tym mowa.

Chronologicznie trzeba też nawiązać do jeszcze jednego zdarzenia, niestety smutnego, które miało miejsce pod koniec 1941 r., kilka miesięcy po przyjściu Niemców, a związane było z pozostawieniem przez Rosjan pomiędzy Czernielowem Ruskim i Stupkami według jednych zepsutego czołgu, a według innych samochodu pancernego, gdy po wybuchu wojny w popłochu wycofywali się na wschód, zostawiając uszkodzony sprzęt wojskowy. Niestety, samochód był z pociskami.

Zainteresowali się nim młodzi chłopcy z okolicznych wsi. Przychodzili zobaczyć, jak wygląda z bliska, zaglądali do środka. Nie wiadomo, czy od razu i jakiś czas to trwało, czy dopiero po jakimś czasie zainteresowali się też pozostawionymi wewnątrz pociskami. Zaczęli wykręcać zapalniki, próbowali rozbroić pociski, postrzelać w ramach zabawy w wojnę. I doszło do nieszczęścia. Nie wiadomo, ilu ich było w momencie zdarzenia, czy tylko trzech, którzy zginęli przy próbie odkręcenia zapalnika, czy więcej. Śmierć na miejscu ponieśli młodzi chłopcy: Aleksander Maliszkiewicz i Karol Piotrowski z Czernielowa Mazowieckiego oraz chłopak z Czołhańszczyzny, którego nazwiska nie udało się ustalić.

O tym zdarzeniu wspominało wiele osób. W tej wersji tragiczną w skutkach zabawę i imię Olka Maliszkiewicza zapamiętał i przypomniał w lipcu 2018 r. Franciszek Błaszkiewicz.

A oto jak w sierpniu 2018 r. odtworzyła z pamięci okoliczności tego tragicznego w skutkach wybuchu Maria Cieplak, z d. Piotrowska, siostra Karola Piotrowskiego, rocznik 1925, jednego z chłopców, którzy ponieśli śmierć: *Było to 2 listopada 1941 r. Trzech ich poszło do Stupek, gdzie stały czołgi pozostawione przez uciekających Rosjan. Poszli tam wykręcić mosiężne zapalniki. Trochę już nawykręcali, chcieli wykręcić jeszcze jeden, ale nie chciał się wykręcić. Wtedy Kazimierz Maliszkiewicz uderzył czubkiem w gąsienicę. Pocisk rozerwał się razem z nim. Mój brat stał trochę dalej i odłamki poważnie raniły jamę brzuszną. Nadjechała niemiecka sanitarka wojskowa. Zabrali go do szpitala do Tarnopola, ale w drodze zmarł. Miał 16 lat. Trzeci z nich, o nazwisku Kolasa schował się za czołg i ocalał. Wybuch był tak silny, że słychać go było w Czernielowie Mazowieckim.*

Ten nieszczęśliwy wypadek został też opisany przez Ferdynanda Matuszka niemieckim autorom historii jego życia w książce zatytułowanej *Ich hatte nichts gegen Deutsche nur gegen Faschisten. Die Lebensgeschichte des Ferdinand Matuszek.* (Nie miałem nic przeciwko Niemcom, tylko przeciw faszystom). Śmiertelny wypadek miał miejsce 1 listopada 1941 r. i według Ferdynanda Matuszka kosztował życie czterech chłopców. On sam był uczestnikiem i świadkiem zdarzenia przy pozostawionym samochodzie pancernym Armii Czerwonej.

Ferdynand Matuszek opowiedział: *Nikt* (ze starszych - dop. K.M.) *się tym nie interesował. Otworzyliśmy właz, a tam wciąż były pociski. Chłopak z Czernielowa Mazowieckiego, starszy ode mnie o trzy lata, chciał wykręcić zapalniki i zrobić fajerwerki. Ja nie chciałem go dotykać. Mieliśmy po 12-14 lat. Niektórzy siedzieli na samochodzie, inni wewnątrz. Nagle, nie wiem, jak to się stało, nastąpił wybuch, chmura dymu, a ja przeleciałem z pewnością 20 metrów w powietrzu. Potem wylądowałem na ziemi. Patrzę na bok, siedzi mój szkolny kolega, nasz sąsiad, patrzy na mnie tak…, a wszystkie wnętrzności wypłynęły. Popatrzył na mnie tak smutno. A potem uciekłem, przede mną też był jeden. Usłyszałem za mną samochód i jeden z Wehrmachtu wrzasnął: Zwariowaliście! Zawstydziłem się (…) Moja mama jak przyszedłem do domu, uderzyła mnie dwa razy w twarz, a potem wzięła w ramiona i przytuliła: „Ty żyjesz!" - powiedziała.* (tłum. K.M.).

Dopiero w domu Ferdynand odkrył, że szrapnel zranił mu nogę i rana krwawi. Na szczęście nie była to duża rana. Za kilka dni samochód usunięto. Kiedy był pogrzeb chłopców, Ferdynand nie poszedł. Nie mógł.

Tak trudno po latach ustalić pełny stan faktyczny tego zdarzenia, niewykluczone, że dwóch zdarzeń w tym samym miejscu, bo o dwóch różnych miesiącach, nie podając dat, wspominał urodzony w Stupkach Zbigniew Kubów, w 1941 roku 10-letni chłopak, w nawiązaniu do relacji z wypadku przedstawionej przez Ferdynanda Matuszka.

W marcu 2017 r. w korespondencji Zbigniew Kubów opisał miejsce wypadku i podał nazwiska ofiar ze Stupek: *Tragiczna śmierć czterech chłopców oraz dwóch lekko rannych wydarzyła się, ale nie jednocześnie, tylko w różnych miesiącach 1941 roku. Ofiary śmiertelne pochodziły z okolicznych miejscowości, jak Stupki, Czernielów Mazowiecki i Czołhańszczyzna. Ze Stupek zginęło dwóch chłopców, jeden z rodziny Krywoboczoków, drugi z rodziny Borszczuków. Pozostałych dwóch chłopców nie udało się ustalić.*

Obszar ziemi, na której doszło do tak tragicznego wypadku, leży na terenie wioski Stupki i graniczy z obszarem ziemi z Czernielowa Ruskiego. Dokładnie opisując, to miejsce położone jest tam, gdzie od wieków wydobywana jest glina do celów budowlanych i gospodarczych. W północno-wschodniej części wioski, po lewej stronie drogi biegnącej do Podwołoczysk, leżą grube pokłady gliny od 3 do 7 m. Od zarania tam mieszkająca ludność to miejsce nazywała glinianki. I tam na tym wzgórzu dochodzącym do 300 m n.p.m. wydarzył się 1 listopada 1941 r. wypadek, w którym śmierć poniosło czterech chłopców.

I jeszcze kilka zdań o codziennym życiu w czasie okupacji niemieckiej z *Pamiętnika-wspomnień* Wiktora Mielnika: *Tak mijały lata wojny pod okupacją. Niemcy zabierali kontyngent zboża, bydło. W kraju powstał głód. Wyznaczono, że na osobę można zmielić w młynie tylko 10 kilogramów zboża. Ale chłopi we wsi radzili sobie, robili żarna i mełli ziarno ręcznie, a nawet kieratem końmi. Po wioskach nie odczuwano dużego głodu, tylko w miastach ludzie głodowali. Nie było żadnej pracy ani handlu, to mieszkańcy miast wynosili, co mogli po wsiach, żeby dostać trochę zboża czy parę kartofli, dawali ubrania, buty, różne materiały, a nawet złote obrączki, pierścionki, zegarki. Ale na to nie bardzo byli chętni do kupienia, najważniejszy był chleb. Wszędzie po drogach, po stacjach kolejowych widać było pełno żebraków z tobołami. Wędrując za chlebem, nie raz byli bici przez Niemców odbierających im to, co z wielkim trudem wyżebrali.*

Tego okresu lub niewiele wcześniejszego czy późniejszego dotyczy też opowiadanie Franciszka Błaszkiewicza przekazane w marcu 2019 roku. Pamięć nastoletniego w czasie wojny chłopca przechowała zamieszkanie w czasie okupacji niemieckiej w domu ludowym w Czernielowie grupy około 30 Rosjan. Według Franciszka Błaszkiewicza mogli to być żołnierze i oficerowie Armii Czerwonej, którzy dostali się do niewoli niemieckiej i gdy gen. Własow zaczął tworzyć Rosyjską Armię Wyzwoleńczą (ROA) wstąpili w szeregi tej armii. Czy w Czernielowie byli to przyszli własowcy, trudno powiedzieć. Pewne jest, że Rosjanie mieszkali w domu ludowym, dostali od Niemców umundurowanie i ćwiczyli na placu musztrę. Po pewnym czasie zniknęli z pola widzenia mieszkańców wsi.

O zapamiętanych obrazach z życia w Czernielowie w czasie okupacji niemieckiej pisała też w swoich *Wspomnieniach* Stefania Górska, z d. Woźniak:

Ale na razie jest 1941 rok i w Czernielowie są Niemcy. Ukraińcy znowu poczuli się ważni, bo przyszli nasi. Nam też było lżej, że nie grozi nam Sybir. A okazało się, że jak w przysłowiu wpadliśmy z deszczu pod rynnę. Nastały inne rządy. W młynie nie wolno było zemleć zboża tyle, ile się chce, tylko 50 kg żyta i 50 kg pszenicy na dwa miesiące. A co to jest, jak duża rodzina. Krowy, cielaki, świnie pokolczykowali. Nie wolno było zabić świniaka, tylko trzeba było mieć pozwolenie. Ludzie zaczęli mleć zboże na żarnach ręcznie, chociaż na rozczyn, bo ta mąka była grubo zmielona, ciężko było mleć, ale mus pomagał.

We wsi było dużo młodzieży, więc zaczęli wywozić do Niemiec do pracy, wywozili chłopców, ale dziewczyny też. Ci młodzi, którzy znaleźli się już w pociągu, po drodze uciekali, zaczęli się chować, gdzieś na innych wioskach, robili sobie kryjówki poza domem, żeby się schować w razie potrzeby. Chłopaki i dziewczyny zatrudniali się do pracy, gdzie kto mógł. Dużo ludzi pracowało w gorzelni i przy transporcie. Jeździli daleko, nawet 30 km do lasu po drzewo do gorzelni, bo koło nas lasu nie było. Moje koleżanki też pracowały: Waleria Stankiewicz, Józia Maliszkiewicz, Józia Chabza i dużo więcej dziewcząt i chłopaków.

W czasie wojny dodatkowe zatrudnienie młodych poza gospodarstwem rodziców była bardzo ważne. Dawało nie tylko dodatkowy dochód, przede wszystkim chroniło przed wywiezieniem na roboty do Rzeszy.

Znanymi miejscami pracy, w których zatrudniano bardzo liczną grupę młodych ludzi z Czernielowa Mazowieckiego i z okolicznych wsi była tak zwana Góra, nazywana też Piaskownią, w Stupkach. Było to miejsce wydobycia piasku po obu stronach zbocza. Przed wojną eksploatowane wzniesienie z kopaliną położone pomiędzy Stupkami i Borkami należało do mieszkańca Stupek Juliana Dąbrowskiego oraz, jak wcześniej wspomniano, do czasu wywozu na Sybir do Józefa Marchewki, który z rodziną przybył tu w 1937 roku z Proszowej, a zanim ożenił się mieszkał w Czołhańszczyźnie. W czasie wojny Piaskownia została upaństwowiona, a wydobywany piasek wykorzystywany był przy różnych pracach remontowych i budowlanych prowadzonych najpierw przez przedsiębiorstwa rosyjskie a później przez niemieckie.

Jako ciekawostkę na podstawie wspomnień Janiny Marchewki można dodać, że przed wojną właściciele Piaskowni otrzymali na srebrny piasek zamówienie ze Lwowa, gdzie był wykorzystywany przy pracach wykończeniowych stacji kolejowej.

W Piaskowni w Stupkach pracowali zarówno młodzi chłopcy, mężczyźni, jak i dziewczęta, i kobiety, w tym między innymi: Waleria Stankiewicz, Józefa Stankiewicz, Franciszka Słoboda, Józefa Maliszkiewicz, Józefa Chabza, Antoni Mielnik, Kazimierz Klepajczuk. Widać ich na zachowanym zdjęciu na tle wysokich ścian wyrobiska piasku oraz na innych zdjęciach z tamtego okresu.

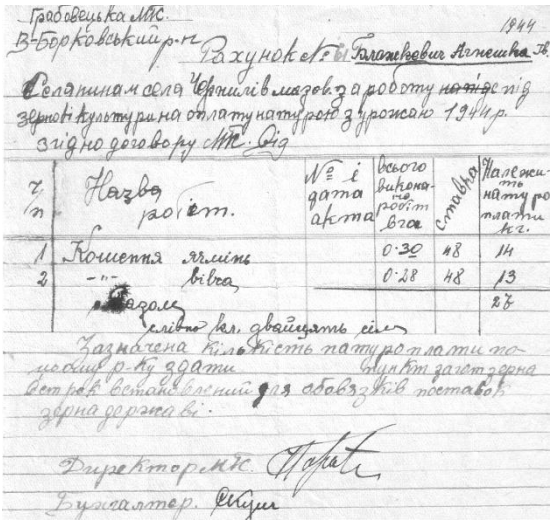

Грабовецька МТС
В-Борковський р-н 1944
Рахунок № Гаталевич Агнешка
Селянин села Чернилів Мазовецький за роботу по обробці зернових культур на оплату натурою з урожаю 1944 р. згідно договору МТС від

№ п/п	Назва робіт.	№ і дата акта	Всього виконано робіт Вага	Ставка	Належить натурою кг.
1	Косіння ячменю		0·30	48	14
2	-"- вівса		0·28	48	13
	Разом				27

Словом: двадцять сім кг.
Зазначена кількість натуроплати підлягає видачі по закінченні молотьби.
Пункт заготівлі встановлює ветеринарний лікар обов'язків поставок зерна державі.
Директор МТС
Бухгалтер

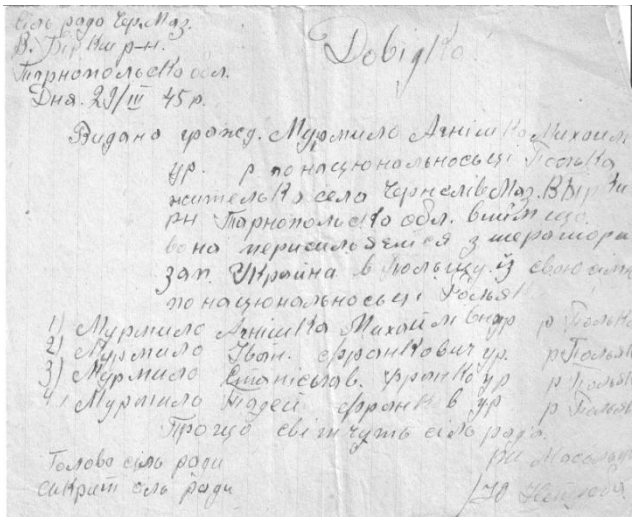

Село радо Чернілів Маз.
В. Борки пов.
Тернопільська обл.
Дня 29/IV 45 р.
Видано громад. Мурмило Анні Михайл.
укр. по національності з села Чернілів Маз. Борки пов. Тернопільської обл. виїжджає на переселення з території Укр. РСР в Польщу із своєї по національності Польщі.
1) Мурмило Анніта Михайлівна укр. по Польщі
2) Мурмило Іван. Стефанович укр. по Польщі
3) Мурмило Станіслав. укр. по Польщі
4) Мурмило Юдей Стефан. укр. по Польщі
Просить свідчить сільрада.
Голова сільради
Секретар сільради

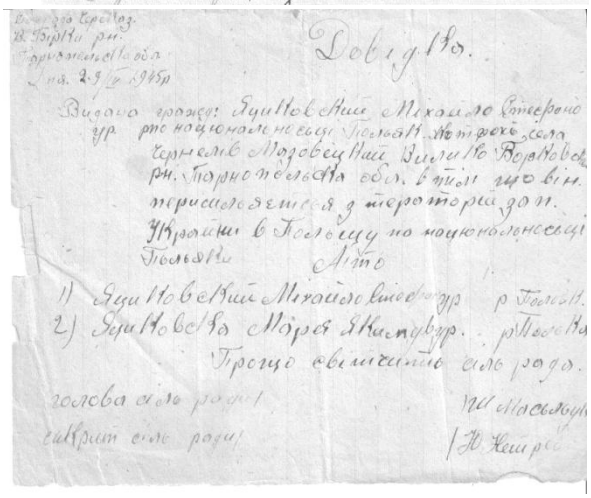

Село радо Чернілів Маз.
В. Борки пов.
Тернопільська обл.
Дня 29/IV 1945 р.
Видано громад. Будловський Михайло Стефанович укр. по національності Польщі, котрого села Чернілів Мазовецький Борковського р-ну Тернопільської обл. в тім що він переселяється з території Укр. РСР в Польщу по національності Польщі
1) Будловський Михайло Стефанович укр. по Польщі
2) Будловська Марія Якимівна укр. по Польщі
Просить свідчить сільрада.
голова сільради
секретар сільради

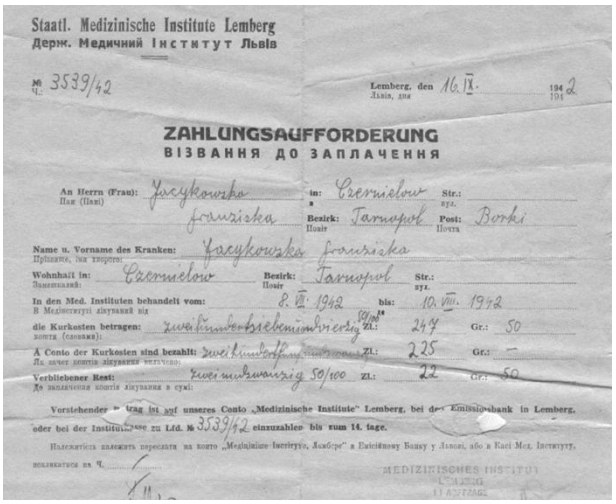

Staatl. Medizinische Institute Lemberg
Держ. Медичний Інститут Львів
№ Ч. 3539/42
Lemberg, den 16.IX. 1942
Львів, дня
ZAHLUNGSAUFFORDERUNG
ВІЗВАННЯ ДО ЗАПЛАЧЕННЯ
An Herrn (Frau): Jacykowska Franziska
Пан (Пані)
in: Czernielow
Bezirk: Tarnopol
Post: Borki
Name u. Vorname des Kranken: Jacykowska Franziska
Прізвище, ім'я хворого:
Wohnhaft in: Czernielow Bezirk: Tarnopol
In den Med. Instituten behandelt vom: 8.IX.1942 bis: 10.VIII.1942
В Медичному інституті лікувався від
die Kurkosten betragen: zweihundertsiebenundvierzig Zł.: 247 Gr.: 50
коштів (склали):
A Conto der Kurkosten sind bezahlt: zweihundertfünfundzwanzig Zł.: 225 Gr.: —
На зачет коштів лікування внесено:
Verbliebener Rest: zweiundzwanzig 50/100 Zł.: 22 Gr.: 50
До заплачення коштів лікування в сумі:
Vorstehender Betrag ist auf unseres Conto „Medizinische Institute" Lemberg, bei der Emissionsbank in Lemberg, oder bei der Institutskasse zu Ldd. № 3539/42 einzuzahlen bis zum 14. tage.
Належність належить переслати на конто „Медичних Інститутів, Львів" в Емісійному Банку у Львові, або в Касі Мед. Інституту, вносяться на Ч.
MEDIZINISCHES INSTITUT

Regierung des Generalgouvernements — Abteilung Ernährung und Landwirtschaft
Правління Генерального Губернаторства — Відділ Прохарчування і Хліборобства
SAATGUTSTELLE DES GENERALGOUVERNEMENTS
УРЯД ЗАСІВІВ ГЕНЕРАЛЬНОГО ГУБЕРНАТОРСТВА
LANDWIRTSCHAFTSKAMMER IN LEMBERG
ХЛІБОРОБСЬКА ПАЛАТА У ЛЬВОВІ
FILIALE in TARNOPOL
Saatenanerkennungs-Bescheinigung
Endgültiger Bescheid.
Довідка кваліфікації насіння
Остаточна оцінка.
Samenprüfungs - Bescheid
Оцінка досліджуваного насіння.
An До: Пана Івана Пшенського
Ort: Місцевість: Чернилів Мазов.
Für Vermehrungsstelle: Для станції розмножування:
Sortenbezeichnung: Означення відміни: OBEC.
Probe Nr.: Ч. зразка: 79
von: Кількість: dz. Ctn.
Ergebnis der Probenuntersuchung.
Вислід перевірки зразків.
Reinheit Чистота: 99 %
Art der Verunreinigung — Рід засмічення: Beuch, Mangelkörner, fremde Samen, Spreu 0,19 %; Keimverletzte Samen u. Auswuchs 0,14 %; Lästige Unkrautsamen Zahl in 1 gr: 1 Hp.; Attfremde Kulturensamen Zahl in: 0,17 60 mm.; Tausendkorngewicht in g; Seidegehalt (Zahl der Seidekörner in Kubikzentimeter)
Keimfähigkeit sämtl. Hartschalig — Keimschnelligkeit: nach 10 Tagen 99 %
fast vollständig 1 %; anormal gekeimt; Triebkraft nach 4 Tagen 99 %
Sortierung über mm: 2,5 mm 3,0 mm 3,5 mm; unter 3,5 mm
Wassergehalt; Bitterstoffgehalt
Bemerkungen: Примітки:
Zur Anerkennung waren angemeldet: ha. Handelssaat dz. На визнання заявлено: га. Посівне dz. ctn.
Auf Grund der Feldbesichtigung und Probeuntersuchung werden aberkannt: На основі інспекції на полі і дослідження зразків вибраковано:
Schlag: Поле: ha. ra.
Auf Grund der Feldbesichtigung und Probeuntersuchung werden endgültig anerkannt: На основі інспекції на полі і дослідження зразків остаточно визнано якісними:
Schlag: Поле: ha. ra.
Handelssaat. Zugelassen wurden: dz. Ctn. Nicht zugelassen wurden: dz. ctn.
Вишано придатним для продажу на насіння: Забраковано:
Datum: Дата: 25 серпня 1943
Dienststempel und Unterschrift der Anerkennungsstelle.
*) Soweit nicht Platz vorhanden, weitere Arten unter Bemerkungen.
*) Якщо не вистачить місця, інші рода вписувати в примітках.
S. Druk. Poligr.-Trustu m. Lwowa. K/41. Nr. 125. 4/30.

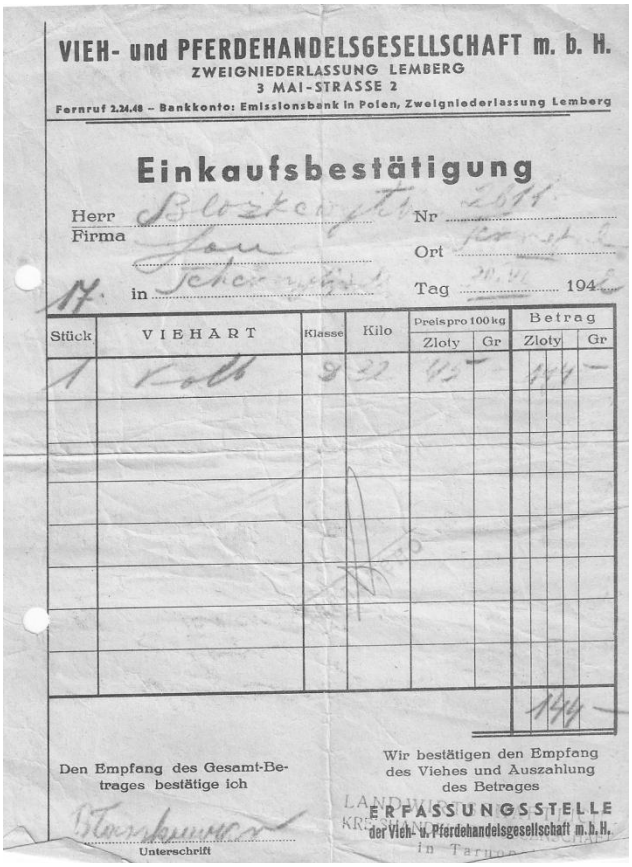

VIEH- und PFERDEHANDELSGESELLSCHAFT m. b. H.
ZWEIGNIEDERLASSUNG LEMBERG
3 MAI-STRASSE 2
Fernruf 2.24.48 – Bankkonto: Emissionsbank in Polen, Zweigniederlassung Lemberg
Einkaufsbestätigung
Herr Błoszczyk
Firma Jan Jaworzyna
in Jaworzyna
Nr 2644
Ort Jaworzyna
Tag 30.4. 194
Stück 1 | VIEHART Kalb | Klasse 2 | Kilo 22 | Preis pro 100 kg Zloty 65 Gr — | Betrag Zloty 144 Gr —
Den Empfang des Gesamt-Betrages bestätige ich
Unterschrift
Wir bestätigen den Empfang des Viehes und Auszahlung des Betrages
ERFASSUNGSSTELLE der Vieh- u. Pferdehandelsgesellschaft m. b. H.
in Tarnopol

Rachunki i dokumenty z okresu okupacji sowieckiej i niemieckiej

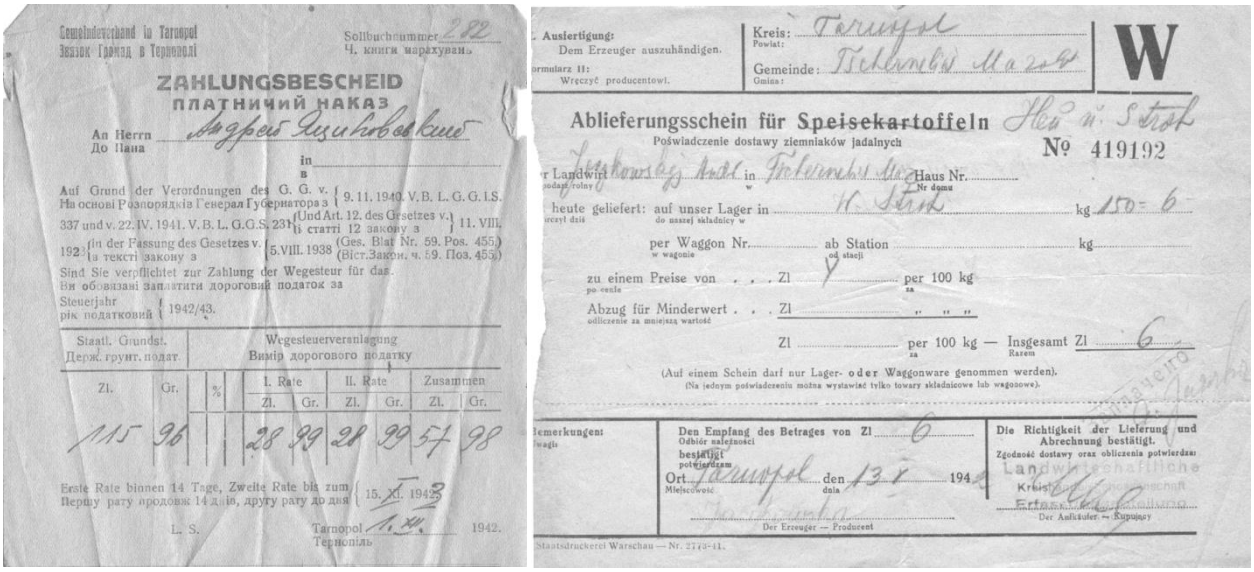

ZAHLUNGSBESCHEID
ПЛАТНИЧИЙ НАКАЗ

Ablieferungsschein für Speisekartoffeln
Poświadczenie dostawy ziemniaków jadalnych
№ 419192

Archiwum Podgórskich. Dokumenty płatnicze wystawione na nazwisko Andrzej Jacykowski z lat 1942-1943.

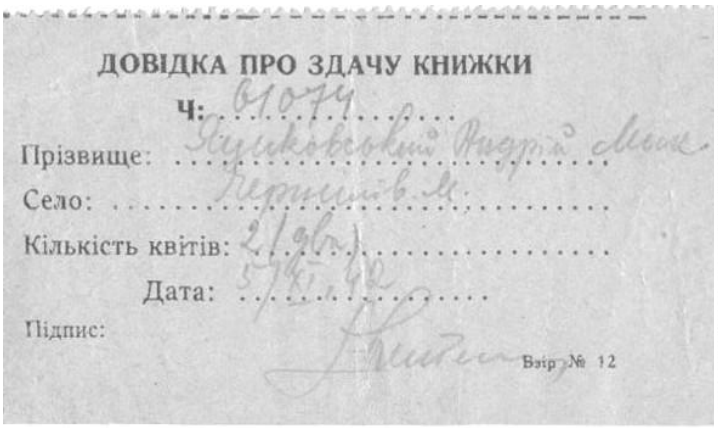

ДОВІДКА ПРО ЗДАЧУ КНИЖКИ

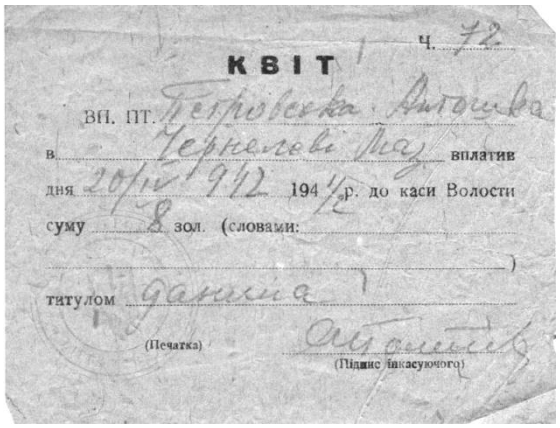

КВІТ

Dowód zwrotu książki przez Andrzeja Jacykowskiego. 1942 r.

Kwit wpłaty podatku przez Agnieszkę Piotrowską. 1942 r.

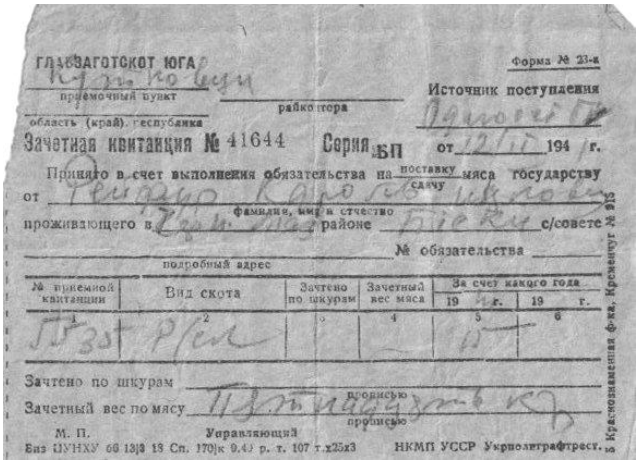

ГЛАВЗАГОТСКОТ ЮГА

Зачетная квитанция № 41644

НКФ СРСР

Пролетарі всіх країн, єднайтеся!

№ 608141

КВИТАНЦІЯ 2 ГК

Potwierdzenie wpłat przez Karola Rajfura z lat 1941-1944.

Kilka, kilkanaście czy może nawet więcej osób z Czernielowa było zatrudnionych przy robotach organizowanych przez *Baudienst*, czyli niemiecką Służbę Budowlaną z siedzibą w Tarnopolu, którą utworzono wraz z obowiązkiem pracy ludności wkrótce po włączeniu województwa do Dystryktu Galicja w 1941 roku. *Baudienst* to jedna z form pracy przymusowej młodych Polaków na rzecz III Rzeszy. Jak można przeczytać we wstępie do wystawy fotograficznej *Baudienst. Służba Budowlana w Generalnym Gubernatorstwie 1940-1945* w ramach prac w tej organizacji wykonywano roboty publiczne. Młodzi ludzie zatrudniani byli do pracy przy budowie dróg i mostów, linii kolejowych, lotnisk, rozbudowie sieci energetycznej, regulacji rzek, w przemyśle zbrojeniowym, w ostatnim okresie przed zakończeniem wojny przy kopaniu schronów i okopów. Początkowo czas pracy obowiązkowej w Służbie Budowlanej określono na 3 miesiące, ale wkrótce przedłużono go do 7 miesięcy w okresie wiosenno-letnim, na okres zimowy zatrzymując oddziały kadrowe. Rekrutacja do pracy w Baudienscie odbywała się na zasadzie obowiązkowego poboru młodych mężczyzn pomiędzy 18. a 23. rokiem życia. Możliwe też były ochotnicze zgłoszenia w urzędach pracy lub gminy. Na ochotnika służbę tę wybierali ci, którzy obawiali się wysłania na roboty przymusowe w głąb Rzeszy. Od 1942 roku akcję poborową przejęły placówki powiatowe Baudienstu, które, współpracując z urzędami pracy, starostami i wójtami w gminach, a także z policją, zajmowały się rejestracją wyznaczonych roczników.

W pierwszym okresie system pracy w Baudienscie nie przewidywał skoszarowania. Dopiero na przełomie lat 1942 i 1943 służba była zorganizowana w strzeżonych obozach *Baudienstlager*. We wszystkich oddziałach Służby Budowlanej warunki zakwaterowania były podobne. Budowano typowe drewniane baraki, wyposażając je w piętrowe prycze, sienniki i koce. Zimą stosowano ogrzewanie kaflowymi piecami albo tak zwaną kozą.

Jak wspomniano, praca w Służbie Budowlanej była obowiązkowa, a za odmowę wykonywania pracy lub samowolne opuszczenie miejsca pracy groziło więzienie, karny obóz pracy, a nawet kara śmierci przez rozstrzelanie. Rozporządzeniem Hansa Franka z 22 kwietnia 1942 r. o obowiązku Służby Budowlanej utworzono karne obozy pracy, po jednym w każdym dystrykcie. Mimo grożących sankcji część młodzieży nie stawiała się do pracy w Baudienscie.

Z wspomnień Marii Markowicz, z d. Paliwoda, pt. *W Bajkowcach na Podolu* cz. VI wynika, że kierownikiem Baudienstu w Tarnopolu był Michał Horwath.

Trudno wymienić z imienia i nazwiska młodych czernielowian, którzy pracowali w Baudienscie w Tarnopolu, jeszcze trudniej opowiedzieć przy czym pracowali, czym się tam zajmowali.

Maria Cieplak, z d. Piotrowska, zapamiętała, że z Czernielowa Mazowieckiego w Baudienscie pracowali: Jan Żarkowski, Antoni Żarkowski i Józef Rajfur.

W pamięci Stanisława Cieplaka na podstawie rodzinnych opowiadań utkwiła ponadto służba w Baudienscie Mariana Żarkowskiego, który według niego pracował koło Zbaraża.

Według Mariana Rajfura byli to chłopcy z roczników 1922, 1923 i 1924, w tym jego brat Józef Rajfur. We wspomnieniach Mariana Dziadasa przewijają się nazwiska Mariana Chabzy i Franciszka Żarkowskiego. O Franciszku, młodszym z trzech braci Żarkowskich, pracującym w Baudienscie i OTL wspominała też ich siostra Maria Jakubiszyn, z d. Żarkowska. Dodała, że w Baudienscie było bardzo biednie, przede wszystkim ze względu na słabe wyżywienie. Zacytowała też popularne wtedy powiedzenie *A w* Baudienscie *szklane dwery, ligaj spaty bez wieczery* (A w Baudienscie szklane drzwi, kładź się spać bez wieczerzy - kolacji).

Trzeba zaznaczyć, że Mariana Chabzę, syna Mikołaja, starsi mieszkańcy Czernielowa wspominają jako tego, który został zastrzelony w związku z opuszczeniem miejsca pracy w Baudienscie. Stefania Górska, z d. Woźniak, opowiadała, że w tym nieszczęśliwym dniu pojawił się w domu rodzinnym w Czernielowie i wiedząc, że po donosie jest poszukiwany przez odpowiednie służby, próbował wracać do Tarnopola inną drogą. Tymczasem pech chciał, że właśnie na tej drodze spotkał poszukujących go policjantów. Zastrzelili go w czasie ucieczki.

Marian Chabza, syn Mikołaja

Podobnie to zdarzenie zapamiętał Franciszek Błaszkiewicz, który mówił o opuszczeniu przez Mariana Chabzę pracy w Baudienscie i postrzeleniu go przez policjanta w bok i w rękę w czasie próby ucieczki. Chabza zmarł na skutek odniesionych ran.

Nieco inną wersję okoliczności jego śmierci przedstawił Marian Rajfur. Według niego, młodzi pracując w Baudienscie, byli kilka dni poza domem i w tym czasie rodzina musiała dostarczać im jedzenie. Tak się złożyło, że rodzice i inni członkowie rodziny Mariana Chabzy zachorowali i nie miał kto przynieść mu coś do jedzenia. Koledzy dzielili się z nim swoim pożywieniem, ale to było mało, był głodny i zdecydował się przyjść do domu. Po pewnym czasie zjawiło się na podwórku Chabzów trzech z policji ukraińskiej. Było oczywiste, że przyszli po niego. Gdy młody chłopak zobaczył ich przez okno, zaczął uciekać w kierunku szopy. Tam go postrzelili. Ciężko rannego w brzuch i klatkę piersiową próbowano ratować i zawieźć wozem do szpitala w Tarnopolu. Niestety, po drodze zmarł. Zdarzenie miało miejsce prawdopodobnie w 1943 roku, Marian Chabza miał 21 lat.

O przymusowej pracy w Baudienscie za okupacji niemieckiej swego dziadka Józefa Zgóry na podstawie przekazu rodzinnego poinformował w korespondencji

jego wnuk Jacek Zgóra. Urodzony w 1920 roku Józef Zgóra wykonywał prace przy linii kolejowej w okolicach Tarnopola. Nie podobała mu się ta przymusowa praca i zdecydował się uciec. Musiał się ukrywać przed hitlerowcami. Widząc to i zdając sobie sprawę, co z tego może wyniknąć, jego ojciec Antoni Zgóra poszedł prawdopodobnie do kogoś z kierownictwa Baudienstu w celu ugody. Hitlerowiec przystał na ugodę, ale kazał osobiście zgłosić się Józefowi do niego. I w ten sposób udało się załagodzić ten nierozważny krok młodego człowieka.

Dość szczegółowo swoją pracę w Baudienscie opisał Józef Czubko we wspomnieniach *Z Czernielowa Mazowieckiego do Wizan*. W 1942 r. miał 20 lat:

Pracowałem w firmie Baudienst w latach 1942-1944. Otrzymałem zaświadczenie z urzędu pracy, że mój ojciec ma gospodarkę. Ojciec dostarczył też zaświadczenie od proboszcza z Czernielowa Mazowieckiego w języku niemieckim, że mój ojciec ma przepuklinę i nie może ciężko pracować. Nie wysłano mnie na roboty do Niemiec, ale za to pracowałem przy budowie drogi Tarnopol-Podwołoczyska. Firma budująca drogę nazywała się OTL. Pracowałem 5 dni w tygodniu. Nocowałem na przedmieściu Tarnopola na kwaterze. Ojciec za moją kwaterę płacił żywnością wynajmującemu. Raz na tydzień przyjeżdżałem do domu po prowiant.

Józef Czubko, 1943 r.

Tłukliśmy kamień na drobno i łataliśmy dziury w jezdni. Specjalnym młotkiem tłukłem kamień na mniejsze bryły. Nie mieliśmy rękawic ochronnych. Inni robotnicy tłukli ten kamień na jeszcze drobniejsze bryłki. Wał, który ciągnęły konie, ubijał drogę. Na koniec drogę posypywano piachem. Ze mną z wioski pracował Karol Murmyło (ur. 1909). Droga miała 4 m szerokości, poszerzaliśmy ją o dalsze 2 metry. Sypaliśmy nasyp z ziemi i poszerzaliśmy mosty, montowaliśmy liny zabezpieczające przed spadnięciem z jezdni w dół na wzniesieniach i ostrych zakrętach. Kopaliśmy rowy odwadniające w kształcie trapezu. Metr od pobocza kopaliśmy rów na metr głęboki po skosie, dno rowu mierzyło pół metra szerokości i po skosie znowu do góry metr. Tam pracowałem do przyjścia frontu w 1944 roku. Niemieccy nadzorcy sprawdzali miarą dokładność robót ziemnych wykonywanych przez robotników.

W firmie OTL w ramach przymusowych robót przy remoncie drogi pracował Kazimierz Klepajczuk. Mówił o tym dziennikarzowi Andrzejowi Kordylasińskiemu w wywiadzie opublikowanym w „Głosie Szczecińskim" w 2007 pt. *Pochowali go za życia*. Nie podał jednak bliższych szczegółów i nie wiadomo, czy była to praca w Służbie Budowlanej.

Z sąsiedniego Czernielowa Ruskiego w Baudienscie pracował Józef Figiel, rocznik 1924. O jego pracy na różnych budowach, konieczności zapewnienia własnego jedzenia i zupach na obiad napisał jego młodszy o kilka lat kuzyn Marian Figiel, który dołączył również przyśpiewkę:

A w Baudienscie dobrze żyć, jest co kuszać, jest co pić

A w Baudienscie dobra zupa, liter wody, jedna krupa

A w tej zupie szczura łydka, spasł się Baudienst jak ta nitka.

W Baudienscie pracował też Michał Bigus z Borek Wielkich. O jego pracy i ucieczce opowiedziała pochodząca z Czernielowa żona Anna Bigus, z d. Maliszkiewicz. W dostępnym w Internecie artykule *Uciekająca panna młoda* opublikowanym w „Głosie Koszalińskim" z 2007 roku GK24.pl. autor Andrzej Kordylasiński zanotował: *Kiedy się spotkali, właśnie uciekł z przymusowych robót u Niemców. Po tym, jak Niemcy uderzyli na ZSRR (czerwiec 1941 r.), Michał Bigus pracował w Baudienst - układał tory kolejowe z Tarnopola do Podwołoczysk. Gdy majster go uderzył, ten mu oddał. I wtedy musiał uciekać, żeby nie trafić do więzienia. Najpierw z bratem bliźniakiem ukrywali się po strychach. Bali się Ukraińców i Rosjan ze względu na to, że przed wojną należeli do Strzelca - polskiej patriotycznej organizacji paramilitarnej. Tak oto Michał znalazł się w polskim Czernielowie. Ania wpadła mu w oko. Ślub zaplanowano na 16 października 1943 r.*

W rodzinnych wspomnieniach czernielowian przewijały się zapewne opowieści o pracy w Baudienscie braci, kuzynów czy sąsiadów innych niż wymieniono ich w tekście. Jednak ustalenie ich pełnej imiennej listy okazało się niemożliwe i z takim niedosytem pozostaniemy.

Dość pokaźna grupa ludzi była zatrudniona w dawnym majątku Anny i Leona Podleskich. Tak jak przed wojną hodowano tu krowy, świnie, uprawiano zboża, ziemniaki, buraki i inne rośliny na potrzeby hodowli i żywienia. Zapotrzebowanie na żywność dla wojska i ludności cywilnej było bardzo duże.

Była więc potrzeba zatrudnienia ludzi w polu, w oborze, w warsztatach. Czynna przez cały rok była miejscowa gorzelnia. W odpowiedzi na ankietę PAN *Ziemiaństwo polskie w latach II wojny światowej* Jadwiga Podleska napisała, że pod okupacją niemiecką gorzelnia szła cały rok, na trzy zmiany, podczas gdy do 1939 r. była czynna tylko przez 3 miesiące, do jesieni. Jak się można domyślać ilości produkowanego spirytusu były ogromne. Dobowa produkcja z trzech zacierów wynosiła 1500 litrów spirytusu. Na jeden zacier zużywano 3700 kg ziemniaków i 120 kg jęczmienia.

Na potrzeby tego dużego gospodarstwa rolnego, młyna i gorzelni funkcjonowały, tak jak przed wojną, dobrze zorganizowane tak zwane warsztaty, na które składały się kuźnia z zatrudnionymi tu kowalami i stolarnia z stolarzami, stelmachami.

Młodzi chłopcy chętnie podejmowali tu naukę i pracę, bo mogli nauczyć się rzemiosła od starszych, doświadczonych majstrów.

Wyżej i niżej z prawej - miejsce wydobywania piasku w Stupkach, nazywane Górą lub Piaskownią. Zdjęcie z czasów okupacji niemieckiej, gdy wielu mieszkańców Czernielowa Mazowieckiego i okolicznych wsi tu pracowało. Na dole trzecia od lewej Józefa Stankiewicz, obok niej Antoni Mielnik, za nim Kazimierz Klepajczuk.

W warsztacie na majątku w Czernielowie. Zdjęcie z około 1943 r. Pierwszy z lewej Franciszek Woźniak, czwarty Jan Bigus.

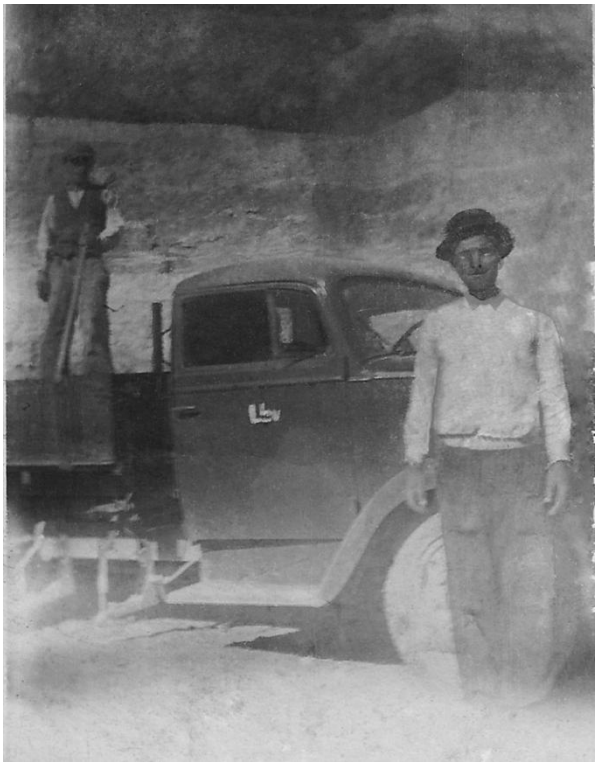

Piaskownia w Stupkach, stoi Julian Dąbrowski

Przed warsztatem w majątku, również w czasie wojny

Traktorzyści z Czernielowa Mazowieckiego, 10 kwietnia 1942 r.

Czernielowianie pracujący w Piaskowni w Stupkach w czasie okupacji niemieckiej. Na dole od lewej: Zofia Piotrowska, Julian Dąbrowski ze Stupek, Waleria Stankiewicz, NN; stoją od lewej: Antoni Mielnik, Józefa Stankiewicz, Kazimierz Klepajczuk, Franciszka Słoboda

Przed domem Juliana Dąbrowskiego w Stupkach, 1942-1943 r. młodzież z Czernielowa i ze Stupek. Stoją od lewej: Stefania Woźniak, Anna Woźniak, Maria Ruścińska, Mikołaj Strączyk, NN, Mikołaj Karmazyn, Franciszka Słoboda, Zofia Piotrowska, Maria Krasnosielska; siedzą: Bronisława Dąbrowska, Antonina Andrusyszyn, Feliks Studenny, Waleria Stankiewicz i Paweł Dąbrowski

Julia i Jan Żarkowscy z dziećmi: Stefanią, Marianem i Józefem, 1943 rok

Przed domem Mielników „Bogaczynów" siedzą: Anna Mielnik i Maria Niedojadło; stoją: w środku Józef Mielnik, po prawej żona Anna i jej siostra Józefa Niedojadło, z lewej NN

Tarnopol 1941 r. Anna, z d. Hrycaj, i Tadeusz Białogłowski

Anna i Tadeusz Białogłowscy z córką Filomeną, 1943 r.

Józefa Nietreba, z d. Dziadas, i Antoni Nietreba

Józefa i Antoni Nietrebowie z córką

Na probostwie w 1937 roku, od lewej: Zofia Magoń, Filomena Cielecka, stoi Bolesław Magoń, siedzi Tadeusz Białogłowski, Józefa Dziadas „Miodosznikowa", Katarzyna Pulka

Agnieszka Ziemba, z d. Woźniak, z córką Weroniką,Genowefa Klepajczuk z synem brata, około 1941 r.

Rodzina Marii, z d. Piotrowskiej, i Józefa Nietrebów z dziećmi: córką Franciszką, starszym synem Bronisławem i młodszym Tadeuszem, około 1943-1944

Z opowiadań rodzinnych i zdjęć wynika, że pracowali tu między innymi: kowale Andrzej Mikołajów z synem oraz Stefan Masło, Józef Maśluk jako traktorzysta, Franciszek Woźniak i jego kolega Antoni Murmyło jako stelmachowie.

W czernielowskim majątku w czasie okupacji niemieckiej Niemcy urządzili administracyjne centrum zarządzania okolicznymi majątkami ziemskimi, które nazywało się *Liegenschaftsverwaltung*, czyli Zarząd Państwowy Nieruchomości Ziemskich. Zarząd obejmował osiem majątków ziemskich w powiecie tarnopolskim, w tym majątki: Anielówka, Bajkowce Stare i Nowe, Borki Wielkie, Czołhańszczyzna, Czernielów Mazowiecki, Romanówka i Smykowce.

Jak wynika z życiorysu Jadwigi Podleskiej przekazanego wraz z innymi rodzinnymi materiałami do Ossolineum, pracowała tu w Liegenschaftsverwaltung w okresie od kwietnia 1942 do marca 1944 r. w charakterze sekretarki i tłumaczki. Na początku wojny na przełomie 1940-1941 ukończyła w Warszawie jednoroczny kurs administracyjno-handlowy, znała biegle niemiecki, angielski, francuski.

Młyn w czasie okupacji niemieckiej był ponownie w rękach rodziny Podleskich. Zarządzała nim Anna Podleska, a skomplikowane rozliczenia księgowe w pewnym okresie prowadził sam Leon Podleski, o czym zanotował w swoich *Wspomnieniach,* wyjaśniając najpierw okoliczności odzyskania na krótko własności: *Z tym powrotem do dworu rzecz się tak miała: Gdy Frank we Lwowie ogłosił restytucję własności prywatnej, zanim cywilne władze administrację objęły, zaczęły oddawać właścicielom ich folwarki. Nasi dawni pracownicy przyjechali po moją żonę do Łozowej i zabrali ją do Czernielowa. We dworze była wówczas szkoła. Selrada nie wpuściła mej żony do dworu i oddała jej w rządcówce, gdzie sama hałaśliwie urzędowała i popijała, jeden mały pokoik. Na to moja żona pojechała do Komendanta Tarnopola, który ją przywiózł do Czernielowa i z ogromnym hałasem kazał dwór opróżnić, wyporządzić i właścicielkę tam umieścić. Stało się to i przemieszkiwała moja żona we dworze od sierpnia 1941 r. do maja 1942, dopóki na starania na pozór ogromnie uprzejmego administratora kilku folwarków „Liegenschaftu", Polaka fałszywego, kazały jej władze się wyprowadzić, po czym zamieszkała w wynajętej chacie w Czernielowie.*

W dalszej części *Wspomnień* Leon Podleski, który w listopadzie 1941 r. przyjechał ze Zbydniowa do Tarnopola i przez jakiś czas pracował w Polskim Komitecie Opiekuńczym, nawiązał do dzierżawy młyna: *Po 17-miesięcznej pracy wystąpiłem z Komitetu w maju 1943, zajmując się już tylko w Tarnopolu sprawami dzierżawy naszego czernielowskiego młyna, gdy sprawę na miejscu doglądała moja żona. Ja tam dojeżdżałem dla kontroli skomplikowanej księgowości, a w Tarnopolu stykałem się z władzami nadzorczymi. Kilka razy jeździłem w tych sprawach do Lwowa. Ale dochód z tej dzierżawy wystarczał nam na życie i na pomoc córce Cecylii w Krakowie wówczas przebywającej.*

Ponadto tak jak w czasie okupacji rosyjskiej trwały roboty przy budowie torów kolejowych na trasie Tarnopol-Podwołoczyska oraz na innych odcinkach, a także przy budowie drogi i czernielowianie jak i mieszkańcy okolicznych wsi byli przy tych robotach zatrudnieni.

Marian Figiel w wywiadzie dla „Gazety Lubuskiej" pt. *Żegnaj, żegnaj, ziemio moja!* wspomina o pracy w tym czasie: *W 1941 roku wkroczyli Niemcy i zaczęli wywozić ludzi na roboty. Selekcja wyglądała tak: jeśli w domu były dwie-trzy osoby albo więcej osób nadających się do pracy, to jedną zostawiali, a resztę brali do Niemiec. U nas osobą roboczą był tylko ojciec, więc musiał pracować na miejscu przy budowie autostrady. Niemcy hitlerowscy planowali sobie autostradę Berlin-Lwów-Kijów-Moskwa. Powstała firma, której szefem był Ślązak. Jeśli ojciec źle się czuł albo chciał zrobić coś innego, to ja za niego chodziłem do tej pracy. Firma mieściła się w Stupkach, na trasie tej autostrady. W magazynie pobierało się łopaty, kilofy i szło się osiem kilometrów, bo taki odcinek był do przygotowania. U nas droga główna była z tłucznia, gliny i czarnoziemu. A Niemcy już asfaltowali. Jako pierwsza grupa szła z kilofami i wydłubywała tę glinę, druga z drucianymi szczotkami i wymiatała, następnie ktoś rozpryskiwał smołę z kotła, specjaliści rozsypywali szuter, a na koniec jechał walec.*

Tą firmą, która wykonywała roboty przy budowie drugiego toru kolejowego, kontynuując prace rozpoczęte w czasie okupacji sowieckiej, była firma z Bytomia *Beton und Monierbau Beuthen O/S* wchodząca w skład Organizacji Todt, której głównym zadaniem była budowa obiektów wojskowych w całej Europie. Tworzyły ją prywatne firmy budowlane i przedsiębiorstwa państwowe. Pisał o tym w swoich *Wspomnieniach* Jerzy Stopa, dodając zdanie o zatrudnianych przez Niemców jeńcach: *W Organizacji Todt zgodnie ze swoim systemem do prac oprócz najemnych robotników zatrudniano w pierwszej kolejności jeńców rosyjskich, a następnie Żydów. Nie wiem, gdzie był obóz jeńców sowieckich, ale zmuszano ich do prac potwornie wygłodzonych, obdartych. Często zamiast butów, które, jak mówiono, zjedli, mieli nogi owinięte szmatami. Pomoc im była niemożliwa, równała się śmierci.*

Wyjaśnienie przyczyn zwiększonego zakresu prac przy torach kolejowych, jak i na drodze można znaleźć między innymi w tekście przywołanej już publikacji Friedhelma Schäffera i Olivera Nickela pt. *Ich hatte nichts gegen Deutsche* ...(Nie miałem nic przeciwko Niemcom...).

O wspomnianej linii kolejowej w książce można przeczytać*: Linia kolejowa ...biegła z Przemyśla przez Lwów i Tarnopol na terenie Ukrainy i dalej w kierunku południowo-wschodnim do Rostowa; ze wspólnej inicjatywy wojska i dyrekcji kolei wschodnich linia ta miała zostać poprawiona ... Poza tym linia kolejowa na odcinku od Borek Wielkich do Skałatu, jak również stamtąd poczynając na fragmencie do Stanisławowa, znajdowała się w bardzo złym stanie technicznym. We wrześniu 1941*

roku miała miejsce katastrofa powodziowa na tych terenach, poziom rzeki Gniezny był bardzo wysoki, wysoko powyżej linii brzegowej. A linia kolejowa biegnie przez dolinę na południowy wschód od wsi Borki Wielkie, która to miejscowość jest położona wyżej. Tam wszystko było zalane przez powódź i tory zostały podmyte. Bardzo kiepski stan tego odcinka linii kolejowej, jak również powódź, spowodowały, że zaopatrzenie wojska na wschodni front utknęło na najważniejszym połączeniu komunikacyjnym w drodze na południowy odcinek frontu wschodniego.

Jak widać autorzy nie nawiązują do budowy drugiego toru kolei na wschód. Natomiast o budowanej drodze napisali: *W tym samym czasie niemieccy okupanci z pomocą zwerbowanych sił z Rzeszy Niemieckiej i wschodnich terenów należących do Niemców rozpoczęli budowę biegnącej równoległe do linii kolejowej autostrady na wschód, która nazywana była Arteria IV (Durchgangsstraße IV w skrócie DG IV albo Dg. 4), teraz nazywana Trasa SS. Można by powiedzieć, było to swoiste przedłużenie trasy Berlin-Wrocław-Kraków na wschód, realizowane przez organizację Schmelt, która wykorzystała przy tej budowie więcej niż 50 000 żydowskich więźniów zmuszonych do pracy, zorganizowanych w całe siatki obozów pracy przymusowej. Po napadzie Niemców na Związek Radziecki i okupacji terenów wschodniej Galicji i dalszych terenów radzieckich na wschodzie, drugi pod względem wielkości kontrolowany przez SS kompleks obozów pracy dla żydowskich więźniów zbudował odcinek trasy Arterii IV o długości 2 175 kilometrów.*

W innym miejscu autorzy o budowie drogi dodawali*: Podczas kiedy linia kolejowa w kierunku wsi Borki Wielkie biegła przez wzniesienie, na południe od niej rozciągała się szeroka równina, po której biegła będąca w budowie Arteria IV. Na tym odcinku pracami kierowała Organizacja Todt we współpracy z przedsiębiorstwami Otto Heil z Bad Kissingen i Reiners und Reckmann.*

Według Jewgiena Barana, autora pracy *Нарисы з гісторыі Стынок* (Szkice z historii Stupek) firma Otto Heil, która zaczęła budowę drogi asfaltowej do Podwołoczysk, swą siedzibę miała w Stupkach, w pomieszczeniach miejscowej szkoły zamkniętej po wkroczeniu Niemców w 1941 roku.

W firmie Organizacji Todt (przez niektórych nazywanych Toda) budującej drogi i szlaki kolejowe w rejonie Borek i Stupek sekretarzem był Zdzisław Ujazdowski. Wtedy wołano na niego „Trojc”. To fonetyczny zapis nazwiska, pisownia oryginalna nie jest znana. Pracowało u niego kilku mieszkańców Stupek. Miał żonę Zenobię. W czasie pobytu w Stupkach urodził się im syn Janusz, ochrzczono go w parafii w Czernielowie. Gdy front ruszył na zachód i Niemców ewakuowano, Trojc z rodziną również pośpieszył na zachód. Jego dalszą historię w Polsce opisał Zdzisław Ożga, wnuk byłych mieszkańców Stupek, i będzie przytoczona w końcowej części opracowania.

Również w Stupkach we wrześniu 1941 roku powstał obóz pracy przymusowej dla Żydów, oddalony o mniej więcej 1-2 kilometry od miejsca budowy linii kolejowej w okolicy Borek Wielkich. O obozie mowa w następnym podrozdziale.

Zarówno w przypadku linii kolejowej, jak i drogi była to kontynuacja prac rozpoczętych przez Rosjan po zajęciu tych terenów we wrześniu 1939 roku.

O prowadzeniu robót przy budowie linii kolejowej w czasie okupacji niemieckiej opowiadał Stanisław Gęślowski: *Po wkroczeniu Niemców latem 1941 roku spokój był niedługo, może jeden, może dwa miesiące. A potem zaczęli gonić do roboty na kolei. Robota trwała do zamarznięcia ziemi. Potem przyszła sroga zima 1941/42 i sypało śniegiem i organizowano odśnieżanie dróg. A na wiosnę znowu powrót do pracy na kolei.*

W nawiązaniu do wspomnianego przez Stanisława Gęślowskiego odśnieżania trzeba, na podstawie wielu wypowiedzi czernielowian i nie tylko, dodać uwagę o surowych zimach na Podolu. Takie też były w czasie wojny. Śnieg przychodził nagle i w ciągu kilku dni grubość pokrywy śnieżnej sięgała kilkudziesięciu centymetrów. Wiatr nawiewał zaspy na drogach i trzeba je było bez przerwy odśnieżać pługami. Drogi musiały być przejezdne. Z podwórek śnieg wywożono na pola saniami.

Przy budowie kolei wraz z grupą ośmiu uczniów ze szkoły w Borkach Wielkich pracował Ferdynand Matuszek z Czołhańszczyzny. Było to dla nich zajęcie po kilku lekcjach w szkole. W rozmowie wspomnieniowej szacował liczbę uczniów z okolic obłożonych obowiązkiem pracy przy budowie kolei na około 50. Uczniowie nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia. Autorom książki o historii jego życia opowiedział, jak to po zajęciach w szkole wracał z Borek około 4 kilometry pieszo do domu w Czołhańszczyźnie, żeby zostawić szkolne rzeczy i coś zjeść. Następnie z domu rodziców ze szpadlem w ręku udawał się do pracy przy budowie odcinka linii kolejowej. Codziennie przechodził wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego obozu pracy przymusowej dla Żydów w Stupkach, widział również, jak pracują na budowie.

Wtedy z daleka przez ogrodzenie miał widzieć również Sarę Schur, dziewczynkę Żydówkę, którą znał ze szkoły, chodzili do jednej klasy i przyjaźnili się ze sobą.

Tak zapamiętał i opisał swoją pracę przy budowie kolei Ferdynand Matuszek. Mieszkający w czasie wojny w Stupkach Zbigniew Kubów ma zastrzeżenia do połączenia przez młodych ludzi nauki w szkole i pracy na budowie. Według niego było to raczej niemożliwe i młodzi ludzie w tym czasie nie chodzili do szkoły.

Ale najtrudniejsze dla mieszkańców i Czernielowa, i wszystkich innych okolicznych miejscowości, ze względu na opuszczenie domu rodzinnego i wielką niewiadomą co do losu w przyszłości, były wywozy młodych, często bardzo młodych ludzi, na przymusowe roboty do Niemiec. Będzie o tym mowa w dalszej części.

Tarnopolscy Żydzi. Obóz pracy w Stupkach

Jak wcześniej wspomniano Niemcy wkroczyli na Tarnopolszczyznę na początku lipca 1941 roku. Sam Tarnopol został zajęty przez wojska niemieckie 2 lipca. Opisano już, że przed wycofaniem się z miasta Rosjanie zamordowali setki osadzonych w tarnopolskim więzieniu, w tym głównie Ukraińców i małą grupę jeńców niemieckich. Odnalezienie ofiar NKWD posłużyło Niemcom za pretekst do zorganizowania pogromu Żydów, których oskarżono o sympatyzowanie z komunizmem.

3 lipca 1941 r. członkowie OUN-B zorganizowali w Tarnopolu wiec, na którym ogłoszono powstanie państwa ukraińskiego oraz świętowano wyzwolenie przez Niemców spod „judeobolszewizmu". W tym dniu rozpoczęły się też pierwsze ataki na Żydów, ale na sile pogrom przybrał 4 lipca. Wtedy do miasta przybyło Sonderkommando 4b Einsatzgruppe C, uważane za jednego z inicjatorów i uczestników pogromu. Według własnego raportu Sonderkomando rozstrzelało 127 Żydów oraz zainspirowało zabójstwa dalszych 600 osób. Mordów dokonywali także żołnierze dywizji SS Wiking oraz milicja OUN. Niemcy rozstrzeliwali jedynie mężczyzn, natomiast ukraińscy uczestnicy pogromu zabijali Żydów bez względu na płeć i wiek, używając łomów, toporów i noży. Około 100 osób spalono w synagodze. Mordy przeniosły się także do okolicznych wsi. W czasie trwającego do 11 lipca 1941 r. pogromu zginęło około 2 tysięcy tarnopolskich Żydów.

Informacje o pogromie przekazano na podstawie *Wikipedii*. O przebiegu trwającej kilka dni masowej zbrodni zeznanie złożył między innymi Salomon Hirschberg. Protokół zeznania świadka z lipca 1948 roku jest dostępny w Internecie.

Trzeba przypomnieć, że w 1941 roku Galicja uchodziła za miejsce największej koncentracji Żydów w Europie. Według *Drugiego Powszechnego Spisu Ludności* z grudnia 1931 roku w powiecie tarnopolskim przy ogólnej liczbie ludności 142 220 wyznanie mojżeszowe deklarowało17 684 mieszkańców. Natomiast w Tarnopolu według danych tego samego spisu na 35 644 mieszkańców, 14 000 podawało wyznanie mojżeszowe. Stanowili oni ponad 39% zróżnicowanego wielokulturowego pejzażu miasta. Tarnopol miał największą społeczność żydowską w okolicy. Gdy w czerwcu 1941 r. wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, w mieście według różnych źródeł mieszkało 17-18 tys. Żydów.

We wrześniu 1941 r. w Tarnopolu zostało utworzone pierwsze zamknięte getto w Dystrykcie Galicja. Zanim to nastąpiło władze niemieckie zaraz po fali mordów nakazały utworzenie Judenratu, czyli Rady Żydowskiej złożonej z 60 członków. Od sierpnia nakazano Żydom nosić na ramieniu gwiazdę Dawida i oznaczać tym znakiem swoje domy.

Getto żydowskie utworzono wokół Starego Rynku i Rynku Małego w opuszczonej dzielnicy. Ogrodzono je murem. Na bardzo małej przestrzeni obejmującej 5% powierzchni miasta stłoczono wszystkich Żydów. Ich liczbę szacowano na 12-13 tysięcy, wcześniej na tym terenie mieszkało 4-5 tysięcy osób.

Za nielegalne opuszczenie getta groziła kara śmierci. Mimo tak radykalnej sankcji Żydzi opuszczali getto w celu zdobycia pożywienia. Pisał o tym we wspomnieniach pt. *Ukryliśmy ich w ziemiankach* Józef Zięcik, którego rodzina przez siedem miesięcy ukrywała w dwóch kryjówkach trzynaścioro Żydów: *Czasem chodziłem oglądać getto, które znajdowało się w centrum. Otaczał je mur. Żydzi wybijali w nim dziury, wychodzili, by zdobyć żywność. Było też i tak, że zaglądaliśmy tam, wdrapywaliśmy się na mur i patrzyli, co się tam dzieje.*

Tarnopol. Handlujący w getcie Żydzi.

W getcie funkcjonowały nielegalne warsztaty żydowskie, które prowadziły produkcję dla tak zwanej strony aryjskiej. Handel odbywał się na ulicy. Do początku 1942 r. getto miało mocno rozwiniętą działalność samopomocową. Istniało tu wiele kuchni, udzielano pomocy żywnościowej najbiedniejszym i rodzinom rabinackim. Działał sierociniec i dom starców. Jednak w ciągu kilku miesięcy warunki sanitarne i żywieniowe w getcie bardzo się pogorszyły. Były tak złe, że w zimie 1941/42 Judenrat z powodu dużej umieralności zaczął zakopywać zwłoki w masowych grobach.

Żydów z getta zatrudniano jako robotników do pracy przymusowej w obozach pracy w powiecie tarnopolskim: w Kamionce, Podwołoczyskach, Hłuboczku, Zagrobeli, Stupkach i innych.

Jednocześnie więźniowie tarnopolskiego getta byli stopniowo mordowani. Pierwsza akcja miała miejsce 25 marca 1942 r. Zostało wówczas rozstrzelanych 600-700 Żydów w pobliskim lesie w Janówce. W dniach 29-31 sierpnia 1942 r. około 4000 Żydów z Tarnopola zostało wysłanych do obozu zagłady w Bełżcu. Kolejny transport 1000 Żydów skierowano tam w dniu 30 września 1942 r.

W końcu 1942 r. getto zostało zredukowane. Na jego obrzeżach Niemcy z pełnosprawnych Żydów zorganizowali żydowski obóz pracy – Julag, który na początku następnego roku stał się podobozem obozu przy ul. Janowskiej we Lwowie.

W dniach 8-9 kwietnia 1943 r. rozpoczęła się akcja likwidacyjna w getcie. Młode i zdolne do pracy osoby przenoszono do Julagu, natomiast większość mieszkańców getta wywożono do Petrykowa, gdzie ich rozstrzeliwano. Ostateczna likwidacja getta nastąpiła 20 czerwca 1943 r. 500 osób rozstrzelano w Petrykowie. Starców i dzieci rozstrzeliwano w getcie. W czasie ostatecznej likwidacji getta doszło do stawienia oporu przez policjantów żydowskich, którzy ukryli się w jednym z bunkrów.

W lipcu 1943 roku nastąpiła likwidacja obozu pracy na granicy getta. Część Żydów była o tym uprzedzona i udało im się zbiec, ukrywali się w okolicach Tarnopola. Większość więźniów została rozstrzelana w Petrykowie. W samym Tarnopolu ukrywało się sporo osób w bunkrach na terenie getta. W marcu 1944 roku, gdy zaczęły się niemiecko-sowieckie walki o Tarnopol, wielu ukrywających się wyszło z bunkrów. Znaczna liczba z nich została rozstrzelana przez Niemców. Po wyzwoleniu Tarnopola przez Sowietów, w mieście zebrało się 739 ocalonych Żydów.

Opis funkcjonowania i likwidacji getta w Tarnopolu zaczerpnięto z artykułu o społeczności żydowskiej w Tarnopolu przed 1989 rokiem ze strony *Wirtualny sztetl*.

Wśród tych, którzy przeżyli wojenny czas w Tarnopolu, znalazło się dziewięcioro Żydów ukrywanych przez wspomnianą rodzinę Józefa Zięcika. Oto kilka fragmentów z jego wspomnień: *W okresie likwidowania getta w Tarnopolu w sierpniu 1943 r., podczas kilku kolejnych nocy przyszło do nas w sumie trzynaście osób z błagalną prośbą o przechowanie ich i uratowanie im życia. Byli to Żydzi, którzy prawdopodobnie wcześniej pracowali przy budowie drugiego toru kolejowego niedaleko naszego domu lub pracowali w tym rejonie w kamieniołomie. Przez kilka dni osoby te ukrywały się w stodole w oczekiwaniu na przygotowanie kryjówek. Moja rodzina stanęła wówczas przed wielkim ryzykiem, również utraty życia, gdyby się to wydało. Atmosfera w rodzinie była bardzo nerwowa i stresująca. W czasie kilku nocy wykopaliśmy – z całą sześcioosobową rodziną – dwie kryjówki. Jedna z nich znajdowała się w budynku domu, w komórce z zamaskowanym wejściem pod deskami podłogi. W tej kryjówce przechowywały się cztery osoby. Drugą kryjówkę wykopaliśmy w stajni, z zamaskowanym wejściem przez kojec ze świniami, wielka była gdzieś na trzy czy cztery metry. Powietrze dochodziło przez okienko zamaskowane starymi kołami od wozu, saniami i złomem. W okresie zimy w kryjówce tej przechowywało się dziewięć osób. W nocy Żydzi mieli możliwość wyjścia z kryjówki na powietrze.*

O ile pamiętam, jeden z nich, Horowitz, znał moją macochę, która pochodziła z tej samej wsi, co on - z Borek Wielkich - i, jeszcze jako panna, była jego służącą. Kolejni przychodzący Żydzi wywierali na nas presję, mówiąc, że wiedzą o ukrywających się. Ojciec bał się ujawnienia tej sprawy. To wszystko robił ojciec, który liczył wówczas 43 lata, był w sile wieku. Pomagał nam też Ukrainiec, który przed wojną pracował u ojca w kamieniołomie. To był bardzo prawy człowiek, można było na niego liczyć. Niemcy do nas nie zaglądali, może dlatego, że nasz dom był na końcu miasta. Chleba mieliśmy pod dostatkiem, ponieważ mój ojciec dostarczał kamienie i piasek na rozbudowę prywatnej piekarni wykonującej wypiek dla Niemców, znajdującej się w innej części miasta. I ten właściciel dawał ojcu chleb, zamiast pieniędzy. Ojciec podejmował też pracę w magazynach zbożowych, które były wybudowane niedaleko naszego domu. A jako zapłatę brał zboże, z którego robiliśmy mąkę na żarnach. Do opału używaliśmy drewna i węgla, który braliśmy z wagonów idących ze Śląska na Wschód.

W pierwszym okresie ukrywania tych osób otrzymaliśmy od niektórych wsparcie finansowe na zakup żywności, jednak zasoby te szybko się skończyły i byliśmy zmuszeni ciężar wyżywienia wziąć na siebie, co w czasie okupacji nie było łatwe. Byliśmy o tyle w dobrej sytuacji, że mieliśmy ziemniaki, warzywa, mleko i zboże. Ogromny stres i strach całej mojej rodzinie towarzyszył przez siedem długich miesięcy. Żydzi, wiedząc o tym, postanowili jednostronnie spisać zobowiązanie obdarowania naszej rodziny za uratowanie im życia. Hirschberg, który był prawnikiem, we wrześniu 1943 r. z inspiracji przechowywanych Żydów i w ich imieniu sporządził pisma nazwane umową, podpisane wyłącznie przez nich, bez uczestniczenia naszej rodziny. Dowodem tego jest brak podpisów kogokolwiek z naszej rodziny. W tych pismach ukrywani zapisywali ziemię mojej rodzinie. Dokumenty otrzymał ojciec. Uznał, że te dokumenty mogą być mało wiarygodne, przecież nie znał bliżej tych osób, były to osoby mu obce. Do wykonania zobowiązań nigdy nie doszło. Przez spisanie umów Żydzi chcieli rozładować tak trudną atmosferę i ogromny stres.

Jak wcześniej wspomniano z trzynaściorga Żydów, którym rodzina Zięcików udzieliła schronienia wojnę przeżyło dziewięcioro. Cztery osoby prawdopodobnie zginęły w czasie oblężenia Tarnopola.

Mieszkańcy Czernielowa i okolicznych wsi mieli świadomość sytuacji Żydów przebywających w Tarnopolu, jak i w podtarnopolskich wsiach. Niemal w każdej wsi od lat żyły pojedyncze żydowskie rodziny, w niektórych wsiach mieszkały dwie - trzy rodziny, w innych ich skupiska były liczniejsze. Żydzi byli sąsiadami: dzieci chodziły do szkoły, starsi prowadzili rodzinne sklepy, zajmowali się drobnym rzemiosłem, handlem obwoźnym, skupem zboża, bydła. Bogatsi byli właścicielami folwarków, młynów, karczem w całej Tarnopolszczyźnie.

Wśród żydowskich ludzi interesu dominującą rolę zarówno na wsi, jak i w miastach odgrywał handel i drobne rzemiosło. Według szacunków przynajmniej dwie trzecie wszystkich przedsiębiorstw handlowych na terenach wschodniej Galicji w 1939 roku znajdowały się w rękach Żydów.

Kramy na Rynku w Tarnopolu- lata 30. XX wieku

Gdy czernielowianie przed wojną bywali w Tarnopolu, zwłaszcza na jarmarku w dni targowe, spotykali Żydów na ulicy, w ich sklepach dokonywali potrzebnych zakupów, głównie tkanin, a także świątecznych ubrań i obuwia. Rzemieślnicy narodowości żydowskiej najczęściej sami prowadzili swoje małe, rodzinne warsztaty albo zatrudniali się u innych Żydów. Najwięcej było warsztatów związanych z wyrobem ze skór i włókienniczych. Zajmowali się też krawiectwem, czapnictwem, cholewkarstwem, piekarstwem, szewstwem. Byli wśród nich zegarmistrzowie i fotografowie. Niektórzy prowadzili kancelarie notarialne, inni apteki, księgarnie, czasem inne sklepy branżowe: spożywcze, konfekcyjne, obuwnicze i tak zwane żelazne. Jednak charakterystyczną cechą żydowskich sklepów była wielobranżowość. Można w nich było kupić przysłowiowy smar, mydło i powidło. Były to zwykle nieduże sklepiki, prowadzone przy domu albo przy warsztacie. Często pracowała w nich cała rodzina. Specyficznymi, typowymi dla nich zwrotami zachęcali przechodzących do wstąpienia do sklepu, oferowali towar według nich bardzo dobrej jakości, dla zachęty proponowali upust ceny.

Mieszkańcy Czernielowa zapamiętali charakterystyczny sposób prowadzenia przez nich handlu. Józef Czubko wspominał: *Należało się targować ze sprzedawcą o cenę kupowanego towaru. Kupcy tarnopolscy żydowskiego pochodzenia byli przesądni, bo wierzyli, że jak pierwszy klient w danym dniu nie kupi towaru, to w ciągu całego dnia nie będzie żadnego utargu. Sprzedawcy byli ogoleni i schludnie ubrani. Bardzo mili dla kupujących. Do Polaków zwracali się po polsku, do Ukraińców po ukraińsku.*

Żydów można było też spotkać wędrujących po wsiach, szukających zamówień na swoje wyroby czy usługi. Niektórzy wykonywali usługi na miejscu. Mieszkańcy Czernielowa i innych wsi widzieli też biednych Żydów zajmujących się małym ulicznym handlem, drobnym rzemiosłem, pracujących fizycznie. Do rozpoczęcia wojny Żydzi byli nierozerwalnie związani z pejzażem miasteczek i wsi na wschodzie Rzeczypospolitej. A w Tarnopolu mieszkało ich wyjątkowo dużo, jak wspomniano, stanowili niemal 40% mieszkańców miasta.

Gdy we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna, jako obywatele Rzeczpospolitej tak jak Polacy i Ukraińcy otrzymali powołania do wojska. Brali udział w wojnie obronnej, ginęli w bitwach wrześniowych, trafiali do niewoli niemieckiej. Na terenach zajętych we wrześniu 1939 roku przez Związek Radziecki Żydzi mieli opinię współpracujących z bolszewikami. Takie przekonanie było oparte na ich entuzjastycznej postawie po wkroczeniu wojsk sowieckich.

Jak wynika z wcześniej zaprezentowanego opisu Anny Zapalec z opracowania *Ziemia tarnopolska…* przy zetknięciu z żołnierzami Armii Czerwonej pierwszą reakcją społeczności żydowskiej był wybuch radości i ulgi. Uczucie ulgi było związane z uniknięciem okupacji niemieckiej. Entuzjazm widoczny był zwłaszcza u młodych ludzi. Starsi, a także zamożniejsi Żydzi przyjęli stanowisko wyczekujące albo odnosili się do sowieckiego okupanta z dystansem.

Uzasadnienie postawy młodej generacji przedstawił w rozmowie z Piotrem Zychowiczem zatytułowanej *Polacy i Żydzi nie powinni być wrogami* prof. Jehuda Bauer, który mówił między innymi: *Wierzyli, że w systemie komunistycznym, który głosił powszechną równość, otworzą się możliwości, które były dla nich zamknięte w II RP. Żydzi w przedwojennej Polsce nie mogli bowiem piastować stanowisk w administracji, utrudniano im wstęp na uczelnie. Wielu z nich nie widziało przed sobą w Polsce żadnej przyszłości.*

Według prof. Jehudy Bauera *Starsi polscy Żydzi nie mieli złudzeń co do Sowietów, mieli świadomość, czego można się po nich spodziewać. W jednej z relacji z Równego znalazłem znamienne słowa: „Mieliśmy wybór między wyrokiem śmierci u Niemców lub wyrokiem życia u Sowietów”.*

Sytuacja Żydów diametralnie zmieniła się, gdy latem 1941 roku na Tarnopolszczyznę wkroczyli Niemcy. Represyjna, eksterminacyjna polityka III Rzeszy wobec ludności żydowskiej stosowana od 1939 roku w Polsce i innych okupowanych krajach została przeniesiona na Kresy Rzeczpospolitej. Hitlerowcy zaczęli właśnie realizować program wymordowania Żydów europejskich pod kryptonimem „Ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”.

Gdy Niemcy urządzili getto w Tarnopolu, było wiadomo, że los społeczności żydowskiej jest niejako przesądzony. Wkrótce Zagłada tarnopolskich Żydów została dokonana. Tylko nieliczni znaleźli schronienie w Tarnopolu lub okolicy. Jakaś część

z nich ukrywała się w mieście w bunkrach, na terenie getta i poza nim. Gdy w marcu 1944 r. zaczęły się niemiecko-sowieckie walki o Tarnopol, wielu ukrywających się wyszło przedwcześnie z bunkrów i zostali rozstrzelani przez Niemców. Pewna grupa znalazła schronienie w kryjówkach u znajomych Polaków i Ukraińców na obrzeżach Tarnopola, jeszcze inni bezpiecznego miejsca na przetrwanie czasu Zagłady szukali na wsiach pod Tarnopolem.

Trzeba pamiętać, że w październiku 1941 roku generalny gubernator Hans Frank wydał zarządzenie z przewidzianą karą śmierci dla Żydów, którzy bez upoważnienia opuścili wyznaczone im dzielnice-getta oraz dla osób udzielających im schronienia. Stosowanie kary rozciągnięto na podżegaczy i pomocników. W innych obwieszczeniach pod groźbą zastrzelenia wydano *każdemu Żydowi, każdej Żydówce, każdemu dziecku żydowskiemu* zakaz kupowania, sprzedawania, rozdawania lub wymiany jakiejkolwiek rzeczy lub środków żywnościowych

W czasie II wojny światowej tak drastyczne kary za pomoc Żydom dotyczyły tylko okupowanej Polski. Śmierć groziła wszystkim Polakom w przypadku udzielania Żydom schronienia, dawania lub sprzedawania im żywności, ich przewozu a nawet nie zgłoszenia miejsca, w którym ukrywali się. Wyrok najczęściej wykonywano przez rozstrzelanie lub powieszenie. Formą represji było palenie domów czy gospodarstw, w których ukrywali się Żydzi, wraz z całą rodziną gospodarzy.

Ponadto w kolejnych obwieszczeniach zachęcano do ujawniania Żydów wałęsających się oraz osób udzielających im gościny lub dających im pożywienie, wyznaczając w przypadku „skutecznego donosu" nagrodę w postaci 1m żyta.

Przy tak drastycznych karach i płatnych zachętach pomoc Żydom nie należała do spraw prostych i bez konsekwencji. Była ludzkim odruchem współczucia, dobroci serca, chrześcijańskiej miłości czy laickiej etyki, ale w tamtych czasach była też bohaterstwem. Wiązała się z codziennym lękiem, a przede wszystkim z ryzykiem utraty życia całej rodziny. Niewiele osób decydowało się na udzielenie schronienia Żydom w swoim domu lub w obrębie gospodarstwa. Za cenę ratowania życia skazanych na zagładę nie chcieli narażać swojej rodziny.

A Żydzi, ratując swoje życie i swoich bliskich, szukali pomocy wszędzie. Przychodzili pod osłoną nocy do domów w podtarnopolskich wsiach. Prosili o ukrycie w gospodarstwie lub o cokolwiek do zjedzenia, gdy sami znaleźli kryjówkę. Czy zawsze dostawali? Niewątpliwie na wsi podzielenie się jedzeniem, zwłaszcza z kimś znanym wcześniej, było łatwiejsze niż w mieście i na taką pomoc mogli liczyć. Na wsiach pojawiali się też pośrednicy, którzy próbowali za jedzenie sprzedać towar od Żydów z dawnych zapasów: jakąś tkaninę na ubranie, cokolwiek, co przedstawiało wartość materialną w czasie wojny.

Trudno po latach ustalić stan faktyczny dotyczący życia i ukrywania się w czasie wojny w Czernielowie miejscowych i innych Żydów. Jak opisano to w I tomie w rozdziale 4 *Wieś i jej mieszkańcy,* w centrum wsi, niedaleko domu ludowego mieszkały dwie rodziny żydowskie zajmujące się handlem. Były to rodziny o nazwiskach Mechel i Szlomko, niektórzy wymieniali też nazwisko czy imię Szmiła. Stefania Górska, z d. Woźniak, wspominała, że Mechel miał dwie córki. Jedna z córek była zamężna, mieli dzieci. Szlomko miał kilkoro dzieci i ponoć przed wojną wyjechał do Izraela. Tej informacji jednak poza nią nikt nie potwierdza. Obydwaj czernielowscy Żydzi mieli przy domu sklepy, jeden z nich prowadził skup zboża. Janina Dochniak, z d. Jacykowska, zapamiętała, że dwa sklepy żydowskie w soboty były zamknięte, a w niedzielę otwarte.

Natomiast w zbiorze tematycznych opowieści z dawnych czasów Józefa Czubki zatytułowanych *Z Czernielowa Mazowieckiego do Wizan - wspomnienia żołnierza* można o czernielowskich Żydach przeczytać: *W wiosce mieszkały dwie rodziny żydowskie. Jedną z nich była rodzina Szlomków. Senior rodziny prowadził sklep, skupował zboże, cielęta. Mosiek nie nosił brody ani chałatu. Nie nosił jarmułki w miejscach publicznych. Był średniego wzrostu, gruby. Z wyglądu nie przypominał Żyda. Co poniedziałek jeździł z cielętami na targ do Tarnopola. Znał się na handlu bydłem. Mówił po polsku, jak i po ukraińsku. Umiał na oko oszacować wagę zwierzęcia. Opowiadano anegdotę o tym, że na targu założył się o wódkę, że podniesie krowę. A zrobił to w następujący sposób: sam wszedł pod krowę, między przednie nogi włożył swoją głowę, kark i podnosząc się, spowodował, że przednie racice nóg krowich oderwały się od ziemi… Można u niego było sprzedać tak zwanego tchórza, czyli ukradzione 10-15 kg zboża z magazynu swoich rodziców. Sam w ten sprzedawałem ziarno. Pieniądze przeznaczałem na własne potrzeby. Żona handlarza była ślepa. Szlomko miał sześcioro dzieci. Jego synowie za pierwszego bolszewika (1939-1941) uczyli miejscowych analfabetów i półanalfabetów czytania i pisania.*

W opowiadaniach czernielowian o czasie okupacji niemieckiej najczęściej przewijały się dwa imiona: Klara i Mundek. To ich z narażeniem życia ukrywały i wspomagały czernielowskie rodziny. Marian Rajfur zapamiętał Klarę jako dojrzałą kobietę, miała sklep we wsi, a Mundka jako młodego chłopca, który miał może 18-19 lat. Ale kim właściwie oni byli, nie można jednoznacznie powiedzieć. Być może Klara była jedną z córek Mechela, a Mundek jednym z synów Szlomki, bo z okruchów wspomnień wynikają dość bliskie i przyjazne relacje łączące Klarę z mieszkańcami Czernielowa.

Jadwiga Podleska w III części swoich wspomnień zatytułowanych *Moje wspomnienia z Tarnopolszczyzny pod okupacjami (1939-1945),* publikowanych w biuletynie nr 27. „Głosów Podolan", nawiązując do ogólnego nastawienia Polaków

do Żydów na wschodzie Rzeczpospolitej, o znanych jej żydowskich mieszkańcach Czernielowa napisała: *Polacy, a na Podolu wielu polskich wieśniaków, rzeczywiście ukrywało prześladowanych Żydów, często całkowicie bezinteresownie. I tu trzeba z naciskiem podkreślić fakt - na ogół nieznany Polakom żyjącym na zachód od linii Bug-San i poza granicami Polski: Pomimo że w latach okupacji sowieckiej (1939-1941) miejscowi komuniści-Żydzi działali przeciwko Polakom - powodowali ich uwięzienia i deportacje (zajmując kierownicze stanowiska we władzach lokalnych), byli oficerami Czerwonej Armii, w NKWD i służbach więziennych - to gdy Niemcy rozpoczęli tropienie Żydów, a potem dokonywali pogromów i zagłady - Polacy z Małopolski Wschodniej puścili w niepamięć doznane krzywdy i ukrywali Żydów, a jeśli nie mogli tego zrobić, to bodaj dokarmiali ukrywających się. Znam osobiście przypadek z Czernielowa Polskiego, gdzie przeżyło dwoje ukrywających się Żydów. Nie wiem, gdzie uchował się Mundek, ale Klara dniami i nocami żyła zagrzebana zimą 1944 roku – aż do 8 marca (gdy znowu weszli Sowieci) w stercie słomy na podwórzu jednego z gospodarzy. Późnym wieczorem podchodziła do okien zaprzyjaźnionych ludzi i umówionym pukaniem dawała znać, że jest i prosi o strawę, którą zawsze otrzymywała. Po wojnie prowadziła kiosk z herbatą i gorącymi parówkami na dworcu w Bytomiu, każdą twarz z Czernielowa witała z entuzjazmem i gorąco podejmowała. Później wyjechała do Izraela.*

Starsi mieszkańcy Czernielowa w rozmowach wspominali, że znali tych, którzy pomagali Żydom, właśnie przekazując im coś do jedzenia. Ale nie wymieniali ich z imienia i nazwiska. Żydzi przychodzili do domów przy drodze Ochrymowskiej, zapewne też zaglądali do innych części wsi. Być może byli to Żydzi, którzy ukrywali się w grobowcu na czernielowskim cmentarzu. O tym miejscu kryjówki niektórzy czernielowianie wiedzieli. Wiedzieli też bądź domyślali się, kto ukrywa dorosłych lub dzieci żydowskie. Ale w tym zakresie obowiązywała tajemnica, nikt o tym nie rozpowiadał głośno.

Nie zachowały się zapisane wspomnienia czernielowian o ukrywaniu Żydów. Marian Dziadas opowiedział o znanym mu fakcie ukrywania przez pewien czas żydowskiego chłopca przez rodziców jego żony mieszkających w Czołhańszczyźnie. Chłopiec spał na grubie. Inna rodzina w tym czasie ukrywała jego siostrę. Ponieważ gospodarz Piotr Cieplak był krawcem, przychodziło do niego dużo osób. Ze względów bezpieczeństwa chłopca oddano do rodziny, która chroniła jego siostrę.

Marian Murmyło, opowiadając zapamiętane z dzieciństwa zdarzenia i przeżycia z czernielowskich czasów, wspomniał, że był świadkiem jak Niemcy złapali i zabili Żyda. Na wozie zawieźli go potem na cmentarz i tam pochowali. Marian Murmyło pamięta do dziś miejsce, w którym go zakopali. Żyd nie był mieszkańcem Czernielowa, wcześniej przypuszczalnie był ukrywany przez rodzinę Żarkowskich.

Okoliczności śmierci tego nieszczęśnika opowiedział w lipcu 2018 roku urodzony w 1929 r. Franciszek Błaszkiewicz. Według niego Żyda ukrywali bracia Żarkowscy. Był przechowywany w słomie, w stodole. W tym dniu odbywało się młócenie w ich gospodarstwie lub u sąsiada. Na podwórku było więcej ludzi. Nagle pojawił się niemiecki policjant. Żarkowski szybko oddalił się do stodoły, ostrzec Żyda, żeby nie wychodził. Policjant zauważył nerwowe zachowanie gospodarza i domyślił się przyczyny. Poszedł za nim i zaczął na ślepo strzelać w stodole. Ranił Żyda, który za chwilę sam wyszedł z kryjówki. Wtedy go zastrzelił.

Franciszek Błaszkiewicz dodał, że nikt nie poniósł konsekwencji przewidzianych przez niemieckie prawo okupacyjne za ukrywanie Żyda. Udało się Niemców udobruchać. Żarkowski zabił świnię i zawiózł do komendanta do Borek. Być może ktoś jeszcze pośredniczył w załagodzeniu dramatycznej sytuacji.

Trudno powiedzieć, czy tych okoliczności zastrzelenia Żyda, czy zupełnie innej sytuacji dotyczy wypowiedź Marii Hrycaj, z d. Mielnik, w wspomnianym artykule Andrzeja Krywalewicza na portalu Chojna24.pl. Urodzona w 1934 roku czernielowianka opowiadała jesienią 2018 roku: *Z czasu, gdy Niemcy zajęli nasze tereny zapamiętałam takie zdarzenie. Chodziły pogłoski, że jeden z miejscowych ukrywał w swoim domu Żyda. Młody chłopak, miał rodziców i siostrę. Mieszkańcy wioski, świadkowie, widzieli to zdarzenie. W jasny dzień pojawił się przed stodołą cywil, który skierował broń i strzelił do mężczyzny. Czy było dochodzenie, nie wiem. Niech pan sobie wyobrazi, w jasny dzień w naszej spokojnej wiosce zastrzelono mężczyznę. Czy naprawdę ukrywali w domu Żyda, nie mam do dzisiaj pojęcia. Kim był zabójca, który tak jawnie, bez strachu w biały dzień zastrzelił? W tym czasie zaczęli pojawiać się cywile, osoby obce. Pojawiali się nagle na ulicach, przed kościołem, sklepem, pod otwartymi oknami. Wszędzie tam gdzie spotykają się ludzie. Niemcy albo może „jakieś tajniaki" podsłuchiwali rozmowy mieszkańców naszej wioski.*

Prawdopodobnie mieszkańcami Czernielowa nie byli również Żydzi ukrywający się w grobowcu na miejscowym cmentarzu. Według Mariana Rajfura jedną z Żydówek, która znalazła schronienie w tym miejscu, zabili dwaj Niemcy. Franciszek Błaszkiewicz dodał, że była to starsza kobieta, skądś przyszła, ukrywała się na cmentarzu, ale też pomagała ludziom na polu, dostawała od ludzi jedzenie. Niemcy przyszli na cmentarz, rozebrali ją i zastrzelili.

Franciszek Błaszkiewicz, wspominając Klarę i Mundka, powiedział, że oni też byli spoza Czernielowa. Przyszli w czasie wojny. Pomagali im mieszkańcy z całej ulicy (Ochrymowskiej - dop. K.M.), spali po oborach, po ziemiankach, wszyscy o nich wiedzieli, nikt ich nie wydał.

Klarę i Mundka zapamiętała Maria Hrycaj, z d. Mielnik, pod koniec wojny niespełna 10-letnia dziewczynka. Jesienią 2018 roku Andrzejowi Krywalewiczowi we wspomnianym wywiadzie artykule opublikowanym na Chojna24.pl opowiedziała:

Trudno mi jest w tej chwili powiedzieć, kiedy Żydzi opuścili naszą wieś. Żyło ich przed wojną kilku, może kilkanaście osób. Za czasów Niemców nie przetrwał żaden. Czy ktoś uprzedził i pomógł, czy zostali wywiezieni na stracenie, nie wiem. Pojawili się w naszej wiosce Żydzi z Tarnopola. Starsza kobieta i młody chłopak. Klara i Mundek „przechowywali" się w wiosce. Oni prawdopodobnie uniknęli zorganizowanej wywózki i los ich zesłał do Czernielowa. Wieczorem chodzili po domach prosili o jedzenie. Gdzie nocowali, nie wiem. Wieczorem wnuczka z babcią poszły do obrządku doić krowy. Późno było, gdzieś po ósmej wieczór. Wróciły do pokoju i spać się położyli do drewnianych łóżek. Coś słychać. Jedna drugiej pyta: słyszysz? W pokoju ciemno, wie pan przecież, jak jesienią szybko ciemno się robi. Oświetliły pokój, spod drewnianego łóżka wysuwa się Klara. Zresztą, co tu dużo mówić. Do naszego domu też przyszła, gdy było już ciemno. Rodzice dawali koniom, krowom, na noc siana, słomy. Tata poszedł, a drzwi otwarte były. Światła elektrycznego nie było, pomieszczenie ciemne. Ona z ulicy chyba dojrzała drzwi otwarte i zatrzymała się w korytarzu. Patrzę przed siebie, a tutaj tylko złote zęby się odbijają. Patrzyłam przez chwilę i sama do siebie powiedziałam - O Klara. Istniało niebezpieczeństwo, że ktoś z ulicy zobaczy i może przedstawić Niemcom.

Kazimierz Ziemba wśród różnych historii opowiadanych o czernielowskich czasach przez jego mamę Agnieszkę, zapamiętał wspomnienie o Żydówce Klarze, która w lipcu, przypuszczalnie w 1943 roku, gdy było bardzo gorąco, nocowała przez około dwa tygodnie na strychu u Anny i Wawrzyńca Rajfurów oraz mieszkającej z nimi Agnieszki - Jagny Ziembowej. Klara przychodziła potem pod osłoną nocy do domu po jedzenie i umyć się. Również wcześniej i później w tym domu mogła liczyć na pożywienie.

Syn Agnieszki Ziembowej zapamiętał też inne zdarzenie opowiadane przez jego mamę z okresu, gdy pewnej zimy z powodu śnieżyc i zasypania torów śniegiem ludzie z Czernielowa i okolic jeździli odśnieżać torowisko w okolicach Borek czy Tarnopola. Agnieszka Ziemba jako uczestnik akcji odśnieżania była wtedy świadkiem, jak młody chłopiec żydowski stał w śniegu boso przy pociągu do Lwowa. Nie miała nic innego przy sobie, dała mu szmaty na onuce, żeby sobie owinął nogi i ogrzał się. Niemiec, który pilnował grupę młodych Żydów, chciał ją zastrzelić, ale po namyśle odstąpił od tego zamiaru.

Czas, który minął od zakończenia wojny, niezapisane wspomnienia i odejścia na zawsze ludzi, którzy byli bohaterami i świadkami zdarzeń, nie pozwala na dokładne odtworzenie faktów, które miały miejsce.

Z okruchów pamięci, z strzępów różnorodnych informacji możemy tylko w małym stopniu próbować odtworzyć historię pomocy ukrywającym się w Czernielowie Żydom.

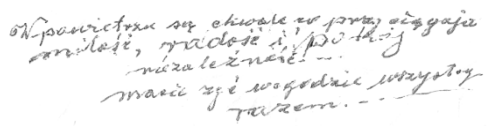

W powietrzu są chwile co przyciągają miłość, radość, pokój Klara Watz

Po dłuższych poszukiwaniach udało się potwierdzić informacje dotyczące rodziny, która ukrywała Klarę i Mundka. Była to rodzina Józefa Nietreby mieszkającego po lewej stronie drogi do Ochrymowiec, w tak zwanym Ochrymowskim Końcu, w sąsiedztwie Krasnosielskich, Kłosów, Dunajowskich. Jak opowiedział w styczniu 2017 roku Stanisławie Wysockiej, wnuczce Józefa Nietreby, Marian Rajfur, kryjówkę dla nich przygotowano pod dużym stogiem słomy w polu. Z topograficznej mapy wsi wynika, że pola w tym miejscu przylegały bezpośrednio do przestrzeni ogrodów i podwórek z domami. Położenie kryjówki w tej okolicy dawało większe szanse na bezpieczne przechowanie ukrywających się Żydów, ale i tak Józef Nietreba ryzykował i codziennie narażał życie swojej ośmioosobowej, trzypokoleniowej rodziny.

Józef Nietreba i jego żona Maria, z d. Piotrowska

Ich trud nie poszedł na marne, udało się. Jak wynikało to z zapisków Jadwigi Podleskiej Klara i Mundek z pomocą czernielowian przetrwali trudny czas i uratowali się przed Zagładą. Kiedy do Czernielowa wkroczyli w marcu 1944 roku Rosjanie, oboje wyszli z kryjówki. Przyszli wtedy między innymi do domu Kłosów i Krasnosielskich. Widział ich i zapamiętał, będąc wówczas kilkuletnim dzieckiem, Tadeusz Kłos. Jego mama Anna Kłos, z d. Krasnosielska, opowiadała swoim dzieciom Stasi i Tadeuszowi o ukrywaniu się dwójki Żydów: Klary i Mundka w wykopanej gdzieś w polu kryjówce przez najbliższego sąsiada Krasnosielskich - Józefa Nietrebę. Zimą przychodzili oni nocami (tylko wówczas, kiedy padał śnieg i zasypywał ślady) pod domy w Ochrymowskim Końcu, pukali w okno i ktoś z domowników wynosił im jedzenie. Nie wchodzili do domów. Według Anny Kłos podobno Mundek wstąpił w czasie wiosennego poboru do wojska. Klara zamieszkała w zniszczonym Tarnopolu i otworzyła tam niewielki sklepik. Kiedy spotykała znajomych czernielowian, bardzo interesowała się losami tych, którzy jej pomogli.

O pomocy udzielanej przez mieszkańców wsi ukrywającemu się Żydowi, ale też o jego późniejszym losie wspomniała Maria Cieplak, z d. Piotrowska: *Za Niemców w Czernielowie Mazowieckim przechowywano Żyda w stogu. W nocy wychodził na powietrze, ludzie przynosili mu jedzenie. Jak przyszli Rosjanie drugi raz w marcu 1944 roku, razem z ludźmi z Czernielowa poszedł do wojska, do Sum. Mówił, że teraz pokaże tym Niemcom. Ale biedak zginął potem na froncie.*

Po wojnie Klara wyjechała na Zachód, zatrzymała się w Bytomiu, a potem wyemigrowała według Jadwigi Podleskiej do Izraela.

Trudno powiedzieć, kiedy Klara znalazła się w Argentynie, w Buenos Aires. W rodzinie wnuczki Marii i Józefa Nietrebów zachowały się jej krótkie liściki z początku lat 90. XX wieku adresowane do Marii Nietreby. Była już w starszym wieku, mieszkała sama, wspominała o synach. Nietrebów traktowała jak swoją bliską rodzinę, nazywała najdroższymi. W listach pamiętała o znajomych, pozdrawiała. W jednym z nich pytała: *Czy wiecie coś o Jagna* (Agnieszka Ziemba - dop. K.M.), *Bachalski, Waldun, Chabza, Jacykowska Maryja, Żarkowski? Kto jeszcze z Czernielowa mieszka blisko Was*? Żyła wspomnieniami o Czernielowie, tęskniła. W grudniu 1991 roku na świątecznej kartce napisała: *Życzę Wam wszystkiego najlepszego, zdrowia i żyjcie w zgodzie… nadzieją wrócić między swoimi, na swojej ziemi. Czernielów! Ty jesteś jak zdrowie, ten tylko się dowie, kto cię stracił!*

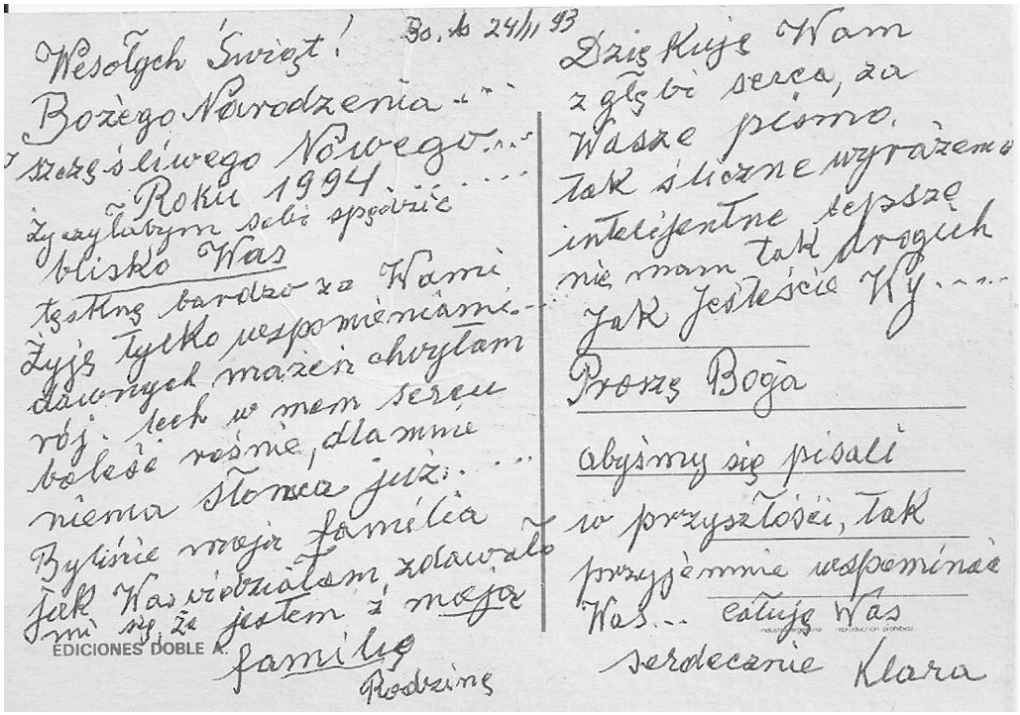
Wesołych Świąt!
Bożego Narodzenia...
szczęśliwego Nowego...
Roku 1994...
Życzyłabym sobie spędzić
blisko Was
tęsknię bardzo za Wami
Żyję tylko wspomnieniami
dawnych marzeń chwytam
rój lecz w mem sercu
boleść rośnie, dla mnie
niema słońca już...
Byliście moją familią
jak Was widziałam zdawało
mi się, że jestem z moją
familią
Rodziną
Bo. 24/11 93
Dziś Kuję Wam
z głębi serca, za
Wasze pismo.
tak śliczne wyrażone
inteligentne lepsze
nie mam tak drogich
jak jesteście Wy...
Proszę Boga
abyśmy się pisali
w przyszłości, tak
przyjemnie wspominać
Was... całuję Was
serdecznie Klara
EDICIONES DOBLE A.

Życzenia świąteczne i noworoczne przysłane przez Klarę Watz w grudnia 1993 roku

Natomiast w grudniu 1993 roku, życząc rodzinie Nietrebów wesołych świąt Bożego Narodzenia i szczęśliwego Nowego Roku 1994, sobie życzyła spędzić je blisko adresatów kartki, wyrażała słowa tęsknoty i zapewniała: *Żyję tylko wspomnieniami, dawnych marzeń chwytam rój, lecz w moim sercu boleść rośnie, dla mnie nie ma słońca już ... Byliście moją familią, jak Was widziałam, zdawało mi się, że jestem z moją familią, rodziną.*

To tyle o społeczności żydowskiej w Czernielowie. A co działo się w tym czasie z Żydami w okolicach Czernielowa Mazowieckiego? Miały tam miejsce dramatyczne zdarzenia, których świadkami byli i zapamiętali je wszyscy mieszkańcy okolicznych wsi. Zanim jednak o tych zdarzeniach kilka zdań o rodzinach żydowskich w sąsiednim Czernielowie Ruskim i niedalekich Stupkach:

Dość szczegółowe informacje o tych rodzinach są przedstawione przez Ferdynanda Matuszka w wspomnianej książce opisującej historię jego życia. Według Ferdynanda Matuszka w Czernielowie Ruskim mieszkała żydowska rodzina o nazwisku Praschil. Małżeństwo Praschilów miało dwie córki i dwóch synów, byli starsi od Ferdynanda. Rodzina ta prowadziła sklep spożywczy. Ze względu na korzystne ceny wszyscy mieszkańcy Czernielowa i Czołhańszczyzny w tym sklepie kupowali. Można było dostać wszystko, poczynając od śledzi aż do drobno mielonego cukru. Śledzie właściciel musiał stale sprowadzać, smakowały wyśmienicie, a dostawy pochodziły z Morza Czarnego. Pan Praschil zarabiał również na handlu bydłem, kupował od rolników cielaki. Często był w rozjazdach, zajmował się zaopatrzeniem w towary, po które jeździł swoim wozem. Kiedy się coś u niego zamówiło, to sam dostarczał zamówione towary do domu.

Bezpośrednio po rozpoczęciu niemieckiej okupacji, jeszcze pod koniec lipca 1941 r., rodzina Praschilów z bagażem została odtransportowana wozem do Tarnopola. Ich sklep dostał się w ręce jednego Ukraińca, wkrótce stał się zaniedbany, podupadły i nikt w nim już więcej nie kupował.

Ferdynand Matuszek opowiedział autorom opracowania, że w Stupkach przed wybuchem wojny były tylko trzy żydowskie gospodarstwa domowe, razem 10 osób: małżeństwo Malków i Jechezkiel Moszkowicz z dziećmi Rachelą, Matyldą i Moszem, następnie stanu wolnego Chana Felderbaum i Neta Schur (w wymowie Szur), z zawodu gospodyni domowa z dziećmi Giną, Dawidem i Sarą. Z dziećmi rodziny Moszkowiczów Ferdynand Matuszek nie miał żadnego kontaktu, ponieważ byli oni starsi i chodzili do innych klas. Sarę Schur poznał w szkole, chodzili do jednej klasy i zaprzyjaźnili się ze sobą. Sara była bardzo dobrą uczennicą, chciała dalej się uczyć i uczęszczać do gimnazjum. Natomiast jej rodzice planowali, że w przyszłości ma przejąć sklep z tekstyliami po ojcu. Niestety, przed wybuchem wojny zmarł nagle ojciec Sary, a wkrótce po rozpoczęciu wojny niemiecko-rosyjskiej galicyjskich Żydów, w tym ze Stupek, spotkał taki sam los jak Żydów w całej okupowanej przez Niemców Europie.

Trudno powiedzieć, jaki los spotkał poszczególne rodziny: czy trafili do getta w Tarnopolu, czy wszyscy tak jak rodzina Sary do obozu pracy przymusowej dla Żydów w Stupkach, gdzie zostali zamordowani razem z innymi w lipcu 1943 r., gdy obóz zlikwidowano.

Ale po kolei:

W sąsiednich Stupkach w miejscu dotychczasowego obozowiska dla robotników i więźniów Niemcy po zajęciu Tarnopolszczyzny urządzili obóz dla rosyjskich jeńców wojennych. Koszmarne warunki przebywania w tym obozie były podkreślane przez wielu opowiadających przeżycia z tego okresu wojny.

Wspomniany wcześniej Jewgien Baran pisał o tym w opracowaniu *Hapucu з icmopii Cmynoк* (Szkice z historii Stupek): *A 2 lipca do Stupek wkroczyli Niemcy i do tego „miasteczka" spędzili niemal tysiąc radzieckich jeńców wojennych. Większość z nich zginęła z głodu i ciężkiej pracy, a tych, którzy jeszcze przeżyli, wywieźli w nieznanym kierunku. Został tylko cmentarz. Teraz w tym miejscu stoi pomnik żołnierzy radzieckich.*

Jewhen Baran, opisując obóz pracy w Stupkach w czasie, gdy w połowie 1941 roku na teren Tarnopolszczyzny wkroczyli Niemcy, dodał: *Kiedy rosyjskich jeńców wojennych już nie było, Niemcy na ich miejsce spędzili Żydów - fizycznie zdrowych ludzi, zdatnych do pracy, przeważnie z południowych miast tarnopolskiego. To był typowy obóz śmierci. 10 lipca 1943 r., kiedy kolej żelazna była zbudowana i przekazana do eksploatacji, Niemcy z zimną krwią rozstrzelali Żydów, a baraki podpalili. Kilkuset Żydów jest pochowanych tam, gdzie jeńcy wojenni…*

Po tej tragedii ziemię folwarku (dawnego dworu) rozdano pod budowę dla mieszkańców. Wyrosła tam nowa wieś (ulica Kolejarzy i przyległe). (tłum. K.M.)

Pomnik pamięci Żydów z Tarnopolskiego, którzy zginęli z rąk niemieckich faszystów w Stupkach 10.07.1943 r.

Podobnie to miejsce zapamiętał Stanisław Gęślowski. Na potrzeby opracowania w korespondencji przekazał*: Pamiętam, że w 1941 roku w Stupkach byli jeńcy rosyjscy, którzy z głodu umierali i ci silniejsi ich ciągali pod rękę. Dość dużo tych jeńców umarło, a resztę wywieźli, nie wiem dokąd.*

Do rosyjskich jeńców i żydowskich więźniów obozu w Stupkach na wstępie swoich wspomnień *Moje przejście przez Wał Pomorski* wydanych w 1974 r. w zbiorze *Wspomnienia wojenne kapelanów wojskowych 1939-1945* nawiązał ks. Marian Mościński, proboszcz rzymskokatolickiej parafii w Borkach Wielkich*: W okresie gdy w plebanii mieściła się komenda hitlerowskiego obozu, mogłem z bliska oglądać męczeństwo jeńców radzieckich, później Żydów. Jeńców radzieckich, setki czy tysiące wytępiono głodem, czerwonką, kulą, bagnetem. Gdy któryś upadł pod ciężarem dźwiganych szyn, przybijano go bagnetem do ziemi, jak przybija się szpilką motyla. Nieraz przyprowadzano ich na moje podwórze - żywe szkielety, obciągnięte zieloną trupią skórą. Wygłodzeni, rzucali się na śmietnik, by wygrzebać jakieś szczątki jedzenia, nadgniłe liście kapusty. Starsza kobieta Anastazja Makkawejowa, która prowadziła mi gospodarstwo, umiała jakoś trafić do resztek*

sumienia SS-manów i pozwalano jej często nakarmić tych biedaków. Gotowały się wtedy dla nich w mojej kuchni kotły zupy. Po zlikwidowaniu prawie wszystkich rosyjskich żołnierzy, pozostałą przy życiu garstkę wywieziono, a obóz zapełnił się Żydami. Kiedy Niemcy przygotowywali się pośpiesznie do odwrotu, otoczyli obóz, baraki męskie i kobiece oblali benzyną i podpalili. Straszny krzyk setek palących się żywych ludzi rozlegał się daleko.

W opracowaniu *Великі Бірки*... (Borki Wielkie…) autorzy przedstawili swoją wersję zdarzeń w tym miejscu z okresu wojny: *Między Borkami Wielkimi i Stupkami, w pobliżu stacji kolejowej na miejscu dawnego żeńskiego obozu NKWD, w lipcu 1941 roku hitlerowcy przygotowali obóz dla dwóch tysięcy jeńców wojennych. Żołnierzy Armii Czerwonej, którzy w pierwszym tygodniu wojny dostali się do niewoli, zmusili do wykonywania robót przy budowie drugiego toru, prowadzonych przez frmę TODD i rekonstrukcji mostów magistrali kolejowej nr 4 do Kijowa. Przy tych robotach angażowano też miejscowych.*

Warunki przetrzymywania takiej liczby jeńców wojennych w tym obozie były okropne. Jeńcy pracowali tam bardzo ciężko, a otrzymywali posiłki tylko dwa razy: z rana i wieczorem trochę wodnistej zupy. Zachowanie strażników w stosunku do pracujących było nieludzkie. Jeńcy w obozie byli wyczerpani, załamani, śmiertelność była bardzo duża. Codziennie umierało ich dziesiątki z głodu, wyczerpania, przemęczenia pracą i z powodu chorób. Mieszkańcy wsi pomagali im, jak mogli. W sprzyjających warunkach podawali im kromki chleba, warzywa, gotowane ziemniaki. Niemcy karali ludzi za takie zachowanie, bili albo odstraszali strzelaniem. Do dzisiejszego dnia zachował się wiadukt nad torami kolejowymi w pobliżu wiejskiego domu kultury, zbudowany wówczas przez radzieckich jeńców. Ich dola była okropna. 24 grudnia 1941 roku wszystkich, którzy jeszcze pozostawali przy życiu Niemcy stracili. Tego dnia ich miejsce zajęło 200 Żydów przysłanych przez hitlerowców ze Skałatu. Oni stanowili zaczątek nowego żydowskiego obozu.

W zimie 1941-1942 Niemcy przywozili grupy żydowskich młodych ludzi z południowych rejonów Tarnopolszczyzny (Borszczowa, Buczacza, Grzymałowa, Mikuliniec, Skałatu, Chorostkowa) do obozów bliżej Tarnopola: Stupek, Kamionek, Borek Wielkich. Pracowali oni w kamieniołomach i innych ważnych obiektach; chorych od razu zabijali (...) W lipcu 1942 roku w obozie pracy przymusowej (niemieckiego Zwangsarbeitslager) pod Stupkami Niemcy zgromadzili z całej Tarnopolszczyzny ponad dwa tysiące Żydów - kobiet, dzieci, młodych i starszych ludzi. Warunki pobytu z góry skazywały ich na zagładę. Każdego dnia w tym obozie koncentracyjnym umierało 8-10 osób, 5-6 osób codziennie rozstrzeliwali lub wieszali. Za ucieczkę z obozu jednego Żyda strażnicy tego dnia rozstrzeliwali dziesięciu. W tym strasznym miejscu najgorsze stało się w lipcu. 10 lipca 1943 r. po południu od strony Tarnopola przybyła do obozu kolumna krytych brezentem wojskowych ciężarówek.

Faszystowscy najeźdźcy i policja ze wszystkich stron otoczyli teren obozu. Jeden samochód skierował się do centrum Stupek, gdzie oprócz mężczyzn przebywały żydowskie kobiety i niepełnoletnie dzieci. W obozie wszystkich ustawili w kolejce i wtedy oprawcy zaczęli po 5 osób zapędzać do baraku i strzelali do nich. Kiedy więźniowie uświadomili sobie tragiczną sytuację, powstał niesamowity wrzask, żałosny krzyk i płacz. Niektórzy próbowali uciekać. Złapanych uciekinierów rozstrzeliwano na miejscu, bliżej bramy. Zabitych i rannych polewali benzyną i olejem napędowym z przygotowanych beczek. Wszystko dookoła w tym czasie płonęło w ogniu i baraki obozu. Noc z 10 na 11 lipca 1943 r. zapamiętano na długo. To była straszna noc. Mieszkańcy Borek Wielkich i okolicznych wsi nie spali, z przerażeniem słuchali nieludzkich krzyków, jakie dochodziły z obozu. Wielu z nich stało się mimowolnymi świadkami barbarzyńskiej rzezi ludzi tej zbrodniczej nocy. Nad doliną za wsią unosiła się brązowa łuna pożaru a nad obozem chmura czarnego dymu. Po całej okolicy unosił się zapach spalonych zwłok, który jeszcze kilka dni wisiał nad wsią. Tak zginęło 970 ludzi. Przez cały okres istnienia obozu zginęło tu dwa tysiące Żydów. Ale te dane nie są dokładne. Według niektórych źródeł w latach 1941-1944 w województwie tarnopolskim faszyści unicestwili 201 066 Żydów, a w samych Borkach Wielkich – 2970 osób. Tego nie można nigdy zapomnieć. (tłum. K.M.)

Naocznym świadkiem tego tragicznego zdarzenia był urodzony w 1931 roku Zbigniew Kubów. Z rodziną mieszkał w Stupkach, miał wówczas 12 lat. W kwietniu 2016 r. na potrzeby opracowania napisał o żydowskich obozach w Stupkach: *Byłem świadkiem likwidacji żydowskich obozów w mojej rodzinnej wsi Stupki w powiecie tarnopolskim. Ten akt gehenny, unicestwienia człowieka przez „człowieka uber alles" został dokonany w dniu 9.07.1943 r. Napisałem obozów, źle napisałem, gdyż obozy kojarzą się raczej w dobrym znaczeniu tego wyrazu, np. obóz sportowy, harcerski itp. Prawidłowo i faktycznie zwane były lagrami, miejscami ciężkiej pracy, a przede wszystkim miejscami katorgi i śmierci.*

Żeński lagier znajdował się w centrum wsi, w tak zwanym polskim domu ludowym, wybudowanym przez mego dziadka Bartłomieja Kubowa w latach trzydziestych. Leżał on około 150 m w linii prostej od zabudowań gospodarczych i mieszkalnych moich rodziców Mariana i Katarzyny, z d. Marchewka, z Czernielowa Ruskiego. Drugi lagier położony był na obszarze folwarku, którym do 17.09.1939 r. zarządzała rodzina Weiglas, najpierw przez ojca, a potem przez syna. Po wkroczeniu „sowieckich wyzwolicieli" w ramach „jedności i równości" zabudowa majątku została zburzona.

Wkrótce, już w październiku 1939 roku, na tym obszarze został wybudowany drewniany, dosyć duży, barak przystosowany do zamieszkania przez ludzi samotnych i z rodzinami.

Borki Wielkie i okolice- fragment mapy z 1939 r. Wojskowego Instytutu Geograficznego z oznaczeniami Zbigniewa Kubowa:miejsca wydobycia piasku, kolonii w Borkach, folwarku- Zydowskiego Obozu Pracy w Stupkach, posiadłości rodziny Kubów i Józefa Marchewki w Stupkach

Folwark w Stupkach po wkroczeniu Rosjan w 1939 roku

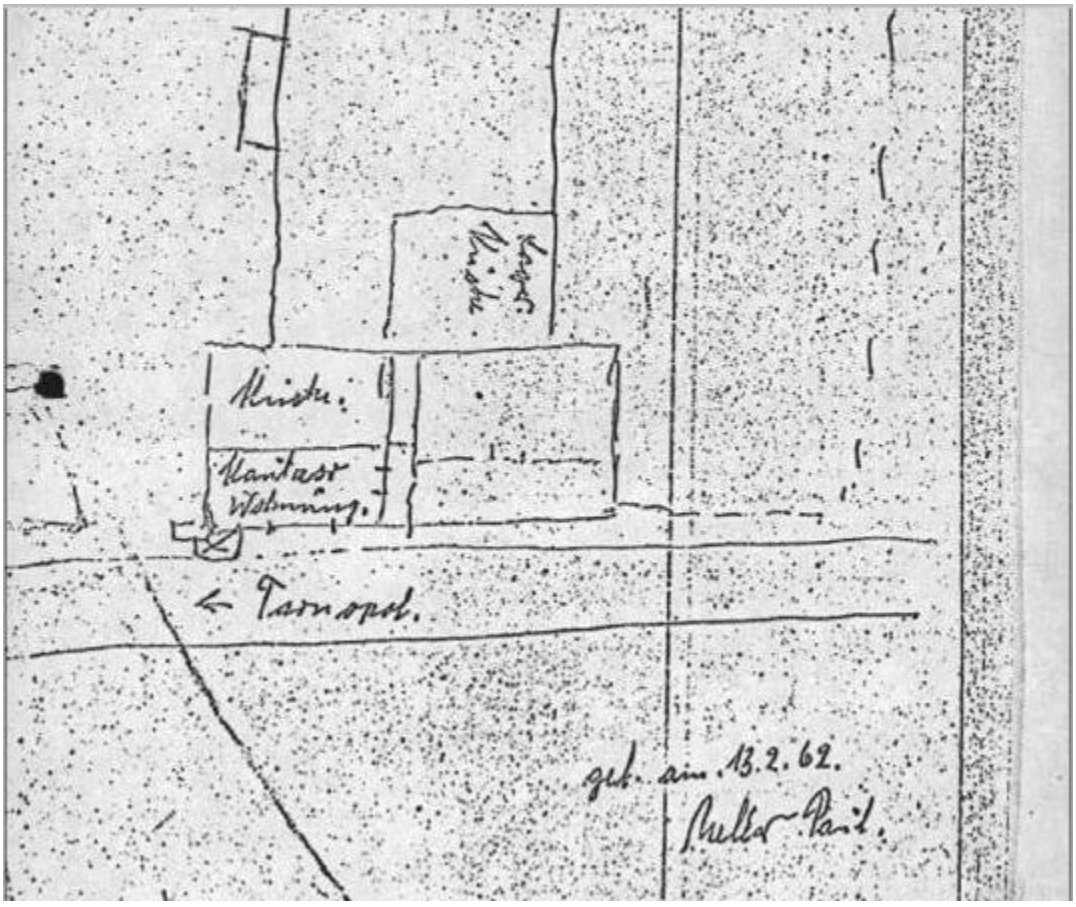

Szkic obozu w Stupkach z książki *Nie miałem nic przeciwko Niemcom, tylko przeciw faszystom*

Obóz pracy przymusowej w Stupkach. Zwangsarbeiterlager Stupki

Żydowski obóz pracy przymusowej w Stupkach

Obóz pracy w Stupkach

Obóz pracy w Stupkach

Żydowscy robotnicy przymusowi przy budowie drogi w Stupkach

Prisoners of the Stupki forced-labor camp for Jews in the Generalgouvernement. Więźniowie obozu pracy przymusowej dla Żydów w Stupkach w Generalnym Gubernatorstwie

Żydowscy robotnicy przymusowi w kamieniołomie koło Stupek

Okolice Czernielowa Mazowieckiego w czasie wojny

W tym czasie z tak zwanej wielkiej Ukrainy przybyła duża grupa ludzi do robót przy poszerzaniu torów kolejowych na trasie Tarnopol-Podwołoczyska. Równocześnie na tej samej trasie rozpoczęto budowę drugiego toru kolejowego.

Rodziny z małymi dziećmi zakwaterowano w domach miejscowej ludności. W naszym domu również mieszkała rodzina z 4-letnim chłopczykiem i jego dziadkiem do opieki. Duża część tych robotników przyjechała na tak zwanych taczankach o konnym zaprzęgu, służących do przewozu ziemi przy budowie drugiego toru linii kolejowej oraz budowy dróg naziemnych.

Władza radziecka nie przewidziała, że już w pierwszych dniach wojny niemiecko-sowieckiej w lipcu 1941 roku, w tymże baraku będą osadzeni i unicestwieni jej obywatele, to jest sowieccy jeńcy wojenni. Przez obóz przeszło około tysiąca jeńców wojskowych. Podobnie tyleż miało być unicestwionych Żydów, z tym że w końcowym momencie część jeńców przewieziono do innych obozów, natomiast Żydzi wszyscy zginęli na miejscu.

Kobiety żydowskie osadzone w polskim domu ludowym pracowały przy szyciu bielizny dla niemieckich żołnierzy i na rzecz gestapo, któremu podlegały liczne obozy śmierci ludności żydowskiej i innych nacji.

Na początku napisałem, że byłem świadkiem likwidacji żydowskich obozów w Stupkach. Tak byłem i do dziś dokładnie pamiętam ich początek i koniec. Nie pamiętam natomiast, z jakiego powodu znalazłem się przed obozem kobiet, kiedy z dużą prędkością nadjechały niemieckie wojskowe samochody ciężarowe. Szybko i sprawnie niemieccy żołnierze i własowcy wyskoczyli z samochodów i błyskawicznie otoczyli teren obozu, gdzie były osadzone żydowskie kobiety. Było to wprawdzie już po południu, około 16-17 godziny, lecz to lato i żniwa w pełni, więc widoczność była bardzo dobra. Znalazłem się w centrum tego kotła. Musiałem szybko oddalić się, aby przypadkowo nie zaliczono mnie do mieszkańców tegoż obozu. Po kilku, może po kilkunastu minutach kobiety zostały załadowane na samochody i odwiezione do obozu męskiego. Wszystkie osoby, mężczyźni i kobiety zostały ustawione w szeregach przed barakiem, następnie w grupach 10-12 osób wprowadzano ich do końca korytarza i rozstrzeliwano. Cały korytarz zapełnił się trupami. Wówczas cały barak został oblany benzyną i podpalony. Teren obozu otoczony był ogrodzeniem z drutu kolczastego. Pewna liczba osób w czasie rozstrzeliwania padała wcześniej przed serią pocisków. Kiedy barak ogarnął ogień, żywe osoby starały się wydostać na zewnątrz i przejść przez ogrodzenie. Druty ogrodzenia były pod prądem, w narożach placu obozowego stały wieżyczki strzelnicze, z których ostrzeliwano uciekających. Komu udało się wydostać z palącego się baraku najczęściej wisiał na drutach ogrodzenia niczym pochodnia Nerona. Wydawało się, że przysłowiowa mucha nie przeleci nad łuną palącego się baraku. A jednak kilka osób uciekło z tego piekła. Była już noc, łuna wysokiego słupa ognia oświecała szeroki krąg wioski Stupki

i pobliskich miejscowości. Przez całą noc dowożona była benzyna i oblewano nią palące się ciała ludzkie. Swąd był strasznie duszący, nie dało się normalnie oddychać i przeżyć spokojnie przez długi czas. W następnym dniu wiele ciał nie było całkowicie spalonych, ponownie oblewano je benzyną i palono. W końcu wykopano duży dół, do którego przemieszczono popiół i odrobiny ciał. Dół zasypano niewielką warstwą ziemi.

Po II wojnie światowej władza sowiecka uporządkowała teren obozu-lagru i postawiła dwa pomniki, jeden na cześć unicestwionych jeńców sowieckich, drugi ku pamięci pomordowanych obywateli narodowości żydowskiej.

Może jeszcze wspomnę, że do obozów w Stupkach zwożono Żydów z wielu miast, miasteczek i wiosek z całego województwa tarnopolskiego. Natomiast żaden Żyd miejscowy nie zginął w obozie stupeckim, chociaż w Stupkach żyło pięć rodzin.

Dodam jeszcze, że obóz w Stupkach podległy był komendantowi SS z Tarnopola, a jego naczelny komendant często przebywał w Stupkach. Zajmował na swoje biuro i mieszkanie przednią część polskiego domu ludowego.

We wcześniejszej korespondencji Zbigniew Kubów potwierdził, że na terenie folwarku Żydzi byli więzieni w baraku drewnianym z czterema kominami. Około 300 metrów od męskiego obozu w Stupkach leżał kamieniołom już na terenie należącym do Borek Wielkich, w którym pracowali mężczyźni z żydowskiego obozu.

Do wybuchu wojny, do czasu wywiezienia na Sybir, jak wcześniej opisano, po parcelacji dworskiej ziemi góra z kamieniołomem była współwłasnością Józefa Marchewki, brata jego matki i dobrze znał to miejsce.

Zbigniew Kubów wspomniał również o dwóch Żydówkach mieszkających w czasie istnienia obozu w domu jego rodziców w Stupkach. Młodsza z nich dwudziestokilkuletnia, bardzo ładna, prawdopodobnie spokrewniona z żydowskim komendantem obozu żeńskiego, który ją kilkakrotnie odwiedzał, na dwa dni przed likwidacją obozu opuściła ich dom. Rzekomo osoby zamieszkałe poza obozem miały wrócić do miejsca obozowego. Druga Żydówka, starsza, z dwojgiem dzieci, przebywała w domu rodziny Kubowów jeszcze parę dni po likwidacji obozu, a kiedy sytuacja trochę uspokoiła się opuściła ich dom. Prawdopodobnie ktoś musiał ją zabrać w bardziej bezpieczne miejsce.

Zbigniew Kubów udostępnił też otrzymaną w 2013 roku z Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma w Warszawie kopię relacji złożonych przez Berela Turnera, więźnia obozu w Stupkach. Szczegółowe zeznanie zostało przez niego przekazane Komisji Historycznej we Wrocławiu w 1946 roku. Berel Turner z zawodu był nauczycielem. Do obozu koncentracyjnego w Stupkach trafił z Borszczowa 1 kwietnia 1942 roku. Miał wówczas 54 lata. W swojej relacji zatytułowanej *Jak spędziłem okupację niemiecką*, opisując czas pobytu w tym obozie, wspominał o morzeniu głodem, biciu, zabijaniu znienacka za rzekomo najlżejsze

przewinienia, ciężkiej pracy przy dźwiganiu i rozbijaniu kamieni i brukowaniu drogi. Wspominał też o silnej woli przeżycia i podtrzymywaniu na duchu towarzyszy niedoli między innymi przez organizowanie śpiewów po robocie, opowiadanie legend i baśni. Pisał między innymi: *Niektóre wieczory spędzaliśmy wesoło, zapominając co jutrzejszy dzień przyniesie, że znów wieczorem zabraknie kilku ludzi. Nigdzie tak człowiek nie oswoi się z widmem śmierci jak w obozie, jakkolwiek umrzeć nikt nie chciał. Każdy walczył o życie na swój sposób. W lipcu, wskutek wycieńczenia z głodu, ponieważ w owym miesiącu nie dopuszczono do obozu pakunków żywnościowych, czułem, że upadam z sił coraz bardziej. Przeczuwając to, żona z narażeniem życia przybyła do Borek i ukradkiem przez dwa tygodnie podawała mnie i trzem sąsiadom pożywienie, podtrzymując nasze życie… Drugiego listopada zachorowałem na tyfus i z wysoką gorączką chodziłem na robotę przez trzy dni, po czym obalony chorobą oczekiwałem w izbie chorych śmierci naturalnej, ewentualnie kuli z rewolweru szefa obozu. Zamiast śmierci przyszło zwolnienie z obozu*.

Dzięki pomocy byłego ucznia, Żyda pracującego w kancelarii, udało się 7 listopada 1942 r. ciężko chorego Turnera wywieźć samochodem do Borszczowa. Dalsze jego życie, choroby, ukrywanie się z rodziną na strychu u sąsiadki, następnie w bunkrze, wałęsanie po polach, a potem powrót do domu w Borszczowie w marcu 1944 r. i niespodziewane wkroczenie Niemców do ich mieszkania w celu zainstalowania sztabu na kilka dni, też obfitowało w dramatyczne momenty.

Berel Turner przeżył szczęśliwie czas Zagłady. Po wojnie mieszkał w Polsce.

W Internecie dostępne są zdjęcia dokumentujące prace wykonywane w kamieniołomie, jak i przy budowie toru kolejowego przez Żydów z obozu w Stupkach. Zdjęcia te zostały również pokazane wraz z opisem i wyjaśnieniem ich pochodzenia we wspomnianym już opracowaniu *Ich hatte nichts gegen Deutsche...* (Nie miałem nic przeciwko Niemcom…). Pierwotnie znajdowały się w albumie Friedricha Katzmanna, dowódcy SS i Policji Okręgu Galicja. Autorzy książki ustalili: *Z końcem 1943 roku miał on w skórę oprawiony gruby tom zawierający 151 fotografii i przekazał go we Lwowie dowódcy SS i Policji Fredrichowi Wilhelmowi Krügerowi. Album zawierał zdjęcia, na których udokumentowana była między innymi wizyta szefa SS Rzeszy Himmlera w obozie pracy przymusowej Lackie Wielkie, we wschodniej Galicji w sierpniu 1942. Dalsze zdjęcia przedstawiały obóz pracy przymusowej w Stupkach oraz żydowskich więźniów podczas ich pracy na budowie, w kamieniołomie oraz przy budowie mostu. Wśród zdjęć znajdowały się również takie, na których widać więźniów kładących tory kolejowe. Katzmann komentował zdjęcia w bardzo cyniczny i pogardliwy sposób. Dla dzisiejszych badaczy historii pozostawił on po sobie, zupełnie niezamierzenie, ciekawe i pouczające źródło wiedzy historycznej*.

Ferdynand Matuszek bez żadnych wątpliwości rozpoznał ilustrację, która przedstawiała Żydów wychodzących do pracy z kamiennego domu w obozie pracy przymusowej w Stupkach na tle wzniesienia.

O samym obozie w Stupkach jego wspomnienia nie są jednoznaczne. W szczególności nie wspomina o podobozie w domu ludowym, lecz o obozie w domu z kamienia otoczonym ogrodzeniem z drutu kolczastego. Prawdopodobnie jednak miał na myśli ten właśnie obiekt. Jak wiadomo, Ferdynand Matuszek w 1941 roku miał 15 lat, nie był mieszkańcem Stupek, lecz sąsiedniej Czołhańszczyzny. Przez Stupki przechodził w drodze do szkoły w Borkach Wielkich czy do pracy przy układaniu torów kolejowych.

Oto wynotowane z książki fragmenty jego wypowiedzi o obozie pracy w Stupkach: *Idąc wzdłuż ogrodzenia do miejsca pracy, mogłem jedynie dostrzec miejsce, które wcześniej służyło jako boisko sportowe. Wartownikami w obozie byli Ukraińcy, którzy częściowo pochodzili z miejscowości Stupki*. (Według autorów książki chodziło o cztery do sześciu osób, które należały do ukraińskiej policji pomocniczej). *Możliwym jest, że było tam 150 Żydów. Ja mogłem jedynie spojrzeć na otwartą przestrzeń. Za ogrodzeniem były również kobiety, których nie widywałem zbyt często. Możliwym jest również, że po prostu nie było ich wiele… Dokładnie pomiędzy linią kolejową a drogą znajdował się ten dwór. Nie było tam już żadnych innych dworów ani miejsc składowania… Jak szło się przez park, to można było dostrzec dwór. Widziało się również mur wysoki, na pewno na jakieś 1,5 metra, jak również drut kolczasty (odkąd byli tam Niemcy). Co jakiś fragment muru znajdowały się również ogromne wrota wejściowe. Można było zobaczyć dachy budynków i częściowo również same zabudowania. Kompleks tych zabudowań leżał w bliskiej odległości od torów kolejowych w kierunku południowym. To musiało być jesienią 1941 roku… Po zakończeniu pracy my, Polacy, wracaliśmy bez strażników z powrotem do domów. Żydzi wracali w kolumnach ze strażnikami do obozu. My skręcaliśmy na krótko przed samym obozem i szliśmy dalej wzdłuż ogrodzenia. Żydzi szli jeszcze kawałek dalej, szerokie wrota się otwierały i wchodzili przez nie do środka (…) Jak się przeszło parę metrów dalej (wzdłuż ogrodzenia) słychać było bardzo słabo słowa, a więc musieli ze sobą trochę rozmawiać …*

Natomiast autorzy książki na podstawie źródeł niemieckich, głównie powojennych akt procesowych piszą o dwóch obozach: w Stupkach i Borkach Wielkich*: Obóz w Stupkach składał się budynku z kamienia, dalej ze wspólnej sali, w której znajdowało się pomieszczenie, w którym odbywały się spotkania, oraz otwartej przestrzeni. Cała powierzchnia była otoczona ogrodzeniem z drutu kolczastego. Pierwotnie były to zabudowania, jak również cała otaczająca je powierzchnia, w których znajdowała się polska szkoła oficerska.*

Informacja o polskiej szkole oficerskiej w miejscu folwarku w Stupkach nie jest oparta na prawdzie. Być może chodziło autorom o opis innego obozu.

Kolejny żydowski obóz pracy przymusowej znajdował się we wsi Borki Wielkie. Został założony 24 grudnia 1941 roku. W pierwszej fazie chodziło o otoczony drutem kolczastym teren z barakami, w których wcześniej trzymani byli sowieccy jeńcy wojenni, i był oddalony jakieś 12 kilometrów na południowy wschód od Tarnopola.

Ta informacja, jeśli chodzi o datę 24 grudnia 1941 r., jest zbieżna z zanotowaną we *Wspomnieniach…* ks. Mariana Mościńskiego oraz w opracowaniu *Великі Бірки.* (Borki Wielkie…).

W książce niemieccy autorzy pisali: *Obok pracy przy modernizacji linii kolejowej więźniowie obozu pracy przymusowej Stupki musieli również wykonywać roboty w kamieniołomie zlokalizowanym zaraz obok dworca kolejowego. Tam kamienie miały był łupane na mniejsze i miały być docelowo wykorzystywane przy budowie drogi.*

Jednocześnie dodali uwagę, że: *Ferdynand Matuszek stwierdza, że mogło chodzić tylko o kamieniołom zlokalizowany przy dworcu kolejowym Skałat, ponieważ przy dworcu Borkach Wielkich nie było żadnego kamieniołomu.*

W tej kwestii zdanie Zbigniewa Kubowa jest inne i było już prezentowane.

I na koniec wypowiedź mieszkającego w czasie wojny w Borkach Wielkich Jerzego Stopy. Podobnie jak Ferdynand Matuszek urodził się w 1926 roku. W rozmowie z Anną Madej z „Cracovia Leopolis" powiedział: *Wszystkie trzy okupacje przeżyłem w Borkach Wielkich, 10 km na wschód od Tarnopola. Byliśmy tam elementem napływowym, bez roli, domu i znajomych. Były to dla nas ciężkie czasy, głód i niebezpieczeństwa. Przez większość czasu pracowałem na kolei, pod koniec we młynie w Kozówce w pow. tarnopolskim… W bezpośrednim sąsiedztwie stacji kolejowej, która była na skraju wsi, w latach okupacji niemieckiej był obóz pracy przymusowej dla Żydów. Pracowali oni przy budowie drugiego toru do Podwołoczysk. Obóz ten, do którego wysyłano Żydów z licznych miejscowości województwa, był we wsi Stupki. W literaturze często autorzy piszą o obozie w Borkach Wielkich, mimo iż faktycznie był na terenie Stupek, a tylko pracowali w Borkach Wielkich. Byłem świadkiem jego likwidacji. Od naszego domu do obozu było kilkaset metrów podmokłej łąki. Makabryczne przeżycie.*

W korespondencji na potrzeby opracowania Jerzy Stopa dodał: *W Borkach natomiast, jak wcześniej nadmieniono, mieściła się na plebanii komenda żandarmerii SS.* Pochodząca z Borek Wielkich Aniela Kubów, z d. Rejfur, przypomniała, że w tym czasie probostwo przeniesiono do prywatnego budynku należącego do Jana Rejfura, jej stryja.

Opisano wcześniej sankcje ustanowione przez władze okupacyjne III Rzeszy za pomoc zbiegłym z getta Żydom, w szczególności za ich ukrywanie. Kara śmierci

przez rozstrzelanie dotknęła mieszkańca Borek Wielkich Karola Dudara. Wspominają o nim autorzy przywoływanej monografii wsi: *Wśród mieszkańców Borek byli ludzie, którzy ryzykowali swoje życie, ratując żydowskie rodziny. Jednym z nich był Karol Dudar, którego za przechowywanie żydowskiej rodziny hitlerowcy publicznie rozstrzelali w sierpniu 1942 roku na pastwisku Za Groblą.*

W Borkach Wielkich na stacji kolejowej mieszkała rodzina Michaliny i Stanisława Nawłoków, którzy w czasie okupacji niemieckiej bezinteresownie uratowali życie urodzonej w 1933 roku żydowskiej dziewczynki Rozalii Wassner. Historia jej ocalenia opowiedziana na stronie www.sprawiedliwi.org.pl jest następująca: *W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Bencjon Wassner z żoną i sześcioletnią córką mieszkali w Gdyni. Jesienią 1939 roku zostali wysiedleni przez Niemców. Trafili do rodziny mieszkającej w Przemyślu, który był w tamtym czasie okupowany przez Sowietów. Gdy w 1941 roku miasto przejęli hitlerowcy zaczęły się krwawe represje wobec ludności żydowskiej. W lipcu 1942 roku wszyscy członkowie rodziny oprócz Bencjona i jednej z ciotek trafili do getta. Mieszkająca we Lwowie ciotka – żona Polaka, ukrywająca się na aryjskich papierach – starała się im pomagać. Podczas akcji likwidacyjnej Wassnerowie zostali wywiezieni do obozu w Bełżcu. Wszyscy zginęli. Przeżyła tylko Rozalia, której matka w ostatniej chwili kazała uciekać i kierować się w stronę Lwowa. Udało się jej dotrzeć do ciotki, która zdobyła dla niej fałszywą metrykę chrztu – dziewczynka zyskała nową „aryjską" tożsamość i odtąd nazywała się Rozalia Stanisława Dudzińska. Jednak pomoc domowa ciotki zorientowała się, że dziewczynka jest Żydówką i posunęła się do szantażu. W konsekwencji Rozalia została przeniesiona do zaprzyjaźnionej polskiej rodziny Nawłoków. Byli to bardzo ubodzy ludzie – mieszkali w jednym pokoju z kuchnią, mieli dwoje dzieci. Ryzyko było ogromne, ponieważ organizowali u siebie tajne komplety, a w budynku, w którym mieszkali, stacjonowali Niemcy. Pewnego dnia Niemcy zainteresowali się dziewczynką. Rozalia musiała udowodnić, że jest Polką - odmawiała modlitwy, śpiewała pieśni kościelne, mówiła o katolickich świętach. Odpowiadała bezbłędnie, bo przed wojną chodziła do polskiego przedszkola, a Nawłokowie dobrze ją przygotowali na taką sytuację. Zagrożenie było jednak ogromne - gdyby źle odpowiedziała, mogłaby zginąć cała rodzina. Tego dnia Michalina Nawłoka osiwiała.*

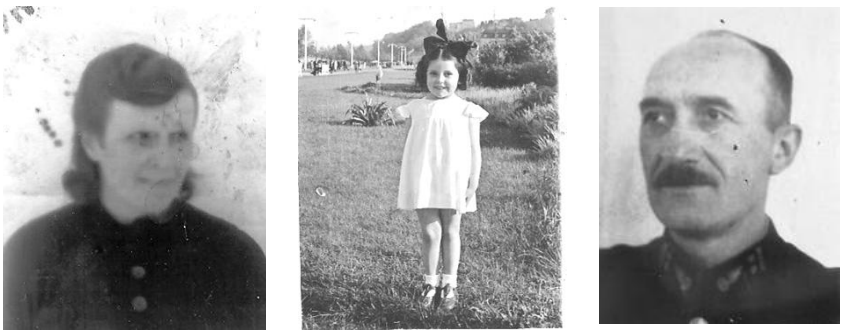

Michalina i Stanisław Nawłokowie oraz Rozalia Wassner

Wszyscy przetrwali okupację. Po wyzwoleniu Rozalia zamieszkała z ciotką. Bencjon Wassner, który przeżył wojnę w ZSRR, wrócił w 1947 roku do Polski i zabrał córkę do siebie. W latach 60. XX wieku Rozalia wyemigrowała do Izraela, gdzie założyła rodzinę.

W 2009 roku Michalina i Stanisław Nawłokowie zostali pośmiertnie odznaczeni medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata za pomoc udzielaną Żydom w czasie Zagłady. Na uroczystości, która odbyła się w Gminie Żydowskiej w Bielsku Białej, ocalona Rozalia Wassner, dziś mieszkająca w Izraelu jako Shoshana Ronen, wspominała Nawłoków: *Jestem dziś bardzo wzruszona. Chcę dziś powiedzieć o moich wybawcach i o tym, jak wielkim bohaterstwem było dać trzeciemu dziecku, które nie jest twoje, tyle samo. Każdą kromkę chleba, których było tak mało, w największym głodzie, dzielili na trzy równe części. Mam troje swoich dzieci i nie wiem, czy ja bym potrafiła dać w podobnej sytuacji swojemu mniej, by nakarmić czyjeś. To bohaterstwo największe.*

Medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata pośmiertnie zostało odznaczone w 1999 roku, inne małżeństwo z Borek Wiktor Wertepny i Lusia (Bałyk). Są wymienieni pod poz. 1234 wykazu ponad 2400 Ukraińców uhonorowanych tym tytułem przez Yad Vashem za ratowanie Żydów podczas II wojny światowej. W latach 1943-44 ukrywali, ratując żydowskich uciekinierów z obozu o nazwisku Falberbaum, rodzinę, która mieszkała w Borkach Wielkich przed wojną.

Zbigniew Kubów, pisząc o żydowskim obozie, wspomniał o pomocy i ocaleniu żydowskiej dziewczynki przez rodzinę ze Stupek: *W pobliżu byłego folwarku, a później lagru mieszkały dwie rodziny ukraińskie o nazwisku Romanyszyn. Głową jednej z nich był Fedko Romanyszyn, który uratował przed zagładą żydowską dziewczynkę. Po wojnie wyjechała do Izraela. W 1993 roku wnuk tego Fedka Eugeniusz Kozak na zaproszenie władz izraelskich przebywał około sześciu miesięcy w Izraelu, był goszczony i dobrze traktowany.*

Nic nie wiadomo o odznaczeniu tej rodziny przez Instytut Yad Vaszem.

Wyróżnienie Sprawiedliwy wśród Narodów Świata jest najwyższym odznaczeniem cywilnym państwa Izrael i jest przyznawane przez Instytut Pamięci Yad Vaszem ludziom, którzy, nie będąc Żydami, podczas II wojny światowej z narażeniem życia swego i swojej rodziny udzielali pomocy osobom wyznania mojżeszowego. Na medalu wyryte jest znaczące zdanie z Talmudu: *Kto ratuje jedno życie – ratuje cały świat*. Znaczenie tych słów widać najlepiej, gdy ocaleni przybywają na ceremonię nadania honorowego tytułu z dziećmi, wnukami, a dziś nawet z prawnukami. Często należą oni do jedynej gałęzi rodziny, która ocalała z Zagłady. Medalem zostało uhonorowanych ponad 26 tysięcy osób. Jedną czwartą

odznaczonych stanowią Polacy, choć, jak wiadomo, tylko w Polsce za pomoc udzieloną Żydowi groziła kara śmierci.

Można się domyślać, że poza opisanymi przypadkami pomocy Żydom, w Czernielowie i okolicach były również inne sytuacje i zdarzenia ratujące życie prześladowanym w czasie wojny wyznawcom judaizmu, o których pamięć przetrwała tylko w rodzinach. Nikt jednak nie zgłosił dobrych uczynków ratujących życie do odznaczenia i do dzisiaj pozostali anonimowi.

Na przymusowych robotach w Niemczech

Tak jak w czasie okupacji sowieckiej powszechny był wśród mieszkańców Tarnopolszczyzny strach przed wywózką na Sybir, tak w czasie okupacji niemieckiej powszechny był strach przed wywiezieniem na przymusowe roboty do Niemiec. Różnica polegała na tym, że Sybir dotyczył rodzin, a roboty w Niemczech pojedynczych młodych ludzi.

Trzeba podkreślić, że na terenach okupowanych przez III Rzeszę istniał niemal od początku wojny przymus pracy dla polskiej ludności w wieku od 18 do 60 lat, od grudnia 1939 roku rozciągnięty także na młodzież od 14 lat. Przypomniała o tym w artykule *Praca przymusowa Polaków na rzecz III Rzeszy* Elżbieta Laska, podkreślając, że: *osobom uchylającym się od obowiązku podjęcia pracy grożono surowymi sankcjami, aż do zesłania do obozu koncentracyjnego, względnie obozu pracy przymusowej. Stosując przymus pracy, niemieckie władze okupacyjne wykorzystywały ludność do różnych robót. Zwłaszcza mieszkańcy wsi dysponujący sprzętem i siłą pociągową zwierząt zobowiązani byli do świadczenia prac naprawczych: przy naprawie i budowie dróg, budowie mostów, a w zimie przy odśnieżaniu, w celu zachowania przejezdności dróg. Posiadaczy koni zmuszano do prac w lesie. Deportowanych na roboty Polaków zatrudniano w różnych gałęziach gospodarki. Najwięcej z nich pracowało w rolnictwie, leśnictwie, ogrodnictwie, a także w gospodarstwach domowych w charakterze służących.*

Z innych opracowań i wspomnień wynika, że właśnie w gospodarstwach rolnych i ogrodniczych były stosunkowo najlepsze warunki pracy. W najtrudniejszym położeniu znajdowali się robotnicy zatrudnieni w przemyśle zbrojeniowym. Jednak, jak wspominają, przymusowi robotnicy o traktowaniu w miejscu pracy i warunkach bytowych decydowała przede wszystkim postawa i sumienie pracodawcy lub bezpośredniego nadzorcy. Spotkać można opinię, że Polacy i robotnicy z terenów wschodnich, czyli z okupowanych obszarów ZSRR, tak zwani ostarbeiterzy byli traktowani znacznie gorzej i mieli bardziej ograniczone prawa niż robotnicy z Europy Zachodniej.

Kwestie wysokości wynagrodzenia, warunków pracy, jak również relacji na poziomie niemieccy gospodarze - robotnicy przymusowi regulowały specjalne zarządzenia. Odrębne przepisy normowały sferę poza miejscem pracy i pobytu robotników przymusowych, w tym między innymi dotyczące: zakazu korzystania z publicznych środków transportu, chodzenia do kin czy restauracji, uczestnictwa bez zezwolenia w nabożeństwach, opuszczania miejsca pobytu bez zezwolenia.

Z wywozu do przymusowej pracy mogły być zwolnione jedynie osoby, które udowodniły, że są zatrudnione w przedsiębiorstwach i instytucjach pracujących na potrzeby Rzeszy.

Młodzi mieszkańcy Czernielowa, zwłaszcza ci, którzy poza gospodarstwem rodziców nigdzie nie pracowali, a także z rodzin, w których było więcej dorosłych lub prawie dorosłe dzieci, mogli spodziewać się, że któregoś dnia otrzymają z tarnopolskiego Arbeitsamtu, czyli z urzędu pracy, imienne wezwanie do stawienia się w tym urzędzie bądź w wyznaczonym punkcie zbiorczym, a potem czekała ich podróż do pracy w nieznane.

Aby nie znaleźć się na przymusowych robotach, młodzi czernielowianie, jak to było przedstawione w cytowanych *Wspomnieniach* Stefanii Górskiej, z d. Woźniak, zatrudniali się wszędzie, gdzie to było możliwe. Ponieważ jednak w zbiorowości czernielowskiej poza nielicznymi młodymi, którzy byli zatrudnieni w Liegenschaftsverwaltung, zespole majątków z siedzibą w Czernielowie Mazowieckim, czyli w dawnym majątku Anny i Leona Podleskich i okolicznych dawnych majątkach ziemskich, poza kilkunastoma osobami, które świadczyły pracę w innych miejscach, wszyscy pozostali młodzi, i chłopcy i dziewczęta, pracowali w gospodarstwach swoich rodziców i mogli spodziewać się takiego losu. W niemieckich gospodarstwach rolnych potrzebni byli do pomocy tacy właśnie ludzie.

Mechanizm rozdzielania wyznaczonych kontyngentów osób najpierw na poszczególne okręgi, na przykład na okręg Galicja, a potem na poszczególne powiaty i wsie oraz bezpośredni pobór ludzi i przeprowadzenie werbunków na miejscu przez lokalne władze opisali między innymi niemieccy autorzy wspomnianej książki *Die Lebensgeschichte des Ferdinand Matuszek.* (Historia życia Ferdynanda Matuszka).

Zgodnie z tym mechanizmem gminy i wsie Tarnopolszczyzny znalazły się w systemie typowania kandydatów do prac przymusowych na terenie Rzeszy w drodze nakazu administracyjnego, a obowiązek przygotowania list osób i przeprowadzenia skutecznego werbunku stosownie do wyznaczonego kontyngentu, czyli ustalonej liczby osób, które należało wysłać na roboty z poszczególnych wsi, spoczywał na działających w imieniu władz niemieckich sołtysach i wójtach współpracujących z Arbeitsamtami i policją niemiecką.

Z Czernielowa Mazowieckiego i okolic do przymusowej pracy w Niemczech także trafiła grupa młodych ludzi. Trudno jednak po latach ustalić, jak liczna była grupa młodych czernielowian, którzy w okresie okupacji niemieckiej poprzez Arbeitsamt w Tarnopolu znaleźli się wbrew swej woli na robotach w kraju okupanta.

Pewien ogląd w tej sprawie daje wypowiedź Stanisława Gęślowskiego, który w połowie 1942 roku, mając 18 lat, odbył podróż do przymusowej pracy w rejencji Stuttgart w Wirtembergii. Oto co napisał na ten temat w korespodencji we wrześniu 2015 roku i uzupełnił w grudniu 2016 roku: *Dokładnej daty nie pamiętam, kiedy przyszło zawiadomienie z Arbeitsamtu z Tarnopola. Mieliśmy się tam zgłosić się w dniu 6 czerwca 1942 r. Razem ze mną z Czernielowa Mazowieckiego stawili się: Stanisław Ratowski, Sławek Poprawski, Franciszek Klepajczuk „Zdolina", Franciszek Czerkies, Leon Mielnik „Bogaczyna", Franciszek Pietra Murmyły, Franciszek Studenny, Anna, co mieszkała koło Antka Nietreby „Cybuch" oraz małżeństwo Szahanichów (nie znam imion). W Tarnopolu była pierwsza komisja lekarska i od razu zabrali nas do obozu, gdzie byliśmy dwa czy trzy dni. Następnie przetransportowali nas pociągiem do lagru we Lwowie. Tu czekało nas kolejne badanie lekarskie i po dwóch-trzech dniach pobytu w obozie załadowali nas do wagonów osobowych i pojechaliśmy do Niemiec. Naszym miejscem docelowym był Stuttgart. Pociąg dotarł tu 18 czerwca. Tu znowu spotkałem się z Leonem Mielnikiem, Staśkiem Ratowskim, Frankiem Studennym, Franiem Pietra Murmyły. Tu nas rozdzielili. Po mnie przyjechał samochód skrzyniowy. Wsiadłem do samochodu, a ze mną dwie dziewczyny, jedna starsza a druga dziecko. Jedziemy. Ta starsza pyta mnie: „Z jakiego ty województwa?". Ja mówię, że z tarnopolskiego. Ona mówi: „My też". Dalej się pyta: „A z jakiej gminy?". Ja mówię: „Borki Wielkie". Ona odpowiada: „My też". Znowu się pyta: „A z jakiej wioski jesteś?" Ja jej odpowiadam: „Z Czernielowa Mazowieckiego". A one: „A my z Czołhańszczyzny". Przyjechaliśmy na miejsce. Starszą pannę, która nazywała się Kędzior Hela, zabrała Niemka, a ja zostałem z tą młodszą panienką. Nazywała się Bronisława Kubiszyn. Jej rodzinę nazywali „Dróżnikami". Mama Bronki pracowała na majątku u Glogerów, prawdopodobnie była pokojówką. Bronka miała brata Jana, starszego ode mnie dwa lata i młodszą siostrę Polunkę.*

Po godzinie, około 7-8 wieczorem, przyszedł po nas starszy Niemiec i prowadził nas do gospodarza. Szliśmy około 7 km. Była już noc. Niemiec obudził gospodarzy. Niemka jak zobaczyła, jakie dzieciaki dostała, bardzo płakała.

Potem dowiedzieliśmy się, że trafiliśmy do gospodarzy, którzy mieszkali w miejscowości o nazwie Farnersberg, położonej w gminie Beilstein, kreis (powiat) Heilbronn w Wirtembergii. Tam, gdzie byłem, mieszkało tylko czterech gospodarzy. To były małe wioseczki, położone w górach; gdzie była polana, tam była wioska.

Niemiecka rodzina, u której pracowałem, składała się z pięciu osób. Nosili nazwisko Gruber. Ale w domu zostali tylko gospodarze, bo trzej ich synowie byli na wojnie. Najmłodszy syn w 1942 roku został ciężko ranny pod Stalingradem. Stamtąd przewieźli go do szpitala w Wiedniu, gdzie zmarł. Został pochowany na cmentarzu w miejscowości Unterheinriet, oddalonej od rodzinnej wsi o 6 km. Miejscowość Unterheinriet była trochę większa, liczyła około 50 rodzin. Znajdowała się tam szkoła, kościół ewangelicki, sklep, gospoda, był też fryzjer, kowal, bednarz. Z większych miejscowości, jak wspomniałem, niedaleko położone było miasteczko Beilstein, a z drugiej strony Lowenstein. Miasteczka liczyły około pięciu tysięcy mieszkańców i słynęły z średniowiecznych zamków. Drugi syn gospodarzy, który miał na imię Erwin, był ciężko ranny w nogę w styczniu lub lutym 1944 roku pod Leningradem. Nic nie mógł robić, chodził o kulach.

I tak zaczęła się nasza ciężka, niewolnicza praca. Byliśmy razem z tą dziewczyną z Czołhańszczyzny. Gospodarstwo było duże: gospodarze trzymali dwanaście sztuk bydła, dwa woły, cztery krowy dojne, pozostałe w wieku od pół roku do dwóch lat. Wszystko stało w oborze, trzeba było codziennie po górach kosić trawę dla krów, ściągać do drogi i kłaść na wóz i dowozić do gospodarstwa. I latem, i zimą wstawaliśmy o 5, bo na 6 godzinę samochód przyjeżdżał po mleko. Latem pracowaliśmy do późnych godzin, zimą nie było tak źle, bo dzień był krótki.

Zimową porą chodziliśmy do lasu, szykowaliśmy drzewo na opał. Najtrudniejsze było to, że na początku nie znaliśmy języka niemieckiego, nie rozumieliśmy, co do nas mówiono. Ale z dnia na dzień oswajaliśmy się z Niemcami i było coraz lepiej. Za swoją pracę dostawaliśmy wynagrodzenie: gospodarz płacił mnie 25 marek, a Bronce 20 marek.

Dodam, że oprócz nas w wiosce na robotach u drugiego gospodarza jeszcze była starsza kobieta z Leżajska. Na drugiej wiosce Etzlenswenden, położonej około 1,5 kilometra od naszej, było siedem gospodarstw. Tam pracowało więcej osób: był jeden Polak i dwie Polki, czterech Rosjan i jedna Ukrainka. Polak miał na imię Stefan i mnie też Niemcy nazywali Stefan zamiast Stanisław. W niedzielę nie pracowaliśmy, schodziliśmy się do jednej z wsi. Było nas dużo Polaków i Rosjan. Rozmawialiśmy, graliśmy w karty, było wesoło. Do kościoła nie chodziliśmy, ani my ani gospodarze. Najbliższy kościół ewangelicki był położony około 6 km od wsi. Za mojej pamięci byłem tylko raz w kościele na Święta Wielkanocne w 1943 roku.

Doczekaliśmy końca wojny. 17 kwietnia 1945 roku w niedzielę o 18 przyszli do nas Amerykanie. 8 maja 1945 roku Amerykanie kazali się stawić do lagrów w Warisbergu. Było tam około 1200 Polaków. Po pewnym czasie zaczęto rozsyłać transporty do Polski. Ja przyjechałem drugim transportem, było to około 20 października 1945 roku.

Pobyt Stanisława Gęślowskiego, syna Michała i Anny, na robotach przymusowych w Niemczech został zarejestrowany na stronie www.straty.pl. Według danych Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie urodził się 4.05.1925 roku, był zatrudniony w rolnictwie w okresie 1942-1945. Jego pracodawcą był Ernst Gruber, zamieszkały w Farnersberg (Heilbronn).

Na tej samej stronie odnotowano pobyt na robotach w Niemczech Stanisława Ratowskiego wymienionego w korespondencji przez Stanisława Gęślowskiego. Fundacja PNP podaje, że Stanisław Ratowski, syn Wojciecha i Franciszki, urodzony w Romanówce 14.11.1920 r., pracował w Hohenstadt od marca 1942 do kwietnia 1945 roku. Zmarł 14.12.1993 r.

Trudno natomiast potwierdzić szczegółowe dane odnośnie Franciszka Murmyły. Na www.straty.pl podane są informacje o dwóch osobach noszących to samo imię i nazwisko. Pierwszy Franciszek Murmyło urodził się 27.01.1918 r. i przebywał w Würzburgu, w Bawarii (bez podania innych danych szczegółowych), drugi, syn Michała i Zofii, urodzony w Czernielowie Mazowieckim 22.11.1926 r., pracował w rolnictwie od sierpnia 1942 roku do kwietnia 1945 roku, w obecnym Kożuchowie, niemieckim Freystadt. Niewykluczone, że chodzi o Freystadt w Bawarii a w wyniku błędnego tłumaczenia nazwy miejscowości informacja dotyczy dwóch zamiast jednej osoby. Brak natomiast w wykazie strat osobowych i osób represjonowanych Franciszka Murmuły, syna Piotra, którego zapamiętał Stanisław Gęślowski, być może, myląc imię ojca.

Inni przymusowi robotnicy wymienieni przez Stanisława Gęślowskiego nie zostali odnotowani w zbiorze osób represjonowanych.

O okolicznościach wyjazdu na roboty do Niemiec wspomnianego przez Stanisława Gęślowskiego Leona Mielnika opowiedział w rozmowie telefonicznej w październiku 2016 roku bratanek Zbigniew Mielnik. Powołując się na przekaz rodzinny, Zbigniew Mielnik nadmienił, że w przypadku 25-letniego wówczas Leona wyjazd był związany z uniknięciem ewentualnych konsekwencji dla całej wsi z powodu ryzykownego niekiedy zachowania młodego wówczas mężczyzny, wynikającego z patriotycznej postawy wobec okupantów.

To właśnie Leon, jeden z sześciu synów Mikołaja Mielnika „Bogaczyny”, wychowany w patriotycznej tradycji, przeniknięty propagandowymi hasłami szkoleń Związku Strzeleckiego i innych wpływowych przed wojną organizacji, był w wiejskim środowisku znany od dawna z nieskrywanej niechęci wobec Ukraińców, w sposób emocjonalny reagował na zewnętrzne symbole ukraińskiej tożsamości w ubiorze czy wystroju miejsc. Nieprzejednaną postawę prezentował też w stosunku do okupanta sowieckiego, a potem niemieckiego.

Takich ludzi w czernielowskim otoczeniu nazywano gierojami.

W rodzinie Mielników przetrwała opowieść o zachowaniu Leona w 1939 czy na początku 1940 roku, w czasie gdy w Czernielowie byli po raz pierwszy Rosjanie i w publicznych miejscach, między innymi w domu ludowym wisiały portrety przywódców radzieckich: Lenina, Stalina, być może jeszcze innych. Leon zakradł się do domu ludowego i zanieczyścił te portrety ekskrementami. Tylko dzięki temu, że sołtys – hołowa miał w domu zapasowe portrety, udało się bez rozgłosu i konsekwencji dla sprawcy wymienić zanieczyszczone fotografie. Mogło się to źle skończyć nie tylko dla Leona, ale też dla całej rodziny Mielników, być może wysyłką na Sybir.

Gdy więc w czasie okupacji niemieckiej rozpoczęły się pierwsze wywózki młodych ludzi na roboty do Rzeszy, ten sam sołtys - hołowa przyszedł do Mikołaja Mielnika „Bogaczyny", ojca Leona, i uprzedził, że chłopak musi wyjechać pierwszym transportem do Niemiec na roboty, żeby znowu nie wpadł na jakiś nowy pomysł o podłożu patriotycznym i żeby, nie daj Boże, konsekwencji nie musiała ponieść cała wieś.

Z opowiadania ojca Zbigniew Mielnik zapamiętał, że Leon wraz z innym Polakiem dotarł do niemieckiego gospodarstwa, w którym miał pracować w wigilię Bożego Narodzenia. (Być może było to już kolejne miejsce pracy, bo od czerwca, o którym wspomina Stanisław Gęślowski, upłynęło do grudnia kilka miesięcy – dop. K.M.). W wigilię nocowali w stajni jak w Betlejem rodzina z Nazaretu: Maryi, Józefa i nowo narodzonego Jezusa. Gospodyni Niemka dała im do jedzenia parowane ziemniaki, takie jakie miała przygotowane dla swoich świń.

Jednak charakter Leona i nieliczenie się z następstwami swego postępowania uwidocznił się również tutaj. Opowiadano, że Leon oraz dwóch innych Polaków, będąc w niemieckim kościele, w czasie świąt lub na Nowy Rok po zakończeniu mszy świętej zaśpiewali pieśń *Boże, coś Polskę*. Cała trójka została wkrótce aresztowana przez SS i dotkliwie pobita. Jeden z tych Polaków na skutek pobicia zmarł. Leon natomiast stracił zdrowie, ale przeżył wojnę. Po wojnie nie wrócił do Polski, został na stałe w Niemczech.

Dwa miesiące wcześniej, zanim do pracy przymusowej w Niemczech trafili wraz z grupą czernielowian Stanisław Gęślowski i Leon Mielnik, ten sam los spotkał młodego, urodzonego w 1926 roku, mieszkańca Czołhańszczyny Ferdynanda Matuszka. On sam, opowiadając autorom wspomnianej już książki historię swego życia, opisał moment przed wyjazdem na roboty następująco: *Tak więc na pewno już od listopada 1941 roku chodziły takie plotki we wsi. Z Zachodu to przyszło, że polska młodzież była zabierana ze szkół albo zatrzymywana na ulicy, a potem do pracy do Niemiec. Słyszało się o tym w sklepie, na ulicy. Także moja matka pewnego dnia wyraziła takie obawy. Aż w końcu 1 kwietnia 1942 roku zostałem, jak grom z jasnego nieba zatrzymany (...) Spodziewałem się tego. Nie sądziłem jednak, że pojadę.*

Naprawdę byłem chuderlakiem. Liczyłem nawet na to, że zostanę odesłany z Tarnopola do domu. Tego dnia pojawił się w naszym domu wójt Czubko w towarzystwie esesmana. Ja akurat miałem na rękach moją roczną siostrę Annę, siedzieliśmy w kuchni. „Pójdziesz ze mną do biura" - krzyknął do mnie Czubko.

W biurze wójta Czubki czekały już dwie dziewczyny, prawie dwa lata starsza Aleksandra Cieplak i równolatka Ferdynanda - Maria Woźniak. Przybył także dwa lata starszy chłopak sąsiad Józef Marchewka. Mimo zbieżności imienia matki Eudokia, z domu Cieplak, z sąsiadem nie było pokrewieństwa.

Dalej Ferdynad Matuszek opisywał: *Maria była ciemną blondynką, miała okrągłą buzię i wyglądała słodko. Miała wiejską figurę, tak więc była trochę stateczna, była niższa niż ja, ale szybka jak mysz. Józef był o głowę wyższy ode mnie, dobrze wyglądał, był szczupły, dobrze wyrośnięty, tak więc rzucał się w oczy, dziewczyny wodziły za nim oczami, a on miał opanowaną retorykę. Na każde pytanie miał odpowiedź. Chodził do szkoły średniej w Borkach Wielkich, gdzie ja też się uczyłem. Tylko dwa lata wcześniej niż ja. Marii u nas nie było, chodziła kilka lat do podstawówki. Wiele lat później już po wojnie dowiedziałem się tylko od mojej matki, że wtedy ze mną wywiezionych zostało siedmiu młodych Polaków z naszej wsi. Ale tylko Polacy, ukraińscy mieszkańcy wioski zostali oszczędzeni. Nie mogę sobie przypomnieć innych deportowanych osób…*

Jeszcze tego samego dnia pomocnik wójta zawiózł młodzież wraz z bagażami zaprzęgiem do Tarnopola odległego o 14 kilometrów. Ferdynand wspominał, jak jego matka biegła dwa kilometry za tą furmanką. Była zrozpaczona, tak jak rodzice innych dzieci nie wiedziała, dokąd zabrano jej syna. Autorom książki opowiadał: *Jak przejeżdżaliśmy przez wioskę Czernielów Ruski, gdzie mieszkała siostra mojej matki, Anastazja Domańska, moja matka została wreszcie przez nią zatrzymana. Dwie dziewczyny na furmance cały czas płakały. Ja też często płakałem. Chłopiec z sąsiedztwa, Józef, miał na nas raczej uspakajający wpływ. Zajechaliśmy do urzędu pracy w Tarnopolu, było to niedaleko dworca. Wraz z innymi stałem w kolejce, był tam tłumacz i komisja wystawiała każdemu dokumenty na przejazd, nie robiono zdjęć. Ale musiałem podać wszystkie informacje o mnie. Formularz był taki duży jak połowa kartki A4, było tam też miejsce na pieczątkę urzędu pracy. Dokumenty na przejazd trzeba było zachować do momentu podjęcia pracy, potem były one już nieistotne. Zostaliśmy tam też przebadani przez lekarza, tylko wyselekcjonowani ludzie jechali do Niemiec.*

Po przyjeździe do Tarnopola czterej młodociani z Czołhańszczyny musieli spać na podłodze w opustoszałej szkole: *Było już tam kilka ludzi z sąsiednich wiosek. I rzeczywiście niektórzy zostali zwolnieni do domów po badaniu lekarskim, przykładowo chłopiec, któremu brakowało kciuka przy jednej ręce. Ja też miałem taką nadzieję, ale pozostawiono mnie. Po dwóch dniach 3 kwietnia 1942 r.*

opuściliśmy Tarnopol. Był to transport w najniższej klasie kolejowej z ławkami drewnianymi.

Pociąg jechał poprzez Lwów, Przemyśl, Kraków, Legnicę. W każdej z tych miejscowości deportowani spędzili dwa bądź trzy dni w zbiorowych noclegowniach: *Bo było tak dużo ludzi, w noclegowni mieściło się z pewnością aż do 1000 ludzi, były to ogromne pomieszczenia. Było tam jak w ulu. To było naprawdę duże przemieszczenie ludności. Warunki sanitarne i higieniczne były katastrofalne.*

Tak jak podczas innych transportów także w tym transporcie brakowało zaopatrzenia w napoje i wyżywienie.

W Przemyślu miała miejsce pierwsza akcja usuwania wszy, osobna dla obu płci, druga była już na niemieckim terenie w Legnicy. W Krakowie miało znowu miejsce badanie lekarskie i tu też niektóre z deportowanych osób zostały zwolnione do domu. Usuwanie wszy Ferdynand Matuszek odczuł jako nadzwyczaj odrażające: *Były tam duże hale z prysznicami, podobnie jak w kopalniach. Rozebranym szło się pod prysznic i ręczniki były zupełnie mokre, bo przed nami była tam już grupa ludzi. Musieliśmy się ustawić w rzędzie i pochylić i potem dmuchano na nas z takich proc. Mówiono tylko:„Wszy". Ja powiedziałem:„Nie mam wszy". Nie można tego opisać, tej dyskryminującej praktyki. Nie mogłem sobie tego uzmysłowić. Z ubrania wszy były usuwane poprzez wygotowanie. Nie chciało się tego znowu zakładać. Ubrania były wprawdzie suche, ale nie wiem, czym tak okropnie śmierdziały, może to był chlor.*

Podczas podróży przez polskie tereny Aleksandra Cieplak odważyła się na ucieczkę. W rodzinnej wiosce mieszkała parę domów od Ferdynanda Matuszka. Obydwoje znali się od dawna. Z pewnością z uwagi na ich wzajemne zaufanie Aleksandra zapytała Ferdynanda Matuszka, czy chciałby wziąć udział w śmiałej ucieczce: *Nie miałem odwagi. Gdy pociąg jechał powoli, wyskoczyła z pociągu. Nie był zamknięty i nikt tego nie zauważył. Przez osiem tygodni albo jeszcze dłużej ukrywała się i w końcu wróciła do domu. Najwidoczniej nie złapano jej w domu i mieszkała tam niepostrzeżenie.*

Podróż do celu trwała około dwóch tygodni i w połowie kwietnia 1942 roku Ferdynand Matuszek wraz z innymi deportowanymi znalazł się na dworcu głównym w Soest, powiatowym mieście w Nadrenii-PółnocnejWestfalii. Ten moment po 70 latach wspominał następująco: *Przybyliśmy na dworzec główny w Soeście przed południem. Musieliśmy opuścić wagony kolejowe. Było ich z pewnością 200. Stamtąd szliśmy pieszo do urzędu pracy. Byliśmy w drodze na pewno co najmniej godzinę. W pobliżu znajdowało się coś podobnego do boiska. Ten teren sportowy otoczony był drutem kolczastym.*

Na jednej połowie znajdowali się przeznaczeni z pewnością do deportacji niemieccy Żydzi, to można było rozpoznać po żółtej gwieździe, którą nosili, byli to głównie młodzi mężczyźni. Na drugiej połowie tłoczyliśmy się my. Pomiędzy tymi

dwoma częściami było przejście. Tam i z powrotem chodzili tu strażnicy. Stąd przyprowadzano co jakiś czas ludzi do urzędu pracy. Dostaliśmy tylko coś do picia, a noc musieliśmy spędzić na dworze na boisku. Na szczęście było sucho. Była łagodna pogoda. Urząd pracy znajdował się w dość dużym budynku, ale nie można go było widzieć z boiska. Jak przyszła moja kolej, musiałem czekać w budynku urzędu pracy. Ale nie podjęto decyzji względem mojej osoby. Musiałem wrócić do obozu, na ten teren sportowy aż do następnego dnia. Na drugi dzień znowu poszedłem do urzędu pracy.

Po kilku dniach deportowani Polacy musieli opuścić ogrodzony teren sportowy, pieszo wrócili na dworzec główny w Soescie. Tam Ferdynand Matuszek wraz z sześcioma a może ośmioma młodocianymi, między nimi również jego sąsiad Józef Marchewka, wsiedli do podstawionego wagonu kolejowego, który miał jechać do Minden. Jeszcze przed odjazdem pociągu byli świadkami rozdzielenia na peronie dzieci żydowskich w wieku trzech do ośmiu lat od ich matek. Przy głośno grającej kapeli wśród płaczu, błagań i krzyków, dzieci wsiadały do pustego pociągu. Było to okropne. Akcją kierowali SS-mani.

Parę godzin później pociąg dojechał do dworca w Minden, stamtąd młodzież została poprowadzona przez most na Wezerze do urzędu pracy.

A oto co dalej opowiedział Ferdynand Matuszek o pierwszych dniach przymusowego pobytu w Niemczech: *W urzędzie pracy wchodziliśmy pojedynczo do pokoju w celu oceny. Czekało tam już kilku rolników z okolicy i byliśmy obmacywani, jak na rynku bydła. Tak, a na końcu pozostałem jako jedyny. I znowu nabrałem nadziei, że odeślą mnie do domu. Byłem bardzo chudy i nie nadawałem się do pracy na gospodarce. Nigdy nie miałem do czynienia z rolnictwem, oprócz prac w ogrodzie wokół domu. W końcu weszła do pokoju bardzo wytwornie ubrana dama, była to pani Wippermann.*

Pani Wippermann, której mąż i syn byli na wojnie, miała gospodarstwo w miejscowości Babbenhausen w gminie Rehme. To był rejon rolniczy w bezpośrednim sąsiedztwie kurortu Bad Oeynhausen. Niestety, Ferdynand był zbyt słabej kondycji, nie nadawał się do ciężkiej pracy w tym gospodarstwie i już po kilku dniach 9 maja 1942 roku trafił do gospodarstwa rodziny Körtner w Bad Oeynhausen, odległego o kilka kilometrów od gospodarstwa Wippermann. W tym gospodarstwie pracował i w tym domu pozostał do końca wojny.

Gospodarstwo Karla Körtnera należało do największych w okolicy. Ferdynand Matuszek szacował areał gruntów rolnych na 30 ha położonych w sąsiedztwie dawnej huty Weser i rzeki Werre, dopływie Wesery. Do gospodarstwa należały też łąki oraz duży obszar bukowego lasu. W gospodarstwie były cztery konie, czternaście krów i świnie.

Rodzina Körtner składała się z pięciu osób: rodziców Karla i Anny oraz trojga dzieci - urodzonej w 1922 roku starszej córki Anni, drugiej córki Leny z 1925 roku oraz najmłodszego syna Karla z 1926 roku.

Karl junior był kilka miesięcy młodszy od Ferdynanda. Chodził do szkoły handlowej w Herford. Gdy w 1944 roku skończył 18 lat został wcielony do Wehrmachtu na południu Niemiec. Tam w wyniku eksplozji granatu stracił prawą nogę, którą musiano amputować. Wszyscy mu bardzo współczuli. Z relacji Ferdynanda Matuszka wynikało, że rodzina Körtner była dla niego dobra. Szczególnie Anna Körtner, z natury dla ludzi przyjazna i otwarta, była dla niego jak matka. Zajmowała się nim, gdy chorował. Ferdynand miał do dyspozycji duży pokój z drewnianą podłogą i prostym wyposażeniem: przy oknie stół z krzesłem, poza tym stało łóżko i szafa.

Z lewej Ferdynand Matuszek, z prawej Karl Körtner, 1943 r.

Oprócz Ferdynanda Matuszka w gospodarstwie był zatrudniony francuski jeniec wojenny Clemens Galtier, który był zdeklarowanym komunistą, a od końca 1942 roku dołączyli do pomocy w gospodarstwie dwaj rosyjscy jeńcy wojenni o imionach Józef i Sułtan. Kilku jeńców wykonywało pracę w sąsiednich gospodarstwach. Oni mieszkali w stalagu.

W rejonie Rehme oprócz Ferdynanda Matuszka pracowało jeszcze czterech polskich robotników przymusowych, w tym Janek Paradowski, młodszy od Ferdynanda o pół roku oraz znani mu tylko z imienia Jan i Tadeusz.

Deportowany wraz z Ferdynandem Matuszkiem do okręgu Minden Józef Marchewka został zabrany przez rolnika W. do pracy w jego gospodarstwie w Döhren w północnej części okręgu Minden. Rozstanie z Marią Woźniak nastąpiło już w Soest. Krajowy urząd pracy skierował ją do południowych Niemiec, pracowała w pewnym gospodarstwie w Heilbronn, o czym Ferdynand dowiedział się i dostał do swoich znajomych adresy od urzędnika w starostwie gminy Rehme, do którego zgłaszał się co tydzień.

Ferdynand Matuszek opowiedział też o korespondencji i kontaktach ze znajomymi: *Dlatego też czasami dostawałem pocztę z Heilbronn. Listy były tak czy tak kontrolowane. Nie przez rolników, przez policję. Widoczne było, że list był wcześniej otwierany, a potem zaklejany. List, który otrzymałem, był w niektórych*

miejscach pomalowany na czarno, znaczy nie można już było przeczytać, co było tam napisane. Pisaliśmy może jeden raz w tygodniu, na to czas miało się w niedzielę.

Później Ferdynand Matuszek od swego gospodarza dowiedział się, że Maria Woźniak została wywieziona do obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Autorom książki relacjonował: *Jej gopodarz napisał to gospodarzowi Körtner. A Körtner dał mi ten list do przeczytania. Załatwiła rosyjskiemu robotnikowi (ostarbeiter) butelkę mleka. Sąsiad ją widział i doniósł. On napisał, że wtedy została zabrana. Ja napisałem jej jeszcze raz, że jest mi przykro z tego powodu. Ale nie dostałem już żadnej odpowiedzi.*

Maria Woźniak prawdopodobnie zginęła w obozie w Ravensbrück. Gdy Ferdynand Matuszek w 1991 roku odwiedził swoją rodzinną wioskę na dzisiejszej Ukrainie, pytał się o nią wielu naocznych świadków. Stwierdził, że nie wróciła już w swe rodzinne strony i że nikt o niej nic nie słyszał. Jej losy trzeba na razie uznać za nieznane.

Ferdynand Matuszek często otrzymywał pocztę od swojej matki, niekiedy dwa razy na tydzień. Listy przynosiły ulgę. Wprawdzie także i w tych przypadkach listy były otwierane, wiedziano jednak, co można pisać, a czego nie.

Gdy Ferdynand opowiadał historię swego życia, to o swoim sąsiedzie z Czołhańszczyzny, Józefie Marchewce, wspominał: *Józefowi w Döhren nie musiałem pisać listów, mogłem go zawsze za pozwoleniem odwiedzić rowerem. Gospodarz W. mieszkał w pierwszym domu po prawej stronie, jak wjeżdżało się do Döhren, wtedy. Jak to dzisiaj wygląda? Nie byłem tam od tamtej pory.*

Z lewej Ferdynand Matuszek, z prawejJóżef Marchewka i ich koleżanka, około1943 r.

Odległość do Döhren wynosiła około 40 kilometrów. Józef Marchewka otrzymał zezwolenie na wyjazd na urlop z Döhren przez Tarnopol do swojej rodzinnej wsi. W tamtym czasie było to rzadkie i od kwietnia 1941 roku tylko w szczególnie uzasadnionych przypadkach udzielano takie pozwolenie Polakom. Otrzymał zezwolenie na podróż do okupowanej Polski w pociągu Wehrmachtu wraz z niemieckimi żołnierzami. Gospodarz Ferdynanda Matuszka Körtner nie pozwalał na coś takiego: *Powiedział mniej więcej tak: Wiem przecież, że nie wrócisz. Wtedy przyjdzie kolej na całą naszą rodzinę. Nie mogę tego ryzykować.*Tak więc Ferdynand Matuszek zrezygnował z ciężkim sercem ze swojego urlopu: *Po powrocie Józef opowiedział mi coś takiego: Dobrze, że nie mogłeś jechać. To smutne, jak to tam teraz wygląda. Wiele zostało zniszczone przez wojnę, wielu znajomych już nie żyje albo tam nie mieszka.*

Po zakończeniu wojny w czerwcu 1945 roku Ferdynand Matuszek spotkał Józefa Marchewkę podczas seansu filmowego w sali gospody Gasthof Wiese w Rehme. Ten powiedział mu, że następnego dnia wraca do domu. Z Herford jechał transport masowy do Polski.

Józef Marchewka po wojnie studiował w Warszawie weterynarię i otworzył praktykę weterynaryjną. Zmarł w końcu lat 60. na skutek ran odniesionych w wypadku przy pracy.

W tym miejscu warto wspomnieć jeszcze o jednej historii z udziałem czernielowian. Ludzkie historie toczą się własnym trybem, ale też zazębiają się o losy innych. Ludzie spotykają się i rozstają. Niektóre spotkania są niezapomniane i przekazywane w opowieściach.

Takie było niespodziewane spotkanie przebywającego na robotach przymusowych w Niemczech Józefa Marchewki z Karolem Ziembą z Czernielowa Mazowieckiego, który jak wcześniej opisano po udziale w kampanii wrześniowej i internowaniu w Rumunii trafił do Stalagu XVII A w miejscowości Kaisersteinbruch w Austrii, a następnie jako jeniec wojenny znalazł się w Stalagu V B zlokalizowanym w niemieckim Schwarzwaldzie, na obrzeżach miasta Villingen, 40 km od Freiburga. Pracował wtedy w gospodarstwie Niemki, która mieszkała z rodzicami i dwojgiem małych dzieci. Jej mąż był na wojnie.

Spotkanie to, jak i zapamiętaną historię z pobytu Karola Ziemby w Niemczech opisała we *Wspomnieniach* Stefania Górska, z d. Woźniak, siostra jego żony Agnieszki: *Listy były cenzurowane i niewiele w listach można było napisać, bo szwagier nadal był plenny. Siostra pisała do niego nie bezpośrednio na adres, gdzie przebywał, tylko na jakiś numer z adresem i też jej list był cenzurowany. Powoli zaczął poznawać kolegów takich jak on. Mieli swoje miejsca na spotkania i tak dni mijały. Pewnego razu spotkał chłopaka z Czołhańszczyzny, niejakiego Józefa Marchewkę. On szwagra poznał i zaczęli rozmawiać, że on też jest na robotach przymusowych, ale nie ma kłopotu z listami. Umówili się, że szwagier będzie pisał do żony, a on będzie nadawcą. I tym sposobem mogliśmy się dowiedzieć więcej z tych listów.*

Ferdynand Matuszek po wojnie pozostał w Niemczech. Ożenił się z poznaną w czasie wojny młodą Niemką.

Robót przymusowych w Niemczech udało się uniknąć urodzonemu w 1924 roku Józefowi Maślukowi z Czernielowa Mazowieckiego. Co prawda, on sam nie otrzymał wezwania. Przygotował się do wyjazdu do Niemiec na prośbę mamy, w zastępstwie za swego brata Janka, młodszego od niego o dwa lata. Józef Maśluk, jak wcześniej wspomniano, pracował jako traktorzysta w zespole majątków Liegenschaft i wywózka na przymusowe roboty do III Rzeszy raczej mu nie groziła. We *Wspomnieniach* Józef Maśluk opisał to następująco: *Jest rok 1943 - Niemcy*

w walce z ZSRR ponoszą straty i to bardzo duże. Niemcy zaostrzają dyscyplinę pracy. W dniu 6 listopada 1943 r. pracowałem w majątku Anielówka. Przyszła moja mama i z płaczem mówi: „Józio, Niemcy przysłali wezwanie dla Janka, by się stawił 10 listopada w Tarnopolu w Arbajtsamcie w celu wyjazdu na przymusowe roboty do Niemiec. Józio, ty jesteś starszy i masz chore ręce - na lewej pięć wrzodów, na prawej siedem wrzodów - może na tej podstawie zwolnią cię do domu, jedź, synu!”. Zgodziłem się, że pojadę. Zajechałem do bazy w Czernielowie Mazowieckim w dniu 7 listopada 1943 r., pobrałem zaświadczenie, że pracuję jako traktorzysta. W dniu 10 listopada 1943 r. pojechałem do Tarnopola. Tu w Arbajtsamcie spisali dane i zabrali wszystkie dokumenty (a to najnowsze zaświadczenie schowałem i nie oddałem). Około godz. 16.00 zabrali nas wszystkich, około 150 ludzi. Zaprowadzili nas pod strażą na stację kolejową i załadowali do wagonów towarowych. Z krzykiem i biciem pozamykali wagony i ruszyliśmy w kierunku Lwowa. Podróż była bardzo męcząca. Wagony wjechały do obozu rozdzielczego. Tu w barakach posegregowano nas według lat i zawodów i czekaliśmy na „kupców”. Przyjeżdżali szwaby i wybierali sobie ludzi. Ja chorowałem na ręce - chciałem do lekarza. Koledzy namawiali mnie bym porozrywał wrzody i brał pod kran z zimną wodą. O mój Boże, nastąpił cud - wrzody czernieją i zasychają, więc podjąłem decyzję, że muszę uciekać.

Przychodnia z lekarzem wojskowym znajdowała się za obozem. Tam też były koszary wojskowe. Strażnik prowadził nas 10 chłopaków. Przy izbie przyjęć była duża latryna. Kiedy strażnicy spotkali się – jeden wchodzący i inny wychodzący rozmawiali między sobą – ja odłączyłem się i poszedłem do tej ubikacji. Kiedy drzwi zamknęły się za mymi towarzyszami, wskoczyłem przez płot na sąsiadujący ogród i dalej na ulicę. Dobiegłem do przystanku tramwajowego, wskoczyłem do wagonu i poprosiłem o bilet do końcowego przystanku. Po wysiadce patrzyłem przed siebie i widziałem kościół z obrazem Matki Boskiej - była to droga do Tarnopola. Idąc dalej, z bocznej ulicy wyszło dwóch chłopaków w moim wieku. Zapytałem się ich o drogę. Jeden z nich pyta mnie, czy mam jakiś dowód, bo jest łapanka. Naraz wyszło dwóch policjantów - jeden Niemiec, a drugi Ukrainiec i pytają o dokumenty. Tych dwóch chłopaków pokazało legitymacje szkolne i poszli dalej. Ja wyjąłem swoje zaświadczenie, że pracuję jako traktorzysta w Ligenszafcie, a Ukrainiec pyta, to co ja tu robię. Ja zacząłem płakać i mówię: Przyjechałem do chorego brata, który pracuje w fabryce silników samolotowych. Miał wypadek, obcięło mu obie nogi i leży w szpitalu. Ukrainiec przetłumaczył to Niemcowi. Niemiec powiedział, że jak przyjadę następnym razem to mam wziąć zaświadczenie z gminy, gdzie i po co jadę. Niemiec częstował mnie papierosem, ale mu podziękowałem, mówiąc, że nie palę i chcę się dostać do Tarnopola. Niemiec wyjął lizaka zatrzymał samochód. Drugi wojskowy wsadził mnie do samochodu, kierowca był Ślązakiem, dość dobrze mówił po polsku. Nie wiem, dlaczego zacząłem śpiewać kolędy „Cicha noc, święta noc”

i tak dojechaliśmy do Tarnopola, 6 km od mojego domu. Powiedziałem: „dankeszejn" i pocałowałem go w rękę, którą trzymał na kierownicy. On się zatrzymał, uścisnął mnie i dał mi dwie czekolady, dwie paczki papierosów i zapałki. Wyszedłem na drogę, nogi mi się trzęsły z radości i ze strachu. Poszedłem do wujenki Marii w Bajkowcach. Po trzech dniach wujenka poszła do Czernielowa Mazowieckiego, by zawiadomić moich rodziców, że wróciłem i jestem w Bajkowcach. Był już koniec listopada 1943 roku. Na następny dzień ojciec przyjechał końmi i zabrał mnie do domu, gdzie musiałem się ukrywać, tym bardziej że parę dni temu dla rodziców przesłano 60 zł na wychowanie syna, który pojechał do pracy w Niemczech. I tak ukrywałem się do 7 marca 1944 r., czyli do przyjścia Armii Czerwonej.

I na koniec jeszcze krótka informacja o wywiezionych na roboty do Niemiec z sąsiedniej wsi Borki Wielkie na podstawie opracowania *Великі Бірки. З глубини віків до наших днів* (Borki Wielkie. Od dawnych wieków do naszych dni): *Najstraszniejszym był żywy podatek. Kiedy stało się jasne, że szybkie zwycięstwo na wschodnim froncie nie będzie możliwe, okupanci rozpoczęli w listopadzie 1941 roku masowe deportacje robotników do Niemiec. Szacuje się, że w latach 1941-44 ogólna liczba ukraińskich tak zwanych gastarbajterów (po niemiecku Ostarbeiter - robotnik ze wschodu) wynosiła około 2,2 mln. osób. Hitlerowcy w czasie okupacji wywieźli z Borek Wielkich na przymusowe roboty do Niemiec ponad 60 chłopców i dziewcząt.* (tłum. K.M.)

To tylko kilka przykładów z życia młodych czernielowian i ludzi z okolicznych wsi, którzy kilka lat ze swego życia spędzili na robotach przymusowych w Niemczech. Zapewne w wielu rodzinach wspominane są przypadki, gdy dziadkowie czy babcie albo inni krewni też byli wywiezieni do prac w III Rzeszy. Opowieści te nie zostały jednak przekazane poza krąg rodzinny i pamięć o nich zachowała się tylko w rodzinnych wspomnieniach.

Nacjonalizm ukraiński, OUN, UPA, banderowcy na Wołyniu.

Opisane dotychczas zdarzenia w Czernielowie i okolicach z przebiegu wojny i okupacji, najpierw sowieckiej a potem niemieckiej, to tylko niewielka cząstka wojennej rzeczywistości, której doświadczała ludność na wschodzie dawnej II Rzeczpospolitej. Brak poczucia bezpieczeństwa, towarzyszący ludziom nieustannie strach, upokorzenia, od 1943 roku zostały spotęgowane dodatkowym zagrożeniem z powodu rozlewającej się fali napadów na Polaków i okrutnych mordów dokonywanych przez ukraińskich nacjonalistów na polskiej ludności Wołynia i Małopolski Wschodniej, w czasach II RP obejmującej województwa lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie.

Nacjonalizm ukraiński i radykalizowanie się nastrojów narodowościowych w okresie międzywojennym, sygnalizowane w I tomie opracowania, nie bez wpływu polityki rządu polskiego wobec mniejszości narodowych, przybrały na sile po akcji kolonizacyjnej i parcelacyjnej oraz po wprowadzeniu ustaw z 1924 roku o organizacji szkolnictwa, o języku państwowym i języku urzędowym rządowych i samorządowych władz administracyjnych.

Obowiązująca zasada, aby ziemia trafiła z rąk polskiego ziemianina do rąk polskiego chłopa i w ten sposób, by ziemia pozostała nadal w polskich rękach, a także znaczne zmniejszenie liczby szkół z ukraińskim językiem nauczania na rzecz szkół dwujęzycznych przyczyniły się do zaostrzenia i tak nie najlepszych po I wojnie światowej stosunków polsko-ukraińskich i dalszej radykalizacji ukraińskiego ruchu narodowego. Wzajemne relacje obywateli polskich narodowości polskiej i ukraińskiej stały się jeszcze trudniejsze po powstaniu w 1929 roku Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Ta polityczno-wojskowa organizacja kierowała się ideologią integralnego nacjonalizmu ukraińskiego, dążąc do zbudowania na ziemiach uznawanych przez nią za ukraińskie niepodległego państwa o ustroju zbliżonym do faszyzmu. W II Rzeczpospolitej działała konspiracyjnie, jako narzędzie walki politycznej wykorzystywała dywersję, terroryzm i sabotaż.

Liczne w latach 30. XX wieku akcje sabotażowe i terrorystyczne: napady, zamachy, podpalenia dokonywane na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów inspirowane i popierane przez OUN, w momencie wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku zostały „usankcjonowane" prawem wojennym. OUN-owcy mordowali polskich osadników na koloniach, rozbrojonych żołnierzy wracających do swoich domów po klęsce kampanii wrześniowej, a także ziemian i zwykłych miejscowych chłopów, swoich sąsiadów, grabiąc ich mienie. Ogółem zbrodnie ukraińskich nacjonalistów na cywilnej ludności polskiej we wrześniu i październiku 1939 roku pochłonęły ponad 2200 ofiar w Małopolsce Wschodniej i ponad 1000 ofiar na Wołyniu.

Wojna stworzyła warunki do bezkarnego mordowania ludności polskiej: najpierw pojedynczych osób i małych grup, a potem setek wsi i tysięcy mieszkańców, sąsiadów Polaków. Przede wszystkim jednak wojna, zwłaszcza po wkroczeniu Niemców na tereny Galicji i Wołynia, rozbudziła u obywateli polskich narodowości ukraińskiej na nowo nadzieje na utworzenie niepodległego zjednoczonego państwa ukraińskiego, *samostijnej* Ukrainy, o której od dziesiątków lat marzyły kolejne pokolenia, wychowywane w poczuciu krzywdy i niespełnionych planów samodzielnego bytu państwa ukraińskiego.

Ale wojna wyzwoliła też najbardziej podłe zachowania ludzi karmionych od lat nacjonalistyczną ideologią, w której najważniejszym celem było zdobycie niezależnego państwa i to za każdą cenę. Dla zobrazowania, na jakim gruncie wyrosło pokolenie nacjonalistów ukraińskich, w czasie wojny dokonujących

okrutnych mordów na ludności polskiej, warto zacytować kilka fragmentów tekstów propagandowych kierowanych do przyszłych uczestników „rewolucji narodowej". Główną rolę w tej rewolucji i walkach o uzyskanie niepodległości mieli odegrać ukraińscy chłopi i to do nich przede wszystkim nacjonaliści kierowali swoją propagandę.

W wydanej we Lwowie w 1929 roku broszurze *Польське повстання 1863 р.* (Polskie powstanie 1863 r.) działacz UWO i OUN Mychajło Kołodzinskyj pisał: *Na przykładzie polskich powstańców widzieliśmy, że ludzie, którzy chcieli zdobyć wolność dla swojego narodu, nie przebierali w środkach dla jej osiągnięcia. Dlaczego i my nie mielibyśmy pójść drogami wytyczonymi przez historię? Trzeba krwi, dajmy morze krwi, trzeba terroru, wprowadzimy piekielny, trzeba ofiarować dobra materialne, nie zostawimy sobie niczego. Mając na celu wolne państwo ukraińskie, idźmy doń wszystkimi środkami i wszystkimi drogami. Nie wstydźmy się mordów, grabieży i podpaleń. W walce nie ma etyki. Etyka na wojnie to pozostałości niewolnictwa narzuconego przez zwycięzców - zwyciężonym. Nie dbajmy o dobre imię i opinię w świecie, bo choćbyśmy byli nie wiadomo jak ideowymi w swojej walce, wszyscy nazywać nas będą bandytami. Każda droga, która prowadzi do naszego najwyższego celu, bez względu na to, czy przez innych nazywana jest heroizmem czy podłością, jest naszą drogą.*

Uchwała I Kongresu Ukraińskich Nacjonalistów, który miał miejsce w Wiedniu w 1929 roku głosiła między innymi: *Całkowite usunięcie wszystkich okupantów („zajmańców") z ziem ukraińskich, co nastąpi w toku rewolucji narodowej i otworzy możliwości rozwoju narodu ukraińskiego (nacji ukraińskiej), zabezpieczy tylko system własnych militarnych sił i celowa polityka sojusznicza.*

Czasopismo Prowodu Ukraińskich Nacjonalistów „Rozbudowa nacji" z grudnia 1930 roku zapowiadało krwawy przebieg „rewolucji narodowej": *Kiedy nadejdzie ten nowy, wielki dzień, będziemy bez litości. Nie będzie żadnego zawieszenia broni, nie powtórzy się ani perejasławska, ani hadziacka umowa – przyjdzie nowy Żeleźniak, nowy Gonta. Nie będzie miłosierdzia ani dla wielkiego, ani dla małego, a poeta zaśpiewa: „I zarżnął ojciec syna" (...) Tylko w morzu krwi, tylko bezwzględnością, tylko w jednym żelaznym szeregu i z jednym wodzem wywalczymy sobie prawa człowieka.*

Rozwój następujących po sobie wojennych wydarzeń, zwłaszcza po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, stworzył w ocenie działaczy ukraińskich i nacjonalistów warunki do urzeczywistnienia „rewolucji narodowej" i zbudowania niepodległej Ukrainy, jednolitej narodowościowo, obejmującej między innymi ziemie na wschodzie II Rzeczpospolitej a uznawane przez Ukraińców za rdzennie ukraińskie.

Pozostawał problem ludności polskiej zamieszkałej na tych terenach. Wśród działaczy OUN początkowo rozważano i dyskutowano o rozwiązaniu „kwestii

polskiej" poprzez masowe wysiedlenie Polaków za San. Z czasem jednak pod wpływem prowadzonej przez niemieckich okupantów akcji unicestwiania Żydów zwyciężyła opcja eksterminacji polskich mieszkańców tych ziem.

W 1940 roku doszło do rozłamu OUN na dwie frakcje: OUN-B (frakcja rewolucyjna, banderowców, pod przywództwem Stepana Bandery) i OUN-M (frakcja melnykowców, pod przywództwem Andrija Melnyka). Z czasem nacjonalistyczny ruch ukraiński zdominowany został przez frakcję banderowską, która od 1941 roku była odpowiedzialna za prawie wszystkie zbrodnie na Polakach.

W 1942 roku na okupowanym przez Niemców Wołyniu, narodowościowo zdominowanym przez Ukraińców, którzy stanowili około 68% ludności, a Polacy około 16%, zaczął się żywiołowo rozwijać antyniemiecki i antysowiecki ruch oporu o charakterze partyzanckim. Celem ukraińskiej nacjonalistycznej partyzantki była również likwidacja „elementu polskiego". Powstały w tym czasie trzy ukraińskie formacje partyzanckie: pierwsza największa Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) stworzona przez frakcję OUN-B i stanowiąca jej zbrojne ramię, oddziały wojskowe OUN-M, oraz drobne oddziały OUN-SD (*Samostijnikiw Derżawnikiw*), OUN-R, później OUN-B .

I od Wołynia, gdzie ludność polska była rozproszona wśród ukraińskiej, zamieszkiwała w nielicznych koloniach kilkusetosobowych, a w większości w małych osiedlach złożonych z kilku do kilkunastu zagród lub niewielkich liczbowo polskich gospodarstwach we wsiach ukraińskich, rozpoczęły się akcje tych formacji zbrojnych, przy wykorzystaniu ukraińskich chłopów, których celem było całkowite wyniszczenie polskich mieszkańców.

Twórcą podstaw teoretycznych ukraińskiego nacjonalizmu był Dmytro Doncow, a wśród działaczy ukraińskich, którzy odegrali ważne role w formowaniu zbrojnych oddziałów można wymienić nazwiska: Jewhena Konowalca przywódcę Ukraińskiej Organizacji Wojskowej (UWO), głównego prowidnyka OUN, Stepana Banderę – jednego z przewodniczących Egzekutywy Krajowej OUN, przewodniczącego OUN-B, Romana Szuchewycza – przewodniczącego referatu bojowego Krajowej Egzekutywy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, przewodniczącego Krajowej Egzekutywy OUN-B na Generalne Gubernatorstwo, generała i naczelnego dowódcę Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Jednak to nie oni podjęli decyzję o masowym mordowaniu Polaków na Wołyniu. Ponieważ przywódca OUN Stepan Bandera przebywał w tym czasie w niemieckim obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, plan wcielenia jego koncepcji w życie wzięli na siebie dowódcy niższego szczebla.

Z wielu opracowań wynika, że decyzja o ludobójstwie Polaków zapadła w gronie trzech osób wołyńskiego kierownictwa OUN-B Dmytra Klaczkiwskiego, ps. „Kłym Sawur", ówczesnego dowódcy grupy UPA-Północ, Wasyla Iwachowa,

referenta wojskowego OUN-B oraz Iwana Łytwynczuka, również dowódcy UPA na północno-wschodnim Wołyniu. Po śmierci Iwachowa w maju 1943 roku Klaczkiwski już indywidualnie podjął decyzję o rozpoczęciu czystki etnicznej na całym Wołyniu.

W wydanej w czerwcu 1943 roku tajnej dyrektywie dowództwa UPA-Piwnicz (Północ) podpisanej przez „Kłyma Sawura" i znanej jako tajna dyrektywa w sprawie przeprowadzenia „całkowitej, powszechnej, fizycznej likwidacji ludności polskiej" cytowanej w *Wikipedii* i innych opracowaniach historycznych za Władysławem Filarem, jednoznacznie wskazano kierunek działań: *Powinniśmy przeprowadzić wielką akcję likwidacji polskiego elementu. Po odejściu wojsk niemieckich należy wykorzystać ten dogodny moment dla zlikwidowania całej ludności męskiej w wieku od 16 do 60 lat (...) Tej walki nie możemy przegrać i za każdą cenę trzeba osłabić polskie siły. Leśne wsie oraz wioski położone obok leśnych masywów powinny zniknąć z powierzchni ziemi.*

Kierownictwo OUN nakazywało też zacieranie wszelkich śladów zbrodni. W polskich osadach raz na zawsze miały zostać zlikwidowane wszelkie ślady polskości. Taki nakaz wynikał między innymi z wydanej jesienią 1943 roku instrukcji kierownictwa wołyńskiej OUN-B, w której zapisano:

Zniszczyć wszystkie ściany kościołów i innych domów modlitwy; Zniszczyć drzewa rosnące przy domach tak, żeby nie pozostały znaki, że kiedyś mógł tam ktoś żyć (nie niszczyć drzew owocowych przy drogach) (...) zniszczyć wszelkie polskie domy, w których wcześniej żyli Polacy (jeśli w tych budynkach mieszkają Ukraińcy – należy je koniecznie rozebrać i zrobić z nich ziemianki); jeśli to nie będzie zrobione, to domy będą spalone i ludzie, którzy w nich żyją, nie będą mieć gdzie przezimować. Zwrócić uwagę jeszcze raz na to, iż jeśli ostanie się cokolwiek polskiego, to Polacy będą zgłaszali pretensje do naszych ziem.

W rozkazie nr 4 referenta organizacyjno-mobilizacyjnego rówieńskiego nadrejonu OUN-B z 9.10.1943 r. polecono: *W terenie, gdzie znajdują się polskie pomniki, kościoły itp., polskie figury, wszystko rozbijać, roznosić w proch, nie pozostawić nawet miejsca. Akcję tę wykonać w nocy z 10 na 11 X 1943 r.*

Zbrodnie były dziełem Ukraińskiej Powstańczej Armii, wzmocnionej w marcu i kwietniu 1943 roku przez dezerterów z Ukraińskiej Policji Pomocniczej, wspomaganej przez ukraińskie chłopstwo, zwane czernią, Samoobronni Kuszczowi Widdiły i Służbę Bezpeky OUN-B.

Fizyczna likwidacja ludności polskiej była prowadzona w sposób zorganizowany, przebiegała nierzadko z szczególnym okrucieństwem: ofiary były torturowane, palono je żywcem, wrzucano do studni, kobiety były gwałcone.

Ludność ginęła od kul, siekier, wideł, kos, pił, noży, młotków i innych narzędzi zbrodni. Z wszystkich wspomnień osób, które były świadkami zbrodni i przeżyły

tragedię napadu na dom rodzinny czy znalazły się w innych okolicznościach zbrodni UPA, przebija bestialstwo i zdziczenie napastników.

Jurij Stelmaszczuk „Rudy", dowódca Grupy UPA „Turiw", przesłuchiwany przez NKWD w lutym 1945 roku o wykonaniu w rejonie kowelskim dyrektywy z sierpnia 1943 r. zeznawał: *Robiliśmy to w następujący sposób: po spędzeniu całej ludności polskiej w jedno miejsce, okrążaliśmy ją i rozpoczynaliśmy rzeź. Kiedy już nie pozostał ani jeden żywy człowiek, kopaliśmy wielkie doły, zrzucaliśmy tam wszystkie trupy, zasypywaliśmy ziemią oraz, żeby ukryć ślady tego strasznego grobu, paliliśmy na nim wielkie ogniska i szliśmy dalej. Tak przechodziliśmy od wsi do wsi (...) Całe bydło, wartościowe rzeczy, mienie i żywność zbieraliśmy, a budynki i inne mienie paliliśmy.*

Za pierwszą masową zbrodnię na polskiej ludności Wołynia uznaje się masakrę w dniu 9 lutego 1943 r. w polskiej kolonii Parośla Pierwsza w powiecie sarneńskim. Śmierć poniosło wówczas 173 Polaków. Mordu dokonał oddział (sotnia) UPA pod rozkazami Hryhorija Perehijniaka „Dowbeszki-Korobki".

W następnych miesiącach miały miejsce kolejne akcje ludobójcze na Wołyniu, w tym w Stachówce, a fala napadów rozpoczęta na wschodzie Wołynia przesuwała się systematycznie w kierunku zachodnim.

Apogeum zbrodni wołyńskiej przypadło na 11 lipca 1943 roku. O tej akcji masowej eksterminacji ludności polskiej przeczytać można w wielu wspomnieniach, opracowaniach internetowych, w tym w *Wikipedii*: Tego dnia oddziały UPA przy wsparciu chłopstwa ukraińskiego zmobilizowanego w tzw. Samoobronnych Kuszczowych Widdiłach dokonały napadów na blisko 100 miejscowości, w których żyli Polacy, głównie w powiatach włodzimierskim, horochowskim i kowelskim. Do skoordynowanego ataku przystąpiono już w nocy z 10 na 11 lipca 1943 r. Zbrojne napady trwały w niedzielę, jak również w następnym dniu. Oprawcy działali w wyspecjalizowanych grupach – jedne pododdziały otaczały wieś kordonem, inne zajmowały miejscowość, gromadziły ofiary w jednym miejscu i dokonywały masakry. Oczyszczaniem terenu z niedobitków oraz grabieżą zajmowali się ukraińscy chłopi.

W kilku miejscowościach dokonano zbrodni na Polakach zebranych na mszy w kościele: w Chrynowie zamordowano 150 osób, w Krymnie 40, w Porycku 200, a w Zabłoćcach 76. W niedzielę dokonano również zbrodni w miasteczku Kisielin, w którym zginęło 90 osób. W czasie, gdy niemal cała polska ludność Kisielina przebywała na mszy świętej, miasteczko oraz kościół zostały otoczone podwójnym kordonem upowców. Gdy po zakończeniu mszy, Polacy zaczęli wychodzić z kościoła, otworzono do nich ogień. Wśród zaatakowanych wybuchła panika, ludzie cofnęli się do środka i zaczęli szukać schronienia. Kilkadziesiąt osób zabarykadowało się na piętrze plebanii połączonej z kościołem. Około 80 osób, które pozostały

w kościele i poddały się, zostało zamordowanych przez Ukraińców. Obronili się Polacy, którzy uciekli na piętro plebanii.

Przez kolejne dwa lata tragiczne wydarzenia miały miejsce w setkach wsi. W akcji „oczyszczania" Wołynia z wszelkich śladów polskości ginęli polscy mieszkańcy bez względu na wiek czy płeć. Po polskich wsiach i skupiskach pozostawały tylko zgliszcza. Ginęli też Ukraińcy w rodzinach mieszanych, w których jedno z małżonków była narodowości polskiej, ginęli Ukraińcy, którzy ostrzegali przed napadem, pomagali Lachom i byli uważani za zdrajców.

Kiedy rzezie na Wołyniu straciły na intensywności, dowództwo UPA wydało rozkaz do mordowania Polaków w Małopolsce Wschodniej. Do zbrodni na tym obszarze dochodziło od jesieni 1943 roku.

Ewa Siemaszko w opublikowanym w Internecie artykule *Bilans zbrodni* podaje, że udokumentowana liczba ofiar śmiertelnych ludobójczych akcji wobec ludności polskiej Wołynia popełnionych przez wszystkie nacjonalistyczne formacje w 1865 miejscowościach wyniosła około 60 tysięcy osób.

Ukraińska Powstańcza Armia przez Ukraińców uważana jest za formację zbrojną ukraińskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Nie jest celem tego opracowania polemika z tym stanowiskiem i przedstawianie racji strony ukraińskiej.

Jednak jako jeden z przykładów prezentowanych przez Ukraińców poglądów na rolę UPA w czasie II wojny światowej warto zacytować zdanie autorów opracowania *Великі Бірки. З глубини віків до наших днів* (Borki Wielkie. Od dawnych wieków do naszych dni), którzy, nawiązując do partyzanckiej działalności Sidora Kowpaka między innymi w rejonie tarnopolskim, pisali: *Jednak główny ruch oporu w czasie faszystowskiej okupacji w naszym kraju był związany z działalnością OUN i tworzeniem UPA. Ukraińska Powstańcza Armia (UPA), która została utworzona 14 października 1942 roku wzięła na siebie główny ciężar walki z niemieckim reżimem okupacyjnym, a potem z władzą bolszewicką. W latach 1941-1944 w czasie niemieckiej okupacji we wsi działały struktury podziemne, grupa OUN. Przy niej była młodzieżowa organizacja, która w październiku 1941 roku przeprowadziła dwa szkolenia wojskowe w Chodaczkowie Małym z inicjatywy OUN z Tarnopola. Każdy, kto należał do organizacji, miał wykopać kryjówkę*.

Ukraińska Powstańcza Armia była najlepiej zorganizowanym zbrojnym zapleczem zjednoczonego niezależnego ukraińskiego ruchu. Na początku 1944 roku liczyła 30-40 tysięcy walczących, po roku jej liczebność wzrosła do 80 tysięcy Ukraińców i około 20 tysięcy przedstawicieli innych narodowości. Ta armia wstąpiła w brutalny konflikt z polską ludnością Wołynia, Polesia, Chełmszczyzny, a także z polską Armią Krajową, która starała się utrzymać swoją kontrolę nad tymi ziemiami. Po wstąpieniu na te tereny wojsk Armii Czerwonej pomiędzy siłami UPA a radzieckimi wojskowymi trwała otwarta wojna, jaka później po wyzwoleniu tych

terenów z faszystowskiej okupacji przerodziła się w prawdziwą wojnę ludności cywilnej na Zachodniej Ukrainie. W przeciwieństwie do radzieckich sił partyzanckich, które miały wsparcie zza linii frontu, UPA, a także OUN działały wyłącznie w oparciu o własne siły i przy poparciu miejscowej ludności. Rozpocząwszy zbrojną walkę na Polesiu i Wołyniu, UPA stopniowo rozszerzała ją na Galicję i Ukrainę Przeddnieprzańską. (tłum. K.M.)

Ogrom masowych zbrodni dokonanych na polskiej ludności cywilnej Wołynia i Małopolski Wschodniej z dziesiątkami tysięcy ofiar, często na sąsiadach, z którymi mordercy przez lata mieszkali w jednej wsi, zbrodni, których organizacja, przebieg, rozmiary, zasięg terytorialny wypełnia definicję ludobójstwa, autorzy opracowania skwitowali jednym zdaniem, pisząc o wstąpieniu przez UPA „w brutalny konflikt z polską ludnością Wołynia, Polesia, Chełmszczyzny".

O akcjach zbrojnych dokonanych przez odziały UPA w okolicach Czernielowa będzie mowa w następnych podrozdziałach.

Placówka Armii Krajowej

Na obszarze państwa polskiego od początku okupacji niemieckiej, czyli od września 1939 roku działały różne konspiracyjne organizacje wojskowe. Jedna z nich powołana już we wrześniu jako Służba Zwycięstwu Polsce, następnie w listopadzie przekształcona w Związek Walki Zbrojnej, została w lutym 1942 roku rozkazem Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych gen. Władysława Sikorskiego przemianowana na Armię Krajową i podporządkowana Naczelnemu Wodzowi i Rządowi Polskiemu na Uchodźstwie. Armia Krajowa od momentu powstania była organizacją masową i szeregi swoje zwiększała przez werbunek ochotników. Komendzie Głównej Armii Krajowej podlegały cztery obszary i osiem samodzielnych okręgów, w tym obszar lwowski z okręgami: Lwów, Stanisławów i Tarnopol.

O działalności Armii Krajowej na Tarnopolszczyźnie pisała między innymi w biuletynach „Głosów Podolan" wspominana już Jadwiga Podleska. Chyba jednak najbardziej szczegółową informację pt. *Relacja o placówkach AK na polskich wsiach Podola (województwo Tarnopol)* opublikowała w 1995 roku w „Zeszytach Historycznych" nr 6 wydawanych przez Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Oddział Gliwice.

Jak wcześniej wspomniano, gdy wybuchła wojna Jadwiga Podleska miała 19 lat. Do Armii Krajowej Okręgu Tarnopol „Talizman" wstąpiła późną wiosną lub na początku lata 1943 roku. Zaprzysięgał ją Julian Kazimierz Wójcicki, pseudonim „Władysławowski", oficer rezerwy, prawnik z Tarnopola. Pracował jako inspektor upraw tytoniu w Czernielowie Mazowieckim, w Liegenschaftsverwaltung, Kreis und

Bezirk Tarnopol, czyli Zarządzanie Nieruchomościami w powiecie tarnopolskim, gdzie w tym czasie była również zatrudniona Jadwiga Podleska.

W swoim życiorysie przekazanym do Ossolineum opisywała, że nosiła przez krótki czas pseudonim wojskowy „Oceania", potem do końca „Berberys". Pracowała w komórce KW-2-B, w kontrwywiadzie. Miała pięciu podkomendnych w terenie, była w randze starszego podoficera. Pełniąc funkcję w wywiadzie, zajmowała się *obserwacją w terenie, w tym hitlerowskich kolaborantów, wożeniem poczty i rozkazów w obie strony (do i z Tarnopola), przepisywaniem na maszynie części poczty czy biuletynów, dowozem zboża dla leśnych oddziałów do wskazanego punktu w Tarnopolu, dowiezieniem ocalonego i przechowywanego u patriotów wiejskich w Czernielowie od 1939 do 1943 roku aparatu podsłuchowego wojskowego do podsłuchiwania linii telefonicznych.*

W biuletynie „Głosy Podolan" nr 21. z 1997 roku w *Post scriptum do cz. I*, wspominając z wdzięcznością pomoc okazaną w czasie wojny rodzinie Podleskich przez pracowników folwarku i gospodarzy wsi, Jadwiga Podleska wymieniła nazwiska ogrodnika Dominika Masztalerza i stelmacha Józefa Gardziasza (z Kołodziejówki w pow. Skałat), którzy przechowywali w dobrej kryjówce wojskowy aparat podsłuchowy do linii telefonicznych zawieziony następnie przez nią latem 1943 roku do inspektoratu.

W *Relacji o placówkach AK…* Jadwiga Podleska po kilku zdaniach historycznego wstępu o Czernielowie Mazowieckim pisała: *Była to polska wieś. Cechował ją wielki patriotyzm (...) W 1940 roku pod okupacją sowiecką Stanisław Maliszkiewicz założył tu podziemną organizację, którą w dwa lata później przejął pan W. Askenazy (lub Aszkenazy) i włączył do Związku Walki Zbrojnej, a potem do Armii Krajowej. Placówka należała do inspektoratu „Pasieki" w okręgu Tarnopol („Talizman"). Obwód zmieniał kryptonimy - pamiętam dwa: „Wachlarz", potem „Wieniec". Pan Askenazy, były policjant zmienił nazwisko, miejsce pobytu i zamieszkał z żoną we wsi Wałachówka. Oboje pracowali jako nauczyciele (...)*

Zorganizowano tu silną grupę samoobrony. Tworzyli ją ludzie z AK. Arsenał broni, świetnie ukrytej, znajdował się głównie u organisty, a obejmował: karabin maszynowy z taśmami nabojów, granaty, karabiny, pistolety i moc amunicji. Głównym źródłem tych zapasów była broń, jaką w czerwcu 1941 roku, po napadzie Hitlera na ZSRR porzucała na drogach i polach uciekająca Armia Czerwona. Zostawiali nawet czołgi. Drugim źródłem była broń zostawiana przez uciekających do Niemiec volksdeutschów w 1943 roku. Zostało jej też trochę z walk w 1939 roku.

We wspomnianej *Relacji…* Jadwiga Podleska podała spis mieszkańców Czernielowa Mazowieckiego, członków wiejskiej komórki Armii Krajowej, w oparciu o spis odtworzony z pamięci wiele lat po wojnie przez Władysława Ruścińskiego, czernielowskiego organistę, zaznaczając że spis ten nie jest pełny.

Tabela 1. Członkowie AK w Czernielowie Mazowieckim

Nazwisko i imię	**Pseudonim,**	**Nazwisko i imię**	**Pseudonim,**
Klepajczuk Franciszek	„Maciuga”	Piotrowski Jan	„Kruk”
Klepajczuk Kazimierz	„Jacek”	Ruściński Piotr	„Burza”
Netreba Antoni	„Gawron”	Darmograj Antoni	„Gołąb”
Ruściński Władysław	„Adaś”	Darmograj Jan	„Cezar”
Hrycaj Piotr	„Sęp”	Żarkowski Franciszek	„Dzik”
Hrycaj Władysław	„Wicek”	Hrycaj Marian	
Kubiszyn Antoni	„Lutek”	Murmyło Antoni	
Nietreba Antoni	„Kuba”	Zgóra Józef	„Słowik”
Mielnik Piotr – dowódca placówki	„Tygrys”	Ruścińska Maria - noszenie poczty	
Żarkowski Wojciech	„Lis”	Kozłowski Józef	
Czerkies Wiktoria		Gęślowski Józef	
Robak Janina		Ziemba Jan	
Stankiewicz Józefa Klepajczuk Józef	kolportaż biuletynów	Koszuliński Franciszek Murmyło Karol	
Żarkowski Andrzej		Kolasa Józef	
Żarkowski Marian			

Dodała, że do komórki Armii Krajowej należeli też niektórzy pracownicy administracyjni i folwarku w Czernielowie, który w 1939 roku został upaństwowiony przez ZSRR, a potem w latach 1941-1944 przejęty przez Niemców i funkcjonował jako jeden z ośmiu majątków w zespole Liegenschaftsverwaltung. Oto oni:
Cieśla Stanisław „Stary”- rymarz, przed wojną zawodowy sierżant WP
Rybak Jan „Długi” – rymarz,
Węgrzynowicz Bernard „Albatros” - księgowy,
Maciejewski Jan – kapral rezerwy - kołodziej,
Murmyło Stanisław - traktorzysta,
Malinowski Gustaw - pracownik gorzelni,
Rajfur Karol – gumienny,
Hrycaj Jan - robotnik,
Klepajczuk Jan - robotnik.

Nie jest wymieniony na tej odtwarzanej po latach liście AK-owców Antoni Żarkowski, który zginął w czasie wojny. Zanim w 1944 roku wraz z liczną grupą młodych mężczyzn z Czernielowa trafił do Wojska Polskiego, był przez jakiś czas w miejscowej komórce Armii Krajowej.

Nie został też wykazany jako członek czernielowskiej placówki AK ks. Antoni Kij. Być może dlatego, że będąc księdzem, wówczas wikarym, pełnił funkcję kapelana AK nie tylko w Czernielowie. Wspominała o nim Jadwiga Podleska.

W jednym z internetowych opracowań można o nim przeczytać: *Podczas okupacji niemieckiej przystąpił do ruchu oporu (Armia Krajowa), jako wikary był kapelanem w Czernielowie Mazowieckim w stopniu kapitana*.

Czy rzeczywiście miał wtedy taki stopień wojskowy? Wydaje się to mało prawdopodobne. Urodzony w 1916 roku w Stryju ks. Antoni Kij w 1943 roku miał zaledwie 27 lat. On sam we wspomnieniach nic o przeszłości akowskiej nie pisał.

W przygotowanym po latach spisie nie figuruje również urodzony w 1910 roku Józef Szełepko, który w życiorysie z lipca 1977 roku, gdy starał się o członkowstwo w organizacji ZBOWiD, napisał między innymi: *W okresie okupacji hitlerowskiej pracowałem w majątku rolnym, należącym do okupanta i to chroniło mnie od wywózki na roboty do Niemiec. W latach 1942-1944 wstąpiłem do zbrojnej organizacji podziemnej i uczestniczyłem w obronie ludności przed bandami faszystowskimi.*

Jak wiadomo w 1977 roku nikt w Polsce Ludowej nie afiszował się przynależnością do struktur Armii Krajowej, ale zbrojna organizacja podziemna działająca w Czernielowie Mazowieckim to właśnie komórka AK.

O tym, że organizował struktury AK i przyjmował przysięgi od członków tej organizacji nie wypowiadał się też w udzielanych w latach 70. i na początku 80. XX w. wywiadach dziennikarzom kilku czasopism i gazet Franciszek Klepajczuk. Po ucieczce do Czernielowa w grudniu 1943 roku z obozu w Austrii, do którego trafił po wcześniejszym internowaniu w obozie w Rumunii, Franciszek Klepajczuk zajął się „werbowaniem ludzi do oddziałów, kierował łącznikami, którymi były nieraz młodziutkie dziewczęta". W 1970 roku w artykule *Żołnierski szlak* dziennikarka Emilia Kędra z gazety „Żołnierz Wolności" po rozmowie z nim zanotowała: *Zgłosił się do partyzantki i dostał zadanie werbowania ludzi. Przez całą zimę trwały przygotowania. Organizowali się, wyciągali ze skrytek broń. Ci, co umieli się nią posługiwać, uczyli pozostałych. Czekali na rozkaz.*

Na liście nie ma też Jana Walduna, syna Antoniego, który zwolniony ze stalagu w kwietniu 1942 roku od maja był szeregowcem w placówce AK w Czernielowie. Miał pseudonim „Granatnik". Tak wynika z udostępnionej przez rodzinę jego legitymacji Światowego Związku Żołnierzy AK. Rodzice Józefa i Antoni Waldunowie oraz brat Marian, mieszkający przed wojną w Woli Gołuchowskiej zostali w lutym 1940 roku wywiezieni na Sybir do Republiki Komi.

Pominięto też w spisie członków czernielowskiej organizacji AK Józefa Mielnika „Bogaczynę". On sam we *Wspomnieniach* napisanych o latach wojny w 1990 roku mały fragment poświęca tej grupie samoobrony*: Gdy Niemcy zajęli Tarnopol i poszli dalej na wschód na naszych terenach, jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać organizacje wojskowe. W Czernielowie Mazowieckim też powstała organizacja Armii Krajowej, Oddział Cyryla pod dowództwem „Tygrysa". Ja miałem*

pseudonim „Kruk". Nasza organizacja nie odegrała ważniejszej roli, nie przeprowadziliśmy poważniejszych akcji, nie mieliśmy wypadów, bo u nas w ogóle nie było lasów. Naszym głównym zadaniem to była samoobrona wsi przed bandami UPA i przed łapankami do Niemiec. Z wszystkich stron dochodziły do nas wieści o morderstwach na Polakach przez banderowców. Nieraz całymi nocami staliśmy na straży w pogotowiu i pilnowaliśmy wsi. Czekaliśmy na tych psubratów, byliśmy w stanie z nimi rozprawić się. Ale do Czernielowa nigdy nie próbowali przyjść i nie zdarzyło się to, co robili w innych miejscowościach. Gdy przyszła noc to daleko było widać łuny pożarów. Wiedzieliśmy, że to bandy UPA grasują bezkarnie. Nieraz robiliśmy wypady do sąsiednich wiosek, tak aby odstraszyć te bandy (...).

W związku z tymi zapisami odnotowano pewną nieścisłość dotyczącą noszonego przez Józefa Mielnika pseudonimu „Kruk", przypisanego w spisie do nazwiska Jan Piotrowski. Niestety nie żyją już uczestnicy tamtych zdarzeń i nie da się ustalić stanu faktycznego.

W innym miejscu *Wspomnień* Józef Mielnik pisał o informacjach zawartych w biuletynach organizacji AK: *W naszych biuletynach informacyjnych, to jest w naszej prasie AK pisano o wszystkim. Po długim czasie nieuznawania rządu polskiego na emigracji z gen. Sikorskim na czele, rząd radziecki Stalina zgodził się na przyjazd do Moskwy premiera i Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych gen. Sikorskiego. Zostały podpisane przez marszałka Stalina i premiera Polski gen. Sikorskiego ważne układy polityczne i wojskowe, między innymi o utworzeniu na terenie Związku Radzieckiego Wojska Polskiego z tych ludzi, którzy znaleźli się na radzieckiej ziemi (...)*

Minęło dwa lata ciężkiej wojny na wschodzie. Niemcy zostali zatrzymani i zaczęli ponosić klęski na ziemi radzieckiej. W tym czasie ponieśli też całkowitą klęskę w Afryce. W naszej prasie pisano o masowych mordach oficerów w Katyniu, o zerwaniu stosunków dyplomatycznych między rządem londyńskim i Związkiem Radzieckim, o tym, że gen. Anders wyprowadził polskie wojsko do Iranu. I też pisano, że w lecie 1943 roku powstała Dywizja Wojska Polskiego im. Tadeusza Kościuszki pod dowództwem pułkownika Berlinga. Było to dla nas wiadome, że gdy Armia Czerwona przepędzi hitlerowców z ziemi radzieckiej, to znów trzeba będzie włożyć mundur, wziąć broń do ręki i zadać ostateczny cios dla wspólnego wroga.

W naszej prasie organizacyjnej pisano i o tym, że Niemcy pobudowali na terenach Polski wielkie obozy koncentracyjne, gdzie masowo mordowali ogromne ilości ludzi. To były obozy zagłady.

Ponadto w zapiskach dotyczących wojny Józef Mielnik wspomniał kilka piosenek, które śpiewali w tym czasie, w tym *Pieśń partyzanta Armii Krajowej z 1942 roku:*

Sierpniowy skwar w spiekotę i pożogę
Rzucił nas los na srogi, krwawy znój,
I tylko trupy znaczą naszą drogę,
My, ludzie leśni, mała garstka nas.
Nie mamy my ni nazwisk, ni Ojczyzny.
Ojczyzna nasza krwawy znosi znój,
Imiona nasze to krew i nasze blizny,
Nasz kraj jedyny to beztroski śpiew.
To śpiewa dzień w oparach leśnych bagien.
To śpiewa dzień wesołych tętnem żył,
Pójdź do mnie, daj swe usta, ma dziewczyno,
Za taki dar o tobie będę śnił.
Choć nie wiem sam, co czeka mnie o świcie
I nie wiem też czy jutro będę śnił
Ja jedno wiem, żeś droga mi jak życie.
Ja jedno wiem, że z Tobą dobrze mi.
Choć nie wiem sam, co czeka mnie o świcie
I nie wiem też czy jutro będę śnił.
Dla Cię, Ojczyzno, coś droższa mi nad życie,
Dla Ciebie tylko, Polsko, będę żył
Za naszą Polskę i za wolność kraju
Został zabity kolega mój
W akcji na wroga w partyzanckim znoju
I za Ojczyznę oddał życie swe.
Na skraju lasu tam jest mogiła.
A w niej spoczywa partyzanta los.
Żegnaj, ach żegnaj, droga moja, miła.
Ojczysty kraju i rodzinny domu.

I jeszcze kilka zdań o udziale mieszkańców Czernielowa Mazowieckiego i okolic w wiejskich placówkach Armii Krajowej z wspomnianej *Relacji*… Jadwigi Podleskiej, która pisała między innymi: *W czasie okupacji niemieckiej działalność placówki w Czernielowie polegała na obserwacji dróg i mostów, transportów drogowych i kolejowych w kierunku Kujdaniec i Podwołoczysk na front wschodni, na przygotowaniu sprzętu do sabotaży kolejowych. Czekano w gotowości na rozkaz przeprowadzenia jakiejś większej akcji. Pewnego dnia policjanci - Ukraińcy (Ukrainische Hilfspolizei) przeprowadzili u organisty rewizję. Nie znaleźli ani broni ani prasy podziemnej. Skonfiskowali jedynie śpiewnik kościelny z godłem polskim. Organista na przesłuchaniu nie przyznał się do niczego i po siarczystym policzku z pogróżkami został zwolniony. Prasę podziemną dla placówki w Czernielowie*

odbierano od pana Askanazego z Wałachówki, potem przywoził ją z Tarnopola porucznik AK, pan Bieniek oraz pracujący w Monopolu Tytoniowym Tarnopol Kazimierz Zaremba, który co tydzień przyjeżdżał na inspekcję plantacji tytoniu. Akowcy w Czernielowie pracowali z najwyższym zapałem. Ich kapelanem był wikary parafii Czernielów - ksiądz Antoni Kij (...) W 1943 roku Niemcy zaaresztowali i wywieźli do Tarnopola dwóch AK-owców: Kazimierza Klepajczuka i Józefa Kolasę. Oskarżeni o przynależność do organizacji podziemnej, bici straszliwie, nie przyznali się i nie zdradzili nikogo. W końcu zwolniono ich, bo Niemcy uznali, że skoro takim biciem niczego nie wydobyli, to muszą być niewinni. Po powrocie do domów długo chorowali. Tacy byli ci kresowi wieśniacy - AK-owcy. Niejeden z nas życie takim ludziom zawdzięcza (...)

Placówki AK były również we wsiach: Bajkowce, Łozowa, Wałachówka (tam działał Askenazy), Stryjówka, Zarudzie i Anielówka. W powiecie Zbaraż wiadomo o wsiach: Hrecowce, Kretowce i Maksymówka. Dane o placówce we wsi Bajkowce przysłała Stanisława Kanas, z domu Kłos, ur. w 1926 r., żołnierz AK. Zaprzysiężona wiosną 1943 roku zwerbowała kilka dziewcząt, które wieczorami przechodziły kurs sanitariuszek. Oto nazwiska: Kanas Stanisława „Wiecha", Kłos Stefania, Jankowska Stefania, Jankowska Irena, Paliwoda Maria. Stanisława Kanas i Maria Paliwoda były bardzo czynne. Stanisława często przynosiła pocztę z pobliskiej Łozowej oraz ubezpieczała narady przedstawicieli inspektoratu z miejscowymi AK-owcami.

Mężczyźni należący do AK w Bajkowcach to: Kłos Franciszek (ojciec Stanisławy), Lachowski Paweł, Markowicz Karol, Jankowski Piotr, Kłos Stanisław, Woźniak Michał, Kłos Tomasz. Działalność ich była podobna do opisanej w relacji o Czernielowie Mazowieckim.

Placówkę AK we wsi Anielówka tworzyli między innymi: Glogier Adam-zarządca Romanówki, Ostapowicz Józef, Ostapowicz Antoni, Ostapowicz Jan, Maliszkiewicz Franciszek (z Czernielowa Mazowieckiego, ożeniony w Anielówce), Postoł Jan, Łabanowicz Michał („Pająk"), Raniczkowski Jan („Bełz"), Gruba Michalina - nie zaprzysiężona, dostarczała prasę z Borek Wielkich od organisty.

O Adamie Glogierze, synu Konrada Glogiera z Czołhańszczyzny, można dodać dwa zdania na podstawie notatek Marka Glogiera z 2015 roku oraz wypisów z jego telefonogramów z rozmów z synową Adama z 2003 roku. Marek Glogier pisał między innymi, że Adam Glogier prawdopodobnie został wprowadzony do podziemia przez Mieczysława Bratkowskiego, komendanta AK na Tarnopol. Nie wiadomo, czy już wówczas czy później był mężem córki Adama, Teresy. Z telefonogramów wynikało też, że Adam Glogier zginął na szosie między Gorlicami a Krosnem na początku 1945 roku, gdy wraz córką Teresą i synem Zygmuntem (żona Maria, z d. Romanowska już nie żyła) uciekali furmanką przed nadejściem Armii Czerwonej. Adama postrzeliła Rosjanka, *regulowszczyca*, bo nie zatrzymał się.

Dostał serią z pepeszy w kręgosłup i zmarł w Krośnie. Tam też jest pochowany. W Armii Krajowej byli również Zygmunt Glogier i jego narzeczona Henryka Czaplicka. Zygmunt był oficerem i po wojnie oboje przebywali w więzieniu, Zygmunt do około 1952 we Wronkach, a Henryka w Warszawie na Mokotowie.

Jadwiga Podleska w dalszej części *Relacji*… wspomniała: *W pobliskiej gminie Borki Wielkie, dużej wsi mieszanej, odległej 4,5 km od Czernielowa, była też placówka AK, o której, niestety, wiem tylko tyle, że kolportażem prasy podziemnej zajmował się organista Lak, a ksiądz Marian Mościński, proboszcz parafii rzymsko-katolickiej w Borkach był kapelanem inspektoratu Tarnopol (a może tylko obwodu?).*

Można dodać, że sam ks. Mościński we wspomnieniach zatytułowanych *Moje przejście przez Wał Pomorski* z tomu *Wspomnienia kapelanów wojennych* wydanych w 1974 roku o swoim udziale w AK również nie pisał w sposób bezpośredni. Ujął to następująco: *Utrzymywałem zawsze łączność z walczącym polskim podziemiem, prowadziłem tajne nauczanie w zakresie gimnazjum - uczyłem języka polskiego i łaciny - zajmowałem się kolportażem tajnej prasy. Nieraz mieściła się u mnie skrytka przekaźnikowa, nieraz sam przewoziłem prasę, czasem nawet bardzo daleko, koleją.*

O Józefie Laku, synu organisty z Borek, Jerzy Stopa w przypisach do *Relacji* … Jadwigi Podleskiej napisał, że został przez nacjonalistów ukraińskich zamordowany strzałem w głowę podczas pełnienia służby dróżnika kolejowego na przejeździe kolejowym w Gajach Wielkich, pomiędzy Borkami a Tarnopolem.

Natomiast w III części *Wspomnień z Tarnopolszczyzny pod okupacjami* Jadwiga Podleska o kapelanach miejscowych komórek Armii Krajowej zanotowała: *Zagrożeni przez nacjonalistów ukraińskich kapelani AK ks. Mościński z Borek Wielkich i ks. Kij z Czernielowa uzyskali zgodę dziekana i udali się jako kapelani wojskowi do naszych zmobilizowanych chłopców* (wiosna 1944 roku - dop. K.M.) Będzie o tym mowa w dalszej części.

W nawiązaniu do fragmentu *Wspomnień* Jadwigi Podleskiej o aresztowanym członku czernielowskiej organizacji AK Kazimierzu Klepajczuku kilka zdań na ten temat można zacytować ze wspomnień samego żołnierza, których wysłuchał Tadeusz Wójcik i opublikował w artykule *Byłem na własnym apelu poległych* w „Gazecie Chojeńskiej" w 2002 roku: *Gdy wybuchła wojna Kazimierz Klepajczuk miał 18 lat i nie był objęty poborem wojskowym (...) Osiemnastoletni chłopiec, tak jak wówczas większość młodych Polaków rwie się do walki. Nawiązuje kontakt z podziemiem. Wstępuje do Związku Walki Zbrojnej, a potem do Armii Krajowej. Miejscowy wywiad podejrzewa go o przynależność do AK. W swoim życiorysie Kazimierz Klepajczuk pisze krótko i po męsku: W grudniu 1943 roku zostałem aresztowany przez policję ukraińską, dostarczony na gestapo do Tarnopola i tam osadzony w więzieniu śledczym. Po ciężkich spotkaniach gestapo, po trzech miesiącach udaje mi się*

wydostać z więzienia. Po krótkim okresie wolności, gdy już trochę nabrałem sił, wkroczyła Armia Czerwona.

W 2007 roku w artykule *Pochowali go za życia* dziennikarz Andrzej Kordylasiński z „Głosu Szczecińskiego" po rozmowie z Kazimierzem Klepajczukiem o tym zdarzeniu zanotował: *Z pomocą starszego brata Franciszka (ps. „Maciuga") zaciągnął się do Armii Krajowej. Miał pseudonim „Jacek". W 1943 roku 22-letniego Kazimierza aresztowała ukraińska policja. Odstawili go na gestapo, gdzie przez trzy miesiące znęcano się nad nim. Brat robił wszystko, aby uwolnić uwięzionego Kazimierza. AK miała swojego człowieka w gestapo. I udało się. Choć Klepajczuk szukał potem swego wybawiciela, do dzisiaj nie wie, kto nim był.*

Jak można przeczytać w *Relacji...* według Jadwigi Podleskiej ważniejszymi akcjami AK w Tarnopolszczyźnie były: wysadzenie cystern na stacji Szlachcińce, wykolejenie na trasie Tarnopol–Podwołoczyska dwóch transportów ze sprzętem i wojskiem do Rosji, jednego transportu z wojskiem jadącym do Niemiec, wysadzenie mostu na granicy powiatów Tarnopol i Zbaraż.

W innym miejscu wspomnień o pomocy czernielowian dla AK Jadwiga Podleska dodała: *Udało się więc dostarczyć zboże na chleb dla oddziałów leśnych AK na północ od Lwowa i w lasach stanisławowskich. Akcja „Burza" rozwinęła się pod Tarnopolem na małą skalę. Zdobyto trochę broni na Niemcach, a cały wysiłek skierowany został na Lwów.*

Komórki Armii Krajowej zorganizowane w poszczególnych wsiach Tarnopolszczyzny współpracowały ze sobą. Pisała o tym, a także czym zajmowała się, będąc członkiem AK w sekcji kobiecej Maria Markowicz, z d. Paliwoda, w VIII części swoich wspomnień *W Bajkowcach na Podolu*. Jej opis przybliża organizację i przygotowanie do zadań najniższego szczebla AK: *Strukturę organizacyjną każdego oddziału samoobrony tworzyli na znanym mi terenie członkowie Armii Krajowej. Oni nawiązywali łączność pomiędzy sąsiadującymi grupami samoobrony, do których starali się włączyć możliwie wszystkich dorosłych Polaków. Uczyli posługiwania się bronią, jeśli taka była, udzielali wskazówek odnośnie barykadowania domów oraz kogo i co należy chronić w pierwszej kolejności w czasie napadów. Prowadzili także rozpoznanie zamierzeń wroga. Z zasady każdy dowódca samoobrony we wsi czy miasteczku był żołnierzem AK. Ja do Armii Krajowej wstąpiłam wczesną wiosną 1941 roku. Zostałam zaprzysiężona przez Stanisławę Kłos i przybrałam pseudonim „Chłopka". Wespół ze Stanisławą, pseudonim „Wiecha", i innymi dziewczętami z Bajkowiec, w tym Stefanią Jankowską i Anną Paliwoda (c. Piotra) tworzyłyśmy w Bajkowcach sekcję kobiecą. Gromadziłyśmy materiały opatrunkowe, ćwiczyłyśmy się w obsłudze sanitarnej na folwarku Niesiołowskiej pod kierunkiem p. Brylińskiej z Tarnopola. Przenosiłyśmy meldunki do skrzynki kontaktowej, która mieściła się w mieszkaniu Marii*

Friedbergowej w Tarnopolu, przy ul. Tatarskiej, w domu dobrze znanej wówczas dentystki. Kupowałyśmy za zdobyte z niewyobrażalnym trudem masło, kury i miód-pistolety i granaty od żołnierzy węgierskich, rumuńskich, słowackich i niemieckich, których transporty zatrzymywały się na dużej stacji w Tarnopolu. Broń tę dostarczałyśmy do okolicznych wsi z przewagą ludności polskiej, jak: Łozowa, Czernielów Mazowiecki, Czołhańszczyzna. W pierwszym rzędzie uzbrajałyśmy Polaków w Bajkowcach (170 rodzin), gdzie komendantem AK i równocześnie dowódcą samoobrony był Piotr Owsiany… W organizowaniu samoobrony ludności polskiej AK nie ograniczała się tylko do zaopatrywania jej w broń. Jej członkowie typowali budynki z murowanymi piwnicami na schrony dla kobiet i dzieci, w zabudowaniach krytych blachą urządzali skrytki na amunicję, tworzyli systemy sygnalizacyjne i łącznościowe pomiędzy poszczególnymi grupami samoobrony w każdej wsi, w której mieszkali Polacy. Pozwalało to na mniejsze straty w ludziach podczas napadu, a także na odstraszanie Ukraińców przed atakiem na większe skupiska Polaków. Na przykład nie próbowano napadu na większą polską wieś Czernielów Mazowiecki czy Borki Wielkie, czy też na sąsiednią wieś Czołhańszczyznę, uważaną za część Czernielowa Mazowieckiego.

Wobec braku tak szczegółowo zapisanych wspomnień członków AK z Czernielowa, poza przytoczoną wcześniej *Relacją o placówkach AK…* Jadwigi Podleskiej i krótkimi, cytowanymi wspomnieniami Józefa Mielnika można przyjąć, że organizacja samoobrony i rola kobiet, a także sposób przygotowań do obrony przed bandami UPA w komórce AK w Czernielowie Mazowieckim była podobna.

Jak widać z treści przywołanych wspomnień Jadwigi Podleskiej i Marii Markowicz, z d. Paliwoda, zdania co do planowanego napadu band UPA na Czernielów Mazowiecki są rozbieżne. Będzie o tym mowa w dalszej części.

Z innych, bardzo fragmentarycznych wspomnień z lat wojny, które przetrwały w pamięci potomków czernielowian warto odnotować wypowiedź Józefa Zgóry. Po 1945 roku niechętnie wspominał czas wojny ze względu na późniejszy ustrój w PRL. Był zaskoczony, gdy wnuk z Internetu dowiedział się o jego pseudonimie z AK „Słowik". Józef Zgóra mówił wtedy o starszym panu o nazwisku Fortuna, który był wojskowym lub szkolonym w miejscowości Sądowa Wisznia, dowodził obroną Czernielowa. Urodzony w 1920 roku Józef Zgóra pilnował z innymi wioski przed bandami UPA.

Prawdopodobnie ustalona lista, z trudem uzupełniana, nie wyczerpuje pełnego wykazu członków miejscowej placówki AK. Niestety, po latach ich nazwiska nie zachowały się w pamięci. Wiedza i umiejętności nabyte w tej organizacji przez młodych i starszych czernielowian zostały w niedalekiej przyszłości wykorzystane w służbie żołnierskiej na froncie, a przez tych, którzy nie poszli na wojnę, w samoobronie.

Polskie siły zbrojne. Armia Andersa. Armia Berlinga

Armia Andersa i inne formacje wojskowe na zachodzie

O Armii Andersa utworzonej w czasie wojny na terenie Związku Radzieckiego wszyscy mają wiedzę stosowną do swoich zainteresowań historią. Może jednak warto odtworzyć w tym miejscu na podstawie popularnych opracowań historycznych chronologię wydarzeń z okresu wojny, by przypomnieć okoliczności powstania na obczyźnie dwóch różnych polskich armii, w których żołnierzami byli zesłańcy na Sybir.

Klęska polskiego wojska w wojnie obronnej w 1939 roku skierowała zainteresowanie polskich żołnierzy na walkę poza granicami kraju. Już we wrześniu 1939 roku na podstawie umowy z Francją rozpoczęto organizowanie polskich formacji wojskowych na terytorium francuskim spośród Polaków przebywających we Francji, Belgii, Holandii i Wielkiej Brytanii. Wkrótce szeregi tego wojska zaczęli zasilać żołnierze i oficerowie, uciekinierzy z obozów internowania w Rumunii i na Węgrzech. Ocenia się, że w kampaniach 1940 roku w Norwegii oraz we Francji wzięło udział ponad 80 000 Polaków. Po klęsce Francji ocalałe wojska przeniesiono do Palestyny i na Wyspy Brytyjskie, a 1. Korpus Polski bronił wschodniego wybrzeża Szkocji. Powszechnie znany jest chlubny udział polskich lotników w bitwie powietrznej o Anglię oraz uczestnictwo polskich okrętów w operacjach morskich na Atlantyku, a także w służbie konwojowej. Na Bliskim Wschodzie, w Syrii, powstała Brygada Strzelców Karpackich, która w 1941 roku brała udział w odblokowaniu twierdzy w Tobruku.

Zorganizowane formacje wojskowe w tych krajach tworzyły Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie i były częścią Sił Zbrojnych II Rzeczpospolitej podporządkowanych władzom na uchodźstwie, z naczelnym wodzem gen. Władysławem Sikorskim. Drugą część stanowiły Siły Zbrojne w Kraju, czyli późniejsza Armia Krajowa.

Rozpoczęcie 22 czerwca 1941 r. wojny niemiecko-radzieckiej postawiło ZSRR w obozie państw walczących z Niemcami. Zarówno Wielka Brytania, jak i Stany Zjednoczone zadeklarowały Związkowi Radzieckiemu pomoc w sprzęcie, uzbrojeniu, zaopatrzeniu w żywność i wspólne prowadzenie walki z agresorem aż do zwycięstwa. Natomiast rząd Rzeczpospolitej Polskiej na Uchodźstwie reprezentowany przez premiera rządu RP i naczelnego wodza gen. Władysława Sikorskiego już następnego dnia po rozpoczęciu wojny wyraził nadzieję na nawiązanie zerwanych stosunków polsko-radzieckich, na zrezygnowanie przez polityków radzieckich z ziem polskich zagarniętych we wrześniu 1939 roku i utrzymywanie dobrosąsiedzkich kontaktów w duchu pokoju ryskiego z 1921 roku.

Po rokowaniach, w których poważną trudnością okazała się sprawa granic i zdecydowanej odmowy przez stronę radziecką zwrotu ziem polskich zajętych we wrześniu 1939 roku, 30 lipca 1941 r. w Londynie premier rządu RP na Uchodźstwie gen. Władysław Sikorski i ambasador ZSRR w Londynie Iwan Majski, w obecności premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchila i ministra spraw zagranicznych Anthony Edena podpisali umowę polityczną, która przeszła do historii jako układ Sikorski-Majski.

W wyniku zawartego porozumienia przywrócone zostały stosunki dyplomatyczne między obydwoma krajami. Dokument zawierał między innymi: oświadczenie rządu ZSRR, że traktaty radziecko-niemieckie z 1939 roku dotyczące Polski utraciły swą moc, deklarację wzajemnej pomocy w wojnie przeciw hitlerowskim Niemcom oraz zgodę rządu ZSRR na utworzenie na sowieckim terytorium Armii Polskiej pod polskim dowództwem.

Podpisana umowa, ze względu na nieścisłe zapisy układu (nie potwierdzającego jednoznacznie granicy polsko-radzieckiej ustalonej w traktacie ryskim) stała się powodem kryzysu gabinetowego i dymisji prawie połowy składu rządu. Podpisania umowy Sikorski-Majski odmówił też prezydent Rzeczypospolitej na uchodźstwie Władysław Raczkiewicz. Tym samym porozumienie pozostało zwykłym protokołem.

Realizując wstępne ustalenia układu, już 14 sierpnia 1941 r. rząd gen. Sikorskiego podpisał z rządem sowieckim umowę wojskową, która dała podstawę do rozpoczęcia formowania Armii Polskiej w ZSRR. W umowie wojskowej i dodatkowych rozmowach strony uzgodniły docelową wielkość armii na 30 tysięcy ludzi. Uzbrojenie i żywność miał dostarczyć Związek Radziecki, natomiast umundurowanie Wielka Brytania. Pomoc deklarowały również Stany Zjednoczone. Polskie wojsko jako część sił zbrojnych Rzeczypospolitej wspólnie z Armią Czerwoną i wojskami innych państw sojuszniczych miało walczyć przeciwko Niemcom. Podczas walki Polskie Siły Zbrojne miały operacyjnie podlegać Naczelnemu Dowództwu ZSRR, z nim też strona polska miała uzgadniać sprawy organizacyjne i personalne. Dowódcą Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR mianowano gen. Władysława Andersa, więzionego od lutego 1940 roku przez NKWD na Łubiance w Moskwie.

Dwa dni wcześniej 12 sierpnia Prezydium Rady Najwyższej ZSRR ogłosiło dekret o amnestii dla obywateli polskich pozbawionych wolności na terytorium ZSRR. Na podstawie dekretu wolność odzyskali żołnierze polscy wzięci do niewoli przez Armię Czerwoną po 17 września 1939 r. oraz obywatele polscy deportowani w głąb Rosji od początku wojny. Wszyscy oni formalnie uzyskali prawo swobodnego wyboru miejsca zamieszkania na terytorium ZSRR z kilkoma wyjątkami dotyczącymi stref zamkniętych. Jednakże początkowy entuzjazm swobody

poruszania się i nadzieja na rychły powrót do domu okazał się przedwczesny. W praktyce w wyniku utrudnień ze strony urzędów i odpowiednich służb zesłańcy zmuszani byli do pozostania w dotychczasowych miejscach pobytu.

Wkrótce gen. Anders wydał pierwszy rozkaz o formowaniu polskich sił zbrojnych oraz apel do obywateli polskich o wstępowanie do wojska.

Już 23 sierpnia podjęły pracę komisje rekrutacyjne w obozach jenieckich. Praktyczne formowanie jednostek rozpoczęto we wrześniu w ośrodkach: w Tatiszczewie i w Tockoje, gdzie powstały dwie dywizje piechoty nazwane później: 5. Wileńska i 6. Lwowska, z pułkami piechoty i artylerii lekkiej, dywizjonami artylerii przeciwlotniczej i kawalerii, batalionami czołgów, saperów, łączności i sanitarnym. Siedziba dowództwa armii mieściła się początkowo w Buzułuku, mieście położonym nad rzeką Samarą przy granicy z Kazachstanem, w obwodzie czkałowskim. Wszystkie jednostki pozadywizyjne rozlokowały się w Kołtubance. Trzy miejscowości, w których formowały się polskie oddziały: Buzułuk, Tockoje, Kołtubanka leżały w pobliżu Kujbyszewa (dziś Samara) na Powołżu, natomiast Tatiszczewo w pobliżu Saratowa.

W Kujbyszewie mieściła się w tym czasie siedziba ambasady polskiej, do której wkrótce przybył ambasador polski w ZSRR prof. Stanisław Kot, organizując wszechstronną pomoc dla Polaków. Znając stan zaplecza tworzącej się armii, ambasada polska ostrzegała zesłanych i dotychczas więzionych przed pośpiesznym ruszaniem w podróż. Jednak przekonanie o potrzebie wyjazdu z miejsc przymusowego osiedlenia i nadzieja na poprawę bytu były tak silne, że nic nie mogło powstrzymać ludzi przed wyruszeniem do ośrodków formowania.

Do wspomnianych miejsc koncentracji zaczęli przybywać Polacy zwalniani na mocy amnestii z łagrów, więzień i miejsc zesłania ze wszystkich stron Związku Radzieckiego. Do żołnierzy rekrutowanych z zesłańców i internowanych dołączyła liczna grupa żołnierzy zmobilizowanych w 1940 roku do Armii Czerwonej ze wschodnich terenów Rzeczpospolitej oraz z tak zwanych strojbatalionów. Według niektórych źródeł zwolniono wówczas około 300 tysięcy Polaków, którzy masowo zgłaszali się do wojska. Jednak nie wszystkim chętnym jeńcom i zesłańcom dane było zostać żołnierzami Armii Polskiej. Kilkanaście miesięcy pobytu w trudnych warunkach w obozach i ciężka wycieńczająca praca fizyczna, głównie w lasach, bez należytego pożywienia, spowodowały znaczne pogorszenie kondycji deportowanych. Ich stan zdrowia nie ulegał poprawie, wręcz przeciwnie. Ulegał pogorszeniu po przebyciu odległej i w męczących, niekiedy koszmarnych warunkach wielotygodniowej podróży do miejsc rekrutacji. Wśród chętnych do wstąpienia do polskiego wojska śmierć zbierała nowe ofiary. Wielu zmarło w drodze z głodu, zimna i chorób. Ocenia się, że ogromna liczba amnestionowanych nigdy nie dotarła do miejsc zgrupowania.

Również stan zdrowia tych, którzy stanęli przed komisjami poborowymi nie był najlepszy i pozostawiał wiele do życzenia. Część z nich było niedożywionych i wycieńczonych, wielu z nich chorowało. Jednak byli zdeterminowani i za wszelką cenę chcieli wstąpić do tworzącej się armii, traktując wstąpienie do polskiego wojska jako sprawę życia lub śmierci. Uważali, że tylko w ten sposób mogą wydostać się z miejsc przymusowego zesłania.

Mimo różnych przeszkód i trudności napływ ochotników był tak duży, że już w pierwszym okresie wcielono do armii 25 tysięcy byłych jeńców i zesłańców. 15 października 1941 r. stan liczebny Armii Polskiej wynosił 38 173 żołnierzy i oficerów, a w połowie listopada 44 tysiące. Tym samym znacznie zostały przekroczone ustalone limity osobowe dla planowanych dwóch dywizji.

Problemem był brak kadry oficerskiej. Do organizowanego wojska nie zgłaszali się oficerowie więzieni wcześniej w sowieckich obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Polskie instytucje zainteresowane ustaleniem miejsca ich pobytu odnalazły jedynie 400 oficerów w Griazowcu, przeniesionych tam z trzech wspomnianych obozów wiosną 1940 roku. Jednakże odpowiedzialne służby sowieckie nie tylko nie udzieliły odpowiedzi o miejscu pobytu kilkunastu tysięcy oficerów, ale utrudniały również prowadzenie poszukiwań.

Zakwaterowanie i zaopatrzenie w obozach mobilizacyjnych nie było sprawą łatwą. Obozy tylko częściowo posiadały stałe budynki murowane czy drewniane. Żołnierze kwaterowali w większości w namiotach i ziemiankach, jakie sami budowali. Sami też budowali drogi dojazdowe, pracowali w okolicznych kołchozach przy zbiorach zbóż, ziemniaków, kapusty i buraków, aby zdobyć żywność dla kuchni wojskowych.

Do obozów przybywali nie tylko mężczyźni, ale także kobiety i dzieci, licząc na pomoc i poprawę dotychczasowych warunków życia. Utrzymanie tej dodatkowej, licznej grupy członków rodzin żołnierzy bez uzupełnienia środków finansowych, bez dodatkowych przydziałów żywności było zadaniem niezwykle trudnym i siłą rzeczy spowodowało uszczuplenie racji żywnościowych dla żołnierzy.

Ze względu na szacowane liczby ochotników podjęto starania o uzyskanie zgody strony radzieckiej na powiększenie stanu osobowego Armii Polskiej w ZSRR najpierw do 70 tysięcy a potem do 96 tysięcy. Równocześnie z drugiej strony uwzględniano przekazanie nadwyżki 10 tysięcy żołnierzy do Anglii, jako uzupełnienie dla polskiego lotnictwa, marynarki oraz 1. Korpusu Polskiego w Szkocji, a także Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich na Bliskim Wschodzie.

Prowadzenie przez Związek Radziecki wojny z Niemcami, których wojska po zajęciu Białorusi i Ukrainy, blokadzie Leningradu, zagrażały Moskwie i republikom kaukaskim spowodowało opóźnienia w wyposażeniu Armii Polskiej w broń i sprzęt

wojskowy. Umundurowanie, płaszcze, odzież, buty w większości dostarczyli Brytyjczycy dopiero w listopadzie 1941 roku. Ostatecznie Rosjanie wycofali się z wcześniejszych uzgodnień, uzbroili i wyposażyli tylko jedną 5. Dywizję Piechoty, domagając się jak najszybszego jej skierowania na front. Jednak polskie dowództwo nie wyraziło na to zgody, podnosząc, że pojedyncza polska dywizja użyta do walki mogłaby ulec zagładzie.

Te i inne trudności, a w szczególności stan zdrowotny żołnierzy, brak ich przygotowania do działań na froncie, polityczne aspekty decyzji udziału Armii Polskiej wspólnie z Armią Czerwoną w walce z Niemcami, stanowiły podstawę do rozważania ewakuacji Armii Andersa na Bliski Wschód.

Do rozładowania napięcia przyczyniła się wizyta gen. Władysława Sikorskiego, którą złożył w ZSRR w grudniu 1941 roku. W wyniku rozmów ustalono zwiększenie stanu Armii Polskiej w ZSRR do 96 tysięcy żołnierzy. Uzgodniono ponadto przemieszczenie Armii do cieplejszych południowych rejonów ZSRR oraz ewakuację 25 tysięcy żołnierzy na Bliski Wschód i do Anglii. Strona radziecka wyraziła też zgodę na zwolnienie Polaków odbywających służbę w sowieckich batalionach pracy, tak zwanych strojbatalionach.

Od 15 stycznia 1942 r. rozpoczęło się trwające przez kilka tygodni przemieszczanie oddziałów Armii Polskiej z dotychczasowych miejsc zgrupowania do Kazachskiej, Uzbeckiej i Kirgiskiej Republiki. 5. Dywizja Piechoty została skierowana do Dżalalabadu w Republice Kirgiskiej, a 6. dywizja do miejscowości Szachriziabs w wschodnim Uzbekistanie, natomiast dowództwo i sztab armii przeniesiono do Jangi-Jul koło Taszkientu.

Jednocześnie trwały starania o kolejny nabór rekrutów, aby dać możliwość dotarcia do polskiego wojska jak największej liczbie pozostałych Polaków przebywających jeszcze na terenie ZSRR. Z zaciągu nowych ochotników sformowano następne dywizje w Kermine i w Margelanie w Uzbeckiej Republice oraz w miejscowościach Czokpak i Ługowaja w południowym Kazachstanie.

Przez cały okres formowania armii z powodu niedożywienia, awitaminozy, klimatu i warunków bytowych problemem była duża zachorowalność żołnierzy na tyfus, żółtaczkę, dyzenterię i malarię. Problemy natury zdrowotnej występowały też po przemieszczeniu 5. i 6. dywizji do południowych republik. Co prawda warunki zakwaterowania były korzystniejsze niż w Tatiszczewie czy Tockoje, jednak cieplejszy, ale malaryczny klimat powodował wśród żołnierzy epidemie żółtaczki i dyzenterii, a zwłaszcza malarii, które dziesiątkowały szeregi wojska. Jak podają niektóre źródła na 47 tysięcy żołnierzy, którzy zachorowali na różne choroby, zmarło ich aż 3 tysiące.

Na podstawie porozumień polsko-radziecko-brytyjskich część Armii Polskiej została ewakuowana do Iranu w celu wzmocnienia sił aliantów na Bliskim

Wschodzie. Masowa ewakuacja polskiego wojska i ludności cywilnej nastąpiła drogą morską z Krasnowodska w radzieckim Turkmenistanie przez Morze Kaspijskie do Pahlewi na północy wybrzeża irańskiego. Odbyła się ona w dwóch etapach w marcu-kwietniu i sierpniu-wrześniu 1942 roku. Według szacunków brytyjskich przyjechało w tym czasie ze Związku Radzieckiego łącznie 116 131 obywateli polskich, w tym 75 003 wojskowych i 41 128 cywilów. Blisko połowę ludności cywilnej stanowiły dzieci i młodzież do lat 18.

Tu można dodać, że po brytyjsko-radzieckiej inwazji w sierpniu 1941 roku Iran znajdował się pod okupacją, a port w Pahlewi był położony w strefie radzieckiej.

W jednym z internetowych artykułów o exodusie sybirskich zesłańców z Rosji do Iranu w 1942 roku można przeczytać takie oto fragmenty*: Statki z Krasnowodska przybywały rażąco przeładowane. Każdy wolny kąt na okręcie zapełniony był pasażerami. Ludzie wyglądali jak chodzące szkielety otuleni łachami i zawszeni. Sciśle tuląc swoje tobołki, schodzili ze statków w Pahlavi i całowali ziemię perską. Wielu z nich siadało na wybrzeżu, modliło się i płakało z radości. Byli wolni (...)*

Prowizoryczne miasteczko ponad 2000 namiotów (dostarczonych przez armię Iranu) zostało sprawnie wzniesione na wybrzeżu w Pahlevi, by dać uchodźcom schronienie. Rozciągało się ono przez kilka mil po obydwu stronach laguny: olbrzymi kompleks łaźni, latryn, budek dezynfekcji, pralni, sypialni, piekarni i szpital. Każdy wolny dom w mieście został zarekwirowany, każde krzesło z lokalnego kina przywłaszczone. Mimo to wszystkiego było za mało.

Ze względu na trudności aprowizacyjne, jak również związane z zapewnieniem kwater dla tysięcy ewakuowanych, podjęto decyzję o przemieszczeniu ludności cywilnej po odbyciu kwarantanny do Teheranu. Niestety tu również z powodu wcześniejszego niedożywienia i złego stanu zdrowotnego oraz z powodu nieprzestrzegania zasad higieny problemem okazały się choroby. Warunki sprzyjały zachorowaniom na dyzenterię, tyfus, dur brzuszny oraz najróżniejsze wysypki. Spośród ewakuowanych w Pahlewi zmarło 568 osób. Podobnie w Teheranie. Mimo otoczenia opieką, jaka tylko była możliwa w warunkach wojennych, przy rozmaitych ograniczeniach zaopatrzeniowych zmarło tu 2119 osób.

We wszystkich dostępnych opracowaniach i wspomnieniach podkreślana jest wyjątkowa życzliwość społeczeństwa irańskiego do Polaków. W przywołanym wcześniej artykule można przeczytać: *Zmaltretowani, chorzy i zaniedbani polscy uchodźcy bardziej byli żywieni uśmiechem i życzliwością zwykłych Irańczyków niż pokarmem rozdawanym przez brytyjskie i irańskie wojsko. Iran przeżywał wtedy jeden z cięższych okresów swojej historii. Z powodu okupacji kraju przez Rosjan i Brytyjczyków, stosunki pomiędzy żołnierzami tych krajów były ze zrozumiałych względów trudne i napięte. Z Polakami natomiast nawiązał się natychmiastowy kontakt na wszystkich szczeblach władzy, od najniższych do najwyższych warstw*

społecznych (...) Świeckie władze Iranu oraz wiele prywatnych osób zwalniały domy by umieścić w nich dzieci. Wkrótce powstały szkoły, szpitale i organizacje służące rosnącej kolonii.

Wśród ochotników, którzy różnymi drogami, różnymi środkami lokomocji, próbowali dostać się do ośrodków formowania Armii Polskiej byli również przebywający na zesłaniu zupełnie młodzi i dojrzali mężczyźni i kilka kobiet o czernielowskich korzeniach: Franciszek Niebieszczański z Republiki Komi, a wcześniej z Buchtanki koło Płotyczy, bracia Jan i Józef Piotrowscy, synowie Mikołaja również przebywający w Republice Komi, ale w Werch Lapomosie, a przed deportacją na kolonii w Woli Gołuchowskiej. Nie udało się ustalić, z jakich stron zesłania przybyli do punktu zbornego Jan i Józef Piotrowscy, synowie Józefa i Marceli, z d. Kolasa. Z Ozierek nad Tawdą w swierdłowskiej obłasti wyruszyła prawdopodobnie liczna grupa zdeterminowanych ochotników, a wśród nich: Janina Ratowska i jej brat Józef Ratowski, ich ojczym Paweł Sowa, Franciszka Kolasa, córka Wiktorii, bracia Franciszek i Jan Sokołowscy, Józef Marchewka, mąż Marii, z d. Nietreba. Niemal wszyscy oni pochodzili z kolonii w Borkach Wielkich, ale urodzili się w Czernielowie lub przez dłuższy czas tam mieszkali. Zabrakło kilku członków ich rodzin, zmarli na Sybirze, a wśród nich Piotr Sokołowski i Rozalia Sowa, żona Pawła Sowy i matka Janiny i Józefa Ratowskich. O pozostałych zmarłych zesłańcach o czernielowskich korzeniach była już uprzednio mowa.

Niewiele udało się uzyskać informacji o trudach długiej drogi, którą musieli pokonać, by dotrzeć do miejsc zgrupowania. Ich przeżycia, kłopoty i perypetie były zapewne podobne do przeżyć i problemów innych zesłańców. Tylko niesamowita determinacja i nieugięta wola wydostania się z przymusowego miejsca osiedlenia dawała im siłę do pokonania tak ogromnych odległości i tak wielu przeszkód.

Wraz z ochotnikami do wojska wydostała się z miejsc zesłania znaczna część członków ich rodzin: dzieci, żony, rodzice, młodsze rodzeństwo. Na terenie Związku Radzieckiego w dotychczasowych miejscach deportacji i w nowych ośrodkach pracy po uzyskaniu możliwości przemieszczania się, została jednak wielotysięczna rzesza Polaków, których z różnych powodów nie stać było na odbycie dalekiej podróży. Zostały też polskie cmentarze, przynajmniej na jakiś czas dokumentujące, że tu przebywali Polacy.

Ci członkowie rodzin, którym udało się wraz z wojskiem wyjechać towarzyszyli im aż do Iranu. Na podstawie rodzinnych przekazów i wspomnień różnych osób przebywających na Sybirze spokrewnionych z czernielowianami można wymienić kilkoro z nich: żonę Franciszka Niebieszczańskiego - Annę Niebieszczańską z córką Stanisławą i synem Kazimierzem, matkę Franciszki Kolasy - Wiktorię Kolasę z dorosłą córką Marią Studenną (siostrą Franciszki), matkę Franciszka i Jana Sokołowskich - Katarzynę Sokołowską, żonę Józefa Marchewki -

Marię Marchewkę z Nietrebów, z córką Janiną i synem Kazimierzem. O niektórych z nich będzie mowa w podrozdziale *Zakończenie wojny. Ludzkie losy.*

Nie wiadomo do końca pod czyją opieką przebywała prawdopodobnie sześcioletnia w 1942 roku córka Rozalii i Pawła Sowów i czy faktycznie Paweł Sowa wstąpił do Armii Andersa. Być może opiekowała się nią krewna Katarzyna Sokołowska, z d. Ratowska, żona Piotra.

Jednymi z nielicznych wspomnień Sybiraków o czernielowskich korzeniach opowiadających o opuszczeniu miejsca zesłania i tułaczej wędrówce do wojska lub do bezpieczniejszych obozów są cytowane już wspomnienia Janiny Marchewki, przedstawione przez nią w korespondencji w 1995 roku do swego kuzyna Zbigniewa Kubowa. Oto dalsze ich fragmenty opisujące podróż rodziny Marchewków po wyjeździe ze Swierdłowska, a wcześniej z Ozierek: *Podróż była długa i uciążliwa. Ojciec i inni mężczyźni wyglądali pociągów, aby na czas można było kupić bilety. Mama siedząc na tych znikomych bagażach, trzymała Kazika, który potrzebował opieki w takim tłoku, a ja pilnowałam sucharów i suszonych kartofli, bo to było najważniejsze nasze pożywienie w podróży. Potrzeba było tylko rosyjskiego kipiatku, żeby czymś gorącym popić. I tak z wielkim trudem dojechaliśmy do Taszkientu, a stąd do Jakobaku, bo tu podobno formowały się oddziały wojska polskiego. Ale ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich żadnego wojska tu nie było. Wtedy po kilku dniach rozesłali nas po uzbeckich kołchozach, po kilka rodzin. Tu byliśmy chyba ze dwa miesiące. Akurat to był okres, kiedy mogliśmy oczyścić się z wszy zapożyczonych w rosyjskich pociągach towarowych zwanych tiepłuszkami. Dopiero wtedy zaczęło formować się wojsko polskie i ponownie cała nasza rodzina i niejaka rodzina Krasnickich ze Stryjówki wróciliśmy do Jakobaku. Tu trzeba było znaleźć mieszkanie. Udało nam się wynająć mieszkanie na osiem osób u niejakiej Ormianki i to było lepsze niż nic, bo miejsca każdy miał tyle, aby się położyć. Tu pamiętam, że ojciec i pan Kraśnicki przechodzili komisyjne badanie, aby wstąpić do wojska polskiego, ale niespodziewanie wszyscy rozchorowali się na tyfus i wszyscy leżeli pokotem w kibitce. Z wojska nic nie wyszło, bo szpitale były przepełnione, ludzie leżeli po korytarzach, a ci, co mieli jako takie pomieszczenie, to ich nie przyjmowali. A ja ze wszystkich byłam chyba najsilniejsza. Rano wychodziłam na markiet, kupowałam białą cebulę, która jest dość słodka i parę lepioszek (rodzaj placków, które służyły zamiast chleba), czasami kupiłam kefir i z tym po drodze z bańką wstępowałam do opieki społecznej, gdzie po kilku godzinach dostawałam trochę zupy dla ośmiu osób. Chyba dobrze po obiedzie wracałam do kibitki, gdzie każdy dostał swoją porcję zupy i tej cebuli z lepioszką, a w wypadku, gdy udało mi się kupić kefir, to cebulę mieszaliśmy z kefirem. Ale tu w Jakobaku dopiero zaczęły panować wszystkie możliwe choroby, jak tyfus plamisty, brzuszny, dyzenteria, a dzieci chorowały na odrę, na szkarlatynę i inne choroby, a najbardziej temu wszystkiemu sprzyjał klimat względnie ciepły, ale*

wilgotny. I tak na krótko przed Wielkanocą 1942 roku wyruszył pierwszy transport wojska i trochę rodzin, wśród nich nasza rodzina. Przepłynęliśmy przez Morze Kaspijskie do Pahlewi. Tu wszystko i wszystkich zdezynfekowali, tak mężczyzn jak i kobiety na czele z dziećmi. Wszystkim pogolili głowy. Na szczęście mama i ja miałyśmy głowy czyste, to nam nie strzygli. I tak staliśmy, bo jeszcze nieco bagaży mieliśmy, wszystko trzeba było rzucić w ogień. Niestety, musieliśmy też rzucić do ognia mój płaszcz, w którym mama wcześniej zaszyła trochę ruskich czerwieńców. Taki był rozkaz władz. Mówili, że wszystko da nam Czerwony Krzyż. Załadowali nas do odkrytych ciężarówek i z Pahlewi perscy żołnierze wieźli nas po górzystym terenie co najmniej dwa dni bez przerwy. Przyjechaliśmy do Teherenu. Tu po kilku dniach ojciec wstąpił do wojska. Pamiętam, że gdy dostał pierwszy żołd, oddał go matce. Mama wtedy kupiła kawałeczek materiału i w ręku uszyła dla mnie białą sukienkę do I Komunii św. Ja nie byłam w Polsce do Pierwszej Komunii, dopiero w Teheranie w 1942 roku. Nie zapomnę pożegnania z ojcem, gdy żegnając się, powiedział do mnie: pomagaj mamie i dbaj o brata.

Wśród Polaków, przed wojną mieszkańców Stupek położonych w pobliżu Czernielowa, którym udało się z miejsc zesłania dotrzeć do punktów werbunkowych tworzącej się Armii Andersa byli Wojciech Koryluk, Jan Demczuk oraz Marian i Bronisław Czepczakowie. Różne były ich drogi, różne były koleje ich życia, niestety nie zawsze do końca szczęśliwe.

Los Wojciecha Koryluka przedstawiła w skrócie we wspomnianym już opracowaniu genealogicznym jego prawnuczka Sylwia Rembecka:

Po kampanii wrześniowej Wojciech Koryluk został internowany na granicy litewskiej, a w 1940 roku po anektowaniu terytorium Litwy przez ZSRR, wraz z innymi polskimi żołnierzami przekazany NKWD i wywieziony do łagrów w głąb Związku Radzieckiego. Po podpisaniu układu Sikorski-Majski razem z innymi internowanymi wypuszczono go na wolność, trafił do rejonu formowania i został ponownie żołnierzem polskiego wojska. W listach do żony Anny, przebywającej z córką Eugenią i synem Fryderykiem oraz matką Anny na zesłaniu w Północnym Kazachstanie, pisał, w jak trudnych warunkach powstaje nowa Armia Polska, narzekał na braki w wyposażeniu. Był dumny, że dane mu było walczyć pod wodzą generała Andersa i w imię ukochanej ojczyzny, cieszył się, że dzięki temu znów niedługo będą razem. Jego późniejsze losy zostaną pokrótce nakreślone w dalszej części.

Marian Czepczak, kowal oraz Jan Demczuk, sprawujący kilka lat funkcję sołtysa Stupek, w dniu 3 kwietnia 1940 r. zostali aresztowani przez Rosjan i osadzeni w więzieniu w Tarnopolu. Przed wstąpieniem Niemców do Lwowa, a więc przed 2 lipca 1941 r. więźniowie z Tarnopola zostali przewiezieni w głąb Rosji.

Jak potoczyły się losy Bronisława Czepczaka, syna Mariana, wiadomo z jego biografii w opracowaniach o cichociemnych oraz z jego referatu wygłoszonego dla jednostek specjalnych USA w październiku 1995 roku.

Przebywał on na zesłaniu z matką i dwiema siostrami w północnym Kazachstanie, o czym była mowa w podrozdziale *Wywózki na Sybir*. We wspomnianym referacie relacjonował: *We wrześniu 1941 roku zebrano Polaków na fermie i oficer NKWD ogłosił, że na mocy polsko-sowieckiego porozumienia jesteśmy od dziś obywatelami polskimi i nasz status jest taki sam jak obywateli sowieckich. Polsko-sowiecka umowa wojskowa z 14 sierpnia 1941 r. umożliwiała formowanie armii polskiej w ZSRR. W styczniu 1942 roku trzech Polaków pracujących na fermie zdecydowało się na wstąpienie do wojska. Byłem jednym z nich. Decyzja nie była łatwa. Musiałem zostawić rodzinę, ale matka i siostry uznały, że to słuszna decyzja*.

Po kilku dniach wyruszyliśmy do odległego o 200 km Pietropawłowska - stacji Kolei Transsyberyjskiej. Była śnieżna i mroźna zima, a nasze połatane ubrania i buty nie chroniły przed 40-stopniowym mrozem. Maszerowaliśmy przez 12 dni, zanim weszliśmy do budynku zatłoczonego polskimi ochotnikami z północnego Kazachstanu. Otrzymaliśmy chleb, zupę i machorkę.

Po trzech dniach wsiedliśmy do znanych już bydlęcych wagonów i przez Omsk, Semipałatyńsk, Ałma-Atę i Czokpak dotarliśmy do stacji Ługowaja u podnóża Gór Kirgiskich. Ośnieżoną dolinę rzeki Kuragaty wypełniały płócienne namioty. Następnego dnia po rejestracji otrzymałem zimowe, angielskie sorty mundurowe.

Nasz namiot chronił od wiatru, ale nie był ogrzewany i musieliśmy spać w mundurach, okryci kocami. Twarze i ręce mogliśmy myć wodą z rzeki. Śmiertelność wśród przybywających z łagrów była duża.

W nocie biograficznej cichociemnych można przeczytać, że Bronisław Czepczak wstąpił do Armii gen. Andresa 11 lutego 1942 r. w miejscowości Ługowaja i 26 lutego został przydzielony do 28. Pułku Piechoty 10. Dywizji Piechoty (kompania kaemów), a 15 marca przeniesiono go do 1. baonu 28. pp.

W referacie dla jednostek specjalnych Stanów Zjednoczonych Bronisław Czepczak opowiedział swoje dalsze losy: *Mieliśmy szczęście - w końcu marca przepłynęliśmy Morze Kaspijskie na sowieckim statku „Profsojuz" i 1 kwietnia 1942 r. wysiedliśmy w porcie Pahlevi. Po oględzinach lekarskich i kąpieli otrzymaliśmy tropikalne sorty mundurowe. Nasze stare ubrania polano benzyną i spalono na plaży w obawie przed tyfusem. Do Iranu przedostało się około 70 000 żołnierzy i 38 000 cywilów. Po odpoczynku przez Kazvin, Hamadan, Khanaqin i Bagdad dotarliśmy do obozu nad jeziorem Habbaniya. Następnie przez piaszczyste pustynie Iraku, wzdłuż rurociągu naftowego ruszyliśmy kamienistą pustynią do Palestyny.*

Po pewnym czasie nastąpiła selekcja i po rozmowie z trzema nieznanymi mi cywilami zapytano mnie, czy chciałbym walczyć w kraju. Byłem zaskoczony, ale dla

Na przepustce w Tel Awiwie, 2 sierpnia 1942 z lewej Bronisław Czepczak z kolegą z Kompanii Szkolnej Łączności Radiowej

Bronisław Czepczak podczas kursu łączności w Ayr, Szkocja, 1 września 1943 r.

Na ćwiczeniach w Palestynie, Al-Moghar, strzelnica w Riszonie, lipiec 1942 r.

Palestyna(Gedera), październik 1942 r. z prawej Bronisław Czepczak ze Stanisławem Królikiem

Palestyna 1942, z lewej Stanisław Królik, w środku Bronisław Czepczak

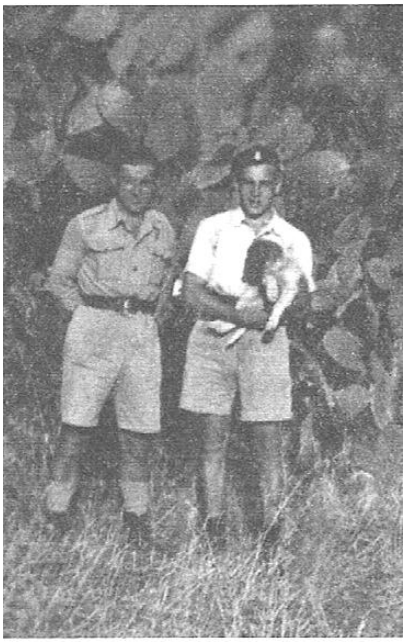

Z prawej Bronisław Czepczak we Włoszech przed Casa Bianca, 1944 r.

młodego człowieka była to propozycja nie do odrzucenia. Podpisałem zgodę, a ponieważ obowiązywała mnie tajemnica, mówiłem kolegom, że może wezmą mnie do pancerniaków lub nawet do lotnictwa.

Pewnego dnia przewieziono mnie do małego obozu, ukrytego za ziemnym wałem. Zebrano tam łącznie 60 ochotników przydzielonych do Oddziału Specjalnego Sztabu NW (Naczelnego Wodza - dop. K.M.)*. Była to Szkoła Łączności Radiowej w Al Mughar - położona o 5 km na południe od Rehovot. Gimnastyka, biegi i strzelnica, a przede wszystkim dobre wyżywienie i młodość szybko poprawiły naszą kondycję. Przez 4 miesiące byliśmy odizolowani, a następnie organizowano nam wycieczki do Tel Awiwu, Jerozolimy i innych ciekawych miejsc, ale zawsze w grupie. Żyliśmy jak dobrze wykarmieni mnisi.*

W październiku z Suezu popłynęliśmy do Durbanu i w obozie Clairwood (w Unii Południowoafrykańskiej) kontynuowaliśmy nasze radiowe lekcje.

Więcej szczegółów z dokładnymi datami, nazwami miejscowości i ośrodków szkolenia dostarcza wspomniana nota biograficzna. Wynika z niej, że Bronisław Czepczak poprzez Madagaskar 8 kwietnia 1943 r. z Kapsztadu na statku „Quinn Mary" przez Sierra Leone wyruszył w podróż do Szkocji. Do Greenock w Szkocji dotarł 22 kwietnia. Tu przebywał w Auchterrtool i Polmont, gdzie mieścił się Ośrodek Wyszkolenia Łączności Oddziału VI Sztabu NW. 21 lipca ukończył kurs spadochronowy, a 21 września 1943 r. został mianowany starszym strzelcem podchorążym.

We fragmentach referatu wygłoszonego przez Bronisława Czepczaka w październiku 1995 roku na temat jego szkolenia można przeczytać: *Szkolenia w Anglii odbywaliśmy w małych grupach liczących 40-60 osób. Nie mogliśmy spotykać się z kolegami z innych grup. Było to konieczne ze względu na możliwe przypadkowe spotkanie w Polsce i dekonspirację. Musieliśmy się stać prawdziwymi cywilami, zapomnieć o wojskowym sposobie zachowania, ponieważ mieliśmy lecieć w cywilnych ubraniach, odpowiednich do opracowanego fałszywego życiorysu. Zostaliśmy poddani trudnym i różnorodnym treningom dotyczącym sabotażu, dywersji, łączności, wywiadu, walk partyzanckich, użycia różnego rodzaju broni. Były też kursy specjalistyczne i kursy związane z określonym zadaniem. Oczekiwano też, że będziemy instruktorami zdolnymi przekazać naszą wiedzę żołnierzom podziemia.*

Z powodu ostrej selekcji nasza grupa ciągle się zmniejszała. Ostatni kurs obejmował opracowanie fałszywego życiorysu i alibi. Końcową częścią treningu było pozorowane przesłuchanie, prowadzone z zaskoczenia. Instruktorzy wpadali podczas snu, budzili nas (nawet w przebraniu Gestapo) i zaczynali brutalne śledztwo, sprawdzając nasze zachowanie w momencie zaskoczenia. To doświadczenie okazało

się przydatne w realnym świecie, ponieważ koledzy poddani prawdziwym torturom i presji psychicznej najczęściej nie ujawniali żadnych informacji i kontaktów.

Praca radiooperatorów wymagała determinacji - złapany z aparatem wiedział, że czeka go śmierć. Walka z pelengacją (namiarem) polegała na częstych zmianach miejsca nadawania i częstotliwości i krótkim przebywaniu w eterze. Praca była trudna, gdyż aparaty miały małą moc (15-20 W). Zwiększenie mocy zwiększało ryzyko wykrycia.

Po ukończeniu w październiku Szkoły Podchorążych Łączności i kursu dywersyjnego Bronisław Czepczak brał udział w krótkim zgrupowaniu w Stanmore pod Londynem. Wkrótce wraz z innymi łącznościowcami odpłynął na pokładzie statku w konwoju z Liverpoolu przez Gibraltar do Neapolu. Przypłynęli 8 listopada 1943 roku. Z Neapolu pociągiem ze sprzętem udał się do Taranto. Ich zadaniem było zbudowanie Bazy Radio do komunikowania się z Armią Krajową. Pracował jako radiotelegrafista w bazie łączności z krajem o kryptonimie „Mewa" (dla kraju „Jutrzenka"), położonej pomiędzy Latiano a Masagne w Brindisi (Baza nr 11). W grudniu 1943 roku nawiązał łączność z Polską.

Bronisław Czepczak został jednym z cichociemnych. O jego dalszych losach będzie jeszcze wzmianka.

Nie wiadomo, w jakim rejonie Związku Radzieckiego przebywał Marian Czepczak, ojciec Bronisława, kowal ze Stupek, jak wspomniano aresztowany przez NKWD 3 kwietnia 1940 roku i więziony początkowo w Tarnopolu, a gdy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka wywieziony wraz z innymi osadzonymi w głąb Rosji.

Po wojnie poprzez Międzynarodowy Czerwony Krzyż Bronisław Czepczak -Górecki ustalił, że jego ojciec wstąpił do wojska 2 lutego 1942 r. Niestety po trudach więzienia i drogi do zgrupowania w Ługowoje był chory i jako chory wyjechał z Armią Andersa. Był jednak w tak kiepskim stanie, że po przyjeździe do Iranu zmarł 12 października 1942 r. w szpitalu w Teheranie. Tam został pochowany na polskim cmentarzu.

Również aresztowany przez Rosjan razem z Marianem Czepczakiem Jan Demczuk, sołtys ze Stupek w latach 1934-39, trafił do miejsca zesłania na terenie ZSRR. Niestety, nie udało się ustalić, gdzie przebywał do września 1941 roku. Na pewno nie był razem z Marianem Czepczakiem. W października 1941 roku udało mu się dotrzeć do Fermy nr 3, w pobliżu kołchozowej wsi Dmitrówka, miejsca zesłania jego żony Stefanii, córeczki Janeczki, siostry Anny Cembrowskiej oraz rodziny Czepczaków. Ten moment opisał w swoich wspomnieniach *Na szachownicy losu. Wspomnienia skoczka* Bronisław Czepczak-Górecki: *Na początku października powrócił z lagru mąż Demczukowej, wymizerowany straszliwie, chory na czerwonkę. Znajomi podali mu adres żony jeszcze w więzieniu w Tarnopolu. O moim ojcu wiedział tylko, że tak jak i on został wywieziony z Tarnopola na początku czerwca*

1941 roku. Więcej o ojcu nie słyszał. Oczekiwaliśmy z nadzieją, że nas odnajdzie – nadaremnie. Przez cały miesiąc Demczuk leczył się jakimiś serkami, przywożonymi przez dobrych ludzi z masłobojni na naszej fermie.

Niestety, pobyt Jana Demczuka na fermie hodowlanej nie trwał długo. Tu trzeba wrócić do referatu Bronisława Czepczaka, gdy mówił o trzech Polakach pracujących na fermie, którzy w styczniu 1942 roku wstąpili do polskiego wojska. We wspomnieniach *Na szachownicy losu* napisał, że wezwania do Armii Polskiej oprócz niego przywieziono właśnie dla Demczuka i Franka Bodnara. Stąd wiadomo, że po długiej, trwającej kilkanaście dni podróży w trudnych warunkach Jan Demczuk wraz z Bronisławem Czepczakiem wstąpił do Armii Andersa w miejscowości Ługowoja, a potem przez Krasnowodsk znalazł się w Iranie. Tu ich losy rozdzieliły się. Jak wynika z lakonicznej wzmianki we wspomnieniach, z Bronisławem Czepczakiem spotkali się jeszcze raz 27 maja 1942 roku w Jerozolimie. Spędzili razem pół dnia na rozmowach o losach swoich rodzin. Martwili się obaj, czy ich bliscy zostaną objęci ewakuacją.

Niestety, nie wiadomo, w jakiej formacji służył i jaki był żołnierski los Jana Demczuka. Z przekazu rodzinnego wiadomo, że po wojnie krótko przebywał w Anglii, a potem wyjechał do Kanady. Będzie jeszcze o nim mowa.

Na stronie www.straty.pl odnaleziono informacje o urodzonym 10.11.1912 roku w Czernichowie (być może) Czernielowie Antonim Hrycaju. Był strzelcem, szeregowym żołnierzem Armii Polskiej pod dowództwem gen. Andersa w latach 1941-42. Zmarł podczas służby wojskowej 31.07.1942 roku w Kenimech w Uzbekistanie. Był jednym z kilkunastu tysięcy żołnierzy, którzy po wstąpieniu do Armii Andersa zmarli z głodu, chorób, wycieńczenia.

Cmentarz w Kenimech to jeden z wielu cmentarzy w południowych republikach ZSRR, na których spoczywają prochy polskich żołnierzy, którym nie dane było wraz z Armią Andersa znaleźć się w Iranie, a potem dalej szlakiem 2. Korpusu dotrzeć do Włoch.

Antoni Hrycaj to prawdopodobnie mąż Stefanii Hrycaj, ojciec Wacława, po wojnie mieszkających w Sulęcinie. Według Marii Cieplak mąż Stefanii przed wojną był sołtysem w Stryjówce koło Zbaraża. Został wywieziony na Sybir i tam zmarł. Niestety, nic więcej o nim nie udało się ustalić.

Jeszcze w czerwcu 1942 roku rząd brytyjski z zarządami swych kolonii w Afryce Wschodniej na konferencji gubernatorów w Nairobi zdecydował o umieszczeniu Polaków w Kenii, Ugandzie, Tanganice. Do tego postanowienia przyłączyły się Rodezje Północna i Południowa oraz Unia Południowej Afryki. Do przyjęcia Polaków zobowiązał się także Meksyk, a polskich dzieci również rząd Indii. Ogółem w latach 1942-1943 w Afryce Wschodniej rozmieszczono ponad

13 tysięcy Polaków, a w Afryce Południowej około 5 tysięcy. Ze względu na skalę było to wydarzenie bez precedensu w historii kontynentu afrykańskiego.

Temat ten będzie szerzej omówiony w podrozdziale o losach niektórych Sybiraków.

A jaka była dalsza historia polskiego wojska ewakuowanego z terenu Związku Radzieckiego? Pierwsze dni w Iranie wykorzystano na rekonwalescencję, odpoczynek i przemundurowanie, a potem miały miejsce reorganizacje i przemieszczenia oddziałów. Przede wszystkim nastąpiło formalne połączenie ewakuowanych Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR z istniejącym Wojskiem Polskim na Środkowym Wschodzie, czyli na terenie Iranu, Iraku i Palestyny. Właśnie z połączenia tych formacji na podstawie rozkazu Naczelnego Wodza PSZ, gen. broni Władysława Sikorskiego z 12 września 1942 r. została utworzona Armia Polska na Wschodzie, a nominację na jej dowódcę otrzymał gen. Władysław Anders.

Kilka słów o istniejących w tym czasie siłach zbrojnych w tym rejonie: Tu trzeba opowiedzieć przede wszystkim o Brygadzie Strzelców Karpackich stanowiącej dotychczas główne zgrupowanie polskie na Środkowym Wschodzie. Ta polska brygada piechoty została sformowana na wiosnę 1940 roku na francuskim terytorium mandatowym w Syrii przy francuskiej Armii Lewantu. Trzon brygady stanowili zgromadzeni tam kombatanci żołnierze uciekinierzy z obozów internowania w Rumunii i na Węgrzech oraz ochotnicy. Po kapitulacji Francji i opowiedzeniu się dowództwa Armii po stronie rządu utworzonego przez marszałka Pétaina polską brygadę ewakuowano do Palestyny i podporządkowano dowództwu brytyjskiemu. Po reorganizacji na początku 1941 roku otrzymała nazwę Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich i przesunięto ją na terytorium Egiptu, gdzie brała udział w budowie umocnień i fortyfikacji. W sierpniu 1941 roku brytyjskie dowództwo wysłało Polaków do obrony twierdzy Tobruk, drugiego co do wielkości portu Cyrenajki w północnej Afryce o dużym znaczeniu strategicznym. Tobruk stał się w tej części najtrudniejszym obszarem walk w wielomiesięcznej, bo trwającej od stycznia konfrontacji między wojskami III Rzeszy i Włoch a oblężonymi w Tobruku aliantami. Opanowanie miasta-portu wiązałoby się z otwarciem morskiej drogi zaopatrzeniowej dla brytyjskiej armii. Polscy żołnierze stanęli naprzeciw żołnierzy z niemieckiego Afrika Korps Erwina Rommla, bronili zachodniego odcinka obrony twierdzy przez cztery miesiące do początku grudnia. W listopadzie w ramach operacji „Crusader” na odsiecz oblężonym ruszyła brytyjska 8. Armia. W pierwszych dniach grudnia Brytyjczycy ponowili uderzenie i tym razem odepchnęli broniących się zaciekle Niemców. Polska brygada miała w tym czasie za zadanie opanowanie wzniesienia Medauar, co powiodło się po serii zaciętych walk w nocy z 9 na 10 grudnia. Po trzech tygodniach ciężkich zmagań twierdza została wyzwolona.

Straty Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich wyniosły łącznie: 156 zabitych, w tym 127 w Tobruku, 15 zaginionych i 467 rannych.

Po zakończeniu walk o Tobruk Brygadę Strzelców Karpackich włączono w skład brytyjskiej 8. Armii i przerzucono pod Ghazalę we włoskiej Libii. Tam wykonała natarcia, przełamując linię wroga i biorąc licznych jeńców. 17 marca 1942 r. Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich została wycofana z linii frontu. Początkowo skierowano ją do obozu El Amiriya, a następnie do Palestyny, gdzie 3 maja 1942 r. została rozformowana, a na bazie oddziałów brygady powstała 3. Dywizja Strzelców Karpackich.

I to właśnie ta formacja, obok jednostek szkoleniowych została połączona z Polskimi Siłami Zbrojnymi w ZSRR, tworząc Armię Polską na Wschodzie.

Ewakuowane z ZSRR dywizje po krótkim okresie rekonwalescencji w Iranie zostały przetransportowane do Iraku, najpierw do obozu w Chanakin (Khanaquin). Tu rozpoczęły się reorganizacje dywizji. Na bazie 5. Wileńskiej Dywizji Piechoty i 6. Lwowskiej Dywizji wraz z pozostałymi jednostkami dywizyjnymi w marcu 1943 roku utworzono 5. Kresową Dywizję Piechoty. I ta dywizja stanowiła trzon 2. Korpusu Polskiego, w który w maju 1943 roku została przekształcona Armia Polska. Dowódcą Korpusu tak jak Armii Polskiej został gen. Anders. Przez kilka miesięcy od kwietnia do końca sierpnia żołnierze dywizji przechodzili intensywne szkolenie w Kirkuku, a następnie polskie wojsko przeszło przeszkolenie w górach Syrii i włączono je do 8. Armii Brytyjskiej, a od września 1943 roku nastąpiło przegrupowanie dywizji do Palestyny. Klimat w Palestynie był łagodniejszy, a warunki zakwaterowania lepsze niż w Iraku. Dywizję rozmieszczono 20 km na południe od Gazy w rejonie Mughazi-Nuseirat. Polskie wojsko zaczęło otrzymywać nowy sprzęt i uzbrojenie. Lepsze warunki klimatyczne umożliwiły powrót szeregu żołnierzy do zdrowia. Czas wolny wykorzystano na zwiedzanie Ziemi Świętej. Szczególnie pamiętne dla wielu żołnierzy tułaczy było Boże Narodzenie spędzone w 1943 roku w Ziemi Świętej z pasterką w Betlejem.

O poprawę złego stanu zdrowia żołnierzy dbano w wielu szpitalach utworzonych w wojskowych bazach. Poza musztrą i szkoleniami żołnierze spędzali czas w kantynach i świetlicach. I tu, i w szpitalach pracowały dziewczęta i kobiety z Pomocniczej Służby Kobiet.

Trzeba tu przypomnieć, że w strukturze organizacyjnej armii, a potem w 2. Korpusie, znalazł się również batalion Pomocniczej Służby Kobiet, w skrócie PSK, a w żargonie wojskowym „pestki”, w języku angielskim znany pod nazwą: Women’s Auxiliary Service. Ta pomocnicza formacja wojskowa powstała w listopadzie 1941 roku podczas tworzenia Polskich Sił Zbrojnych na terenie Związku Sowieckiego. Zgodnie ze swoją nazwą rolą tej formacji były funkcje pomocnicze na rzecz wojska i ludności cywilnej, zwłaszcza dzieci w warunkach

wojny i nieszczęść cywilów związanych z wojną, ogromnie ważne. Do zadań kobiet służących w PSK należało: opatrywanie rannych, obsługa szpitali i kuchni, praca w szkołach dla sierot wojennych. Pracowały również jako sekretarki w sztabach i świetliczanki. Ochotniczki zgłaszające się do służby w PSK otrzymywały ogólnowojskowe przeszkolenie. Po ewakuacji z ZSRR w ramach Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie odbywały się dalsze kursy dla ochotniczek PSK, między innymi: samochodowe, oświatowe, sanitarne oraz dla aktualnej i przyszłej kadry tej formacji. W związku z tym wiele z nich było później kierowcami i pracowało w kompaniach transportowych.

W czasie wojny stan ochotniczek zmieniał się. W momencie najwyższej liczebności w szeregach PSK służyło około 7 tysięcy ochotniczek, ale zwykle w czynnej służbie było ponad 4 tysiące młodych dziewcząt i kobiet.

Ich postawa i zaangażowanie w pracy zasługiwały na najwyższe uznanie. Oto fragmenty opinii o „pestkach" ze wspomnień Tadeusza Radwańskiego, żołnierza Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich*: Dziewczęta w beretach i kombinezonach łączyły uśmiech młodości z sumiennością i gorliwością... Ćwiczyły, maszerowały, jeździły samochodami, pracowały w szpitalach, aptekach, kantynach, dowództwach itp. Bardzo serio traktowały swoje role… Każda ochotniczka z Pomocniczej Służby Kobiet była autentycznym żołnierzem. Stawała obok nas w każdej pracy. Widzieliśmy ją, jak siedząc za kierownicą, ostrożnie przebywała długie trasy… Zawsze zdążyły na czas i dowoziły do celu powierzony ich pieczy transport... Lekarki i siostry czuwały w naszym szpitalu nad chorymi... Ratowały życie ludzkie, a ta służba i praca wypełniały im dnie i noce... W biurach przekazywały za pośrednictwem drutów ważne wieści i rozkazy lub utrwalały w rytmicznym stukocie sprawy codziennego żołnierskiego życia. W szkołach junackich były nauczycielkami i wychowawczyniami młodzieży. Niosły słowo polskie żołnierzowi w teatrach, kantynach i świetlicach, utrwalały treści humanistyczne w pracy wydawniczej. Były wszędzie tam, gdzie je wzywało życie i służba… Urocze kantyniarki, nie zważając na huk dział, nalewały kawę, bohatersko prowadziły furgony, dowoziły chleb na front… Jednym z wyrazów uznania dla bohaterskiej postawy kobiet w służbie wojskowej była stosunkowo duża liczba przyznanych odznaczeń i wyróżnień.*

W Pomocniczej Służbie Kobiet były co najmniej dwie młode kobiety o czernielowskich korzeniach: Janina Ratowska i Franciszka Kolasa. Obydwie z rodzinami bezpośrednio przed wojną mieszkały w Borkach Wielkich i stąd została wywieziona na Sybir do Ozierek Franciszka Kolasa, natomiast Janinę Ratowską ze starszym bratem Józefem, przyrodnią siostrą Bronisławą, urodzoną w 1936 roku, mamą Rozalią, z d. Rajfur, i ojczymem Pawłem Sową zabrano z Czernielowa Mazowieckiego. Była już o nich kilkakrotnie mowa.

Stefania Górska, z d. Woźniak, we *Wspomnieniach z dzieciństwa i nie tylko*… w 2007 roku pisała, że jej dalsza kuzynka Janina Ratowska była w wojsku, w Armii Andersa.

Stefan Ponka, mąż Franciszki Kolasa

Heliopolis, 23 lipiec 1944 r. w środku Franciszka Kolasa

Franciszka Kolasa

Nie są znane dokładnie szczegóły z przebiegu służby w wojsku obydwu dziewczyn. Wiadomo z przekazu rodzinnego, że były kierowcami. Prawdopodobnie były w kompanii transportowej Pomocniczej Służby Kobiet. Być może Janina Ratowska była w tej grupie, która przenosiła polskie oddziały do Egiptu, a następnie do Włoch na Półwysep Apeniński. Na zdjęciu przesłanym rodzinie Franciszkę Kolasę widać z koleżankami na tle miejskiego pejzażu. Zdjęcie zostało zrobione w lipcu 1944 roku w czasie wycieczki z Kairu do Heliopolis, co ze względu na datę świadczyłoby, że Franciszka raczej nie uczestniczyła w tej operacji we Włoszech.

Być może obydwie, i Franciszka Kolasa i Janina Ratowska spotkały się z Heleną Mołodyńską, która w lipcu 1942 roku pracowała jako świetliczanka w Dżalalabadzie, a potem jako kierowca w kompanii transportowej.

Nie wiadomo zbyt wiele o jej pobycie na Sybirze. Została aresztowana w czasie pierwszej wywózki w lutym 1940 roku, prawdopodobnie przenosząc się po wybuchu wojny z Warszawy do rodziny w Stanisławowie lub w Jarosławiu. (Przed wojną była nauczycielką języka polskiego w szkołach dla polskich dzieci w zagłębiu w Alzacji, a w Toruniu była nauczycielką języka niemieckiego). Nie wiadomo też, w jaki rejon deportacji trafił transport, którym jechała Helena Mołodyńska na Sybir i czym zajmowała się na miejscu zesłania.

Na podstawie zachowanych dokumentów i szczątkowych informacji można spróbować prześledzić jej drogę po opuszczeniu miejsca przymusowego pobytu na Sybirze.

Jak wielu tysiącom polskich zesłańców Helenie Mołodyńskiej udało się dotrzeć do Dżalalabadu w Kirgizji, gdzie od lutego 1942 roku stacjonowała 5. Dywizja Piechoty Armii Andersa, znana jako Wileńska Dywizja Piechoty.

Helena Mołodyńska

Zgłosiła się jako ochotniczka do Kompanii Pomocniczej Służby Kobiet 5. Dywizji Piechoty (skrót: PSK 5. DP), popularnych „pestek". Wspomniano wcześniej, że jak wiele kobiet pracowała w charakterze świetliczanki, opiekując się dziećmi i młodzieżą zdążającymi wraz z rodzicami do tworzącej się Armii Polskiej w Związku Radzieckim, a potem na Bliskim Wschodzie. Mając w 1942 roku 48 lat, do dokumentów związanych ze służbą w wojsku Helena podała datę urodzenia 30.08.1904 r., a więc odmłodziła się o 10 lat. Miało to związek prawdopodobnie z górną granicą wieku przyjęć do Pomocniczej Służby Kobiet - 45 lat.

W październiku 1943 roku po odpowiednim przeszkoleniu Helena uzyskała pozwolenie na prowadzenie wojskowych samochodów ciężarowych. Z danych zamieszczonych na portalu *kresy.syberia.pl* wynika, że jako kierowca została przeniesiona do 316. Kompanii Transportowej Pomocniczej Służby Kobiet. Zdjęcie w grupie kobiet w mundurach wojskowych na tle znanych piramid z posągiem Sfinksa w Gizie, około 8 km od Kairu, potwierdza, że była w Egipcie.

Zakres działania 316. Kompanii Transportowej można przybliżyć na podstawie dostępnego w Internecie artykułu Jerzego Szczęśniaka. Autor opisuje, że kompania ta została sformowana w grudniu 1942 roku w Iraku i nazwę oraz wyposażenie przejęła od męskiej 316. Kompanii Transportowej. W lipcu 1943 roku kompanię przeniesiono do Palestyny, gdzie w Centrum Wyszkolenia Armii w miejscowości Gedera ochotniczki przechodziły trzymiesięczne kursy doszkalające. Po zakończeniu reorganizacji i szkoleń kompania pełniła służbę polegającą na przewożeniu oddziałów i zaopatrzenia. Na jej wyposażeniu znajdowały się 3-tonowe samochody ciężarowe 15 CWT Dodge (potem także 3-tonowe ciężarówki Chevrolet oraz lekkie samochody rozpoznawcze typu Jeep). W styczniu 1944 roku kompania, przy stanie ewidencyjnym 324 ochotniczek, została przeniesiona do Egiptu, z którego w kwietniu 1944 roku przerzucono ją do Włoch. Z początkiem maja 1944 roku 316. kompanii powierzono początkowo obsługę bazy korpusu, a później całości 2. Korpusu Polskiego. Zadaniem pododdziału było zaopatrywanie drugiej i trzeciej linii w amunicję, żywność, paliwo, sprzęt oraz transportowanie wojska.

Można przypuszczać, że razem z innymi kobietami zaangażowanymi w misjach Pomocniczej Służby Kobiet Franciszka Kolasa, Janina Ratowska i Helena Mołodyńska przeszły drogę 3. Dywizji Strzelców Karpackich i 5. Kresowej Dywizji

Kompania Transportowa PSK przed posągiem Sfinksa w Gizie, szósta od prawej Helena Mołodyńska, niżej żołnierze Armii Andersa w Egipcie, grudzień 1943 r.

Piechoty, wchodzących w skład 2. Korpusu Polskiego, uczestnicząc w akcjach szkoleniowych, a przede wszystkim w transporcie polskiego wojska najpierw do Palestyny, a potem do Egiptu i do Włoch.

Jak wspomniano na przełomie sierpnia i września 1943 roku, dywizja została przeniesiona do Palestyny niedaleko Gazy w rejonie Mughazi-Nuseirat.

W okresie grudzień 1943 r. - styczeń 1944 r. rozpoczęło się przenoszenie oddziałów polskich do Egiptu z użyciem kompanii transportowych Pomocniczej Służby Kobiet. Na Środkowym Wschodzie pozostały szkoły junaków i junaczek, zapasowe jednostki Armii, służby zaplecza.

W Egipcie żołnierze zakwaterowani zostali w obozie w Qassasin odległym o 30 km na wschód od miasta Ismailia. Tu dywizja otrzymała sprzęt i wyposażenie, doprowadziła wszystkie swoje oddziały do pełnego etatu wojennego i osiągnęła pełną gotowość bojową. Na początku 1944 roku nastąpiły przygotowania oddziałów 2. Korpusu Polskiego do transportu na Półwysep Apeniński. Wkrótce z Port Said poprzez Morze Śródziemne miały miejsce transporty polskiego wojska do Włoch, gdzie żołnierze mieli włączyć się do walk na tym froncie.

Pierwsi przybyli do Włoch żołnierze z 3. Dywizji Strzelców Karpackich, lądując 21 grudnia 1943 r. w Tarencie, a 8 stycznia 1944 r. dołączyło dowództwo Korpusu z częścią oddziałów pozadywizyjnych. Żołnierze 5. Kresowej Dywizji Piechoty wylądowali w Tarencie 21 lutego. Całość sił korpusu przemieszczała się z Egiptu do połowy kwietnia, schodząc na ląd w Tarencie, Bari i Neapolu. W marcu 1944 roku dywizja została przesunięta na teren działań bojowych i uczestniczyła w walkach nad rzeką Sangro. Polskie wojsko zostało podporządkowane armii brytyjskiej.

Kampania włoska rozpoczęła się 9 lipca 1943 r., kiedy to po przegranej Niemiec w drugiej bitwie pod El-Alamein w Egipcie i ich wyparciu z Afryki wojska alianckie, głównie amerykańsko-brytyjskie, przy wsparciu wielonarodowej floty wylądowały na Sycylii w ramach operacji desantowej pod kryptoniem „Husky”. Ale główne walki w czasie tej kampanii toczyły się od września 1943 roku i rozpoczęły się od lądowania aliantów w Salerno, Kalabrii i Tarencie 3 września. Wkrótce, w wyniku tajnych negocjacji z aliantami, Włochy podpisały kapitulację. Była ona poprzedzona odsunięciem Mussoliniego od władzy i internowaniem go na polecenie króla Włoch Wiktora Emanuela III oraz powołaniem nowego rządu. Podpisanie kapitulacji i wyjście Włochów z koalicji Osi nie zakończyło wojny z III Rzeszą. Wojska niemieckie pozostały na Półwyspie Apenińskim jako wojska okupacyjne, rozbrajając włoską armię i przejmując jej uzbrojenie, a przede wszystkim budując front obrony i stawiając opór ofensywie sprzymierzonych. Uwolniony przez Niemców Benito Mussolini utworzył faszystowską Włoską Republikę Socjalną. W miarę upływu czasu narastał włoski ruch oporu, tworząc ruch partyzancki.

Rozpoczęta jesienią 1943 roku ofensywa wojskowa państw alianckich ze względu na trudne warunki terenowe oraz niszczenie linii komunikacyjnych przez wycofujących się Niemców, posuwała się bardzo powoli. Z trudem zdobywany był każdy kawałek ziemi. Niemiecki front obrony powstrzymujący atak sprzymierzonych w ich pochodzie do Rzymu opierał się na umocnieniach zbudowanych z wykorzystaniem wszelkich dostępnych przeszkód terenowych. Stworzone zostały między innymi linie umocnień: Bernhardta, Barbary i najbardziej znana linia Gustawa, która rozciągała się na długości 130 km, gdzie powstał system połączonych niemieckich linii obronnych, będący przykładem imponującej inżynierii wojskowej. Strategicznymi pozycjami obronnymi wojsk niemieckich były wzgórza: Monte Cassino, Monte Cairo, San Angelo i Pizzo Corno.

W rejonie miejscowości Cassino Niemcy zbudowali silne umocnienia, wykorzystując strome zbocze masywu o długości około 8 km, zagłębienia, jaskinie, skały, montując umocnione stanowiska ogniowe: w każdym miejscu, mogącym posłużyć za osłonę podczas natarcia, umieszczono miny lub bomby pułapki. Zabezpieczono też stojący na szczycie wzgórza klasztor benedyktyński z VI wieku. W listopadzie 1943 roku zakończono ewakuację zakonników i bezcennych dzieł sztuki zgromadzonych w opactwie.

Walki o przełamanie linii Gustawa, której kluczowym punktem oporu było wzniesienie Monte Cassino z wspomnianym klasztorem, trwały przez kilka miesięcy, od połowy stycznia do końca maja 1944 roku, i zakończyły się wkroczeniem wojsk sprzymierzonych do Rzymu 4 czerwca. Trzy główne ataki aliantów na wzgórza w masywie Cassino - w styczniu, lutym i marcu nie powiodły się. Mimo znacznie mniejszych sił i środków Niemcy zaciekle broniąc się, skutecznie stawiali opór. W czwartym decydującym ataku na Monte Cassino, rozpoczętym w nocy z 11 na 12 maja 1944 r., wzięli udział polscy żołnierze 2. Korpusu pod wodzą gen. Władysława Andersa, w tym 3. Dywizji Strzelców Karpackich, 5. Kresowej Dywizji Piechoty i 2. Brygady Pancernej.

Uderzenie zaplanowano na całym lewym skrzydle włoskiego frontu, od masywu Monte Cassino po wybrzeże Morza Tyrreńskiego. Od prawej miały nacierać oddziały amerykańskie, następnie Francuski Korpus Ekspedycyjny, potem oddziały indyjskie i brytyjskie. Polskie jednostki miały nacierać na najtrudniejszym odcinku. 2. Korpus Polski otrzymał zadanie uderzenia od północy na grzbiet górski łączący pozycje niemieckie z klasztorem Monte Cassino.

11 maja odczytano żołnierzom 2. Korpusu rozkaz dowódcy:

Żołnierze! Kochani moi Bracia i Dzieci. Nadeszła chwila bitwy. Długo czekaliśmy na tę chwilę odwetu i zemsty nad odwiecznym naszym wrogiem. Obok nas walczyć będą dywizje brytyjskie, amerykańskie, kanadyjskie, nowozelandzkie, walczyć będą Francuzi, Włosi oraz dywizje hinduskie. Zadanie, które nam przypadło, rozsławi na

cały świat imię żołnierza polskiego. W chwilach tych będą z nami myśli i serca całego Narodu, podtrzymywać nas będą duchy poległych naszych towarzyszy broni. Niech lew mieszka w Waszym sercu.

Żołnierze – za bandycką napaść Niemców na Polskę, za rozbiór Polski wraz z bolszewikami, za tysiące zrujnowanych miast i wsi, za morderstwa i katowanie setek tysięcy naszych sióstr i braci, za miliony wywiezionych Polaków jako niewolników do Niemiec, za niedolę i nieszczęście Kraju, za nasze cierpienia i tułaczkę – z wiarą w sprawiedliwość Opatrzności Boskiej idziemy naprzód ze świętym hasłem w sercach naszych Bóg, Honor i Ojczyzna!

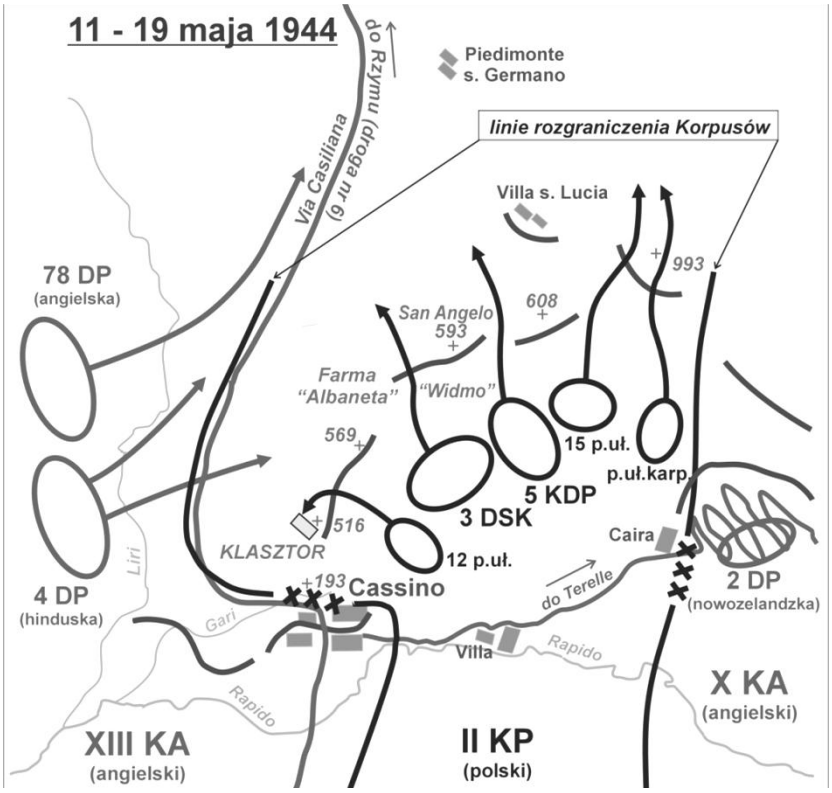

Walki 2. Korpusu Polskiego pod Monte Cassino- 3 DSK- 3. Dywizja Strzelców Karpackich i 5 KDP– 5. Kresowa Dywizja Piechoty (Wikipedia)

W opisach trwającego kilka dni czwartego ataku na Monte Cassino wymienia się 1., 2. i 3. Bataliony Strzelców Karpackich, 13. i 15. Wileńskie Bataliony Strzelców, 16. Lwowski Batalion Strzelców oraz wsparcie artylerii z 6. Pułku Pancernego. Najbardziej zacięte walki toczyły się na prawym skrzydle 2. Korpusu o grzbiet wzgórza, zwany „Widmo" oraz na wzgórzach 593 i 569. Atakujący Polacy walczyli ofiarnie, bohatersko, z zaciętością i pełnym poświęceniem, ponosząc olbrzymie ofiary. W pierwszych dniach walk zginęło około 700 polskich żołnierzy, głównie Karpatczyków, z 1. i 2. batalionu. Obrona niemiecka opierała się na silnym ogniu zaporowym moździerzy i artylerii i ostrzale z broni strzeleckiej i maszynowej z niewielkich, doskonale zamaskowanych schronów-bunkrów, przesłoniętych gęstymi polami minowymi.

Po wielokrotnie powtarzanych szturmach, okupionych dotkliwymi stratami udało się trwale wedrzeć na „Widmo". W nocy z 17 na 18 maja Niemcy opuścili klasztor, obawiając się okrążenia. Ponad stu spadochroniarzy niemieckich ze straży tylnej zeszło z klasztoru na południe, by poddać się oddziałom brytyjskim. Kilkudziesięciu Niemców posuwało się pod ostrzałem w kierunku Monte Cairo.

Nad ranem zauważono nad klasztorem białą flagę. Patrol 12. Pułku Ułanów Podolskich z 2. Brygady Pancernej po wkroczeniu do ruin klasztoru wziął do niewoli szesnastu rannych żołnierzy niemieckich pod opieką trzech sanitariuszy i zatknął na murach polską flagę.

Sukces 2. Korpusu Polskiego polegał na umożliwieniu jednostkom brytyjskiego 13. Korpusu wejścia w dolinę rzeki Liri bez obawy, że północne skrzydło brytyjskie może zostać zaatakowane przez Niemców z rejonu masywu Monte Cassino.

Po walkach na Monte Cassino w drodze wojsk sprzymierzonych do Rzymu 2. Korpus Polski otrzymał nowe zadanie przełamania linii Hitlera i zdobycia silnego bastionu niemieckiej obrony – Piedimonte San Germano oraz kolejnych punktów oporu w masywie górskim Monte Cassino – Monte Cairo. Walki polskich żołnierzy w tym rejonie trwały od 19 do 25 maja i zakończyły się wycofaniem Niemców po opanowaniu Piedimonte San Germano przez zgrupowanie ppłk. Bobińskiego, Pizzo Corno przez Pułk Ułanów Karpackich i 15. Pułk Ułanów Poznańskich oraz najwyższego szczytu w tym paśmie górskim - Monte Cairo przez 15. Pułk Ułanów Poznańskich.

Działania oddziałów 2. Korpusu Polskiego w bitwie o Piedimonte San Germano i na Pizzo Corno miały głównie za zadanie osłonę północnej krawędzi operacyjnej dla całości sił 8. Armii Brytyjskiej rozwijających natarcie w dolinie rzeki Liri i cel ten został osiągnięty.

Bitwa o masyw Monte Cassino i Piedimonte, zwana też bitwą o Rzym, była jedną z najcięższych i najbardziej krwawych bitew stoczonych na froncie zachodnim. Zwycięstwo zostało okupione olbrzymimi ofiarami dziesiątków tysięcy żołnierzy poległych, rannych i zaginionych. Straty w tych natarciach 2. Korpusu Polskiego wyniosły: 924 zabitych, 2931 zostało rannych a 345 uznano za zaginionych, z których 251 powróciło do oddziałów po zakończeniu walk.

Determinację polskich żołnierzy, którzy z honorem szli walczyć i ginęli wśród maków na zboczach Monte Cassino zapisano w słowach pieśni „Czerwone maki", której pierwsze zwrotki powstały w nocy z 17 na 18 maja 1944 r.

W czerwcu, po zakończeniu ciężkich walk, Polaków i żołnierzy innych narodowości odesłano na krótki odpoczynek w rejon Campobasso. Przed dalszą ofensywą uzupełniano siły wojska.

Następnym etapem na szlaku bojowym 2. Korpusu Polskiego w kampanii włoskiej stała się bitwa o Ankonę i całe wschodnie wybrzeże. W lipcu 1944 roku polscy żołnierze wyzwolili Loreto ze słynnym sanktuarium Santa Casa (Świętego Domku) oraz Ankonę. Wygrane bitwy w tym rejonie ułatwiły przełamanie niemieckiego systemu umocnień o znaczeniu strategicznym na tak zwanej Linii Gotów. W grudniu wojska 2. Korpusu osiągnęły pozycje na rzece Senio, gdzie front zatrzymał się na kilka miesięcy. Po wznowieniu walk 9 kwietnia 1945 r. oddziały polskiego wojska z 3. Dywizji Strzelców Karpackich i 5. Kresowej Dywizji Piechoty walczyły z niemieckimi nad rzeką Senio, prowadząc natarcie w kierunku na Bolonię. Miasto zostało zdobyte 21 kwietnia 1945 r. i była to ostatnia bitwa Polaków na froncie włoskim.

W trakcie całej kampanii o wyzwolenie Włoch w okresie 1944-1945 2. Korpus Polski poniósł wysokie straty. Zginęło 2620 oficerów i żołnierzy, 8376 zostało rannych. Większość poległych i zmarłych po wojnie z różnych przyczyn spoczywa obecnie na czterech polskich cmentarzach wojennych we Włoszech: Casamassima, Monte Cassino, Loreto, Bolonia. Pełna lista żołnierzy pochowanych na tych cmentarzach jest dostępna na http://vestigium.pl/lista-poleglych-we-wloszech. Ich groby przypominają o daninie krwi, którą złożyli Polacy na włoskiej ziemi, z dala od ojczyzny walcząc z niemieckim okupantem. Walczyli z nadzieją, że ich ofiara przyczyni się do wyzwolenia Polski, którą kilka lat temu wbrew swej woli opuścili.

Opis walk o Monte Cassino i inne miejsca w kampanii włoskiej przedstawiono głównie w oparciu o materiały internetowe - *Wikipedię* i inne, w tym artykuły Krzysztofa Piotrowskiego w magazynie naszswiat.net.

Jednym z żołnierzy pochowanych na cmentarzu w Loreto jest pochodzący ze Stupek, a urodzony w Kujdańcach, Wojciech Koryluk. Przed wojną mieszkał w Stupkach. Wspomniano już wcześniej, że po internowaniu na granicy z Litwą i wywiezieniu w 1940 roku do łagrów w głąb Rosji, gdy powstała Armia Andersa, trafił do ośrodka jej formowania i ponownie został żołnierzem polskiego wojska. Jego drogę wojenną, która zakończyła się na ziemi włoskiej w Loreto, opisała prawnuczka Sylwia Rembecka we wspomnianym już opracowaniu genealogicznym:
W tym czasie, kiedy prababcia z matką i dziećmi borykała się z ciężkim życiem na Syberii, pradziadek Wojciech Koryluk, dość skomlikowaną drogą morską dotarł ze swoim wojskiem do Egiptu i Palestyny. Część jego oddziału po przybyciu z Krasnowodska do Pahlevi w Iranie pojechała samochodami przez Jordanię i Syrię, a część, właśnie z nim, dotarła tam transportem morskim z portu Al-Basara poprzez Zatokę Perską, Ocean Indyjski, Morze Czerwone i Kanał Sueski.

Tu istnieją pewne rozbieżności w opisie drogi i miejsc pobytu Wojciecha Koryluka ze swoim wojskiem w opracowaniu jego prawnuczki i ogólnie dostępnej informacji o szlaku przemieszczania na Bliskim Wschodzie 16. Pułku Piechoty,

przeformowanego na 16. Batalion Strzelców i przemianowanego w marcu 1943 roku na 16. Lwowski Batalionu Strzelców, w którym jako strzelec służył. Być może Wojciech Koryluk wcześniej był w innej formacji, a do 16. Batalionu Strzelców dołączył później.

Jeszcze przed wyruszeniem z Iranu Wojciech Koryluk poszukiwał przez kilka dni swoich bliskich, przepytując wśród grupy cywilów z dalekiego Kazachstanu, która we wrześniu 1942 roku przybyła wraz z wojskiem. O tym wszystkim rodzina Wojciecha Koryluka dowiedziała się już długo po zakończeniu wojny od jego kolegi i towarzysza broni, Józefa Zioły.

Niestety, rodzinie Koryluków nie dane było spotkać się, ponieważ Anna Koryluk, z d. Andruszewska, ze względu na matkę nie zdecydowała się opuścić miejsca zesłania i przebywała tam razem z dziećmi Eugenią i Fryderykiem aż prawie rok po zakończeniu wojny. Do Polski wrócili we wrześniu 1946 roku po dwumiesięcznej podróży z Sybiru.

Wojciech Koryluk ze swoim batalionem wchodzącym w skład 2. Korpusu Polskiego po przejściu szkoleń i ćwiczeń w Syrii i w rejonie Bejrutu 15 marca 1944 r. wyruszył statkiem pasażerskim do Włoch. Przypłynęli do portu Tarent, gdzie znajdowała się baza floty wojennej. Żołnierze 2. Korpusu Polskiego weszli w skład 8. Armii Brytyjskiej i wspólnie brali udział w kampanii włoskiej, co już zostało opisane.

Gdy Wojciech Koryluk walczył w 16. Lwowskim Batalionie Strzelców, zdobywał wzgórze Monte Cassino. Wielu jego kolegów poległo na polu chwały, on sam przeżył. Po paru tygodniach odpoczynku i odprężenia na tyłach żołnierze wyruszyli na front. Tym razem celem było zdobycie Ankony, portu nad Adriatykiem. Właśnie w walce o port Ankona Wojciech Koryluk został ranny. Przewieziono go do szpitala w małym miasteczku Montefano, położonym 25 kilometrów od Ankony. Tam zmarł 19 lipca 1944 r. wskutek odniesionych ran. Został pochowany na cmentarzu komunalnym wraz z dwunastoma innymi towarzyszami broni.

Po wojnie Anna Koryluk czekała z nadzieją na powrót męża. Poszukiwała go za pośrednictwem Czerwonego Krzyża i Międzynarodową Centralę Poszukiwań. W kwietniu 1947 roku została przysłana przez Centralę Poszukiwań informacja z Kairu w Egipcie, że Wojciech Koryluk poległ 19 lipca 1944 r. pod Ankoną.

W sierpniu 1976 roku rodzina Koryluków pojechała do Włoch odnaleźć grób Wojciecha. Wtedy od Polaków-żołnierzy, którzy po wojnie zostali we Włoszech dowiedzieli się, że w 1962 roku na cmentarzu w Montefano odbyła się ekshumacja i żołnierze polscy zostali przeniesieni na cmentarz wojenny w Loreto.

Nie udało się ustalić zbyt wielu szczegółów dotyczących służby wojskowej w Armii Polskiej na Wschodzie poszczególnych żołnierzy o czernielowskich korzeniach. Informacje o nich są na poziomie bardzo ogólnym.

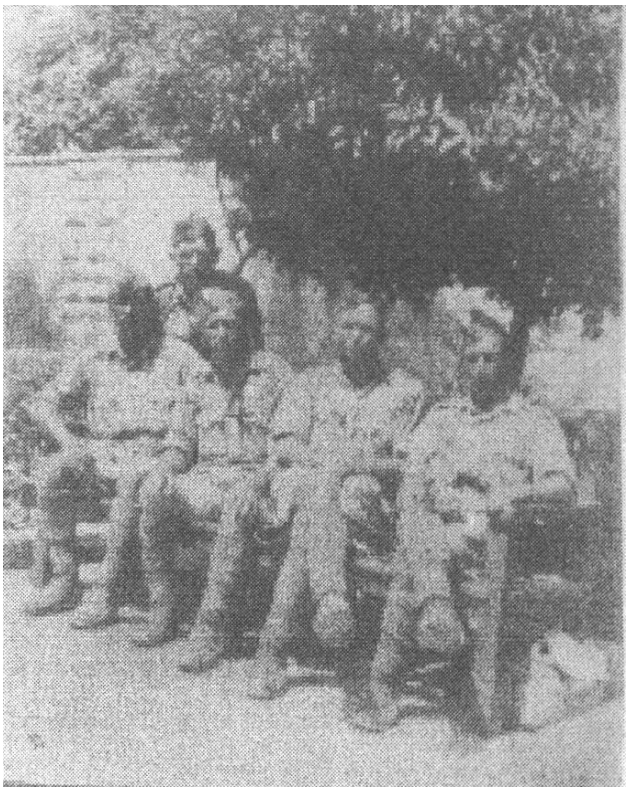

Wojciech Koryluk w Egipcie, w środku

Również w Egipcie, z lewej Wojciech Koryluk

LEGITYMACJA
Nr 3079
upoważniająca do noszenia
KRZYŻA PAMIĄTKOWEGO
MONTE CASSINO
wydana na podstawie
Dekretu Naczelnego Wodza
L. dz. 3504/Pers. 44
z dnia 28 Lipca 1944

Rozkazem Dtwa 5 K.D.P.
Nr. 18 z dnia 22.II.45
został nadany strz.
KORYLUK Wojciech
16 Lw. Baon Strzelców
KRZYŻ PAMIĄTKOWY
MONTE CASSINO
Nr. 1/3079
Wydano dnia 10 MAJ 1945
1/6 I.B.S.

Legitymacja Krzyża pamiątkowego Monte Casino

Wiadomo tylko, że byli w Armii Andersa. Wiadomo, że niektórzy jak bracia Jan i Józef Piotrowscy, synowie Mikołaja, i Franciszek Sokołowski walczyli pod Monte Cassino. Według przekazu rodzinnego w walkach na zboczach Monte Cassino brali też udział inni bracia Jan i Józef Piotrowscy, synowie Józefa i Marceliny z Kolasów, którzy do Armii Andersa i 2. Korpusu Polskiego też trafili z Sybiru. Po wojnie bracia Piotrowscy na miejsce do życia wybrali Anglię. Jan Piotrowski ożenił się z Włoszką, a gdy zmarła, jego druga żoną została Polka. Mieli syna Michała. Natomiast Józef z żoną Angielką mieli również syna Michała i córkę Marysię.

Nie ma natomiast pewności, czy w bitwie na wzgórzach Monte Cassino brał udział Jan Sokołowski, brat Franciszka oraz Paweł Sowa, drugi mąż Rozalii Ratowskiej, z d. Rajfur. Na stronie kresy-siberia.org jest informacja, że Paweł Sowa jako kanonier był w 2. Korpusie Polskim we Włoszech.

Zbyt odległy czas od zakończenia wojny, brak przekazu rodzinnego i brak dokumentów w tej kwestii nie pozwala na potwierdzenie tego faktu, tak jak w przypadku Heleny Mołodyńskiej. Na kresy-siberia.org napisano o niej, że była w polskiej armii i brała udział w bitwie pod Monte Cassino.

Otrzymała brytyjskie odznaczenia wojskowe. Jedno z nich to: Italy Star (Gwiazda Włoch), sześcioramienna gwiazda z brązu. W centrum znajduje się okrągła tarcza z monogramem królewskim GRI VI i królewską koroną. W otoku napis: THE ITALY STAR. Odznaczenie było przyznawane za udział w działaniach bojowych na terenie Włoch i śródziemnomorskim teatrze działań podczas II wojny światowej między 11 czerwca 1943 a 8 maja 1945 roku.

Drugie odznaczenie nazywane jest 1939-1945 Star (Gwiazda za wojnę 1939-1945). Odznaczenie było przyznawane za udział w II wojnie światowej, pomiędzy 3 września1939 a 2 września 1945 r. To również sześcioramienna gwiazda z brązu z opisem w otoku: THE 1939–1945 STAR.

Zachowały się też materialne pamiątki z jej służby w wojsku w postaci naszywki POLAND białymi literami na czerwonym tle oraz naszywki szarżującego brązowego żubra na beżowym tle tarczy z brązowym obramowaniem, symbolu 5. Kresowej Dywizji Piechoty, oraz krzyża na tarczy na jasnym tle i ciemniejszym obramowaniu tarczy.

Jak wcześniej wspomniano, w Armii Polskiej służył urodzony w Czernielowie w 1900 roku Franciszek Niebieszczański, syn Karola i Anastazji. Niestety, nie udało się bez dokumentów określić formacji wojskowej, do której trafił, gdy wraz z innymi zesłańcami dotarł z Republiki Komi do ośrodka tworzenia polskiego wojska na terenie ZSRR. W 1942 roku z Armią Andersa przybył do Iranu. Według przekazu rodziny był w wojsku kucharzem. Ale też jeździł jako konwojent z jeńcami do Holandii i innych krajów Europy Zachodniej.

Prawdopodobnie wtedy, ale mogło to być w innych okolicznościach, poznał Leonarda, Polaka z rejonu Kaszub będącego pod okupacją niemiecką, przymusowo wcielonego na początku wojny tak jak wielu jego rodaków do Wehrmachtu. Franciszek pomógł Leonardowi uciec z niemieckiego wojska i przyłączyć się do Armii Andersa. Potem służyli w jednej jednostce. Razem walczyli pod Monte Cassino.

Był też ciąg dalszy tej wojennej przyjaźni. Po wojnie Leonard został mężem córki Franciszka Niebieszczańskiego – Stanisławy, którą najpierw zobaczył na fotografii, gdy przebywała w obozie dla uchodźców w Afryce.

O służbie w polskiej armii ojca Józefa Marchewki napisała jego córka Janina w 1995 roku w korespondencji do kuzyna Zbigniewa Kubowa.

Józef Marchewka

Oto kolejny fragment cytowanych już jej wspomnień, gdy w 1942 roku rodzina: żona Maria z Nietrebów, córka Janina i syn Kazimierz rozstali się z nim w Teherenie: (*...) Ojciec z Teheranu odjechał z formującym się wojskiem do Palestyny, a stamtąd do Kapsztadu, gdzie został skierowany do obsługi przy konwojowaniu niemieckich jeńców wojennych do Kanady i do Nowego Jorku, gdzie byli po parę dni i tak obrócił dwa razy, po trzy miesiące byli na morzu. A Niemcy torpedowali okręty, zdawało się wtenczas, że morze się pali. Ojciec nieczęsto o tym wspominał, ale przy okazji czasami opowiadał o kolegach, z którymi był.*

W Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie służył urodzony 5 stycznia 1922 r. w Czernielowie Mazowieckim Józef Ratowski, starszy brat Janiny. Nie jest znana droga, jaką przebył zanim z Sybiru, z Ozierek nad Tawdą trafił do Polskiej Samodzielnej Brygady Spadochronowej w Szkocji. W wojsku służył jako kanonier strzelec, był w baterii przeciwpancernej. Z załączników szczegółowego opracowania pt. *W locie szumią spadochrony. Wspomnienia żołnierza spod Arnhem*, którego autorem jest Władysław Klemens Stasiak, oficer operacyjny w sztabie Brygady, wynika, że Józef Ratowski był kanonierem w 6. Dywizjonie Artylerii Przeciwpancernej. Jego nazwisko figuruje w *Wykazie imiennym żołnierzy*

1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, rzutu powietrznego (spadochronowego i szybowcowego), którzy brali udział w operacji powietrznodesantowej pod kryptonimem „Market Garden" pod Arnhem-Driel w Holandii we wrześniu 1944 roku. Józef Ratowski jako bombardier jest wymieniony też obok bombardierów: Stefana Kołodyńskiego i Zygmunta Szołtyski oraz kpr. Józefa Okonia w składzie załogi szybowca nr 137 z ładunkiem: jeep z przyczepą, 60 szt. amunicji do dział ppancernych oraz dwa motocykle, z miejscem lądowania 19.09.1944 r. na lądowisku „L" w rejonie Wolfheze w załączniku nr 2 *Zestawienie załóg i ładunku szybowców* publikacji Wojciecha Markerta *Najcichsi bohaterowie spod Arnhem*. Aż trudno uwierzyć dokumentom, ile tonażu ładunku przewoził taki specjalnie skonstruowany szybowiec. Niestety, ten przelot zakończył się dla Józefa Ratowskiego tragicznie.

Dawny mieszkaniec Czernielowa zginął w czasie tej operacji 19 września 1944 r. W przekazie rodzinnym podawana jest data jego śmierci 23 września, co jest prawdopodobne z uwagi na odniesione przez niego rany, o czym niżej. Jest pochowany na cmentarzu wojennym Oosterbeek, około 5 km od Arnhem, w gminie Renkum w prowincji Gelderland w Holandii. Miejsce spoczynku to kwatera XXV, rząd B, nr grobu 13.

Józef Ratowski i jego nagrobek na cmentarzu Oosterbeek

O Józefie Ratowskim jest wzmianka na stronie 196 książki Georga F. Cholewczyńskiego pt. *Rozdarty naród. Polska Brygada Spadochronowa w bitwie pod Arnhem*. Odpowiedni fragment brzmi następująco: (Bombardier) *Nosecki odwiedził ciężko rannego przyjaciela, kanoniera Józefa Ratowskiego, który nigdy w pełni nie powrócił do zdrowia po zwolnieniu z sowieckiego obozu pracy. Ratowski wiedział, że jego rany są śmiertelne, i żegnał się ze światem.*

Wspomniany sowiecki obóz pracy to prawdopodobnie zorganizowany wyręb lasów w syberyjskiej tajdze, około 20 km od Ozierek w obwodzie swierdłowskim, gdzie w lutym 1940 roku został deportowany Józef Ratowski z swoją rodziną: mamą Rozalią, siostrą Janiną, przyrodnią siostrą Bronisławą i ojczymem Pawłem Sową. Większość mężczyzn, a także bezdzietnych kobiet i młodych dziewcząt przebywających w posiołku Ozierki była zatrudniona przy tym wyrębie: zimą ścinali

drzewa, oczyszczali z gałęzi, wywozili z lasu i układali wzdłuż drogi, a wiosną gdy lody stopniały i rzeka była spławna, nagromadzone pnie drzew spławiali z prądem rzeki.

Gdy zaistniała możliwość wstąpienia do tworzącego się polskiego wojska wraz z innymi ochotnikami, w tym ze swoją siostrą Janiną, Józef Ratowski prawdopodobnie przez Swierdłowsk i Taszkient trafił do Armii Andersa. Być może znalazł się w grupie 300 żołnierzy tej Armii, którzy zasilili szeregi Brygady Spadochronowej w sierpniu 1942 roku. Jest też możliwe, że tak jak inni kanonierzy z baterii przeciwpancernej, między innymi Piotr Kocaj, do Szkocji dotarł dopiero w czerwcu 1943 roku poprzez Bagdad, Damaszek, Hajfę, Egipt, Madagaskar i Rio de Janeiro w Brazylii.

1. Samodzielna Brygada Spadochronowa powstała w październiku 1941 roku na bazie 2. Brygady Strzelców (przemianowanej następnie na 4. Brygadę Kadrową Strzelców), która znalazła się na terenie Szkocji po upadku Francji. Jej dowódca gen. Stanisław Sosabowski od początku planował, by po specjalnym przeszkoleniu ochotnicy mogli być zrzuceni w Polsce i wspomagali działania dywersyjne. Temu celowi miało też służyć zorganizowanie na początku 1941 roku nieoficjalnej brygady spadochronowej wobec możliwości przeszkolenia ochotników na skoczków spadochronowych i wykorzystania jednostki do wsparcia powszechnego powstania w okupowanej Polsce. W 1942 roku szeregi Brygady zostały uzupełnione żołnierzami z Armii Polskiej utworzonej na terenie ZSRR z amnestionowanych więźniów obozów i deportowanych. Stan liczbowy w 1944 roku wzrósł do około 2200 żołnierzy.

1. Samodzielna Brygada Spadochronowa nie została jednak wykorzystana do działań w Polsce. Żołnierze tej jednostki obok oddziałów brytyjskich i amerykańskich, stanowiąc około 5% sił, wzięli udział w rozpoczętej 17 września 1944 roku operacji „Market Garden". Była to największa akcja desantowa II wojny światowej i miała na celu opanowanie przez aliantów kilku mostów na terenie Holandii, między Eindhoven a Arnhem, w tym najważniejszego mostu na Renie pod Arnhem, który trzeba było zdobyć i obronić przed armią niemiecką do czasu dotarcia do Arnhem sprzymierzonych wojsk lądowych.

W przypadku skutecznej operacji utorowana zostałaby droga do Zagłębia Ruhry i możliwość wejścia na teren Niemiec. Skuteczna operacja przyśpieszyłaby zakończenie wojny do końca 1944 roku.

Niestety, operacja „Market Garden" nie powiodła się. Złożyło się na to wiele przyczyn, które są szczegółowo opisywane i analizowane w wielu opracowaniach. W tym miejscu tylko kilka zdań o udziale w operacji 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej na podstawie wspomnianych książek Władysława Klemensa Stasiaka i Wojciecha Markerta.

17 września pod Arnhem wylądowali pierwsi Polacy, wchodzący w skład misji łącznikowej przy dowództwie brytyjskiej 1. Dywizji Powietrzno-Desantowej, natomiast pierwszy rzut szybowcowy brygady polskiej miał miejsce 18 września. Wojciech Markert pisał: *Przed południem 4000 alianckich samolotów i szybowców wzbiło się w powietrze i skierowało trasą nad Morzem Północnym i Belgią do Holandii. Wśród tej olbrzymiej armady było dziesięć szybowców typu Horsa z Polakami na pokładzie. Holowały je samoloty typu Albemarle z 297. Szwadronu RAF. Leciały wśród rzutu szybowcowego 1. Dywizji Powietrzno-Desantowej, liczącego łącznie 271 hors i 15 hamilcarów.*

Przy dobrej pogodzie i zaskoczeniu nieprzyjaciela kolejne fale samolotów nadlatywały nad wyznaczone rejony i zrzucały skoczków i zasobniki, holowniki zwalniały szybowce. O godzinie 14.35 dziesięć polskich szybowców wylądowało w strefie „X" .Oddziały brytyjskie natychmiast po zebraniu się wyruszyły w celu opanowania mostów. Rozpoczęły się walki z oddziałami niemieckimi. Po pierwszym dniu walki z trzech mostów Arnhem do zdobycia pozostał tylko jeden, najważniejszy, przy czym jeden przyczółek był w rękach Anglików, a drugi znajdował się w rękach Niemców.

19 września z powodu mgły start brygady miał być przełożony na następny dzień. Ostatecznie 19 września udało się wystartować drugiemu rzutowi szybowcowemu, składającemu się z 35 szybowców horsa, holowanych przez 20 halifaxów i 15 stirlingów z szwadronów RAF, transportujących resztę dywizjonu artylerii przeciwpancernej i sprzęt 1., 2., i 3. batalionów oraz kwatery głównej i łączności. Tego dnia w rejon Arnhem oprócz szybowców „polskich" leciało 9 opóźnionych brytyjskich szybowców, które z przyczyn technicznych nie odleciały w poprzednich dniach. Ponadto 64 dakoty i 101 stirlingów miały zrzucić zasobniki z zaopatrzeniem.

Tym razem lądowanie w wyznaczonej strefie nie było szczęśliwe. Kiedy szybowce z polskimi żołnierzami zbliżały się do Arnhem, niemiecki 16. batalion ruszył do ataku na broniący lądowiska „L" brytyjski 10. Batalion z 4. Brygady Spadochronowej. Anglicy zostali odepchnięci i cofając się przez otwartą przestrzeń, ponieśli duże straty. Również rzucona na pomoc kompania C z 7. Batalionu pilotów szybowcowych dostała się w zasadzkę (otoczony 10. pluton poddał się) i ze 120 jego żołnierzy uratowało się 30. Polacy, lądując w środku zaciętej walki, nie wiedzieli, gdzie są Brytyjczycy, a gdzie Niemcy. Obsypani pociskami ckm z krążących nad lądowiskiem messerschmidtów po wyjściu z szybowców Polacy znaleźli się w strefie otwartego przez Niemców ognia z amunicji smugowej z dział przeciwlotniczych oraz moździerzy i karabinów maszynowych. Napierany z tyłu przez hitlerowców 10. batalion został w wyniku pomyłki ostrzelany przez Polaków, którzy jego żołnierzy wzięli za wroga.

19 września na skutek poniesionych strat brytyjska dywizja straciła możność prowadzenia działań zaczepnych. Brygady spadochronowe zostały poważnie przetrzebione, a szybowcowa utraciła połowę stanu. Brak było amunicji, środków opatrunkowych, żywności i wody. Zrzuty zaopatrzenia dostawały się w ręce niemieckie.

W całej operacji trwającej do 26 września 1944 r. zginęło, zaginęło lub zostało ciężko rannych prawie 17 tysięcy aliantów. Wśród nich byli Polacy: 20 z nich zostało zabitych, 28 rannych, a kilkudziesięciu dostało się do niewoli.

Jak pisał Wojciech Markert, blisko 110 polskich żołnierzy, którzy dotarli na wyznaczone lądowisko, teoretycznie nie mogło zmienić losów bitwy, ale na pewno ich walka nie pozostała bez wpływu na jej przebieg. Los sprawił, że nigdy nie wylądowali w Polsce, a krew przelewali w obcej im Holandii.

Straty niemieckie szacuje się na 9-10 tysięcy żołnierzy.

W Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie znalazł się urodzony 17 grudnia 1913 r. w Czernielowie Mazowieckim Władysław Rajfur, syn Tekli, drugiej żony Tomasza Świcarza, brat Józefy Świcarz. Służył w siłach powietrznych Wielkiej Brytanii Royal Air Force. Był w stopniu plutonowego, w RAF nosił nr służbowy 705 985. W spisie personelu Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, czyli tak zwanej Liście Tadeusza Krzystka figuruje jako kancelista. Nie udało się ustalić, kiedy i w jakich okolicznościach trafił do wojska na Zachodzie. Prawdopodobnie gdy wkroczyli w 1939 roku Rosjanie, został w Tarnopolu aresztowany, przebywał w więzieniu, być może w Odessie, stamtąd trafił do Armii Andersa, do lotnictwa.

Władysław Rajfur, pierwszy z lewej

Według przekazu rodzinnego walczył w Dywizjonie 309 „Ziemi Czerwieńskiej" z bazą w okolicach Glasgow. Był to dywizjon myśliwsko-rozpoznawczy. Wykonywał loty na terytorium Francji i Holandii. Władysław Rajfur został zestrzelony pod koniec wojny. Ranny i poparzony trafił do szpitala, gdzie przebywał jeszcze rok po wojnie. Dwukrotnie odznaczony Medalem Lotniczym. Ożenił się z Angielką i pozostał w Anglii do końca życia. Zmarł w 2002 roku.

Jedną z najbardziej zasłużonych polskich formacji, która walczyła na froncie zachodnim była 1. Dywizja Pancerna pod dowództwem gen. Stanisława Maczka. Po wylądowaniu w czerwcu 1944 roku w Normandii walczyła w składzie 2. Korpus u Kanadyjskiego, m.in. w bitwie pod Falaise. Następnie skierowana została w

kierunku Belgii i Holandii. Wyzwoliła m.in. Ypres, Gandawę i Passchendale. Dzięki znakomitemu manewrowi oskrzydlającemu po ciężkich walkach polscy żołnierze wyzwolili Bredę bez strat wśród ludności cywilnej. 6 maja 1945 r. dywizja zakończyła swój szlak bojowy w Wilhelmshaven na terytorium Niemiec, gdzie jej dowódca gen. Maczek przyjął kapitulację dziesięciu dywizji piechoty oraz ośmiu pułków piechoty |i artylerii niemieckiej.

Nie wiadomo, czy w dywizji gen. Maczka byli żołnierze pochodzący z Czernielowa czy okolic. Nie udało się takich informacji pozyskać.

Jak wspomniano wraz z żołnierzami Armii Andersa z miejsc zesłania w Związku Radzieckim wydostali się członkowie ich rodzin: dzieci, żony, rodzice. Towarzyszyli im aż do Iranu. Będzie o tym mowa.

Armia Berlinga. Wojsko Polskie na wschodzie

Równolegle do opisanych wcześniej działań podejmowanych od rozpoczęcia wojny na Zachodzie, których celem było utworzenie Polskich Sił Zbrojnych a urzeczywistnieniem powstanie formacji wojskowych takich między innymi, jak 1. Korpus Polski, Brygada Strzelców Karpackich, Polskie Siły Powietrzne w Wielkiej Brytanii, czynione też były pierwsze kroki i toczyły się rozmowy z władzami sowieckimi w środowisku polskich komunistów i działaczy lewicowych, którzy znaleźli się na terenie ZSRR. Po ataku Niemiec na Związek Radziecki komuniści polscy wystąpili do władz ZSRR z inicjatywą powołania na terenie tego państwa I Polskiego Batalionu. Zakładano, że w przyszłości powstaną Ochotnicze Polskie Siły Zbrojne złożone z komunistów przebywających w ZSRR oraz uczestników walk w Hiszpanii. W dniu rozpoczęcia wojny niemiecko-radzieckiej 22 czerwca 1941 r. ppłk Zygmunt Berling wraz z innymi oficerami skierowali manifest do Berii, w którym zadeklarowali chęć walki z III Rzeszą u boku Armii Czerwonej.

Jednakże zawarcie układu Sikorski-Majski i umowy wojskowej rządu Rzeczpospolitej Polskiej na Uchodźstwie z rządem sowieckim, a następnie ogłoszenie w sierpniu 1941 roku amnestii dla Polaków znajdujących się na zesłaniu, w łagrach i rozpoczęcie formowania Armii Polskiej w ZSRR spowodowało, że podjęte przez polskich komunistów inicjatywy zmierzającej do powołania polskich jednostek wojskowych zostały czasowo zarzucone.

Sytuacja polityczna zmieniła się po ewakuacji w marcu i sierpniu 1942 roku armii gen. Andersa na Bliski Wschód. Na terenie ZSRR nadal pozostały tysiące obywateli polskich, którzy chcieli wydobyć się z sowieckiej nędzy, wstąpić do polskiego wojska i walczyć z Niemcami.

Z myślą o nich w marcu 1943 roku odbyły się w Moskwie rozmowy w sprawie formowania nowych oddziałów polskich, prowadzone pomiędzy Józefem

Stalinem z jednej strony a Wandą Wasilewską i ppłk. Zygmuntem Berlingiem z drugiej. W kwietniu Biuro Polityczne Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), w skrócie WKP(b), podjęło polityczną decyzję o formowaniu oddziałów polskich pod przewodnictwem powołanego w marcu1943 roku Związku Patriotów Polskich z Wandą Wasielewską na czele. Ona również kierowała komitetem, którego zadaniem było utworzenie wojska. Już na pierwszym posiedzeniu uzgodniono, że formowaną jednostką będzie dywizja piechoty, a ppłk Zygmunt Berling zostanie jej dowódcą. W kolejnych etapach rozmów rozszerzono projekt o pułk czołgów, eskadrę lotniczą i inne jednostki. Tworzone oddziały miały stać się zalążkiem nowych, pozostających pod kierownictwem komunistów, Polskich Sił Zbrojnych walczących na froncie wschodnim u boku Armii Czerwonej.

Zmieniła się też w tym czasie zasadniczo sytuacja na froncie wschodnim. Początkowe błyskawiczne sukcesy armii niemieckiej w trwającej od czerwca 1941 roku wojnie pomiędzy ZSRR i III Rzeszą po kilku miesiącach w wyniku kontrofensywy Armii Czerwonej zostały powstrzymane pod Moskwą. Niemieckie plany zajęcia Kubania i Kaukazu, odcięcia Związku Radzieckiego od pól naftowych, zablokowania transportu na Wołdze w rejonie Stalingradu nie powiodły się. Operacja rozpoczęta w lipcu 1942 roku, po zamknięciu przez Rosjan 23 listopada w rejonie Stalingradu w kotle 6. Armii Polowej pod dowództwem generała Friedricha Paulusa, części 4. Armii Pancernej oraz jednostek rumuńskich zakończyła się w lutym 1943 roku klęską Niemiec i olbrzymimi stratami po obu stronach. Jak można przeczytać w wielu źródłach pod Stalingradem została zniszczona cała 6. Armia generała Paulusa. W okresie od 10 stycznia do 2 lutego 1943 roku oddziały sowieckie rozbiły tu 23 dywizje niemieckie, biorąc do niewoli 91 tysięcy żołnierzy oraz 22 generałów. W wyniku zmagań pod Stalingradem Niemcy stracili 300 tysięcy ludzi, 2 tysiące czołgów i dział pancernych, 3 tysiące samolotów i 70 tysięcy samochodów. Ciężkiej klęski doznali też satelici Niemiec - zostały pobite wysłane na front wschodni wojska włoskie, węgierskie i rumuńskie. Bitwa stalingradzka przyniosła przełom w działaniach wojennych na froncie wschodnim. Inicjatywę na froncie przejęła Armia Czerwona. Wojska sowieckie wyzwoliły spod okupacji 480 tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi ojczystej i na niektórych odcinkach przesunęły linię frontu o 600-700 kilometrów. 8 lutego 1943 roku oddziały sowieckie osiągnęły Kursk, zaś 16 lutego wkroczyły do Charkowa (operacja „Gwiazda”), gdzie rozbiły resztki niemieckiej obrony.

Po tych sukcesach militarnych Armii Czerwonej doszło do kolejnych napięć w kontaktach polsko-radzieckich. Było kilka powodów wzrostu napięcia w obustronnych relacjach, w tym przede wszystkim ponowne narzucenie obywatelstwa radzieckiego obywatelom polskim na terenach zajętych przez Rosjan, faktyczne przekreślenie dyskusji o ewentualnej przedwojennej granicy polsko-

radzieckiej i wiadomość o nieformalnym przekazaniu Polski, wraz z innymi państwami Europy Środkowo-Wschodniej, w strefę wpływów radzieckich po zakończeniu wojny, zaakceptowane przez aliantów zachodnich.

Apogeum konfliktu miało miejsce po 14 kwietnia 1943 r., gdy Niemcy poinformowali o odkryciu w lesie katyńskim koło Smoleńska masowych grobów poszukiwanych od dawna około 20 tysięcy oficerów polskich, jeńców w niewoli radzieckiej od początku wojny. Strona polska, która mimo wielokrotnych próśb do władz radzieckich o wyjaśnienie ich losu, nie otrzymała żadnych konkretnych wyjaśnień, 17 kwietnia 1943 r. przesłała prośbę o zbadanie sprawy do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. W tym samym czasie analogiczną akcję rozpoczęły władze niemieckie.

Zaprzeczając faktom i wskazując, iż zbrodni na polskich oficerach dopuścili się Niemcy po wkroczeniu na teren ZSRR w 1941 roku, strona radziecka postawiła Polakom zarzut współdziałania z Niemcami i przystąpiła do akcji propagandowej przeciwko rządowi polskiemu i w konsekwencji jednostronnie zerwała 26 kwietnia 1943 r. stosunki dyplomatyczne z Rządem Emigracyjnym.

Niestety, w tym otwartym kryzysie politycznym Polacy nie znaleźli sojuszników w osobach premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla i prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta, którzy ze względu na coraz większe zaangażowanie Związku Radzieckiego przeciw hitlerowskim Niemcom stanęli po stronie Stalina.

A potem przez pół wieku w historii Związku Radzieckiego funkcjonowało kłamstwo katyńskie. Dopiero w 1990 roku, po 50 latach od zbrodni katyńskiej, ówczesny przywódca ZSRR Michaił Gorbaczow przekazując pochodzące z radzieckich archiwów dokumenty dotyczące tej zbrodni, po raz pierwszy oficjalnie przyznał, że zbrodni dokonało NKWD, a bezpośrednią odpowiedzialność za zamordowanie kilkunastu tysięcy oficerów polskich pozostających w niewoli radzieckiej w obozach w Starobielsku, Kozielsku, Ostaszkowie i innych, ponoszą Beria, Mierkułow i ich pomocnicy. Strona radziecka, wyrażając ubolewanie w związku z tragedią katyńską, oświadczyła, że jest ona jedną z ciężkich zbrodni stalinizmu.

Tymczasem od wiosny 1943 roku mimo zaprzestania obustronnych rządowych kontaktów trwały przygotowania do utworzenia na terenie ZSRR polskich jednostek wojskowych pod auspicjami Związku Patriotów Polskich. W maju 1943 roku została sformowana w Sielcach nad Oką 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, która stanowiła zalążek 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, a następnie 1. Armii Wojska Polskiego. Na jej czele stanął ppłk Zygmunt Berling, awansowany przez Stalina do stopnia generała brygady, stąd nazywano ją także armią gen. Berlinga, a żołnierzy berlingowcami. Po okresie szkoleń i ćwiczeń miała

wziąć udział w działaniach wojennych przeciwko Niemcom razem z Armią Czerwoną.

Jak wspomniano, żołnierzami tej dywizji zostali obywatele polscy, których tysiące znajdowało się jeszcze w tym czasie na terenie ZSRR i którzy chcieli walczyć o wyzwolenie Polski spod okupacji niemieckiej. Przede wszystkim byli to młodzi ludzie wywiezieni w 1940 roku na Sybir lub z innych przyczyn nie ze swej woli przebywali w Związku Radzieckim. Ze względu na trudności z pokonaniem ogromnych odległości, a także z powodów finansowych, zdrowotnych, zbyt młodego wieku, ale też utrudnień ze strony władz radzieckich nie mogli oni wcześniej wstąpić do armii dowodzonej przez gen. Andersa. Oprócz Polaków w głębi ZSRR pozostawali też jeńcy niemieccy pochodzenia polskiego, przymusowo wcieleni do Wehrmachtu, oraz byli obywatele polscy niepolskiej narodowości i sowiecka Polonia.

Ośrodkiem formowania Polskich Sił Zbrojnych były początkowo Sielce nad Oką, wieś położona w obwodzie riazańskim, około 160 km na południowy wschód od centrum Moskwy. Tu prowadzono żmudne kilkumiesięczne szkolenie wojskowe, przerywane ćwiczeniami i manewrami poza Sielcami i w okolicach Smoleńska.

W czerwcu 1943 roku ruszyła w Riazaniu polska szkoła podoficerska. Nie była jednak ona w stanie wyszkolić odpowiedniej ilości kadr. Stąd w polskim wojsku kadra dowódcza w większości rekrutowała się z oficerów sowieckich, a wśród nich kluczową rolę odgrywali oficerowi polityczni, zwani z rosyjskiego politrukami. Polskie jednostki były podporządkowane dowództwu Armii Czerwonej.

Od początku w szeregach wojska polskiego Sowieci prowadzili szeroką akcję agitacyjną, wpajając stopniowo ideologię komunistyczną za pośrednictwem rozbudowanej sieci oficerów politycznych. Dowództwo przywiązywało dużą uwagę do politycznego wychowania rekrutów i przygotowania ich do budowania nowej Polski według wizji komunizacji państwa na wzór radziecki. Mimo nie do końca zmienionych poglądów politycznych tak przygotowani żołnierze byli gotowi bić się u boku Armii Czerwonej i uczestniczyć w budowaniu nowego modelu państwa.

W czasie przygotowywania młodych rekrutów i doświadczonych mężczyzn do udziału w wojnie, dbano o wszelkie zewnętrzne formy przejawów patriotyzmu i podkreślano ludowy, polski charakter tworzonego wojska. Odwoływano się do tradycji i symboliki narodowej. Żołnierze otrzymali polskie mundury. Jednak na czapkach przedwojennego orła z koroną zastąpił orzeł bez korony, wzorowany na piastowskim, potocznie nazywany „kuricą". Każda dywizja w krótkim czasie od sformowania otrzymywała ufundowany przez Związek Patriotów Polskich sztandar, symboliką nawiązujący do tradycji narodowych. Na sztandarach zamieszczone były hasła „Honor i Ojczyzna", „Za Naszą Wolność i Waszą", „Bóg, Honor i Ojczyzna".

Patronem 1. Dywizji został Tadeusz Kościuszko, mimo że był naczelnikiem insurekcji antyrosyjskiej. Na kolejnych patronów wybierano również postaci ważne w historii Polski. Pierwszą przysięgę żołnierze złożyli 15 lipca, w rocznicę bitwy pod Grunwaldem. W rocie była mowa o wierności Związkowi Sowieckiemu.

Władze sowieckie znały polską tradycję, powszechną religijność żołnierzy i przywiązanie do Kościoła. W celu zaakcentowania polskiego charakteru tworzonego wojska zadbano więc i podjęto decyzję o zorganizowaniu duszpasterstwa wojskowego. W jednostkach wojskowych stworzono możliwość praktyk religijnych na co dzień.

Na przydzielone dywizji stanowisko kapelana wybrano ks. Wilhelma Kubsza, dotychczas ukrywającego się przed Niemcami i pracującego w charakterze sanitariusza w oddziale partyzantki sowieckiej.

Awans na stopień wojskowy majora i nominację na kapelana Wojska Polskiego ks. Wilhelm Kubsz otrzymał w Moskwie z rąk ppłk. Zygmunta Berlinga, a jurysdykcji kościelnej udzielił mu kapelan poselstwa Stanów Zjednoczonych ks. Brown, który miał uprawnienia delegata apostolskiego. Jako ciekawostkę za artykułem internetowym *Jak powstała 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kosciuszki* można podać, że brokatowy ornat księdzu Kubszowi dostarczono z muzeum ateizmu w Moskwie, a sutannę uszył mu krawiec teatralny.

Pracę wśród żołnierzy 1. DP ks. Kubsz rozpoczął 15 lipca 1943 r., odprawiając pierwszą mszę świętą, w czasie której poświęcił sztandar 1. DP. Następnie żołnierze złożyli przysięgę wojskową.

Początkowo ks. Wilhelm Kubsz był jedynym kapelanem w Sielcach. W kolejnych miesiącach do pracy duszpasterskiej w wojsku zaczęli się zgłaszać inni księża. Do 2. Dywizji Piechoty im. Henryka Dąbrowskiego trafił urodzony w 1907 roku w Klebanówce w powiecie tarnopolskim ks. Tadeusz Fedorowicz, dobrowolnie dzielący los deportowanych z okolic Lwowa do Republiki Maryjskiej, a później przebywający w Kazachstanie.

W 3. Dywizji im. Romualda Traugutta obowiązki duszpasterskie objął ks. Alojzy Dudek. Następnie dołączyli do nich ks. Antoni Kij, ks. Marian Mościński, ks. Piotr Sąsiadek z Klewania i ks. Saturnin Żebrowski.

O pracy kapelanów w wojsku: ks. Antoniego Kija, wikarego z Czernielowa Mazowieckiego i ks.Mariana Mościńskiego, proboszcza z Borek Wielkich będzie mowa w dalszej części na podstawie ich wspomnień.

Należy podkreślić, że kapelani pracowali w Armii Polskiej w ZSRR, nie mając żadnych umocowań prawnych i organizacyjnych. Ich służba dla żołnierzy była oparta na wielowiekowej tradycji.

Temat duszpasterstwa i praktyk religijnych w wojsku przewija się we wspomnieniach szeregowych żołnierzy i kapelanów wojskowych i będzie o tym jeszcze mowa.

Wkrótce po utworzeniu 1. dywizji, bo już w pierwszej dekadzie sierpnia 1943 roku w obozie sieleckim rozpoczęło się formowanie 2. Dywizji Piechoty im. Henryka Dąbrowskiego, która weszła w skład 1. Korpusu Polskiego w ZSRR. Jej dowódcą został płk Antoni Siwicki.

Również w Sielcach w okresie styczeń-marzec 1944 roku została sformowana 3. Dywizja Piechoty. Nosiła nazwę im. Romualda Traugutta. Jej dowódcą był gen. Stanisław Galicki.

16 marca 1944 r. został wydany rozkaz przekształcenia 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w 1. Armię Polską w ZSRR. Do trzech istniejących wcześniej dywizji piechoty dołączono utworzoną 4. dywizję, której formowanie rozpoczęto od 1 kwietnia w Sumach pod Charkowem. Nadano jej imię Jana Kilińskiego. Była dowodzona przez gen. Bolesława Kieniewicza. Po czterech miesiącach szkolenia jednostkę przegrupowano w rejon Lublina. Tu 10 września jednostka otrzymała sztandar ufundowany przez społeczeństwo m. Lublina i żołnierze złożyli przysięgę.

Dowództwo nad całością sił 1. Armii Polskiej objął gen. Berling.

W historii Polski zaczął się nowy etap. Zmiany polityczno-ustrojowe, zmiany granic i zależności finansowej, gospodarczej, wojskowej, organizacyjnej, politycznej od władz ZSRR, które nastąpiły po wkroczeniu Armii Czerwonej na dawne tereny II Rzeczpospolitej, a potem na zachód od tak zwanej linii Curzona, były tak głębokie, że nie sposób przedstawić je nawet w skrócie. Dlatego poza krótką informacją zostaną pominięte, a główna uwaga zostanie skupiona na omówieniu w zarysie struktury wojska i szlaku bojowego, by łatwiej można było pokazać udział czernielowian w wyzwalaniu okupowanej Polski.

Powołana 1 stycznia 1944 r. przez działaczy PPR i mniejszych ugrupowań prokomunistycznych Krajowa Rada Narodowa miała pełnić rolę tymczasowego parlamentu, ośrodka przyszłej władzy. Program KRN zakładał walkę o Polskę Ludową związaną sojuszem ze Związkiem Radzieckim. Zapowiadano powołanie rządu tymczasowego, który przeprowadzi szereg reform.

W lipcu przy decydującym udziale władz ZSRR przedstawiciele sił komunistycznych i prokomunistycznych przygotowali powołanie Komitetu Wyzwolenia Narodowego oraz Manifestu do Narodu. Ustawa z 21 lipca 1944 r. o utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego ukazała się w Dzienniku Ustaw Rzeczpospolitej Polskiej nr 1 z następującym przesłaniem: *Rozpoczęły się decydujące walki o wypędzenie z Polski niemieckich najeźdźców. W obliczu tych historycznych wydarzeń Krajowa Rada Narodowa powołuje Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego jako tymczasową władzę wykonawczą dla kierowania*

walką wyzwoleńczą narodu, zdobycia niepodległości i odbudowy państwowości polskiej.

Pierwszym dokumentem ogłoszonym przez organ władzy opozycyjny wobec Rządu Polskiego w Londynie był Manifest do Narodu Polskiego noszący datę 22 lipca 1944 r.

Jeszcze w lipcu PKWN zawarł z ZSRR umowy dotyczące stosunków między dowództwem sowieckim a polską administracją na wyzwolonych terenach Polski. Umowa gwarantowała prawną ochronę wojsk radzieckich. Druga umowa dotyczyła polsko-sowieckiej granicy państwowej, w której za podstawę przyjęto tak zwaną linię Curzona. Tracąc tereny na wschód od Bugu, Polska kosztem Niemiec zyskała terytorium na zachodzie i część Prus Wschodnich oraz obwód gdański. Umowa ta była realizacją wcześniejszych uzgodnień trzech mocarstw: USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR o porządku świata powojennego i stref wpływów.

Na mocy dekretu Krajowej Rady Narodowej z 21 lipca 1944 r. proklamowano powstanie Wojska Polskiego, które tworzyła Armia Polska i partyzantka Armii Ludowej. 29 lipca 1944 r. przemianowano te formacje na 1. Armię Wojska Polskiego. 1. AWP podlegała formalnie polskiemu Naczelnemu Dowództwu, operacyjnie dowództwu radzieckiego 1. Frontu Białoruskiego. Naczelnym Dowódcą Wojska Polskiego został generał Michał Rola-Żymierski.

Dowódcami 1. AWP byli kolejno: gen. dyw. Zygmunt Berling, gen. bryg. Władysław Korczyc - od 5października 1944 r. i gen. dyw. Stanisław Popławski – od 1stycznia 1945 r.

W jej skład wchodziło: 5 dywizji piechoty, brygada kawalerii, 2 brygady artylerii ciężkiej, 2 brygady artylerii haubic, brygada artylerii przeciwpancernej, dywizja artylerii przeciwlotniczej, brygada pancerna, brygada saperów oraz mniejsze jednostki, razem około 94 tys. żołnierzy.

Główne działania 1 AWP obejmowały m.in.: przyczółek magnuszewski, Dęblin, Puławy (VII-VIII 1944), wyzwolenie warszawskiej Pragi, przyczółek czerniakowski (IX 1944), wyzwolenie Warszawy (I 1945), przełamanie Wału Pomorskiego (II 1945), udział w walkach o polskie Wybrzeże i zdobycie Kołobrzegu (III 1945), operację berlińską, m.in. walki nad Odrą w Meklemburgii oraz częścią sił w Berlinie (IV-V 1945).

Formowanie 5. Dywizji Piechoty pod dowództwem płk. Aleksandra Waszkiewicza rozpoczęło się 5 lipca 1944 r. początkowo w rejonie 20 km na wschód Żytomierza, a następnie Łukowa.

Od lata 1944 roku jednym z głównych ośrodków formowania się i szkoleń żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego stały się też okolice Kiwerc, a po wkroczeniu wojsk na zachód od linii Curzona większe miasta, jak: Lublin, Białystok, Rzeszów.

W sierpniu 1944 roku została utworzona 2. Armia Wojska Polskiego (2. AWP) Operacyjnie podlegała dowództwu radzieckiego 1. Frontu Ukraińskiego. Funkcję dowódcy 2. AWP pełnili generałowie: Karol Świerczewski, Stanisław Popławski i ponownie Świerczewski.

W skład 2. AWP weszło: 5 dywizji piechoty, 2 brygady artylerii przeciwpancernej, dywizja artylerii, dywizja artylerii przeciwlotniczej, brygada saperów, brygada zaporowa, brygada pancerna, ponadto od marca do maja 1945 r. 1. Korpus Pancerny (Pierwszy Drezdeński Korpus Pancerny), razem około 90 tys. żołnierzy.

Dywizje były formowane, a żołnierze szkoleni na front przez cały okres od lipca 1944 roku do wiosny 1945 roku. W składzie 2. AWP znalazły się: wymieniona wyżej 5. Dywizja Piechoty, 6. Dywizja Piechoty dowodzona przez płk Leona Kostiachina (włączona później do 1. AWP), 7. Dywizja Piechoty pod dowództwem płk Tadeusza Piotrowskiego, sformowana od września do października 1944 roku w Lublinie i w rejonie Krasnegostawu, 8. Dywizja Piechoty im. Bartosza Głowackiego, której pierwszym dowódcą był płk Wasyl Gulida, utworzona w rejonie Siedlec na bazie zgrupowania partyzanckiego *Jeszcze Polska nie zginęła*, 9. Dywizja Piechoty sformowana latem i jesienią 1944 r. w okolicach Białegostoku, którą dowodził płk Aleksander Łaski i 10. Dywizja Piechoty, której organizowanie rozpoczęto w Rzeszowie w październiku 1944 roku.

Formacje 2. AWP brały udział w operacji łużyckiej i praskiej, w walkach pod Budziszynem i pod Dreznem (IV-V 1945).

Większość szeregowych żołnierzy pochodziła z poboru ogłoszonego przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego 15 sierpnia 1944 r., żołnierze byli wcielani z oddziałów AL, Armii Krajowej (według dyrektywy Stalina oficerowie mieli być natychmiast internowani), Batalionów Chłopskich, a także z polskich ochotników z Kresów Wschodnich, Litwy i ZSRR. Tak jak w przypadku 1. AWP, tak i w 2. AWP znaczną część kadry oficerskiej stanowili Rosjanie, tylko część podoficerów i oficerów rekrutowała się z przedwojennych oficerów zawodowych i rezerwy.

Po tych ogólnych informacjach przechodzimy do początku szlaku bojowego 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, wchodzącej w skład 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR:

Po kilkumiesięcznym okresie szkolenia i ćwiczeń żołnierze 1. Dywizji zostali przegrupowani do strefy przyfrontowej działań wojennych Armii Czerwonej przeciwko wojskom niemieckim na Froncie Zachodnim w rejonie tak zwanej Bramy Smoleńskiej. W październiku 1943 roku zostali po raz pierwszy skierowani do walk na froncie w składzie sowieckiej 33. Armii Frontu Zachodniego. Trzy pułki kościuszkowców wzmocnione pułkiem czołgów i wsparte trzema pułkami oraz brygadą artylerii sowieckiej 12 października otrzymały zadanie przełamania linii

umocnień niemieckich na dwukilometrowym odcinku między wsią Połzuchy – wzgórzem 215,5 – a wsią Trygubowo, a następnie oddziałom wytyczono dalsze etapy natarcia na zachód. Na skrzydłach 1. dywizji miały atakować dwie dywizje strzeleckie Armii Czerwonej. Kilkudniowe walki nad Miereją do historii przeszły jako bitwa pod Lenino, mimo że Lenino leżało po stronie sowieckiej i nie toczyła się o tę miejscowość bitwa. Bitwa ta uznana została za chrzest bojowy 1. Armii.

1. Dywizja Piechoty przełamała obronę nieprzyjaciela, związała i wykrwawiła znaczne siły przeciwnika, ale nie w pełni wykonała swoje zadanie. Starcie z siłami niemieckimi okupiono ogromnymi stratami sięgającymi 25% stanu osobowego dywizji. Po dwóch dniach walki musiała zostać wycofana z pierwszej linii. Pod Połzuchami i Trygubowem zginęło ponad 510 żołnierzy polskich, około 1800 zostało rannych, a zaginęło bez wieści 652, do niewoli zostało wziętych 116 żołnierzy. Po bitwie jednostkę wycofano w rejon Smoleńska.

Polscy żołnierze i czołg T-34 przed bitwą

W bitwie pod Lenino walczyli żołnierze o czernielowskich korzeniach. Z przekazu rodzinnego i wspomnień kolegów wiadomo co najmniej o czterech z nich i jednym z Czołhańszczyzny. O tym, że pod Lenino walczył Marian Świcarz i był ranny w nogę wspominały jego siostrzenica Barbara Barszczewska, córka Józefy z d. Świcarz i Stanisława Zacierków, oraz bratanica Maria Lorenta-Kozyra.

Kilka słów można o nim powiedzieć na podstawie jego książeczki wojskowej: Urodził się w 1924 roku w Czernielowie. Szkołę powszechną kończył w Woli Gołuchowskiej. W wieku 19 lat, 21 maja 1943 roku, wstąpił do formowanej właśnie 1. Dywizji Piechoty. Był w 1. pułku piechoty, w batalionie piechoty, w 7. kompanii fizylierów, czyli szeregowców uzbrojonych w karabiny maszynowe. Pod Lenino jego 1. pp wszedł do walki w pierwszym rzucie na lewym skrzydle dywizji i nacierał w kierunku wsi Trygubowo. Jak wspomniano w bitwie tej Marian Świcarz został ranny. W listopadzie 1943 roku przeniesiono go do Samodzielnego Batalionu Narciarskiego przy 1.dywizji, a w marcu 1944 roku do

Marian Świcarz

5. Samodzielnej Kompanii Łączności z funkcją nadzorcy lin. Będzie jeszcze o nim mowa.

Stanisław Maliszkiewicz w liście skierowanym z wojska do rodziny wspominał dwóch czernielowian, pisząc: *Piotrowski mówił mi, że Franko Rajfur był z nim razem w wojsku i pod Smoleńskiem został zabity.*

W ten sposób autor listu pośrednio informował, że zarówno Franciszek Rajfur, jak i Józef Piotrowski, brali udział w walkach w rejonie Lenino. Trzeba przypomnieć, że Marian Świcarz i Józef Piotrowski wraz z innymi byłymi mieszkańcami Czernielowa przebywali na zesłaniu w Republice Komi (wywiezieni z Woli Gołuchowskiej koło Podhajec) i stamtąd trafili do 1. dywizji.

Przekazana w liście przez Stanisława Maliszkiewicza wiadomość o tym, że Franciszek Rajfur zginął pod Smoleńskiem okazała się nieprawdziwa. Pochodzący z Czernielowa Franciszek Rajfur, mąż Teodozji, z d. Marchewka, do formowanej 1. dywizji pokonał długą drogę z posiołka Kuźnia w Krasnojarskim Kraju, gdzie ze swoją rodziną był deportowany z Proszowej.

Krótkie wspomnienie o nim przekazał Zbigniew Kubów w korespondencji w kwietniu 2016 roku. Franciszek Rajfur w bitwie pod Lenino został bardzo ciężko ranny: amputowano mu jedną nogę, a drugą w kolanie usztywniono. Z powodu komplikacji pooperacyjnych przez ponad pół roku przebywał w szpitalu w Moskwie, a potem wczesną wiosną 1944 roku przyjechał do Stupek. Gdy jego żona z dziećmi wróciła z Sybiru, co nastąpiło latem 1944 roku, do czasu wyjazdu do Polski we wrześniu 1945 roku, mieszkali u krewnych w Czernielowie Mazowieckim.

Z Republiki Komi, ale z Noszul bazy, do wojska poszedł też urodzony w 1922 roku Marian Kozłowski, syn pochodzących z Czernielowa Eudoksji i Michała Kozłowskich, którzy na długo przed wojną wyjechali do Buchtanki koło Płotyczy i tu zostali 10 lutego 1940 roku aresztowani przez NKWD. Nie wiadomo, w jakiej formacji służył, jaki był szlak bojowy Mariana Kozłowskiego. Z przekazu rodzinnego wiadomo tylko, że szedł od Lenino do Berlina.

Uczestnikiem bitwy w rejonie Lenino był urodzony w 1918 roku Bartłomiej Chabza, syn Andrzeja, z sąsiedniej Czołhańszczyzny. W czasie pierwszej okupacji sowieckiej został zabrany w 1940 roku wraz z kilkoma innymi mieszkańcami Czernielowa Mazowieckiego, Ruskiego i Czołhańszczyzny do Armii Czerwonej. Jego los w pierwszym okresie był podobny do losu Tadeusza Cieplaka, opisanego w podrozdziale *Pobór do wojska w 1940 roku. Strojbataliony.*

Trzeba przypomnieć, że w 1940 roku do wojska ZSRR zostali zabrani młodzi mieszkańcy Czernielowa, a potem prawdopodobnie trafili do strojbatalionów: Sławomir Bereza, Jan i Władysław Hrycajowie, Wiktor Jacykowski, syn Danyły, Marian Murmyło, Sławomir Romaniuk z Błot, Karol Rajfur, Józef Sobol, Piotr Walusz, a z Czołhańszczyzny wspomniani Bartłomiej Chabza, Józef Andruszewski,

Jan Cieplak i Tadeusz Cieplak, którego los był później związany z Armią Andersa i pracą w dyplomacji, na początku z prof. Kotem.

Niestety, nie ma potwierdzenia w dokumentach lub w przekazie rodzinnym, że wszyscy oni lub tylko niektórzy z wymienionych czernielowian wstąpili do 1. dywizji od momentu jej formowania i brali udział w walkach pod Lenino. O spotkaniu niektórych z nich na wiosnę 1944 roku wspominał w liście do żony Stanisław Maliszkiewicz.

O Bartłomieju Chabzie opowiedział jego młodszy brat Michał, rocznik 1922, wspominając, że po okresie ćwiczeń w wojsku gdy w 1941 roku zaczęto formować Armię Andersa, jego brat Bartek trafił do strojbatalionów, gdzie pracował w kamieniołomach. Ładowali kamienie na samochód i wywozili na stację, tam gdzie był Cieplak, czyli na stację Złatoust na środkowym Uralu.

Maria Cieplak, z d. Piotrowska, nawiązując w sierpniu 2018 roku do mieszkańców wsi zabranych jesienią 1940 r. do Armii Czerwonej wspomniała, że Bartłomiej Chabza wraz z Tadeuszem Cieplakiem po wcieleniu do strojbatu i wywiezieniu za Ural pracowali w lesie. Biorąc pod uwagę, że okres pracy w strojbatalionach to prawie dwa lata, być może został z kamieniołomów przeniesiony do pracy przy wyrębie w lesie lub odwrotnie. Trudno po latach ustalić szczegóły.

Bartłomiej Chabza

Michał Chabza przypomniał, że w 1943 roku, gdy zaczęła się tworzyć 1. dywizja, nazywana kościuszkowską, Bartłomiej Chabza wraz z innymi dotarł do niej. Spotkali się tam z Polakami wywiezionymi na Sybir. Początkowo Bartłomiej Chabza był w artylerii, a potem w zwiadzie. Walczył pod Lenino. Po bitwie wycofali ich poza front. Bracia spotkali się w Sumach dokąd Michał trafił z wiosennego poboru po wkroczeniu Rosjan do Czernielowa i Czołhańszczyzny w 1944 roku.

Z książeczki wojskowej Bartłomieja Chabzy wynika, że w październiku 1940 roku został wcielony do 67. pułku artylerii górskiej Armii Czerwonej. Z datą 21.07.1941 r. wpisany jest udział w walce z Niemcami, z określeniem „jezdny", czyli kierujący pojazdem, działem itp. Kolejny wpis dotyczy przeniesienia do batalionu pracy w 1942 roku, bez daty dziennej, a 27.05.1943 r. zmobilizowany do 1. pułku artylerii Wojska Polskiego również jako jezdny. Wpis pod datą 12.10. 1943 r. dotyczy udziału w bitwie pod Lenino jako zwiadowca. Od 7.07.1944 r. uczestniczył w walce z Niemcami od Bugu do Wisły i od Wisły do Berlina jako kierowca samochodu. W maju 1945 awansował na bombardiera.

O dalszych losach braci Chabzów będzie jeszcze mowa.

Na zakończenie wstępnej części o dwóch armiach, w których służyli czernielowianie, kilka słów o podziale organizacyjnym i liczebności żołnierzy w poszczególnych jednostkach wojskowych z zaznaczeniem, że są to dane przybliżone i w zależności od źródła informacji liczebność żołnierzy jest inna:

Tabela 2. Nazwy jednostek wojskowych i liczba żołnierzy w nich służących

Nazwa jednostki	Liczba żołnierzy (około)	Uwagi
drużyna	3-15	-
pluton	9-45	3 drużyny
kompania	60-110	3 plutony + pluton wsparcia
batalion (w artylerii dywizjon)	300-700	3 kompanie + kompania wsparcia
pułk (w artylerii działon)	900-2100	3 bataliony
brygada (kawalerii)	3-6 tysięcy	3 pułki
dywizja	5-15 tysięcy	3 brygady
korpus	15-45 tysięcy	2 lub 3 dywizje
armia	45-150 tysięcy	kilka dywizji, 3 korpusy
front	150-500 tysięcy	kilka grup armii, 3 armie

To tyle ogólnych informacji o utworzonych na terenie ZSRR z inicjatywy polskich środowisk komunistycznych i prokomunistycznych siłach zbrojnych, które wspólnie z Armią Czerwoną miały walczyć z hitlerowskim okupantem. Po chrzcie bojowym w rejonie Lenino 1. dywizja i utworzona w sierpniu 1943 roku 2. Dywizja Piechoty przechodziły szkolenie bojowe, by na wiosnę 1944 roku znaleźć się w nowych ośrodkach ześrodkowania w rejonie Żytomierza i Berdyczowa.

Widok Tarnopola w czasie wojny

W tym czasie Armia Czerwona na Froncie Białoruskim i Ukraińskim przeprowadzając kolejne operacje wojskowe przeciwko zgrupowaniom wojsk niemieckich, wyzwalała spod okupacji niemieckiej nowe tereny. Na początku stycznia 1944 roku wojska radzieckie, a wraz z nimi 1. dywizja przekroczyły przedwojenną granicę polsko-rosyjską i wkroczyły na przedwojenne ziemie polskie, w tym na Tarnopolszczyznę i do Czernielowa, o czym w następnym rozdziale.

Rozdział 12. Wojenne losy czernielowian

Wkroczenie Rosjan, walki o Tarnopol

O losach wojny niemiecko-radzieckiej zadecydowała opisana klęska Niemców pod Stalingradem. Rozstrzygające znaczenie miała jednak bitwa na Łuku Kurskim w lipcu-sierpniu 1943 roku uważana za ostatnią niemiecką próbę odzyskania inicjatywy strategicznej na froncie wschodnim. Walki pod Kurskiem z udziałem około miliona żołnierzy obu armii, tysięcy czołgów, dział, samolotów, przy olbrzymich stratach ludzi i sprzętu po obu stronach zakończyły się decydującym i strategicznym sukcesem Armii Czerwonej.

W sierpniu 1943 roku Armia Czerwona ruszyła do ataku. Niemcy z konieczności mogli prowadzić tylko działania obronne lub cofać się. I tak już było do końca wojny.

Informacje o klęsce Niemców pod Stalingradem, o przegranej pod Kurskiem, o parciu Armii Czerwonej na zachód różnymi kanałami docierały do Czernielowa. Mieszkańcy wsi obserwowali zmiany w zachowaniu okupantów niemieckich, spodziewali się w ciągu kilku miesięcy ponownego wkroczenia Rosjan na tereny dawnej Rzeczpospolitej.

Zanim jednak to nastąpiło, niemieckie władze okupacyjne nadal egzekwowały posłuszeństwo wobec ustanowionego przez nich prawa. W dniach 8 i 9 lutego 1944 r. w pobliskich Borkach Wielkich miała miejsce publiczna egzekucja 34 więźniów z Tarnopola, jak podaje *Wikipedia,* oskarżonych przez nazistów o zabójstwa, sabotaże i przynależność do OUN. O tym zdarzeniu autorzy wspominanego wielokrotnie opracowania o Borkach, w nawiązaniu do działalności UPA, napisali: *Koniec 1943 - początek 1944 roku był krytycznym czasem dla naszego kraju. Niemieckie wojska okupacyjne w dalszym ciągu szalały, dokonując zbrodni ludności. W styczniu 1944 roku z tarnopolskiego więzienia przywieziono do publicznego rozstrzelania 34 więźniów. W zimowe dni policjanci i miejscowi SS-mani zgonili do doliny w pobliżu kościoła ludzi, żeby publicznie dokonać egzekucji. Chcieli zastraszyć miejscową ludność. Pośród straconych byli zakładnicy z pobliskich wsi i wzięci do niewoli bojownicy UPA. Przed rozstrzelaniem dwóch bojowników UPA zerwało opaski z oczu, pragnąc popatrzeć śmierci w oczy. Nieustraszeni chłopcy w ostatniej minucie swego życia wzywali do walki z znienawidzonym okupantem, ginąc z hasłem Слава Україні*! (Chwała Ukrainie!) *(...) 7 kwietnia 1991 roku ekshumowano szczątki straconych. Na miejscu egzekucji wzniesiono pamiątkowy krzyż.* (tłum. K.M.)

Opis tego zdarzenia można uzupełnić o wypowiedź pochodzącej z Borek Wielkich Anieli Kubów, z d. Rejfur, która przypomniała, że Niemcy rozstrzelali 30 mężczyzn na małym placu, w rozwidleniu drogi głównej i lokalnej prowadzącej

od kościoła do cerkwi greckokatolickiej. Na tę egzekucję z wioski spędzono dużo mieszkańców, aby pokazać czym grozi nieposłuszeństwo.

4 marca 1944 r. I Front Ukraiński marszałka Gieorgija Żukowa rozpoczął kolejną ofensywę na Ukrainie. Zadaniem wojsk Żukowa było wyjście na tyły niemieckiej Grupy Armii „Południe" nad Dniestrem, a głównym celem Stawki było zajęcie całego terytorium Ukrainy. Niedługo po rozpoczęciu operacji żołnierze I Frontu Ukraińskiego dotarli w okolice Tarnopola. 9 marca radzieckie czołgi i piechota przedarły się do miasta. Podczas ciężkich walk trwających do 11 marca Tarnopol został oczyszczony z pododdziałów Armii Czerwonej. Rosjanie nie rezygnowali i rozpoczęli intensywne bombardowanie miasta. 10 marca Tarnopol został ogłoszony przez wodza III Rzeszy miastem twierdzą. Wewnętrzny i zewnętrzny pas obronny miasta tworzyły ziemne fortyfikacje, które ciągnęły się w odległości 2-3 km od centrum miasta.

Wokół okrążonego Tarnopola nastąpiła ogromna koncentracja radzieckiej artylerii przeciwlotniczej. Aby osłaniać kierujące się do miasta samoloty i szybowce transportowe, Niemcy musieli wysyłać silną osłonę myśliwską i bombardować zlokalizowane pozycje baterii przeciwlotniczych.

Taki opis zawiera artykuł Jacka Ostrowskiego z września 2014 roku o niemieckiej obronie garnizonu w Tarnopolu.

Walki toczyły się wokół Czernielowa i okolicznych wsi, żołnierze Armii Czerwonej znaleźli się we wszystkich podtarnopolskich miejscowościach.

Czernielowianie we wspomnieniach przekazali przeżycia i nastroje we wsi w ostatnich miesiącach okupacji niemieckiej, krótko przed wkroczeniem Rosjan.

Wiktor Mielnik w *Pamiętniku wspomnieniach* zanotował na ten temat: *Na froncie Niemcy cofają się. Armia Czerwona zadaje ciosy Niemcom z różnych stron. W całej Europie z Niemcami walczą partyzanci, okrążają, wysadzają mosty i różne obiekty, wysadzają pociągi, które wiozą zaopatrzenie na front, niszczą łączność i posterunki, napadają na tyły.*

Ciekawe spostrzeżenia z tego okresu przechował w swojej pamięci Szczepan Studenny. Był wtedy kilkuletnim dzieckiem. Oto jego krótkie wspomnienia: *7 marca 1943 roku zmarł mój tato Wincenty Studenny, miał 36 lat. Mama Franciszka, z d. Mielnik, została 32-letnią wdową z dwójką małych synów. Ja, Szczepan, sześciolatek i mój starszy o dwa lata brat Franciszek zostaliśmy bez ojca. W październiku 1943 roku przyszli do nas Niemcy ok. 10-15 osób z jeńcami, którzy byli umieszczeni w szkole. Niemcy szukali po wsi desek na łóżka dla żołnierzy i jeńców. Pamiętam, że weszli do jednego rolnika, gdzie była stodoła z desek, które nadawałyby się na te łóżka. Rolnik nie pozwolił zabrać tych desek - nie wiedział, że zapłaci za odmowę. Niemcy poszli do innego, gdzie dostali takie deski. W naszym domu zamieszkał dobrze uzbrojony oficer – był on dowódcą oddziału. Po przybyciu*

tego oddziału zaraz doprowadzono do naszego domu prąd, dostarczono węgiel, drewno, żywność: konserwy, owoce, kaszę mąkę, cukier, chleb. Do naszego domu przychodzili żołnierze i jeńcy wojenni po bieliznę i środki czystości. Moja mama pod fartuszkiem nosiła chleb, aby jeńcom dać go w ukryciu. Nam chleba nie brakowało. W tej okolicy, obok szkoły – w domach zamieszkiwali oficerowie niemieccy. Zwykli żołnierze przebywali w budynku szkoły - pilnowali jeńców. Oficer, który mieszkał u nas w domu, jeździł często samochodem do folwarku w Czołhańszczyźnie po żywność. Często zabierał mnie z sobą. Pamiętam, że pewnego dnia zaproszono do mieszkania oficera oraz mnie. Gosposia posadziła mnie w jadalni, a oficera zaproszono do salonu. Po chwili przyszedł do mnie ten oficer, wziął mnie za rękę i posadził mnie za stołem w salonie obok siebie. Tam zjadłem, co podano. W marcu 1944, zaczęły się roztopy, Niemcy zaczęli się wycofywać z Czernielowa Mazowieckiego. Oficer niemiecki przypomniał sobie o incydencie z deskami. Postanowił się zemścić. Poszedł z żołnierzami do chłopa – zabił mu jedną świnię, a drugą zostawił. Podobnie podzielił resztę, tj. kury, indyki, kaczki. Połowę zabrał, a drugą połowę zostawił.

O końcowym etapie okupacji niemieckiej Stanisława Bodnar, z d. Mielnik, we wspomnieniach *Moje życie, mój los* pisała: *Rosjanie zatrzymali ofensywę wojsk niemieckich w zimie 1943/1944 roku i zmusili Niemców do odwrotu. O tym ludność naszej wsi początkowo nie wiedziała, ale Niemiec, który kwaterował powiedział o tym mojemu ojcu. W pośpiechu Niemcy wywozili materiały wojskowe składowane na naszej posesji. Samochodem jeździł „nasz" Niemiec i na moją prośbę zabierał mnie do szoferki, z czego byłam bardzo dumna. Tak zrobiliśmy kilka kursów. Wycofaniem się Niemców z naszego terenu zaniepokojone były rodziny ukraińskie. Szczególnie te, których członkowie współpracowali z Niemcami. Strach ich był uzasadniony, ponieważ w okresie okupacji niemieckiej Ukraińcy banderowcy bestialsko mordowali Polaków, napadając na nich przeważnie nocą. Niemcy nie interweniowali. W mojej wsi napadów takich nie było, bo wieś była duża i zorganizowana. Strzegli jej sami mieszkańcy. Każdej nocy były wystawiane warty, które chodziły ulicami lub wokół wsi i ostrzegały mieszkańców, gdy do wsi ktoś się zbliżał. Ja także razem z bratem pełniłam takie warty.*

Zmiana władzy okupacyjnej jest zawsze związana z pustką, w którą wkraczają elementy bandyckie. Jest to bardzo dużym zagrożeniem dla wiejskiej, bezbronnej miejscowej ludności. Pamiętam taką straszną noc, kiedy Niemców już nie było, a Rosjan jeszcze nie było. Bardzo baliśmy się banderowców i nie wiem, czy ktoś z dorosłych osób w tę noc spał. Rosjanie znów wrócili do nas w marcu 1944 roku.

Wkroczeniu Rosjan do Czernielowa towarzyszyły emocje i wydarzenia związane z niekontrolowanym dostępem do spirytusu w miejscowej gorzelni, najpierw mieszkańców wsi, a potem rosyjskich żołnierzy.

We wspomnieniach Stefanii Górskiej, z d. Woźniak, można o tym momencie przeczytać: *W marcu 1944 roku już było słychać strzały artylerii i widać było ruch na szosie Podwołoczyska-Tarnopol. Ale też polnymi drogami jechały tabory, dużo wojska niemieckiego szło na pieszo. Wieczorem już było słychać wyraźne strzały z odległości jakichś 20 kilometrów. Nikt nie spał, cała wioska była na nogach. Znalazło się kilku opryszków, poszli do gorzelnianego i odebrali klucze do magazynu, gdzie stała cysterna z spirytusem i odkręcili duży korek. Spirytus zaczął ciec tak zwyczajnie na beton i ludzie nabierali go w naczynia, jakie kto miał, w wiadra, kanki, butle … Za jakieś pół godziny od oparów spirytusu wlewanego do dużej balii i lampy naftowej wybuchł pożar w domu wujka Hani Woźniakowej. Oni mieszkali za rzeką, Na błoniach, na wprost tyłów majątku. Wujek Hani i jej babcia zostali bardzo mocno poparzeni. Przywieźli ich do domu Hani, naszych sąsiadów, z którymi żyliśmy na jednym podwórku. Moja Mama do nich poszła i był wielki płacz. Ojciec i brat pobiegli do pożaru, a nam - Marysi, mnie i Babci kazali nigdzie nie wychodzić. Siedzieliśmy na Babci łóżku, nasłuchiwaliśmy, była chwila ciszy i ze zmęczenia nawet nie wiem, kiedy usnęłam. Naraz zobaczyliśmy ruskich żołnierzy, stoją na środku izby i jeden pyta:„Znajeti, kto my je? My krasni”. A więc już są Rosjanie. No i zaczęło się. Zajęli się spirytusem, pili do upadłego.*

Natomiast Jadwiga Podleska w II i III części *Wspomnień z Tarnopolszczyzny* tak opisała moment ponownego wkroczenia Rosjan do Czernielowa: *W pierwszych dniach marca 1944 roku Armia Czerwona zajęła Zbaraż. Opuszczony przez Niemców Czernielów Mazowiecki znowu był zagrożony przez nacjonalistów ukraińskich. W nocy z 8 na 9 marca znów zamierzali „rozprawić się z tym polskim gniazdem” i zaczęli gromadzić się w domach pięciu ukraińskich rodzin w naszej wsi. Na szczęście tej nocy właśnie wkroczyła do wsi jednostka sowiecka. Co prawda zajęła się zaraz gorzelnią, w której pozostały kadzie pełne spirytusu, ale to z kolei uchroniło mieszkańców, zwłaszcza kobiety, od większych ekscesów. Pierwszą linię frontu sowieckiego stanowili bowiem w większości przestępcy, wypuszczeni przez Stalina z więzień na mięso armatnie za obietnicę zwolnienia, jeśli ktoś z nich przeżyje. Wkrótce rozpoczęło się, trwające z górą pięć tygodni, oblężenie Tarnopola.*

Nazajutrz, 9 marca, kwaterę we wsi zajął gen. Rybałko, ten sam, który w rok później wypędzał Niemców z Gliwic. W domu, w którym mieszkał, nakazał kobietom meldować sobie wszelkie próby napastowania.

Jadwiga Podleska wspomniała też, że po gen. Rybałce w Czernielowie kwaterował gen. Żukow. W wywiadzie *Uciekająca panna młoda* opublikowanym w Internecie w 2007 roku Anna Bigus, z d. Maliszkiewicz, opowiadając o wkroczeniu Rosjan do Czernielowa dodawała: *W całej wsi rozlokowane było ich wojsko. W naszym mieszkaniu byli żołnierze, a my mieszkaliśmy w komórkach. Za naszym domem był duży sad. Tam zrobili żołnierską stołówkę. We wsi mieszkał też*

słynny generał Żukow. Stacjonował w domu u Mielnika, który potem mieszkał w Lisim Polu. Mieli oni ładny dom i studnię z pompą. Po naszym wyjeździe całą wieś przemianowali na Żukow.

Generała Żukowa widywała, będąc niespełna 10-letnią dziewczynką Maria Hrycaj, z d. Mielnik, córka Antoniny i Wiktora. We wspomnieniach przekazanych redaktorowi Krywalewiczowi, przez niego zatytułowanych *W Czernielowie Mazowieckim generała Żukowa widziałam na własne oczy* relacjonowała: *Proszę sobie wyobrazić, że w naszej wiosce przebywał w tym czasie generał Żukow. W chyba każdym domu zamieszkali żołnierze. Nasz dom rodzinny, później dwa zabudowania, a w trzecim mieszkał generał i jego najbliżsi podwładni. Przed domem przez cały dzień i całą noc stał wartownik. W dzień to mogło być ich nawet kilku. Gdy podjeżdżał samochód, sprawdzali. My biegaliśmy tam jako dzieci. Pan sobie wyobrazi, że ja Żukowa widziałam na własne oczy. Widziałam, widziałam jak wyszedł przed dom, z kimś rozmawiał i wszedł do samochodu. A wszyscy – „O Żukow!". W moim domu i domach sąsiadów zamieszkali też tacy ważniejsi oficerowie. W dzień spędzali dużo czasu u generała. Wtedy, gdy oni przez jakiś czas stacjonowali w Czernielowie, to ścięto topole nad rzeką. Z drzew zbudowano przeprawę na drugą stronę. Po drugiej stronie rzeki, wzdłuż zabudowań znajdował się pas startowy. Tam startowały, lądowały takie kukuryźniki. Załoga składała się z dwóch osób. Głośne maszyny.*

O pobycie gen. Żukowa wraz z towarzyszącymi mu oficerami i żołnierzami na połączonym podwórku Mielników i Piotrowskich wspominał też w swojej rodzinie Józef Zgóra. Jego żona Anna pochodziła z rodziny Piotrowskich i znał to podwórko. Opowiadał też o czterech ckm-ach zostawionych przez Rosjan do obrony przed UPA, kiedy to sztab Żukowa zatrzymał się w 1944 roku w Czernielowie.

Zupełnie inną lokalizację kwatery Żukowa zapamiętała Jarosława Fok, z d. Koszulińska. Według niej, jak można przeczytać w opracowaniu Woźnego *Od Czernielowa Mazowieckiego do Sobornego*, kwatera marszałka miała znajdować się w domu rodziny Podgórskich, przy późniejszym przystanku autobusowym.

W przekazie dawnych wspomnień zapamiętano jeszcze jeden dom jako miejsce kwatery generała Żukowa. Według Franciszka Błaszkiewicza przebywał on w Czernielowie w domu Franciszka Bachalskiego. Po latach opowiadana była w rodzinie historia związana z marszałkiem: *Kiedyś Żukow spytał gospodarza, u którego mieszkał: „Czy Polacy lubią Rosjan?". Prosił, aby powiedział to szczerze, on mu nic nie zrobi. Franciszek Bachalski odważył się i powiedział: „Za co mamy was lubić: Za dwudziesty rok? Za to żeście nas napadli? Za wysyłanie nas na Sybir? Za Katyń?". Później, gdy zastanowił się, zaczął Żukowa unikać. A kiedy na polu sąsiadującym z polem Błaszkiewiczów spotkał Agnieszkę Błaszkiewicz, z d. Chabza, opowiedział jej to zdarzenie, mówiąc: „Co ja narobiłem, boję się teraz wracać do*

domu". Jego córka Fila pytała Agnieszkę Błaszkiewicz: „Gdzie jest tata? Narobił sobie kłopotu i przez ogrody wraca do domu". Żukow dopytywał o gospodarza, ale dotrzymał słowa i nic mu nie zrobił.

Franciszek Błaszkiewicz, wspominając Żukowa, dodał jeszcze, że marszałek jeździł po Czernielowie na koniu i sprawdzał posterunki.

Natomiast w rodzinie Winiarskich zapamiętano opowieść o stacjonowaniu w domu Franciszka Bachalskiego dowódcy wojsk pancernych Armii Czerwonej generała Pawła Rybałki, którego przypuszczalnie mylono z Żukowem.

Tak rozbieżnie zapamiętane usytuowania w Czernielowie kwatery Gieorgija Żukowa, od stycznia 1943 już marszałka, a od marca 1944 r. dowódcy 1. Frontu Ukraińskiego, wynikały z nieznajomości przez czernielowian innych wysokich rangą dowódców Armii Czerwonej i przypisywania im tożsamości Żukowa.

A tak zapamiętał wkroczenie do wsi Rosjan na wiosnę 1944 roku kilkuletni wtedy Szczepan Studenny: *W Czernielowie Mazowieckim przebywali już Rosjanie. W naszym budynku, to jest w mieszkaniu u mojej babci Antoniny Studennej, mieścił się sztab frontowy. U sąsiada Murmyły podwórze zajęte było przez samochody, które woziły zabitych z linii frontu w celu spisania, porozbierania i pochowania nagich ciał. Poległych chowano po pięciu-siedmiu w jednym grobie. Takich grobów, które kopano w sadku za dzwonnicą koło kościoła mogło być od dziesięciu do dwudziestu. Na mogiłach kładziono pociski artyleryjskie, od których zginęli.*

W rozmowie telefonicznej Szczepan Studenny dodał, że w domu jego babci Rosjanie drukowali mapy frontowe.

O rozlokowaniu się Rosjan we wsi wspominała też Stefania Górska, z d. Woźniak: *Do Czernielowa na majątek najechało dużo samochodów osobowych, a w nich sama starszyna, generałowie, kapitanowie, lejtnanci i ich obsługa. Każdy oficer miał swojego tak zwanego pucybuta. On przynosił posiłki i dbał o wszystko. Okazało się, że dla potrzeb Rosjan pomieszczenia w domu na majątku i na rządcówce to za mało i rozkwaterowali się w domach na wsi, między innymi u naszych sąsiadów Podgórskich i na czworakach. U nas też zajęli izbę, tę, w której była kancelaria. Na razie zostawili nas w naszej izbie. Po jakimś czasie musieliśmy jednak opuścić dom i przenieśliśmy się do komórki, w której na zimę przechowywaliśmy zboże. Była już wiosna i na szczęście było dość ciepło. Postawiliśmy skrzynie na zboże jedną na drugiej i tak mieszkaliśmy. Czasem pozwalali nam gotować w kuchni, a czasem przynosili nam jedzenie ze swojej żołnierskiej kuchni, przeważnie chleb i zupę. I tak trwaliśmy dwa miesiące…*

Ignacy Mielnik w swojej rodzinie opowiadał z kolei, że: *Rosjanie zdobywali Tarnopol kilka razy. Dowództwo stacjonowało w Czernielowie z półtora miesiąca. Na początku swojego pobytu w Czernielowie chcieli lewą stronę wsi wysiedlić na*

drugą stronę Gniezny. Ostatecznie oficerowie zamieszkali w wielu gospodarstwach czernielowian, razem z rodzinami właścicieli, po jednej i po drugiej stronie rzeki.

Natomiast Stefanii Górskiej, z d. Woźniak, utkwił w pamięci inny moment z pobytu gen. Żukowa w Czernielowie. Prawdopodobnie miało to miejsce po kilku tygodniach pobytu Rosjan we wsi. We *Wspomnieniac*h opisała to następująco*: I tak to ciągnęło się przez dwa miesiące zanim wyjechali. Aż jednej niedzieli, po Mszy św. wszyscy wychodzimy z kościoła, zatrzymują nas koło dzwonnicy i zaczął przemawiać generał. Przedstawił się nam, że nazywa się Żukow. Mówił krótko, raczej chciał nas powiadomić o czymś. Powiedział, że nasza wieś bardzo mu się podobała i jak wojna się skończy to nasz Czernielów Mazowiecki będzie nazywać się Żukow. To nam się nie podobało, ale nikt się nie odezwał na jego słowa, dopiero w domu można było pogadać ze swoimi i z rodziną. Nauczyliśmy się milczeć. Nieraz słyszeliśmy, jak pucybuty podśmiewają się, że Polacy liczą, że będzie Polska. Nawet taki kawał opowiadali: do Berlina dojdim, ziemlu rozdadim, a jak ziemlu rozdadim, kołchozy postroim, a Polak każe: „Szo? Szo? (*Co? Co?*) I już było wiadomo, że to będzie nie tak, jak my sobie wyobrażamy, gdy wojna się skończy, że Polska będzie samodzielna. Ale musieliśmy siedzieć cicho.*

Jak opisano to w części II, w rozdziale o nazwie wsi, po zakończeniu wojny i przesiedleniu Polaków z Czernielowa Mazowieckiego na Ziemie Zachodnie przez jedenaście lat, do 1957 roku, wieś nosiła nazwę Żukowo.

Przemówienie generała Żukowa nie utkwiło w pamięci innych czernielowian. Można w tym miejscu dodać jeszcze inny wątek związany z ponownym wkroczeniem żołnierzy rosyjskich do Czernielowa. Już na kilka dni przed tym wydarzeniem ze wsi zniknęli Rosjanie, którzy pracowali w gospodarstwach chłopów od połowy 1941 roku. Jak wcześniej wspomniano, gdy w czerwcu 1941 roku hitlerowskie Niemcy wypowiedziały wojnę Związkowi Radzieckiemu i w szybkim tempie ich oddziały posuwały się na wschód, wielu żołnierzy z Armii Czerwonej pozostało na opanowanych przez Niemców terenach. Część z nich tworzyła w lasach oddziały partyzanckie, część w cywilnym przebraniu szukała pracy na wsi u gospodarzy. Ci Rosjanie cały czas ukrywali swoją tożsamość, utrzymywali też łączność z partyzantką. Jednym z nich był oficer w randze kapitana, pracujący jako zwykły parobek w gospodarstwie Agnieszki Ziembowej, siostry Stefanii Górskiej, z d. Woźniak, która napisała o nim w swoich *Wspomnieniach*: *Mówiło się, że w Czernielowie było ich sześciu czy siedmiu. Jeden z nich przez jakiś czas był w domu u siostry Jagny. Potem okazało się, że był w stopniu kapitana, ale niczym się nie zdradzał. Umiał pracować w polu, potrafił wszystko zrobić w gospodarstwie, chodził z nimi do kościoła. Gdy ponownie do Czernielowa wkroczyli Rosjanie, ci niby parobkowie dostali od razu mundury i poszli z wojskiem na front.*

Czernielów lub okolice w czasie wojny, niżej wejście na cmentarz od strony nagrobka rodziny Podleskich

Młyn w Czernielowie lub w okolicy w czasie wojny

Okolice Czernielowa w czasie wojny, niżej prawdopodobnie Zagrobela, dzielnica Tarnopola

Okolice Czernielowa w czasie wojny

Okolice Czernielowa w czasie wojny

Borki Wielkie w czasie wojny. Dzieci przed bramą wejściową na teren przykościelny

Borki Wielkie. Procesja po wiadukcie w czasie uroczystości kościelnej w czasie wojny

W rozmowie dodała, że rosyjscy żołnierze i oficerowie, przebrani za parobków, pracowali też w innych wsiach: w Czołhańszczyźnie, w Borkach, w Zarudziu.

Z innym oficerem pracującym w takim samym charakterze w Czernielowie Ruskim, spotykał się Marian Figiel, mieszkający w tej wsi po sąsiedzku z rodziną Szymona Chabzy - ojca i Józefa Chabzy - syna, którego Rosjanie aresztowali za rzekomą pomoc ukrywającemu się Ukraińcowi i ślad po nim zaginął.

Urodzony w 1928 roku Marian Figiel był w 1941 roku 13-letnim chłopcem. O Rosjaninie z sąsiedztwa opowiadał: *Gdy przyszli Niemcy - rosyjscy jeńcy w liczbie sześć osób zostali w Czernielowie Mazowieckim, a jeden z nich służył u Anny Chabzowej, żony Józefa. Na imię miał Aleks. Po całych dniach pracował w gospodarstwie i na polu, a pod wieczór wychodził do Czernielowa Mazowieckiego do swoich kolegów. Często przychodził do nas po narzędzia, gdy chciał coś naprawić. Gdy zbliżał się front Ruskich, Aleks na sześć dni wcześniej zniknął z Czernielowa Ruskiego. Po kilku tygodniach na koniu, w asyście dwóch kolegów przyjechał do Czernielowa Ruskiego w stopniu starszego lejtienanta. Spotkał się ze mną, porozmawiał. Powiedział, że jesteśmy dobrymi ludźmi, a mnie dziękował, że mogłem jemu towarzyszyć po sąsiedzku.*

I jeszcze fragment wspomnień Stanisławy Bodnar, z d. Mielnik, dotyczący momentu po wkroczeniu Rosjan na wiosnę 1944 roku*: Po ponownym wkroczeniu do naszej wsi wojsk radzieckich w naszym domu mieściła się wojskowa stacja radiowa. Przy mojej ulicy były kwatery wojskowe dla oficerów Armii Radzieckiej. Kwaterowali tam gen. Rokossowski i gen. Żukow. Większość mieszkańców z tej ulicy została wysiedlona, a ulica zamknięta dla ruchu. Widziałam nie raz tych generałów, których po latach rozpoznawałam na portretach ściennych. Moja wieś tak bardzo podobała się gen. Żukowowi, że została zmieniona jej nazwa z Czernielów Mazowiecki na Żukow. Nie wiem, jak teraz wieś ta nazywa się.*

Moja rodzina nie została wysiedlona z domu. Przenieśliśmy się do izby małej, a tę największą zajęli żołnierze radzieccy wraz zradiostacją. Pamiętam, jak raz wracałam na koniu do domu i chciałam wjechać na nasze podwórko. Nowy wartownik, który stał przed naszym domem, nie pozwolił mi wjechać. Zaczęłam płakać i wołać żołnierzy, którzy u nas kwaterowali. Dopiero ich rozmowa z nim przekonała wartownika, że ja mam prawo wjechać na naszą posesję, bo mieszkam w tym domu.

Władza radziecka nakładała na gospodarzy wiejskich wysokie, obowiązkowe dostawy żywca, zboża, mleka i innych produktów żywnościowych. Gospodarze niechętnie oddawali te kontyngenty. Często ukrywali żywiec i zboże, by uchronić własne rodziny przed głodem. Za opór stosowane były surowe kary. Moja mama też ukrywała zboże i tuczniki. Żołnierze zabierali też gospodarzom lepsze konie na swoje

potrzeby. By tego uniknąć, młodzież uciekała na koniach do wąwozu.

O pobycie w tym czasie w Czernielowie gen. Rokossowskiego nie wspominają inni mieszkańcy. I chociaż wykluczyć się nie da, można przypuszczać, że chodziło o wspominanego przez Jadwigę Podleską gen. Rybałkę.

Ze względu na strategiczne znaczenie dworca kolejowego w Borkach Wielkich i odpowiednie przygotowania Niemców do opuszczenia wsi, warto jeszcze przywołać fragment wspomnień Jerzego Stopy o wkroczeniu Rosjan do Borek i ich pobycie w tej wsi w czasie oblężenia Tarnopola: *Rosjanie zastosowali taktykę dzielenia wojsk niemieckich na kawałki i niszczenia w okrążeniach, czyli tak zwanych kotłach. Tak było i w tym wypadku. Front został przerwany na wysokości Wołynia. Po przekroczeniu granicy oddziały skręciły na południe, by zamknąć w okrążeniu część wojsk niemieckich. 9 marca wojska rosyjskie osiągnęły północne przedmieścia Tarnopola. Niemcy 10 marca ogłosiły Tarnopol twierdzą, ponieważ stanowił on ważny węzeł kolejowo-drogowy.*

Natomiast w Borkach Wielkich Niemcy pełniący służbę na stacji przystąpili do pilnej ewakuacji. Wiadomym było, że z Podwołoczysk wyjechał pociąg ewakuacyjny dla Niemców, planowany odjazd z Borek w południe. Do tego czasu miała trwać okupacja niemiecka. Niemcy wiedząc, że Rosjanie będą musieli zmienić rozstaw szyn kolejowych polecili nam przynieść wszystkie narzędzia kolejowe do wagonu, który zamierzali w Borkach dołączyć do pociągu ewakuacyjnego. Zależało im przede wszystkim na toromierzach, młotach, kluczach, łomach do wyjmowania gwoździ, podbijakach, kilofach. Nie było żartów, magazyn odcinka drogowego trzeba było opróżnić.

A tak zapamiętał nadejście do Borek Rosjan i zdobywanie przez nich Tarnopola ks. Marian Mościński, opisując we wspomnieniach *Moje przejście przez Wał Pomorski: Nadciągnęły odziały radzieckie. Rozpoczęło się oblężenie i zdobywanie miasta-twierdzy. Byliśmy chyba na samej pierwszej linii, bo miejscowość nasza, a nawet poszczególne ulice przechodziły nieustannie jak piłka z rąk do rąk. Sypał się grad pocisków. Na tak małej przestrzeni, jaką zajmował kościół wraz z plebanią, uderzyło naraz ponad dwadzieścia pocisków armatnich. Kopuła kościoła rozbita, wyrwy w ścianach, wielki ołtarz zdmuchnięty, drzewa pościnane jak zapałki. Budynek mieszkalny probostwa niedawno spalony i odbudowany, zostaje ponownie rozbity kulą armatnią, dach posiekany jak sito. Wiele domów paliło się po kilka razy.*

Wobec takiej grozy ludzie przypomnieli sobie, że w Borkach są jakieś zapomniane podziemia jeszcze z czasów wojen tureckich czy tatarskich. Legenda okazała się prawdą. Odnaleziono je i odgrzebano wejście - kilkadziesiąt schodów prowadziło w dół, a dalej szerokie, sklepione pomieszczenia. Kilkaset osób - całymi rodzinami - schroniło się na długie dni w tych podziemiach. Przychodziłem do nich

codziennie, spowiadałem, odprawiałem msze święte. Te nowoczesne katakumby rozbrzmiewały modlitwą i śpiewem religijnym.

Któregoś dnia świat zaczął się walić. Powstał straszliwy szum, jakby jakieś połączone grzmoty, następnie zaczął spadać grad pocisków - mówiono później, że to katiusze - i wreszcie cisza. Niemcy znikli. Wychyliłem się na próg plebanii. Pochylony, z karabinem w ręku, zza węgła domu podbiegł do mnie żołnierz w wojskowym, radzieckim płaszczu: „Wy kto takoj?"- „Polski ksiądz". Żołnierz odkrzyknął: „Ja też Polak" i objął mnie mocno ramionami. Obaj mieliśmy łzy w oczach. Nie było jednak czasu na rozczulenia. Żołnierz pobiegł dalej.

Do wspomnień ks. Mościńskiego o wkroczeniu Rosjan, stratach wojennych oraz chronieniu się mieszkańców Borek w czasie zagrożenia w związku z bombardowaniem Tarnopola w podziemiach z czasów wojen tatarskich, nawiązuje fragment z opracowania pt. *Великі Бірки*... (Borki Wielkie…): *Ale straty były nie tylko po stronie wojskowych. Podczas bombardowania zginęły dziesiątki cywilnych mieszkańców Borek, zostały zniszczone oraz uszkodzone budynki mieszkalne i mienie. Mieszkańcy wsi byli zmuszeni kryć się w piwnicach, lochach w czasie stałego bombardowania i artyleryjskich ostrzałów. Chowali się także w największym we wsi lochu (piwnicy), jaki należał kiedyś do miejscowego folwarku. Był wykopany prawdopodobnie jeszcze w XVII stuleciu, gdy Borki były miasteczkiem i dobrze zachował się do lat 40. XX wieku. Chodziły pogłoski, że przejście podziemne sięga przedmieść Zbaraża. W tym podziemiu, które składało się z kilku przestronnych, wykutych w twardej glinie galerii, jednocześnie chowały się od bombardowań i ostrzałów setki kobiet, dzieci i starców. Wejście do podziemii zabezpieczały podwójne dębowo-metalowe drzwi. Ksiądz katolicki odprawiał tam nabożeństwa.* (tłum. K.M.)

O podziemiach w Borkach Wielkich pisał też Antoni Karpiński w swoich *Okruchach osobistych wspomnień*. Odpowiedni fragment w przekładzie cytowali we wspomnianym wyżej opracowaniu ukraińscy autorzy: *Możliwe, że Borki, tak jak Skałat, Grzymałów, Zborów wchodziły do systemu obronnego Tarnopola. W najwyżej położonej części, niedaleko stacji kolejowej, w tak zwanym Ogródku znajdowały się bardzo głębokie lochy z licznymi korytarzami i bardzo dobrą wentylacją. Wejście do lochów zabezpieczały podwójne drzwi, drewniane wewnątrz, żelazne z zewnątrz. W kilku miejscach znajdowały się zamaskowane wyjścia z podziemi. Trzeba zaznaczyć, że ich przeznaczeniem było ukrywanie miejscowej ludności przed Tatarami. Cały teren Ogródka był otoczony niewysokim kamiennym murem. W niektórych miejscach (szczególnie ze wschodniego i południowego boku) znajdowały się wieże. Można się domyślać, że służyły do śledzenia nieprzyjaciela, który zbliżał się do miejscowości. Na terenie Ogródka stały mocne, murowane budynki, które służyły administracji folwarku i były siedzibą właścicieli majątku.*

Zarówno z południowo-zachodniego, jak i z północno-zachodniego boku podejście do Ogródka było niezwykle trudne (głębokie rowy, rzeka z zabagnioną doliną), jak również od boku wschodniego miejscowość na płaskim terenie nadawała się do bezpośredniego zbliżenia wroga pod mury boreckiej twierdzy. Z opowiadań starszych ludzi wynikało, że daleko od wejścia do Ogródka (około 4-6 km) były wykopane okopy (stąd pochodzi obecna nazwa tej części wsi „Za Szańcami", wzmocnione ogrodzeniem z grubych bali. Teren, na którym były wykopane okopy, stanowił wyraźną barierę i zasłaniał widok na Borki Wielkie od wschodniej strony. Na zachód od okopów wieś miała tereny bardzo podmokłe. (tłum. K.M.)

I jeszcze ciąg dalszy opisu obrony Tarnopola przez Niemców we wspomnianym artykule Jacka Ostrowskiego: *Początkowy tydzień kwietnia to okres nieprzerwanych ataków Armii Czerwonej. Niemcy gonili resztkami sił, a teren kotła zmniejszał się o kolejne metry. Między 6 a 8 kwietnia zarówno obrońcy, jak i atakujący mieli chwilę wytchnienia. 9 kwietnia radzieckie działa i moździerze rozpoczęły ostrzał zlokalizowanych wcześniej niemieckich pozycji. Dwa dni później Kampfgruppe „Friebe" podjęła drugą próbę przyjścia z odsieczą Tarnopolowi. W ataku brała udział także 9. Dywizja Pancerna SS „Hohenstaufen". Natarcie było jednak bardzo powolne, saperzy z Waffen SS dopiero 14 kwietnia ukończyli most pontonowy przez rzekę Wosuszkę. Następnego dnia udało się zająć Chodaczów Wielki, ale w ciągu tych kilku dni niemieckie czołgi posunęły się jedynie 9 km od pozycji wyjściowych. Oczekując na zrzut zaopatrzenia, do uszu Niemców dochodziły odgłosy walk w Tarnopolu.*

W południe 15 kwietnia obrońcy Tarnopola przekazali ostatni meldunek. Generał von Neindorff zginął w trakcie próby przebicia się z kotła. Okrążeni w Tarnopolu nadaremnie oczekiwali przybycia odsieczy. Pod koniec dnia, pułkownik von Schönfeld, który objął dowodzenie nad pozostałymi przy życiu Niemcami nakazał przebijanie się bez względu na koszty. 16 kwietnia o godzinie 20 podzieleni na dwie grupy zdrowi żołnierze oraz ranni, którzy mogli chodzić uderzyli w dwóch kierunkach, zachodnim i południowo-zachodnim. Atak nie powiódł się, a Niemcy ponieśli ogromne straty. Ci, którzy przeżyli tę noc, starali się małymi grupami przedzierać na zachód. Do linii niemieckich przedarło się jedynie 55 obrońców Tarnopola (pięciu wypuścili Rosjanie z propagandowymi propozycjami). Pozostali zginęli, zaginęli lub dostali się do niewoli. Żołnierze 1. Frontu Ukraińskiego triumfowali.

A jaka była sytuacja ludności cywilnej w czasie oblężenia Tarnopola przez Armię Czerwoną z rozkazu Hitlera ogłoszonego twierdzą? Mieszkańcy zostali przez Wehrmacht zmuszeni do opuszczenia swoich domów. W piwnicach nielicznych domów ukrywali się ci, którzy wbrew nakazowi pozostali w mieście. Jednym z nich był Leon Podleski, przebywający od listopada 1941 roku w Tarnopolu. O tych

trudnych momentach w swoich wspomnieniach zatytułowanych *Moje przeżycia w czasie drugiej wojny światowej* pisał między innymi: *Dnia 6 marca 1944 roku odwiedziła mnie moja żona z Jadzią z Czernielowa ostatni raz, gdyż wojska sowieckie zbliżały się już od Zbaraża i Podwołoczysk. Władze niemieckie tego dnia opuściły Tarnopol. Od 8 marca wszyscy mieszkańcy domu, w którym mieszkałem przy ul. Kopernika 9 przebywali już w suterenie, w stróżówce u pp. Kwatiurów. Było nas 14 osób w izdebce o 14 m kw. powierzchni zagraconej piecem kuchennym, bufetem, szafą, stołem, 2 łóżkami, otomaną i 3 krzesłami. O połowę mniejszy przedsionek z kuchnią i piecem piekarskim obejmował też 1 łóżko, gdzie gospodarstwo sypiali, a 12 nas na tych 14 m kw. Grożącej nam ewakuacji do Janówki, Petrykowa i Dołżanki zdołaliśmy szczęśliwie uniknąć. Przebywaliśmy tak do mego odejścia, 31 dni i nocy znosząc z walącego się piętra do piwnic nasze graty, które oprócz mebli zdołaliśmy uratować, to jest odzież i prowianty (kto je posiadał). Kwatiurowie byli nadzwyczaj poczciwi i gościnni. Opał był, więc było, co jeść. Dom nasz był ustawicznie pod obstrzałem, góra się waliła, sklepienie nad nami drżało, ale choć niemocne wytrzymało dzięki Boskiej Opiece, o którą modliliśmy się, wzywając pośrednictwa Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, św. Tadeusza i św. Andrzeja. Ja, jako najstarszy odmawiałem głośno te liczne pacierze rano i wieczorem i za każdym razem, gdy gęsto strzelano. Ewakuowaną większą część ludności Tarnopola okradziono gruntownie w czasie jej nieobecności. Nas ta klęska ominęła i w rezultacie nikomu włos z głowy nie spadł. W Palmową Niedzielę 2 kwietnia pod wieczór zjawiła się grupa niemieckich żołnierzy pragnąca ze strychu naszego domu urządzić sobie obstrzał na ulice Piłsudskiego przeciw spodziewanym tą ulicą bolszewikom. Poszli z bigą i drągiem na strych, ale na nasze szczęście odstąpili od tego zamiaru i zabrali się. Około 2 godziny nad ranem weszli bolszewicy z ogromnym hałasem i wyładowaniem ręcznego granatu w sieni. To był poniedziałek Wielkiego Tygodnia. Ale przyzwoicie się zachowali, nikogo i niczego nie zabrali. Pobuszowali tylko, czy nie ma ukrytych Niemców. Przez cały tydzień nas odwiedzali w tej ciasnocie, niekiedy po kilku nocując na podłodze, dostawali herbatę. A przynosili nici, materiał ze spadochronów itp. w prezencie. W Niedzielę Wielkanocną o 7 9 kwietnia rano wybrałem sięz plecakiem i kufereczkiem, w towarzystwie jednego z naszych współlokatorów tej stróżówki do Czernielowa.*

A co się działo w tym czasie w Czernielowie? Znowu można przywołać fragment wspomnień Stefanii Górskiej, z domu Woźniak: *Niemcy w Tarnopolu trzymali się przez sześć tygodni i była taka huśtawka z wojskiem, raz w tę stronę Niemcy, raz w tę Rosjanie. Ciągle były naloty na miasto, przeważnie nocą oświetlali rakietami, było jasno jak w dzień. Ja z początku bardzo się bałam, ale potem pomału przyzwyczaiłam się do bombardowania, do rannych, którzy byli u nas w domu, tam, gdzie kancelaria. Do wszystkiego człowiek się przyzwyczai. Poznosiliśmy wszystko co*

potrzebniejsze i ważniejsze do piwnicy, bo piwnica była murowana i wydawało się, że tak będzie najbezpieczniej, chyba że, nie daj Boże, bomba trafiłaby w piwnicę. Mieliśmy też wykopany schron w sadzie, czasem biegliśmy do schronu, a czasem wystarczyło stać pod ścianą, to zależało. Rosjanie nie atakowali, tylko się bronili, jakby na coś czekali (...)

Tymczasem Rosjanie zaczęli za wioską na górce od wschodu (niedaleko drogi na Kujdańce) ustawiać jakieś działa skierowane na zachód, na Tarnopol. Nikt się za wiele tym nie przejmował, ale tych dział coraz więcej przybywało i wiadomo było, że się do czegoś szykują. Aż jednego ranka zaczęła się z tamtej strony strzelanina. Wszyscy uciekali na naszą stronę i zrobiło się zamieszanie (...) To był jeden ogień i niesamowity szum. Te pociski przez nasze zabudowania leciały na Tarnopol albo na Bajkowce.

Gdy Stefania Górska kontynuowała opis przeżyć związanych z bombardowaniem Tarnopola i trudne, czasem nieracjonalne decyzje w obliczu zagrożenia, wspominała o wspólnej z siostrą Agnieszką Ziembową, jej kilkuletnią córeczką Weroniką i innymi mieszkańcami z Ochrymowskiego Końca,wyprawie do Ochrymowiec: *Zamiast na miejscu w swoim domu skryć się w piwnicy, to siostra szybko spakowała Werkę, wzięła co nieco i dołączyliśmy do rodziny szwagra Karola. Była z nami Gienia, siostra szwagra, z dzieckiem i rodzice szwagra. Wszyscy szliśmy do Ochrymowiec. Wyszliśmy za Czernielów, a tam pełno wojska, nie chcą nas puścić i mówią, że tam, dokąd idziemy, też wojsko stoi. Ale my nie słuchamy, tylko idziemy dalej. Dookoła roztopy, bo to marzec i w dolinie zebrała się woda, nas jednak nic nie powstrzymało. Rzeczywiście, okazało się, że w Ochrymowcach wojska aż gęsto, błoto niesamowite. Przyszliśmy w końcu do domu cioci szwagra Karola, siostry jego mamy. Chatynka mała, pełno ludzi, dzieci płaczą. Zjedliśmy po kawałeczku chleba i siedzimy w tej chałupinie. Widzimy też trudność naszej sytuacji. Tu nie ma co siedzieć i do domu, do Czernielowa, nie ma jak się dostać. Jeszcze więcej wojska przybyło, ale nie ruszają do przodu w stronę Tarnopola, tylko stoją na miejscu. Nie wolno palić w kuchni, bo dym oznacza, że są ludzie i Niemcy mogą strzelać. I tak siedzieliśmy dwa dni, na trzeci dzień wracamy do domu. I znowu po tej wodzie i błocie. Siostra niesie na plecach Wercię, a ja tobołki. Agnieszka jakoś zauważyła w tym śniegu i błocie taki gruby łańcuch, nie wiem, od czego on był, ale dosyć gruby i długi, może na trzy metry i mówi do mnie: bierz Werkę na plecy, mnie daj tobołki, ja nie zostawię tego łańcucha, on mi jest potrzebny, będę miała do hamulca, do wozu. Ja ją przekonuję: jest wojna, po co tobie hamulec? A siostra na to: tobie dobrze mówić, ty się niczym nie martwisz, tylko Tato, a ja muszę o wszystkim myśleć. Już się nie odzywałam, siostra wzięła ten łańcuch i jakoś dotarliśmy do domu.*

A w domu siostry i wujostwa Anny i Wawrzyńca Rajfurów czekała siostrę Stefanii kolejna przykra niespodzianka. Okazało się, że pod ich nieobecność przyszli

rosyjscy żołnierze i zabrali konia. A oto jak Stefania Górska, z d. Woźniak, opisała we *Wspomnieniach* reakcję swojej siostry Agnieszki i jej zaradność: *Siostra się zmartwiła, ale stwierdziła, że dobrze, że tylko jednego a nie dwa, bo tu wiosna idzie i co robić bez konia. Po polach chodziły jakieś konie, ale takie, że ledwie nogi ciągnęły za sobą. Poszła siostra na pole i przyprowadziła dwa, ledwie to przyszło, takie wynędzniałe, ale jednak z jakąś nadzieją na poprawę.*

Warto też zacytować inny fragment ze *Wspomnień* dotyczący również incydentu z końmi w rodzinie Woźniaków, tak poszukiwanymi i cennymi w czasie wojny. Być może w którejś innej czernielowskiej rodzinie zdarzył się podobny przypadek: *Mniej więcej w tym samym czasie, gdy front zatrzymał się w Tarnopolu, gdzie Niemcy trzymali się dość długo, a po tyłach było takie bezkrólewie, miało miejsce jeszcze jedno zdarzenie. Żołnierze z taboru odpowiedzialni za wyżywienie wojska rosyjskiego na froncie przychodzili do domów na wsi i zabierali konie ze stajni, a swoje zdechlaki wyprzęgali i puszczali po polach. Ludzie zaczęli chować konie, ale przecież koń to nie igła i nie bardzo można go schować. Ojciec nasze konie schował w stodole, w której jeszcze było dość dużo żyta w snopach. Z tych snopów Ojciec zbudował z przodu taką przegrodę i za nią zaprowadzaliśmy konie. Tam dawaliśmy im jeść i tak było przez jakiś czas.*

Któregoś dnia, gdy nie było w domu ani Mamy, ani Ojca, ani brata Franka, bo chyba byli u siostry Agnieszki, przyszli do naszego mieszkania tacy dwaj młokosi, żołnierze rosyjscy, bardzo młodzi. I pytają po rosyjsku: „Łoszat u was jest?", tzn.: „Macie konia?". Ja mówię, że nie ma, że już byli i zabrali. A oni na to: „Ładna, poiskajem", tzn.:„Dobrze, poszukamy". Poszli do stajni, nie ma, zaglądnęli do szopy, też nie znaleźli. Jakby zaglądnęli do stodoły, to też by nie zobaczyli koni. Ale oni szli wzdłuż stodoły, aż do rogu i tam usłyszeli, jak konie jedzą i chrupoczą. Wtedy już nic nie pomogło, ani mój krzyk, ani płacz, nikt nie mógł mi pomóc, bo nikogo w domu nie było, chyba tylko Babcia.

Wyprowadzili konie ze stodoły, związali razem, jeden idzie po jednej stronie, a drugi obok drugiego konia z drugiej strony, a ja w środku trzymam konie za uzdę i cały czas upieram się i płaczę. A oni nic sobie z tego nie robią, śmieją się i prowadzą. Zaprowadzili do skrzyżowania dróg, w kierunku domu ludowego, stanęliśmy, ja cały czas płaczę i tupię nogami. Myślę, że gdyby Ojciec był w domu, to dałby im wódki i poszliby sobie. W pewnym momencie drogą od strony Tarnopola zaczęły jechać samochody wojskowe. Zaczęłam machać ręką, żeby zatrzymać i jeden samochód zatrzymał się. Wysiadł jakiś oficer, już nie pamiętam jakiej rangi, przyszedł do nas i pyta, co się stało. Ja mu tłumaczę, że zabierają nam konie. Oficer z nimi porozmawiał, wyciągnął potem notes i coś zapisał. Potem kazał mi konie zabrać do domu. Tak sobie potem rozmawialiśmy, że w taborze jadą starsi,

a młokosom zachciało się wódki, a konie są dobre na handel i za pół litra wódki oddaliby konia.

Ludwika Dziadas, z d. Jacykowska, urodzona w 1934 roku, a więc dziesięcioletnia w czasie tych zdarzeń, mieszkająca z rodziną Na Cyplu, wspominała natomiast, jak podczas nalotu na Tarnopol na podwórko Eugenii Piotrowskiej spadły trzy bomby. Na szczęście nikt nie zginął. Dom Piotrowskich położony był po lewej stronie drogi do Ochrymowiec, mniej więcej na wysokości drogi od młyna do szkoły.

Uzupełniając wspomnienie o tym zdarzeniu, Stefania Górska, z d. Woźniak dodała, że akurat wtedy ludzie wracali z kościoła. Zobaczyli nadlatujący samolot, byli pewni, że leci z bombami, bo wydawał taki charakterystyczny, ciężki odgłos, jęczący, a nie taki jak małe samoloty, które nic nie przewoziły. Ludzie schronili się do najbliższego domu Piotrowskich, budowanego w czasie wojny, czy krótko przed wojną, nawet nie wykończonego. Dwie bomby spadły na podwórko, jedna za stodołą. Rzeczywiście nikomu nic się nie stało. Ludzie zdążyli położyć się w domu na podłogę. Odpryski z bomb i z podwórka wbiły się w ściany domu, a z okien wyleciały szyby.

Prawdopodobnie o tym samym nalocie wspominał Szczepan Studenny. Jako ośmioletnie wówczas dziecko tak zapamiętał ten moment: *Pamiętam – byłem na zewnątrz budynku, zobaczyłem, jak samolot zrzucał bomby. Ja ze strachu wskoczyłem do domu kolegi. Nastąpiły dwa wybuchy. Po chwili 50 m dalej dwa następne. Po krótkim czasie wszyscy wyszli z mieszkania, i jak się okazało bomby spadły tuż pod ścianą, tworząc potężne leje. W budynku było sporo ludzi, nikt jednak nie został ranny. Mieliśmy ogromne szczęście.*

Tego samego okresu, gdy trwały walki o Tarnopol, dotyczy inny fragment wspomnień Szczepana Studennego: *Gdy front był blisko, rosyjski żołnierz poinformował nas o tym, nakazując wyprowadzenie się na północ o około 1,5 km. My z tych schronów wybiegaliśmy pojedynczo. Nas, dzieci, było siedmioro. Trzeba było przebiec 70 m przez puste pole. Gdy ja biegłem, nadleciał samolot, który zaczął strzelać w moim kierunku. Upadłem na ziemię, a obok mnie spadały pociski. Gdy samolot zawracał, ja wstałem i zacząłem biec w kierunku drzew. Dopiero za trzecim razem udało się dobiec do drzew, za którymi się ukryłem.*

Również uzupełniając temat walk o Tarnopol, można dodać, że nie tylko mieszkańcy Tarnopola musieli opuścić swoje domy. W tym czasie do Czernielowa i okolicznych wsi na wschód od Tarnopola, między innymi do Smykowiec zostali ewakuowani mieszkańcy z wsi położonych po południowo-zachodniej stronie miasta. Do Czernielowa przesiedlono kilkanaście rodzin ze wsi Zabojki.

W marcu 1944 roku wojska Frontu Ukraińskiego zdobyły Podhajce, Nadworną. Oblężenie Tarnopola przez wojska rosyjskie trwało do 15 kwietnia.

Jak można przeczytać w historycznych publikacjach dostępnych w Internecie z garnizonu niemieckiego liczącego 4600 żołnierzy, ocalało 55. Z istniejących w 1939 roku 4211 budynków Tarnopola zostało zniszczonych 2490.

Ale kontrofensywa niemiecka zatrzymała marsz wojsk sowieckich i na dwa miesiące ustalił się front od Kowla do Tarnopola, czyli praktycznie przecinający polskie Kresy na pół.

W czasie gdy trwało oblężenie Tarnopola, a w Czernielowie Mazowieckim i wokół wsi, jak wcześniej opisano, przebywali ze sztabem żołnierze rosyjscy, miało miejsce zdarzenie zrelacjonowane w opracowaniu Zbigniewa Woźnego *Od Czernielowa Mazowieckiego do Sobornego…* Od rakiety świetlnej wystrzelonej przez Niemców z komina cegielni w Tarnopolu zapaliła się strzecha domu Mikołaja Koszulińskiego, zakupionego przez niego od Czerkiesa, do którego wprowadził się na wiosnę 1939 roku. Natychmiast pojawili się na podwórku Rosjanie, podejrzewając celowe podpalenie, by zasygnalizować Niemcom obecność we wsi rosyjskiego wojska. W czasie ostrzału Czernielowa rodziny Mikołaja Koszulińskiego i Michała Buraka schroniły się w piwnicy, tak zwanym lochu, wybudowanym w innym miejscu na podwórzu. Gdy chata płonęła, mężczyźni zaczęli wychodzić z lochu i uciekać pod górę, w stronę ogrodu. Żołnierze zaczęli do nich strzelać. Młodszy, Petro Koszuliński, syn Mikołaja, poradził sobie, biegnąc zygzakami w lewo i prawo. Natomiast starszy, Michał Burak, biegł wolniej, znalazł się na linii strzału, został śmiertelnie postrzelony w pierś. Rannego zabrano go Kutkowiec czy Jampola, ale z upływu krwi zmarł i został pochowany na miejscowym cmentarzu.

Mikołaja Koszulińskiego posądzono o celowe podpalenie swojej chaty i współpracę z Niemcami. Zabrano go z podwórza pod strażą i prowadzono na posterunek sowieckiej milicji. W czasie konwojowania go w pobliżu wierzbowych zarośli nad Gniezną udało mu się zmylić straże i uciec. Nie został postrzelony przez strażników. Przez jakiś czas ukrywał się u dalszej rodziny w innej wiosce. Tam mu poradzono, by zgłosił się do Armii Czerwonej. Miejscowy komendant sowiecki zaproponował mu udanie się na front albo pracę w batalionie roboczym przy wydobyciu węgla w Donbasie. Mikołaj Koszuliński wybrał tę drugą możliwość i zaopatrzony w odpowiednie papiery, z których wynikało, że jest starszy niż w rzeczywistości, dalszy okres wojny spędził, pracując jako górnik w kopalni wegla kamiennego na Donieccczyźnie. Po wojnie wrócił do Czernielowa, wtedy już Żukowa.

I jeszcze jedno zdarzenie z tego okresu, różnie zapamiętane bądź w ogóle nie zapamiętane przez czernielowian. Franciszek Błaszkiewicz w lutym 2019 roku opowiadał w rodzinie, że w czasie oblężenia Tarnopola czy jakiś czas wcześniej w budynek szkoły uderzył pocisk artyleryjski. Nie było dużej szkody, budynek nie ucierpiał, powstała tylko dziura w ścianie i po naprawie z powodzeniem mógł stać.

Ale nie wiadomo dlaczego jeszcze przed wyjazdem Polaków na Zachód albo w 1944, albo w 1945 roku budynek szkoły rozebrano.

Uszkodzenia budynku szkoły i rozbiórki nie zapamiętali mieszkający niedaleko szkoły urodzony w 1935 roku Marian Murmyło i młodszy od niego o rok Szczepan Studenny, twierdząc, że szkoła przetrwała wojenny czas.

Szczepan Studenny w rozmowie telefonicznej w lutym 2019 roku, nawiązując do swoich wcześniejszych wspomnień, opowiedział, że pod koniec 1943 roku, może to było w okresie wrzesień-październik, gdy front przesuwał się na zachód i Niemcy zaczęli się wycofywać, w budynku szkoły przetrzymywali jeńców. W domu Studennych, jak wcześniej wspomniano, Niemcy kwaterowali i Szczepan, wtedy 7-letni chłopak, zapamiętał, że niemiecki żołnierz wydawał tym jeńcom mydło, bieliznę. Ci jeńcy przychodzili do domu, ale z nikim nie rozmawiali. Po wyjeździe Niemców i opuszczeniu szkoły przez jeńców przed wkroczeniem Rosjan stara szkoła była bardzo zniszczona, ale budynek szkoły stał cały czas.

Zamykając temat wkroczenia Rosjan, trzeba się odnieść jeszcze do jednego zdarzenia z tego okresu, do śmierci Danyły Jacykowskiego, ze społeczności ukraińskiej Czernielowa, pełniącego w czasie okupacji funkcję sołtysa – *hołowy* wsi.

Ocena jego postawy podczas wojny przez mieszkańców wsi była różna. Jedni twierdzili, że zachowywał się przyzwoicie, ostrzegał i robił, co mógł, by pomóc i by mieszkańcy Czernielowa nie zostali wywiezieni na roboty do Niemiec. Inni wprost przeciwnie, wrogo nastawieni widzieli w nim samo zło. Leon Podleski przez wiele lat wspólnego zamieszkania w Czernielowie z ukraińskimi rodzinami, w tym z rodziną Danyły Jacykowskiego, we *Wspomnieniac*h nie krył swego negatywnego stosunku do niego. Jednak i on pod koniec wojny, dostrzegając dobrą wolę, życzliwość i pomoc jego żonie Annie ze strony Danyły Jacykowskiego, podkreślił, że nie czuje dawnych urazów i powiedział mu osobiście o docenieniu poczciwości jego zachowania.

Stefania Górska, z d. Woźniak, we *Wspomnieniach*... zacytowała ostrzeżenie *hołowy* w momencie, gdy w marcu 1944 roku do Czernielowa mieli wkroczyć Rosjanie, a ludzie w nierozsądny sposób usiłowali zdobyć jak największe ilości spirytusu z miejscowej gorzelni. Daniel Jacykowski próbował uspokoić mieszkańców wsi, ostudzić zapał chętnych do zaopatrzenia się w trunek, mówiąc wtedy po ukraińsku*: Ludy, szo wy robyty, wijna sze ne skinczina* (Ludzie, co wy robicie? Wojna jeszcze nie skończyła się.)

Niektórzy posądzali go o współpracę z Niemcami i gdy Rosjanie ponownie znaleźli się we wsi, został przez nich aresztowany. Zmarł na serce w drodze do więzienia w Zbarażu. Taką informację przekazała w *Post scriptum do cz. I Wspomnień* Jadwiga Podleska, publikowanych w nr. 21. „Głosach Podolan" z 1997 roku. Istnieje też pogłoska, że został zabity na czernielowskim cmentarzu w ramach porachunków z okresu wojny. Trudno powiedzieć, jak było naprawdę.

Wiosenny pobór do polskiego wojska

Niedługo po wkroczeniu Rosjan na tereny do września 1939 roku należące do II Rzeczpospolitej rozpoczął się pobór młodych mężczyzn do polskiego wojska. W Czernielowie pobór odbywał się od wczesnej wiosny w trzech turach. Starsi mieszkańcy wspominali, *że z każdego domu ktoś poszedł na wojnę.* Można więc szacować, że w działaniach na frontach II wojny światowej mogło brać udział około 250 lub nawet więcej młodych i w średnim wieku czernielowian.

We *Wspomnieniach* urodzonego w 1924 roku Józefa Maśluka na temat wiosennej mobilizacji można przeczytać: *W dniu 10 marca 1944 roku przyjechał oddział NKWD, 25 żołnierzy, i dokonali mobilizacji chłopów od 18 lat do Armii Polskiej, którą organizowano na terenie ZSRR. Zabrano 182 chłopców. Był to pierwszy pobór, następny był 10 maja. Wówczas zabrano nam 28 chłopaków i zawieziono wagonami do miejscowości Sumy. Był tam punkt zbiorczy i miejsce stacjonowania pododdziałów I Armii Polskiej w ZSRR.*

Z dalszego tekstu *Wspomnień* wynika, że Józef Maśluk został zmobilizowany w czasie drugiego poboru i trafił do szkoły podoficerskiej piechoty. Będzie jeszcze o tym mowa.

Według Bronisławy Ziemby, z d. Dziadas, w czasie drugiego, majowego poboru do wojska poszedł między innymi jej przyszły mąż Jan Ziemba, a także sześciu starszych mężczyzn, w tym urodzony w 1895 roku jej ojciec Piotr Dziadas, Michał Tkacz, Antoni Piotrowski. Na wojenną drogę wyruszali spod domu ludowego. Piotr Dziadas, ojciec Bronisławy, służył w wojsku na tyłach, na tak zwanej taczance woził na front amunicję. W marcu 1945 roku zachorował i wrócił z wojny.

Moment mobilizacji i powołanie do wojska zrelacjonował w 2015 roku Józef Czubko. Urodził się w 1922 roku, miał 22 lata, gdy do Czernielowa Mazowieckiego w marcu 1944 roku po raz drugi wkroczyli Rosjanie. Oto co na ten temat opowiedział: *Na wiosnę 1944 roku przyszli Rosjanie. Udali się na probostwo. Przejrzeli akty urodzenia i rozkazali, aby wszyscy, którzy podlegają obowiązkowi służby wojskowej, stawili się na placu przed kościołem. Zebraliśmy się w wyznaczonym miejscu. Było nas około 300 mężczyzn i uformowaliśmy oddział, który pod strażą kilku strażników, maszerował w stronę Rosji.*

Trochę inaczej moment mobilizacji mężczyzn w Czernielowie na wiosnę 1944 roku zapamiętała Stefania Górska, z d. Woźniak. W swoich *Wspomnieniach* opisała to zdarzenie następująco: *Front ruszył do przodu, zaczynało się niby normalnie, chociaż to normalne nie było, bo przecież w dalszym ciągu trwała wojna. Znowu nastały ruskie rządy i zaraz po tygodniu czy dwóch ogłosili mobilizację i nabór do Wojska Polskiego. Nie tylko u nas, ale w całym okręgu, zajętym przez Rosjan.*

Jan Bachalski Baran

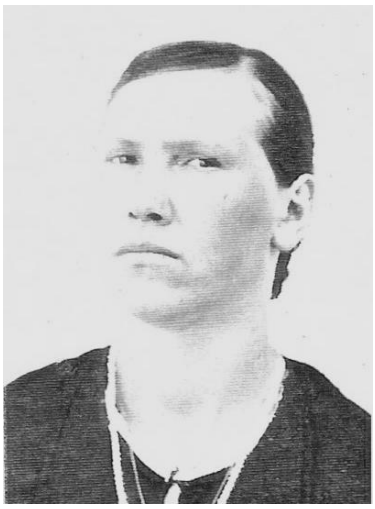

Agnieszka Błaszkiewicz, z d. Chabza

Jan Błaszkiewicz

Antonina Chabza

Maria Chabza, z d. Stankiewicz

Mikołaj Chabza

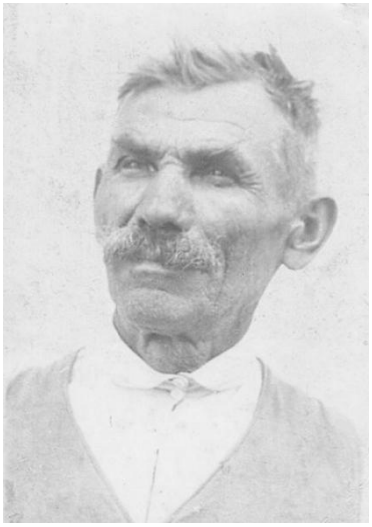

Jan Chabza

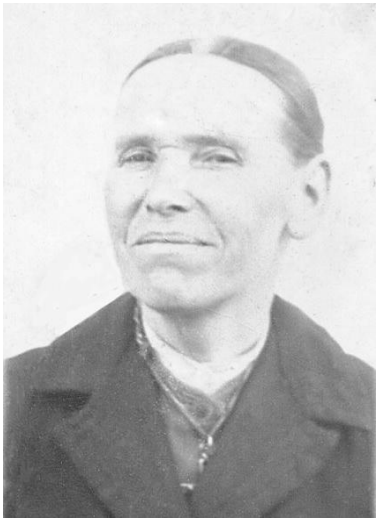

Antonina Chabza, z d. Żarkowska

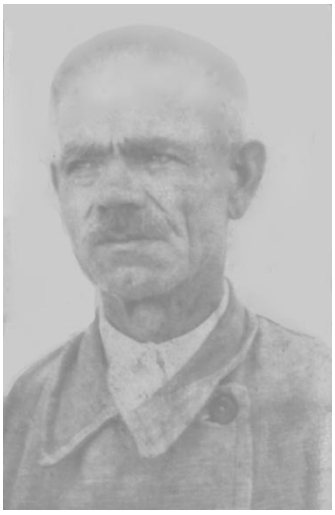

Jan Czubko

Franciszka Czubko, z d. Piotrowska

Maria Czubko

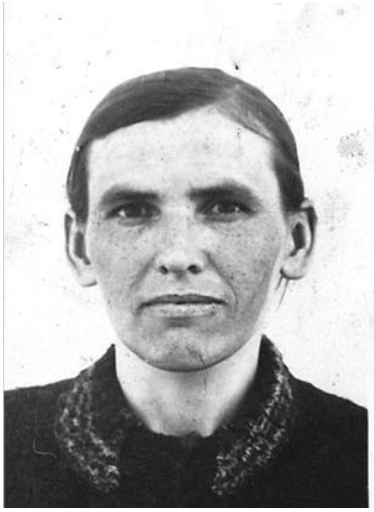

Antonina Jacykowska, z d. Chabza

Jakub Jacykowski

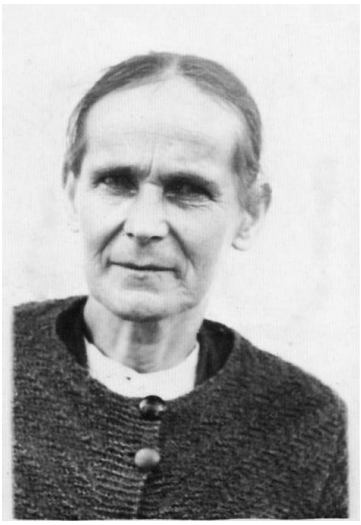

Franciszka Krasnosielska, z d. Woźniak

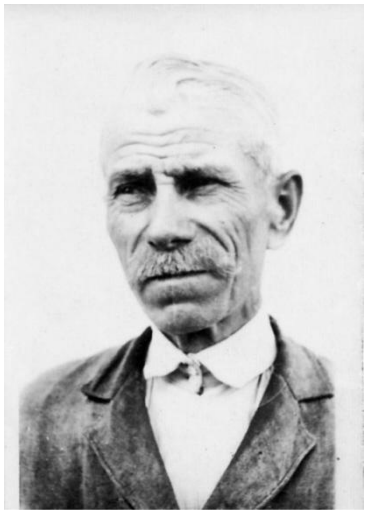

Paweł Krasnosielski

Maria Krasnosielska

Justyna Kozłowska

Anna Klepajczuk, z d. Nietreba

Marcela Klepajczuk

Jan Klepajczuk

Agnieszka Kubiszyn

Maria Kubiszyn

Jan Mielnik „Bogaczyna”

Agnieszka Nietreba, z d. Smolska

Rozalia Woźniak, z d. Chabza

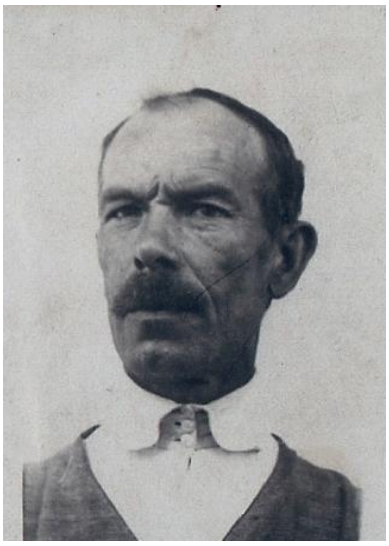

Tomasz Woźniak

Antonina Wyskwarska, z d. Piotrowska

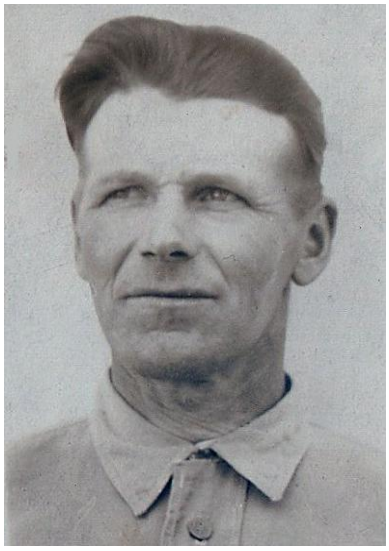

Antoni Wyskwarski

Agnieszka Żarkowska, z d. Sokołowska

Józef Mielnik

Barbara Błaszkiewicz

Błaszkiewicz Franciszek, 1945 r.

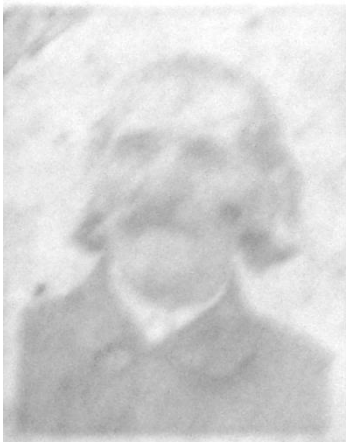

Błażej Chabza

Tadeusz Białogłowski

Anna Białogłowska, z d. Hrycaj

Maria Dziadas

Dziewczyny z czernielowskiego chóru w czasie wojny. Siedzą od lewej: Stefania Kolasa, Franciszka Słoboda, Anastazja Koszulińska, Agnieszka Walusz, Józefa Świcarz, Anna Podgórska, Julia Czerkies, Maria Krasnosielska, stoją od lewej: Józefa Dziadas, Stefania Gęślowska, Filomena Bachalska, Stefania Woźniak i Anna Maliszkiewicz

Od lewej: Waleria Stankiewicz,Antoni Mielnik, Józefa Stankiewicz, Kazimierz Klepajczuk, Zofia Piotrowska

Od lewej: Stefania Woźniak, Michał Bigus, Anna Podgórska, Franciszek Jakubiszyn

Koledzy: Franciszek Woźniak, Józef Szumlewicz, Jan Piotrowski

Od lewej: Józef Szumlewicz, Franciszek Woźniak, Jan Ziemba, siedzi Jan Piotrowski

Siedzą od lewej : N. Kłaptij, Franciszek Bachalski, stoją: Władysław Hrycaj, Jan Żarkowski

Siedzą: Jan Ziemba, rodzeństwo Zofia i Jan Piotrowscy

Od lewej: Zofia Piotrowska, Kazimierz Klepajczuk, Waleria Stankiewicz

Koleżanki: Franciszka Słoboda i Stefania Woźniak

Józef Mielnik z żoną Anną

Z lewej: Zofia Piotrowska, NN i Waleria Stankiewicz

Z prawej Zofia Piotrowska

Anna Piotrowska, Józef Klepajczuk, Józefa Maliszkiewicz

Z tyłu Jan Piotrowski, z prawej Marian Żarkowski

Siedzą od lewej: Marian Żarkowski, Józef Klepajczuk, Józef Zgóra, Franciszek Koszuliński,stoją od lewej: Franciszek Żarkowski, Marian Chabza, Józef Jacykowski, Franciszek Słoboda

Siostry Józefa i Aniela Dziadas

Z lewej: Zofia Piotrowska

W środku Józef Mielnik, za nim Jan Burak

W 1943 roku: pierwszy z prawej Józef Mielnik

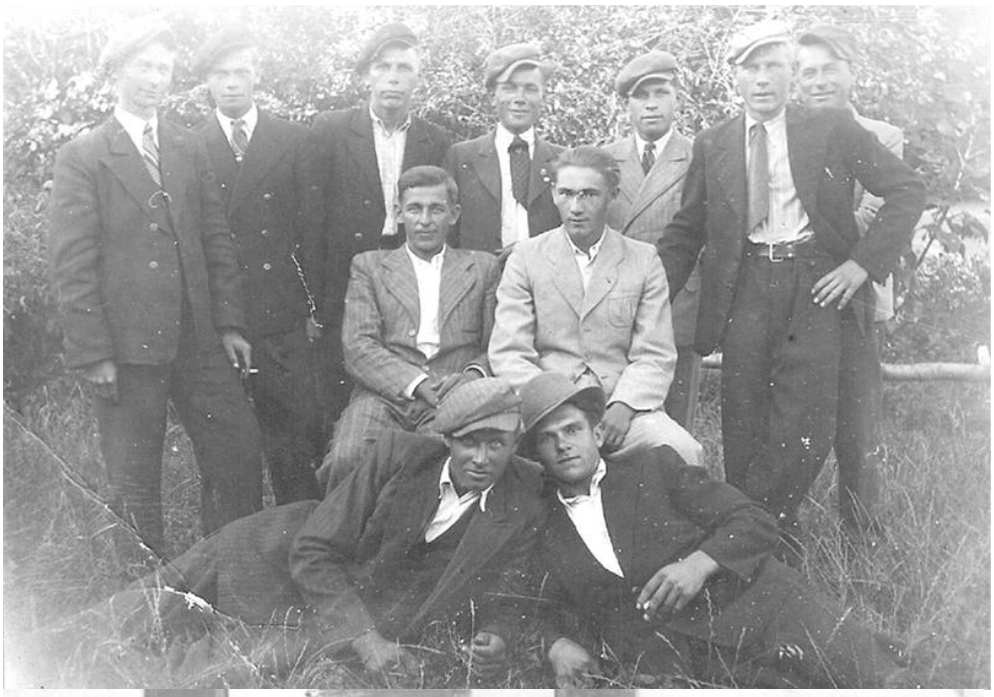

Młodzi czernielowianie, z lewej siedzi Jan Mielnik

Młodzi mieszkańcy Czernielowa: pierwszy z lewej stoi Józef Mielnik

Stoją od lewej: Józef Król, Jan Bigus, Marian Żarkowski, Michał Bigus, siedzą od lewej: Franciszek Koszuliński i Jan Ziemba. 1938 rok

Z lewej Józef Klepajczuk, trzeci Marian Żarkowski

Młodzi czernielowianie w Tarnopolu w czasie wojny. Od lewej Marian Żarkowski, Antoni Murmyło, Jan Żarkowski, Józef Klepajczuk

Na pierwszym zdjeciu: Józef Mielnik, Kazimierz Klepajczuk i Antoni Murmyło

Na drugim zdjęciu: wśród czernielowian Jan Mielnik

Z Borek Wielkich, ze Stupek, z Czołhańszczyzny, z Czernielowa wszyscy mężczyźni urodzeni od któregoś tam roku aż do 1926 roku mieli się stawić określonego dnia, o wyznaczonej godzinie, w punkcie zbornym. Na razie zostawiali tych, którzy pracowali, więc mój brat Franek został i jeszcze wielu innych chłopaków, ale nie na długo.

Kiedy nastąpił ten dzień, wszyscy zebrali się na placu przed domem ludowym. Każdy miał jakiś tłumoczek z chlebem i innymi rzeczami osobistymi. Moi koledzy ze szkoły wszyscy się stawili, zaczęli nadchodzić chłopcy i starsi mężczyźni z okolicznych wsi. Zebrało się sporo ludzi, i tych odchodzących, i tych odprowadzających. Zaczęło się pożegnanie i płacz, ja pożegnałam się z chłopakami ze szkoły i ze Smykowiec, a ze Stanisławem (Górskim – dop. K.M.) *wymieniliśmy się fotografiami i obiecaliśmy sobie, że będziemy do siebie pisać. Ale to nie było takie proste. W Czernielowie zrobiła się pustka.*

Uzupełniając wspomnienia o poborze do wojska na wiosnę 1944 roku, w rozmowie Stefania Górska, z d. Woźniak, dodała: *Chyba w trzecim poborze wezwanie do wojska dostało osiem kobiet z Czernielowa. Ale siedem z nich uciekło z drogi i ukrywało się potem. Tylko jedna z nich Wiktoria Czerkies była w wojsku, przeszła cały szlak bojowy.*

Z lewej Janina Robak, z prawej Wiktoria Czerkies

Wiktoria Czerkies urodziła się w październiku 1923 roku. Na wiosnę 1944 roku, gdy dostała powołanie do wojska, miała niespełna 21 lat. Wcześniej, razem z Janiną Robak, Marią Ruścińską i Józefą Stankiewicz zostały zwerbowane do komórki Armii Krajowej, co potwierdza odtworzona po wojnie lista czernielowskich AK-owców. Niestety, nie udało się ustalić, w jakiej formacji służyła i w których miejscach walczyła. Po wojnie Wiktoria Czerkies wyszła za mąż za Antoniego Maliszkiewicza, mieszkali w Trzemesznie.

W wojsku były też, ale jako sanitariuszka w 2. Armii Wojska Polskiego, urodzona w 1925 roku Janina Robak, po mężu Studenna, oraz jako telegrafistka, urodzona w 1920 roku Stefania, żona Franciszka Studennego. Przypomniał o nich

w krótkich wspomnieniach Szczepan Studenny, dodając, że Janina zmarła w Skoroszowie w 1998 roku, a Stefania w Miliczu w 1993 roku.

Z Czernielowa zmobilizowani do wojska, zaopatrzeni w prowiant z domu, wyruszali w dalszą drogę w kierunku Stryjówki, na wschód do Rosji. Żegnani byli przez wszystkich mieszkańców wsi.

I jeszcze fragmenty wspomnień Józefa Mielnika „Bogaczyny" i Wiktora Mielnika. Józef Mielnik opisał między innymi pożegnanie ze swoją matką Anną Mielnik pięciu synów: najstarszego z braci Jana, urodzonego w 1910 roku, Piotra, rocznik 1914, Józefa z 1915 roku, Antoniego, urodzonego w 1920 roku i Mariana z 1923 roku. Jak wcześniej opisano, ich brat Leon z 1918 roku przebywał na przymusowych robotach w Niemczech od 1942 roku: *W marcu 1944 roku wkroczyły wojska radzieckie w nasze strony rodzinne i za dwa dni, to jest około 20 marca 1944 roku zmobilizowali wszystkich mężczyzn od lat 18 do 55 i kolumnami zaczęli wyprowadzać nas z rodzinnej wioski. We wiosce rozpacz była. Nikt nie wiedział, że my Polacy, zostaniemy wcieleni do polskiego wojska. Zdawało się nam, że ZSRR zabiera nas do fabryk, czy do prac w rolnictwie czy górnictwie. Po pożegnaniu się z rodzinami konwojenci zaczęli nas wyprowadzać. Nie zapomnę nigdy pożegnania mojej matki, która wyprowadzała pięciu synów. Płakała mocno i u moich braci też łzy poleciały, a matka na pożegnanie pocałowała nas po kolei i my też mocno ucałowaliśmy jej spracowane ręce, które robiły znak krzyża nad naszą głową. Smutna to była scena z naszego pożegnania. A matka przy pożegnaniu powiedziała: „Macie walczyć za Polskę i pamiętajcie, że jesteście Polakami". I tak pomaszerowaliśmy polnymi drogami w kierunku Zbaraża. Po drodze śpiewaliśmy polskie pieśni wojskowe. Po minięciu granicy z 1939 roku pomiędzy Polską a ZSRR doszliśmy do punktu zbornego w Jampolu.*

A oto, co na temat powołania do wojska w 1944 roku w swoim *Pamiętniku wspomnieniach* zanotował w 1980 roku Wiktor Mielnik*: Nasza wioska została na linii frontu, pociski niemieckie dolatywały do nas. Po paru dniach zaczęli brać do wojska mężczyzn od 18. do 50. roku życia. U nas też 30 marca 1944 r. zrobili wyciąg i spisali wszystkie roczniki. Na drugi dzień każdy wezwany stawił się na placu zbornym z plecakiem wyładowanym chlebem i odmaszerował pod eskortą żołnierzy z karabinami i bagnetami. We wsi został tylko lament i płacz matek, żon i dzieci, które żegnały swych mężów i synów (...)*

W dalszej części Wiktor Mielnik pisał: *Nas objęła eskorta żołnierzy radzieckich. Prowadzą nas przez błota, roztopy wiosenne, polami. Ciągnie się podróż krok za krokiem, oddalamy się od stron ojczystych coraz dalej przez Wołyń i granicę Polski na tereny sowieckie, nie wiedząc, jaki jest cel podróży, pędzeni na oślep jak stado baranów. Tak po siedmiu dniach ciężkiej podróży stanęliśmy na miejscu punktu zbornego w Jampolu. Tu nas zakwaterowali po strychach, po szopach, bo miejsca nie*

było. Tu i w okolicy było zgromadzonych tysiące ludzi, każdego dnia załadowane pociągi odjeżdżają w głąb Rosji.

Moment mobilizacji i pożegnania z ojcem Janem Błaszkiewiczem opowiedział jego syn Władysław redaktorowi „Gazety Gryfińskiej" w czerwcu 2019 roku. Na wiosnę 1944 roku miał 6 lat. Oto fragment jego relacji: *U nas byli już Ruscy i zarządzili mobilizację, wszystkich mężczyzn powołali pod broń. Wieś była duża, niemal trzysta numerów, więc było dużo mężczyzn w różnym wieku. Tata miał 45 lat, ale byli też 18-19 letni chłopcy. Ksiądz nawet na kazaniu ogłosił, że wszyscy mają się stawić tego i tego dnia, o tej godzinie w domu ludowym. Pamiętam, że wszyscy w płacz: kobiety, dzieci, ale nie było przebacz. Gdy nastąpiła zbiórka, my, dzieci, szliśmy przy swoich ojcach, przez mosty w kierunku Zbaraża. W końcu zaczęli nas przeganiać, zawracać cywilów do domów. Tatę na „trzecią wojnę" wyprawiała moja mama z babcią. Ojciec miał sumkę, taką torbą z materiału na plecy z przyszytymi sznurkami. Tam znalazła się słonina, chleb ususzony, smalec, masło. Coś, co by się nie psuło, więc nic gotowanego. Po pewnym czasie, po 2-3 tygodniach zaczęły przychodzić listy, że nasi są na Wołyniu, w miejscowości Sumy. Mieli tam wykopane ziemianki, czekali na przysięgę i front.*

I na koniec cząstka wspomnień Stanisławy Bodnar, z d. Mielnik, o powołaniu do wojska jej ojca Franciszka Mielnika: *Wspomnienie tamtych czasów przywołuje u mnie smutne, bardzo smutne przeżycia. Ostatni raz widziałam ojca. Władze radzieckie zarządziły mobilizację mężczyzn i niektórych kobiet do wojska. Wiadomość ta była dla wszystkich bardzo bolesna (...) Poborowych przeznaczono do służby w wojsku polskim organizowanym na terenach Związku Radzieckiego. Mama - płacząc - przygotowywała niezbędne rzeczy i żywność dla taty na tę niepewną drogę. Czuła zagrożenie dla siebie i rodziny. Smutek ten udzielał się też mnie i bratu. Byłam ukochaną córeczką ojca, wyróżniał mnie swoimi względami, więc bardzo bałam się, że go utracę. Pamiętam wymarsz poborowych z naszej wsi, konwojowanych przez żołnierzy radzieckich na koniach. Rodziny odprowadzały ich daleko za wieś i żegnały się z płaczem. Poborowi idąc, śpiewali pieśń kościelną „Serdeczna Matko", a nie pieśń wojskową, co mnie już wtedy dziwiło. Miałam prawie jedenaście lat. Dla wielu osób było to ostatnie pożegnanie. W tym pożegnaniu byliśmy całą rodziną.*

Rzeczywiście, smutne to były pożegnania. Była wojna i nikt nie był pewny swojego losu, szczęśliwego powrotu do domu, do swoich. Każdy z wyruszających na wojnę Bogu powierzał swój los i swojej rodziny.

Wiosenny pobór do wojska objął w tym samym czasie także Ukraińców. We wsiach o mieszanej strukturze ludności, a takich w tarnopolskim była większość, pożegnania zmobilizowanych młodych ludzi i dojrzałych mężczyzn odbywały się równocześnie. Opis wspólnego wymarszu z Borek Wielkich i towarzyszące temu emocje i przedstawił w *Okruchach osobistych wspomnień* Antoni Karpiński,

uczestnik tych zdarzeń. W opracowaniu pt. *Великі Бірки*... (Borki Wielkie) cytowano obszerne fragmenty jego zapisków. Oto niektóre z nich: *To stało się całkiem niespodziewanie. W sobotę 22 marca 1944 roku razem z bratem Michałem otrzymaliśmy zawiadomienia do natychmiastowego stawienia się w wojsku. W naszej miejscowości takie zawiadomienia otrzymali wszyscy od 18. do 50. roku życia. Mobilizacja ogłoszona przez radzieckie władze wojskowe (wojenkomat) wywołała emocje w całej boreckiej społeczności. Szczególnie tą wiadomością wstrząśnięte były kobiety. Można sobie wyobrazić, jak wkrótce wieś miało opuścić około 300 ludzi (kto wie, czy nie więcej) w pełni sił. W domu mieli zostać młodzi chłopcy i mężczyźni powyżej 50. roku życia. W krótkim czasie - pomiędzy ogłoszeniem mobilizacji a opuszczeniem domu - wielu zapobiegliwych boreckich mieszkańców chwytali się różnych sposobów, aby uwolnić się od tego patriotycznego obowiązku – walki z Niemcami. Część wstępowała do milicji, do pracy na kolei, niektórzy znikali z horyzontu (wielu z nich później walczyło w szeregach UPA i w innych zbrojnych formacjach). Niektórzy szukali pomocy u lekarzy (...) W noc z 23 na 24 marca 1944 roku nikt nie spał. Ja i moi rodzice również. Mama cały czas przypominała, żebym dbał o siebie, ciepło ubierał się i ciągle płakała. Ojciec był spokojny i zamyślony. Z jednej strony na pewno był dumny, że syn idzie do wojska, z drugiej mając jako wojak doświadczenie z austriackiej armii i pobyt jako jeniec w rosyjskiej niewoli, dobrze wiedział, jaki los może mnie spotkać. Los Polaków w Rosji wywiezionych w latach 1939-1941 był nam nieznany. Jedynie z pierwszych listów wiedzieliśmy, gdzie kto trafił, ale ich doli nikt nie znał. Wiadomości o utworzeniu Wojska Polskiego były bardzo skąpe.*

Nadszedł dzień zbiórki i wymarszu do wojska pod kierunkiem kilku czerwonoarmiejców. Zgromadziliśmy się na niewielkim placu blisko kooperatywy (spółdzielczego sklepu). Przed zbiórką Polacy poszli do kościoła, a Ukraińcy do cerkwi. Przemarsz na miejsce zbiórki odbywał się z procesją i z księdzem Mościńskim na czele, a Ukraińcy, jeśli dobrze pamiętam z księdzem Krawczukiem. Śpiewali religijne pieśni: Polacy - „My chcemy Boga" ..., a Ukraińcy - „Mu хочемо Бога"...

Godzina 10.00 rano była sygnałem rozpoczęcia marszu. W grupie ludzi odprowadzających wybuchł płacz i żałoba. To nasze mamy i żony, ojcowie i bracia, żegnając się z nami, tak płakali. Nie chcieli od nas odstąpić. Szli razem z nami. Jedni zostali na skraju wsi bliżej stacji kolejowej, inni – w Stupkach, a jeszcze inni – w Czernielowie Mazowieckim. Gdy opuściliśmy wieś, zawiadomili nas, że zakończenie pierwszego etapu naszego marszu będzie w Zbarażu. Omijaliśmy Tarnopol, który był otoczony radzieckimi wojskami. Łuny pożarów unosiły się nad miastem, słychać było artyleryjską kanonadę a nawet odgłosy strzałów karabinów maszynowych. Po niebie bez przerwy krążyły radzieckie samoloty. Dola mieszkańców Tarnopola była straszna. W rezultacie kilkutygodniowego oblężenia i zaciętych walk

nie został kamień na kamieniu w pięknym mieście. Tarnopol podzielił los takich miast jak Warszawa, Gdańsk i Wrocław (...)

Maszerowali razem – Polacy i Ukraińcy - przez wsie, w których wcześniej zmobilizowano ludzi do wojska (...) Po drodze widzieliśmy ślady wojny: zniszczony wojskowy sprzęt, mogiły niedawno pochowanych czerwonoarmiejców, zniszczone drogi i mosty. Na tej trasie wyjątkowo mało było zniszczonych gospodarstw (...)

Podczas marszu nasze szeregi trochę przerzedziły się. Wielu zmobilizowanych odłączało się od kolumny i zostawało we wsiach, przez które maszerowaliśmy. Zostawali zazwyczaj Ukraińcy, którzy, jak dowiedziałem się po wojnie, skierowali swoje kroki do zbrojnych podziemnych organizacji. Spodziewali się, że sytuacja może zmienić się. Ukraińcy szli w nieznane. Wielu z nich (jak dowiedziałem się po wojnie) zginęło na karpackich przełęczach Dukielskiej i Łupkowskiej i w republikach nadbałtyckich.

Polskie grupy nie tylko z Borek, ale i ze Zbaraża, Zarudzia, Podwołoczysk, Dubna, Równego nie na długo zagrzały miejsca w Jampolu. 31 marca umieścili nas w wagonach kolejowych. Pożegnałem się z ojcem i siostrą. Głośno płakali. To była trudna rozłąka. Mieliśmy świadomość, że to może być ostatnie pożegnanie z najbliższymi. (tłum. K.M.)

Jak wcześniej wspomniano po wiosennej mobilizacji mieszkańców Czernielowa Mazowieckiego i niedalekich Borek Wielkich do opieki duszpasterskiej w wojsku zgłosili się ks. wikary Antoni Kij i ks. proboszcz Marian Mościński. Uprzednio była mowa o ich kontaktach z placówkami Armii Krajowej i wybór tej drogi w czasie wojny był rzeczą naturalną.

Oni sami opisywali wstąpienie do wojska we *Wspomnieniach wojennych kapelanów wojskowych 1939-1945* zatytułowanych przez ks. Antoniego Kija: *Od Ołyki do Berlina* i ks. Mariana Mościńskiego *Moje przejście przez Wał Pomorski*. Ks. Antoni Kij wspominał: *Ofensywa wyzwoleńcza Armii radzieckiej zastała mnie jako wikariusza między Tarnopolem a Zbarażem. W lipcu 1944 roku gdy dowiedziałem się o formowaniu Wojska Polskiego, zaopatrzywszy się w Tarnopolu w celebret i jurysdykcję wydaną przez ks. Apolinarego Wałęgę, który na odciętym terenie archidiecezji lwowskiej spełniał funkcję wikariusza generalnego, wyruszyłem przez Zbaraż, Krzemieniec i inne miejscowości Wołynia w kierunku Ołyki i Kiwerc. Tam stacjonowały wówczas wojska I armii. Różnymi sposobami dotarłem wreszcie do wyznaczonego miejsca. Zostałem mianowany przez ks. ppłk. Wilhelma Kubsza kapelanem 1. Brygady Artylerii Ciężkiej i 2. Brygady Haubic. Teraz już jako kapelan szedłem szlakiem bojów 1. Armii przez Chełm, Lublin i Puławy, duszpasterzując wśród naszych żołnierzy, którzy tęsknili za kapłanem, sakramentami i Mszą św.*

Natomiast ks. Marian Mościński pisał: *Był to marzec lub kwiecień 1944 roku. Rozpoczęła się mobilizacja moich parafian do Armii Polskiej. Chłopcy zaczęli*

masowo odpływać. Dowiedziałem się wkrótce, że polskie oddziały są już na Wołyniu, że są tam również księża kapelani. Padło nazwisko mego kolegi z seminarium, ks. Tadeusza Fedorowicza. Podjąłem decyzję. Uzyskałem zezwolenie od wikariusza generalnego tej części archidiecezji lwowskiej ks. Apolinarego Wałęgi. Parafię zdałem następcy, najpotrzebniejsze rzeczy zapakowałem do plecaka i przygodnymi samochodami udałem się na Wołyń, w okolice Kiwerc. Odnalazłem Duszpasterstwo Wojskowe, zameldowałem się u ks. ppłk. Wilhelma Kubsza. Przy Duszpasterstwie 1. Armii przebyłem drogę: Wołyń-Chełm Lubelski-Lublin. Pierwszą moją samodzielną wojskową „parafią" stał się 3. Pułk Zapasowy, przez który przewijały się tysiące świeżo zmobilizowanych żołnierzy (...) Z 3. Pułku Zapasowego zostałem przeniesiony do Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte. Od początku grudnia 1944 r. objąłem funkcję kapelana 4. Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego, której dowódcą był gen. Bolesław Kieniewicz. Na tym stanowisku pozostałem do końca wojny.

I tak oto młodzi mieszkańcy Czernielowa i innych wsi Tarnopolszczyzny znaleźli się na początku swojej żołnierskiej drogi, która wiodła ich na zachód, ku Berlinowi. Niestety, niektórym z nich nie dane było tam dotrzeć. Wielu zginęło w czasie działań wojennych, wielu zakończyło wcześniej służbę w wojsku z powodu odniesionych ran i dłuższej rekonwalescencji lub inwalidztwa. Losy kilkunastu czernielowian–żołnierzy nakreślono w dalszej części.

A tymczasem w Czernielowie i wszystkich okolicznych wsiach, z których tak dużo młodych i dojrzałych mężczyzn zmobilizowano do wojska, zrobiło się odczuwalnie pusto. W wielu domach i gospodarstwach kobiety musiały zastąpić swoich mężów i braci i przejąć wykonywanie prac gospodarskich, które do tej pory zwykle należały do mężczyzn. Lato 1944 roku należało do bardzo trudnych. W wielu listach adresowanych zwykle do matek czy sióstr zmobilizowani do wojska czernielowanie martwili się, jak sobie radzą ze żniwami, czy ktoś im będzie pomagał.

Pojawił się też nowy front przymusowych robót publicznych związany z poszerzaniem torów kolejowych i pracą w kopalniach Donbasu. Do tych robót Rosjanie angażowali głównie młode dziewczyny i o ile praca przy poszerzaniu torów miała miejsce niedaleko rodzinnej wsi i była do wykonania, to wywózka do kopalni była czymś najgorszym, co mogło spotkać młodą kobietę niezależnie od jej kondycji fizycznej. Każda dziewczyna, ale też wytypowani do pracy w Donbasie młodzi chłopcy, chcieli uniknąć tego przykrego doświadczenia. Ich rodzice robili wszystko, najczęściej przekupując odpowiednie służby, by córka czy syn mogli nadal być w domu.

Ale któregoś dnia latem miała miejsce sytuacja, kiedy wyjazd do Donbasu dużej grupy osób, pilnowanych cały czas przez milicjantów doszedł do skutku. Chociaż i tym razem co najmniej jednej dziewczynie udała się ucieczka.

Swoje przeżycia związane z pracą przy poszerzaniu torów, jak również skuteczną ucieczkę przy próbie wywozu do Donbasu opisała We *Wspomnieniach z dzieciństwa i nie tylko…* Stefania Górska, z d. Woźniak: *Niedługo w kwietniu zaczęli poszerzać tory kolejowe, bo wiadomo, że w Rosji tory są szersze niż w Polsce. Mężczyźni poszli na wojnę, więc zatrudnili przy poszerzaniu torów dziewczyny. I mnie też zapisali do pracy przy torach. Wtedy mówiło się, że chodziłam na sztrekę. Nie tylko ja pracowałam, były inne dziewczyny z Czernielowa, ale też z Anielówki, z Romanówki. Pracowało też kilku Ukraińców z innych wiosek, kilku starszych mężczyzn, nie wiem jednak, skąd oni byli. Było nawet kilka Rosjanek i kierownik, który nadzorował te roboty, też był Rosjaninem. Praca była ciężka, trzeba było daleko chodzić do tych torów i dźwigać szyny. Pracowaliśmy za darmo, nikt nie dostał grosika. Nie pamiętam, jak długo pracowałam przy poszerzaniu torów, ale chyba niedługo.*

Latem 1944 roku przeżyłam przykre zdarzenie, które jednak dobrze się zakończyło. Nie pamiętam szczegółów, w jaki sposób to się stało, czy to był podstęp czy obiecanka dobrej pracy, czy jeszcze co innego? Ukraińscy milicjanci przyprowadzili mnie do grupki ludzi, może 12-13 osób, w której było trzech starszych mężczyzn, kilka kobiet i reszta młode dziewczyny, bo przecież młodzi chłopcy poszli na wojnę. Podjechały trzy furmanki, w tym jedną jechała moja siostra Agnieszka.

Kazali nam siadać na wóz i na każdym wozie siadł milicjant. Ja od razu pomyślałam, że coś nie tak z tą pracą. Ale jedziemy. Przyjeżdżamy do Borek Wielkich na plac koło miicji, stoimy na tym placu i nic nie wiemy, co z nami będzie, gdzie nas zawiozą. Poszła siostra na zwiady, przychodzi i mówi: chyba czekają na pociąg i zawiozą was do kopalni, do Donbasu, musisz uciekać, bo jak teraz nie uciekniesz, to potem będzie gorzej. Ale jak tu uciec? Stoi trzech milicjantów ukraińskich. Ale u mnie szybko w takich sytuacjach przychodzą różne myśli i mówię do milicjanta, że ja chcę się załatwić. On mi odpowiedział, żebym tutaj się załatwiła. Zaczęłam go prosić, żeby poszedł ze mną kawałek od placu.

Tu muszę wspomnieć, że kilka miesięcy wcześniej, przed Świętami Wielkanocnymi, w Borkach wybuchł straszny pożar. Od iskry z lokomotywy zapalił się pierwszy dom. W tym dniu był niesamowity wiatr, tak że w krótkim czasie spaliło się prawie pół wsi. Wtedy domy były pokryte przeważnie strzechą ze słomy i wiatr w ogromnym pędzie niósł kawałki ognia na coraz to dalej położone domy. Po pożarze zostało pogorzelisko i nie było gdzie się schować.

Prosiłam więc milicjanta, żeby pozwolił mi pójść z drugiej strony, bo ja się wstydzę przy nim. Milicjant pozwolił mi oddalić się, kazał mi szybko wracać, a ja go zapewniłam, że zaraz wrócę. Może gdyby był starszy, to nie byłby taki naiwny. Ale ja myślałam tylko o ucieczce. Jak tylko znalazłam się po drugiej stronie tego budynku, a raczej ścian, które zostały po pożarze, zobaczyłam dym z komina i zaczęłam biec

w tym kierunku. A wiadomo pogorzelisko to nie równa droga, potknęłam się o jakiś drut kolczasty, upadłam, skaleczyłam się w nogę i w rękę. Ale nie było czasu myśleć o bólu. Biegłam dalej i myślałam, czy to dom Ukraińca czy Polaka. Jak będzie dom Ukraińca, to poznam po obrazach, bo oni wieszali koło świętych obrazów tak zwane wyszitie, to taki rodzaj wyszywanych ręczników. Wtedy będę mówiła po ukraińsku i nie przyznam się, że ja jestem z Czernielowa Mazowieckiego, tylko z Ruskiego. Umiałam dobrze mówić po ukraińsku, bo nauczyłam się, jak byłam u kuzynki Stasi w Smykowcach. Ale na szczęście był to dom polski…

Okazało się, że mieszka w nim brat żony krewnego Woźniaków ze Stupek, który najpierw sprawdził, że już nikogo nie ma na stacji w Borkach, a potem pomógł Stefanii dotrzeć do domu. I w ten oto sposób Stefania Woźniak uniknęła wywózki do Donbasu. Niestety, po latach nie udało się dotrzeć do wiarygodnych informacji o innych osobach, które zostały wywiezione z Czernielowa do kopalni w Donbasie.

Wiadomo również z przekazu rodzinnego, że ciężkich robót w kopalni uniknęła Józefa Woźniewicz, z d. Nietreba. Jej ojciec, Ignacy Nietreba, potrafiący załatwić wiele spraw, gdy dowiedział się o wytypowaniu córki do wyjazdu do Donbasu, robił wszystko, by dostała inną pracę na miejscu. I dzięki zaangażowaniu ojca Józefa została zatrudniona w urzędzie gminy, przy rozliczaniu podatków czy innych pracach, przy których należało sumować wiele pozycji i umiejętność szybkiego i dokładnego liczenia była bardzo potrzebna. Jak opowiadano pomagał jej w tym biegły w tym zakresie ojciec, uciekając się do różnych forteli, gdy ktoś koniecznie chciał sprawdzić, czy dziewczyna dobrze liczy.

Wiadomość o wytypowaniu na wyjazd do Donbasu przyśpieszyła decyzję wyjazdu na Zachód, ale już w maju 1945 roku Marii Dochniak, która zostawiając swoich bliskich, pierwszym transportem z rodziną kowala Mikołajowa i rodziną swojej zamężnej siostry Anny Masło, z d. Dochniak, wyjechała do Opola.

Nawiązując do wypowiedzi Stefanii Górskiej, z d. Woźniak, o pożarze w Borkach, który rzeczywiście miał miejsce przed Wielkanocą, ale nie w 1944 tylko w 1942 roku można dodać na podstawie wspomnianego wcześniej opracowania o Borkach Wielkich, że w czasie tego ogromnego pożaru we wsi spaliła się jedna czwarta budynków mieszkalnych. Oto opis z monografii: *Silny południowo-zachodni wiatr i słomiane strzechy większości domów przyczyniły się do tego, że spłonęły wszystkie zabudowania wokół stacji kolejowej i wyżej, do centralnej ulicy. W ogniu stanęły dziesiątki domów, a mieszkańcy ponieśli ogromne straty. Mówiono, że pożar wybuchł od iskry z lokomotywy. Ktoś inny wyjaśniał jego przyczynę z powodu nieostrożnego obchodzenia się z ogniem.*

To było w warunkach wojny dodatkowe wielkie nieszczęście dla mieszkańców wsi.

Przygotowanie do walk frontowych

Zanim młodzi i starsi czernielowianie trafili na front niektórzy jako rezerwiści musieli przypomnieć sobie, a pozostali w trybie przyśpieszonym nauczyć się żołnierskiego rzemiosła, najpierw teoretycznie, potem praktycznie na poligonie, odbyć cykl szkoleń, doświadczyć trudów życia w wojsku. Wiosną i wczesnym latem 1944 roku powołani do wojska mężczyźni z Czernielowa zostali skierowani na krótkie szkolenie wojskowe do Riazania i Sielc nad Oką, do Sum pod Charkowem, do innych ośrodków. Kilku czy kilkunastu młodych mieszkańców wsi trafiło do szkół podoficerskich.

Niektórzy z nich po latach napisali o tym w swoich wspomnieniach.

Na początek fragmenty zapisków *Wspomnień* Józefa Mielnika „Bogaczyny" zanotowanych w 1990 roku: *Po trzech dniach pobytu w Jampolu załadowano nas na wagony towarowe i nasz transport wyjechał w kierunku Kijowa. Gdy mijaliśmy tereny opuszczone przez Niemców, widać było wielkie zniszczenia, bo tam przechodziła wojna. Nasz transport jechał powoli i prawie na każdej stacji stawał, bo trasa była zajęta przez transporty wojenne.Wtedy na takich stacjach schodziliśmy z wagonu, aby coś zagrzać czy ugotować w menażkach czy kociołkach. Zanim poszukano jakiegoś opału, to pociąg ruszał dalej. W naszych wagonach była ciasnota. Jechaliśmy w dużych wagonach towarowych robionych po dwa piętra, po 120 ludzi. I tak zajechaliśmy pod Kijów. Głód do nas zaglądał. Nasze zapasy żywnościowe zabrane z domów rodzinnych wyczerpały się, a konwojenci to dawali nam taki przydział, jak sami uważali. Pod Kijowem nie było przejazdu przez Dniepr, bo Niemcy zbombardowali most. Po paru dniach nasz transport przejechał Kijów, Dniepr, Darnicę i w dalszym ciągu jedziemy na wschód. I tak zajechaliśmy do Sum, do stacji przeznaczenia. Tam zabrano nas do koszar wojskowych przeznaczonych dla polskiego wojska. Gdy wchodziliśmy do tych koszar na bramie głównej widniał wielki napis: „Witajcie Rodacy!".*

Cieszyliśmy się tym, radość była wielka. Mundur polskiego żołnierza i czapka z orzełkiem, ale w innej formie, a w koszarach polskie pieśni wojskowe i hasła na każdej sali. Nie bardzo nam to pasowało, ale tak w historii bywa, czekaliśmy na ten czas z utęsknieniem. Przemiana ma powstać w Polsce, ma być reforma rolna, ma Polską rządzić lud.

Jedno z haseł brzmiało: „Niech żyje Związek Patriotów Polskich!". I w tym czasie dowiedzieliśmy się o ludziach z tego Związku. Najwięcej było wśród nich polskich komunistów, których jeszcze Stalin przy życiu utrzymał, bo część z nich kazał rozstrzelać. Część z tych patriotów nie chciała polskiego wojska, w tym między innymi: Alfred Lampe, Minc, Berman, Ochab i wielu innych polskich Żydów wolało Czerwoną Armię niż Wojsko Polskie .

Po umundurowaniu już byliśmy żołnierzami. Dwa dni mieliśmy musztrę, bo czekała nas defilada na 3 maja. Na dziedzińcu koszarowym wzniesiono ołtarz polowy i tam odbyło się nabożeństw, a potem defilada. Po defiladzie przemawiał do nas ksiądz, który przyjechał z Ameryki, a potem przemawiał major wojsk polskich i dodawał nam otuchy i pewności, że zwycięstwo jest po naszej stronie. Wiedzieliśmy, że do końca wojny daleko i że wojna z Niemcami to nie zabawa, to wojna na śmierć lub życie, ale żyliśmy nadzieją , że ktoś dożyje i ofiara życia nie pójdzie na marne (...) Trzon naszego wojska stanowili Polacy z województw: tarnopolskiego, wileńskiego i wołyńskiego, a druga część to byli Polacy, których los wojenny zagnał na daleki Sybir z rejonu Archangielska i Kazachstanu. Muszę wspomnieć, gdy pewnego razu moja jednostka miała wartę na głównej bramie i innych miejscach koszarowych, byłem dowódcą warty. Przyszło wtedy do głównej bramy dwóch chłopaków: jeden miał 12 a drugi 13 lat. Za wszelką cenę chcieli przedostać się na plac koszarowy. Wartownik ich nie wpuścił, bo to przecież dzieci. Wyszedłem, żeby porozmawiać z nimi. Pytam: „Co wy tutaj chcecie?". Oni na to: „My chcemy do polskiego wojska". „Ależ wy jesteście dzieci"- mówię. A oni dalej swoje: „Wy możecie nas zabić, a my się stąd nie ruszymy". Pytam się: „Skąd tutaj wzięliście się?". A jeden z nich mówi, że więcej jak dwa tygodnie jechali na gapę z dalekiego Sybiru. Serce moje płakało nad losem tych dzieci. Sam obraz zmęczenia i wycieńczenia, w łachmanach, w podartych kufajkach i dotarcie do celu to było naprawdę coś wielkiego, a oni chcą walczyć za Polskę, bo są Polakami.

Zaprowadziłem ich do oficera inspekcyjnego. Za dwa dni zobaczyłem ich znowu. Już byli umundurowani, uszyto im małe mundury i byli synami pułku. Potem z tych koszar wyprowadzili nas w lasy i już tych chłopaków nigdy więcej nie widziałem. Tam w lasach były ziemianki i te ziemianki trzeba było do porządku doprowadzić. Po tygodniu znów skierowano nas do Sum, a następnie koleją z powrotem do Kijowa, przez Żytomierz do Kiwerc na Wołyniu. Z Kiwerc zaprowadzono nas do Przebraża i tam w lasach kupili nas kupcy, czyli otrzymaliśmy swoje przydziały. Ja zostałem skierowany do samodzielnej kompanii rusznic przeciwpancernych do 7. Pułku Piechoty 3. Dywizji im. R. Traugutta. Dowódcą naszej kompanii był rosyjski oficer kapitan Goruszkin. Życie żołnierskie na Wołyniu szło normalnym trybem, zajęcia, alarmy. Gdy budowaliśmy namioty żołnierskie był jeden nalot, parę bomb upadło, ale dalej w lesie. Najbardziej utkwiła mi w pamięci przysięga żołnierska, która odbyła się na polanie. Równocześnie z przysięgą odbyło się poświęcenie sztandaru 3. Dywizji.To już była moja trzecia przysięga żołnierska: jedną składałem w 1938 roku, druga w konspiracji, a trzecia w Ludowym Wojsku Polskim. Przysięga odbywała się bardzo uroczyście, to po prostu było wielkie święto w naszej dywizji. Jedno nas gnębiło, że dowódcami prawie każdej kompanii był ruski oficer, i batalionów i pułku był też dowódca ruski, oficer major Rusjan. Również

prawie w każdej kompanii polityczno-wychowawczy był ruski oficer, politruk. Nieraz trzeba było być w dowództwie pułku, to słychać było tylko rosyjski język. Pamiętam również, jak w ćwiczeniach naszych oddziałów forsowaliśmy rzekę Styr na pałatkach. Może to dziwne, a jednak w późniejszym czasie na frontowej drodze to doświadczenie przydało się. Na Wołyniu widzieliśmy wielkie zniszczenia, gdzie były skupiska Polaków. Pamiętam była miejscowość Józefin całkowicie zniszczona, spalona i wymordowana przez bandy UPA. W każdą niedzielę chodziliśmy na msze św. którą kapelan wojskowy odprawiał przy ołtarzu polowym.

Józef Mielnik zapamiętał problem z wyżywieniem, a ściślej z kiepską jakością chleba. Pisał o tym: *Muszę wspomnąć, że nasz chleb żołnierski, który tu dostawaliśmy, to był chleb płaczący. Z czego on był pieczony, to nie wiem: to był tylko zakalec, to znaczy naokoło skóra, a w środku jak glina…*

Żołnierze mieli też świadomość zmian, które nastąpią po wojnie. Autor *Wspomnień* ujął to następująco: *I tu na Wołyniu już wiedzieliśmy, że na podłożu i na podwalinach Związku Patriotów i komunistów polskich budujemy Polskę sprawiedliwości społecznej opartej na ideologii Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina. Ale czyż można było nie włączać się do zwycięstwa nad faszyzmem, a potem znowu popaść pod inną dyktaturę komunistyczną i katorgę Stalina?*

Z zapisków Józefa Mielnika wynika, że został on skierowany do 7. Pułku Piechoty 3. Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta, której stan od momentu sformowania w styczniu 1944 roku był uzupełniany poborowymi z wyzwolonych dawnych terenów Rzeczpospolitej.

Jak wcześniej wspomniano, wśród żołnierzy 3. DP znaleźli się głównie Polacy uchodźcy i wywiezieni do ZSRR. Do tej dywizji trafił Wiktor Duży, wywieziony wraz z rodziną przez Rosjan w lutym 1940 roku z Woli Gołuchowskiej w powiecie podhajeckim do Republiki Komi. Tam zmarli jego rodzice i młodszy brat. Po wojnie zamieszkał w Skoroszowie. Latem 2014 roku wspominał: *Gdy w 1943 roku zaczęto tworzyć Wojsko Polskie, razem z innymi wstąpiłem do wojska. Do wojska była mobilizacja rocznika 1926. Razem ze mną byli: Świcarz Marian, dwaj Piotrowscy o imieniu Jan. Byliśmy razem od początku. Jesienią 1943 roku trafiłem do zgrupowania pod Moskwą, do szkoły podoficerskiej w Sielcach nad Oką, a potem na szkolenie do Charkowa i do Kiwerec na Wołyniu.*

W marcu 1944 r. była przysięga, a po przysiędze nasz 9. Pułk 3. Dywizji im. Romualda Traugutta ruszył przez Charków i Kijów na Wołyń. Na Wołyniu były ćwiczenia.

O tym, że kilku młodych czernielowian wywiezionych w 1940 roku na Sybir oraz powołanych przez Rosjan w 1940 do Armii Czerwonej trafiło do Wojska Polskiego i spotkali się na wojennym szlaku z innymi żołnierzami z Czernielowa można przeczytać w listach z frontu Stanisława Maliszkiewicza pisanych do żony

Agnieszki i syna Waleriana. Wymienia w nich między innymi Wiktora Dużego, nazywając go synem Dużego, i Józefa Piotrowskiego, pisząc o Jóźku Piotrowskim.

Jak wcześniej napisano w oparciu o wspomnienia Jadwigi Podleskiej zawarte w *Relacji o placówkach AK na polskich wsiach Podola (województwo Tarnopol)* Stanisław Maliszkiewicz założył w Czernielowie Mazowieckim w 1940 roku pod okupacją sowiecką podziemną organizację, na bazie której w dwa lata później działała miejscowa komórka Armii Krajowej. Zapamiętano, że w konspiracji nosił pseudonim „Mandżaj".

Stanisław Maliszkiewicz, ps. „Mandżaj"

Stanisław Maliszkiewicz w liście z 17 maja 1944 r. pisał między innymi: *Po przyjeździe na nasze ziemie porozdzielali nas tak, że wszystkich młodych zabrali do szkoły. A nas teraz razem od któregoś czasu jest teraz sześciu, a to ja, Franko Żarkowski, Mały; Franko Mielnik; swach Michał Jacykowski; Andrzej Gęślowski i Wiktor Mielnik. Tu spotykamy tych, którzy byli wywiezieni do Rosji. Byłem z Dużego synem i Jóźka Piotrowskiego, to mówił Dużego syn, że Sokołowski oba poumierali, stary i syn, a Piotrowski mówił mi, że Franko Rajfur był z nim razem w wojsku i pod Smoleńskiem został zabity. A pytałem, co z Dośką, to on nie zna, gdzie ona teraz. I dużo jest jeszcze tych z Syberii i z wojska rosyjskiego. Jest tu, choć nie widziałem ich jeszcze, ale słyszałem, że są: Romaniuk Sławko, Hrycaj Jan, Hylko, który był aresztowany, Wiktor Danyły Jacykowskiego. Tylko trudno się z nimi spotkać, bo to wszystko w lasach. Objeździliśmy prawie całą Ukrainę Rosyjską i teraz już jesteśmy na dawnej Ziemi Polskiej. Może Bóg da, że to długo nie potrwa i powrócimy do domu i będziemy sobie mogli dużo powiedzieć.*

Kilka odmiennych szczegółów z początków żołnierskiego życia opowiedział w 2014 i 2015 roku Józef Czubko. Odtwarzane przez niego w pamięci zdarzenia zostały zapisane i zatytułowane *Z Czernielowa Mazowieckiego do Wizan – wspomnienia żołnierza.* 93-letni wtedy Józef Czubko relacjonował: *Przez trzy dni maszerowaliśmy do miejscowości Jampol koło Winnicy. Gdy nas w czasie marszu zastała noc, to byliśmy zapędzani do najbliższej stodoły i tam spaliśmy. W Jampolu załadowano nas do pociągu. W wagonach stołypinkach było pełno wszy po poprzednich pasażerach. Musieliśmy zdejmować z siebie ubranie, aby je wytrząść. Strasznie gryzły. Zawieziono nas do Sum, do dawnych carskich koszar. Tam znajdowały się trzy duże budynki, w których nas zakwaterowano. W każdej sali było po 500 podwójnych łóżek. Zrobiono nam dezynfekcję. Nasze ubranie przepuszczono przez gorącą parę wodną, która zabijała insekty. Ostrzyżono nas.*

3 maja 1944 r. każdy żołnierz otrzymał następujący ekwipunek: konfederatkę, płaszcz, bluzę i spodnie bawełniane, koszulę i kalesony letnie, ręczniki i onuce letnie, a także trzewiki. Do wyposażenia żołnierskiego należał pas do spodni, pas skórzany. Każdy żołnierz otrzymał orzełka, owijacze, a także kociołek (menażkę). Bielizna osobista: kalesony, koszula i majtki była oddawana do wymiany, była prana.

Na wieczór otrzymywaliśmy przydział jednego okrągłego bochenka chleba (30 dkg) na 6 żołnierzy, 3 dkg cukru na każdą osobę, do picia była kawa zbożowa. Podobnie rano. Na obiad karmiono nas zupą, kaszą jęczmienną perlistą lub pęczakiem, a do picia była wspomniana kawa zbożowa.

Raz na miesiąc żołnierz otrzymywał przydział 100 papierosów. Jeżeli sam nie palił, to mógł się nimi wymienić z tym, który palił tytoń. Żołnierzom wypłacano żołd. Kapral otrzymywał 100 zł na miesiąc, a szeregowy 60 zł na miesiąc. Litr wódki w kantynie wojskowej kosztował 60 zł.

Odesłano nas na ćwiczenia wojskowe do lasu w okolicy wsi Stecówka koło Sum. Trwały one 4 miesiące. Budowaliśmy ziemianki głębokie na 1 m. Ziemianki kopano saperką. Każda przeznaczona były dla 30 osób. Zakładaliśmy szalunek z przygotowanych i naciętych już kołków sosnowych. Wierzch ziemianki wystawał nad ziemię, na kołki stropowe narzucano warstwę ziemi. Po wybraniu ziemi jako podłogę kładziono plandekę. Prycze robiono z gałęzi sosnowych i świerkowych. Na to kładziono plandeki. Żołnierze śpiący na narach nakrywali się swoimi szynelami. Ze mną w oddziale służyli: Antoni Koszuliński, Franciszek (ale nie brat szwagra), Antoni i Marian Żarkowscy, Władysław Hrycaj, Józef Kozłowski. Więcej nazwisk nie pamiętam. Oficerami byli w przeważającej większości Rosjanie lub zrusyfikowani Polacy, mający obywatelstwo ZSRR. Służyłem w drugiej kompanii fizylierów (fizylierami w czasie drugiej wojny światowej nazywano żołnierzy piechoty uzbrojonych w pistolety maszynowe) 10. Pułku Piechoty 4. Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego 1. Armii Wojska Polskiego. 2975 - taki numer nosiła stacja poczty polowej. Dywizją dowodził gen. bryg. Bolesław Kieniewicz. Pułkiem dowodził podpułkownik Wincenty Potapowicz. On podpisywał rozkazy. Plutonem dowodziła chorąży, a od 15 września 1944 roku podporucznik Emilia Gierczak. Z okolic Sum transportem kolejowym dowieziono nas do Ołyki i Kiwerc. Stąd piechotą maszerowaliśmy do wsi Wygoda pod Lublinem. Tam składałem przysięgę wojskową 10 września 1944 roku. Wtedy nasza dywizja jako pierwsza na terenie Polski Lubelskiej otrzymała swój sztandar. Przeważająca większość poborowych w moim pułku pochodziła z województw: tarnopolskiego, stanisławowskiego, wołyńskiego, a także z Kresów Białoruskich. Żołnierz przysięgał, że nie rzuci broni i nie ucieknie z frontu, że będzie wykonywał rozkazy podoficerów i oficerów.

Z okazji przysięgi każdy z żołnierzy otrzymał ćwiartkę wódki. Byłem 3 miesiące na szkoleniu w szkole podoficerskiej, więc nie brałem udziału w walkach nad Wisłą

w okolicach Warszawy we wrześniu 1944 roku. Nie byłem w szkole oficerskiej. Po ukończeniu szkoły podoficerskiej otrzymałem stopień kaprala. Mianowano mnie dowódcą drużyny. Dowodziłem 6 szeregowcami. W czasie działań zbrojnych na froncie nie awansowano mnie na wyższy stopień wojskowy.

Po przysiędze 10. pp stacjonował w Aninie pod Warszawą do stycznia 1945 roku. Tych, którzy po przysiędze zdezerterowali i zostali później złapani przez Rosjan, surowo osądzano i z reguły skazywano na karę śmierci przez rozstrzelanie. Szeroko informowano innych żołnierzy o wyrokach sądowych wydawanych na dezerterów. Robiono to po to, aby inni bali się dezerterować. W ten sposób wymuszano karność wśród żołnierzy.

Pierwszy raz jeńców niemieckich zobaczyłem w Rosji, (na radzieckiej Ukrainie). Byli nie ogoleni, w wymiętych mundurach, smutni, przejęci tym, co ich może spotkać w rosyjskiej niewoli.

Żołnierze otrzymali karabiny EWT. Z tej broni ćwiczono strzelanie do tarczy. Tarcza miała rozmiar 60 cm na 100 cm. Każdy otrzymał 3 naboje. Miał oddać celne strzały w pozycji na leżąco. Celowałem, patrząc na muszkę, lekko pod tarczę. Oddałem 3 strzały w środek tarczy w jedno miejsce. Dowódca kompanii, kapitan, pochwalił mnie za celność strzałów. Prosił, abym wyjaśnił skuteczność strzałów. Mówiłem, że w czasie strzelania wstrzymałem oddech. Ćwiczenia w strzelaniu trwały około tygodnia. Ćwiczono rzucanie granatem.

W każdą niedzielę i ważne święto kościelne odbywała się msza polowa dla całego oddziału. Ksiądz nosił mundur wojskowy. Jeździł amerykańskim samochodem. Miał paru żołnierzy, którzy usługiwali mu w czasie mszy. Pełnili role ministrantów. Praktyki religijne były takie same jak w wojsku II Rzeczypospolitej. Opieki duszpasterskiej nie było w Armii Czerwonej. Tym się różniło Wojsko Polskie od sowieckiego.

Jak trzeba było spać na ziemi, gdy nie było ziemianki, a zdarzało to się w czasie przemarszu oddziału przez tereny leśne w drodze na front, to rozścielano plandekę na gruncie. Żołnierze kładli się parami na plandece plecami do siebie. Okrywali się płaszczami. Zdejmowali buty. Spało się od godziny 23.00 do godziny 5.00 rano. Latem na terenach leśnych żołnierzom bardzo dokuczały komary. Jeden z szeregowców pełnił wartę.

A teraz kilka zdań o wspominanym już Kazimierzu Klepajczuku, który trafił do szkoły podoficerskiej w Uljanowsku (dzisiejszym Symbirsku). Swój żołnierski życiorys przedstawił w wywiadzie udzielonym w 2002 roku Tadeuszowi Wójcikowi, dziennikarzowi „Gazety Chojeńskiej", który w artykule *Byłem na własnym apelu poległych* zanotował: *Z Jampola pojechaliśmy do Sumów, gdzie generał Berling zbierał Polaków do tworzącej się armii. Pamiętam, że dostaliśmy tam wspaniałe wyposażenie: mundury, broń i cały potrzebny ekwipunek. Potem, gdy już byliśmy*

w szkole dla czołgistów w Uljanowsku radziecka „starszyna" nie dawała nam spokoju. Chcieli „mieniat", bo oni bądź co bądź oficerowie, a mieli parciane pasy.

My wyglądaliśmy przy nich jak wojskowa arystokracja. Takie wyposażenie mieliśmy dzięki Amerykanom. Przyczynił się do tego Oskar Lange. Do Uljanowska trafiliśmy na początku maja 1944 roku. W lasach, kilka kilometrów od miasta, rozlokowano starannie zamaskowaną szkołę pancerną. Szkoliło się w niej tysiące czołgistów.

My, Polacy, stanowiliśmy oddzielną, 50-osobową grupę. Na początku były spore kłopoty językowe, bo prawie nikt nie znał rosyjskiego, a kadra była wyłącznie radziecka. U nas w szkole nie uczyliśmy się tego języka. Trochę znaliśmy ukraiński i to wszystko. Wtedy panowała już okropna bieda i dotkliwy brak żywności. Dostawaliśmy głodowe porcje. Zawsze przed oczyma mam obrazki, gdy dzieliliśmy chleb. Dostawało się bochenek i dyżurny dzielił go na 10 porcji. Żeby nie było podejrzeń, że kogoś chce wyróżnić, to kładł palec na ukrojony kawałek, a ktoś odwrócony plecami wywoływał nazwisko.

Legitymacja czołgisty

Podobnie było przy przydziale lurowatej zupy. Rozlewający dbał o to, żeby jeden nie dostał dwóch kartofelków więcej niż inny. Po pewnym czasie byliśmy mocno osłabieni i podczas musztry powłóczyliśmy nogami… Kiedyś podczas ciężkich zajęć zaczęliśmy ociągać się. Była niedziela i my, Polacy, zbuntowaliśmy się, mówiąc, że powinniśmy świętować, bo wiara nam tak nakazuje. Oni nie rozróżniali dnia powszedniego od niedzieli. Dowódca nas wysłuchał i w ramach rozrywki zorganizował nam wyjazd do Uljanowska, do muzeum Lenina. Tak więc zwiedziliśmy dom-muzeum, gdzie urodził się i mieszkał wódz rewolucji.

Z prawej Antoni Murmyło

Z prawej Kazimierz Klepajczuk w szkole czołgistów

W październiku ukończyliśmy szkołę. Miałem sporo szczęścia na egzaminie, bo tak się złożyło, że egzaminator znał nieźle polski i nie musiałem się zbytnio wysilać z rosyjskim nazewnictwem. Mogłem wtrącać polskie nazwy. Muszę tu wyznać, że

w ogóle na tej wojnie miałem dużo szczęścia, bo wychodziłem z wielu opresji. Tak sobie myślę, że to dzięki pomocy Matki Boskiej. Kiedyś, gdy jechaliśmy czołgiem, to przez luk zobaczyłem na drodze mały obrazek. Zatrzymałem się i podniosłem. Mały obrazek Matki Boskiej był z nami do końca w czołgu. Cała nasza załoga przeżyła wojnę.

Szkołę pancerną ukończyłem w stopniu plutonowego. Jako kierowca mechanik czołgu T-34 zostałem przydzielony do 1. Korpusu Pancernego, do 3. Brygady. Wśród załogi (to też oznaka szczęścia) był działonowy Antek Murmyło – kolega z ławy szkolnej. Razem z nim występowałem też w orkiestrze dętej. Nasz czołg ma znamienny numer 3333. Ruszamy w kierunku polskiej granicy…

A tak opisał we *Wspomnieniach* pierwsze miesiące swego żołnierskiego życiorysu Józef Maśluk: *Ja zostałem przydzielony do szkoły podoficerskiej piechoty, przy 11 pp IV dywizji I Armii. Szkoła nasza stacjonowała w namiotach, w lasach 38 km od Sum. Tak zaczęło się kochane, biedne życie żołnierza. Chłód, głód i przemoc. Już w 1944 roku w Armii Polskiej było ponad 20 000 ruskich oficerów. Od dowódcy kompanii wzwyż to ruscy.*

Czas szybko leci - już prawie miesiąc jesteśmy w lasach sumskich. Front wschodni bardzo szybko posuwa się na zachód, a nasza jednostka też za frontem. W czerwcu 1944 r. z lasów sumskich miał miejsce przemarsz IV dywizji na zachód na stare tereny Polski, Wołyń. Zatrzymujemy się w lasach pomiędzy Równem a Łuckiem, 6 km od stacji PKP Ołyka. Przy końcu czerwca 1944 r. przyjechali do nas rodzice, przywieźli nam trochę żywności. Idziemy we dwóch - z bronią do rodziców. W Ołyce czekała na mnie moja mama. Przywiozła mi suchary, słoninę i cukier. Po godzinnym pobycie rozeszliśmy się w swoje strony.

Na Wołyniu mieszkaliśmy w pół-ziemiankach na terenie dawnego osiedla kolonii legionistów. A było tam 18 gospodarstw - spalonych w 1939 r. przez bandy ukraińskie. Dowódca kampanii szkolnej dał rozkaz: Wyczyścić przy studni! (cymbrowane) i znowu zaskoczenie. W każdej studni były kości ludzi. W jednej studni 2 duże czaszki i 2 małe – dzieci. Kości były już czyste. W drugiej studni 3 duże czaszki, jedna mała – dziecka. W trzeciej to samo. Boże, jaką złość miałem do tych banderów. Wydobyte kości ze studni zakopaliśmy w jednym grobie, podając tylko na tablicy, że tu spoczywa 12 ludzi pomordowanych przez bandę ukraińską. Dalej wodę do użytku pobieraliśmy z potoku - z małej rzeczki - do początku lipca 1944 r.

W czasie gdy żołnierze przebywali na Wołyniu i poprzez szkolenia i ćwiczenia wojskowe przygotowywali się do działań na froncie, wielu z nich odwiedzali członkowie rodziny z Czernielowa: matki, ojcowie, żony, bracia. Pokonywali daleką drogę, doświadczali trudów podróży, by zobaczyć się z bliskimi, przywieźć domowe jedzenie, przekazać listy dla innych żołnierzy. Tak wynika zarówno z lakonicznych wzmianek we wspomnieniach, jak i z zachowanych wojennych listów.

Wiktor Mielnik, opisując przygotowania do działań na froncie, wspominał: *Dnia 12 lipca wracamy do pułku, witamy się z kolegami po paru tygodniach nieobecności. Dowiadujemy się o naszych z innych pułków, z listów. Przyjeżdżają do nas żony, siostry, przywożą nam wieści z domu o swoim życiu. Przyjeżdżają ludzie z naszej wioski, jechali setki kilometrów, żeby zobaczyć się ze swoimi.*

Odwiedziny członków rodziny u żołnierzy były okazją do przekazania listów z Czernielowa, bo na pocztę polową nie zawsze można było liczyć. Pisał o tym w drugim liście 15 lipca 1944 r. do najbliższych Stanisław Maliszkiewicz, skarżąc się żonie, że nie docierają od niej listy i ma tylko cztery otrzymane za pośrednictwem czernielowian, których wymienił z nazwiska: Walusz, Bachalski, F. i Antoszka Wiktorowa. Dodał też: *Jeśli za długo listu nie macie ode mnie, cóż ja temu winien, że taka poczta w Radzieckim Sojuzie.*

Ciekawe spostrzeżenia na temat odwiedzin wyraził w swoich wspomnieniach *Wyboista droga*, cz. XIV pochodzący z Bajkowiec Józef Paliwoda, który pisał: *Interesujące dla mnie było także to, w jaki sposób członkowie rodzin, szczególnie żony żołnierzy, dowiadywali się o aktualnym miejscu postoju pułku i nieomylnie trafiali w odwiedziny do swoich bliskich. Tak było w punktach zbornych pod Jampolem, tak było w lasach pod Kiwercami i na Majdanku pod Lublinem. Gdziekolwiek pułk się zatrzymywał na dłuższy postój, 7-10 dni, już żony odwiedzały mężów, choćby mieszkały za Zbruczem czy na Bukowinie. Jechały dość szybko, gdyż żołnierze radzieccy z kolumn transportowych chętnie brali je na samochody i podwozili na dłuższych odcinkach szos. Usiłowałem zbadać ten problem. Wypytywałem więc żołnierzy i odwiedzające ich żony. Ustaliłem, że zawsze jakiś żołnierz lub kilku, z pułku bywało na urlopie w rodzinnych stronach (...) Wiadomość o pobycie żołnierza roznosiła się szybko w danej miejscowości w kręgach rodzin mających kogoś w wojsku. Następnie w ślad za takim urlopowiczem lub według jego wskazówek podążały kobiety do swoich bliskich.*

Swoją wyprawę do Kiwerc do brata Franciszka z ojcem Józefem Bachalskim opisywał we *Wspomnieniach* Jan Bachalski. Nawiązując do działań band UPA, zanotował: *Skutki działania banderowców zobaczyłem na Wołyniu pod koniec czerwca 1944 roku, jak z ojcem jechaliśmy do Kiwerc, gdzie mój brat Franciszek był w wojsku. Tam polskie wojsko przygotowywało się do wyjścia na front. Jechaliśmy furmanką przez wioski, ale nie były to wioski zamieszkałe. To były zgliszcza, gdzieniegdzie tylko sterczały nagie kominy. Nie było ludzi, można było tylko zobaczyć kota wystraszonego. Wsie polskie były popalone, a na wsiach ukraińskich polskie zagrody. Wyglądało to okropnie: dwa domy spalone, dwa nie i sterczący komin. Do Kiwerc jechaliśmy dwa dni. Pamiętam, że bardzo się bałem, jak nocowaliśmy u jakiegoś Ukraińca w stodole. Była to straszna noc, a właściwie dwie noce, ale*

jakoś, dzięki Bogu, udało się. Może dlatego, że w tym czasie było trochę wojska rosyjskiego w różnych miejscach. Banderowcy bali się Rosjan.

O odwiedzinach Franciszka Mielnika przez jego żonę napisała ich córka Stanisława Bodnar, z d. Mielnik, we wspomnieniach *Moje życie, mój los*: *Po pewnym czasie otrzymaliśmy od taty list w formie trójkąta, bez kopert i adres nadawcy. Był w Kiwercach razem z innymi żołnierzami z naszej wsi. Żony i matki poborowych w porozumieniu z dowództwem wojsk radzieckich stacjonujących w naszej wsi – (gen. Rokossowski i gen. Żukow) zorganizowały wyjazd do swoich bliskich stacjonujących w wojskowym obozie szkoleniowym. Mama też jeździła odwiedzić naszego tatę, wtedy my z bratem byliśmy sami w domu. Po przeszkoleniu wojskowym mój tata został wcielony do służby w piechocie i brał udział w walkach frontowych z Niemcami.*

Jeszcze inaczej organizację odwiedzin w miejscu stacjonowania bliskich zapamiętał wspominany już Władysław Błaszkiewicz, który redaktorowi Grzegorzowi Racinkowskiemu z „Gazety Gryfińskiej" w czerwcu 2019 roku opowiadał: *Tata pisał, że można go odwiedzić, przywieźć coś do jedzenia. W Czernielowie Mazowieckim zostały same kobiety. Bały się, że jak wyślą konie z wozami, to Ruscy zagrabią. Wymyśliły tak, że jedna kobieta dawała konia, a druga wóz. Dzieliły się, żeby każda straciła w najgorszym wypadku tylko jedno. Zbierały się w 5-6 i jechały do mężów, synów, braci.*

W lipcu 1944 roku kilku młodych mieszkańców Czernielowa pozostało w szkołach podoficerskich bądź trafiło na różne kursy. Pozostali żołnierze przygotowywali się do wyruszenia na front. Czekał ich długi marsz, ale przede wszystkim czekało ich zetknięcie z okrucieństwem wojny, czekało niebezpieczeństwo, walka na śmierć i życie i nieustany lęk, czy uda się życie zachować. W tych trudnych okolicznościach i niepewności jutra swój żołnierski los, swoje życie, zawierzali Panu Bogu.

Na froncie. Żołnierze z Czernielowa w czasie powstania warszawskiego.

Wszystkie fronty radzieckie posuwały się naprzód.W ramach operacji „Bagration" w czerwcu 1944 roku Armia Czerwona doprowadziła do przełamania niemieckich linii obronnych wzdłuż całej szerokości frontów białoruskich. Kontynuowana była ofensywa w głąb środkowej Polski w kierunku Warszawy i Lublina. 1. 2. i 3. Fronty Białoruskie wyzwoliły Wilno, Białystok i 24 lipca Lublin. 29 lipca jednostki 1. Frontu Białoruskiego zdobyły przyczółek na zachodnim brzegu Wisły w rejonie Dęblina, a 1 sierpnia kolejny przyczółek w pobliżu Magnuszewa. Do 29 sierpnia, oficjalnego dnia zakończenia operacji, oddziały radzieckie, przesuwając się 600 km na zachód,wyzwoliły całą Białoruś, większość Litwy i wschodnią część Polski.

W tym czasie wojska Frontu Ukraińskiego wyzwoliły Lwów, zbliżając się w rejon Sandomierza.

Wraz z wojskami 1. Frontu Białoruskiego latem 1944 roku na zachód maszerowali żołnierze czterech dywizji 1. Armii Wojska Polskiego. Niektóre jednostki na pewnych odcinkach transportowane były koleją, by dalej pieszo podjąć marsz do celu.

1. Dywizja Piechoty im. T. Kościuszki maszerując 300 km w kierunku zachodnim 23 lipca 1944 r. przekroczyła Bug, osiągnęła linię Wisły, próbowała następnie uchwycić przyczółek w rejonie Dęblina. Niektóre jej pododdziały walczyły o prawobrzeżną dzielnicę Warszawy, Pragę.

2. Dywizja im. H. Dąbrowskiego, maszerując przez Wołyń, 24 lipca dotarła do Chełma. W lipcu i sierpniu brała udział w walkach o przyczółki nad Wisłą w rejonie Puław, a w sierpniu-wrześniu działała na przyczółku warecko-magnuszewskim. Niektóre jednostki tej dywizji próbowały przyjść z pomocą powstańcom walczącym na przyczółku czerniakowskim w Warszawie.

Można powiedzieć, że 3. Dywizja Piechoty im. R. Traugutta na front wyruszyła 15 lipca, wspierając wojska radzieckie podczas forsowania Turii i Bugu, dalszy szlak bojowy prowadził w sierpniu-wrześniu 1944 r. na przyczółek warecko-magnuszewski. Niosąc we wrześniu 1944 r. pomoc warszawskim powstańcom, żołnierze walczyli od 13 września na warszawskiej Pradze, a w dniach od 16 do 22 września byli uczestnikami desantu na Czerniaków. W czasie operacji na przyczółku czerniakowskim dywizja poniosła największe straty: z 873 żołnierzy, którzy przeprawili się na lewy brzeg Wisły, zginęło 485.

4. Dywizja Piechoty im. J. Kilińskiego po sformowaniu w Sumach i przetransportowaniu w czerwcu 1944 roku w rejon Ołyki na Wołyniu, a następnie do Lublina, swój chrzest bojowy przeszła 10 września 1944 r. podczas walk o Pragę. I tu wraz z pozostałymi jednostkami polskiego wojska uczestniczyła w oczyszczaniu przedpola miasta, a następnie przeszła na pozycje obronne wzdłuż Wisły i pozostała po upadku powstania warszawskiego aż do 14 stycznia 1945 r.

1. Dywizja Artylerii Przeciwlotniczej, w tym jej pułki: 15., 16., 17. i 18. sformowane w okolicach Sum, w lipcu i sierpniu 1944 r. osłaniały przeprawy wojsk nad Wisłą pod Wielkolasem, Holendrami, Skurczą, Kępą Skaryszewską, odpierały zmasowane naloty lotnictwa niemieckiego na te przeprawy. Niektóre jednostki ochraniały przyczółki mostowe w czasie walk na przyczółku warecko -magnuszewskim.

Wśród żołnierzy tych dywizji byli czernielowianie. Maszerowali na zachód witani jako polskie wojsko, forsowali rzeki, walczyli, zdobywali kolejne przyczółki, bronili się, budowali okopy i schrony, nieśli pomoc walczącym od 1 sierpnia 1944 r. warszawskim powstańcom.

Dzięki zapisanym po latach przez kilku z nich wspomnieniom możemy przybliżyć obrazy i przeżycia z tamtych trudnych wojennych dni.

Forsowanie Wisły i walki nad Pilicą w swoich *Wspomnieniach* opisał Józef Mielnik, żołnierz 7. pp 3. DP im. R. Traugutta: *Około 20 lipca 1944 r. jednostki nasze przesunięte zostały bliżej frontu. Słychać było kanonadę, a nawet karabiny maszynowe. Ruszyła ofensywa Czerwonej Armii i Wojska Polskiego. Nasze jednostki forsowały Bug i szły w kierunku na Chełm. Gdy została przełamana niemiecka obrona na Bugu, Niemcy w pośpiechu wycofali się i po drodze niszczyli tory kolejowe, wysadzali mosty, minowali teren. Wysiłek wielki z naszej strony i tak marsze forsowne do Lublina. W Lublinie radość była wielka: witano nas kwiatami. A my choć bardzo byliśmy zmęczeni i głodni, bo kuchnie zostały daleko w tyle, głowy unieśliśmy do góry i śpiewaliśmy: „Jak szarża ułańska, do Wisły, do Gdańska, pójdziemy, dojdziemy". Gdy nasze wojska dobiły do Wisły w okolicach Dęblina-Warki, tam forsowaliśmy Wisłę. Forsowanie odbywało się pod silnym obstrzałem artylerii i lotnictwa, które bez przerwy bombardowało i ostrzeliwalo przeprawę. Ponieśliśmy tam dotkliwe straty, ale w końcu zdobyliśmy przyczółek na lewym brzegu Wisły. To były ciężkie walki, Niemcy za wszelką cenę chcieli zlikwidować ten przyczółek, nie zdążyli. Gdy się unormowało na tym przyczółku, Niemcy zajęli stanowiska obronne za Pilicą, gdzie po lewej stronie rzeki usadowili się na wzgórzach, a nasze jednostki przed Pilicą. Cały odcinek naszej obrony był pod obserwacją i silnym obstrzałem wroga. I tu linia frontowa załamała się.*

Pewnego dnia dostałem rozkaz stawienia się ze swoją drużyną w sztabie pułku. Gdy przyszliśmy, była tam już drużyna fizylierów i dwaj sanitariusze. Przyszedł pułkownik Rusjan, rosyjski oficer sztabowy i powiedział, że tej nocy jesteśmy grupą wypadową na niemiecką stronę i naszym zadaniem jest przejść wpław Pilicę, wpaść w oznaczone miejsce, wykonać zadanie bojowe i uchwycić języka. Mijały ciężkie dla nas godziny. Każdy zdawał sobie sprawę, co może się zdarzyć w czasie takiego wypadu, który jest gorszy od natarcia. Na taki wypad idzie się, wykonuje zadanie, a wraca się, jak szczęśliwy los dopisze. Gdy przesunęliśmy się w oznaczone miejsce, dawano nam spirytus do ogrzania się, ale ten, co idzie na śmierć, nie chce takich przywilejów. Owszem, wypiliśmy, ale troszeczkę.

Na oznaczony sygnał z naszej strony zaczęliśmy przechodzić wpław Pilicę, na drugi sygnał zaczęliśmy czołgać się do linii niemieckiej. Niemcy nie spodziewali się nas. Niepostrzeżenie wpadliśmy na grupę Niemców siedzących w okopach, wywiązała się krótka zażarta walka, pojmaliśmy trzech szwabów, w tym jednego kapitana i w pośpiechu wycofaliśmy się przy stratach: jeden zabity i trzech rannych.

Pod koniec sierpnia nasza Armia została skierowana z powrotem przez Wisłę w kierunku Warszawy-Pragi.

W tym samym kierunku ze swoją jednostką, 9. pułkiem 3. DP maszerował 40-letni Wiktor Mielnik, który na początku lat 80. we *Wspomnieniach* zanotował: *Dnia 15 lipca wieczorem nasza dywizja wychodzi na front. Obładowali nas amunicją i uzbrojeniem, tak że człowiek ledwie ruszał się w lipcowym skwarze. Zaczął się ciężki marsz, a na odpoczynek trzeba było czekać parę godzin. Nawet nocą trzeba było maszerować o głodzie, a ludzie czasem padali ze zmęczenia. Jednak wszystkie jednostki kroczyły naprzód. Szliśmy przeważnie bocznymi drogami, lasami i z dala od wiosek. Noclegi i odpoczynek były wyznaczane w lesie. Po drodze wszędzie spotykaliśmy ślady wojny, bo dopiero co przeszedł tędy front. Wioski rozbite, pola i zasiewy zniszczone, i często spotykane świeże mogiły. Tak doszliśmy do Bugu i przeszliśmy na drugi brzeg po świeżo zbudowanym moście przy dźwiękach wojskowej orkiestry. Weszliśmy do wioski witani kwiatami, śpiewami i wiwatami przez mieszkańców. Radość wielka, bo po czterech latach wojny zobaczyli polskich żołnierzy. Wszyscy wychodzą na nasze spotkanie i starszym ludziom łzy leją się z oczu, bo po tylu latach strachu i niewoli zobaczyli polskie wojsko. Z ukrycia wychodzą mężczyźni, partyzanci, podają nam ręce. My idziemy dalej. Co chwilę podają nam komunikaty o zajęciu kolejnych miast i mimo zmęczenia człowiek pokrzepiony na duchu nie odczuwa tego zmęczenia.*

Wszędzie widać ślady wojny. Dochodzimy do Lublina. Tu opowiadają o aresztowanych, o morderstwach na Majdanku i o różnych występkach okupantów, którzy, uciekając na łeb, na szyję, zostawiają pułapki minowe i trupy po drogach. Po paru dniach marszu dochodzimy do Wisły. Tu się zatrzymujemy na parę dni na postój. W lesie przygotowują nas do forsowania Wisły, ćwicząc wiosłowanie, robienie z pałatek i słomy tratw przeprawowych. Każdego dnia jest spodziewany rozkaz forsowania i po paru dniach postoju ten rozkaz przyszedł. Idziemy dalej na przeprawę. Jednej nocy spotyka nas nalot, którego dotychczas nie doświadczyliśmy. Zaczynają się po nas sypać bomby, więc stanęliśmy w lesie, a samoloty nie dają nam spokoju, brzęcząc jak muchy, oświetlając i bombardując nas. Rankiem bombardowanie ustało, więc wyszliśmy z lasu na piaszczysty nadwiślański brzeg. Dostaliśmy obiad i padł rozkaz do przeprawy łódkami przez Wisłę. Każdy się spieszy, pokąd nie ma samolotów. Gdy tylko wypłynęliśmy na wodę, pojawiły się samoloty, ale bomby poszły na brzeg, a nie na nas, tak szczęśliwie przeprawiliśmy się na drugi brzeg. Po godzinnym wypoczynku ruszamy dalej w pole. Tu widzimy jeszcze pożar po nocnym bombardowaniu. Ludność wystraszona ucieka, zostawiając cały dobytek, a my idziemy parę kilometrów i zatrzymujemy się na polu i tu się okopujemy między snopkami żyta, które były ustawione w kopach na polu. Zostaliśmy zauważeni przez Niemców i znowu nas zaczęły bez przerwy atakować samoloty. Wydawało się, że nikt żywy nie wyjdzie z tego bombardowania, ale dzięki Bogu szkody były małe i w dzień bombardowanie ustało. Poczekaliśmy do wieczora i poszliśmy na pierwszą linię.

10 sierpnia zajęliśmy pierwszą linię obrony nad rzeką Pilicą. Między Wisłą a Pilicą znajdowały się nasze okopy, oddalone od linii niemieckich. Tu zaczęliśmy pogłębiać rowy, budować schrony. We dnie wszyscy się kryli, a nocą trwała szczekanina z karabinów i często sypali po nas pociskami artyleryjskimi. Dzięki temu, że byliśmy odcięci rzeką, siedzieliśmy na miejscu w swoich okopach bez zmian. Tak biegło nasze życie na froncie dzień po dniu. Oczekiwało się czegoś gorszego w stosunku do tego, co było teraz. Wówczas wybuchła wielka radość, bo padł rozkaz wymarszu na drugą linię obrony. Nastąpiło to dnia 4 września wieczorem i tak po paru tygodniach pobytu na froncie dużo kolegów nie wróciło z nami. Zostali na wieczność na brzegach Pilicy i Wisły. Kryją ich tu świeże mogiły z daleka od stron rodzinnych.

O kilku dniach w wojsku na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. pisał we *Wspomnieniach* Józef Maśluk, jak wcześniej opisano, po powołaniu do wojska skierowany do szkoły podoficerskiej piechoty, przy 11. pp 4. DP 1. Armii Wojska Polskiego w okolicach Sum. Jego jednostka od czerwca 1944 r. wraz z 4. dywizją maszerowała z lasów sumskich na zachód. Oto kilka fragmentów jego zapisków:

Z rana, 3 lipca 1944 r. - alarm - i wymarsz do Lublina. Tu przy ulicy Zamkowej nasza szkoła pełniła ochronę przy sztabie Wojska Polskiego i Rządu. W dniu 25 lipca 1944 r. - egzaminy i koniec szkoły. Otrzymałem stopień kaprala i skierowanie do I plutonu III kompanii III batalionu 11. pp IV dywizji I Armii, na dowódcę I drużyny i jako zastępca dowódcy plutonu, chorążego Pigana.

W dniu 27 lipca 1944 r. alarm całego batalionu i pościg za żołnierzami 21 pp, którzy w nocy zdezerterowali. Byli zabici i ranni. W dniu 28 lipca 1944r. cała IV dywizja wymaszerowała na front pod Warszawę. Wiedzieliśmy, że ma nastąpić powstanie w Warszawie.

2 sierpnia 1944 r. dotarliśmy na pierwszą linię frontu pod Warszawą w miejscowości Falenica. Tu nasz 11. pp zamieniono na 9. pp. Przedtem odbyła się msza polowa, którą odprawiał kapelan – ks. Antoni Kij, mój wikary z Czernielowa Mazowieckiego, który poszedł na wojnę wraz z ludźmi 7 marca 1944 r. do AP. Tu też odbyła się pierwsza spowiedź powszechna. Był płacz i szlochanie, było wtedy bardzo nastrojowo i smutno.

W nocy zajmowaliśmy okopy po 9. pp. Mnie wypadło zająć stanowisko – czaty. Bałem się, ale musiałem wykazać się odwagą. Na pierwszy zwiad za Wisłą poszedł dowódca plutonu chorąży Pigan plus dwóch żołnierzy. Pigan zginął, ja zostałem dowódcą plutonu. Byłem dwa razy na zwiadzie. 5 września 1944 r. miałem służbę podoficera służbowego na linii frontu. Idziemy we dwóch z kapralem T. Demczukiem z Tarnopola–Białej. Naraz zauważyłem, jak za krzewami skrada się jakiś cywil. Mówię do Demczuka: „Ochraniaj mnie, ja pójdę za nim". On wszedł do pierwszego domu, ja za nim wchodzę. W domu w kuchni siedzi kobieta, lat z 30. Pytam się, gdzie

jest ten mężczyzna, który wszedł. Kobieta mi nie odpowiada. Patrzę na podłogę koło kuchni zagięty jest chodniczek. Postawiłem kobietę do ściany i krzyknąłem: „Wychodź, bo strzelam!”. Podniosłem chodniczek i kawałek podłogi. Krzyknąłem: „Wychodzić, bo rzucam granat!”. Pokazała się głowa mężczyzny, około 30 lat, i woła: „Pan, nie strzelaj!”. Nerwowo nie wytrzymałem, dałem krótką serię z pepeszy. Dostał w bok, padł. Przybył kolega Demczuk, zabrał szwaba i kobietę. Ja rzuciłem granat do piwnicy i wyskoczyłem na dwór. Niedaleko od sztabu batalionu zaprowadziliśmy zatrzymanych. Ja powiedziałem, że to jest szpieg armii niemieckiej. Jak się później dowiedziałem, on właśnie kierował ogniem artylerii niemieckiej na nasze pozycje bardzo dokładnie. Po dniu zatrzymania go ogień artylerii już nie był tak skuteczny.

7 września 1944 r. zostałem wezwany do sztabu dywizji i mój oficer polityczno-wychowawczy – chorąży Czyżewski, który otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi, a ja Brązowy Krzyż Walecznych. Generał Kieniewicz, zawieszając mi Krzyż Walecznych, powiedział, że może bym poszedł do Szkoły Oficerskiej Broni Pancernej. Ja odpowiedziałem:„Tak jest, panie generale!”. W dniu 10 września 1944 r. dojechałem do Chełma Lubelskiego do szkoły. Była to I Szkoła Oficerska Broni Pancernej.

I jeszcze kilka zdań o tym sierpniowo-wrześniowym okresie 1944 roku ze wspomnień ks. Antoniego Kija, wikarego z Czernielowa, zatytułowanych *Od Ołyki do Berlina: 28 lipca, a był to piątek, odbył się przy pięknej pogodzie pod Zamkiem Lubelskim pogrzeb Polaków, zamordowanych w ostatnich godzinach pobytu Niemców w Lublinie. W pogrzebie, który stał się manifestacją narodową, brał udział oprócz wojsk, duchowieństwa, sióstr zakonnych, po prostu cały Lublin (...) Od Puław zostaliśmy przesunięci nad Pilicę. W czasie przeprawy przez Wisłę byliśmy przez 3 dni mocno i bez przerwy bombardowani. Niemcy usiłowali przeszkodzić w budowie przejścia przez Wisłę. Kwaterowałem wówczas w miejscowości Wilga koło Garwolina u bardzo zacnego ks. Stanisława Szczepańskiego, późniejszego dziekana w Legnicy i kapelana Ludowego Wojska Polskiego. Razem z nim wyruszyliśmy w stronę Wisły i Pilicy, spowiadając i rozdając klęczącym wśród dział żołnierzom Komunię św. Przemawialiśmy, odprawialiśmy Mszę św., przygotowując żołnierzy na najgorsze. Pomagał mi naprawdę bardzo ofiarnie ks. Stanisław Szczepański. We wrześniu wyruszyliśmy w ciągłych bojach znad Pilicy w kierunku Warszawy. W czasie jednodniowego postoju w miejscowości Kołbiel 20 księży przywiezionych z pobliskich parafii spowiadało żołnierzy do późna w nocy, aby rano na drugi dzień odprawić dla nich Mszę św. i przygotować żołnierzy do boju o zdobycie Warszawy. Księża i ludność cywilna była zbudowana moralną postawą naszych żołnierzy. Po krótkiej kwaterze we wsi Bocian byliśmy już 12 września pod samą Warszawą.*

O wyruszeniu na front pisał 15 lipca 1944 r. w kolejnym liście do żony i syna Stanisław Maliszkiewicz, informując, że właśnie dwa dni temu wrócili ze służby, jaką pełnili przy składzie amunicji, i teraz za dwa, trzy dni czeka ich długi marsz, około 200 km. Prosił żonę, żeby ze względu na daleką drogę i ciężką podróż nie wybierała się do niego. Przekazał też za pośrednictwem żony Franciszka Żarkowskiego czapkę rogatywkę dla swego syna Walcia ze słowami: *Niech ma, niech wyrośnie na żołnierza prawdziwie polskiego*. Jak zawsze powierzał swój los woli Boga, wyrażając nadzieję: *Jak Pan Bóg pozwoli i da zdrowia, to powrócę i będziemy się razem cieszyć.*

Niestety, Stanisławowi Maliszkiewiczowi nie dane było wrócić szczęśliwie do domu. Zginął 23.09.1944 r. Miał 43 lata. Data śmierci wskazuje, że brał udział w niesieniu pomocy powstańcom Warszawy. Byli inni żołnierze z Czernielowa, którzy tak, jak plutonowy Stanisław Maliszkiewicz zginęli w czasie powstania warszawskiego, niektórzy zostali ranni lub dostali się do niemieckiej niewoli. Będzie o nich mowa w dalszej części.

Powstanie wybuchło 1 sierpnia 1944 r. W Warszawie mieszkało wówczas około 900 tysięcy osób, w tym ponad 700 tysięcy w lewobrzeżnej części miasta.

Przy istniejących do tej pory sporach o sens powstania i różnych ocenach zasadności zrywu powstańczego trzeba przypomnieć, że było to wystąpienie zbrojne przeciwko niemieckiemu okupantowi Warszawy zorganizowane w ramach akcji „Burza” przez Armię Krajową, z ujawnieniem się struktur Polskiego Państwa Podziemnego. Zakrojona na szeroką skalę militarna akcja przeciwko Niemcom, politycznie wymierzona była przeciw Związkowi Radzieckiemu, którego plany oparte na podporządkowanym mu polskim komunistom, a dotyczące najbliższej przyszłości Polski, były nie do zaakceptowania przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie i większość polskiego społeczeństwa.

Mając sygnały o rychłym wkroczeniu wojsk radzieckich na Pragę, które okazały się fałszywe, dowództwo AK planowało samodzielnie wyzwolić stolicę jeszcze przed wkroczeniem Armii Czerwonej, zorganizować struktury władzy i przywitać ją w roli gospodarza, licząc, że uda się w ten sposób wzmocnić międzynarodową pozycję rządu londyńskiego w pertraktacjach z władzami ZSRR i próbie ratowania powojennej suwerenności.

W ocenie części kierownictwa AK i rządu londyńskiego opanowanie stolicy byłoby sukcesem politycznym i militarnym po kilku latach okupacji miasta i przygotowywania do walki z Niemcami tysięcy żołnierzy AK i społeczeństwa polskiego. Zaniechanie odwetu na Niemcach w decydującej i nadarzającej się okazji wobec nadejścia do Warszawy wojsk radzieckich, rodziło obawy, że może dojść do samorzutnego wystąpienia zbrojnego, w które zaangażuje się ludność stolicy, bez udziału kierownictwa AK

To były w ostatnich dniach lipca 1944 roku najważniejsze powody podjęcia decyzji o rozpoczęciu otwartej walki zbrojnej zdaniem jej zwolenników.Trzeba podkreślić, że przeciwnikiem powstania był między innymi Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski, który uważał zbrojne powstanie, wobec dominacji ZSRR, za nieuzasadnione politycznie. Pisząc do dowódców AK o dążeniu „do oszczędzenia substancji biologicznej narodu w obliczu podwójnej groźby eksterminacji", nie wydał jednak w sprawie powstania jednoznacznego rozkazu.

Rozkaz o wybuchu powstania podpisał 31 lipca 1944 r. dowódca AK gen. Tadeusz Komorowski „Bór", przy aprobacie delegata Rządu RP na Kraj, Stanisława Jankowskiego.

Siły powstańcze liczyły około 50 tysięcy zaprzysiężonych żołnierzy. W godzinie „W" faktycznie zmobilizowano około 36 tysięcy powstańców. Byli to przede wszystkim młodzi i bardzo młodzi ludzie, związani w czasie okupacji z akowskim podziemiem, głównie inteligenci, absolwenci podziemnych gimnazjów i liceów, studenci, harcerze.

Pod względem liczebności siły powstańców były wyższe od stacjonujących wówczas w Warszawie jednostek niemieckich, ale pod względem uzbrojenia nieporównywalnie niższe. Skromne, konspiracyjne zapasy broni pozwalały na uzbrojenie co dziesiątego, a według innych co czwartego żołnierza AK. Pozostali mogli liczyć jedynie na broń, którą zdobędą w walce lub przejmą po poległych kolegach. Minimalne zapasy amunicji były przewidziane na kilkudniowe walki i tak długo w planach dowództwa AK miała trwać akcja zbrojna przed wkroczeniem Armii Czerwonej do Warszawy.

Kilka zdań o przebiegu powstania na podstawie internetowych artykułów *Krótka historia Powstania Warszawskiego 1944, Co działo się na wschód od Wisły w czasie Powstania Warszawskiego* oraz *Wikipedii:*

1 sierpnia o godz. 17 oddziały powstańcze zaatakowały wyznaczone wcześniej obiekty we wszystkich dzielnicach miasta. W pierwszych dniach powstańcom udało się opanować większą część Śródmieścia ze Starym Miastem, nie powiodło się natomiast zdobycie ważnych obiektów wojskowych, mostów na Wiśle ani utrzymanie arterii komunikacyjnych.

Po wybuchu powstania Armia Czerwona wstrzymała ofensywę na kierunku warszawskim. W tym czasie atak wojsk radzieckich był skierowany na Wyszków, Radom, Łomżę, Pułtusk. Niektóre z tych miast Armia Czerwona zdobyła po tygodniach morderczych walk. W sierpniu trwały walki na przyczółku warecko -magnuszewskim, miała miejsce bitwa pod Studziankami.

W następnych dniach sierpnia mimo heroicznej, pełnej poświęcenia, bezprzykładnej walki o każdy obiekt, o każdy dom i każdą barykadę zgrupowania powstańcze nie mogły utrzymać zdobytych na początku powstania pozycji.

Doskonale wyposażone niemieckie oddziały szturmowe, dysponujące silnym wsparciem artyleryjskim i lotniczym atakowały powstańcze punkty oporu. Technicznej i ogniowej przewadze Niemców powstańcy mogli przeciwstawić młodzieńczy zapał, determinację, obronę zdobytych pozycji za cenę życia.

Już po trzech dniach walk na skutek miażdżącej przewagi Niemców powstańcy zmuszeni byli wycofać się do podziemia w prawobrzeżnej, wschodniej dzielnicy Pradze. Część z nich podjęła próbę sforsowania Wisły i połączenia się z oddziałami w lewobrzeżnej części miasta.

Tragicznie po kilku dniach zakończyły się trwające od początku sierpnia ciężkie walki w zachodniej dzielnicy Wola i sąsiadującej z Wolą Ochocie. Oddziały niemieckie wzmocnione czołgami spychały powstańców w kierunku Śródmieścia i Starego Miasta. Jednocześnie od początku hitlerowcy rozpoczęli bezprecedensową rzeź ludności cywilnej. W dniach od 5 do 7 sierpnia 1944 r. w zorganizowanych masowych egzekucjach i bestialskich mordach zginęło około 50 tysięcy mieszkańców warszawskiej Woli: mężczyzn, kobiet i dzieci. Akcją dowodził gen. Erich von dem Bach-Zelewski. Zbrodni na mieszkańcach Woli i Ochoty dokonywała nowo utworzona grupa uderzeniowa pod dowództwem SS Gruppenfuehrera Heinza Reinefartha z pułkami bojowymi SS Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej (RONA), pułkami azerbejdżańskimi i Kozaków.

Po 11 dniach zaciętych walk Wola i Ochota poddały się.

Po trudnych walkach i heroicznej postawie żołnierzy powstania Niemcy 7 września opanowali Powiśle, dzielnicę pomiędzy Starym Miastem i Czerniakowem. Tu również mordowano rannych leżących w szpitalach i ludność cywilną. Padła warszawska elektrownia, zdobyta w pierwszych dniach sierpnia na Powiślu przez powstańców. Miasto zostało pozbawione energii elektrycznej.

Ciężar zmagań powstańczych przesuwał się na wschód. Po likwidacji 11 sierpnia oporu na Woli i Ochocie i zdobyciu arterii komunikacyjnej do przeprawy mostowej na Wiśle, Niemcy odcięli od Śródmieścia Stare Miasto. Rozpoczęły się bardzo ciężkie walki o utrzymanie tej dzielnicy. Tysiące żołnierzy walczących wcześniej na Woli połączyły się z oddziałami Starego Miasta. Zamknięci na niewielkiej przestrzeni, atakowani przez nacierających Niemców, ostrzeliwani z dział, bombardowani z powietrza trwali na pozycjach obronnych dzień po dniu przez kilkanaście dni. Nie udały się próby przyjścia z odsieczą Staremu Miastu od północy z Żoliborza oraz połączenia się ze Śródmieściem od południa.

Wobec nieuchronności zagłady 2 września znacznie uszczuplone oddziały Starego Miasta przeszły kanałami do Śródmieścia i na Żoliborz. Do Śródmieścia przedostało się około 1500 uzbrojonych i około 3000 nieuzbrojonych powstańców i służb. Na Żoliborz ewakuowało się około 800 osób. W całkowicie zniszczonej dzielnicy pozostała pewna ilość rannych z towarzyszącym im personelem

medycznym. Wielu z nich zostało po wkroczeniu Niemców na Stare Miasto zamordowanych i spalonych w powstańczych szpitalach. Zwyrodnialcy z grupy uderzeniowej nie przestrzegali jakichkolwiek norm cywilizowanej walki.

Po upadku Starego Miasta niemieckie natarcie ruszyło na Czerniaków. Broniły się tu oddziały zgrupowane w dzielnicy na początku powstania, wzmocnione resztkami oddziałów, które wyszły kanałami ze Starego Miasta.

Powstańcy byli na skraju wytrzymałości fizycznej; brakowało broni, amunicji, żywności, wody i lekarstw dla rannych. W jeszcze bardziej tragicznej sytuacji znajdowała się ludność cywilna. Ludzie ukrywali się w skrajnie trudnych warunkach w piwnicach, w resztkach domów, cierpieli głód i pragnienie, każdego dnia ginęli od niemieckich nalotów i ostrzału artyleryjskiego.

Podejmowane przez aliantów próby wsparcia powstania poprzez zrzuty broni i amunicji były mało skuteczne. Rosjanie nie zgodzili się na lądowanie amerykańskich i angielskich bombowców na swoich lotniskach za Wisłą i Bugiem w celu uzupełnienia paliwa. Konieczność powrotu po zrzucie do odległych baz we Włoszech zwiększała dodatkowo straty wśród maszyn i załóg biorących udział w akcji. Ponadto większość zasobników zrzucanych na spadochronach z dużej wysokości trafiała na tereny zajęte przez Niemców. Wobec powyższego lotnictwo alianckie zaprzestało lotów.

Tragiczne położenie powstańców i ludności cywilnej doprowadziło do rozpoczęcia w dniu 9 września 1944 r. rozmów kapitulacyjnych dowództwa AK z Niemcami. Zaczęte pertraktacje zostały jednak przerwane 10 września ponieważ Stalin wyraził zgodę na lądowanie samolotów alianckich za Wisłą - zrzuty alianckie zostały wznowione. W powstańców wstąpiła nadzieja.

Ostatecznie jednak Stalin nie uległ wielokrotnym wezwaniom o udzielenie pomocy powstaniu, kierowanym do niego przez aliantów i rząd londyński. Gdy w międzyczasie front rosyjski zbliżył się do linii Wisły i 13 września 1944 r. została zajęta przez Rosjan prawobrzeżna część Warszawy - Praga, radzieckie dowództwo zgodziło się jedynie na przeprowadzenie ograniczonej akcji desantowej przez Wisłę, w której udział wzięli polscy żołnierze. Ze względu na szczupłość zaangażowanych sił, przy braku wsparcia Armii Czerwonej, akcja z góry była skazana na niepowodzenie.

Desant na Czerniaków, Żoliborz i Powiśle odbywał się w kilku rzutach między 16 a 19 września. W przeprawie łodziami i pontonami na lewy brzeg Wisły wzięło udział około 4 tysięcy żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego. Polacy nie dysponowali odpowiednią ilością środków do desantu, nie mieli dostatecznie dobrego wsparcia artyleryjskiego i lotniczego. Przeprawy odbywały się pod silnym ogniem niemieckiej broni maszynowej, moździerzy i artylerii. Żołnierze Berlinga ponieśli ciężkie straty zarówno w czasie forsowania, jak i po wylądowaniu. W rezultacie tylko na Powiślu

Czerniakowskim kilkuset żołnierzom 9. pp 3. dywizji udało się połączyć z siłami AK i wspierać oddziały powstańcze w desperackiej obronie przyczółka. Niewprawieni do walk ulicznych żołnierze z desantu ginęli masowo. Po kilku dniach stało się jasne, że los Czerniakowa jest przesądzony. Resztki powstańców przeszły kanałami na południowy zachód na Mokotów, część próbowała przepłynąć Wisłę, aby dostać się na tereny wyzwolone przez Rosjan. 23 września padł ostatni punkt oporu na Czerniakowie. I tym razem powtórzył się scenariusz z poprzednich dzielnic: mordowanie rannych, gwałty, rozstrzeliwanie sanitariuszek. Na Żoliborzu i Powiślu żołnierze z desantu zdołali utworzyć jedynie niewielkie przyczółki, które już 20 września zostały zlikwidowane przez Niemców.

W czasie nieudanej próby sforsowania Wisły poległo 2297 żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego, a 1467 zostało rannych.

Następną dzielnicą, do której przeniósł się ciężar walk, był położony w południowej części Warszawy Mokotów.Trudne zmagania miały tu miejsce do 27 września. Żołnierze powstania starali się utrzymać zajęte na początku sierpnia pozycje, broniąc się za wszelką cenę. Przewaga atakujących była jednak miażdżąca, 27 września Mokotów skapitulował. Tak jak w innych dzielnicach część powstańców zdołała przejść kanałami do Śródmieścia i tam kontynuować walkę.

120 powstańców nie miało szczęścia. Zabłądzili w kanałach, wyszli wprost w ręce hitlerowskich żandarmów i zostali przez nich zamordowani na ul. Dworkowej na Mokotowie. Zbrodnia miała miejsce, mimo że pod naciskiem aliantów Niemcy w końcowej fazie powstania uznali walczących w Warszawie żołnierzy AK za kombatantów.

Trzecia dekada września była okresem schyłku powstania. Pod koniec miesiąca lotnictwo niemieckie dokonało dwóch ciężkich nalotów na Żoliborz, północną dzielnicę Warszawy, gdzie powstańcy od pierwszych dni sierpnia stawiali skuteczny opór atakującym Niemcom. Wśród ludności cywilnej i powstańców zaczął panować głód. Zawiodły wszystkie nadzieje na skuteczną pomoc lotnictwa zachodniego i na podjęcie wielkiej ofensywy radzieckiej. W tych warunkach dalszy opór był niemożliwy. 30 września Żoliborz skapitulował.

W rękach Polaków pozostała jedynie środkowa część miasta, odcięta od Wisły i ze wszystkich stron otoczona przez wojska niemieckie. Padające bez przerwy pociski artyleryjskie i bomby lotnicze zmieniały w ruiny kolejne domy. Nie było elektryczności, brakowało wody i żywności. A nade wszystko brakowało obrońcom amunicji. W końcu września Rosjanie zaczęli dokonywać zrzutów broni dla powstańców, jednak zrzucano ją z niskiej wysokości, z tak zwanych kukuruźników (dwupłatowce PO-2) bez spadochronów, i większość broni ulegała zniszczeniu.

2 października 1944 r. delegacja dowództwa powstania po całodniowych rokowaniach w kwaterze gen. von dem Bacha w Ożarowie podpisała akt kapitulacji.

Przewidywał on między innymi, że powstańcy będą traktowani jak wojsko alianckie i osadzeni w obozach jenieckich. Do niewoli trafił między innymi gen. Komorowski-Bór i część dowództwa. Ludność cywilna musiała opuścić Warszawę. Skierowano ją do obozów koncentracyjnych, na roboty do III Rzeszy i przewieziono do GG.

Po upadku powstania przez trzy miesiące opustoszałe miasto było rabowane oraz systematycznie burzone i palone dom po domu przez Niemców. W dzielnicach objętych powstaniem uległo zniszczeniu około 85% budynków, w tym setki bezcennych zabytków oraz obiektów o dużej wartości kulturalnej i duchowej.

Bilans powstania był tragiczny. Jerzy Kirchmayer w książce *Powstanie warszawskie* pisał, że nie są znane i nigdy nie będą już znane dokładne liczby strat wojska powstańczego i ludności Warszawy. Można je tylko określić w przybliżeniu. W jednym z opracowań podano, że w czasie 63 dni samotnej walki oddziałów powstańczych w Warszawie zginęło około 18 tys. powstańców, a 25 tys. zostało rannych. Poległo również około 3,5 tys. żołnierzy 1. AWP. Straty wśród ludności cywilnej były ogromne i wynosiły około 180 tys. zabitych.

Sierpniowy zryw to bezprzykładny heroizm przede wszystkim młodego pokolenia Warszawy, które poniosło najwyższą ofiarę, ofiarę młodego życia.

Opiniując książkę Normana Daviesa *Powstanie 44,* brytyjski historyk wojskowości, sir Max Hastings, powiedział o powstańcach: *Skazani na zagładę romantycy, którzy w 1944 roku walczyli ze szlachetnością i z tak tragicznym skutkiem (...) Nieszczęściem Polaków było to, że byli znienawidzeni i przez Rosjan, i przez Niemców i że przyglądała im się obojętnie większość zachodnich aliantów*.

Jak wspomniano, w dywizjach 1. AWP byli żołnierze z Czernielowa, było ich wielu, prawdopodobnie najwięcej w 3. Dywizji im. R. Traugutta.Wykonując rozkazy dowództwa, brali udział w operacjach wojskowych na rzecz warszawskich powstańców. Dwaj z nich zanotowali swoje przeżycia związane z powstaniem warszawskim w pisanych po latach wspomnieniach.

Oto fragmenty z *Wspomnień* Józefa Mielnika z 7. pp 3. dywizji: *Pod koniec sierpnia nasza armia została skierowana z powrotem przez Wisłę w kierunku Warszawy-Pragi. Gdy zbliżaliśmy się coraz to bliżej Warszawy, widać było łuny pożarów w naszej stolicy, gdzie bronili się powstańcy. Widzieliśmy nalot angielskich samolotów na Warszawę. Zrzucali pomoc na spadochronach dla walczącej Warszawy. Cieszyliśmy się tym, bo tam nasi bracia nie żałowali niczego i oddawali to, co jest najdroższe- swoje życie za Polskę. Po zajęciu Pragi przez nasze wojska zaczęło się przygotowywanie do inwazji na Warszawę. Przypominam sobie dokładnie, że moja kompania była na Saskiej Kępie na Pradze. Przed nami Wisła, a za Wisłą Warszawa–Czerniaków.*

Z naszej strony zrobili saperzy wielką zasłonę dymną. Ale zasłona trzymała się więcej po naszej stronie. Była to przeprawa bardzo ciężka, z przodu zmasowany

ogień nieprzyjaciela, a z tyłu rozkaz naprzód. Sam obraz Wisły dość szerokiej i głębokiej rzeki sprawiał dla nas istne piekło na ziemi.

Józef Mielnik, 1944 r.

Na Wiśle widzieliśmy smutne sceny tej inwazji. Wiele łodzi i tratw poszło na dno rzeki, ale moja łódź dobiła na lewy brzeg Wisły. Jeden z kolegów został ranny. Teren był ze wszystkich stron ostrzeliwany przez Niemców, ale pod osłoną nocy wdarliśmy się w gruzy Warszawy… Tu walczyliśmy jak lwy, ale nie było wyjścia. Mieliśmy do wyboru: być zabitym, rannym lub dostać się do niewoli wroga. Ja z jednym kolegą wybraliśmy drogę powrotu na prawy brzeg Wisły. Udało się nam przepłynąć wpław Wisłę i tu na prawym brzegu dostaliśmy się do swoich, do swojej kompanii. Tylko stan ludzi w mojej kompanii można było policzyć na palcach.

Potem wycofano nas poza linię frontu na uzupełnienie, bo kwiat naszej dywizji pozostał w Warszawie. I jeszcze dzisiaj nie chce się wierzyć w to, że do takiej tragedii doszło. I jeszcze dzisiaj nasi historycy nie piszą dokładnie o przyczynach tak haniebnej porażki, dowodzonej w tym czasie przez ruskiego generała, bo generał Berling w tym czasie został usunięty z dowództwa I Armii. Wycofano nas do miejscowości Poręby w powiecie Mińsk Mazowiecki i tam dano nam uzupełnienie. Tam byliśmy trzy tygodnie. Po trzech tygodniach skierowano nas znów bliżej frontu, a mój pluton przeznaczyli do ochrony sztabu. Sztab mieścił się na Starym Brudnie.

Natomiast Wiktor Mielnik, wspominając ten czas w 1980 roku, napisał w swoim *„Pamiętniku”*: O*fensywa stanęła. Wojska nasze stały nad Wisłą i naokoło Warszawy. 12 września cała nasza dywizja została zmieniona przez wojska ruskie. Wieczorem wychodzimy tą samą drogą co przedtem, tylko że przez Wisłę, po świeżo wybudowanym moście. Znowu marsz ciemnymi lasami, piaski, błoto. Idziemy w kierunku Warszawy. Po paru dniach marszu jesteśmy blisko celu. Mijamy podwarszawskie wille, letniska i widać już zabudowę miasta. Widok na miasto jest straszny. Całe miasto to jedno ognisko dymu, i kanonada wybuchów. Zbliżamy się coraz bliżej do tego piekła, a tu ruch – dużo wojska nadciąga do Warszawy z różnych stron. Wieczorem 15 września weszliśmy do Pragi.*

Bez przerwy rozrywają się pociski nad naszymi głowami i sypią się mury. Nasza kompania stanęła pod jednym domem niedaleko Wisły i czekamy na rozkazy. Około godziny drugiej w nocy wyruszamy do Wisły i przy wale czekamy na rozkaz forsowania. Artyleria niemiecka bije bez ustanku. Nad ranem pada rozkaz wychodzić do przeprawy i wsiadać do łódek. Jak tylko pokazaliśmy się na wodzie rozpoczął się silny ostrzał z karabinów maszynowych i innej broni. Ludzie padają jak muchy. W takich warunkach przeprawa nie jest możliwa. Cofamy się więc do miasta

i czekamy cały dzień, aż się ściemni. Tu wielki ruch wojska, krążą samoloty, wybuchają pociski, wszędzie krew, ranni i zabici. Wieczorem 16 września maszerujemy znowu nad Wisłę, wsiadamy do łódek i przeprawiamy się na drugi brzeg pod ostrzałem artyleryjskim. Dzięki Bogu tym razem udało nam się przeprawić bez strat, a w dobiciu do drugiego brzegu i wysiadaniu pomogli nam akowcy. Zaraz zabrali nas do jakiegoś budynku fabrycznego i tu spędziliśmy noc. Rano stanęliśmy pod domem, a w środku są Niemcy. Nam każą iść przez podwórze, ale jak tylko ktoś się wychyli, to zaraz pada strzał. Po dłuższym wahaniu, stojąc pod ścianą, dał się czuć jakiś nieprzyjemny zapach. To Niemcy na wyższych piętrach budynku zapalili siarkę, która, paląc się i spadając na dół, zapala wszystko po drodze. Pali się wszystko, nawet ziemia, ludzie się duszą, a Niemcy w tym czasie uciekli, a jednocześnie ten rejon zaczęła ostrzeliwać artyleria. Na nas lecą kawałki cegieł, dachówka i ta paląca się siarka. Prawdziwe piekło. Trzymaliśmy posterunki, zmieniając się co parę minut. To pierwszy dzień w powstaniu, a już dużo naszych kolegów poległo, a wielu jest rannych i nieprzytomnych. Właściwie każdy z nas czeka, kiedy go kula dosięgnie. Drugiego dnia wyprowadzili nas na jakiś plac fabryczny, na którym były wykopane okopy i my się w nich ukryliśmy. Jednak Niemcy prowadzą obserwację naszego terenu i ciągle jesteśmy ostrzeliwani ogniem artyleryjskim, a my w tym czasie staramy się pogłębić okopy. Był to pamiętny dzień 18 września, w którym nastąpił duży zrzut broni i żywności przez samoloty alianckie. Wieczorem tego dnia padł rozkaz opuszczenia okopów, bo Niemcy mają atakować nas czołgami. Uciekamy pojedynczo co jakiś czas, bo snajperzy dziesiątkują nasz pluton. Bardzo dużo naszych kolegów zostało wtedy zabitych. Uciekamy na koniec zabudowań, pod ścianami budynków, prawie na Wisłę. Przed nami rozległa łąka, rzeka i niedaleko wysadzone resztki stalowego mostu. Przy nim było stanowisko karabinu maszynowego i gdy nas Niemiec zauważył, puścił po nas serię. Kule sypnęły się jak groch po bruku i nas trzech uciekło żywych, a resztki plutonu zostały wybite. Tak po dwóch dniach walki w powstaniu z naszego plutonu prawie nic nie zostało. Kompania się rozsypała, dowództwa nie ma, nikt się nami nie interesuje. Każdy na własną rękę w panice stara się ratować. Placówkę trzymamy jeszcze w oknach na piętrach. Ciągły ostrzał, leci grad pocisków, domy ciągle się palą i walą w gruzy, a ludzie kryją się po piwnicach. Nikt nie troszczy się o dobytek. Każdy tylko chce uratować życie. Z drugiego brzegu rzeki nie nadchodzi żadna pomoc. Nie ma wody ani jedzenia, człowiek chodzi jak błędny i czuje, że zginie z głodu lub od kuli. I tak jesteśmy u kresu sił, bo z każdym dniem przybywa zabitych i rannych. Jednym słowem… jesteśmy skazani na całkowitą zagładę. Po paru dniach naszej walki, po kolei padały dom po domu, a ludzie stawali się coraz bardziej wyczerpani, bo powstanie wybuchło 1 sierpnia, czyli prawie dwa miesiące temu. Nasze wojsko niewiele tu pomogło, bo nas wysłali tylko z bronią ręczną i szybko zabrakło nam amunicji. Czuliśmy, że

zostaliśmy pozostawieni na pastwę losu. Rozbici i rozproszeni, razem z cywilami po dziesięciu dniach ciężkiej walki. Reszta rozbitków rano 23 września została wzięta do niewoli, a nasz przyczółek na Czerniakowie, który był połączony z Pragą, został zlikwidowany.

Zaraz Niemcy obstąpili nas z wielkim krzykiem i zrobili rewizję pod ścianą domu. Wszyscy wystraszeni wyrzucają dokumenty, papiery jakie mają, polskie pieniądze emisyjne i depczą nogami. Niemcy zachowują się z agresją i wyglądało na to, że chcą nas wszystkich pobić, mimo że są wśród nas cywile, w tym kobiety i dzieci. Po rewizji poprowadzili nas w inne miejsce na jakieś komando i tu nam dali kawy i sucharów. Kobiety i rannych odłączyli od nas i w kolumnie pędzą nas przez opustoszałe i zrujnowane miasto. Po drodze mijamy trupy leżące co krok, przywalone gruzami a dookoła ruiny, zgliszcza resztki barykad. Cały majątek ludzki wala się na ulicy: dywany, kilimy, instrumenty i różne wartościowe rzeczy.

Po długim marszu przez miasto zaprowadzili nas na plac koło kościoła i tu nam dali chleb i kawę, a jeden Niemiec przemówił po polsku, że jesteśmy jeńcami i będziemy traktowani według prawa międzynarodowego. Zaraz wstąpił w nas nowy duch, bo dotychczas myśleliśmy, że potraktują nas tak jak akowców i zostaniemy rozstrzelani. Na noc zapędzili nas do kościoła ogrodzonego drutem kolczastym i tam na posadzce przesiedzieliśmy do rana. Rano przyszli żandarmi i czwórkami wyprowadzili nas na drogę i tak opuściliśmy Warszawę.

Przywołano dotychczas trzy nazwiska żołnierzy z Czernielowa związanych z walkami w powstańczej Warszawie: Stanisława Maliszkiewicza, który zginął 23 września, Wiktora Mielnika, który trafił do niemieckiej niewoli oraz Józefa Mielnika, który po desancie na Czerniaków po kilku dniach przepłynął wpław Wisłę i z powrotem znalazł się na Pradze.

Na podstawie rodzinnego przekazu i dostępnej w Internecie bazy strat wojennych udało się ustalić nazwiska kilkunastu innych czernielowian, którzy w czasie powstania warszawskiego byli prawdopodobnie uczestnikami desantu z prawobrzeżnej Pragi na przyczółek czerniakowski i podczas tej operacji lub w czasie walk na Czerniakowie zginęli lub zostali ranni.

Na stronie internetowej *Straty osobowe i ofiary represji pod okupacją niemiecką* www.straty.pl/index.php/szukaj-w-bazie wyszukano nazwisko Józefa Gęślowskiego, syna Karola, urodzonego w Czernielowie w 1913 roku. Podana jest data śmierci 22.09.1944 r. Jak wcześniej wspomniano w jednej z list AK-owców wymieniony jest Józef Gęślowski z uwagą: *prawdopodobnie zginął w Powstaniu Warszawskim jako szeregowy Dywizji Kościuszkowskiej*.

Ponadto w bazie strat osób figuruje Gęślowski Andrzej, syn Jana, urodzony w Czernielowie Mazowieckim w 1902 roku, który zginął 23.09.1944 r. W tym samym dniu, 23 września, śmierć ponieśli: Michał Jacykowski, syn Cyryla, żołnierz

9. pp, Franciszek Mielnik, syn Mikołaja oraz Franciszek Żarkowski, syn Karola, wszyscy urodzeni w 1900 roku.

Franciszek Żarkowski

Franciszek Mielnik

Michał Jacykowski

Warto w tym miejscu wrócić do listu Stanisława Maliszkiewicza adresowanego do żony z maja 1944 roku, kiedy wymienia starszych kolegów, z którymi był w wojsku*: Franko Żarkowski, Mały; Franko Mielnik; swach Michał Jacykowski; Andrzej Gęślowski i Wiktor Mielnik.* Tak się nieszczęśliwie złożyło, że on sam i wszyscy przez niego wymienieni żołnierze rodem z Czernielowa, z wyjątkiem Wiktora Mielnika, ponieśli śmierć 23 września 1944 roku. W tym dniu padł ostatni punkt oporu na Czerniakowie.

Baza strat zawiera też nazwiska kilku innych czernielowian: Franciszka Koszulińskiego, syna Grzegorza, z 1921 roku, zginął 18.09.1944 r., Jana Murmyły, syna Wincentego, który urodził się w 1907 roku i zginął 20.09.1944 r., Ignacego Pulki, syna Jana, z 1907 roku, zginął 23.08.1944 r. Wrześniowe daty śmierci wskazują na udział czernielowskich żołnierzy przy niesieniu pomocy powstańczej Warszawie, kiedy walki trwały na Czerniakowie i na Pradze.

W powstaniu warszawskim bezpośredni udział brał urodzony w Czernielowie w 1918 roku Józef Jacykowski, syn Michała i Marii. Jest o nim wzmianka w biogramach powstańczych. Podobnie jak Wiktor Duży był żołnierzem 9. Pułku Piechoty 3. Dywizji im. R. Traugutta. Z biogramu wynika, że walczył na Pradze, na Saskiej Kępie, a po przeprawieniu przez Wisłę - na Górnym Czerniakowie. Po klęsce powstania trafił do niewoli niemieckiej. Miał numer jeniecki 220 948.

Według przekazu rodziny do niewoli w czasie powstania dostał się też Jan Jacykowski, brat Józefa i Tomasza. Jednak nie jest on wymieniony w biogramach powstańczych.

Został zapisany jako Jan Jackowski, urodzony 29.01.1908 r. w Czerniejowie Mazowieckim i zarejestrowany na www.straty.pl na podstawie danych Polskiego Czerwonego Krzyża. Odnotowano również przydział wojskowy: artyleria i stopień wojskowy: bombardier. Z numerem jenieckim 21 356 trafił do Stalagu XI-A. Był to obóz jeniecki w Altengrabow w Saksonii-Anhalcie, który powstał na dawnym poligonie wojskowym. 24 czerwca 1940 r. został zwolniony do Ahrensdorf. Z tej

daty wynika, że do niewoli trafił po kampanii wrześniowej. Ponieważ nie podano imion rodziców, trudno o pełną identyfikację czernielowianina.

W biogramach odnotowano również urodzonego w 1908 roku Michała Gęślowskiego, podając miejsce urodzenia: Czernichów Mazowiecki. Poza funkcją strzelca i informacją, że był żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego brak o nim bliższych danych. On również trafił do niewoli niemieckiej, miał nr jeniecki 45 244.

Z opowiadań o wojennych przeżyciach czernielowian pamięć Franciszka Błaszkiewicza zanotowała zdarzenie z powstania, kiedy to w czasie ataku, prawdopodobnie na Czerniakowie, zginęli w tym samym czasie Władysław Kłaptij i Stanisław Maliszkiewicz. Według przekazu, ten ostatni mówił o sobie, że jest patriotą, nie chciał poddać się i iść do niemieckiej niewoli. O innym zdarzeniu opowiadał po wojnie Franciszkowi Błaszkiewiczowi sam jego uczestnik, urodzony w 1924 roku Jan Woźniak, syn Antoniego. W czasie walk powstańczych na Czerniakowie został ranny w obie nogi. Jego kolega Antoni Darmograj zaniósł go do piwnicy, gdzie byli już inni ranni. Gdy po pewnym czasie Niemcy przeszukiwali piwnice, zabijali dających jeszcze oznaki życia, on nie ruszał się, udawał, że nie żyje. Niestety, nie wiadomo, kiedy i w jakich okolicznościach Jan Woźniak trafił do niemieckiego szpitala w Krakowie. Przebywał tam na leczeniu aż do momentu przyjścia Armii Czerwonej w styczniu 1945 roku. Wtedy wrócił do Czernielowa. O tym z kolei opowiedział jego młodszy brat, Józef Woźniak.

Okazuje się, że pomoc udzielona Janowi Woźniakowi nie była jedyną, jaką wyświadczył kolegom Antoni Darmograj.Tak wynika z informacji przekazanej przez jego prawnuka Adriana Świątka w oparciu o rozmowy z jego dziadkiem Tadeuszem Darmograjem, synem Antoniego. Oto skrót ich relacji: *Urodzony w Czernielowie w 1909 roku Antoni Darmograj roczną służbę wojskową odbył na przełomie 1930 i 1931 roku w 54. Pułku Piechoty w Tarnopolu w stopniu szeregowego-strzelca. Jak wcześniej wspomniano, był członkiem czernielowskiej komórki Armii Krajowej pod pseudonimem „Gołąb”. W czasie wiosennego poboru 31 marca 1944 r. dostał powołanie do polskiego wojska. Po okresie szkolenia i przysiędze trafił do 3. Pułku Artylerii Lekkiej 3. Dywizji im. R. Traugutta, gdzie był celowniczym w obsłudze moździerza. We wrześniu 1944 roku brał udział w desancie z Pragi na przyczółek czerniakowski, gdzie wraz z innymi żołnierzami przyłączył się do powstańców. W rodzinie opowiadana była historia z okresu przed przeprawą polskich żołnierzy na lewy brzeg Wisły. Mianowicie Antoni Darmograj zapytał pewnego Rosjanina, prawdopodobnie rosyjskiego oficera, czemu nie zamierzają pomóc powstańcom. Na co uzyskał odpowiedź, że jeśli chcą, to sami mogą płynąć.*

Natomiast z okresu udziału w walkach powstańczych w przekazie rodzinnym przechowały się dwie historie o ratowaniu przez Antoniego Darmograja życia innym żołnierzom: Pierwsza z nich to ta, gdy wspólnie z Tomaszem Jacykowskim mieli

ewakuować rannego kolegę. Musieli się przeprawić przezWisłę, a Antoni Darmograj nie umiał pływać. Jacykowski popłynął z rannym, prawdopodobnie na drzwiach. Druga historia jest związana z pomocą, której udzielił rannemu oficerowi, swemu dowódcy o nazwisku Krupa, przenosząc go, tak jak Jana Woźniaka, w bezpieczne miejsce do jakiegoś budynku.

Ze wspomnień Antoniego Darmograja zapamiętano, jak opowiadał o młodym chłopaku, powstańcu, który w czasie ataku niemieckich czołgów przywiązał do siebie granaty i ruszył w kierunku czołgów. Na pytanie: co robi, przecież w ten sposób zginie, chłopiec odpowiedział, że zginie, ale równocześnie zniszczy czołg. I prawdopodobnie udało się młodemu powstańcowi zniszczyć czołg. Antoni Darmograj bronił z powstańcami budynku, w którym byli spychani przez Niemców piętro po piętrze na samą górę, aż skończyła się im amunicja. Wtedy ich udział w powstaniu dobiegł końca. Antoni Darmograj trafił do niemieckiej niewoli, został wysłany do obozu w Sandbostel, a potem prawdopodobnie był też w Dachau lub odwrotnie.

Prawdopodobnie oddział Antoniego Darmograja

W takiej samej sytuacji znalazł się urodzony w 1908 roku w Czernielowie Michał Klepajczuk. Do wojska został zmobilizowany na wiosnę, prawdopodobnie od 5 kwietnia 1944 r. Po przeszkoleniu w obozie sieleckim został przydzielony do 9. Pułku Piechoty 3. Dywizji im. R. Traugutta. Wraz ze swoim pułkiem rozpoczął szlak bojowy od lipca 1944 roku. W sierpniu forsował Wisłę na przyczółku warecko –magnuszewskim. W czasie powstania warszawskiego brał udział w desancie na

Czerniaków i w walkach w tej dzielnicy do 22 września. Gdy siły powstańców, amunicja i broń wyczerpały się i Czerniaków skapitulował, wraz z powstańcami i żołnierzami śpieszącymi im na pomoc, dostał się do niewoli.

Historię wojennych losów Michała Klepajczuka opowiedziała w skrócie jego córka Wanda Zdziarska.

Podobny los spotkał mieszkańca Czernielowa Antoniego Nietrebę, syna Ignacego. On również był w 9. Pułku Piechoty i trafił do niewoli niemieckiej w trudnym czasie walk powstańczych w Warszawie i razem ze swoim szwagrem Michałem Klepajczukiem jako jeniec wojenny przebywał w obozie w Hamburgu. Informacje o jego wojennym losie przekazała córka Stanisława Zarzycka.

Zołnierze 1. Armii Wojska Polskiego - zdjęcie NAC z Internetu

W tym samym 9. pp służył pochodzący z Czołhańszczyzny Jan Kopaczewski. Opowiedział o nim Stanisław Cieplak z Sulęcina gromadzący informacje o mieszkańcach swojej wsi i sąsiedniego Czernielowa. Jan Kopaczewski po wojnie mieszkał w Miechowie, w tym środowisku był znany z dowcipnego opowiadania przygód wojennych, swoich i swoich kolegów.

Stanisław Cieplak przekazał również informację o Janie Waldunie, który był żołnierzem 9. pułku. Urodzony w 1926 roku nie miał jeszcze 18 lat, gdy w marcu 1944 roku został powołany do wojska. Prawdopodobnie w 7. a nie w 9. pułku służył jego starszy o 3 lata brat. Franciszek Waldun z okresu wojny szczególnie emocjonalnie wspominał powstanie warszawskie. Według przekazu wnuka Mirosława: (Franciszek) *był w grupie, która została wysłana na Czerniaków celem pomocy powstańcom warszawskim. Ciężko mu było o tym opowiadać. Mówił, że właśnie tam zginęło najwięcej jego kolegów. Na szczęście znalazł się też w grupie, której po przeprawieniu się na przyczółek czerniakowski polecono wrócić na Pragę. Dzięki czemu przeżył. Nie potrafił pływać, dlatego przedostanie się przez Wisłę było dla niego ogromnym problemem. Opowiadał, że „płynęli". pomagając sobie wzajemnie, trzymając się różnych rzeczy, na drzwiach itp. To, że zostawili tam przyjaciół, którzy bardziej już weszli w miasto, było jego zmorą. Jak mówił, wiedzieli, że zostawiają ich na pewną śmierć.*

Zgroza wojny towarzyszyła Franciszkowi Waldunowi przez całe życie. Wnuk zapamiętał z dzieciństwa, jak przez sen w nocy krzyczał, wzywając kolegów, wydając polecenia: *padnij!, chowaj się!.*

I jeszcze trzy nazwiska żołnierzy z Czernielowa. Jednym z nich był Jan Ziemba, syn Anny i Grzegorza. Jak wspomniała jego żona Bronisława Ziemba, z d. Dziadas, powołany został do wojska w czasie drugiego, majowego poboru 1944 roku. O szlaku bojowym Jana Ziemby, który prowadził od przyczółka warecko-magnuszewskiego do Łaby w skrócie opowiedział w październiku 2018 roku jego syn Kazimierz: Jan Ziemba w Sielcach po okresie szkolenia i ćwiczeń został, skierowany do 3. Pułku Artylerii Lekkiej w 3. Dywizji Piechoty im. R. Traugutta, tego samego, w którym służył Antoni Darmograj. W stopniu plutonowego był działonowym, dowódcą działonu przeciwpancernego, pod opieką miał trzy działa.

Po sierpniowych walkach wspierających oddziały Armii Czerwonej na przyczółku warecko-magnuszewskim 3. pal w dniach 16-22 września 1944 roku ogniem artyleryjskim wspierał żołnierzy 3. dywizji w forsowaniu Wisły i walkach na przyczółku czerniakowskim. Jan Ziemba był więc świadkiem olbrzymich strat w zabitych, rannych i zaginionych wśród polskich żołnierzy uczestniczących w desancie na Czerniaków i Żolibórz.

Oprócz wspomnianego Jana Ziemby żołnierzami 3. Dywizji Piechoty (niestety, nie wiadomo w którym pułku) byli czernielowianie: Kazimierz Szumlicz i Bronisław Sowa. Po wojnie mieszkali w Rurce koło Chojny.

Kilka zdań związanych z udziałem czernielowian w powstaniu warszawskim i zachowaną w pamięci historię przekazała Maria Cieplak, z d. Piotrowska:

Gdy Wojsko Polskie doszło pod Warszawę, 16 września 1944 r. dowódca 1. Armii Wojska Polskiego gen. Berling wydał rozkaz forsowania Wisły z rejonu Saskiej Kępy w celu uchwycenia przyczółka na Czerniakowie i udzielenia pomocy powstańcom. Operację tę wykonywał 9. pułk piechoty. Uczestniczyli w tym z Czernielowa Mazowieckiego: Antoni Darmograj, Józef Jacykowski i jego brat Tomasz, Gęślowski oraz Władysław Postoł z Czołhańszczyzny. Po kilku dniach walk na Czerniakowie z powodu braku amunicji dostali się do niewoli. Tomaszowi Jacykowskiemu udało się przepłynąć Wisłę z rannym żołnierzem na drzwiach i dostać się na prawy brzeg do swoich.

Tomasz Jacykowski, ur. 1913, mieszkał Na Cyplu

O początkach żołnierskiej drogi Józefa Kubiszyna, która zgodnie ze szlakiem 1. Armii WP wiodła też przez Warszawę napisała w 2014 roku jego córka Maria Zawiślańska:

Józef Kubiszyn

Mój tato Józef Kubiszyn, ur. 13.11.1910 r., został powołany do wojska w 1944 roku. Punktem zbornym były Sumy, miejscowość w południowo-wschodniej części Ukrainy przy granicy z Rosją. Rekrutami byli przeważnie mieszkańcy Podola i Wołynia. Wszyscy zostali umundurowani, uzbrojeni, wyposażeni i złożyli przysięgę. Tato nie był w szkole podoficerskiej, był zwykłym żołnierzem. Służył w Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, dowódcą był gen. Zygmunt Berling .W wojsku zdobył nowy zawód fryzjera. (Po wojnie prawie wszyscy mężczyźni z Kuźniczyska strzygli się u niego i opowiadali historie swojego życia.

Z Sum wyruszył szlakiem 1. Armii Wojska Polskiego. Brał udział w forsowaniu Wisły i walkach o Warszawę. 15 sierpnia 1944 r. w czasie bitwy był ranny w ramię, leczony był w szpitalu w Otwocku. Opowiadał, jak stali pod Warszawą po drugiej stronie Wisły, w Warszawie trwało powstanie. Warszawa płonęła. Niestety nie mieli rozkazu, żeby włączyć się do walki. Była zrzucana broń i żywność dla powstańców, którą przechwytywali Rosjanie i Niemcy. We wrześniu otrzymali rozkaz pomocy powstańcom, ale już było za późno, powstanie upadło. Gdy weszli do Warszawy, widok był bardzo przygnębiający, same zgliszcza, niektóre budynki jeszcze płonęły, a po ulicach fruwały banknoty wydrukowane tylko z jednej strony, więc je zbierali i pisali na nich listy do rodzin.

Żołnierzem o czernielowskich korzeniach, który z zesłania do Republiki Komi trafił do 3. Dywizji Piechoty im. R. Traugutta i wraz z nią walczył w czasie powstania na Pradze, a następnie został ranny w czasie niesienia pomocy rannym powstańcom, był Wiktor Duży. Oto jego krótka relacja: *W marcu 1944 r. była przysięga, a po przysiędze nasz 9. pułk 3. Dywizji im. Romualda Traugutta ruszył przez Charków i Kijów na Wołyń. Na Wołyniu były ćwiczenia. 15 lipca 1944 r. byłem na froncie pod Lublinem, a w czasie Powstania Warszawskiego nad Pilicą. Widzieliśmy, jak Warszawa się paliła. Wyruszyliśmy z Pilicy 12 września, niby pomagać powstańcom, byliśmy na Pradze. Widzieliśmy samoloty amerykańskie, jak zrzucały kontenery. Jednego razu z dwunastoma kolegami mieliśmy płynąć Wisłą do Warszawy, odepchnęliśmy wiosłem i łódka się rozleciała. 15 września byłem wysłany po rannych powstańców. Cały czas byliśmy pod obstrzałem Niemców, dosłownie znaleźliśmy się w krzyżowym ogniu. Zostałem ranny, miałem rozerwaną stopę. Trafiłem do szpitala, przez 5 miesięcy byłem w batalionie rekonwalescentem. 12 stycznia 1946 r. zostałem zdemobilizowany.*

Józef Szumlewicz

Według przekazu rodzinnego w czasie powstania warszawskiego jako żołnierz 7. pułku piechoty w desancie na Czerniaków i walkach powstańczych brał udział Józef Szumlewicz. Prawdopodobnie, gdy polskie jednostki po powstaniu stacjonowały pod Warszawą, został skierowany na trzy miesiące do Szkoły Oficerskiej w Grudziądzu. Potem okres nauki przedłużono o kolejne trzy miesiące, a może i na dłuższy okres. W tym czasie wojna się skończyła i Józefa Szumlewicza czekały inne zadania.

Wśród żołnierzy, również 3. dywizji, ale w innym pułku, którzy brali udział w forsowaniu Wisły i nieśli pomoc powstańcom, był też 19-letni Józef Mołodyński, który jak wielu innych zesłańców, został w 1943 roku powołany do 1. Armii Wojska Polskiego.

Rodzina Mołodyńskich: ojciec Błażej, matka Maria i dzieci: Maria, Józef i Franciszek, została wywieziona w kwietniu 1940 roku z Gródka Jagiellońskiego koło Lwowa do Kazachstanu. Wraz z kilkunastoma rodzinami trafili do wioski, która nazywała się Nadieżynka, od słowa *nadieżda,* czyli nadzieja. Wieś znajdowała się w obwodzie Kustanaj Mendegeriński.

Kilka zdań o wojennych losach Józefa Mołodyńskiego można przytoczyć z artykułu *Proboszcz z żołnierskim rodowodem* z nr. 6 z 1996 r. „Kresowiaka Galicyjskiego": *Po wstąpieniu do Wojska Polskiego, po dwumiesięcznej służbie oddelegowano go do szkoły oficerskiej w Riazaniu. Po jej ukończeniu w lutym 1944 roku w stopniu chorążego trafia do 8. Pułku Piechoty 3. Dywizji im. R. Traugutta. Tu jako dowódca plutonu ckm w sierpniu zostaje rzucony na pierwszą linię frontu i walczy w okolicach Warki w obronie przyczółka magnuszewskiego. W połowie września jego batalion wyrusza do Pragi i szykuje się do forsowania Wisły, aby nieść pomoc powstańczej Warszawie… „Stolica - wspomina ks. Mołodyński - to było jedno wielkie pole ognia i nigdy tego widoku nie zapomnę". 19 września przychodzi dzień natarcia. Forsowanie Wisły odbywało się przy huraganowym ogniu artyleryjskim nieprzyjaciela. Z jego batalionu liczącego 300 żołnierzy, ze zdobytego przyczółka na płycie Czerniakowskiej w Warszawie wróciło 8 żołnierzy, a wśród nich Józef Mołodyński. Ale w trakcie tej operacji zostaje ciężko ranny i traci oko. Trafia do szpitala w Otwocku. Po wyleczeniu jako zastępca komendanta znalazł się w szpitalu polowym. W tej służbie ratowania rannych żołnierzy poprzez Inowrocław, Wałcz dochodzi aż do Berlina.*

Po wojnie Józef Mołodyński został księdzem, pracował jako wikary w Lubaczowie, a potem pełnił służbę duszpasterską jako proboszcz w Bruśnie. Zmarł w 2008 roku.

Opowieść o Józefie Mołodyńskim przytoczono ze względu na podobieństwo losów i przeżyć z żołnierzami z Czernielowa. W 9. pułku 3. dywizji jak nadmieniono był między innymi Wiktor Mielnik, który po powstaniu trafił do niemieckiej niewoli, a także sybirak Wiktor Duży, ranny w czasie powstania. W 8. pułku 3. dywizji służył Jan Darmograj, ale nie ma pewności, czy brał udział w desancie, czy po ukończeniu pułkowej szkoły podoficerskiej jako wyróżniający się żołnierz wcześniej został skierowany do Oficerskiej Szkoły Piechoty w Lublinie.

Z pewnością nie jest to pełna lista żołnierzy z Czernielowa związanych z powstaniem warszawskim. Niestety, po ponad 70 latach od wojny udało się dotrzeć tylko do niektórych rodzin, w których trwała pamięć o bliższych i dalszych krewnych walczących wraz z powstańcami o Warszawę.

Opisane straty wśród czernielowian trzeba jeszcze uzupełnić, odnotowując, że już po powstaniu, bo 23 października 1944 roku, nie wiadomo, w jakich okolicznościach zaginął żołnierz 9. pp Jan Dyczko, syn Jana i Heleny, urodzony w Czernielowie w 1909 roku. Informacja o nim jest na stronie internetowej www.zaginieni 1939-1945.

Wypada w tym miejscu przypomnieć również o udziale w powstaniu cichociemnych. Wcześniej wspominany był pochodzący ze Stupek Bronisław Czepczak, syn Mariana. Po intensywnych szkoleniach jako cichociemny znalazł się we Włoszech, gdzie jako radiotelegrafista pracował w bazie łączności z krajem o kryptonimie „Mewa" (dla kraju „Jutrzenka"), położonej pomiędzy Latiano a Masagne w Brindisi (Baza nr 11). W grudniu 1943 roku nawiązał łączność z Polską, używając wyposażenia Hallicrafters. Zadaniem Bazy Radio było komunikowanie się z AK. Tu pracował do końca powstania warszawskiego. W czasie spotkania z kadrą oficerską w bazach jednostek specjalnych USA w październiku 1995 roku opowiadał: *W powstaniu warszawskim walczyło około 90 cichociemnych, biorąc udział prawie we wszystkich większych akcjach. Ja byłem ciągle zajęty w Bazie Radio we Włoszech i nie pozwalano mi na lot. Wybuch powstania wywołał wśród nas niepokój. Zastanawialiśmy się, jak można pomóc walczącej Warszawie. Loty w księżycowe noce do miejsc zrzutu były bardzo niebezpieczne. A teraz piloci musieli przygotować się do zrzutów z niskiego pułapu dużych ilości uzbrojenia, żywności, medykamentów itp. A Warszawa płonęła, okryta dymem, domy przechodziły z rąk do rąk. Straty w samolotach i załogach brytyjskich, południowoafrykańskich i polskich były przerażające. 18 września 1944 r. wystartowało z Wielkiej Brytanii 107 latających fortec, należących do 13. Skrzydła Bombowego 3. Dywizji Powietrznej. Samoloty te zrzuciły nad Warszawą zaopatrzenie, jednak wiele zasobników trafiło w ręce Niemców. 2 października, po 63 dniach walki, poddało się niezdobyte dotąd Śródmieście.*

Jak już o tym nadmieniono, gdy w sierpniu 1944 roku w Warszawie wybuchło powstanie, Armia Czerwona, a wraz z nią niektóre jednostki 1. AWP toczyły walki między innymi na przyczółku warecko–magnuszewskim i nad Pilicą. 1. AWP, w tym pułki 1. Dywizji Artylerii Przeciwlotniczej, otrzymała zadanie wsparcia jednostek radzieckich w walkach obronnych o utrzymanie przyczółka, który oparł się na linii rzeki Pilicy i Radomki. Niemcy nie docenili znaczenia przyczółka warecko–magnuszewskiego, a ich ostateczny atak załamał się pod Studziankami, które kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk. W bitwie pod Studziankami wraz z wojskami radzieckimi walczyli żołnierze 1. Brygady Pancernej oraz z oddziałów 3. Dywizji Piechoty im. R. Traugutta i 2. Dywizji Piechoty im. H. Dąbrowskiego. Według niektórych źródeł była to największa bitwa stoczona przez polskie czołgi na froncie wschodnim. W czasie walk poległo 484 polskich żołnierzy, 1459 zostało rannych, a 63 żołnierzy zaginęło bez wieści.

Według danych na www.straty.pl zginęło w bitwach na przyczółku warecko-magnuszewskim co najmniej dwóch mieszkańców Czernielowa. 10.08.1944 r. zginął w Chmielówku urodzony w 1922 roku Jan Murmyło, syn Bartosza. Był żołnierzem 9. pp. Spoczywa w kwaterze wojskowej cmentarza w Magnuszewie.

W rejestrze poległych odnotowano, że 19.08.1944 r. śmierć w Woli Cichrowskiej w rejonie Magnuszewa poniósł Antoni Żarkowski, syna Wojciecha, urodzony w 1903 roku. Był plutonowym 10. Pułku Artylerii Haubic. Został pochowany na cmentarzu w Grabowie nad Pilicą. Prawdopodobnie zginął po bitwie pod Studziankami, w czasie trwających jeszcze kilka dni walk o utrzymanie przyczółka warecko–magnuszewskiego i likwidacji odciętych sił niemieckich. Antoni Żarkowski, jak wcześniej pisano, był aktywnym działaczem Związku Strzeleckiego w Czernielowie. Niektórzy zapamiętali go jako dyrygenta orkiestry dętej przy tym Związku. Przez jakiś czas był również w miejscowej komórce AK.

Trudno powiedzieć, czy w bitwie pod Studziankami i walkach na przyczółku warecko-magnuszewskim brali udział inni czernielowianie. Wiadomo natomiast, że w tym rejonie, w miejscowości Wilga w ochronie mostu w czasie przeprawy uczestniczyli bracia Jan i Michał Bigusowie z Borek Wielkich, a w czasie wojny z Czernielowa. Byli żołnierzami 16. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej. Być może był z nimi ich kolega Franciszek Woźniak, brat Stefanii Górskiej, z d. Woźniak.

Od lewej Jan i Michał Bigusowie, Franciszek Woźniak

O braciach Bigusach jest mowa w dostępnym w Internecie i wspominanym już artykule Andrzeja Kordylasińskiego, w którym Anna Bigus, z d. Maliszkiewicz, i jej mąż Michał Bigus opowiedzieli wojenną historię ze swego życia: *Wszyscy mężczyźni we wsi do 50. roku życia dostali powołanie do wojska. Także mąż pani Anny Bigus. Michał wraz z bratem bliźniakiem przebywał na szkoleniu w okolicach Sum. Tam tworzono polskie wojsko. Obaj trafili do artylerii przeciwlotniczej. Następnie przygotowania do walki kontynuowano w Lasach Kiwierskich. Ich jednostka należała do 1. Dywizji Artylerii Przeciwlotniczej 16. pułku i IV baterii. O losach męża pani Bigus dowiadywała się z listów. Pierwsza bitwa, w której uczestniczyli bracia Bigusowie, rozegrała się pod Studziankami. Tam w sierpniu 1944 r. 1. Brygada Pancerna Wojska Polskiego walczyła z Niemcami w obronie przyczółka warecko-magnuszewskiego. - Staliśmy w miejscowości Wilga. Tam był przyczółek mostowy, który mieliśmy ochraniać. Strzelaliśmy do niemieckich samolotów, które atakowały nasze wojska - opowiada pan Michał. Następnie jednostkę Bigusów przerzucono pod Warszawę.*

14 stycznia 1945 r. z przyczółka warecko-magnuszewskiego wyszło uderzenie w ramach rozpoczynającej się wielkiej ofensywy styczniowej i operacji wiślańsko-odrzańskiej, której ostatecznym celem było zdobycie Berlina, a w pierwszym etapie wyzwolenie Warszawy.

Samoobrona przed napadami band UPA. Istriebitielnyje bataliony

Napływające od początku 1943 roku do Czernielowa z różnych stron informacje o zorganizowanych napadach na Polaków i masowych mordach przez oddziały UPA, potocznie przez Polaków zwanych banderowcami, a także bezpośrednie rozmowy ze świadkami zbrodni na Wołyniu, którzy uciekając na zachód, chronili się w podtarnopolskich wsiach, wywoływały silną reakcję wzburzenia mieszkańców, a przede wszystkim paniczny strach, że ten sam los może spotkać również ich i ich rodziny i zginą okrutną śmiercią z rąk ukraińskich band.

Pewnej nocy w lipcu 1943 roku czernielowianie byli świadkami przemarszu niedaleko ich wsi, wtedy w ich przekonaniu dużego oddziału UPA. Strach, że banderowcy mogą skierować się do Czernielowa wzbudził wśród mieszkańców ogromną panikę. Analiza opisów tego zdarzenia z różnych źródeł każe przypuszczać, że był to alarm nieuzasadniony, a obok wsi przechodził prawdopodobnie oddział Kowpaka, a nie banderowcy.

Trzeba w tym miejscu przypomnieć, że w czasie okupacji niemieckiej na zalesionym Wołyniu obok ukraińskich formacji zbrojnych o charakterze partyzanckim działała w sposób zorganizowany partyzantka sowiecka. Gdy latem 1943 roku nasiliły się w zachodnich powiatach Wołynia mordy na ludności polskiej,

pojawił się na tym terenie w rejonie Równego dokonujący dywersji oddział partyzancki pod dowództwem generała Sidora Kowpaka. Brawurowe akcje tego oddziału, a zwłaszcza rajd w kierunku Karpat zostały zapamiętane przez wiele osób.

W III części cyklu *Moje wspomnienia z Tarnopolszczyzny* Jadwiga Podleska o tym oddziale zanotowała: *Latem 1943 r. pojawiali się na Wołyniu sowieccy partyzanci. Pewnej letniej nocy przeszedł przez Czernielów duży oddział partyzancki gen. Kowpaka, zdążający ku większym lasom. Zatrzymali się w majątku Romanówka (4 km od nas), obudzili rządcę (p. Adama Glogiera) i zadowolili się rabunkiem żywności. Noc była krótka, śpieszyli się, więc obyło się bez ekscesów. Następnej nocy p. Glogier przeniósł się jednak z córką i praktykantem do Czernielowa Maz. - wsi dużej, czysto polskiej, z zorganizowaną i uzbrojoną samoobroną. Zaraz po żniwach wynajął mieszkanie w Tarnopolu, umieścił tam córkę, a sam gospodarował z dojazdu. Dalszych odwiedzin nie było, natomiast wśród pracowników administracji pojawiło się paru niby białych Rosjan. Trudno powiedzieć, którzy byli proniemieccy (jak własowcy czy żołnierze Kamińskiego), a którzy pracowali w wywiadzie sowieckim.*

Jerzy Stopa we *Wspomnieniach* na ten temat pisał: *W tym czasie przez nasze tereny prowadził znany rajd dywizji gen. S. Kowpaka, zwanych u nas potocznie partyzantami. Gen. Kowpak prowadził swą dywizję z błot poleskich na południe przez Wołyń i Podole, następnie na południowy zachód w kierunku nafty borysławskiej. Ukraińcy strasznie bali się ich. Podobno organizowali jakieś bataliony samoobrony. U nas mówiono, że partyzanci Kowpaka dają w skórę banderowskim wsiom. Kiedyś pod wieczór sam widziałem łuny od pożarów, co przypisywano partyzantom Kowpaka, ale czy na pewno tak było, tego nie wiem. Podnosiło to nas na duchu, że wreszcie ktoś się ujął za nami, a sytuacja stawała się pod tym względem coraz niebezpieczniejsza. Coraz bliższe wsie były napadane przez banderowców. Zbliżał się rok 1944, a wraz z nim zbliżały się wojska rosyjskie.*

W wywiadzie dla Anny Madej z „Cracovia Leopolis"w 2014 roku Jerzy Stopa dodał: *Niemało trwogi budziły odgłosy walczących w pobliżu sowieckich oddziałów partyzanckich gen. Sidora Kowpaka. Miejscowi Ukraińcy słusznie panicznie ich się bali.*

Prawdopodobnie również tego przemarszu partyzantów, a nie banderowców dotyczył opis zdarzenia we *Wspomnieniach z dzieciństwa i nie tylko…* Stefanii Górskiej, z d. Woźniak: *Zbliżał się front i banderowcy zaczęli uciekać w góry. Jednego dnia dwaj mężczyźni z Czernielowa, pracujący przy obchodzie torów kolejowych: Murmyło Karol i Andrusyszyn Józef zobaczyli, że od strony Stryjówki w kierunku na Romanówkę idzie masa ludzi. Przybiegli do wsi, dali znać, że idą banderowcy. Ludzie wpadli w popłoch, kto żył uciekał na naszą stronę, czyli na zachodnią stronę wsi. Potem wszyscy się gdzieś rozlokowali. U nas w domu było pełno ludzi, dużo matek z małymi dziećmi. Dzieci bardzo płakały, bo zostały wyrwane*

ze snu. Dorośli dyskutowali, wszyscy byli podnieceni, bardzo to przeżywaliśmy. Mężczyźni zaczęli pełnić w nocy wartę, w co dziesiątym domu był ktoś z karabinem. Ale po jakimś czasie wszystko się wyjaśniło i ucichło. Na szczęście banderowcy tylko przeszli w pobliżu wsi i poszli na Romanówkę, a dalej w Karpaty.

W opracowaniu pt. *Великі Бірки…* (Borki Wielkie…) autorzy nawiązali do zdarzeń, które miały miejsce w Borkach na początku lipca 1943 r., kiedy to przez tereny Tarnopolszczyzny przechodziły partyzanckie oddziały S.A. Kowpaka, o czym również on sam wspominał w książce *Od Putiwla do Karpat*: *5 lipca 1943 r. partyzanckie oddziały znalazły się w rejonie tarnopolskim. Tutaj do naszego przyjścia nie było wielu partyzantów i Niemcy bez obaw jeździli po drogach. My zjawiliśmy się niespodziewanie jak z nieba, z dwoma tysiącami partyzantów, z armatami.*

W rejonie były ważne niemieckie punkty strategiczne, zarówno na szosie, jak i na kolei na trasie Tarnopol–Podwołoczyska, w tym na samej stacji Borki Wielkie, przez którą w ciągu doby przejeżdżało 40 pociągów ze sprzętem wojskowym. Grupa z oddziału Kowpaka, która przechodziła 8 lipca przez Borki Wielkie, miała zadanie zerwanie mostu w pobliżu stacji. Operacja udała się. Most skutecznie zaminowano i wysadzono.

Ale konsekwencje tej operacji mogły okazać się tragiczne dla mieszkających tu ludzi. Z samego rana Niemcy przysłali z Tarnopola oddział egzekucyjny, który miał uzyskać od mieszkańców informacje na temat kowpakowców. W przypadku braku współpracy ze strony mieszkańców i nieujawnienia informacji o kowpakowcach miał zamiar publicznie stracić co dziesiątego mieszkańca Borek Wielkich. Ale dzięki nadzwyczajnym staraniom starosty wielkoboreckiej gminy Włodzimierza Piatniczki, który był w stanie przekonać Niemców o niewinności miejscowej ludności i pomóc w przywróceniu sprawności zerwanego mostu, tragedii udało się uniknąć.

I jeszcze na zakończenie tego wątku kilka słów o rajdzie oddziału partyzanckiego Kowpaka z *Wikipedii*: Rajd Kowpaka, Rajd karpacki to rajd Partyzanckiego Zgrupowania Obwodu Sumskiego z terenów północno–wschodniej Ukrainy w Karpaty pod dowództwem generała majora Sidora Kowpaka. Celem rajdu było zorganizowanie sowieckiej partyzantki na obszarze zachodniej Ukrainy oraz prowadzenie akcji dywersyjnych na liniach komunikacyjnych i zaopatrzeniowych niemieckich armii walczących w tym czasie na Łuku Kurskim. Liczący około 2000 partyzantów oddział Kowpaka w październiku 1942 roku z podsmoleńskich lasów wyruszył na zachód, na początku 1943 roku był na Wołyniu, w tym Równem. Na Wołyniu Kowpak trafił na opór UPA. Dalszy kierunek to Galicja i Generalne Gubernatorstwo. W sumie oddział przebył ponad 2000 km, niszcząc 19 niemieckich transportów kolejowych i 51 składów, wysadzając 52 mosty oraz sabotując elektrownie i wydobycie ropy w Borysławsko–Drohobyckim Zagłębiu Naftowym.

To tyle dygresji o oddziale partyzanckim z dywizji Sidora Kowpaka, mylnie uznanym w Czernielowie za oddział banderowców.

Sytuacja zagrożenia życia mieszkańców wsi ze strony UPA nie zmieniła się gdy w marcu 1944 roku na teren Tarnopolszczyzny wkroczyli Rosjanie. Wręcz przeciwnie aktywność zbrojnych formacji OUN po zbrodniach na Wołyniu przeniosła się bowiem na teren Małopolski Wschodniej. Tym razem do Czernielowa docierały sygnały o zbrodniach na polskich mieszkańcach już z coraz bliżej położonych miejscowości.

Paniczny lęk potęgowała skala zbrodni i okrucieństwo napastników. Każdej nocy nikt nie był pewny, czy przeżyje do rana. Zagrożenie ze strony UPA było realne zarówno we wsiach o mieszanej strukturze ludności, jak i we wsiach takich jak Czernielów Mazowiecki, gdzie dominowała polska społeczność.

Oto jak zagrożenie zewnętrzne ze strony ukraińskich nacjonalistów zapamiętali mieszkańcy wsi.

We *Wspomnieniach–zapiskach* Jana Bachalskiego, urodzonego w 1931 roku, można przeczytać*: Na początku 1943 roku zaczęły dochodzić do nas informacje o mordowaniu Polaków przez Ukraińców banderowców. W połowie 1943 roku do naszej wsi przybyło parę rodzin polskich z Wołynia. Uciekli oni stamtąd, ponieważ nie mieli szans przeżycia. Wówczas dowiedzieliśmy się, co się dzieje na Wołyniu, były to informacje nie do uwierzenia. Napływały też wieści z innych źródeł. Coraz bardziej baliśmy się, czy banderowcy nie przyjdą do nas. Pod koniec 1943 roku front niemiecko-rosyjski zbliżał się do nas i na przełomie 1943 i 1944, jak gdyby się banderowcy uspokoili.*

O uciekinierach z Wołynia i zagrożeniu ze strony band ukraińskich pisała również w swoich *Wspomnieniach* Stefania Górska, z d. Woźniak: *Z powodu mordów Polaków przez Ukraińców zaczęło przebywać do Czernielowa coraz więcej uciekinierów z Wołynia. Niemcy chętnie ich przyjmowali do pracy na majątku: w gorzelni, do wożenia drzewa, do innych robót. Ale też Niemcy nic nie robili, żeby powstrzymać tę rzeź. Mordy zaczęły się niedaleko koło nas. Ludzie zaczęli się pilnować i zastanawiać, czy w razie napadu uda się uciec przed bandami ukraińskimi.*

Zagrożenie to zdecydowanie wzrosło, gdy po wkroczeniu Rosjan w marcu 1944 roku nastąpiła mobilizacja do wojska mężczyzn w wieku od 18 do 50 lat, a we wsiach pozostali tylko młodzi chłopcy i starsi mężczyźni oraz kobiety.

W tej sytuacji zachowanie wzmożonej czujności i organizowanie samoobrony i odpowiednich kryjówek było rzeczą naturalną i wymagało podejmowania różnych przedsięwzięć w każdej rodzinie, ale przede wszystkim współpracy z sąsiadami i większymi grupami mieszkańców w sposób zorganizowany.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej na zagrożone działaniami UPA wschodnie tereny dawnej Rzeczpospolitej, do obrony przed ewentualnymi napadami Rosjanie zaczęli tworzyć w każdej wsi w miejsce dotychczas funkcjonujących spontanicznie oddziałów i grup samoobrony nową formację paramilitarną *istriebitielnyje bataliony*, od rosyjskiego czasownika *istriebit*, oznaczającego „niszczyć całkowicie". W skrócie używano określenia „istriebkie", ale częściej „stribkie". *Istriebitielnyje bataliony* były podporządkowane NKWD, ale sami ich członkowie enkawudzistami nie byli.

Mimo że do tej służby powoływał poszczególnych członków wojenkomat, on też wyznaczał siedzibę batalionu i budynek zakwaterowania, a NKWD wyrażało zgodę na posiadanie broni, to w praktyce i w odczuciu Polaków były to nadal oddziały samoobrony polskiej.

Działalność tej formacji przybliżył w dostępnym w Internecie opracowaniu pod tytułem: *Istriebitielnyje Bataliony - w służbie NKWD i Polaków* Dymitr Bagiński: *Druga okupacja sowiecka na Kresach Południowo-Wschodnich nie przyniosła tamtejszym Polakom poprawy losu. Co prawda nasycenie terenu oddziałami wojskowymi ograniczyło chwilowo ludobójstwo OUN i UPA, jednak Sowieci kilka tygodni po zajęciu Kresów zarządzili mobilizację Polaków do Ludowego Wojska Polskiego, a z drugiej strony przystąpili do aresztowań polskiego aktywu. Polacy, szczególnie akowcy, stanęli przed wyborem – wyjazd na zachód na wojnę lub na wschód do gułagu. Ogołocenie polskiej mniejszości – i tak już przetrzebionej rzeziami – z mężczyzn zdolnych do noszenia broni, wystawiłoby (i często wystawiało) polskich cywilów na łaskę i niełaskę banderowców. Co prawda w tamtym okresie (od maja 1944 r.) twierdzili oni, że ich celem nie jest już mordowanie kobiet i dzieci, ale w praktyce często było inaczej. Sowieci doskonale wyczuli sytuację i wykorzystali polską potrzebę kontynuacji samoobrony przed OUN i UPA. Rozbrajając zwykłe oddziały samoobrony, pozwolili Polakom wstępować do tzw. istriebitielnych batalionów. Istriebitielnyje bataliony były formalnie rodzajem milicji pomocniczej, w rzeczywistości zalegalizowaną samoobroną. Zdarzało się, że gremialnie przechodzili do nich członkowie dotychczasowych samoobron. Inspektorzy AK wyrażali zgodę na zawiązywanie IB, choć oznaczało to oddanie się ich żołnierzy pod dowództwo sowieckie… Pojedynczy „batalion" liczył od kilkunastu do kilkudziesięciu osób. IB dowodzili najczęściej oficerowie sowieccy, a dowódcami poszczególnych pododdziałów byli Polacy. Istriebitielnyje bataliony zajmowały się zarówno obroną polskich miejscowości przed UPA, jak i zwalczaniem ukraińskiego nacjonalistycznego podziemia. Ochraniały także obiekty państwowe i gospodarcze, utrzymywały ład i porządek publiczny (np. z aresztowaniem „spekulantów" włącznie). W ich skład na terenie Wołynia i Galicji Wschodniej wchodziło (na początku 1945 r.) około 23 tys. żołnierzy. Byli to w większości Polacy, którzy w odróżnieniu od Ukraińców nie byli poddani ostracyzmowi (części) własnego*

środowiska i służyli ofiarnie. 80% członków IB liczyło poniżej 18. roku życia. Żołnierze ci nie byli jednolicie umundurowani, co sprawiało, że oddziały IB często przypominały partyzantkę. Tylko część istriebków była skoszarowana, większość kwaterowała w rodzinnych domach. Posiadali broń własną oraz byli dozbrajani przez wojenkomaty (sowieckie wojskowe komendy uzupełnień). Przemieszczali się na piechotę lub zaprzęgami konnymi. Do 1 sierpnia 1945 r. IB przeprowadziły na terenie USSR ponad 26 tys. operacji bojowych, a więc średnio prawie 50 dziennie. W akcjach tych zabiły 11 193 i aresztowały aż 173,5 tys. osób, z tego ponad 30 tys. „bandytów i ich pomocników". Jak widać, działalność IB musiała być dotkliwa dla OUN i UPA, co odzwierciedla następujący fragment jednego z raportów UPA:„Bardzo niebezpiecznym dla nas przeciwnikiem jest polska policja – zna miejsca i ludzi (...) bierze udział w antyukraińskich operacjach milicji bolszewickiej." Z tego powodu wielu istriebków, którzy wpadli w ręce nacjonalistów ukraińskich, zginęło dopiero po torturach. Istnieją przekazy o przejawach brutalności IB wobec ludności ukraińskiej. Polscy istriebkowie mieli upokarzać Ukraińców, bić ich, palić zabudowania, a nawet dokonywać mordów na pojedynczych cywilach. Trzeba jednak pamiętać o warunkach, w jakich działały IB – walczyły ze skrajnie radykalnym podziemiem, które – mając spore poparcie wśród ludności ukraińskiej – od ponad roku przeprowadzało ludobójstwo na ludności polskiej. Jednak ilość ofiar w stosunku do liczby akcji – jedna osoba zabita na ponad dwie przeprowadzone akcje – świadczy, że IB, w przeciwieństwie do UPA, nie zajmowały się eksterminacją ludności. Nie można więc działalnością IB usprawiedliwiać ponownego wybuchu rzezi na terenach byłego woj. tarnopolskiego na przełomie 1944 i 45 roku.

Jeszcze szerzej do tematu podeszła Monika Śladewska w swoim artykule *Istriebitielne bataliony,* analizując nie tylko całą sytuację, ale wdając się w polemikę z innym autorem prezentującym bardzo kontrowersyjne poglądy na temat udziału Polaków w tej formacji. Autorka podkreśla między innymi, że: *Zadaniem IB było utrzymanie ładu, w szczególności położenie kresu ludobójstwu dokonywanemu przez OUN-UPA, SB, SKW. Zarysowała się możliwość legalnego otrzymania broni i ratowania życia. W tej sytuacji dowództwo sowieckie akceptowało i zalegalizowało istnienie uzbrojonych oddziałów polskiej samoobrony. Dowódcy poszczególnych oddziałów AK kierowali nieletnią młodzież i starszych mężczyzn do IB głównie w celach obronnych. Nie było alternatywy, nie bronić się oznaczało ginąć od noża, siekiery lub w płomieniach ognia.*

Jak wspomniano, do służby w istriebitielnych batalionach powoływani byli zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Dla przykładu jak to wyglądało w miejscowościach o mieszanej strukturze narodowości można przytoczyć fragment z *Okruchów osobistych wspomnień* Antoniego Karpińskiego, cytowany w opracowaniu pt. *Великі Бірки…* (Borki Wielkie…).

W 1981 roku Antoni Karpiński opisywał: *Zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej zaczęto tworzyć administracyjne i partyjne struktury. Jednym z pierwszych był utworzony tak zwany istriebitielnyj batalion, wyłącznie z młodych urodzonych w latach 1927-1928, rozlokowany w trzech punktach wielkoboreckiej gminy: w Grabowcu, w Szlachcińcach i w Borkach. Jego pierwszą akcją było wysiedlenie mieszkańców z dwudziestopięciokilometrowej strefy działań wojennych (...) W grudniu 1944 roku w batalionie było 62 Polaków, 30 Ukraińców i 5 Żydów. W kwietniu 1945 roku batalion liczył 109 Polaków, 60 Ukraińców i troje Żydów*. (tłum. K.M.)

O tym, że w Czernielowie Mazowieckim po poborze przez Rosjan do wojska mężczyzn na wiosnę 1944 roku funkcjonował system samoobrony oraz istriebitielnyj batalion wspominało wielu starszych czernielowian. Mieszkańcy wsi nazywali ich: stribkami, striebkami albo istriebkami.

Trudno jednak powiedzieć, jak liczna była ta formacja i jaką miała strukturę, kto dowodził istriebitielnym batalionem w Czernielowie, kto organizował system samoobrony. Być może wśród dowodzących był ostatni przed wojną sołtys wsi Józef Bachalski. O jego udziale w IB wspomina najmłodszy syn Jan.

Jednym z członków czernielowskiej samoobrony był urodzony w 1911 roku Jan Żarkowski. Informację o tym, że został on, nie z własnej woli, na blisko rok (1944-45) wcielony do tzw. istrebitielnych batalionów i brał udział w akcjach samoobrony przekazał jego syn Andrzej Żarkowski.

Maria Cieplak, z d. Piotrowska, wspomniała, że do istriebitielnych batalionów Rosjanie wcielili *młodych, którzy byli za młodzi na wojsko i starszych, którzy z różnych powodów nie poszli do wojska. Z Czernielowa w stribkach byli: Bronisław Jacykowski i Franciszek Murmyło.*

Stanisław Cieplak z kolei z rodzinnych opowieści zapamiętał, że w stribkach był Józef Maśluk, który wiosną 1944 r. powołany do wojska uciekł z transportu do Sum i ukrywał się do czasu wstąpienia do istrebitielnych batalionów. Jego brat Julian poległ na Wale Pomorskim i będzie o nim mowa.

W organizacji samoobrony był też urodzony w 1910 roku Józef Szełepko, znany czernielowski rzemieślnik stolarz, pracujący w czasie okupacji niemieckiej w majątku w Czernielowie, a po wkroczeniu Rosjan przy pracach zleconych przez Wojenkomat w Borkach Wielkich. W udostępnionym przez rodzinę życiorysie pisanym przez niego w 1977 roku przy przyjęciu do ZBoWiD-u ujął ten fakt następująco: *Po wkroczeniu Armii Radzieckiej pracowałem w Wojenkomacie w Borkach Wielkich przy odbudowie obiektów dla władzy radzieckiej, dostałem bronirówkę i pełniłem służbę obronną przed bandami faszystowskimi.*

Jan Bachalski we *Wspomnieniach* opisywał organizację samoobrony następująco*: W lipcu 1944 roku, kiedy front przesuwał się pod Warszawę, a na tyłach*

armii rosyjskiej już było mało wojska, banderowcy znowu zaczęli się organizować i mordować Polaków, a jak się udało to i Rosjan. Coraz częściej docierały do nas wiadomości o napadach. W październiku 1944 roku wieś nasza zorganizowała samoobronę. Czernielów usadowiony był po obu stronach rzeki Gniezny. Wieś została podzielona na odcinki mniej więcej po 20 domów. Każdy odcinek miał wystawiać wartowników od strony pola i w razie potrzeby zawiadamiać wartownię, gdzie się znajdowali przedstawiciele z każdej chaty. Na wartę szły dwie osoby, jedna musiała umieć obchodzić się z karabinem. Zazwyczaj był to chłopak w moim wieku lub mężczyzna po 50, który nie był zabrany do wojska oraz kobieta. Z każdego domu musiał być przedstawiciel. Czas pobytu na warcie trwał 1 godzinę.

Jadwiga Podleska, relacjonując o placówkach AK na polskich wsiach Podola, pisała też o samoobronie w Czernielowie: *Od lata 1943 r. po każdej nocy samoobrona trzymała uzbrojone warty dookoła wsi, stale bowiem zagrażała UPA z pobliskich Borek. A gdy wiosną 1944 roku Armia Czerwona zmobilizowała większość mężczyzn od 18 do 50 lat do Armii Berlinga, część tych funkcji przejęły kobiety. Pewna ilość młodych mężczyzn wcześniej jeszcze została wcielona do tzw. istriebitielnych batalionów.*

Natomiast w III części *Wspomnień z Tarnopolszczyzny…*zanotowała: *Wkrótce rozpoczęło się, trwające z górą 6 tygodni, oblężenie Tarnopola (…) Mnie udało się zatrudnić w miejscowej gorzelni, a zaświadczenie o pracy uchroniło mnie przed kopaniem rowów i wysłaniem do armii gen. Berlinga w ZSRR. Inne dziewczyny zwolniło z wojska zaświadczenie lekarskie dr. Karaczki, a znajomy gospodarz „wykupił się", ofiarując komu trzeba pięknego konia. Niektórych młodych ludzi nie wysłano do armii, lecz wcielono do batalionów strzeleckich, których zadaniem była ochrona majątku (znowu państwowego!) i załogi przed ewentualnym atakiem UPA.*

Proniemieccy szpiedzy ukraińscy działali aż do upadku Tarnopola. Na wieży kościoła czernielowieckiego ukrył sie szpieg z radiem i meldował Niemcom, że w pobliżu znajduje się sowiecki sztab i artyleria. Po nieudanym nalocie szpiega wykryto i aresztowano.

Marian Murmyło, rocznik 1935, gdy jego tata Bartłomiej w marcu 1944 roku poszedł na wojnę, miał niespełna 9 lat. Został z dziadkami, mamą, starszym bratem Franciszkiem i młodszą siostrą Stanisławą. Rodzina mieszkała na końcu ulicy, naprzeciwko kościoła. Marian Murmyło opowiadał, że jego brata Franciszka, urodzonego w 1927 roku, nie wzięli do wojska, bo ostatnim rocznikiem poboru był rocznik 1926. Franciszek był w tak zwanych istriebkach. Gdy ich mama chodziła w nocy na warty, a brat był w istriebkach, on z siostrą zostawał sam albo szli spać do ciotki.

Ludwika Dziadas, z d. Jacykowska, ur. 1934 r., a więc dziesięcioletnia w czasie tych zdarzeń, mieszkająca z rodziną Na Cyplu, z okresu wojny pamięta, że:

W obawie przed banderowcami mieszkańcy z całej ulicy chodzili spać do Jana Rajfura, który do przechowywania uli miał dużą kopaną piwnicę, a w zasadzie taki stebnik na ule. Zestawiono ule w jeden kąt i naścielono słomy i tam można było spokojnie się przespać.

Ludwika Dziadas, po pewnym czasie uzupełniając swoją wypowiedź, dodała: *Teodor i Michał Jacykowscy rozbroili Ruskich, zabrali im broń, zawinęli w snop i schowali w stodole moich rodziców. Po jakimś czasie znalazła ją mama, Aniela Jacykowska i przekazała karabin Ruścińskiemu. Karabin ten przydał się podczas wart.*

W rodzinie Darmograjów opowiadano o stałej obserwacji zagrożeń w czasie wojny. Mimo iż w Czernielowie nie doszło do napadów i poważnych konfliktów z Ukraińcami, to jednak ze względu na świadomość tego, co dzieje się w bliskim sąsiedztwie, mobilizowano do nieustannego czuwania. Według Tadeusza Darmograja ich dom położony na wzgórzu był dobrym punktem obserwacyjnym całej okolicy i dobrym miejscem do wypatrywania zbliżających się do wioski większych grup. W obserwacji terenu miała brać udział nawet babcia Tadeusza Darmograja, ponoć posiadająca pepeszę, z której w razie dostrzeżenia jakichś niepokojących ruchów w pobliżu wioski miała strzelać w powietrze, by dać sygnał innym. W razie zagrożenia ustalony był plan działania. Gdyby działo się coś niepokojącego, mama Tadeusza miała owijać jego i jego brata Władysława w koc, po czym mieli sturlać się do pobliskich krzaków i tam siedzieć cicho, dopóki zagrożenie nie minie.

O swoim udziale w istriebitielnym batalionie napisał Marian Figiel, rocznik 1928, mieszkaniec sąsiedniego Czernielowa Ruskiego*: Jak wkroczyli do nas Rosjanie w marcu 1944 roku, to zaczęli tworzyć władzę i organizować po swojemu struktury samoobrony. Od lat 18 do 55 brali na wojnę, a rocznik 1927 należał do istriebitielnego batalionu. Chłopcy byli przeszkoleni, posiadali karabiny i na każde wezwanie musieli z rosyjskim wojskiem brać udział w obławie na banderowców. Natomiast rocznik 1928 na trzy tygodnie był skoszarowany w stodole w Borkach Wielkich. Spaliśmy na słomie w ubraniu, tak jak chodziliśmy. Byliśmy na własnym wikcie, tylko na obiad była ciepła zupa. Po przeszkoleniu starszy lejtnant zabierał nas w teren. Na polach zbieraliśmy pociski, bomby – w całym rejonie. Jedna grupa kopała dół o wielkości średniego pokoju. Jeździł z nami człowiek jednym koniem i zabierał te pociski do tego dołu, a pod wieczór starszy lejtnant na wierzchu kładł bombę z zapalnikiem i następował wybuch, a w pobliskich wioskach wylatywały szyby w oknach. Z Czernielowa Mazowieckiego zapamiętałem tylko jednego kolegę. Nazywał się Murmyło, imienia, niestety, nie pamiętam. Po wojnie mieszkał w Trzemesznie Lubuskim (...) Nie pamiętam, jak długo zbieraliśmy te pociski. Dali nam legitymacje istriebitielnyj batalion.*

Jak wspomniano organizacja samoobrony w Czernielowie i w poszczególnych miejscowościach Tarrnopolszczyzny była ze względów bezpieczeństwa jak najbardziej uzasadniona i bezwzględnie konieczna.

Antypolskie akcje z udziałem UPA, które miały miejsce na Wołyniu przeniosły się na teren Małopolski Wschodniej, a ukraińscy nacjonaliści przystąpili do masowego mordowania polskich mieszkańców tego obszaru.

Napady na polskie wsie rozpoczęły się już w październiku 1943 roku, przy czym ich nasilenie przypadło na wiosnę 1944 roku. Do zbrodni doszło m.in. w Berezowicy Małej i Podkamieniu. W lutym 1944 roku oddziały UPA pomagały 4. Pułkowi Policji SS, w szeregach którego służyli ukraińscy ochotnicy do SS-Galizien, w wymordowaniu polskiej wsi Huta Pieniacka. Zginęło wtedy od 600 do 1200 mieszkańców miejscowości.

Do końca czerwca 1944 roku antypolskie akcje objęły swym zasięgiem całe terytorium Małopolski Wschodniej. 10 lipca tego roku dowodzący UPA na tym obszarze Wasyl Sydor „Szełest" rozkazał kontynuowanie krwawych pacyfikacji polskich wsi, „aż do wyniszczenia ich do ostatniego z tych ziem".

Z początkiem września 1944 roku, po podjęciu decyzji o próbie porozumienia się z Polakami, ukraińskie dowództwo rozkazało wstrzymanie ataków na polskie wsie. Jednak w praktyce w dalszym ciągu dochodziło do napadów oddziałów banderowców na polskie skupiska.

Fale antypolskich wystąpień przybrała na sile pod koniec 1944 roku i miały miejsce głównie w powiecie tarnopolskim. Przebiegały one w sposób zorganizowany, przy zwiększonym udziale około tysiąca bojowników UPA, przy wsparciu formacji *Samoobronni Kuszczowi Widdiły* (SKW).

W samym tylko listopadzie oddziały UPA napadły 23 razy na polskie wsie; w grudniu – aż 55-krotnie. Polscy mieszkańcy powiatu nie spodziewali się ukraińskich ataków, zwłaszcza w okresie świąteczno-noworocznym. Organizatorzy napadów postanowili jednak wykorzystać ten dogodny czas, aby rozprawić się ze swymi sąsiadami Polakami.

W Internecie dostępne jest wspomnienie–relacja Jana Białowąsa zatytułowane *Krwawa podolska wigilia w Ihrowicy*, której autor opisuje zbrodnię, jakiej dopuściła się sotnia UPA „Burłaki", dowodzona przez Iwana Szemczyszyna, ps. „Czornyj" w wieczór wigilijny 1944 roku, kiedy polscy mieszkańcy Ihrowicy i z rodzin mieszanych szykowali się do kolacji lub właśnie ją spożywali. W wyniku pacyfikacji wsi zginęły całe rodziny. Ich dobytek oraz zwierzęta hodowlane rabowano, a gospodarstwa palono. Wielu mieszkańców szczęśliwie zaalarmowano na tyle wcześniej, że w porę uciekli. Ci, którym się to nie udało, ukrywali się na strychach lub w piwnicach; część Polaków zginęła w płomieniach. Opis zbrodni jest bardzo drastyczny. Różne są szacunki ofiar krwawej wigilii w Ihrowicy. Lista sporządzona

podczas grzebania zabitych wymienia 77 osób, w tym dziewięcioro dzieci poniżej 9. roku życia.

Odpowiedzialna za mord w Ihrowicy sotnia „Burłaki", jeszcze przed końcem roku dokonała kolejnej rzezi Polaków. 28 grudnia 1944 roku około godz. 22 sotnia „Burłaki" pod dowództwem Iwana Szemczyszyna ps. „Czornyj" zaatakowała Łozową, wieś położoną kilkanaście kilometrów na północny wschód od Tarnopola. Upowcy nadeszli od strony Kurnik Szlachcinieckich. Sygnałem do ataku był wystrzał czerwonej rakiety.

We wsi, liczącej około 800 mieszkańców, w większości Polaków, nie było oddziału samoobrony, jednak kilkunastu mężczyzn nielegalnie posiadało broń palną. W krótkim czasie zorganizowali oni obronę w domach od strony Kurnik. Szczególnie dużo osób schroniło się w domu Feliksa Kłosa, który miał automat, oraz u Adama Cieśli. Część osób uratowała się dzięki Karolowi Mazurkiewiczowi, który biegł przez wieś, alarmując ludność. Zaczął bić kościelny dzwon.

Napastnicy podzielili się na dwie grupy. Jedna poszła w stronę drogi głównej obok zagrody Piotra Pączyka, druga poszła w głąb wsi obok zabudowań Kłosa. Obrońcy domu Kłosa oddali do maszerujących upowców kilka strzałów. Napastnicy ominęli to zabudowanie i skierowali się do wsi. Część z nich próbowała podchodzić do domu Kłosa od strony południowo-zachodniej, jednak byli odpierani strzałami. W tym czasie do zabudowań Kłosa i Cieśli napływali niedobitkowie z rzezi. Pozostali ukrywali się w piwnicach, schronach i zabudowaniach gospodarskich.

Intruzi działali w wyspecjalizowanych grupach. Jedni, głównie mężczyźni, włamywali się do domów i bez względu na płeć i wiek zabijali napotkane osoby siekierami, nożami oraz strzałami z broni palnej. Upowcom towarzyszyły grupy rabusiów, które zabierały inwentarz i ładowały na furmanki mienie Polaków. Po ograbieniu zagrody były palone przez trzecią grupę napastników, którzy zajmowali się także strzelaniem do uciekających. Wśród atakujących rozpoznano Ukraińców z sąsiednich wiosek: Kurnik Szlachcinieckich, Stechnikowiec, Czernichowiec i Szlachciniec.

W domu Pawła Kozioła upowcy zabili jego matkę oraz pobili jego żonę, z pochodzenia Ukrainkę. Koziołowa, padając nakryła własnym ciałem dziecko, ratując mu życie i udawała martwą. Leżąc, zauważyła towarzyszące upowcom kobiety ukraińskie, plądrujące izbę; jedną z nich była jej własna siostra. W domu Władysława Makucha zamordowano 5 osób, w tym 6-miesięczne niemowlę, chwytając je za nóżki i uderzając głową o framugę.

Po kilku godzinach do Łozowej przyjechał radziecki pociąg pancerny, który oświetlił wieś rakietami i otworzył ogień do upowców; jednocześnie ze Zborowa nadciągnął oddział radzieckich żołnierzy. W tej sytuacji oddział UPA przerwał napad

i wycofał się do lasu, porzucając część łupu. W wyniku ostrzału zapaliły się niektóre zabudowania.

Źródła podają liczbę ofiar tego napadu od 106 do 131. Oprócz Polaków upowcy zamordowali także Ukraińców – według polskich świadków dziewięciu, według meldunku radzieckiego – 8 rodzin.

Zamordowanych pochowano 31grudnia 1944 roku w zbiorowej mogile na placu przy kościele. Podczas pogrzebu ofiar napadu na odgłos strzałów wybuchła panika; wystraszony tłum ruszył ku posterunkowi radzieckiemu na moście kolejowym. Zdezorientowani żołnierze oddali strzały do biegnących, przez co zginął Wojciech Grabas, którego także pochowano w przygotowanym wspólnym grobie.

Powyższy opis zbrodni w Łozowej zaczerpnięto z *Wikipedii.*

Jednym z ocalonych z Łozowej, którzy schronili się w domu Kłosa był Władysław Świcarz. Przed wyjazdem za Zachód przyszedł do Czernielowa, pożegnać się ze swoją rodziną. Był też w domu Woźniaków i opowiedział co zdarzyło się w tę grudniową straszną noc w Łozowej. 18-letnia wówczas Stefania Górska, z d. Woźniak była świadkiem jego opowiadania i w swoich *Wspomnieniach z dzieciństwa i nie tylko …* z jego wypowiedzi zanotowała: *Tej nocy część Polaków schroniła się u niejakiego Feliksa Kłosa. On miał murowany dom i pod blachą. W okna wstawili grube, drewniane okiennice. Przygotowując się do napadów, mieli zgromadzone zapasy broni, dużo granatów. Bronili się, nie dopuścili bandy do domu i ocaleli. Ale też niektórzy Ukraińcy zdradzili hasło Polakom. A hasło było „Ćwach”, to po polsku znaczy gwóźdź. Więc gdy dużo ludzi uciekało do rzeki, w szuwary i po drodze spotykali banderowców, pytani o hasło, mogli odpowiedzieć prawidłowo i byli uratowani. Tym walkom i mordom w Łozowej nie było końca. Aż przyjechał z Tarnopola jeden czy dwa wagony pancerne i wtedy zaczęła się strzelanina na dobre. Bili się, aż wszystko wreszcie ucichło. Rano niektórzy mieszkańcy Łozowej od razu wyjechali do Tarnopola i już nigdy nie wrócili do swoich domów. W Tarnopolu byli przez kilka dni, wyrobili dokumenty i z duszą na ramieniu uciekli na Zachód.*

Jednym z pierwszych pociągów ewakuacyjnych wyjechały mieszkające w Łozowej rodziny Tomasza Stankiewicza, brata Marcina i Józefa Stankiewiczów z Czernielowa Mazowieckiego oraz rodzina Józefa Stankiewicza, syna Jana. Już w maju 1945 roku osiedlili się w Glashütte, czyli Hucie Szklanej koło Krzyża Wlkp, gdzie później zamieszkała również rodzina Józefa Żarkowskiego z Czernielowa.

O mordzie band UPA w Łozowej w grudniu 1944 roku pisała też w swoich wspomnieniach Maria Markowicz, z d. Paliwoda. Jej zapis opiera się na relacji ocalonych mieszkańców Łozowej, po wojnie ekspatriowanych do wsi Jastrzygowice w gminie Gorzów Śląski: *Po południu 28 grudnia nic jeszcze nie zapowiadało w Łozowej nieszczęścia poza tym, iż kilka osób przybyłych z sąsiednich wsi w poświąteczne odwiedziny do swoich krewnych zauważyło sporo obcych mężczyzn*

we wsi Szlachcińce i Kurniki Szlachcinieckie. Zauważyło również na tamtejszych podwórkach po dwie-trzy zaprzężone furmanki. Obie te wsie w większości zamieszkałe przez Ukraińców sąsiadowały z Łozową z obu stron. Gdy już się ściemniło i mieszkańcy Łozowej kończyli swe codzienne czynności gospodarskie, znienacka pojawili się na ulicach wsi i w zagrodach ludzie uzbrojeni w karabiny, pistolety, siekiery, topory i łańcuchy. Zaczęli strzelać do okien, a wpadając do domów mordować wszystkich w zasięgu ręki. Podniósł się naraz straszny krzyk mordowanych ludzi, ryk bydła wyprowadzanego gwałtownie ze stajen, rżenie przestraszonych koni, kwik zarzynanej nierogacizny. Głosy te słychać było również w Bajkowcach i innych okolicznych wsiach. Napadem w Łozowej dowodził „ataman" na koniu i z niego kierował poszczególnymi grupami morderców. Po mniej więcej godzinnej rzezi podwładni zapytali go głośno: czy mają już podpalać wieś? Odpowiedział im, że jeszcze nie czas na to, trzeba zlikwidować najpierw wszystkich Lachów i poznosić ich dobytek na oczekujące furmanki. (Liczono napastników na około 200 ludzi). W tym strasznym czasie na odległej o kilkaset metrów stacji pełnił służbę dyżurnego ruchu Polak pochodzący ze Zbaraża. (w rzeczywistości był to Władysław Kanas z Łozowej- dop. Redakcji „Głosów Podolan*"*). *Po zorientowaniu się, że mordowana jest ludność z Łozowej zaalarmował telefonicznie Zbaraż, podając, że banda atakuje jego stację. W niedługim czasie, z odległego o 5 kilometrów Zbaraża, nadjechała mała pancerka kolejowa uzbrojona w małokalibrowe działko i ciężki karabin maszynowy. Obsługę pancerki (lokomotywy i opancerzonego wagonu) stanowiło kilkunastu żołnierzy sowieckich. Zbliżając się do Łozowej, oświetlili rakietami teren stacji i wieś tak silnie, że widać było jak w dzień. Ostrzelali zgrupowane na ulicach furmanki i ludzi. Banderowcy rzucili się do ucieczki w kierunku Szlachciniec. Swoim zabitym dziesięciu wojakom zdążyli jeszcze poucinać głowy i zabrać w worku, aby uniemożliwić rozpoznanie ich przez pozostałych przy życiu Polaków. Pod gęstym ogniem pancerki nie byli w stanie załadować na furmanki zwłok swoich towarzyszy. Przez całą noc i następny dzień Łozowianie odnajdywali i rozpoznawali ciała członków swoich rodzin i sąsiadów. Na ciele każdej ofiary widniały głębokie i rozległe rany zadane siekierą, bagnetem czy nożem… Ofiarą mordu padło łącznie 130 osób. Trzy dni po tej masakrze, w czasie pogrzebu ofiar, banderowcy ostrzelali kondukt pogrzebowy, zabijając jeszcze pięć osób, a kilka raniąc. Te nowe ofiary pogrzebano razem z zamordowanymi poprzednio w zbiorowej mogile obok kościoła w Łozowej.*

Na zakończenie opisu mordu w Łozowej Maria Markowicz dodała kilka zdań o losach mogiły: *Po wysiedleniu łozowian na Ziemie Odzyskane ta zbiorowa mogiła została przez miejscowych nacjonalistów zdewastowana, a teren zamieniony na pastwisko dla bydła. W latach pierestrojki za Gorbaczowa zamordowanych łozowian przeniesiono na cmentarz w sąsiednich Szlachcińcach. Ktoś zarządził postawienie im*

kamiennego pomnika z napisem na tablicy w języku ukraińskim: „Współmieszkańcom wsi, którzy zginęli z rąk burżuazyjnych nacjonalistów”.

Niemal tej samej treści informację o mordzie w Łozowej, również autorstwa Marii Markowicz, rozszerzoną *o Pieśń żałobną* Agnieszki Nosek i kilka dodatkowych uwag od redakcji można przeczytać w czasopiśmie historyczno-publicystycznym „Na Rubieży”.

W samym Czernielowie Mazowieckim przez cały okres wojny nie było napadów band nacjonalistów ukraińskich na mieszkańców wsi. Opowiadano o planowanych atakach, które jednak szczęśliwie nie doszły do skutku.

We wspomnianym czasopiśmie „Na Rubieży” wymieniane są trzy przygotowywane napady banderowskich bojówek UPA na polskie domy w Czernielowie.

Pierwszy z nich rzekomo był planowany jesienią 1943 roku przez wójta Danyłę Jacykowskiego w porozumieniu z bojówką UPA z Borek Wielkich. Napad został w ostatniej chwili odwołany dzięki interwencji księgowego Bolesława Fedorowicza z Centralnej Administracji ośmiu majątków ziemskich (Liegenschaftsverwaltung), która mieściła się w majątku w Czernielowie. Prawdopodobnie Polacy mogli liczyć na interwencję Niemców. Jadwiga Podleska w *Relacji o placówkach AK …* napisała, że księgowy przypomniał wójtowi, że jest to gorący czas obowiązkowych dostaw, zniszczenie bogatego spichrza żywności i uśmiercenie robotników, z pewnością rozwścieczyłoby Niemców, zaś konsekwencje tego poniósłby właśnie wójt. Ta argumentacja podobno powstrzymała banderowców od napadu.

W grudniu 1943 roku ta sama banderowska bojówka UPA przygotowywała kolejny napad na Polaków w Czernielowie Mazowieckim. Według relacji kilku osób zapobiegli temu dwaj Ukraińcy, mieszkańcy Borek Wielkich: ukraiński ksiądz greckokatolicki Józef Krawczuk i lekarz medycyny Lucjan Karaczko.

Kolejny, trzeci napad był przygotowywany w nocy z 7 na 8 marca 1944 roku. Niespodziewane pojawienie się czołgów Armii Czerwonej w pobliżu Czernielowa pokrzyżowało te plany i banderowcy wycofali się. Pisała o tym również Jadwiga Podleska w swoich *Wspomnieniach z Tarnopolszczyzny*…

W tym samym czasopiśmie „Na Rubieży” nr 3 z 1993/94 r. wymieniono nazwiska dwóch czernielowian, którzy zginęli z rąk banderowców na początku 1945 roku poza Czernielowem. Byli to: Zarzycki Julian, który zginął na terenie wsi Chodaczków Mały i Zwarycz Stefan - na terenie wsi Krasówka. Mowa jest też o zamordowaniu w tym czasie ośmiu innych czernielowian, jednak bez podania nazwisk. Informacja o tych ofiarach terroryzmu nie jest potwierdzona w innych źródłach. Starsi byli mieszkańcy Czernielowa też nie wspominają o tak licznej grupie zamordowanych lub zaginionych ziomków.

Trudno powiedzieć, kto przekazał informacje o przygotowywaniu tych napadów na mieszkańców Czernielowa Mazowieckiego autorowi opracowania o ofiarach terrorystów ukraińskich spod znaku OUN-UPA na ludności polskiej. O niektórych z nich w swoich *Wspomnieniach z Tarnopolszczyzny*… pisała Jadwiga Podleska, która dodała również trzy zdania o udaremnieniu innego planowanego napadu banderowców, tym razem w Tarnopolu: *Od siebie dodam jeden szczegół: chyba pod koniec lutego 1944 r. upowcy naznaczyli w Tarnopolu domy zamieszkałe przez Polaków kawałeczkami gałązek świerkowych. Dowiedział się o tym dr Karaczko - Ukrainiec i dyskretnie Polaków uprzedził. Domy zostały ze „znaków" oczyszczone i napad nie doszedł do skutku.*

O lekarzu Karaczce w przypisach do *Relacji o placówkach AK* … Jadwigi Podleskiej Jerzy Stopa dodał, że uprzedził on rodzinę naczelnika stacji w Borkach pp. Nawłoków o grożącym im niebezpieczeństwie ze strony UPA, dzięki czemu zdołali się uratować.

W nawiązaniu do postawy lekarza Lucjana Karaczki i księdza greckokatolickiego Józefa Krawczuka warto przypomnieć sygnalizowaną już w I tomie, w podrozdziale *Rzemiosło i inne zajęcia* informację o tym lekarzu, którego nazwisko wraz z nazwiskiem księdza Krawczuka znalazło się w *Księdze sprawiedliwych…* wśród ponad tysiąca Ukraińców pomagających w czasie wojny Polakom zagrożonym terroryzmem.

Obydwaj mieszkańcy Borek Wielkich figurują w opracowaniu Romualda Niedzielki *Kresowa księga sprawiedliwych 1939–1945. O Ukraińcach ratujących Polaków poddanych eksterminacji przez OUN i UPA*. Oto treść zapisu w księdze: *Czernielów Mazowiecki, gmina Borki Wielkie – wieś z przewagą ludności polskiej nad ukraińską, licząca ponad 1300 mieszkańców. W grudniu 1943 r. banderowcy planowali napad na Polaków. Według relacji kilku osób zapobiegli temu dwaj Ukraińcy, ksiądz greckokatolicki o nazwisku Krawczyk i lekarz medycyny Lucjan Karaczko. Źródło: H. Komański, S. Siekierka, Ludobójstwo..., s. 364.*

Księga sprawiedliwych jest nawiązaniem do tytułu honorowego *Sprawiedliwy wśród Narodów Świata*, przyznawanego przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie od 1963 roku. O przesłaniu opracowania Romualda Niedzielki w jednej z recenzji napisano: *W książce odnotowano wydarzenia w 500 miejscowościach (na terenie województw: wołyńskiego, poleskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego lwowskiego, rzeszowskiego i lubelskiego), w których z rąk OUN-UPA poniosło śmierć blisko 20 tysięcy Polaków. Część skazanych na zagładę polskich mieszkańców otrzymała pomoc humanitarną ze strony ukraińskich sąsiadów, zazwyczaj członków rodzin mieszanych, krewnych lub przyjaciół, czasem nieznajomych, kierujących się chrześcijańską miłością bliźniego, w sporadycznych przypadkach – także ze strony katów. Zachowani we wdzięcznej pamięci ocalonych Ukraińcy – główni bohaterowie*

tej książki (ponad 1300 osób, niestety częstokroć anonimowych) zasłużyli na zaszczytne miano „sprawiedliwych" i na publiczne uhonorowanie, ponieważ z narażeniem życia, indywidualnie, a nawet całymi rodzinami, przeciwstawili się czynnie ludobójstwu. Ostrzegali przed napadem, udzielali schronienia, wskazywali drogi ucieczki, zaopatrywali w żywność i ubranie, przewozili w bezpieczne miejsce, do lekarza czy szpitala, przyjmowali pod opiekę, a nierzadko na długoletnie wychowanie sieroty po zamordowanych, odmawiali wykonania rozkazu zabicia członka własnej rodziny – np. żony lub męża – narodowości polskiej. Dzięki aktom solidarności i miłosierdzia ocalały zarówno pojedyncze osoby, jak i całe wsie (łącznie ponad 2,5 tysiąca osób). Kilkuset Ukraińców wykonawcy „akcji antypolskiej" ukarali śmiercią, uważając udzielanie pomocy „Lachom" za zdradę ukraińskich ideałów narodowych.

Uzupełniając wcześniejszą notkę biograficzną o ukraińskim lekarzu, można dodać kilka słów o nim z opracowania *Великі Бірки. З глубини віків до наших днів* (Borki Wielkie. Od dawnych wieków do naszych dni): *Do lat 30. nie było w Borkach Wielkich żadnej medycznej instytucji, żadnego lekarza. W 1933 roku lekarz Karaczko kupił tu dom i otworzył prywatny gabinet lekarski. Karaczko był jedynym lekarzem w całej okolicy. Zwracali się do niego mieszkańcy nie tylko z Borek Wielkich, ale i z okolicznych wsi. Usługi lekarza były płatne. Ale nie zawsze i nie wszyscy w tym czasie mieli pieniądze. Dlatego mieszkańcy nieśli do lekarza jako opłatę wszystko, co mieli w swoim gospodarstwie: coś z drobiu, mleko i przetwory, jajka itd. Będąc czułym i dobrym człowiekiem, lekarz Karaczko przyjmował i często udzielał pomocy wielu biednym ludziom, których nie stać było na opłacenie leczenia. U siebie w domu miał wyposażony gabinet medyczny, który w razie potrzeby służył za salę operacyjną. Tu zostawiał też chorych po operacji, jeżeli była potrzebna pielęgnacja przez jakiś czas. W końcu marca 1944 roku lekarza Karaczkę zaaresztowały organy NKWD. Skonfiskowano jego mienie, a jego samego odprawiono do Zbaraża, gdzie go przesłuchiwano. Zaznawszy poważnych szykan, udało się mu wyjechać w następnym roku do Polski. Wśród mieszkańców wsi doktor Karaczko zostawił po sobie dobrą pamięć.* (tłum. K.M.)

Inną wersję wyjazdu do Polski doktora Karaczki przedstawił Zbigniew Woźny w swojej gawędzie pt. *Od Czernielowa Mazowieckiego do Sobornego*. Według niego doktor Lucjan Karaczko po 1945 roku zamieszkał w Tarnopolu, pracował w zawodzie. Jego pacjentami byli między innymi mieszkańcy Żukowa, dawnego Czernielowa. W 1957 roku wyjechał do Polski, najpierw przebywał w Poznaniu, następnie zamieszkał w Krakowie, gdzie zmarł w 1986 roku.

Mając na uwadze przedstawione uprzednio informacje o przygotowywanych nieskutecznych napadach band UPA na Czernielów Mazowiecki, konieczne jest przywołanie, co na ten temat napisał w swoich *Wspomnieniach-zapiskach* Jan

Bachalski. Okazało się, że w 1944 roku nastoletni wówczas Jan Bachalski wraz z kolegę wpadli na pomysł upozorowania napadu na wieś. Zrobili to w celu zwiększenia czujności i bezpieczeństwa osób, które chronili. Po latach opisał to zdarzenie następująco: *Pod koniec stycznia 1945 roku coraz mniej ludzi przychodziło do pilnowania. Wydawało mi się, że było to z dwóch przyczyn: dużego śniegu i mrozu oraz przeświadczenia, że banderowcy nie napadną na Czernielów. Sytuacja ta bardzo zaniepokoiła mnie jak i moich dwóch kolegów: Frania Rajfura i Waleriana Maliszkiewicza. Franio był bez lewej ręki, w 1942 roku rozerwał się mu zapalnik artyleryjski w rękach. W roku 1945 wraz z rodziną zamieszkał koło Trzebnicy. Walko, tak go nazywaliśmy, wraz z matką zamieszkał w Trzemesznie koło Sulęcina i zmarł w 1947 roku. W trójkę w powyższej sprawie przeprowadziliśmy bardzo poważną naradę i wówczas postanowiliśmy sfingować napad. Ustaliliśmy, że od godziny 24 do 1 na posterunek wyjdą ja i Franio Rajfur i po około 30 minutach zacznę strzelać, a Franio pobiegnie na wartownię do Błażka Chabzy, szwagra mojego brata Franciszka, ożenionego z Anielą Chabza, zawiadomić będących tam ludzi o nadchodzących banderowcach. Do tej pory przebiegało wszystko z planem, natomiast zachowanie ludzi przeszło nasze oczekiwania. Ludzie rozbiegli się po swoich domach i sąsiadach i zaczęli uciekać do centrum wsi. Tam było na majątku paru ruskich żołnierzy i istriebitelnyj batalion składający się z mężczyzn niezabranych do wojska, tam był też mój ojciec. Jak zobaczyłem uciekających ludzi, kobiety z dziećmi na rękach, starszych ludzi w tym śniegu, konie i krowy po podwórkach, na drodze, wystraszyłem się okropnie. Widok to był przerażający. Po pewnym czasie zjawili się na naszym odcinku ruscy żołnierze i mężczyźni z istriebitielnego batalionu, między innymi był tam mój ojciec. Strzelanina była straszna, chodziło o odstraszenie banderowców i to się nam udało, bo banderowcy nie dotarli do wioski. Bo ich tam nie było.*

Sytuacja ta trwała do rana. Również Franio i Walko wystraszyli się. Po krótkiej dyskusji uzgodniliśmy, że nasze kłamstwo nie może zobaczyć światła dziennego. Gdyby się ludzie, żołnierze i stribki dowiedzieli, że nasza akcja to kłamstwo, nie mielibyśmy życia w naszych rodzinach. Ustaliliśmy, że musimy złożyć uroczystą przysięgę, że nikomu, nawet rodzicom nie powiemy. Inspiratorem złożenia przysięgi był strach przed ludźmi. No i oczywiście wtedy, by nikt w ogóle nie przyszedł na wartę, a to mogło się źle skończyć, gdyby naprawdę przyszli banderowcy. Po tej akcji ze wszystkich domów zjawiali się ludzie, a w chatach nie było gdzie usiąść, ponieważ było około 20 osób. Po paru dniach dowiadujemy się, a tę informację przyniósł mój ojciec, że na wieś Łozowa, 7 km, a może mniej od Tarnopola, napadli banderowcy i zamordowali, jak się nie mylę 108 osób, w tym sporą ilość małych dzieci. Tuż po tym morderstwie, w tym samym dniu był tam ojciec i wszystko to widział. Opowiadał o poobcinanych głowach, dzieciach porozbijanych,

krwi na ścianach. Nie można było słuchać, jedna okropność. Od tego czasu do końca maja 1945 roku ze wszystkich domów przychodzili ludzie na wartę.

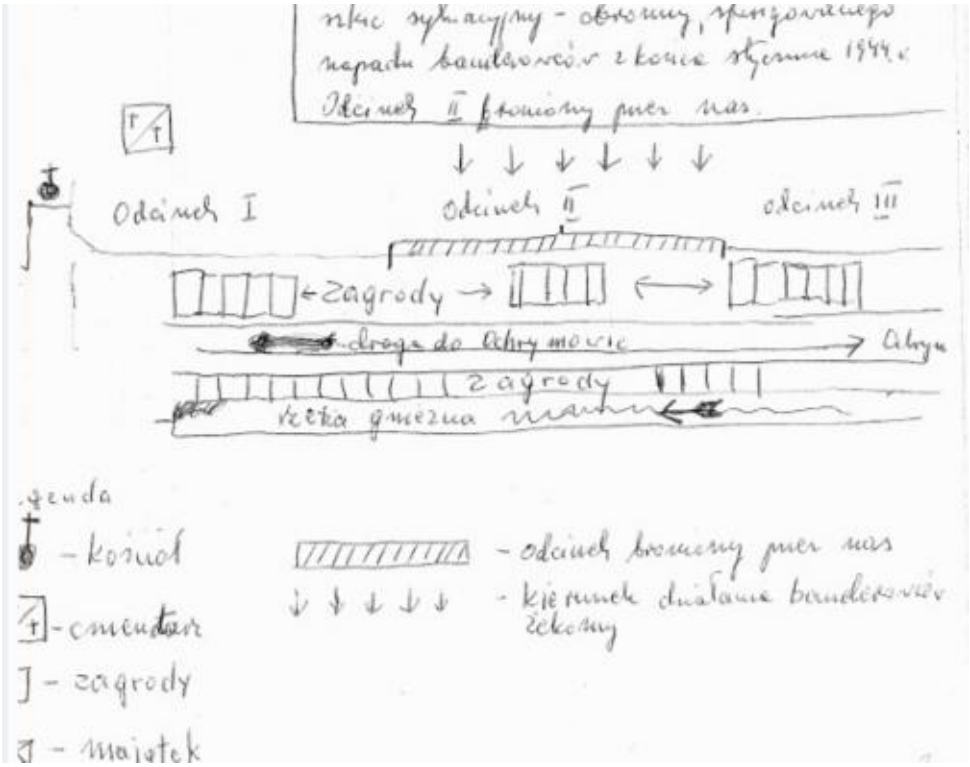

Szkic sytuacyjny obrony w czasie sfingowanego napadu banderowców w Czernielowie Mazowieckim

Po nocy, w której miał miejsce sfingowany napad, wróciłem do domu i położyłem się spać. Koło południa przyszła do nas sąsiadka i opowiada mamie, że pod wieś podeszli banderowcy i Jasio ich odgonił. Mama zdziwiona, o niczym nie wie. Wówczas mnie obudziła i się pyta, czy to prawda. Odpowiedziałem, że tak. Pyta więc dlaczego nie przybiegłem do domu zawiadomić, że idą banderowcy. Wówczas zacząłem wymyślać, że musiałem strzelać, a jak już banderowcy odeszli, to nie trzeba było uciekać. Czy mama w to uwierzyła, tego nie wiem. Wydaje mi się, że oboje z ojcem doszli do wniosku, że ja kłamię, ale nie robili mi żadnych wstrętów.W każdym bądź razie akcja się udała na pięć. O tym „napadzie" ojcu powiedziałem gdzieś w 1948 roku. Ojciec powiedział, że jakoś mu się nie chciało w to uwierzyć. I miał rację.

Czytając ten fragment *Wspomnień-zapisków* Jana Bachalskiego, należałoby sprostować podaną przez niego informację o okresie rozluźnienia dyscypliny i nieprzychodzenia mieszkańców Czernielowa na warty pod koniec stycznia 1945 roku. Mając na uwadze, że zbrodnia w Łozowej miała miejsce 28 grudnia 1944 r., okres kilku dni przed tą datą to czas przedświąteczny w grudniu 1944 roku. Prawdopodobnie wtedy w atmosferze przygotowań do zbliżających się świąt Bożego Narodzenia młodzi chłopcy zauważyli lekceważenie zagrożenia, brak zainteresowania starszych mieszkańców sprawami samoobrony i koniecznością stałego czuwania nadbezpieczeństwem całej wsi.Wtedy przejęli inicjatywę.

Jan Bachalski napisał również o okolicznościach śmierci Juliana Zarzyckiego, jednak pisząc po latach wspomnienia, podał nazwisko Mielnik a nie Zarzycki. *Ojciec jako członek istriebitielnego batalionu brał udział w wyłapywaniu banderowców. Z Czernielowa, służąc w oddziale, zginęło dwóch mężczyzn: Zwarycz i Julian Mielnik. Byłem uczestnikiem pogrzebu Juliana Mielnika. Widziałem jego zwłoki, przede wszystkim twarz. Wyglądała okropnie, była zmasakrowana. Prawdopodobnie był przywiązany kolczastym drutem (...) Banderowcy w dzień chowali się w różnych dziurach pod budynkami, trudno było ich znaleźć, zaś w nocy wyłazili i robili, co chcieli. Dlatego Ruscy zarządzali akcje wyłapywania ich w nocy. Ojciec na wszystkich takich akcjach był i właśnie podczas tych łapanek zginęli Zwarycz i Mielnik. Łapanki polegały na tym, że IB pod dowództwem Ruskich wpadał do ukraińskiej wsi i po wszystkich chatach szukał mężczyzn. Zabierano ich bez legitymowania, bo skoro nie wojsko - to banderowiec. W tych sytuacjach miały miejsce różne przypadki. Julian Mielnik na chwilę oddalił się i wówczas został porwany przez banderowców. Inny przypadek opowiadał ojciec. Naszli na siebie banderowiec i Polak i obydwu zacięły się karabiny. Polak od banderowca dostał po grzbiecie i uciekł. Osobiście znałem tego mężczyznę. Nazywał się Franciszek Walusz i wówczas miał 16 lat. Zmarł w Sulęcinie w wieku 18 lat.*

Wspominając latem 2018 roku śmierć Juliana Zarzyckiego, Franciszek Błaszkiewicz dodał, że był on jakiś czas na froncie. Ale w czasie urlopu w Czernielowie poprosił o przeniesienie do istriebitielnych batalionów i taką zgodę z wojska uzyskał. W jednej z akcji przeciwko banderowcom poza Czernielowem trafił do niewoli i za wioską został zabity.

O urodzonym w 1928 roku Stefanie Zwaryczu, a więc w 1944 roku 16-letnim chłopcu, Franciszek Błaszkiewicz opowiedział, że poszedł z rozkazem i słuch o nim zaginął.

Nawiązaniem do opisanych zdarzeń związanych ze śmiercią członków czernielowskiej samoobrony jest podawana przez Zbigniewa Woźnego informacja z 1. księgi 49. tomu upowskiego latopisu zatytułowanego *Wisty s terenu ta Wisty z Ternopilszczyny 1943-1950,* (Wieści z terenu i wieści z Tarnopolszczyzny 1943 -1950). Pod datą 25 stycznia 1945 r.w latopisie napisano: *Bolszewiccy partyzanci, którzy stacjonują w Czernielowie Mazowieckim w liczbie 70 osób, dokonali wypadu rabunkowego na wsie: Stupki, Czołhańszczyzna, Czernielów Ruski. Biorą wszystko, co wpadnie im w ręce.*

Ta akcja była zorganizowana po fali zbrodniczych napadów UPA, które miały miejsce pod koniec 1944 roku, w tym w niedalekiej Łozowej. Ukraińska kronika poza stratami materialnymi nie odnotowała ofiar w ludziach.

Pisząc o samoobronie i istriebitielnych batalionach, trzeba przypomnieć o nieszczęśliwym wypadku, który miał miejsce pewnej niedzieli w domu Woźniaków

w Czernielowie. Jak opisywała to w *Historii rodzinnej* Stefania Górska, z d. Woźniak, a latem 2018 roku opowiadał Franciszek Błaszkiewicz, gdy po raz drugi do wsi przyszli Rosjanie w centrum wsi, właśnie w domu Woźniaków, tak jak za Niemców mieściła się tak zwana kancelaria. W tym pomieszczeniu miały miejsce zbiórki i w czasie pełnienia warty na odpoczynek przychodzili młodzi chłopcy, striebki, członkowie istriebitielnego batalionu. W tym dniu jeden z nich, Marian Łohin, leżał na piecu czy pryczy i odpoczywał. Drugi natomiast czyścił karabin, zamknął zamek i nie zauważył, że tym samym załadował nabój do komory. Gdy skierował karabin w stronę kolegi i pociągnął za spust broń wystrzeliła. Marian Łohin został postrzelony w twarz. Chłopiec podniósł się, z raną w głowie stanął koło pieca i powiedział: *Ja już nie będę żył* i upadł. Przyjechali Rosjanie, zawieźli go do szpitala, ale chłopak zmarł.

Obok chłopców, którzy w listopadzie 1941 roku zginęli w czasie próby wykręcenia zapalników pozostawionych w pancernym samochodzie, był kolejną ofiarą wojny, nie na froncie, lecz w wyniku niefrasobliwego obchodzenia się z bronią przez młodych ludzi.

Wspominając te wypadki, trzeba podkreślić, że wojna jakby oswoiła dzieci z niebezpieczeństwem i zamiast skłonić do rozsądnego postępowania i unikania sytuacji niebezpiecznych, wywoływała u dzieci i młodych ludzi zachowania powodujące zagrożenie ich życia lub narażające na kalectwo. Tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności dzieci i młodzież mogły zawdzięczać, że niekiedy ich nieodpowiedzialne zachowanie nie zakończyło się tragicznie.

Pisała o tym między innymi Stanisława Bodnar, z d. Mielnik, we wspomnieniach *Moje życie, mój los*:

Niebezpieczną zabawą, której wspomnienie dziś jeszcze wywołuje u mnie przerażenie, było zbieranie przeze mnie do fartuszka granatów i układanie ich na parapetach okien w domu. Wtedy nie czułam żadnego lęku, bo nie zdawałam sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa. Ta „zabawa" powtarzała się kilkakrotnie. Przerwał ją żołnierz kwaterujący u nas. Przerażony zgromadzonym przeze mnie „arsenałem broni" zawołał mamę i uświadomił ją, czym to grozi.

Powiedział też, że trzeba częściej kontrolować tę niesforną dziewczynę. Granaty zostały zabrane przez żołnierzy, a ja otrzymałam surową naganę od mamy. Zdarzeniem równie niebezpiecznym było strzelanie przez brata z karabinu przy użyciu wycioru. Włożony do lufy karabinu i wystrzelony wycior wydawał charakterystyczny świst. Przy którymś kolejnym wystrzale rozerwało zamek karabinu i część zamka raniła brata w rękę. Mama była wtedy w Tarnopolu. Pierwszej pomocy udzieliła sąsiadka Anna Gęślowska, tamując krew chlebem i owijając rękę jakąś białą ściereczką. Zaraz na koniu brat pojechał do lekarza w Borkach Wielkich, który opatrzył ranę i założył właściwy opatrunek. Ta lekkomyślna zabawa pozostawiła

trwały ślad uszkodzenia bratu ręki. Gojenie rany i przywrócenie sprawności palców trwało ponad rok czasu. Jeszcze teraz dłoń ta jest lekko zniekształcona.

Jan Bachalski, opisując w swoich wspomnieniach przygotowany przez niego i dwóch kolegów Frania Rajfura i Waleriana Maliszkiewicza fikcyjny napad UPA na Czernielów, przypomniał, że *Franio był bez lewej ręki, w 1942 roku rozerwał się mu zapalnik artyleryjski w rękach.*

Zapewne nie były to jedyne przykłady niefrasobliwych zabaw dziecięcych, które spowodowały uszkodzenie ciała i pozostawiły trwały ślad na całe życie, ale te zostały opisane i można je przypomnieć.

Przykładem obrazu wojennej rzeczywistości i stałego narażenia ludzi w tym czasie na niebezpieczeństwo może być opowieść, która przetrwała w jednej z czernielowskich rodzin. Przed wojną rodzina Ziembów: rodzice Andrzej i Stefania, z d. Lak i dzieci Weronika i Jan przeprowadzili się z Czernielowa Mazowieckiego do tak zwanej Butkowszczyzny, kolonii składającej się z kilku domów, położonej za Romanowym Siołem, w drodze do Kamionek. Gdy urodzony w 1911 roku Andrzej Ziemba poszedł do wojska na wiosnę 1944 roku, a coraz częściej dochodziły słuchy o morderstwach na Polakach, jego żona z dziećmi, bojąc się o swoje życie, zostawiła całe gospodarstwo na łasce losu i wróciła do Czernielowa. Zamieszkała z rodziną swojej siostry Marii Kozłowskiej, z d.Lak. Nazywano ich „Baje". Kiedy zaczęło brakować karmy dla zwierząt, Stefania Ziemba zaproponowała siostrze skorzystanie z zapasów siana z koniczyny, które zostało w ich gospodarstwie w Butkowszczyźnie. Sama jednak bała się jechać. Pojechały Maria Kozłowska z sąsiadką Zofią Kuryluk. Kiedy jechały wozem po siano, po drodze spotykały na polach Ukraińców. Kobiety, życząc im, Szczęść Boże, zwracały się do nich po ukraińsku, tak aby nie rozpoznali je, że są Polkami. Po udanym pierwszym razie, kiedy przywiozły siano, postanowiły pojechać jeszcze raz. Jednak następnym razem było inaczej. Na podwórku poczuły się nieswojo. Coś było nie tak. Okna w domu były pootwierane. Ogarnął je strach. Załadowały koniczynę na wóz, pozbierały do kosza jaja, których wszędzie było pełno, bo kury w gospodarstwie zostały, i pośpiesznie odjechały. W drodze powrotnej przy zjeździe z górki nagle z dwóch stron zaczęła biec w ich kierunku grupa Ukraińców z bronią. Jeden z nich chwycił konie za uzdę i nie pozwolił kobietom, mimo ich prośby dalej jechać. Kiedy na moment puścił uzdę, Maria Kozłowska uderzyła konie batem i konie ruszyły szybko pod górę. Ukraińcy zaczęli strzelać, konie jeszcze bardziej przyśpieszyły. Z drugiej strony od Tarnopola nadjechali samochodem Rosjanie, wywiązała się strzelanina. Ukraińcy uciekli, niektórzy zginęli. Kobiety wróciły do Czernielowa.

Ofiarami nacjonalistów ukraińskich było wielu księży, zakonników i zakonnic. Jak można przeczytać w opracowaniu s. Agnieszki Michna pt. *Siostry zakonne-ofiary zbrodni nacjonalistów ukraińskich na terenie metropolii lwowskiej obrządku*

łacińskiego w latach 1937-1947 na terenie archidiecezji lwowskiej z rąk nacjonalistów ukraińskich zginęło 35 kapłanów, a 16 było represjonowanych, zamordowanych zostało 18 sióstr zakonnych.

Wśród ofiar były dwie siostry zakonne i jednocześnie siostry rodzone Anna i Helena Żarkowskie urodzone w Czernielowie Mazowieckim. Wspomniano o nich w I tomie w rozdziale *Historia wsi*. Obydwie były w Zgromadzeniu Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej. Zakonnice z tego zgromadzenia popularnie nazywano służebniczkami starowiejskimi od siedziby ich zgromadzenia w Starej Wsi w powiecie brzozowskim.

Starsi mieszkańcy dawnego Czernielowa pamiętali, jak siostry te przyjeżdżały w odwiedziny i na urlop do rodziny Żarkowskich. Przebywały też przez jakiś czas w rodzinnej wsi na początku wojny i później, gdy nasiliła się fala zbrodni nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej.

Maria Cieplak, z d. Piotrowska, w październiku 2014 roku wspominała, że jedna z sióstr była przełożoną ochronki, obydwie uczyły dzieci. Opowiadała też, że: *Miały tam ziemię, konia, krowę, im dobrze tam było. Gdy wybuchła wojna, mój wujek konie założył i przywiózł je do siebie, do Czernielowa. Siostry zakonne znały się na ziołach, w czasie pobytu w rodzinnej wsi leczyły dzieci, które przynoszono do nich. Jak Niemcy do nas przyszli, z powrotem poszły na Wołyń, tam ich banderowcy pomordowali.*

Szczegółowe informacje o siostrach Żarkowskich służebniczkach starowiejskich i ich pracy na rzecz biednych i chorych zaczerpnięto z biogramów udostępnionych Ryszardowi Bachalskiemu przez s. Małgorzatę z Domu Generalnego Sióstr w Starej Wsi.

S. Anna Żarkowska przyszła na świat 30 lipca 1882 r. jako córka Michała Żarkowskiego i Pelagii Synyci, została ochrzczona w kościele greckokatolickim w Czernielowie Ruskim. Do zgromadzenia wstąpiła 22 lutego 1902 r., pierwsze śluby złożyła w 1905 roku w Starej Wsi, a wieczyste 22 sierpnia 1918 r. w Biłce Szlacheckiej.

S. Anna przebywała na następujących placówkach: w Kędzierzawce i Jędrzejówce pracując w kuchni, prowadziła ochronkę: w Rudzie, w Tłumaczu i w Dydni. W latach 1920–1924 obsługiwała chorych w Krasnem, a następnie w Butynach. Od 1926 roku do końca życia pełniła obowiązki przełożonej domu, a równocześnie obsługiwała chorych: w Swaryczowie, Jasionowie, Jędrzejówce i w Pauszówce, a od 1937 roku – w Hnilicach. Przy pomocy władz wojskowych jednostki granicznej, udało się siostrom zorganizować dożywianie dla dzieci z ubogich rodzin.

Jej życie zakonne było pełne poświęcenia i pracy dla chorych i potrzebujących pomocy. Swoją dobrocią, pracowitością i pokorą zachęcała współsiostry do

podobnego postępowania i ofiar na rzecz najbiedniejszych. Cieszyła się zaufaniem ludności ze wszystkich warstw społecznych, zarówno inteligencji, jak i ludności wiejskiej. Jako przełożona otaczała siostry opieką, dbała o ich zdrowie i potrzeby materialne. Zarówno wobec sióstr we wspólnocie, jak i wobec osób świeckich była miła, serdeczna, taktowna, cierpliwa. Umiała łagodzić wszelkie spory.

Młodsza siostra Anny - Antonina Żarkowska urodziła się 25 lipca 1893 r. Chrzest święty przyjęła 27 lipca 1893 r. w kościele rzymskokatolickim w Czernielowie Mazowieckim. Do Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP wstąpiła 20 kwietnia 1911 r., przyjęła imię zakonne Helena. Jako nowicjuszka pracowała w Duńkowicach, a potem w Grzymałowie. Ze względu na trwającą wojnę, pierwsze śluby złożyła dopiero 23 kwietnia 1919 r., a wieczyste 12 października 1928 r. w Starej Wsi.

Prowadziła ochronkę w Sanoku, następnie w Kutkorzu, pracowała jako wychowawczyni sierot w Tłumaczu, a potem w Kołomyi. Zajęcia z dziećmi ochronkowymi prowadziła w Hołodówce, Hnilicach i Rączynie. Była też wychowawczynią sierot w Zawierciu. Prowadziła ochronkę w Kłodnicy, Wyżnianach, Uwiśle, Pauszówce, Stryjówce i od 1937 roku do 1944 roku – ponownie w Hnilicach. Na tej ostatniej placówce w czasie wolnym od zajęć z dziećmi, prowadziła kuchnię. Przełożoną domu była jej rodzona siostra, s. Anna.

Siostry Żarkowskie pracowały przeważnie na Wschodzie ze względu na znajomość języka ukraińskiego, gdyż fundatorzy życzyli sobie, aby siostry przyjmowały do ochronek wszystkie dzieci. Ostatnia ich placówka to Hnilice. Ochronka została założona tam przez Jadwigę Sapieżynę w 1887 roku w dobrach jej syna Adama, późniejszego kardynała w Krakowie. W 1908 roku Hnilice zostały sprzedane innym właścicielom.

Od początku do ochronki uczęszczały dzieci narodowości polskiej i ukraińskiej. Zajęcia odbywały się od maja do października przez pięć godzin dziennie, w razie potrzeby siostry prowadziły dożywianie dzieci z uboższych rodzin.

Ponadto siostry prowadziły ożywioną działalność: dla dorosłych i młodzieży organizowały wieczornice, organizowały różne akademie i przedstawienia; w niedzielę i święta zbierano się w ochronce na nabożeństwa i czytanie książek. W marcu prowadziły godzinki do św. Józefa, w Wielkim Poście drogę krzyżową i gorzkie żale. Zainicjowały też żywy różaniec. Przez cały czas opiekowały się kaplicą. Pomagały także księżom w katechizacji dzieci szkolnych. Dla dziewcząt organizowały również kursy kroju i szycia.

Siostry ofiarnie spieszyły z pomocą chorym i potrzebującym, niosąc ulgę w cierpieniu. Tak było również w czasie II wojny światowej do momentu nasilenia zbrodniczych akcji band UPA. Wtedy schroniły się u rodziny w Czernielowie. Ale po jakimś czasie podjęły decyzję o powrocie.

S. Agnieszka Michna, autorka wspomnianego opracowania o tragicznej śmierci sióstr Żarkowskich napisała:

2 listopada 1944 roku męczeńską śmiercią w Hnilicach Wielkich (dekanat Skałat, powiat Zbaraż, województwo tarnopolskie) zginęły dwie rodzone siostry Anna i Helena Żarkowskie, służebniczki starowiejskie. W Hnilicach Wielkich siostry prowadziły ochronkę dla dzieci oraz kursy kroju i szycia. Pielęgnowały też chorych oraz zajmowały się pracami przykościelnymi. W czasie zagrożenia ze strony nacjonalistów ukraińskich obie siostry wyjechały w rodzinne strony. Po powrocie zastały prawie pusty dom. Zwróciły się do mieszkańców Hnilic Wielkich (przeważali Ukraińcy, Polacy stanowili około 25% ludności) z prośbą o odzyskanie choćby części rzeczy. Obiecano im, że wkrótce wszystko zostanie oddane. Jednakże parę dni później, 2 listopada 1944 r. do domu sióstr przyszło kilku mężczyzn z poleceniem natychmiastowego opuszczenia mieszkania. Na podwórzu przed domem kazali siostrom wykopać dół, po czym udusili je sznurami i wrzucili do niego.

Wydarzenia te opisała w 1965 roku Józefa Kierek na podstawie relacji ówczesnego organisty: „Na podwórzu podali im szpadle i zmusili do kopania dołu. Gdy był już wykopany, zarzucili Siostrom na szyje sznury i zepchnęli następnie Siostry w ten dół. Mężczyźni, trzymając za końce sznurów, dotąd potrząsali uwiązanymi ofiarami, aż sznury wpiły się w ich ciała. Wtedy spuszczono na dno i przysypano ich ziemią."

Siostra Anna miała 62 lata, siostra Helena 51 lat.

Pisząc o siostrach Annie i Helenie, trzeba wspomnieć jeszcze jedną siostrę zakonną służebniczkę starowiejską pochodzącą z rodziny Żarkowskich. Miała na imię Katarzyna, była córką Michała Żarkowskiego i Marianny Zaryczańskiej. Urodziła się w Czernielowie 22 października 1885 r. Do Zgromadzenia Sióstr Służebniczek wstąpiła w 1902 roku, śluby złożyła w 1909 roku. Przyjęła imię s. Rafaela. Jako profeska przerobiła kurs koszykarstwa ozdobnego we Lwowie. S. Rafaela zmarła na gruźlicę płuc 19 czerwca 1913 r. w Starej Wsi w 28. roku życia.

Wojnę przeżyła bezpiecznie pochodząca z Czernielowa s. Maria Izabela Mielnik. Urodziła się 6 września 1889 r. jako córka Mikołaja Mielnika i Marii Żarkowskiej. Przy rodzicach ukończyła szkołę ludową i 16 listopada 1907 r. w wieku 18 lat wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP. Pierwsze śluby zakonne złożyła 19 września 1911 r., a wieczyste 29 października 1920 r.

W początkach życia zakonnego pracowała w kuchni; jako nowicjuszka II roku nowicjatu wyjechała w latach 1909-1910 do Konstancji, następnie była w Swaryczowie i w Jasionowie. W 1913 roku przeszła do pracy wychowawczej przy dzieciach w ochronce i pełniła ją kolejno: w Kędzierzawcach, w Kamionce Strumiłowej, w Żurawnie łącznie z opieką nad kościołem, w Potoku Złotym, w Czarnołożcach, w Bucniowie i w Trembowli. Od 1929 do 1935 roku była

wychowawczynią Zakładach Sierot w Turkowicach i w Tomaszowie Lubelskim. Następnie kilka miesięcy uczyła dzieci w ochronce w Rzepińcach i w Horodnicy łącznie z opieką nad kościołem oraz przez kilka miesięcy 1937 roku była wychowawczynią w zakładzie w Borysławiu.

W 1937 roku zlecono s. Izabeli przełożeństwo w Obertynie. Nie było ono łatwe, gdyż przypadło na lata II wojny światowej. Przeżywała bombardowanie, ucieczkę do wsi Dżurków i kilkutygodniowy pobyt u ludzi świeckich. Po powrocie do Obertyna nadal pełniła przełożeństwo i opiekowała się chorymi aż do 1945 roku, to jest do czasu wysiedlenia i wyjazdu transportem na tereny zachodnie, do Środy Śląskiej. Pełniła tu obowiązki przełożonej przez dwa lata, do czasu likwidacji placówki, a następnie do 1954 roku w Humniskach

S. Maria Izabela Mielnik

Po zakończeniu kadencji pozostała jeszcze na placówce jako podwładna, następnie w 1955 roku wyjechała do siedziby Zgromadzenia w Starej Wsi i pracowała w trykotarni. W 1956 roku została przeniesiona do Jasienicy Rosielnej, gdzie przez kilkanaście lata pracowała w kuchni.

W ostatnich latach pobytu na tej placówce raczej służyła już tylko chętną pomocą młodszym siostrom, gdyż z racji wieku i stanu zdrowia nie była już zdolna do pełnienia obowiązku. Poważnie chora została przewieziona w 1971 roku do Starej Wsi i umieszczona na oddziale sióstr chorych, gdzie miała dobrą opiekę duchową i pielęgniarską. Zmarła w marcu 1972 roku.

Również te informacje o s. Rafaeli i s. Izabeli pochodzą z ich biogramów udostępnionych przez s. Małgorzatę z domu generalnego Sióstr w Starej Wsi.

Krzyż i dwie tablice z listą zamordowanych przez UPA polskich mieszkańców Berezowicy Małej w lutym 1944 r.

Okoliczności i skala zbrodni nacjonalistów ukraińskich to jedna z największych tragedii, jaka spotkała Polaków mieszkających na wschodzie Rzeczpospolitej Polskiej w XX wieku. Pamięć i trauma tych, którzy w tym czasie znajdowali się w zasięgu działania band UPA, towarzyszyła im do końca życia.

Na wojennym szlaku

Powstanie warszawskie upadło 2 października 1944 r. Stacjonujący pod Warszawą żołnierze 1. AWP długo rozpamiętywali jego klęskę, straty, jakie ponieśli, udzielając pomocy powstańcom. Rozpamiętywali śmierć kolegów. Dla większości z nich było to pierwsze zetknięcie z okrucieństwem wojny w takim rozmiarze. Armia Czerwona a wraz z nią jednostki Wojska Polskiego po jesiennej operacji karpacko-dukielskiej nie prowadzili ofensywnych operacji wojskowych. Na froncie panował pewien zastój: uzupełniano składy osobowe poszczególnych oddziałów, wprowadzano zmiany organizacyjne, leczono rannych, rehabilitowano kontuzjowanych, gromadzono broń, zapasy amunicji i paliwa. Przygotowywano się do zimowo-wiosennej ofensywy, do walk o Wał Pomorski, do operacji berlińskiej. Jak wcześniej wspomniano formowano oddziały 2. Armii Wojska Polskiego.

Oto okres wyczekiwania opisany we wspomnieniach *Żołnierski chleb* Józefa Mielnika, który wcześniej notował, że jego jednostkę po powstaniu zakwaterowano w Porębie koło Mińska Mazowieckiego, a po trzech tygodniach jego pluton wyznaczono do ochrony sztabu, który mieścił się na Starym Brudnie: *Obok cmentarza stał duży dom mieszkalny, tam kwaterował sztab pułku. A nasza placówka to cmentarz. Była tam trupiarnia i duży grobowiec, gdzie kwaterowaliśmy. Mijały miesiące, a linia frontowa stała w miejscu. W późniejszym czasie staliśmy w Jabłonnie koło Pragi i tam świętowaliśmy Boże Narodzenie 1944 roku i Nowy Rok.*

Józef Mielnik w listopadzie 1944 r.

Przypominam sobie, jakie to były święta, a w szczególności wigilijny Święty Wieczór. Chcieliśmy i tu na froncie podzielić się opłatkiem, jak w naszych rodzinach i złożyć sobie szczere życzenia. Zrobiliśmy stół zbity z desek w ziemiance, zaścielono go pałatką, a najstarszy wiekiem żołnierz pokrajał czarny, frontowy chleb na kawałeczki i każdemu z osobna dawał. Życzyliśmy sobie dożyć końca wojny, całowaliśmy się i niejednemu łezka poleciała. Przecież to tak radosna chwila. Potem pojedliśmy jęczmienną kaszę i kolędowaliśmy. No cóż, wojna to ciężki los żołnierza. Mróz dochodził do 30 stopni poniżej zera, mundur trzeba było łatać, bo nowych nie było. I buty też dziurawe były. Jedynie płaszcz przykrywał połatane drelichy, a do końca wojny było tak daleko.

W Aninie pod Warszawą do stycznia 1945 roku stacjonował pułk Józefa Czubki. Z cytowanych wcześniej jego żołnierskich wspomnień *Z Czernielowa Mazowieckiego do Wizan* wynikało, że służył w 10. pp 4. DP.

W tym czasie w okolicach Warszawy stacjonował oddział Józefa Żarkowskiego, męża siostry Józefa Czubki. Po latach obydwaj wspominali pamiętne spotkanie z tego okresu, przed rozpoczęciem ofensywy wiślańsko-odrzańskiej, utrwalone w pamięci dzięki fotografii. Józef Czubko opowiadał o tym w 2014 roku: *Tego roku zima była bardzo mroźna, spadło dużo śniegu. Przez sprawnie działającą pocztę polową dowiedziałem się z listu od mojego szwagra, że jego oddział stacjonuje blisko mojego oddziału, w odległości około 2 km. Postanowiłem go odwiedzić.*

Z lewej Józef Czubko, rocznik 1922, z prawej Józef Żarkowski, rocznik 1904, Warszawa, styczeń 1945 r.

To wydarzenie dokumentuje zdjęcie wykonane w styczniu 1945 roku w okolicach Warszawy. Na zdjęciu stoję z lewej strony, w rękach trzymam karabin. Na głowie mam założoną rogatywkę. Obok mnie stoi mój szwagier, Józef Żarkowski, w czapce uszance. Każdy z nas ma założony na sobie długi wojskowy płaszcz, przepasany pasem. Na nogach mamy buty oraz owijacze, którymi owinęliśmy łydki. To zdjęcie wysłałem swoim rodzicom. Zachowało się w zbiorach wnuka mojej siostry. Do dziś, pomimo upływu 70 lat, na jego odwrocie można przeczytać częściowo wyblakły napis: „Najdroższe Rodzice! Ja posyłam zdjęcie na pamiątkę, żeby Wy zobaczyli nas razem, jedziemy na urlop…”.

Zbigniew Woźny, wnuk Józefa Żarkowskiego, odtwarzając w 2016 roku wspomnienia o dziadku z okresu wojny dodał, że Józef Czubko trzyma w ręku pepeszę – radziecki karabin maszynowy do strzelania na bliską odległość, który był na wyposażeniu 1. AWP od 1943 roku. O służbie w wojsku Józefa Żarkowskiego napisał między innymi: *Dziadzio Józef został przydzielony do plutonu regulacji ruchu 3. kompanii (1. sbed). Bardziej dokładny przydział wojskowy dziadzia Józefa to: 1. pluton regulacji ruchu 3. kompanii 1. Samodzielnego Batalionu Ekspedycyjno-Drogowego. Zadaniem tej jednostki wojskowej było utrzymanie dyscypliny ruchu transportu samochodowego wojska w strefie przyfrontowej. Batalion wykorzystywano także do remontu dróg polnych, walki z gołoledzią, odśnieżania. Zima 1945 roku była mroźna i śnieżna. Batalion czynił przygotowania do budowy mostu niskowodnego*

w Warszawie. Ściągał cieśli, odwiedzał okoliczne tartaki. Mówiąc językiem potocznym, dokonywał kontrybucji i rekwizycji na rzecz wojska i toczącej się wojny. Ta służba wojskowa odbywała się na tyłach działań wojennych, gdy wojska sowieckie atakowały, to za wojskami frontowymi szły najpierw jednostki saperskie, które dokonywały rozminowania terenu, następnie wojska mostowe, które odbudowywały zniszczone przeprawy, następnie wojska drogowe, które remontowały szlaki komunikacyjne i na końcu szły oddziały drogowo-ekspolatacyjne. Z opowieści rodzinnych wiem, że dziadzio Józef kierował ruchem pojazdów wojskowych na drodze, wskazując chorągiewką kierunek jazdy tychże pojazdów (wspomniany pluton regulacji ruchu). Od września do grudnia 1944 roku batalion obsługiwał drogi po prawej stronie Wisły w okolicy Warszawy, z których korzystało wojsko.

Podobne spotkanie, jak szwagrowie Józef Czubko i Józef Żarkowski, w okolicach Warszawy przeżyli w tym okresie bracia Bartek i Michał Chabzowie. W swoich krótkich wspomnieniach Michał Chabza nawiązał do tego spotkania: Po powstaniu warszawskim oddział z 1. Pułku Artylerii 1. DP Bartłomieja Chabzy, w którym od lipca 1944 roku był kierowcą, stacjonował w Ząbkach pod Warszawą. Natomiast jednostka jego młodszego brata Michała, który po zgrupowaniu w Sumach i szkole podoficerskiej trafił do zwiadu przy sztabie 3. dywizji, została po powstaniu cofnięta do niedalekiego Rembertowa. W czasie świąt Bożego Narodzenia, gdy Michał dostał przepustkę, pojechał do brata do Ząbek. Potem zobaczyli się dopiero po wojnie w Trzebowie.

Prawdopodobnie nie były to jedyne spotkania krewnych i kolegów czernielowian w czasie stacjonowania żołnierzy pod koniec 1944 roku w różnych miejscowościach pod Warszawą. Dzięki poczcie polowej mieli informacje o miejscu postoju swoich jednostek i w tej ponurej wojennej rzeczywistości takie wzajemne sporadyczne odwiedziny były możliwe.

Z lewej Władysław Dziadas z 8. pp w Józefowie pod Warszawą w styczniu 1945 roku

W czasie stacjonowania w podwarszawskich miejscowościach przed rozpoczęciem operacji styczniowej żołnierze często odwiedzali zakłady fotograficzne, by zrobić sobie pamiątkowe zdjęcia, osobiste bądź z kolegami, i wysłać do rodziny. Wiele zdjęć czernielowian pochodzi z tego właśnie okresu i są cennymi pamiątkami z czasów wojny.

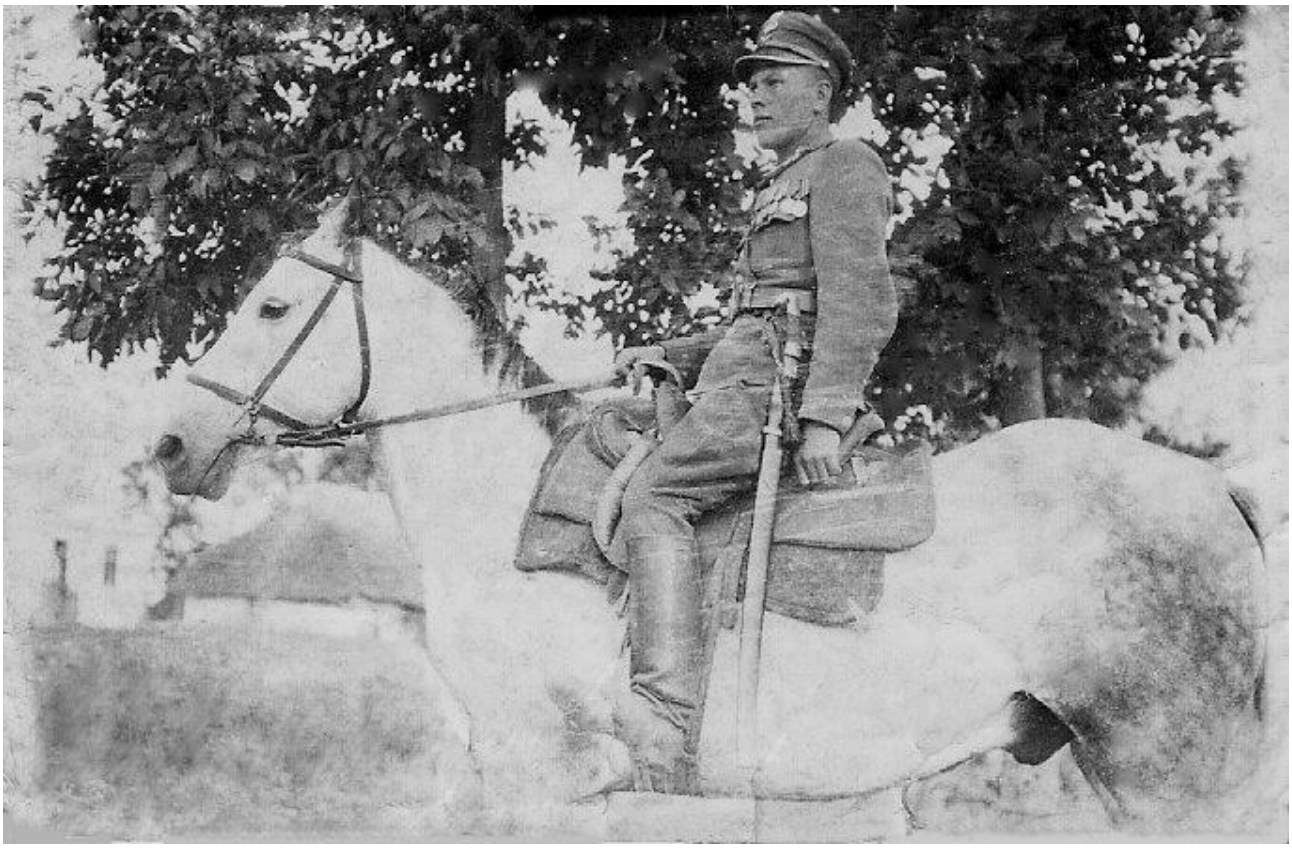

Michał Chabza z Czołhańszczyzny

Nieznany kawalerzysta z Czernielowa

Nieznani kawalerzyści z Czernielowa

W nawiązaniu do nazwy jednostki, w której służył Józef Żarkowski można dodać uwagę o innych służbach pomocniczych w wojsku, w której prawdopodobnie służyli też inni czernielowianie. Jednym z nich był Jan Murmyło, syn Andrzeja. Urodzony w 1919 roku po zmobilizowaniu z końcem marca 1944 roku, trafił na kurs do Szkoły Oficerskiej w Riazaniu. 1 lipca w tej szkole złożył przysięgę wojskową i został przydzielony do 1. AWP. Niestety, zaraz na początku żołnierskiej drogi zdarzył się wypadek, który zadecydował o jego dalszym losie. Opowiadał o tym swojej córce Dorocie: *Jechaliśmy samochodami, które bombardowano. Przed nami spadła bomba, nasz samochód wpadł do rowu. Zostałem okropnie potłuczony i prawdopodobnie przysypany. Trafiłem do szpitala do Lublina. Potem przydzielono mnie do kompanii roboczej. Stamtąd zostałem zwolniony komisyjnie 16.04.1945 r. i zaliczony do I grupy - niezdolny do służby wojskowej.*

Po wojnie mieszkał z rodziną w Trzemesznie.

W tym samym, co Józef Czubko, 10. PP 4. Dywizji im. J. Kilińskiego służył Józef Cieplak z Czołhańszczyzny, młodszy brat wspominanego na początku Tadeusza. Jego syn Stanisław opowiadał, że ojciec trafił tam po zgrupowaniu w Sumach i szkole podoficerskiej. Był działonowym w baterii moździerzy120 mm.

W zbiorze rodzinnym zachowała się pamiątkowa fotografia wykonana podczas stacjonowania jego jednostki pod Warszawą w okresie wrzesień 1944–styczeń 1945r.

Z lewej Józef Cieplak z 10. pp

Trzeba też wspomnieć o przypadkach chorób i śmierci żołnierzy w wojsku z przyczyn niejako naturalnych, nie związanych bezpośrednio z działaniami wojennymi. Do takich przypadków należy zaliczyć śmierć Justyna Hrycaja, ojca Mariana, który będąc w wojsku, zmarł z powodu choroby żołądka. Prawdopodobnie był chory już wcześniej, a niewątpliwie spartańskie warunki w jakich przebywali żołnierze najpierw na ćwiczeniach, a potem na szlaku bojowym przyczyniły się do zaostrzenia i przyśpieszenia rozwoju choroby. Podobnie pobyt w wojsku od marca 1944 roku miał wpływ na zaawansowanie choroby płuc u 45-letniego wówczas Jana Błaszkiewicza. Gdy wraz ze swoją jednostką znalazł się pod Warszawą, ciężko zachorował na płuca i w grudniu z astmą powrócił do domu, do Czernielowa. Skutki tej choroby odczuwał do końca życia. Również z powodu choroby skrócono okres służby w wojsku i pozwolono, by wrócił do domu Piotr Dziadas. Zapewne byli też inni czernielowianie, którzy z przyczyn zdrowotnych zostali zwolnieni z wojska.

Stanisław Cieplak na podstawie rozmów z żołnierzami zapamiętał, że po wkroczeniu 1. AWP do Lublina niektórych żołnierzy z Czernielowa ze starszych roczników wycofano z wojska. Należał do nich między innymi Jan Walusz, po wojnie mieszkający w Sulęcinie.

W okolicach Chełma stacjonowała jednostka Kazimierza Klepajczuka i Antoniego Murmyły. Jak wcześniej opisano Kazimierz Klepajczuk po szkole pancernej został od października 1944 roku kierowcą mechanikiem czołgu T-34, a Antoni Murmyło działonowym. W wywiadzie udzielonym w 2002 roku dziennikarzowi z „Gazety Chojeńskiej" zatytułowanym *Byłem na własnym apelu poległych* opowiadał: *Późną jesienią znaleźliśmy się w okolicach Chełma, gdzie tworzono 1. Korpus Pancerny wchodzący w skład 1. Armii Wojska Polskiego. Stamtąd po kilku tygodniach ćwiczeń mieliśmy wyruszyć na front. Warunki bytowania były okropne. Trzeba sobie wyobrazić własnoręcznie wykopane ziemianki i srogą zimę. Dowódcą mojej III brygady był ppłk Nikiforow. Przebywając w takich warunkach, właściwie już tęskniliśmy za wyruszeniem na zachód, bo już nic nie było nam straszne. W lutym 1945 roku dostaliśmy rozkaz przegrupowania w okolice Krzyża.*

W tym czasie trwało też szkolenie zdolniejszych żołnierzy w szkołach oficerskich. Z przekazu rodzinnego i na podstawie zachowanych dokumentów wiadomo, że jednym z nich był Jan Darmograj, który, pełniąc służbę w 8. Pułku Piechoty 3. Dywizji Piechoty 1. AWP, ukończył pułkową szkołę podoficerską. Jako wyróżniającego się żołnierza skierowano go do Oficerskiej Szkoły Piechoty w Lublinie. Po ukończeniu szkoły otrzymał stopień podporucznika. Jego dalsza żołnierska droga była związana z 2. Armią Wojska Polskiego.

Wspomniano wcześniej, że od września 1944 roku do Oficerskiej Szkoły Broni Pancernej w Chełmie został skierowany Józef Maśluk. Razem z nim w grudniu było około 1500 kursantów podchorążych. W swoich *Wspomnieniach* opisywał, że to odmienne od frontowego życie również było bogate w różne zdarzenia. Oto dwa przykłady: *Czas leciał powoli, wyżywienie słabe, w pomieszczeniach zimno, brak środków piorących. Zaczęła się wszawica. Na domiar złego nocą z 20 na 21 grudnia 1944 r. kapitan „Czarny", dowódca 3. batalionu szkolnego dezerteruje z 280 podchorążymi do lasu. Zabrano nas, około 120 podchorążych frontowych, 10 sztuk czołgów z 3. pułku czołgowego pod dowództwem komendanta szkoły ppłk. Czerwińskiego i ruszyliśmy w pościg. Po około 10 km w lasku przy drodze leży zabitych 4 żołnierzy – to dokonali ludzie „Czarnego". Pościg trwa dalej. Po przebyciu około 30 km – stop – wracamy do koszar. W następnym dniu dano nam 2 czołgi i pojechaliśmy do lasu – ściąć i przywieźć 6 szt. podsuchów i to porąbać i opalić piece w koszarach i salach wykładowych. Już było lepiej.*

Pamiętne święta Bożego Narodzenia w 1944 roku. Każda kompania dostała po 100 litrów etyliny w dwóch wannach. Żołnierze porozbierali się, zawinęli w koc i jedną ręką trzymali koszulę i kalesony, w drugiej ręce spodnie i bluzę. Kolejno zanurzali w tej benzynie, wyjmując, strzepywali te szmatki. Kiedy te czynności wykonało 10 żołnierzy, to na powierzchni w wannie był kożuch z wszy, które trzeba było zbierać czerpakiem. I dalej kolejka przychodziła – tak to trwało około 7 godzin.

Kursant podsumował, że odwszawianie żołnierzy zakończyło się u wszystkich uczuleniem wzroku i skóry. Po kąpieli w łaźni miejskiej wszystko wróciło do normy. Wspomniał też o tym, że 17 stycznia 1945 r. kursanci wyjechali z Chełma do Modlina, gdzie porządkowali budynki i wały obronne z ciał zabitych Niemców.

Józef Maśluk ukończył szkołę 25 maja 1945 r., uzyskał promocję na stopień podporucznika. W szkołach oficerskich byli też inni czernielowianie. Z przekazu starszych mieszkańców wsi, bez bliższych szczegółów, wiadomo o Janie Darmograju, Marianie Żarkowskim, Józefie Rajfurze i Józefie Szumlewiczu. O trzech pierwszych będzie jeszcze mowa.

Na początku stycznia 1945 roku nastąpiło przegrupowanie wojsk Armii Czerwonej: 1., 2. i 3. Frontu Białoruskiego, 1. i częściowo 4. Frontu Ukraińskiego oraz jednostek 1. i 2. Armii Wojska Polskiego i przygotowanie do operacji wiślańsko -odrzańskiej. Tymi siłami, liczącymi około 2,2 miliona żołnierzy radzieckich i polskich, wobec około 500 tysięcy żołnierzy niemieckich, miało być na froncie wschodnim wykonane uderzenie w kierunku Berlina.

Plan wielkiej ofensywy zimowej 1945 roku opracowany przez radziecki sztab generalny zakładał błyskawiczne uderzenie siłami czterech frontów i dotarcie do Berlina w ciągu 60 dni. W tym czasie wojska głównego zgrupowania uderzeniowego Armii Czerwonej miały wykonać marsz bojowy, pokonując odległość 700 kilometrów. Jednak konieczność wcześniejszego rozpoczęcia działań wojennych, na prośbę aliantów zachodnich prowadzących od połowy grudnia 1944 roku ofensywę w Ardenach i zacięty opór stawiany tam przez jednostki niemieckie, zmusiły Armię Czerwoną do weryfikacji pierwotnych założeń.

12 stycznia 1945 r. rozpoczęła się ofensywa w ramach operacji wiślańsko-odrzańskiej, przesuwając linię frontu na zachód. Ruszyły ataki uderzeniowe kilku armii 1. Frontu Białoruskiego z głównych przyczółków warecko-magnuszewskiego i puławskiego oraz z pomocniczych z rejonu Jabłonny-Legionowa i spod Warszawy. W kierunku Warszawy ruszyły oddziały 1. AWP. Armie 1. Frontu Ukraińskiego prowadziły ofensywę w dwóch kierunkach – część z nich ruszyła na Kielce, Częstochowę i Wrocław, pozostałe kierowały się na Kraków i Górny Śląsk, manewrem oskrzydlającym, zmuszając oddziały niemieckie do szybkiego odwrotu.

Armia Czerwona a wraz z nią oddziały 1. AWP posuwały się błyskawicznie. Przewaga liczebna i militarna Armii Czerwonej pozwalała na rezygnację z oblężeń

i długotrwałego zdobywania poszczególnych miast, oskrzydlając silniejsze niemieckie zgrupowania, przecinając ich linie zaopatrzenia i pozostawiając ich zniszczenie jednostkom drugiego rzutu.

Wojska niemieckie oddawały kolejne polskie miasta: 15 stycznia Armia Czerwona zdobyła Kielce, 16 stycznia – Radom i Częstochowę, 17 stycznia 1. AWP wkroczyła do Warszawy. W następnych dniach, 18 i 19 stycznia, zajęte zostały Kraków i Łódź. 27 stycznia wyzwolony został przez żołnierzy 1. Frontu Ukraińskiego obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau. 24 stycznia oddziały 1. Frontu Białoruskiego dotarły do Poznania, a kilka dni później dywizje 1. Frontu Ukraińskiego stanęły na przedpolach Wrocławia i rozpoczęły forsowanie Odry.

W operacji warszawskiej trwającej od 14 do 17 stycznia 1945 r. brały udział 47. i 61. Armia 1. Frontu Białoruskiego, które uderzyły w kierunku Błonia, oskrzydlając Warszawę z północnego i południowego zachodu. W drugim rzucie działała 1. AWP. 16 stycznia po uzyskaniu wiadomości o wycofujących się z Warszawy Niemcach, z rejonu Jabłonny na Kępę Kiełpińską uderzyła 2. Dywizja Piechoty, uchwyciła przyczółek i rozpoczęła przesuwanie w kierunku północnych dzielnic lewobrzeżnej Warszawy. W nocy z 16 na 17 stycznia siły główne 1. Armii WP: 1., 3. i 4. Dywizja Piechoty rozwinęły natarcie od południowego wschodu w kierunku przedmieść Warszawy. W nocy z Pragi rozpoczęła natarcie 6. Dywizja Piechoty, forsując Wisłę i wyparła Niemców z centrum. Walki o opanowanie miasta trwały kilka godzin. Do godziny 16 Warszawa była wolna. Wieczorem 17 stycznia do miasta dotarły główne siły 1. AWP nacierające od zachodu i południa. Żołnierze wkroczyli do zrujnowanego miasta. Zastali zgliszcza.

Straty 1. AWP w opanowaniu Warszawy to 275 poległych, zaginionych i rannych, z tego około 110 zabitych, w tym około 60 od min.

Z kilkoma szczegółami zapamiętanymi z walk o stolicę i z wkroczenia do Warszawy 7. pp 3. Dywizji Piechoty można zapoznać się, czytając wspomnienia *Żołnierski chleb* Józefa Mielnika „Bogaczyny". Oto odpowiedni fragment: *Około 10 stycznia 1945 roku nastąpiło przegrupowanie naszych wojsk drogą okrężną na południe i tam dobiliśmy znów do Wisły, gdzie przygotowywaliśmy się do ofensywy. Jednej nocy nie spaliśmy, bo pod wieczór czytano nam rozkaz wkroczenia do Warszawy, do zniszczonej stolicy. A noc taka zimna była i mroźna. Każdy trząsł się z zimna i myślał, co ma nastąpić już w dniu następnym w natarciu przez Wisłę. Strach, ludzki strach i niepewność natarcia: czy tak się uda, jak z naszej strony zaplanowano. To było bardzo niepewne.*

Wczesnym rankiem 17 stycznia 1945 r. ziemia zadrżała. Zdawało się, że to chyba koniec świata. Działa i moździerze różnych kalibrów biły dobrą godzinę, a pod osłoną tego ognia piechota ruszyła w natarcie przez zamarzniętą Wisłę po lodzie. Najważniejszym zadaniem było dobiegnąć do drugiego brzegu Wisły. Przecież Wisła

była równa jak stół i widoczna. Widać było masę ludzi w mundurach, z bronią w ręku biegnących w stronę wroga. Kilkadziesiąt metrów przed upragnionym brzegiem raniony został w nogę mój kolega Kowalski. Mówił do mnie: „Józiu! Napisz do mojej rodziny, że zostałem ranny. Nie wiem, czy wyżyję, ale gdybym umarł, to napisz, że za Ojczyznę”.

Gdy wpadliśmy w niemieckie okopy, to nam się zdawało, że u nich w tych okopach, w tych ziemiankach było o wiele lepiej niż u nas. Mieli różne wygody, jakich u nas nie było. Widzieliśmy dużo szwabów zabitych, a który nie miał jak się wycofać, to poddawał się do niewoli. Na moim odcinku złapano 15 Niemców. Do Warszawy wkroczyliśmy od południa. Stolica leżała w gruzach, nigdzie żywej duszy. I tu jak najwięcej widzieliśmy okropności wojny i zniszczenia, jakie Hitler zgotował dla naszego kraju. W Warszawie był mały odpoczynek, chodziliśmy po gruzach, suterenach, ale nigdzie nie było życia. Warszawa, stolica Polski, była miastem umarłym. Łzy same cisnęły się do oczu nad losem tego miasta.

Wśród żołnierzy, którzy brali udział w walkach o Warszawę, byli też inni czernielowianie, między innymi wspominani już Józef Czubko i Józef Żarkowski, który na pytanie wnuka Zbigniewa Woźnego *Co widział w Warszawie, gdy przechodził przez to miasto?* odpowiedział: *Przez Warszawę przechodziłem nocą i niczego nie widziałem*. Tak ten epizod ze swojego życia wspominał po latach.

Z dokumentów przekazanych przez rodzinę wiadomo też o Tomaszu Hrycaju. Jako „uczestnik walk o wyzwolenie spod niemieckiego jarzma stolicy Polski Warszawy” już 18 stycznia 1945 r. otrzymał od dowódcy pułku podziękowanie „za wzorowe działania bojowe” na podstawie rozkazu marszałka Józefa Stalina skierowane do wojsk Pierwszej Armii Polskiej, które brały udział w walkach o wyzwolenie Warszawy. Zapewne otrzymał też *Medal za Warszawę 1939-1945.*

Takim medalem ustanowionym dekretem Rady Ministrów RP z listopada 1945 roku odznaczono około 135 tysięcy osób, w tym między innymi Józefa Czubkę. 600 tysięcy żołnierzy radzieckich i polskich otrzymało Medal za wyzwolenie Warszawy ustanowiony dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z czerwca 1945 roku. Taki medal z napisem w języku rosyjskim „За освобождение Варшавы, 17 января 1945” otrzymali między innymi Bartłomiej Chabza i Jan Waldun.

Czernielowian, którzy brali udział w ofensywie styczniowej, było znacznie więcej. Nie sposób jednak ich wszystkich zidentyfikować i wymienić. Niemal wszyscy, którzy później walczyli na Wale Pomorskim, walczyli o Kołobrzeg, na swoim szlaku wojny przeszli przez zrujnowaną, wymarłą Warszawę.

W tym samym czasie, czyli na początku ofensywy styczniowej 2. i 3. Front Białoruski przeprowadzały operację rozbicia sił niemieckich zgrupowanych na terenie Prus Wschodnich. I tu Rosjanie przyjęli taktykę szybkich zmasowanych ataków, przesuwających linię frontu na zachód i odcinających armie niemieckie od

połączeń komunikacyjnych i możliwości zaopatrzenia.W ciągu dwóch pierwszych tygodni ofensywy Armia Czerwona dotarła do Zalewu Wiślanego, 22 stycznia zdobyła Olsztyn, a 10 lutego Elbląg. Niezdobyte, ale zamknięte w oblężeniu i niezagrażające pozostawały Królewiec i Gdańsk.

Następnego dnia po wyzwoleniu Warszawy, już 18 stycznia 1945 r., 1. Armia Wojska Polskiego ruszyła do natarcia w kierunku Pomorza. Wykonywała marsz -manewr wzdłuż lewego brzegu Wisły do Bydgoszczy, zabezpieczając styk między 1. i 2. Frontem Białoruskim, które działały rozbieżnie. Jednostki polskie zostały skierowane i działały na prawym skrzydle 1. Frontu Białoruskiego.

Generał Popławski, dowódca 1. AWP, podzielił siły polskie na dwa ugrupowania. Zgrupowanie ubezpieczające tworzyły 3. i 6. Dywizja Piechoty, 2. Brygada Artylerii Haubic i 1. Pułk Moździerzy, reszta sił tworzyła trzon uderzeniowy i szła jako jednostki szybkie (artyleria pancerna, kawaleria i batalion rozpoznania) 2. DP pozostała zaś w Warszawie, pełniąc służbę garnizonową. Tak zwany marsz-manewr wiódł między innymi przez Kazuń, Sochaczew, Gąbin i Włocławek. 25 stycznia czołówka 1. Armii, w tym 8 pp z 3. Dywizji Piechoty i polskie jednostki kawalerii doszły do Bydgoszczy, w której walczyły już oddziały 47. Armii wraz z przydzieloną polską 1. Brygadą Pancerną.

Bracia Jan i Michał Bigusowie z siostrą Katarzyną

Jak wcześniej wspomniano w 1. Brygadzie Pancernej służyli bracia Jan i Michał Bigusowie. W wywiadzie dla Gazety Chojeńskiej Michał Bigus kontynuował opowieść o swoim szlaku bojowym: *Potem przez Bydgoszcz trafiliśmy na Wał Pomorski - niezwykle mocno ufortyfikowaną hitlerowską rubież obronną, obsadzoną wyborowymi niemieckimi jednostkami wojskowymi.*

Z opisu operacji wojskowych 16. pułku 1. Dywizji Artylerii Przeciwlotniczej, w którym służyli bracia Bigusowie wynika, że na Wale Pomorskim osłaniał on wojska między innymi w pobliżu Szwecji, Mirosławca i Starego Reska.

Wał Pomorski to linia umocnień ciągnących się na dawnej granicy niemiecko–polskiej. Na długości około 275 kilometrów Niemcy wybudowali w latach 1932-1939 setki schronów żelbetonowych, umocnienia żelbetowe i betonowe oraz różnego rodzaju stanowiska ogniowe, dodatkowo uzupełnione transzejami strzeleckimi, rowami łączącymi i schronami drewniano-ziemnymi oraz zaporami inżynieryjnymi. To skupisko fortyfikacji w latach 1944-1945 było modernizowane na głównej pozycji

obronnej. Do istniejących już pozycji dobudowano między innymi tak zwany pas przesłaniania, opierający się na linii rzek Gwda i Noteć.

Na takim ufortyfikowanym terenie z dodatkowymi utrudnienieniami wynikającymi z naturalnego środowiska bagien, lasów, jezior, rzek przyszło walczyć formacjom wojskowym kierującym się na Berlin. Razem z radzieckimi związkami operacyjnymi polskie dywizje piechoty wchodzące w skład 1. AWP wsparte 1. i 5. Brygadą Artylerii Ciężkiej, 11. Pułkiem Artylerii Haubic, 13. Pułkiem Artylerii Pancernej, 8. i 10. batalionami saperów, innymi jednostkami kolejno włączanymi do walki, przełamały opór i główne pozycje niemieckiej obrony. Najcięższe walki stoczyła 4. Dywizja Piechoty o przesmyk Morzyca i na północ od jeziora Dobre, a 6. dywizja - o ufortyfikowany Nadarzycki Rejon Umocniony. W okresie od 1 do 11 lutego 1945 r.w wyniku zaciętych walk o Wał Pomorski polskie jednostki zdobyły między innymi: Złotów, Jastrowie, Podgaje, Dobrzycę, Nadarzyce, Mirosławiec. Opanowanie tego rejonu było okupione śmiercią 3420 żołnierzy polskich, 2180 zaginęło, a 8472 zostało rannych.

Wśród żołnierzy walczących na ufortyfikowanym Wale Pomorskim o poszczególne odcinki i miejscowości byli czernielowianie. Wielu z nich zapłaciło najwyższę cenę i tam pozostało na zawsze. Spoczywają na kilku cmentarzach wojennych Pomorza wraz z tysiącami żołnierzy polskich i radzieckich, którzy zginęli lub zmarli wskutek odniesionych ran w czasie walk w tym rejonie.

W *Księdze poległych na polu chwały* figuruje między innymi urodzony w Czernielowie Mazowieckim w 1907 roku Jan Podkasany, syn Franciszka. Był kanonierem 1. pm, zginął w Mirosławcu 27.02.1945 r. W tej samej *Księdze* wpisano Jana Murmyłę, syna Tomasza, urodzonego w 1910 roku. Służył w 4. Dywizji Piechoty im. J. Kilińskiego, był szeregowym w 10. pp. Stracił życie 10.02.1945 r. w akcji w Lubieniu. Jako szeregowy w 10. pp służył też urodzony w 1907 roku Piotr Salecki, syn Tomasza. Zginął 25.02.1945 r. w Wałczu. Jest też informacja o śmierci 8.02.1945 r. Franciszka Stankiewicza, syna Andrzeja, w czasie walk w rejonie Dobrzycy. Był kapralem w 10. pp, miał 19 lat.

Pochodzący z Czernielowa: Jan Podkasany, Jan Murmyło. Piotr Salecki i Franciszek Stankiewicz są pochowani na Cmentarzu Wojennym w Wałczu-Bukowinie.

W rejonie Jastrowia 2.02.1945 r.zginął Bartłomiej Kolasa, syn Jana, żołnierz 16. pp. Urodził się w 1905 roku w Czernielowie, ale na wojnę prawdopodobnie poszedł z Bajkowiec.

Z tej wsi pochodziły też dwie siostry Anna i Irena Niesiołowskie. Irena Niesiołowska zginęła na Wale Pomorskim. Pisała o nich Maria Markowicz, z d. Paliwoda, w swoich wspomnieniach *W Bajkowcach na Podolu*. Obie

Niesiołowskie, córki właścicieli jednego z majątków w Bajkowcach, wywiezione z rodziną na Sybir w lutym 1940 rok wstąpiły w 1943 roku do Armii Berlinga. Brały udział w walkach frontowych. Starsza Hanka po wojnie zamieszkała z resztą rodziny w Krakowie. Józef Paliwoda, brat Marii Markowicz, w swoich wspomnieniach *Wyboista droga* (XIV) nadmienił, że Annę Niesiołowską spotkał w lipcu 1944 roku w Lublinie w batalionie kobiecym.

Wśród poległych żołnierzy na www.straty.pl nie jest zarejestrowany urodzony w 1921 roku Julian Maśluk, brat wspominanego Józefa, który był członkiem w czernielowskiej organizacji istriebitielnego batalionu. Według Stanisława Cieplaka Julian Maśluk był żołnierzem 9. pp, zginął na Wale Pomorskim.

W czasie walk o Wał Pomorski 2.02.1945 r. poległ młody, urodzony w 1926 roku Antoni Żarkowski, syn Anastazji i Franciszka. Spoczywa na cmentarzu w Złotowie. Według dostępnego w Internecie *Wykazu poległych żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego pochowanych na Cmentarzu Wojennym w Złotowie* Antoni Żarkowski był plutonowym 10. pp. Pierwotnie był pochowany na cmentarzu w Ptuszy.

Wśród rodzinnych pamiątek zachował się jego list z datą 10 września 1944 r. adresowany do mamy Anastazji Żarkowskiej. W liście kierowanym do mamy i siostry Antoni główną uwagę skupił na braku korespondencji od rodziny, kilkakrotnie nawiązywał do braku listów z domu, pisał że martwi się, jak radzą sobie ze żniwami, proponował skorzystanie z pomocy Mańka Kłaptija, martwił się o wykopki, zaznaczając jednocześnie, że nie może przyjechać na urlop, nawet na jeden dzień, informował o otrzymanym liście od Jaśka, swego starszego brata, i od Stacha, pytał, czy ojciec wrócił do domu, bo od niego również nie otrzymał listu.

W zbiorze poległych zarejestrowanych na stronie internetowej *Straty osobowe i ofiary represji pod okupacją niemiecką* www.straty.pl/index.php/szukaj-w-bazie wyszukano czernielowianina Mariana Dziadasa, syna Tomasza, urodzonego w 1925 roku. Był kościuszkowcem, żołnierzem 3. pp. Zginął w Popławie, jest pochowany na cmentarzu w Drawsku Pomorskim.

Dzięki zapisom w księgach poległych żołnierzy możliwe jest przywołanie pamięci o tych mieszkańcach Czernielowa, którzy stracili życie w walkach o przełamanie Wału Pomorskiego. Trudno wymienić natomiast wszystkich pozostałych żołnierzy z Czernielowa i okolic, którzy, wykonując rozkazy, zmierzyli się na swoim szlaku bojowym z ufortyfikowaniami tego wału. Wiedza o tym, że dziadek lub ojciec walczyli w tym rejonie najczęściej została w rodzinach. W czasie, gdy to było możliwe, nie zostały te fakty zapisane i przekazane do publicznej wiadomości.

W ciągu wielu miesięcy w 2014 i 2015 roku notowane były i redagowane przez Stanisławę Sobczyńską opowiadania o życiu w Czernielowie, przeżycia

z okresu wojny i po wojnie jej ojca Józefa Czubki. Zostały zapisane i udostępnione przez Zbigniewa Woźnego jako wspomnienia żołnierza *Z Czernielowa Mazowieckiego do Wizan*. Józef Czubko wspominał: *Z Warszawy maszerowaliśmy na Bydgoszcz, Wałcz, Jastrowie, Kołobrzeg, Szczecin. Na początku lutego 1945 roku byliśmy na Wale Pomorskim. Przełamywaliśmy umocnienia w Żabnie, Bobrujsku i Drawsku Pomorskim. Niszczyliśmy bunkry w rejonie Wierzchowa. W czasie walk o Wał Pomorski zginęło bardzo dużo żołnierzy. W specjalnie wydanym rozkazie z 11 lutego 1945 roku generalissimus Stalin składał „podziękowanie za udział w walkach o zdobycie miast: Złotów, Jastrów, Rederitz, Frydląd Pomorski i inne miejscowości Zachodniego Pomorza"*.

On sam takie imienne podziękowanie również otrzymał.

Jak wcześniej już pisano, Józef Czubko był żołnierzem 10. pp 4. Dywizji im. J. Kilińskiego. W stopniu kaprala dowodził drużyną. W lutym 2015 roku, wtedy już 93-letni weteran, podał nazwiska kilku czernielowian, którzy byli razem z nim w oddziale: Antoni Koszuliński, Franciszek (ale nie brat jego szwagra Józefa), Antoni i Marian Żarkowscy, Władysław Hrycaj, Józef Kozłowski.

Trzeba odwołać się do wcześniejszych jego wypowiedzi, zanotowanych przez jego syna, Mariana w 2014 roku. Józef Czubko przekazał wtedy informację o następujących kolegach z Czernielowa, którzy razem z nim przeszli szlak bojowy: Jan Żarkowski, Franciszek Żarkowski, Władysław Hrycaj (zam. k. Sulęcina - Trzebów – dop. K.M.), Antoni Koszuliński, Kuba Jacykowski (zam. Strzeszów), Franciszek Murmyło, Józef Kozłowski (zam. Trzemeszno), Julian Maśluk (zginął w Kołobrzegu), Józef Waluś, Józef Hrycaj, Marian Czubko (zmarł w szpitalu po wypadku), Michał Czubko (zam. Strzeszów), Mielnik, Halczuk.

Prawdopodobnie ich droga do stolicy Niemiec była taka sama jak Józefa Czubki i wiodła przez Warszawę, Bydgoszcz, Wałcz, Jastrowie, Kołobrzeg, forsowanie Odry w okolicy Siekierek, Szczecin.

Do tej listy czernielowian żołnierzy na podstawie przekazu rodzinnego trzeba dodać Władysława Dziadasa, Bartłomieja Murmyłę i Franciszka Klepajczuka.

W nawiązaniu do opowieści tych, którzy byli na froncie warto przytoczyć anegdotę – zdarzenie z żołnierskiego życia poza walką. O nauce jazdy na rowerze w czasie wojny w Wałczu, opowiadał w swojej rodzinie Józef Żarkowski, a opowieść zapisał wnuk Zbigniew Woźny. *W tej miejscowości wypadła służba 1. sbed.* (1. Samodzielnego Batalionu Ekspedycyjno-Drogowego – dop. K.M.). *W czasie wolnym od służby dziadzio Józef zobaczył bezpański rower niemiecki i postanowił, że spróbuje nim się przejechać, a nadmienię, że nigdy rowerem nie jeździł. Koledzy gorąco zachęcali do spróbowania przejechania się jednośladem. Być może wypity alkohol dodawał animuszu. Rower niemiecki był wyposażony w lampę, dynamo, charakterystyczne skórzane siodło przykrywające trzy sprężyny, hamulec ręczny*

i dzwonek oraz ramę. Ustawił się na górce, przełożył nogę przez ramę, położył jedną nogę na pedale, a drugą nogą odepchnął się od ziemi. Zaczął jechać na dół coraz szybciej. Utracił równowagę. Kierownica zaczęła obracać w lewo i prawo. Nogi spadły z pedałów, przeszkadzały poły wojskowego szynela i rama roweru, a gdy przed sobą ujrzał jezioro, to już kompletnie spanikował i się wywrócił, co uchroniło go od kąpieli w zimnej wodzie jeziora, a może przed utopieniem. Już więcej na rower nie wsiadł i nie nauczył się na nim jeździć. Jedynym pojazdem, którym umiał się posługiwać, była własna furmanka konna.

I jeszcze trzy krótkie rodzinne wspomnienia. O wojennym życiu dziadka Józefa Zgóry kilka słów napisał jego wnuk Jacek: Po okupacyjnej przeszłości i pracy w niemieckim *Baudienscie*, przeszłości w Gwardii Ludowej i w miejscowej komórce AK*, dziadek później dostał się do Wojska Polskiego i z wojskiem doszedł do Wału Pomorskiego (Nakło, okolice Wałcza). Tam otrzymał od swojego porucznika sygnet oraz pistolet belgijkę, które później mu skradziono.*

Fragment z żołnierskiego życiorysu swego taty Józefa Kubiszyna opowiedziała Maria Zawislańska: *Od stycznia do marca 1945 roku tato brał udział w bitwach o przełamanie Wału Pomorskiego, w bitwie o Wałcz oraz od 7-18 marca w walkach o Kołobrzeg, który był zamieniony przez Niemców w twierdzę. Walki były bardzo zacięte, walczyli o każdy metr ulicy. Niemcy bardzo zaciekle bronili portu i dojścia do morza. Po zwycięskich walkach o Kołobrzeg odbyły się uroczyste zaślubiny Polski z morzem. Tato opowiadał o tym wydarzeniu wielokrotnie.*

Kiedy jednostka taty przemieszczała się nocą w dalszym kierunku, nad nimi zaczęły latać zwiadowcze samoloty. Nagle przyleciało ich więcej i zaczęły ich bombardować. Tato jechał na wozie z kolegą, zeskoczył i ukrył się w rowie. Kolega nie zdążył, zginął, dwa konie również, z wozu nic nie zostało. Tato został ranny odłamkiem w nogę. Okazało się, że na drzewie w lesie, przez który się przemieszczali, siedziała kobieta szpieg, która nadawała przez krótkofalówkę informacje o ruchach wojsk. Została schwytana.

Pamięć o kolejnym szczęśliwym dla jednych a nieszczęśliwym dla innych żołnierzy zdarzeniu, które miało miejsce w czasie wojny, przetrwała w rodzinie Franciszka Stankiewicza, syna Marcina, żołnierza 1. Dywizji im. T. Kościuszki. On sam wielokrotnie wspominał epizod z czasów walk o Wał Pomorski, gdy pewnego razu wraz z kolegami postanowili umyć się przy pompie. Franciszek zdjął różaniec, który otrzymał od swojej mamy, gdy udawał się na wojnę, i mył się. Po zakończeniu tej czynności żołnierze udali się w dalszą drogę. Po przejściu kilkuset metrów zorientował się, że zostawił różaniec. Postanowił wrócić po niego, bo ten różaniec miał dla niego wartość. W tym czasie jakiś zabłąkany oddział niemieckich żołnierzy maruderów ostrzelał jego kolegów. Ktoś został zabity, ktoś inny został ranny. Franciszek został ranny w nogę i już nie kontynuował dalszej walki na froncie. „Nie

dotarł do Berlina" – tak w 2016 r. wspominała o tym jego córka Elżbieta Jarczyńska-Stankiewicz. To było jego najbardziej dramatyczne przeżycie wojenne. Ze swoimi rodzicami spotkał się już w Hucie Szklanej, o czym będzie mowa.

Tu trzeba podkreślić, że matki, żony, siostry, babcie i wszyscy pozostali członkowie rodziny żegnając i błogosławiąc odchodzących na wojnę synów, mężów, braci powierzali ich los opiece Matki Boskiej, przekazując im w dowód zawierzenia Maryi różańce, łańcuszki, medaliki szkaplerzne.

Codzienna modlitwa żołnierzy i w rodzinach o zdrowie i szczęśliwy powrót do domu, złożenie swego losu w ręce Bożej Opatrzności i pod opiekę Maryi podtrzymywała wszystkich na duchu i pozwalała przetrwać trudny, mroczny czas wojny i grożące niemal każdego dnia niebezpieczeństwo utraty zdrowia i życia.

Na zakończenie tej części fragmenty dwóch wspomnień z walk o Wał Pomorski. Wspominając w 1990 roku żołnierskie czasy, Józef Mielnik „Bogaczyna" pisał: *Po zajęciu Warszawy ofensywa Czerwonej Armii i Wojsk Polskich posuwała się bez wytchnienia naprzód, na zachód. Chodziło o to, żeby nie dać się zatrzymać Niemcom. I tak po drodze zajęty został bez boju Sochaczew. Niemcy zostawili tutaj zapasy żywnościowe i magazyny mundurowe. Ja sam spodnie ubrałem, nowe buty z cholewami. I tu na drogach widać było dużo ludzi, którzy wracali do swojego miasta, do Warszawy. Prawdziwa wędrówka tułaczy wygnanych ze swoich domów, ze swojego miasta, wędrówka bohaterów Warszawy. Za Sochaczewem spotkaliśmy zapory przeciwczołgowe, były to szeroko-głębokie rowy w miejscach strategicznych obok głównych dróg. Pościg za Niemcami trwał bez wytchnienia. Lawina stali, żelaza i mas ludzkich; Armii Czerwonej i Wojska Polskiego zalewała każdy zakątek polskiej ziemi. Zmęczeni byliśmy bardzo i głód też dał znać o sobie, bo nasze kuchnie zostały daleko w tyle. I tak przypomniałem sobie wiersz z ławy szkolnej:*

„Idzie żołnierz borem lasem,
Przymierając z głodu czasem.
Chleba, soli nie żałować,
Trza żołnierza poratować"

Włocławek został zajęty w nocy, a gdy wpadliśmy do miasta i na ulicy Królewieckiej dobiliśmy do domów mieszkalnych, ludność polska, która tu została, ze łzami w oczach nas witała. Po prostu nie wierzyli w to, że ze wschodu razem z Armią Czerwoną idzie polski żołnierz. Po postu całowali nas i płakali, cieszyli się, że nareszcie kończy się niewola. Z Włocławka to kierunek Bydgoszcz, przez Niemców nazywany Bromberg. W wyzwalaniu Bydgoszczy nie braliśmy udziału, mieliśmy za zadanie przeciąć rzekę Brdę. Na rzece Niemcy zostawili na barkach załadowany cukier. Zdobycz była wielka, właśnie brakowało nam cukru. A później Sępolno i tutaj złapała nas ponownie zima - śniegi i zadymki. Trudno było posuwać się naprzód, jeden dzień byliśmy uwięzieni w zaspach śniegowych. Za Sępolnem mój pluton

dowodzony przez porucznika Karpińskiego i Krajewskiego podczas przemarszu wpadł w zasadzkę i został wybity. Niemcy nie brali jeńców. Krzyżowy ogień wrog z bliskiej odległości od razu obezwładnił mój pluton, który posuwał się dwoma grupami. Ja byłem w tej drugiej grupie, która szła inną drogą. Byłem świadkiem tej tragedii. Pamiętam kolegów, którzy tam poszli: podporucznik Krajewski i Karpiński, chorąży Wajc, Hadas, Dzędzera, Grabowski, Burzyński i wielu innych. Pochowaliśmy ich we wspólnej mogile. Płakaliśmy nad nią. Ciężka i bolesna to była strata dla nas, w przeciągu kilku minut trzon mego plutonu zginął. Ale tak na wojnie bywa. Z Sępolna pomaszerowaliśmy wraz z innymi oddziałami Wojska Polskiego na Złotów, tocząc krwawe boje o wyzwolenie Pomorza Zachodniego. Po zażartej walce i dużych stratach Złotów został zdobyty. Za Złotowem Wał Pomorski, silna zapora wojsk niemieckich: żelbetonowe bunkry nie do zdobycia. Krew lała się mocno i niejedno natarcie kończyło się fiaskiem i stratami w ludziach. Linia frontowa została tutaj zatrzymana, ale po jakimś czasie, przy dużych stratach naszych wojsk przełamano linię obrony. W pościgu za Niemcami mijaliśmy wiele miejscowości, w których nie było mieszkańców, pouciekali razem z Niemcami, zostawili cały swój dobytek, zastaliśmy dużo krów przywiązanych do żłobów łańcuchami. Myśmy te krowy odwiązywali i wypuszczali z obór. Ale było też dużo zdechłych krów i jałówek. W pośpiechu zapomnieli o wszystkim, tak się bali nas ze wschodu. Ale kto został, był nakaz, by nikomu krzywdy nie robić.

A potem nasze natarcie na Neustettin. Szczecinek został zdobyty o świcie. Niemcy w pośpiechu i popłochu zostawili tutaj dużo broni, magazyny mundurowe i kuchnie z ciepłą kawą. Uciekali, którędy mogli. Nasz pluton w jednym domu złapał 12 jeńców niemieckich.

Drugi fragment pochodzi ze wspomnień dawnego proboszcza z Borek Wielkich ks. Mariana Mościńskiego pt. *Moje przejście przez Wał Pomorski.* Po pierwszej samodzielnej wojskowej „parafii", którą był 3. Pułk Zapasowy gromadzący tysiące świeżo zmobilizowanych żołnierzy i po krótkim pobycie przy Brygadzie Pancernej im. Bohaterów Westerplatte ks. Mościński od początku grudnia 1944 roku objął funkcję kapelana 4. Dywizji Piechoty im. J. Kilińskiego. Na tym stanowisku pozostał do końca wojny.

Ks. Mościński opisywał: *Opieką duszpasterską trzeba było objąć duży teren, ponieważ dywizja rozłożyła się na przestrzeni ponad 20 km nad brzegiem Wisły i w pobliskich miejscowościach – gdzieś od Otwocka do prawobrzeżnej Warszawy. Przez jakiś okres Dywizja pełniła zadanie bojowe już w mieście, na samym brzegu Wisły - chyba do Saskiej Kępy włącznie. Spowiadałem wtedy w okopach-transzejach. Na Mszę św. zbierali się żołnierze ostrożnie, pod osłoną wału przeciwpowodziowego, w jakichś pobliskich suterenach czy innych miejscach. Pamiętam, że na Saskiej Kępie*

korzystali z Mszy św. także nieliczni mieszkańcy, którzy nie opuścili swoich domów (...) Tak przeszła część zimy.

Wreszcie 17 stycznia ruszyliśmy do natarcia. Przeprawiliśmy się przez Wisłę na południe od Warszawy. I teraz już lewym wyzwolonym brzegiem Wisły, jadąc w nocy bez świateł, przez Pilicę, Górę Kalwarię – 18 stycznia wjechaliśmy do lewobrzeżnej Warszawy. Przez tyle tygodni przypatrywaliśmy się jej z drugiego brzegu. Była wtedy dla nas tajemnicą, grozą, mitem. Teraz zobaczyliśmy jej relikwie. W Warszawie zatrzymaliśmy się krótko. Rozpoczął się pościg za Niemcami etapami poprzez Włochy, Pruszków, Sochaczew, Kiernozię, Gostynin. W Gostyninie, w kaplicy św. Jakuba odprawiłem Mszę św. i egzekwie nad zwłokami Polaków pomordowanych przez Niemców. Była to pierwsza Msza św. odprawiona tu od lat prawie pięciu. Dalej – Brześć Kujawski, Inowrocław, Bydgoszcz i przez Nakło do starej polsko-niemieckiej granicy. Wszędzie, począwszy od Włoch, byliśmy przyjmowani serdecznie, ze wzruszeniem. Teraz 4. Dywizja weszła na krwawy szlak, znaczony walkami o Złotów, Wał Pomorski, Kołobrzeg. Wzdłuż tej całej drogi ksiądz był bardzo potrzebny. Tylko pod jednym Złotowem, który 31.01.1945 r. zdobył 11. pułk piechoty, trzeba było pogrzebać ponad stu zabitych i udzielić pomocy religijnej ponad stu rannym.

Z tych krwawych i chwalebnych dni pozostały mi w pamięci dwa epizody.

Pierwszy – to „moje przejście przez Wał Pomorski". Wał Pomorski, system umocnień niemieckich, został 5 lutego 1945 r. zwycięsko, choć krwawo przełamany. Oddziały nasze, dzięki mądrej taktyce generała Kieniewicza wdarły się w głąb umocnień i przecięły Wał jak dżdżownicę. Po obu stronach zdobytej leśnej drogi pozostali Niemcy, a Polacy poszli naprzód. Generał Kieniewicz był w czołówce. Wiedząc doskonale, czym dla polskiego, wierzącego żołnierza jest w takiej sytuacji bojowej ksiądz, zawezwał niezwłocznie kapelana. Aby wykonać rozkaz i dotrzeć do naszych ugrupowań, musiałem przejść pieszo, w wodzie i błocie, świeżo zdobytą leśną drogą, mając świadomość, że na prawo i lewo są Niemcy. Kilku żołnierzy wycofało się z tworzącej się marszowej grupy, mówiąc, że w tej sytuacji przejście jest niemożliwe i niewykonalne. Ja natomiast z małą grupką (siedmiu żołnierzy) uważając, że honor kapłański i żołnierski nie dopuszcza nawet myśli o wahaniu się, jako najstarszy wśród nich stopniem poprowadziłem ich wśród ciemności w las, zachowując całkowitą ciszę. Po dwóch czy trzech godzinach dobrnęliśmy żywi i cali. Prowadzący odprawę z grupą oficerów generał Kieniewicz przywitał mnie z ogromną radością i okrzykiem: „Ksiądz kapelan!"

Drugi epizod, to zdobycie polowego tryptyku Matki Boskiej. Po przełamaniu Wału Pomorskiego zgłosił się do mnie jeden z przedwrześniowych polskich oficerów, któremu udało się, o ile pamiętam, zbiec z oflagu czy transportu. Opowiedził mi, że w obozie w Grossborn, w którym przebywał, był piękny ołtarz polowy - tak go określił. Opisał położenie obozu. Wybrałem się więc ze swoimi pomocnikami

przydzielonymi do duszpasterstwa dywizji na poszukiwanie oflagu i ołtarza. Zorientowaliśmy się w drodze, że jest to wyprawa ryzykowna, bo obóz był w tym czasie między pierwszymi liniami frontu - między nami i Niemcami. Terra nulius. Istotnie, nie spotkaliśmy w drodze ani w obozie żadnego żywego ducha, oprócz jakiegoś osobnika, który przemknął się szybko po terenie oflagu.

Ołtarz okazał się wspaniałym tryptykiem. Umieściliśmy go szybko w samochodzie. I w drogę . W pośpiechu pozostawiliśmy na stopniach ołtarza koronę, która wieńczyła całość. Wracać po nią było niebezpiecznie, gdyż nad obozem pojawiły się zwiadowcze niemieckie samoloty. Szczęśliwie dotarliśmy do celu. Obóz wkrótce spłonął.

Tryptyk w środkowej części przedstawia Matkę Bożą z Dzieciątkiem. Jedno skrzydło - to pokłon Trzech Króli - Chrobry, Jagiełło i Batory. Drugie skrzydło, pokłon pasterzy - lud polski. Wykonany w materiale dostępnym w obozie, pokryty patyną, sugerujący metal. Kto był jego twórcą nie wiedziałem bardzo długo. Uratowanie tryptyku w ostatniej niemal chwili od spłonięcia było chyba zrządzeniem Bożym, aby jak wśród polskich jeńców w oflagu mógł nadal spełniać swoje religijne zadanie.

Kierowca przydzielonego duszpasterstwu dywizji samochodu, Franciszek Siatecki, w wywiadzie dla prasy określił bardzo dobrze jego rolę: „Tryptyk spełniał bardzo ważną funkcję i miał duże znaczenie dla nas wszystkich… dzięki niemu mieliśmy nastrój kościoła, a przecież Msze św. były odprawiane w różnych warunkach ... jego znaczenie religijne, jego rola w podtrzymywaniu u nas ducha była ogromna. Byliśmy z tryptykiem po prostu zżyci..”Tryptyk towarzyszył odtąd stale 4. Dywizji.

I jeszcze kilka zdań o rozwiązanej zagadce autorstwa tryptyku, który po wojnie towarzyszył ks. Marianowi Mościńskiemu w jego pracy kapłańskiej w województwie poznańskim i na Dolnym Śląsku i intrygował zawsze niewiadomym nazwiskiem jego twórcy. Oto w jaki sposób według księdza doszło do wyjaśnienia zagadki: *W warszawskim kinie „Ochota” wyświetlano krótkometrażowy dokumentalny film o 4. Dywizji pt. „Kilińszczacy”. Na ekranie ukazał się ołtarz, przy nim ja odprawiający Mszę św., a w centralnym punkcie widniał… tryptyk. Na widowni zawołał ktoś nagle: „Ależ tak, to mój tryptyk!”. Był to głos artysty malarza, wybitnego plastyka Jana Zamoyskiego. Był on dotąd przekonany, że dzieło jego spłonęło razem z obozem.*

Jan Zamoyski należy do wybitniejszych plastyków polskich (...) Katalog jego prac obejmuje wielką ilość płócien, fresków, polichromii i innych (...) W 1939 roku jako oficer polski walczył na Wybrzeżu. Tam dostał się do niewoli. W oflagu Neubrandenburg w 1942 roku - w trzecim roku niewoli - zaprojektował i osobiście wykonał tryptyk jako główny akcent ołtarza obozowego. Później obóz, a z nim tryptyk

został przeniesiony do Grossborn – dziś Borne. W styczniu 1945 roku ewakuowano jeńców aż do Lubeki.

W ołtarzu tryptyk Matki Boskiej wykonany w 1942 r. przez artystę plastyka Jana Zamojskiego, więźnia oflagu Neubrandenburg, później przeniesionego do Grossborn. Tryptyk został z oflagu wywieziony przez ks. Mariana Mościńskiego, kapelana 4. Dywizji

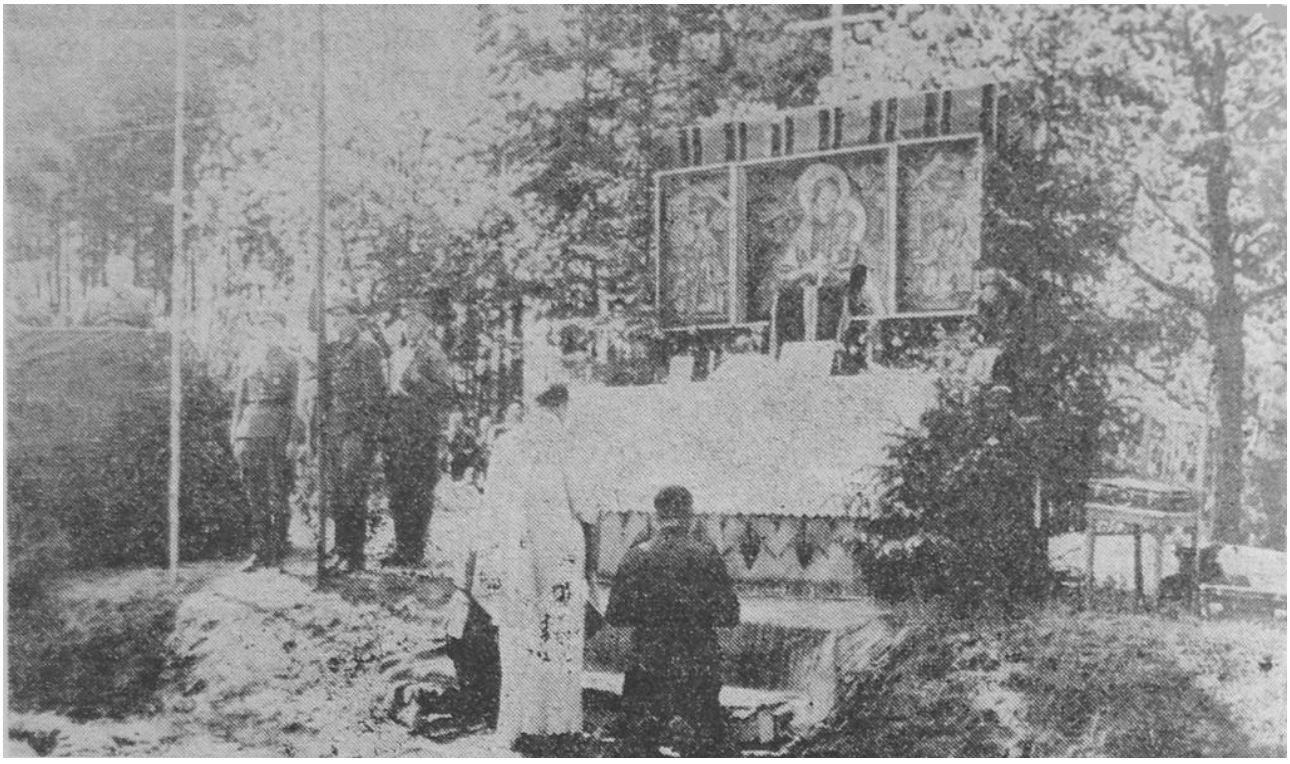

Msza polowa nad Odrą w dniu zwycięstwa 9 maja 1945 r. Mszę św. odprawia i wygłasza kazanie ks. kpt. Marian Mościński

A jakie były dalsze losy tryptyku? W 1972 roku pojechał do Zachęty na wystawę prac Jana Zamoyskiego. Następnie po zabiegach konserwatorskich został przeniesiony do kaplicy Żołnierza Polskiego w kościele garnizonowym w Warszawie przy ul. Długiej, a na początku XXI wieku trafił do miejsca, gdzie powstał w czasie wojny. Staraniem mieszkańców Bornego Sulinowa najpierw wykonano dla tamtejszego kościoła replikę tryptyku, a w czerwcu 2008 roku, w piętnastą rocznicę powstania miasta, nastąpiło oficjalne odsłonięcie oryginału tryptyku Matki Bożej Jenieckiej w parafialnej kaplicy. W ołtarz znajdujący się w kaplicy wmurowano kamienie przywiezione z terenu obozu, a przed ołtarzem wmurowano w posadzkę cegły z obozowej kaplicy.

O losach tryptyku można przeczytać na stronach o Bornem Sulinowie.

Po tej dygresji wspomnieniowej następuje powrót na szlak bojowy 1. AWP.

Kolejna operacja, której celem było wyzwolenie Pomorza, rozpoczęła się w pierwszych dniach marca. 1. AWP rozpoczęła walki w ramach operacji pomorskiej. Działając na styku 1. i 2. Frontu Białoruskiego, przełamała silną niemiecką obronę pod Wierzchowem, okrążyła i zniszczyła część sił 10. Korpusu SS i wraz z wojskami sowieckimi rozwinęła natarcie na północ: częścią sił w kierunku Kamienia Pomorskiego a częścią na Kołobrzeg.

Kołobrzeg jako ważny punkt ewakuacyjny w niemieckim systemie obrony został na przełomie lat 1944 i 1945 przygotowany na atak nadchodzących od wschodu wojsk Armii Czerwonej i 1. AWP. Wykorzystując naturalne środowisko podmiejskich terenów bagnistych i rzek, zbudowano tu system umocnień, barykad, schronów, transzei, przystosowano do obrony budynki i stare forty ziemne położone w węzłowych punktach miasta. Powstały trzy linie umocnień, z których pierwsza znajdowała się na obrzeżach miasta, drugi pierścień obrony i umocnionych obiektów w śródmieściu, a ostatnia linia ochraniała już tylko port.

Zdobycie miasta z marszu rozpoczęły 4 marca 1945 r. oddziały Armii Czerwonej. Po niemieckim kontrataku właściwe oblężenie miasta przygotowano na 7 marca. Wtedy zaatakowały jednostki 1. AWP. Przez kilkanaście dni wprowadzano do boju oddziały kolejnych polskich dywizji: najpierw 6. Dywizji Piechoty, potem 3. Dywizji Piechoty, które pokonały zewnętrzny pierścień obrony i rozpoczęły ciężkie walki o przełamanie drugiego pierścienia obrony i opanowanie obiektów w śródmieściu, walczyły o Stare Miasto, zdobyły gazownię i podeszły do stacji kolejowej. 13 marca do walki wprowadzono 4. Dywizję Piechoty i 4. Pułk Czołgów Ciężkich. W dywizjach zorganizowano grupy szturmowe. Żołnierze z tych oddziałów zdobyli tor wyścigowy, lokomotywownię i warsztaty kolejowe. W nocy z 17 na 18 marca, po przegrupowaniu oddziałów i przygotowaniu artyleryjskim, rozpoczął się generalny szturm na obiekty trzeciego pierścienia obrony. W godzinach rannych 18 marca 1945 r. zostały zdobyte rejon stacji kolejowej i port. Niemcom udało się

część sił ewakuować morzem. Wielu z nich zginęło, do niewoli trafiło około 8 tysięcy jeńców.

Te informacje ogólne o walkach o przełamanie Wału Pomorskiego i walk o Kołobrzeg, zaczerpnięte z *Wikipedii* i kilku artykułów historycznych, można uzupełnić o zapisy wspomnieniowe żołnierzy z Czernielowa:

Na początek fragment wspomnień *Żołnierski chleb* Józefa Mielnika „Bogaczyny" służącego w 7. pp 3. dywizji: *Dalszy kierunek natarcia to było chyba Karlino i Kołobrzeg, tak zwany Kolberg. Gdy nasze jednostki w sile batalionu podchodziły do Kołobrzegu, ja byłem w natarciu z lewej strony szosy obok cegielni. Natarcie zostało zatrzymane na łące i tam leżeliśmy cały dzień w zimnej lodowatej wodzie. Dużo naszych zostało tam zabitych i rannych. Łąka stała się grobem dla wielu moich kolegów. Następnego dnia nacieraliśmy w kierunku cmentarza obok kościoła. Tam na tym cmentarzu przy wybuchu artylerii okrętowej zginął plutonowy Lubieniecki, szeregowy Mukosiński został ranny w nogę, a mnie błotem i ziemią przysypało. Zdawało mi się, że nie ma mnie już na świecie, ale wsłuchuje się i słyszę głos, który błaga o pomoc. Więc się wygramoliłem z tej ziemi i podczołgałem do kolegi Mukosińskiego, rannego w nogę. „Józiu, ratuj mnie, ja mam dwoje maleńkich dzieci"- mówi do mnie. Miałem bandaż i mu nogę zabandażowałem, a potem zabrali go sanitariusze. Z kolegą Mukosińskim spotkałem się w Lublinie w maju 1980 roku na zlocie trauguttowców. Nie mogliśmy się poznać. A gdy poznaliśmy się, to popłakaliśmy się, łzy same poleciały po naszych policzkach. „Pamiętasz, jak mnie pierwszej pomocy udzieliłeś?". A ja mówię: „Boś bardzo błagał i płakał, boś miał dwoje maleńkich dzieci". I znów łzy jak groch poleciały po naszych twarzach. Kołobrzeg, polski Stalingrad, dzień po dniu w morzu płomieni palącego się miasta. Wdzieraliśmy się w głąb twierdzy kołobrzeskiej. Walki toczyły się o każdy dom, o każde podwórko. Nie raz było tak, że w jednym domu trwała strzelanina, śmierć zaglądała na każdym kroku. W końcu zdobyliśmy Kołobrzeg, tylko stan ludzi w mojej kompanii to można było policzyć na palcach. Już 19 marca 1945 r. wycofano nas z Kołobrzegu do pobliskiej wsi na odpoczynek i uzupełnienie ludzi, bo były u nas duże straty. I tu na odpoczynku świętowaliśmy Wielkanoc. Były to święta nie bardzo wesołe, bo na własne oczy widzieliśmy, ile ofiar pochłania ciężka wojna, choć do końca wojny nie było tak daleko. Ale wiedzieliśmy, że jeszcze wielu z nas odda swoje życie za wolność ojczyzny.*

A oto co opowiadał swojej rodzinie o zdobyciu Kołobrzegu Józef Czubko: *Niemcy ogłosili Kołobrzeg twierdzą. Walki o Kołobrzeg rozpoczęły się 4 marca 1945 roku. Miasto zostało otoczone przez wojska rosyjskie i polskie. Było silnie bombardowane. 13 marca wprowadzono do walk 4. Dywizję Piechoty, w której służyłem. Walczyłem na torach wyścigowych, dworcu kolejowym, w parowozowni. W okolicy dworca znajdowały się umocnienia. Ponieśliśmy duże straty. W czasie walk*

17 marca 1945 roku zginęła podporucznik Emilia Gierczak. Cieszę się, że w czasie walk o miasto nic złego mnie nie spotkało. Przeżycia wojenne są straszne, tkwią w pamięci i ciężko o nich zapomnieć. Miasto zostało prawie całe zniszczone. O wydarzeniach wojennych myślę jeszcze dziś, mimo upływu 70 lat od ich zakończenia.

W tym miejscu na podstawie *Wikipedii* można dodać dwa zdania o dowódcy plutonu Emilii Gierczak. Urodzona w 1925 roku na Wołyniu, w lutym 1940 roku z rodziną została wywieziona aż pod koło polarne w obwodzie archangielskim. We wrześniu 1943 roku razem ze swoim ojcem trafiła do 1. Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki. Po ukończeniu w lutym 1944 roku z wynikiem celującym szkoły oficerskiej w Riazaniu i krótkiej służbie jako dowódca plutonu przy sztabie 1. DP od maja 1944 r. została przeniesiona do 4. DP im. J. Kilińskiego i wyznaczona na dowódcę 1. plutonu w 2. kompanii fizylierów 10. pp. Walczyła w pierwszej linii. Od września 1944 roku otrzymała awans na podporucznika. Po walkach w rejonie Wierzchowa koło Drawska Pomorskiego przy niszczeniu bunkrów niemieckich, co otworzyło drogę innym pododdziałom pułku, na początku marca 1945 roku ze swoim plutonem dotarła w okolice Kołobrzegu. Mimo grypy uczestniczyła razem z 10. pp w skutecznym ataku na parowozownię i zakłady farmaceutyczne w Kołobrzegu. Emilia Gierczak zginęła 17 marca 1945 r. Miała 20 lat.

W nawiązaniu do wypowiedzi Józefa Czubki o jego walce w Kołobrzegu na dworcu kolejowym i w parowozowni warto ją uzupełnić o pewne szczegóły dodane w październiku 2015 roku w wyniku wspólnego z synem Marianem przypominania wcześniejszych wspomnień i analizowania bojów seniora rodziny o stację Kołobrzeg Towarowy. Na podstawie ich relacji Zbigniew Woźny zredagował następującą opowieść: *Ciężkie walki toczyły się o dworzec kolejowy. Drużyna, którą dowodził kapral Czubko, leżała pod parowozem ostrzeliwanym przez Niemców z bunkra położonego wzdłuż torów. Wtedy to dowódca drużyny otrzymał rozkaz zniszczenia aktywnego bunkra. Zdawał sobie sprawę, że z tej wyprawy może już nie wrócić żywym. Niekoniecznie zastrzeli go niemiecki snajper, ale może zostać trafiony przypadkowymi pociskami wystrzeliwanymi przez Niemców z okrętów stojących na redzie w porcie kołobrzeskim a wybuchającymi na dworcu towarowym, czy też może zostać uderzony odłamkiem przypadkowego rosyjskiego szrapnela, wybuchającego tuż koło niego.*

Udało się kapralowi Józefowi Czubce wraz z innymi żołnierzami (według innej wersji opowiadania z innym żołnierzem) dotrzeć rowem w okolice bunkra szachującego swoim ogniem ruchy jego kompanii. Granatami ogłuszającymi rzucanymi w stronę bunkra zmuszono walczących Niemców do poddania się. Dwóch berlingowców z jeńcami wycofało się spod bunkra, unikając postrzelenia. Niemcy nie chcieli strzelać do prowadzonych przez Polaków swoich żołnierzy. Kilińszczacy

dotarli z jeńcami do sztabu, który znajdował się na dworcu. Przekazali ich polskiemu oficerowi wywiadu, który z powodu niezrozumienia mowy kresowej rzekomo zakwestionował autentyczność kilińszczaków dostarczających Niemców do dowództwa. Według Józefa Czubki był to najbardziej niebezpieczny i najgroźniejszy dla niego epizod wojenny w czasie całej służby frontowej.

Ta historia miała swój dalszy ciąg. Minęło 40 lat od wydarzenia. Na jednym ze spotkań kombatanckich po wprowadzeniu stanu wojennego w latach 80. XX wieku Józef Czubko opowiedział swoją historię zdobywania Kołobrzegu jednemu z redaktorów czasopisma pilskiego, który uczestniczył w zebraniu, interesował się walkami o przełamanie Wału Pomorskiego i dobrze znał ich przebieg. Po rozmowie z Józefem Czubką dziennikarz zredagował odpowiednie pismo z zapytaniem, które skierował do władzy centralnej w Warszawie, czy aby oficerem wywiadu przebywającym w marcu 1945 roku na dworcu kolejowym w czasie zdobywania twierdzy kołobrzeskiej nie był niejaki … Wojciech Jaruzelski. Redaktor otrzymał od władz warszawskich odpowiedź przeczącą i przekazał ją zainteresowanemu. Ale na polecenie zwierzchnich władz zbowidowskich kierownik koła zbowidowskiego w Krzyżu Wlkp. Aleksander Kita, w trybie pilnym wypełniał dla Józefa Czubki wniosek o przyznanie Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, którym nagrodzono go w marcu 1984 roku.

Kołobrzeg zdobyto 18 marca 1945 r. w godzinach rannych. Tego samego dnia po południu odbyły się oficjalne zaślubiny Polski z morzem. Do tej ceremonii został wytypowany 7. Pułk Piechoty z 3. Dywizji Piechoty im. R. Traugutta pod komendą majora Stanisława Russijana, a do odegrania symbolicznej roli wyznaczono kaprala Franciszka Niewidziajłę, pochodzącego z leżącej niedaleko Czernielowa Mazowieckiego Stryjówki, w powiecie zbaraskim. Był jezdnym działa 45 mm w 7. pp. Do wojska trafił razem z synem. Niestety, jego jedyny syn zginął na Wale Pomorskim.

Akt zaślubin miał miejsce przy ruinach fortu przy wejściu do portu, gdzie przy trybunie zebrało się około 200-300 żołnierzy. Ceremonię zaślubin rozpoczęła Msza św. Po krótkich przemówieniach majora Russijana i ppłk. Piotra Jaroszewicza głos zabrał kapral Niewidziajło, mówiąc następujący tekst zaślubin: *Przyszliśmy, Morze, po ciężkim i krwawym trudzie. Widzimy, że nie poszedł na darmo nasz trud. Przysięgamy, że Cię nigdy nie opuścimy. Rzucając ten pierścień w Twe fale, biorę z Tobą ślub, ponieważ Tyś było i będziesz zawsze nasze.*

Następnie wziął od dowódcy obrączkę, zszedł z trybuny i w asyście dwóch żołnierzy po kamiennym murze poszedł ku wejściu do portu, gdzie wrzucił pierścień do wody na wzór symbolicznych zaślubin srebrnym pierścieniem, jakich 10 lutego 1920 r. w Zatoce Puckiej dokonał generał Józef Haller.

Ceremonia zaślubin Bałtyku po 25 latach różniła się rangą osoby wrzucającej pierścień. Generał Haller był przedstawicielem kadry dowódczej armii, kapral Niewidziajło, niskiej rangi żołnierzem, wytypowanym do tej reprezentacyjnej roli z uwagi na chłopskie pochodzenie, odpowiadające propagowanej wówczas ideologii komunistycznej.

Niestety, nie zachowały się zdjęcia z oficjalnej ceremonii zaślubin z morzem z udziałem Franciszka Niewidziajły. W powszechnej świadomości jako zdjecie z zaślubin utrwaliło się natomiast zdjęcie autorstwa wojennego fotografa Józefa Rybickiego przedstawiające trójkę żołnierzy zanurzających w morzu sztandar 10. pp z 4. Dywizji Piechoty im. J. Kilińskiego. Zdjęcie znajduje się w zbiorach Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu, które potwierdziło, że autor zdjęcia podał wyłącznie nazwisko trzymającego sztandar chorążego Spodymka, nie wymienił natomiast nazwisk pozostałych żołnierzy. Podpis pod zdjęciem w muzeum brzmi: *Kołobrzeg - marzec 1945; Ślubowanie Bałtykowi. Ślubowanie sztandarem 10. pułku piechoty, ofiarowanym przez ludność Warszawy.*

Marzec 1945 r. w Kołobrzegu. Ślubowanie sztandarem 10.pp, w środku chorąży Spodymek, z prawej Marian Hrycaj

Według Stanisława Cieplaka jednym z trzech żołnierzy w poczcie sztandarowym był pochodzący z Czernielowa Marian Hrycaj, po wojnie mieszkaniec Trzemeszna. W sierpniu 2018 r. w korespondencji Stanisław Cieplak wyjaśnił: *Znałem go osobiście (...) Na wojnę poszedł razem z ojcem Justynem. Ojciec zmarł na froncie, chorował na żołądek. Opowiadał mi, żeby być w poczcie sztandarowym trzeba było sobie zasłużyć. Jeszcze w czasach PRL w gazecie było zdjęcie zaślubin 10. pp z morzem po zdobyciu Kołobrzegu. Tam przy sztandarze też był Marian Hrycaj. Mój ojciec Józef Cieplak* (z Czołhańszczyzny - dop. K.M.) *też był w 10. pp i powiedział*

mi wtedy, że na zdjęciu jest Marian Hrycaj. Napisałem wówczas do redakcji z wskazaniem, że człowiek z fotografii mieszka w Trzemesznie. Dziennikarz przeprowadził wtedy z nim wywiad, który ukazał się w gazecie.

Marian Hrycaj był również członkiem pocztu sztandarowego, gdy pododdziały 10. pp przekroczyły Odrę. Będzie jeszcze o tym mowa.

Uzupełniając temat, trzeba dodać, że już dwa, trzy dni przed oficjalną uroczystością zaślubin z morzem, jak również później do końca marca 1945 roku, odbywały się w Kołobrzegu i innych miejscach nad Bałtykiem uroczystości zaślubin, które organizowały i przeprowadzały różne inne jednostki 1. AWP - dywizje, brygady, pułki. Dla wszystkich żołnierzy najważniejsze były te, w których oni sami uczestniczyli.

Kołobrzeg został zdobyty, zaślubiny z morzem dokonane. Przyszedł czas na podsumowanie strat, na podziękowania za żołnierski trud, na odznaczenia dla biorących udział w walkach.

Bitwa o Kołobrzeg była jedną z najbardziej krwawych bitew z udziałem Polaków i jedną z trudniejszych bitew prowadzonych w zabudowie ulicznej w czasie II wojny światowej. Uważana też jest za pierwsze wielkie samodzielne zwycięstwo operacyjne 1. Armii WP.

W ciągu kilkunastu dni zdobywania miasta twierdzy zginęło 1206 polskich żołnierzy, zaginęło bez wieści 143, a ponad 2600 odniosło rany. Wśród nich byli żołnierze pochodzący z Czernielowa. O tych, którzy zginęli w walkach o Kołobrzeg, wiadomo na podstawie przekazu rodzinnego i informacji ze zbioru danych o poległych zarejestrowanych na stronie internetowej *Straty osobowe i ofiary represji pod okupacją niemiecką*. Lista ta nie jest długa i można przypuszczać, że niepełna.

W bitwie o Kołobrzeg śmierć poniósł między innymi urodzony w 1919 roku Tomasz Kozłowski („Baj”), syn Franciszka. Stało się to prawdopodobnie w dniach między 7 a 12 marca w czasie, gdy żołnierze 1. AWP przełamywali pierwszy pierścień niemieckiej obrony. Z opowiadania jego kolegów wynikało, że na podkołobrzeskich bagnach był ranny w nogę. Można się domyślać, że nie było warunków, by udzielić mu pomocy medycznej lub pomoc przyszła za późno, doszło do wykrwawienia i śmierci.

Tomasz Kozłowski

Jak opisywał Józef Mielnik „Bogaczyna”, uczestnik walk w pierwszym pasie przełamania oporu, łąka pod Kołobrzegiem stała się grobem dla wielu kolegów, natarcie zostało na łące zatrzymane i żołnierze cały dzień leżeli w zimnej, lodowatej wodzie. Tomasz Kozłowski miał 25 lat. Osierocił małego syna Wacława. Mimo wielu lat poszukiwań rodzina nie odnalazła nigdzie jego grobu. Z pamiątek pozostał

jego ostatni list do rodziców z datą 15 sierpnia1944 roku, w którym pisze o swoim zdrowiu, martwi się, jak sobie rodzice poradzili ze żniwami, pozdrawia rodziców i siostrę, pisząc do „miłego zobaczenia”. Do rodziny dotarła też krótka notka o ostatniej wiadomości o nim w lutym 1945 r. pod Kolbergiem, i o tym, że *prawdopodobnie został ranny i umarł.*

Nie jest również znana dokładna data śmierci czernielowianina Marcina Piotrowskiego, męża Antoniny i ojca Ludwika. O tym, że zginął w marcu 1945 roku w czasie walk o Kołobrzeg, napisał jego wnuk Edward Piotrowski.

W czasie walk w Kołobrzegu 16 marca 1945 r. zginął niespełna 20-letni Jan Lak, syn Jana. Był kapralem w 10. pp 4. Dywizji Piechoty im. J. Kilińskiego. Jego nazwisko figuruje na jednej z płyt nagrobnych cmentarza wojennego w Kołobrzegu. Trzy dni wcześniej, 13 marca, w bitwie na ulicach miasta twierdzy, być może w czasie zdobywania silnie umocnionego rejonu gazowni, walcząc razem z 9. pp w 3. DP im. R. Traugutta, śmierć poniósł Jan Maśluk, syn Pawła. Urodził się w 1912 roku, był w stopniu kaprala. Gdy zginął, miał 33 lata.

O pozostałych żołnierzach z Czernielowa, którzy walczyli o Kołobrzeg, przełamując niemiecką obronę w kolejnych pierścieniach, a potem przeżywali zaślubiny Polski z morzem, o innych, którzy w tych walkach zostali ranni, wiadomo znacznie mniej. Niestety, pamięć o obecności wielu z nich w Kołobrzegu w marcu 1945 roku nie przekazana dalej niż ramy rodziny, a po latach nie przetrwała.

Z przekazu rodziny wiadomo, że 16 marca 1945 r. został ciężko ranny w brzuch Władysław Dziadas, po trafieniu przez niemieckiego snajpera. Urodzony w 1926 roku do 1. AWP trafił na wiosnę 1944 roku, mając niespełna 18 lat. Jako żołnierz 8. pp wziął udział w walkach o Warszawę, przełamanie Wału Pomorskiego i o Kołobrzeg. Jego ojciec o ciężkim zranieniu syna dowiedział się z listu, który otrzymał od podporucznika Kuriaty. W szpitalu w Sopocie Władysław Dziadas spotkał starszego kolegę z Czernielowa, Antoniego Szełepkę, również rannego w czasie bitwy o Kołobrzeg, który po wojnie osiedlił się w tym mieście, a Władysław Dziadas w Trzemesznie.

Rany w czasie walk o Kołobrzeg odnieśli: Jan Maśluk, syn Bartłomieja, rocznik 1922, oraz Jan Żarkowski, syn Andrzeja. Jan Żarkowski według przekazu rodzinnego został ranny w nogę, przebywał w szpitalu, a potem pół roku trwała jego rehabilitacja. Po wojnie Jan Maśluk zamieszkał w Trzebowie a Jan Żarkowski w Trzemesznie.

Kołobrzeg.W głębi pomnik poświęcony poległym w walkach o wyzwolenie miasta w marcu 1945 r.

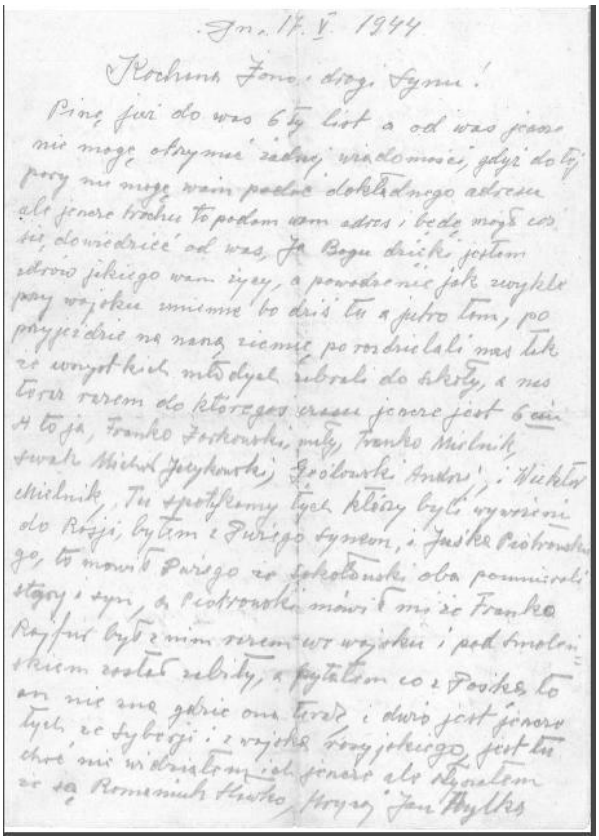

Dnia 17. V. 1944

Kochana Żono i drogi Synu!

Piszę list do was 6-ty list a od was jeszcze nie mogę otrzymać żadnej wiadomości, gdyż do tej pory nie mogę wam podać dokładnego adresu ale jeszcze trochu to podam wam adres i będę mógł coś się dowiedzieć od was. Ja Bogu dziękuję jestem zdrów jakiego wam życzę, a powodzi się jak zwykle przy wojsku mniemam bo dziś tu a jutro tam, po przyjeździe na nową ziemię po rozdzieleniu nas tak ze wszystkich miejscowości zabrali do szkoły, a nas teraz razem do którego czasu jeszcze jest 6 cio 4 to ja, Franko Jerkowski, miły, Franko Mielnik, Kwiatkowski Michał Jerykowski, Grolowski Antoni, Wiktor Mielnik, Tu spotykamy tych którzy byli wywiezieni do Rosji, byłem z Dwiego synem, i Jasiek Piotrowskiego, to mówił Dwiego ze Sokołowski oba pamiętali stryja i syna, a Piotrowski mówił mi że Franko Jerkowski był z nim razem we wojsku i podchorążym został zabity, a pytałem co z Jerkowskim to on nie wie gdzie one teraz i dwie jest jeszcze tych, ze Syberji i z wojska Rosyjskiego jest tu chwe, nie widziałem ich jeszcze ale słyszałem że są Romanik Stasko, Stryjas Jan Wytka

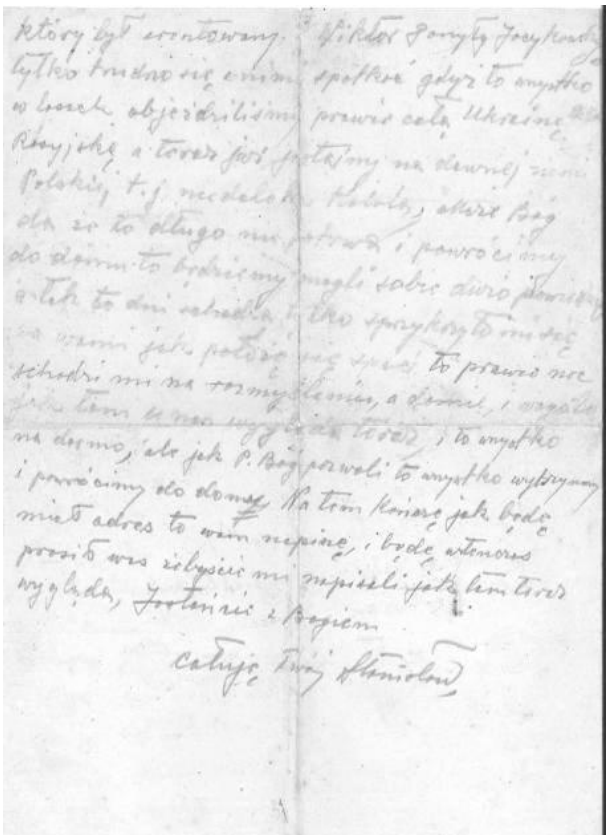

który był ewakuowany. Wiktor Dwigty Jerykowski tylko trudno się z nim spotkać gdyż to wszystko w bloku objeżdżaliśmy prawie całą Ukrainę Rosyjską a teraz jesteśmy na dawnej ziemi Polskiej, t.j. niedaleko Kielc, ale Bóg da że to długo nie potrwa i powrócimy do domu to będziemy mogli sobie dużo pomówić a tak to dni schodzą bardzo spokojnie mogę spać na swoim jak polecę się spać. To prawie nie schodzi mi na rozmyślaniu, a domu, i wszystkim u nas wszystko dobrze, i to wszystko na domu, ale jak P. Bóg pozwoli to wszystko wytrzymamy i powrócimy do domu. Na tem kończę jak będę miał adres to wam napiszę, i będę wtenczas prosił was żebyście mi napisali jak tam teraz wygląda, Jesteśmy z Bogiem

Całuję Twój Stanisław

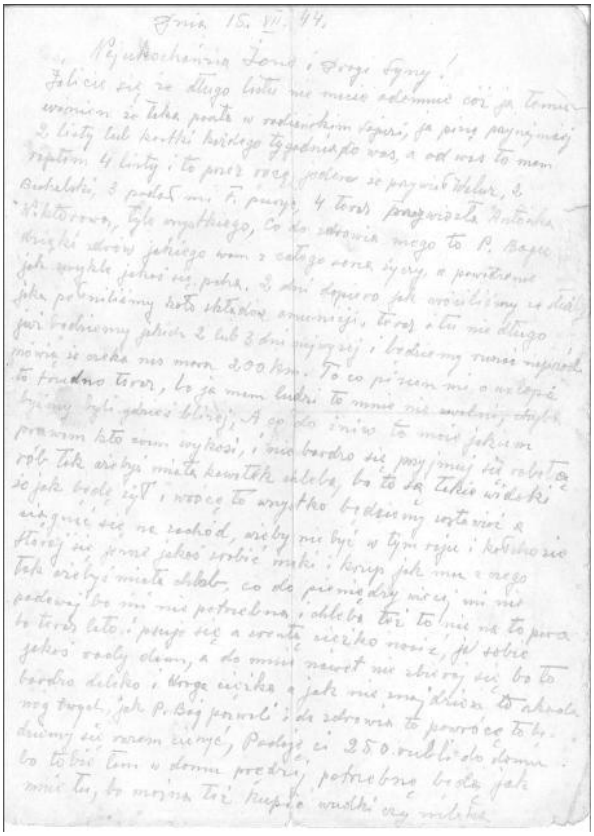

Dnia 15. VII. 44.

Najukochańsza Żono i Drogi Synu!

Żal się że długo listu nie mogę odemnie coś ja temu winien że tyle poczt w rodzinnych stronach ja piszę mniej 2 listy lub kartki każdego tygodnia po was, a od was to mam napotem 4 listy i to przez rok, jedno się przyniósł Wiktor, 2 podobno mi P. przysz. 4 teraz przyniosła Antonina Wiktorowa, tyle wszystkiego, Co do zdrowia mego to P. Bogu dziękuję zdrów jakiego wam z całego serca życzę, a powodzi się jak wszyscy jakoś się pisze. 3 dni temu jak wróciliśmy z dnia jakie pomieszkujemy koło stacji Sarnowiec, teraz z tąd nie długo jest jedziemy jakieś 2 lub 3 dni wyżej i będziemy mieszkać mówią że około nas mam 200 km. To co przeczę mi o tej to trudno teraz, bo za mam ludzi to mniej nie wolno chyba będziemy żyli jeszcze bliżej. A co do świń to mieli jakieś prawem kto sam wyhodzi, i nie bardzo się myślimy tej robotą robi tak aby mieć kawałek chleba, bo to za takie widoki się jak będzie żyć, wszystko będziemy zostawili a udajemy się na zachód, aby nie być w tym roju i kłopocie tej nie pomoże jakoś sobie radzić, kiedyś się tak zrobi mieć chleb, co do pieniędzy nie ma, mi nie podobny bo mi nie potrzebna, chleba też to nie na to pora to teraz lato, pracuje się a zarobi ciężko nowe, jak sobie jakoś radzi dam, a do mnie nawet nie chcą się bo to bardzo daleko, drogi ciężka a jak nie mój dzień to schodzi mój tydzień, jak P. Bóg pozwoli i do zdrowia to powrócę to tak dużo się razem cieszę, Posłuję ci 250 rubli do domu to tobie tam w domu przydzi, potrzebne będą jak mnie tu, to mojna też kupić wódki czy miodu

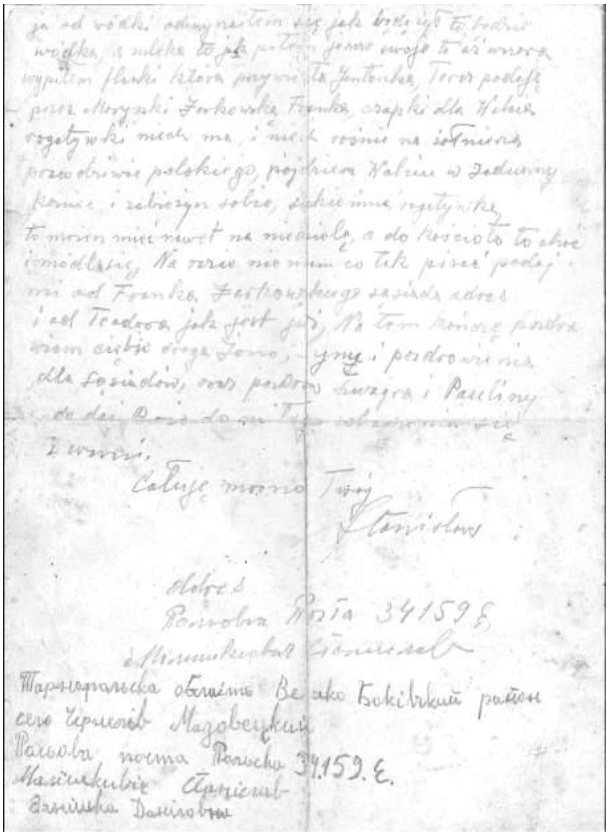

ja od wódki odmawiałem się jak brać tyle to trudno wódka, a mleko to jak potem jeszcze mogę to się wrócę wypiłem flinki które przywiozła Jantonka, Teraz podaję przez Morynki Jerkowską Franka, grabki dla Wiktora szczotkę włosową mam, i nitki rożnie na ostrzenie prawdziwie polskiego, pojechał Walek w Jedwabny pomóc i zebrajcie sobie, jakie inne rzeczy to mogę mieć nawet na niedzielę, a do kościoła to chwile i modlenie, Na razie nie mam co tak pisać podaj mi od Franka, Jerkowskiego zasiedz adres i od Teodora, jak jest jej, Na tem kończę pozdrawiam ciebie drogą Żonę, -ynę i pozdrawiam dla Sąsiadów, wasz pozdrawia Grzyca i Paulina do dni Pozdrowienia

Z wyrazami,

Całuję mocno Twój

Stanisław

Adres

Pocztowa Rosja 34159 E,

Mariupolskaja Gorniczest

Marjupolska obwiśma Bezako Bokitskuii patron

ezo Teprowit Mazobeyskuii

Pocztowa norma Pocztowa 34159. E.

Mariupolskaja Gorniczest

Bezuszka Dasirowna

Polowa poczta № 34159 E,

Plut. Maliszkiewicz Stanisław.

Pocztowa norma № 34159 E.

Mariupolskaja Gorniczest

Listy Stanisława Maliszkiewicza do żony Agnieszki i syna z 17 maja i 15 lipca 1944 r.

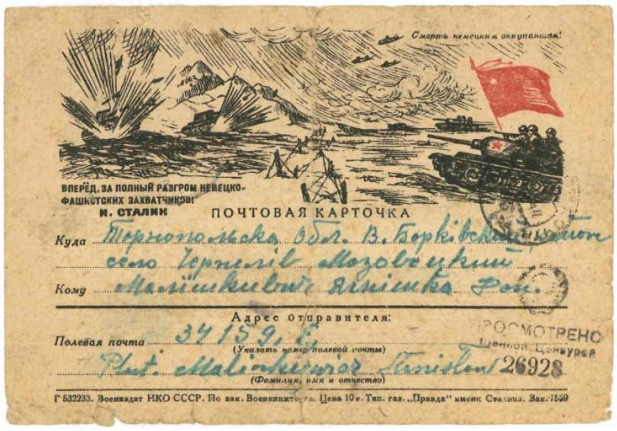

Kartki pocztowe Stanisława Maliszkiewicza do żony Agnieszki

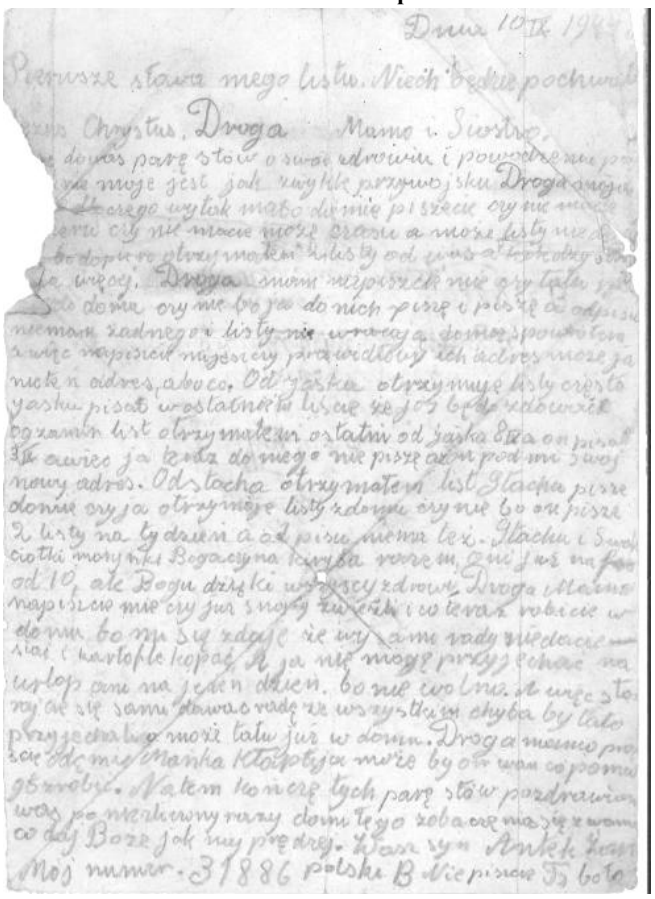

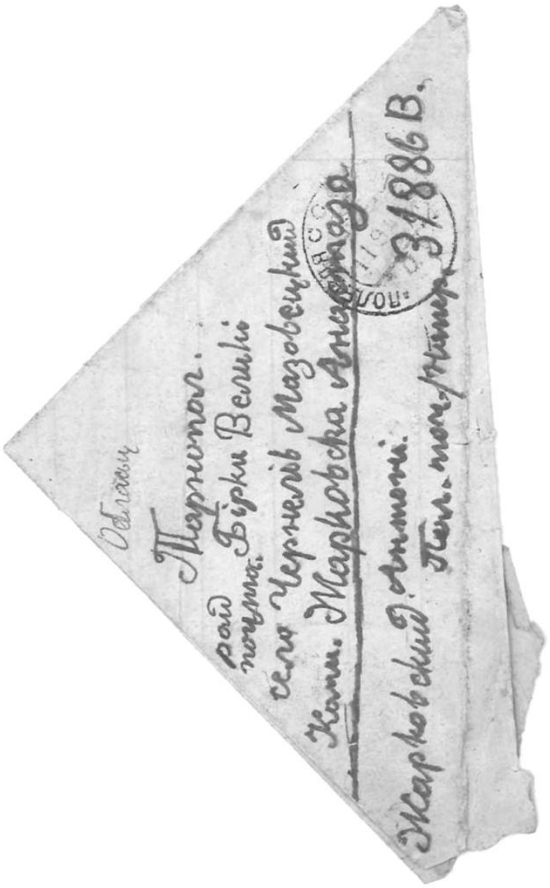

List Antoniego Żarkowskiego do Mamy Anastazji i siostry z 10 września 1944 r.

Kartka pocztowa Jana Żarkowskiego do wujka Franciszka Bachalskiego z stycznia 1945 r.
Na karcie obraz Jana Matejko - Król Stefan Batory pod Pskowem, 1581 r.

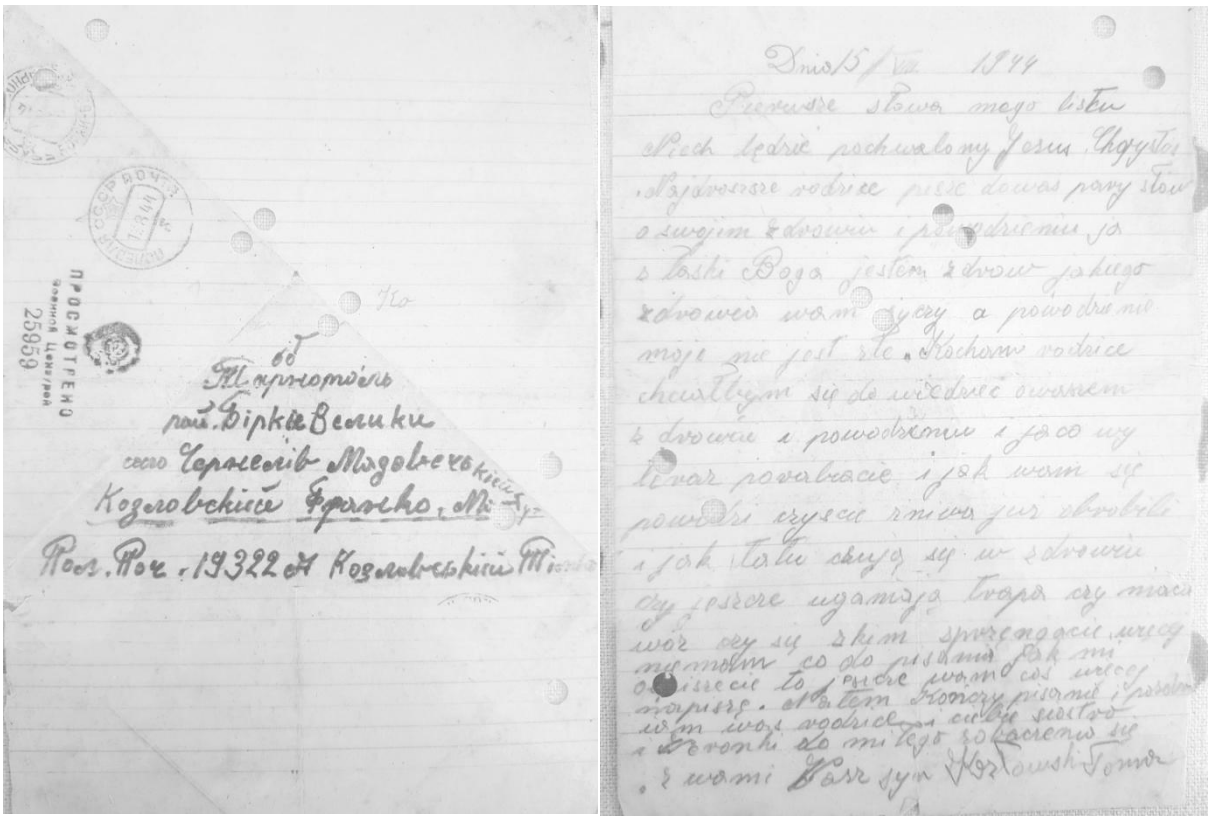

List Tomasza Kozłowskiego z 15 lipca 1944 r. do rodziców Justyny i Franciszka Kozłowskich

niżej list dowódcy Władysława Dziadasa do jego ojca Jana

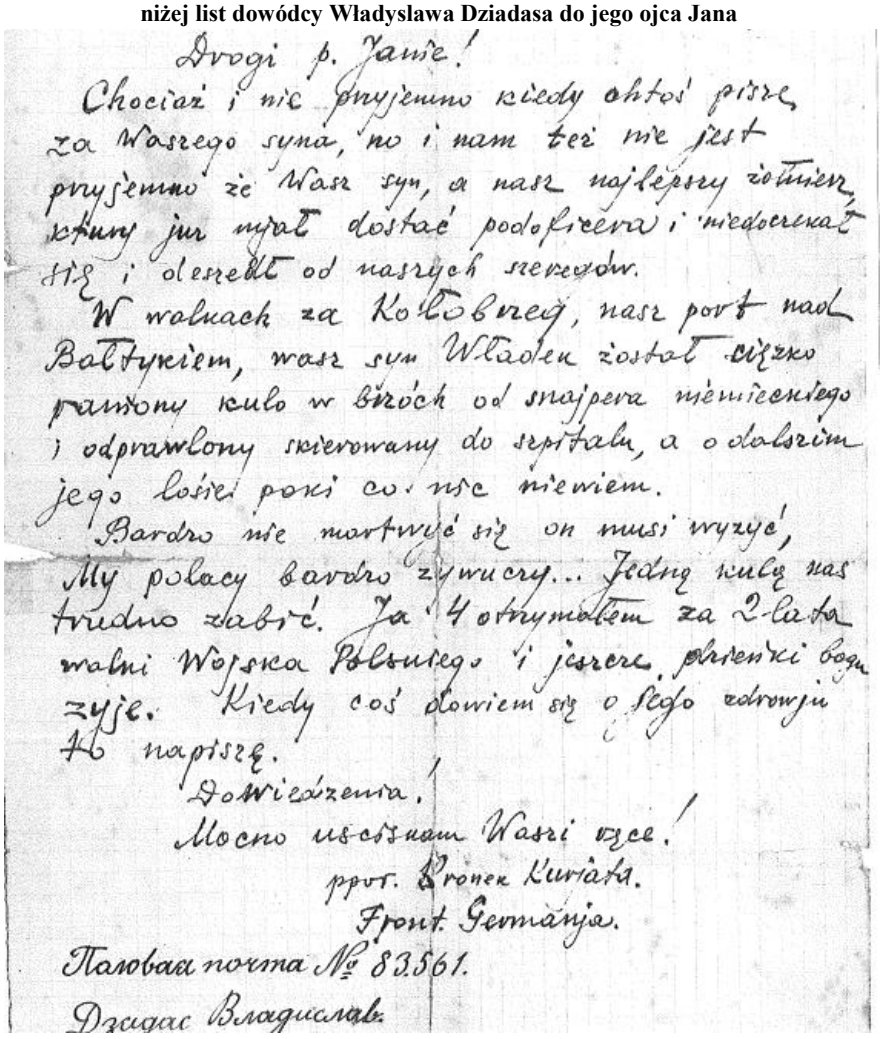

Z prawej: Kazimierz Szumlicz

Franciszek Murmyło i Jan Ziemba

Franciszek Bachalski i Władysław Hrycaj

Z lewej NN, z prawej Franciszek Żarkowski

Antoni Romaniuk i Franciszek Chabza

Z prawej: Józef Słoboda

Józef Czubko i Antoni Koszuliński

Andrzej Ziemba, Walichewicz, 9 pp

Z prawej: Józef Mielnik

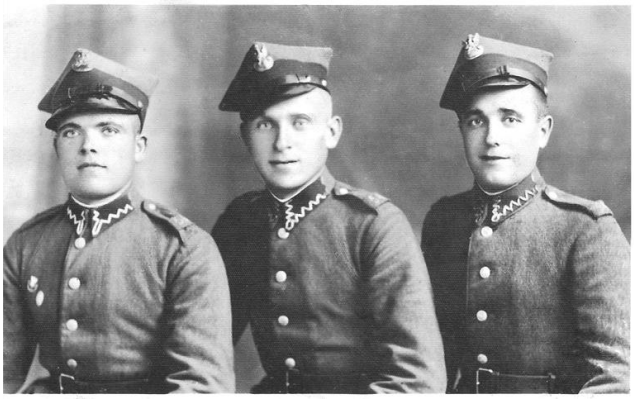

NN, Sławek Jacykowski i Franciszek Żarkowski

z lewej: Józef Rajfur

W środku Marian Żarkowski

Z lewej strony siedzi Tomasz Jacykowski

Z tylu po prawej Józef Kubiszyn i koledzy Stankiewicz i Tomasz Bochenek

Trzeci od lewej stoi Mikołaj Czubko, reszta NN

Klęczy na kolanie pierwszy od lewej strony: Józef Nietreba

Drugi od lewej: stoi Józef Mielnik

Obok woźnicy, z prawej, Franciszek Jakubiszyn

Nad Bałtykiem, po walkach o Kołobrzeg, wśród żołnierzy pierwszy z lewej Józef Cieplak

Walki w rejonie dworca w Kołobrzegu, zdjęcie z Internetu

Na froncie: leżący z prawej Piotr Hrycaj, drugi od lewej siedzi Franciszek Bachalski, obok z prawej Jan Żarkowski, syn Andrzeja

W drugim rzędzie czwarty od lewej Franciszek Bachalski

W środku: Franciszek Bachalski

Poza poległymi i wspomnianymi już Józefem Mielnikiem „Bogaczyną” i Józefem Czubką, Janem Maślukiem i Janem Żarkowskim, Władysławem Dziadasem i Antonim Szełepko na podstawie przekazu rodzinnego można wymienić następujących uczestników walk w tym rejonie Pomorza: braci Jana i Michała Bigusów, ojca Jana Walduna oraz jego synów Franciszka i Jana Waldunów, Jana Mielnika, Franciszka Bachalskiego, Franciszka Jakubiszyna, Józefa Kubiszyna, Franciszka Klepajczuka, Bartłomieja Murmyłę, Bronisława Sowę, Kazimierza Szumlicza, Andrzeja Ziembę, Jana Ziembę, Józefa Żarkowskiego, ojca Franciszka Żarkowskiego i synów - wspomnianego poległego Antoniego i Jana Żarkowskich, a z Czołhańszczyzny - braci Bartłomieja i Michała Chabzów oraz Józefa i Jana Cieplaków. Do tej listy można prawdopodobnie dodać kilku kolegów Józefa Czubki, których wcześniej wymieniał, że byli razem z nim: Władysława Hrycaja, Józefa Kozłowskiego, Antoniego Koszulińskiego. Trzeba też przypomnieć Mariana Hrycaja, członka pocztu sztandarowego przy zaślubinach z morzem 10. Pułku Piechoty.

Stanisław Cieplak, syn Józefa, wśród żołnierzy 10. pp walczących razem z jego ojcem wymienił następujących młodych mieszkańców Czernielowa: Józefa Kozłowskiego, Władysława i Mariana Hrycajów, Franciszka Żarkowskiego, Józefa Jacykowskiego i Kazimierza Białogłowskiego. Dodał też, że Jan Żarkowski i Józef Kozłowski pod Kołobrzegiem zostali ranni, pierwszy w nogę, drugi w rekę.

W czasie walk o to miasto ranny został też Józef Jacykowski. Nie poszedł już dalej, tu zakończył swój szlak bojowy. Jak zapamiętał Stanisław Cieplak z opowieści rodzinnych i żołnierskich, Józef Jacykowski po wyleczeniu znalazł się w grupie żołnierzy uprawiających pole na potrzeby wojska i ludności cywilnej. Po wojnie zamieszkał w Trzemesznie.

O tym, że w czasie wojny nie tylko kontuzjowani żołnierze zajmowali się uprawą roli, ale również gdy była przerwa w czasie walk, pilne prace polowe wykonywali posiadający te umiejętności żołnierze pochodzący ze wsi, pisał we wspomnieniach Józef Czubko: *W kwietniu 1945 roku, gdy nasz pułk stacjonował w Szczecińskiem, to sieliśmy zboże jare na polach w majątkach poniemieckich.*

Z całą pewnością nie są to wszyscy żołnierze z Czernielowa walczący o Kołobrzeg, ale ustalenie pełnego stanu faktycznego okazało się niemożliwe.

Po zdobyciu Kołobrzegu, miasta twierdzy, na cześć zwycięstwa w Moskwie oddano 18 marca 1945 r. 12 salw artyleryjskich ze 120 dział. Informowało o tym imiennie kierowane do każdego żołnierza pismo wydane na rozkaz Wodza Naczelnego Armii Czerwonej marszałka Stalina z dnia 18 marca 1945 r., w którym wyrażał podziękowanie za „udział we wspaniałych działaniach bojowych 1. Armii o zdobycie prastarego słowiańskiego portu nad Bałtykiem Kołobrzega”.

Za swój żołnierski trud, za bohaterstwo w walce wielu z nich otrzymało odznaczenia bojowe. Załączone zdjęcia medali i orderów są tylko małą cząstką

przypominającą uhonorowanie w tej formie udziału w walce z hitlerowskim najeźdźcą, bohaterskich czynów i poświęcenia przy spełnianiu żołnierskiej powinności przez czernielowian i mieszkańców okolicznych wsi.

Trzeba jeszcze za *Wikipedią* dodać, że w ramach operacji pomorskiej niektóre jednostki 1. AWP walczyły pod Kamieniem Pomorskim i Dąbiem Szczecińskim. 1. Brygada Pancerna w składzie 2. Frontu Białoruskiego zdobywała Wejherowo, Janowo, a pod koniec marca 1945 roku Gdynię, Gdańsk, Oksywie.

Po krótkiej przerwie, kontynuując marsz na zachód, Armia Czerwona przystąpiła do operacji berlińskiej. Zdobycie Berlina miało być przeprowadzone siłami 2. Frontu Białoruskiego od północy i 1. Frontu Białoruskiego oraz 1. Frontu Ukraińskiego od strony wschodniej i południowej. Z frontami radzieckimi współdziałały 1. i 2. Armia Wojska Polskiego.

Wspomniano wcześniej o formowaniu od sierpnia 1944 roku oddziałów 2. AWP. Gdy w styczniu 1945 roku ruszył front na zachód w kierunku Warszawy, a z nim oddziały 1. AWP z rejonu formowania na Lubelszczyźnie i na Podlasiu, wyruszyły też pod koniec stycznia za Wisłę główne siły 2. Armii, którą stanowiły: dywizje piechoty od 5. do 10., z wyjątkiem 6. włączonej do 1. AWP, 3. Dywizja Artylerii Przeciwlotniczej, 9. i 14. Brygady Artylerii Przeciwpancernej, 5. Pułk Czołgów Ciężkich, 28. Pułk Artylerii Pancernej oraz jednostki łączności i zaopatrzenia. W następnych miesiącach dołączyły do 2. Armii inne nowe jednostki oraz od 21 marca przemieszczono z 1. Armii 1. Korpus Pancerny.

Formacje te były przydzielone do frontów radzieckich i znajdowały się w dalszym rzucie. Wynikało to z obiektywnych przesłanek i różnych trudności w sferze organizacyjnej: braku kadry oficerskiej i podoficerskiej, ciężkich warunków zakwaterowania i aprowizacji, poważnych braków materiałowych w umundurowaniu i obuwiu oraz transportowych. Pisał o tym między innymi Józef Milewski w *Materiałach do dziejów 2. Armii Wojska Polskiego 1944-1945* . W początkowym etapie przemarsz jednostek 2. AWP w kierunku centralnej Polski w rejon Radomia, Łowicza, Kutna, Piotrkowa Trybunalskiego i Łodzi miał znaczenie przede wszystkim polityczne i propagandowe, a żołnierze byli angażowani jako zaplecze nowej władzy przy organizacji życia na terenach wyzwolonych po zakończeniu okupacji niemieckiej, przechodzili dodatkowe szkolenia. Niektóre pododdziały, jak 2. baon 35. pp 7. DP, brały udział w walkach o Poznań. Równocześnie z powodu braku ciężarówek, paliwa, a także obuwia dla żołnierzy część sił i oddziałów tyłowych pozostała na wschodzie.

Następne zadanie dla 2. Armii wiązało się z zamiarem udaremnienia ewentualnego kontrataku niemieckiego na kierunku Pomorze-Poznań. W związku z tym od 21 lutego miało nastąpić przegrupowanie 2. AWP w rejon Piły i Krzyża Wlkp. Wobec likwidacji zagrożenia, po sukcesie operacji pomorskiej i przełamaniu

Wału Pomorskiego, zadanie to stało się nieaktualne i tylko część sił jako odwód 1. Frontu Białoruskiego została przemieszczona w rejon Gorzowa, Barlinka, a co do pozostałych sił zapadła decyzja włączenia do 1. Frontu Ukraińskiego i przegrupowania w trzeciej dekadzie marca w rejon Wrocławia. Polskie jednostki miały zapobiec ewentualnym próbom przedarcia się sił niemieckich z Wrocławia w kierunku Poznania, a częścią sił wziąć udział w walkach o Festung Breslau.

Jak można przeczytać w opisie szlaku 2. Armii na Dolnym Śląsku Eugeniusza Uciskiego, sztab 2. Armii Wojska Polskiego został ulokowany w Trzebnicy, a jednostki wojskowe natychmiast przystąpiły do przygotowania pozycji obronnych oraz organizowania systemu ognia i obrony przeciwlotniczej. Jednak już 4 kwietnia rano w związku z przygotowaniami do operacji berlińskiej dowództwo 1. Frontu Ukraińskiego nakazało 2. AWP od wieczora 4 do rana 9 kwietnia dokonać przegrupowania do rejonu między Bobrem a Nysą Łużycką w celu zluzowania 13. Armii gen. Puchowa na rubieży od Bukowiny (3 km na zachód od miejscowości Trzebiel) do Dłużyny Dolnej (na wschód od Pieńska). W dyrektywie Frontu określono również rejon wzmocnienia linii frontu w rejonie Zgorzelca. 4 kwietnia 1945 r. żołnierze polscy ruszyli na zachód trasami nocnego przemarszu: północną, środkową i południową. 7. i 10. dywizja szły przez Żmigród, Wińsko, Polkowice, Gozdnicę do Sanic. Dywizje 9. i 5. maszerowały z Trzebnicy przez Oborniki Śląskie, Wołów, Lubin, Chocianów do Parowej i Ruszowa. 8. dywizja po przekroczeniu Odry w Brzegu Dolnym szła przez Środę Śląską, Dębice, Strzałkowice, Dzierżkowice, Tyniec, Rogoźnik, Koskowice do Legnicy. 36. pułk piechoty zaś i 3. dywizjon artylerii Wojska Polskiego w nocy z 5 na 6 kwietnia 1945 r. doszły do Ruska, gdzie część nocowała, a część posunąwszy się dalej do Kwietnia, tam została na noc. Następnego dnia, 6 kwietnia, wszystkie oddziały 2. AWP przesunęły się na zachód ku Legnicy. Ostatecznie w nocy z 10 na 11 kwietnia 2. AWP zajęła pozycje obronne na Nysie Łużyckiej od Młotowa na południe od Łęknicy do Bielawy Dolnej.

W dalszych dniach trwała operacja łużycka, realizowana w ramach operacji berlińskiej. Celem tej operacji było rozbicie sił niemieckich na południe od Berlina i operacyjnych rezerw w rejonie Cottbus na Łużycach. Po sforsowaniu Nysy pomiędzy Forst i Mużakowem natarcie miało być prowadzone w kierunku Cottbus, by docelowo osiągnąć Łabę pomiędzy Wittenbergą i Dreznem i tu spotkać się z wojskami amerykańskimi. Do wykonania zadania wyznaczono działające w ramach 1. Frontu Ukraińskiego radzieckie armie: 5. Gwardyjską, 13. i 52. oraz współdziałającą 2. AWP.

W pierwszym etapie 2. AWP miała przełamywać obronę niemiecką opierającą się na rzekach: Nysa Łużycka, Weißer Schöps i Schwarzer Schöps na odcinku Rothenburg-folwark Wysokie, a następnie rozwinąć natarcie na ogólnym kierunku: Niesky, Kleinwelka, Drezno na głębokość 90 km.

Na głównym kierunku natarcia działały na lewym skrzydle 9. i 8. DP wzmocnione jednostkami artylerii pancernej i saperów, a na kierunku pomocniczym 10. i 7. DP. Po sforsowaniu Nysy po ciężkich walkach przełamano niemiecką obronę, zdobyto kilka miejscowości, w tym 16 kwietnia miasto Rothenburg i stację kolejową Biehain, a 18 kwietnia przy wsparciu czołgów z 1. Korpusu Pancernego miasto Niesky.

Dalsze losy 2. AWP, w tym 9. DP przybliża internetowy artykuł pt. *21-26 kwietnia 1945 r. – bitwa pod Budziszynem. Hekatomba 2. Armii Wojska Polskiego.*

Zgodnie z rozkazem 8. i 9. DP oraz 1. Korpus Pancerny ruszyły na zachód w głąb terytorium niemieckiego na Budziszyn i Drezno. 19 kwietnia polskie jednostki sforsowały rzekę Szprewę na północ od Budziszyna.

Po częściowym zajęciu Budziszyna przez żołnierzy z 52. Armii, spodziewając się ataku sił niemieckich w rejonie na południe od miasta, dowództwo 1. Frontu Ukraińskiego przekazało rozkaz wstrzymania dalszej ofensywy, koncentracji w rejonie Budziszyna trzech dywizji piechoty 5., 8. i 9. oraz 1. Korpusu Pancernego i przyjęcie ugrupowania obronnego zwróconego frontem na południe. Dowódca 2. AWP gen. Karol Świerczewski zlekceważył instrukcje przełożonego i marsz polskich jednostek był kontynuowany. 21 kwietnia 1945 r. siły 2. AWP rozciągnięte były w bardzo długą, bo około 50-kilometrową kolumnę: czołowa 9. DP znajdowała się już całkiem blisko Drezna, 8. DP i 1. Korpusu Pancernego znalazła się na północ od Budziszyna, w drodze do nich były 5. DP i 16. Samodzielna Brygada Pancerna, a 7. i 10. DP wciąż walczyły nad Nysą z niemiecką Dywizją „Brandenburg", która niespodziewanie przeszła do kontruderzenia.

Poszczególne części składowe 2. AWP nie miały ze sobą łączności i w większości znajdowały się w szyku marszowym w głębi terytorium wroga, mając całkowicie odsłoniętą południową flankę.

Wtedy do ataku przystąpiły siły niemieckie. Na zachód od Zgorzelca 17. i 545. Dywizje Piechoty z 17. Armii połączyły się z atakującymi z północy elementami 1. Dywizji Grenadierów Pancernych „Brandenburg". W okrążeniu na wschód od rzeki Szprewy znalazła się sowiecka 294. Dywizja Strzelecka i polskie 5. Dywizja Piechoty i 16. Brygada Pancerna. W tym samym czasie od południa i południowego wschodu ruszyły na Budziszyn siły niemieckiej 4. Armii Pancernej: 21. Dywizja Pancerna i 72. Dywizja Piechoty oskrzydliła miasto od południowego wschodu, podczas gdy 20. Dywizja Pancerna i Dywizja Pancerno-Spadochronowa „Hermann Göring" uderzyły na miasto od południa. Wieczorem 21 kwietnia wojska 2. Armii zostały praktycznie rozcięte na cztery części, odcięte od zaplecza i zmuszone do walki w okrążeniu.

Brutalne i zaciekłe walki toczyły się na przestrzeni około 30 km od Nysy aż do miasteczka Goda na zachód od Budziszyna. Pod miasteczkiem Förstgen praktycznie

rozbita została polska 5. DP, atakowana ze wszystkich stron. Jej sztab pod osłoną batalionu saperów przebił się do sąsiedniej 16. Brygady Pancernej, ale dowódca, gen. Aleksander Waszkiewicz, dostał się do niemieckiej niewoli, gdzie został zamordowany. Jego los podzieliło wielu żołnierzy dywizji. To była brutalna walka na śmierć i życie, na ogół nie brano jeńców.

Podobnie 22 kwietnia została niemal całkowicie rozbita 16. Brygada Pancerna, tracąc 70% stanu osobowego i czołgów oraz cały sprzęt lekki. Resztki tej formacji wycofały się na wschód.

Jak pisze autor artykułu, przyczyną tych ogromnych strat były błędy taktyczne w dowodzeniu. Polska piechota broniła swoich pozycji bez wsparcia artylerii i czołgów, podczas gdy artyleria nie była chroniona przez piechotę.

26 kwietnia 1945 r. odwołano spod Drezna znajdującą się tam polską 9. Dywizję Piechoty. Również i w tym przypadku przemarsz jednostek zakończył się tragicznie. Pełniący obowiązki dowódcy płk Aleksander Łaski zarządził odwrót przez obszar opanowany przez Niemców w biały dzień nie ubezpieczonymi kolumnami. Niemcy, dysponując zdobytymi wcześniej polskimi mapami sztabowymi z naniesionymi pozycjami jednostek i trasami przemarszu, zorganizowali kilka zasadzek w trudnym terenie. W efekcie straty w czasie przemarszu i walk 9. DP były ogromne. W „dolinie śmierci" między Panschwitz-Kuckau i Crostwitz zginęło trzy czwarte żołnierzy 26. pp. Podczas wychodzenia z okrążenia do niewoli dostał się dowódca 9. DP, straty osobowe i sprzętu wyniosły ponad 40% stanu.

Krwawe walki trwały do 26 kwietnia, a w niektórych miejscach jeszcze 28 kwietnia. Napływające na pole walki świeże jednostki sowieckie i polskie ostatecznie powstrzymały siły niemieckie, a wobec wyczerpywania się zapasów amunicji i paliwa i rosnących strat, w dniu 26 kwietnia dowódca Grupy Armii „Środek" feldmarszałek Ferdinand Schörner wydał rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela i odwrotu na południe i południowy wschód na teren Czech.

Straty poniesione przez Polaków w bitwie w rejonie Budziszyna były ogromne. Oficjalne dane z okresu powojennego mówiły o 4902 zabitych, ponad 10 tysiącach rannych i około 2800 zaginionych (a więc poległych), co łącznie stanowi 22% stanu wyjściowego 2. AWP. W operacji łużyckiej zginęło także około 17,5 tysięcy żołnierzy sowieckich.

Obecnie straty polskie w bitwie w rejonie Budziszyna ocenia się na około 25 tysięcy ludzi (zabitych i rannych), co stanowiło około jedną trzecią stanu 2. AWP w połowie kwietnia 1945 roku.

Po tej krwawej bitwie 2. Armia WP została wycofana z operacji w celu przegrupowania i uzupełnienia strat, a w dniu 2 maja 1945 r. otrzymała rozkaz wzięcia udziału w operacji zajęcia Pragi. Podczas tej operacji nie doszło już do tak

gwałtownych walk, niemniej w starciach z oddziałami niemieckimi i rosyjskimi (ROA) utracono na terenie Czech 66 żołnierzy.

Wśród żołnierzy 2. AWP byli czernielowianie. Niestety, nie udało się sprecyzować, jak liczna była to grupa. Z pewnością mniej liczna niż ta, która w pierwszym wiosennym poborze 1944 roku została zmobilizowana w szeregi 1. Armii. Na podstawie przekazu rodzinnego i dostępnych opracowań ustalono nazwiska tylko pięciu żołnierzy, którym los przydzielił szlak bojowy 2. Armii. Byli to: Jan Darmograj, Kazimierz Klepajczuk, Antoni Murmyło, Józef Rajfur i Marian Żarkowski.

W 2. Armii WP znalazł się też urodzony w 1920 roku Józef Andruszewski, mieszkaniec Czołhańszczyzny, o którym już wcześniej wspominano, że jesienią 1940 roku został wraz z kilkoma innymi młodymi ludźmi z tej wsi i Czernielowa Mazowieckiego wcielony do Armii Czerwonej. Według Stanisława Cieplaka, mieszkającego z nim po sąsiedzku w Sulęcinie i znającego jego losy od ojca, Józef Andruszewski, gdy w 1944 roku Armia Czerwona wkroczyła w okolice Białegostoku, został przeniesiony do 2. Armii WP. Niestety, bliżej nie wiadomo, w jakiej formacji służył i w jakich działaniach bojowych jednostek 2. Armii brał udział. Poza Tadeuszem Cieplakiem i Bartłomiejem Chabzą nie wiadomo też, jaki był przebieg służby innych czernielowian przymusowo wcielonych do Armii Czerwonej.

O losie Jana Darmograja napisał Adrian Świątek, prawnuk jego brata Antoniego, na podstawie materiałów biograficznych pt. *Ludzie czynu. Krótkie życiorysy bohaterów wojny wyzwoleńczej narodu polskiego w latach 1939-1945* sporządzonych przez historyka, pułkownika Józefa Margulesa.

Wspomniano już, że Jan Darmograj pełniąc służbę w 8. pułku 3. Dywizji Piechoty 1. AWP, ukończył pułkową szkołę podoficerską i jako wyróżniającego się żołnierza skierowano go do Oficerskiej Szkoły Piechoty w Lublinie. Po ukończeniu szkoły otrzymał stopień podporucznika i dalsza jego żołnierska droga była związana z 2. Armią Wojska Polskiego.

13 lutego 1945 r. objął stanowisko dowódcy plutonu w kompanii rusznic przeciwpancernych w 28. Pułku Piechoty 9. Dywizji Piechoty 2. AWP. Wyróżnił się w walkach podczas forsowania Nysy Łużyckiej i walk pod Nieder-Horka, Niesky, Budziszynem, Militz i Kamenz. Będzie jeszcze o nim kilka zdań w podrozdziale *Zakończenie wojny. Ludzkie losy.*

Jak wcześniej wspomniano, do jednostek 2. AWP od 21 marca 1945 r. dołączono 1. Korpus Pancerny, dotychczas wchodzący w skład 1. Armii. Nadmieniono już, że w 3. Brygadzie 1. korpusu byli Kazimierz Klepajczuk – kierowca mechanik czołgu T-34 wraz z Antonim Murmyłą – działonowym. W lutym 1. Korpus Pancerny dostał rozkaz przegrupowania w rejon Krzyża Wlkp.,

a następnie, gdy mieli już robić rozeznanie przed przeprawą przez Odrę, kompania otrzymała rozkaz udania się w rejon działania 2. AWP. W wywiadzie *Byłem na własnym apelu poległych* dziennikarzowi „Gazety Chojeńskiej" Kazimierz Klepajczuk opowiadał: *Nasze czołgi załadowano na ciężkie wagony i 11 lutego ze stacji kolejowej w Chełmie ruszyliśmy przez Lublin, Dęblin, Warszawę, Kutno, Września w kierunku Poznania. Dotarliśmy do Paczkowa pod Poznaniem po kilku dobach, bo wiadomo, jak tego rodzaju sprzęt się poruszał. Podróż przy dużych spadkach temperatury w nocy była okropnie wyczerpująca. Po paru dniach dostajemy nowy rozkaz. Nasza brygada ma przemieścić się w rejon Lipian. Wyruszamy w drogę 4 marca. Tym razem poruszamy się już według ściśle określonego szyku i ustalonej marszruty. Za parę dni, będąc już w Lipianach w składzie kompanii desantu czołgowego, ruszamy na odrzański patrol. Z Lipian udajemy się w kierunku Chojny, a potem dalej do Cedyni i wzdłuż rzeki w kierunku Schwedt. W Chojnie, przy wyjeździe na Cedynię, natrafiamy na żołnierzy radzieckich, którzy urządzali prowizoryczny cmentarz. Zatrzymaliśmy się na chwilę, oddając hołd poległym. Kto wtedy by przypuszczał, że potem osiedlę się na całe życie blisko tej okolicy i będę orał tę ziemię, którą orał mój czołg.*

Czołg T-34 Kazimierza Klepajczuka i Antoniego Murmyły

Było pewne, że przygotowywany jest ostateczny szturm na Berlin. Mieliśmy zrobić dokładne rozeznanie przed przeprawą przez Odrę. Jednak w ostatniej chwili nadchodzi kolejny rozkaz. Nasza kompania dostaje rozkaz udania się w rejon działania 2. Armii Wojska Polskiego koło Oleśnicy. Znowu załadunek na wagony i tym razem już w ciągu jednej nocy docieramy do celu. Zostaliśmy wezwani do pomocy, aby powstrzymać formacje niemieckie zdążające do Berlina.

W czasie wywiadu czołgista opowiedział o wielu bitwach z niemieckim wojskiem w trudnym górzystym terenie, przeprawie przez Nysę Łużycką i największej ofensywie czołgów w czasie natarcia w rejonie Budziszyna. W tym czasie 3. Brygada poniosła duże straty: z 65 czołgów pozostało 17. Zginęło wielu żołnierzy. Kazimierz Klepajczuk i załoga jego czołgu miała szczęście. Aż do momentu kiedy pewnego razu znaleźli się w potrzasku. Stało się to, gdy w pogoni za nieprzyjacielem ich czołg utknął w bagnie, nie mając drogi odwrotu. Niemieckie tygrysy już ustawiały lufy w ich kierunku. Byli bezradni. Wyskoczyli z maszyny, a za chwilę czołg stanął w płomieniach. Oni zdążyli umknąć pod osłoną najbliższych zabudowań, dotarli do swoich. Tylko jeden z nich został ranny w nogę. Wymienili kolegę, dostali nowy czołg i ruszyli w drogę.

Kolejne zdarzenie miało miejsce 8 maja 1945 r. gdy byli w patrolu pościgowym. W Berlinie powiewały już flagi zwycięstwa, ale w okolicach Drezna nadal wojna trwała. Oni byli wtedy na terenie Czech i na każdym górskim zakręcie można było spotkać gniazda oporu. Kazimierz Klepajczuk wspominał: *Było ciepłe majowe popołudnie. Jechaliśmy górską, dość krętą drogą. Maszyna grzała się po pokonaniu kolejnych wzniesień. Od dłuższego czasu było spokojnie i cicho, więc otworzyłem luk, żeby wpadało świeże powietrze. Zaraz usłyszeliśmy huk - i stało się. Tuż przed czołgiem z przodu rozerwał się pocisk artyleryjski. Odłamki przez otwory trafiły do środka. Zostałem trafiony w głowę i w nogę. Koledzy wyciągnęli mnie z czołgu i położyli w rowie. Nie mogłem zostać w maszynie, bo nie wiadomo było, co się za chwilę stanie. Niemcy mogli rozwalić czołg. Byłem przytomny. To się wydarzyło około piątej po południu. Do wieczora nikt nie pojawił się na drodze. Gdy już całkiem ściemniło się, usłyszałem jakieś głosy. Rozpoznałem naszą mowę. Zawołałem i zaraz podeszło do mnie dwóch żołnierzy. Byli to łącznościowcy. Rozciągali wzdłuż drogi kabel. Zanieśli mnie do najbliższego domu, położyli na kanapie i powiedzieli, że muszą iść do swojej roboty. Dom był pusty i bałem się, że w każdej chwili wrócą Niemcy. Mówię do chłopaków: „Zabierzcie mnie stąd, bo tu mnie znajdą i zabiją. Połóżcie mnie na polu, przy drodze, tam będę bezpieczniejszy”. Rad nierad, ponieśli mnie z powrotem. Półprzytomny dotrwałem do rana. Na drugi dzień zaczął się ruch przy drodze. Nasze oddziały ciągnęły w kierunku niemieckiej granicy. Dowlokłem się do drogi. Zajęła się mna ekipa zbierająca rannych. Zauważyłem duże ożywienie wśród żołnierzy. Mówili, że to już koniec wojny. Miałem pecha, trafili mnie dzień przed jej zakończeniem. Odstawili mnie do najbliższego czeskiego szpitala. Dostałem jeszcze na drogę plecak od żołnierzy, gdzie znalazłem papierosy, konserwy, różne drobiazgi.*

O tym, jak Kazimierz Klepajczuk przebywał w szpitalu, a potem przeżył własny apel poległych opowie w podrozdziale *Zakończenie wojny. Ludzkie losy.*

Jak wcześniej wspomniano, działonowym w czołgu T-34 razem z Kazimierzem Klepajczukiem był pochodzący z Czernielowa Antoni Murmyło. Przez całą wojnę dzielili ten sam los. Antoni Murmyło szczęśliwie przeżył ostatnie dni wojny. Z rodziną osiedlił się w Grochowie. Przez wiele lat, tak jak kiedyś w rodzinnej wsi, grał w orkiestrze na potańcówkach, na wiejskich weselach.

ppor. Józef Rajfur

Józef Rajfur i Marian Żarkowski to żołnierze z Czernielowa, którzy też razem znaleźli się w 26. pułku piechoty w 9. DP 2. Armii WP. Razem z nimi był pochodzący ze Smykowiec Stanisław Górski, przyszły mąż Stefanii Woźniak, ojciec autorki. Wszyscy trzej byli w stopniu podporuczników i pełnili funkcje dowódców plutonów: Józef Rajfur w 2. kompanii strzeleckiej, Marian Żarkowski w 1. kompanii strzeleckiej, a Stanisław Górski w 1. kompanii ckm.

ppor. Marian Żarkowski

Ich służba na tle działań całego pułku i udział w bitwach nad Nysą Łużycką w rejonie Rothenburga, gdzie żołnierze przeszli chrzest bojowy, w rejonie Pulsnitz, Gross Röhrsdorf i innych miejscowości, w rejonie Drezna, wojenne przeżycia i dramaty zostały pokazane w książkach Leona Lubeckiego, dowódcy 1. batalionu 26. pp, zatytułowanych *Na południe od Berlina* oraz *Zatrzymać odsiecz*.

Z tego pierwszego opracowania pochodzi kilka fragmentów opisu różnych sytuacji na froncie z udziałem 26. pp: *Późnym wieczorem 14 kwietnia prawie bezszelestnie podchodziły pododdziały na skraj lasu z prawego brzegu Nysy Łużyckiej w rejonie Prędocic pod Rothenburgiem. Przygotowane we własnym zakresie lekkie środki przeprawy podciągnięto w ciągu dnia do drugiej linii rowów ciągłych i ukryto pod drzewami. Dzięki rozpoznaniu podejść bez kłopotu nawiązano kontakt z oczekującymi na skraju lasu przewodnikami oddziałów 8. DP i rozpoczęto luzowanie (...) Ugrupowanie 1. batalionu było następujące: kompanie wzmocnione plutonami ckm i rusznic przeciwpancernych w jednej linii. Od prawej 1., 2. ,3. kompanie oraz kompania granatników. Kompanie fizylierów - wzmocnione rusznicami przeciwpancernymi w jednej linii (...) Przed południem 15 kwietnia dowódca pułku otrzymał ze sztabu dywizji rozkaz forsowania Nysy i natarcia na linie obronne nieprzyjaciela (...) „Zdecydowałem - brzmiał rozkaz płk. Łaskiego- ...26. pp z jedną kompanią 20. batalionu saperów forsować Nysę na odcinku: Prędocice płn.- Prędocice płd. Jednym batalionem wraz 7. DP atakować nieprzyjaciela ze wschodu, obejść Rothenburg z północy, wyjść w rejon skrzyżowania dróg na zachód od Rothenburga i razem z 28. pp zniszczyć nieprzyjaciela w m. Rothenburg. Następnie*

nacierać w kierunku Uhsmannsdorf i wieczorem wyjść na szosę Rietschn-Niesky, przednimi oddziałami opanować mosty na zachód od Zischelmühle…”.

Dodatkowy rozkaz dowódcy 9. DP brzmiał: *W celu utworzenia przyczółków na rzece Nysie w nocy z 15 na 16 kwietnia 1945 r. forsować: 26. pp jednym batalionem w kierunku pojedynczych domów, 28. pp jednym batalionem w kierunku tamy i na lewo od tamy. Utworzyć przyczółek w międzyrzeczu, wziąć jeńców i umocnić się. Podciągnąć środki ogniowe, zorganizować rozpoznanie...*

Tymczasem od strony Bretnig (w kierunku Gross Röhrsdorf - dop. K.M.) *nadciągał sztab pułku wraz z towarzyszącymi mu pododdziałami. Uderzyli na wschodnią część miasta, w której już nie było przeciwnika.*

Zasadniczy sukces odniosła 3. kompania z młodziutkim dowódcą, ppor. Edwardem Zaleskim, na czele. To ich brawurowy atak poderwał 2. i 1. kompanie, a ich bojowe okrzyki i salwy z pepeszek, erkaemów i kabelków sparaliżowały całkowicie wszelką inicjatywę wyrwanego ze snu wroga. Ich przykład pozwolił odbić Gross Röhrsdorf bez poważniejszych strat… Radość z odbicia miasta i utraconych pozycji zamieniła się w 1. batalionie w głęboki smutek i żal.

Gdy wkroczyli do miasta na skwerze przy skrzyżowaniu głównych ulic, zobaczyli leżące w nieładzie na trawniku ciała zamordowanych żołnierzy. Faszyści z 1. Pułku 2. Dywizji „Hermann Göring” wywlekli w nocy 23 ciężko rannych żołnierzy z 1. batalionu i z okrucieństwem zamordowali. Rany kłute bagnetami w pierś i brzuch, porozbijane głowy świadczyły o bestialskim dobijaniu rannych. Żołnierze klękali, odmawiali krótkie modlitwy ze smutkiem, ze łzami w oczach żegnali się z swoimi kolegami.

I na zakończenie jeszcze jeden fragment opisujący sceny powstrzymania kolejnego ataku Niemców na pozycje obronne 1. i 3. batalionu 26. pp, gdy 24 kwietnia żołnierze bronili się rozpaczliwie w rejonie Arnsdorf i Kleinröhrsdorf pod Dreznem, ponosząc dotkliwe straty: *Por. Franciszek Rączyński, starszy adiutant 3. batalionu, usiłował zebrać resztki rozbitych kompanii. Sytuacja była tragiczna. Oficerowie w większości zostali zabici lub ranni. Stany osobowe zmalały do jednej trzeciej. W tym samym dniu walki toczyły się na odcinkach wszystkich trzech batalionów 26. pp. Niemcy bez przerwy atakowali, głównie dużymi siłami piechoty. Czołgi brały bezpośredni udział w walce tylko w rejonie 3. batalionu.*

Żołnierze 1. kompanii siedzieli twardo i trzymali się dzielnie. Południowo-wschodni odcinek należał do ppor. Mariana Żarkowskiego, dowódcy granatników 50 mm 1. kompanii. Żarkowski już przed kilkoma dniami zamienił granatniki na erkaemy, niemieckie elkaemy i pistolety maszynowe. Odcinek obrony jego plutonu był wyjątkowo trudny. Stanowiska ogniowe znajdowały się między domami, w niewielkiej niecce terenowej, po prawej stronie rzeczki. Wszystko układałoby się dobrze, gdyby pole widzenia było dogodniejsze.

Z prawej: podporucznicy Edward Zaleski i Marian Żarkowski

Drugi od lewej Józef Rajfur

Melduje ppor. Józef Rajfur

Od lewej: ppor. Józef Rajfur, w środku ppor. Marian Żarkowski

Pierwszy z lewej prawdopodobnie ppor. Stanisław Małek, w środku ppor. Józef Rajfur, a prawej ppor. Marian Żarkowski

W środku ppor. Marian Żarkowski

Wśród zołnierzy 1. kompanii moździerzy 26. pp czwarty od lewej ppor. Marian Żarkowski, dowódca plutonu granatników 30mm

1. kompania moździerzy 82 mm z 26. pp po zakończeniu działań bojowych, szósty od lewej wśród stojących żołnierzy ppor. Marian Żarkowski

Na pierwszym planie od lewej ppor. Józef Rajfur

Grupa czołgów 1. Korpusu Pancernego

Pierwszy z lewej Antoni Murmyło, pierwszy z prawej Kazimierz Klepajczuk z załogą czołgu

Niestety - w odległości kilkudziesięciu metrów zaczynało się tak zwane martwe pole - miejsce zasłonięte przed ostrzałem i obserwacją. Zasłonę stanowiły zabudowania, drzewa i fałdy terenowe. Przeciwnik wykorzystał dogodną sytuację. Trzy razy udało się Niemcom pod osłoną broni maszynowej i moździerzy wedrzeć w rejon domów bronionych przez ppor. Mariana Żarkowskiego. Trzykrotnie brawurowym kontratakiem wyrzucono przeciwnika. Razem z dowódcą żołnierze stanowili mężną i świetnie współpracującą z sobą grupę bojową.

Nie odstępując na krok dowódcy plutonu, zginął bohaterską śmiercią strz. Albin Witkiewicz. W następnym kontrataku poległ w bezpośrednim starciu z przeciwnikiem st. strz. Czykun. W godzinę później, gdy sytuacja zaczynała być bardzo groźna, kpr. Franciszek Hołowacz za pomocą pepeszy i granatu oczyścił z wroga jeden z domów. Trzech żołnierzy z jego drużyny rozprawiło się z Niemcami w sąsiednich zabudowaniach. Kpr. Franciszek Hołowacz poległ na zdobytym przez siebie podwórzu… Wieczorem został ranny ppor. Marian Żarkowski. Na szczęście rana nie była ciężka. Ppor. Żarkowski, nie chcąc osłabić siły fizycznej i psychicznej swoich żołnierzy, trwał na posterunku. W kompanii ppor. Katorosza coraz częściej ginęli ludzie. Specjalnie groźne były wybuchy min z ciężkich moździerzy. Waliły się całe domy, grzebiąc pod swoimi gruzami rannych i dzielnych obrońców. 25 kwietnia wśród nieustannej walki zginęli w rejonie Bretnig dwaj bracia: strzelcy Józef i Władysław Kuryłowie, strzelcy: Stefan Kwasiński, Filipowicz, Eugeniusz Czajkowski, Ćwikliński, Kiernożycki, Kisiel, Mieczysław Kułak, Aleksander Kurto i inni. Po południu obydwie walczące strony zwolniły tempo walki.

Na zakończenie wątku o żołnierzach z Czernielowa walczących w 26. pp w rejonie Budziszyna i Drezna trzeba na podstawie wspomnianej książki Leona Lubeckiego dodać, że za swoje pełne poświęcenia zaangażowanie w bitwach podporucznicy Józef Rajfur i Marian Żarkowski zostali odznaczeni Krzyżem Walecznych oraz medalami: „Za Odrę, Nysę i Bałtyk", „Zwycięstwa i Wolności 1945" oraz medalem ZSRR „Za zwycięstwo nad Niemcami 1941-1945".

To tyle o szlaku bojowym 2. AWP i udziale czernielowian w walkach na froncie pod Budziszynem i Dreznem.

W tym czasie, bo 25 kwietnia, wojska 1. Frontu Ukrainskiego i 1. Frontu Bialoruskiego zamknęły definitywnie pierścień okrążenia wokół Berlina, a jednocześnie w rejonie Torgau nad Łabą żołnierze marszałka Koniewa spotkali się z żołnierzami 1. Armii Amerykańskiej.

Zanim jednak to nastąpiło żołnierze 1. Frontu Białoruskiego wraz z oddziałami 1. AWP w ramach przygotowań do operacji berlińskiej w dniach od 8 do 13 kwietnia wykonali nocami około 200-kilometrowy przemarsz znad Bałtyku, koncentrując swoje oddziały nad Odrą.

W nocy z 13 na 14 kwietnia 1945 r. jednostki 1. AWP zluzowały jednostki 47. Armii na 20-kilometrowym odcinku frontu od Cedyni do Gozdowic. Zabezpieczając działania frontu przy okrążaniu Berlina i współdziałając z Armiami 61. i 47., oddziały 1. AWP otrzymały zadanie sforsowanie Odry i przełamanie obrony niemieckiej w rejonie Siekierki–Gozdowice, na północny zachód od Kostrzynia.

Operację forsowania Odry 1. Front Białoruski rozpoczął 16 kwietnia. Również z rana 16 kwietnia po półgodzinnym przygotowaniu artyleryjskim do forsowania Odry przystąpiły oddziały 1. AWP, w pierwszym rzucie: 1. Dywizji Piechoty, 3. Dywizji Piechoty i część sił 2. Dywizji Piechoty wraz z 4. pułkiem ciężkich czołgów i 13. pułkiem artylerii pancernej, które zdołały po ciężkich walkach uchwycić do wieczora przyczółek na zachodnim brzegu rzeki. W drugim rzucie była część sił 2. dywizji oraz 4. DP i 6. DP, odwód stanowiła 1. Brygada Kawalerii i 4. Brygada Artylerii Przeciwpancernej.

Kontynuowane następnego dnia natarcie, po wprowadzeniu do walki 6. dywizji, pozwoliło jednostkom 1. AWP osiągnąć linię tak zwanej Starej Odry, gdzie na umocnionym terenie międzyrzecza napotkano na silny opór; Niemcy, walcząc z determinacją, przechodzili wielokrotnie do silnych kontrataków. Wykorzystując zdobyty przez oddziały radzieckiej 47. Armii przyczółek na zachodnim brzegu Starej Odry pod Wriezen, 19 kwietnia wojska 3. i 4. Dywizji Piechoty, wzmocnione czołgami i działami pancernymi, przeprowadziły manewr oskrzydlający oddziały niemieckie od południa. Dzięki powodzeniu tego manewru jednostki 1. i 2. Dywizji Piechoty mogły sforsować tego samego dnia Starą Odrę przejść do pościgu w kierunku Oranienburga i Berlina.

Taki opis forsowania Odry można spotkać w popularnych opracowaniach historycznych. Inaczej ta operacja została zapamiętana przez żołnierzy, uczestników przeprawy. Ich zdaniem o życiu decydował wtedy ślepy los. Skrótowy i najbardziej dramatyczny opis forsowania rzeki odzwierciadlają słowa weteranów wypowiedziane w rocznicę zdarzenia, cytowane w artykule Andrzeja Kraśnickiego jr *Na drzwiach przez czerwoną od krwi Odrę* w szczecińskim wydaniu „Gazety Wyborczej" w kwietniu 2017 roku: *Po walkach Odra wyglądała jak pole pszenicy albo łąka po sianokosach. Martwi żołnierze leżeli jak snopki siana przewrócone na wodę.*

Inny żołnierz przywoływany w artykule z książki Tadeusza Karwackiego pt. *Czerwone gwiazdy, białe orły* mówił: *kanonada artyleryjska jakiej świat nie słyszał, nasze łodzie na wodę, my za wiosła i jak najszybciej na tamtą stronę. Im dłużej w nurcie, tym większa groza. Niemcy walą z czego się tylko da, woda kotłuje się jak wrzątek w garnku, ktoś płynie, mocno krwawiąc i beznadziejnie chwytając się martwiejącymi dłońmi brudnej cieczy. Nigdyśmy w plutonie nie ustalili, jak długo trwało forsowanie. Minutę, a może wiek cały?*

Z lewej Franciszek Waldun, rocznik 1923, z prawej Jan Waldun, rocznik 1926

Po desancie na Czerniaków w czasie powstania warszawskiego, po walkach o Wał Pomorski i Kołobrzeg, forsowanie Odry było kolejnym traumatycznym przeżyciem zapamiętanym do końca życia przez uczestników przeprawy. Wśród nich byli bracia Jan i Franciszek Waldunowie. To tutaj 16 kwietnia 1945 roku został ranny w kolano kapral Jan Waldun. Opowiadał o tym, mieszkając już w Sulęcinie Stanisławowi Cieplakowi. Ze względu na kontuzję został wycofany z pierwszej linii frontu. Ranny był też w czasie wojny Franciszek Waldun, czego skutki odczuwał całe życie, ale po latach trudno ustalić w jakich okolicznościach to się stało. Sięgając pamięcią do przeprawy przez Odrę, mówił w rodzinie, że utonęła tu druga część jego przyjaciół, nawet nie dochodząc do Berlina. On sam dotarł do stolicy Niemiec, o czym wspominał.

A tak przedstawił moment przeprawy przez Odrę i trudne godziny i dni walki o utrzymanie się na przyczółku na jej lewym brzegu Józef Mielnik z 7. pp z 3. dywizji w swoich *Wspomnieniach z czasów II wojny światowej*: (Po zdobyciu Kołobrzegu - dop. K.M.) *Po tygodniu odpoczynku wiadome było, że jeszcze czeka nas duży wysiłek do dnia zwycięstwa, przegrupowywania, alarmy i znów marsze forsowne na południe w kierunku Chojny. Przechodziliśmy przez tereny bezludne, bo Niemcy ewakuowali ludność za Odrę. Wyjątkowo gdzieś można było spotkać ludność niemiecką. I tutaj 16 kwietnia 1945 r. w składzie 1. Armii WP ruszyliśmy do natarcia. I tam jednej nocy wsiedliśmy do łodzi i przeprawiliśmy się na lewy brzeg Odry. Ile nas tam wtedy wysadzili, nie wiem. Ale w czasie forsowania wielu ludzi i tratw zostało rozbitych całkowicie albo uszkodzonych. Wysadzili nas w krzakach, na bagnistej łące. Gdy robił się dzień, nasze dowództwo chciało nas wysunąć na twardy teren. Niemcy za wszelką cenę chcieli zlikwidować ten przyczółek. Ogień Niemców z różnej broni, a najwięcej ze szmajserów* (pistoletów maszynowych - dop. K.M.) *robił u nas spustoszenie, tym bardziej że był to teren, na którym nie można było się okopać. Smutne i ciężkie godziny mijały, zdawało się nam, że z naszej grupy nikt nie zostanie przy życiu, bo ten przyczółek trzeba było za wszelką cenę utrzymać. Przy dużych stratach naszych wojsk niedobitki nasze chciały się wycofać, ale Odra była wielkim rozlewiskiem wody, dość szeroko rozlanej. Za nami istne morze, a przed nami wróg. Na sam obraz i wspomnienia tamtych dni, to po tylu latach skóra cierpnie*

ze strachu.Wierzyć się nie chce, że mimo wszystko myśmy na tym przyczółku utrzymali się. Był też drugi przyczółek, większy, zrobiony przez czerwonoarmiejców. Ale tu chodziło o to, żeby zmylić Niemców i robiono wiele innych przyczółków. Bardzo ciężko tam było walczyć. Same mogiły na cmentarzu w Siekierkach świadczą o tym, ilu naszych tam zginęło, a ilu zginęło w nurtach szerokiej Odry, to tylko w tym czasie można było widzieć na rzece czerwone plamy krwi żołnierskiego losu. Na czwarty dzień z niemieckiej strony ogień zmalał całkowicie. Nasz przyczółek rozszerzył się wzmocniony świeżym wojskiem. Niemcy opuszczali swoje umocnienia frontowe.

Następne dni, w czasie których wojska 1. i 2. Frontu Białoruskiego oraz 1. Frontu Ukraińskiego realizowały założenia operacji berlińskiej, przyniosły decydujące rozstrzygnięcia dla Hitlera, III Rzeszy i kończącej się II wojny światowej.

Jak wiadomo celem operacji berlińskiej było przełamanie niemieckich pozycji nad Odrą, okrążenie Berlina i wymuszenie bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy. Cel wyrażał się jednym krótkim hasłem: „zdobyć Berlin".

Po pokonaniu niemieckiej obrony na wzgórzach Seelow, po sforsowaniu Odry, po ustawieniu na niej słupów granicznych, wojska Armii Czerwonej i 1. Armii WP nie miały już przed stolicą Niemiec poważniejszych przeszkód. Ale walki okrążające Berlin i skoncentrowane na pokonywaniu kolejnych rubieży obronnych toczyły się wachlarzem na kilku frontach. Siły 1. AWP w ramach operacji berlińskiej 1. Frontu Białoruskiego były zaangażowane w pościg w kierunku Oranienburga. Na szlaku działania polskich jednostek na terenie Brandenburgii znajdowały się przeszkody i strategiczne odcinki niemieckiej obrony na Kanale Hohenzollernów, kanale Rupinner, na Haweli.

Przy słupie granicznym z prawej Jan Waldun

W nocy z 22 na 23 kwietnia 3., 4. i 6. DP rozpoczęły i skutecznie przeprowadziły operację forsowaniana różnych odcinkach Kanału Hohenzollernów, bronionego improwizowanymi siłami niemieckimi. Następnie rozwinęły działania w kierunku zachodnim.

W tym czasie 22 kwietnia 1945 r. oddziały 2. Dywizji Piechoty oraz Armii Czerwonej wyzwoliły niemiecki obóz koncentracyjny Sachsenhausen, założony w 1936 roku nieopodal Oranienburga, 30 km na północ od Berlina. Z około 200 tysięcy więźniów, którzy przeszli przez ten obóz i jego około stu filii, dziesiątki tysięcy zginęło w okresie funkcjonowania obozu. W chwili wyzwolenia pozostalo jedynie około 3000 więźniów, przy czym kilkuset zmarło w ciągu kilku tygodni po nadejściu wolności.

Gdy 3. ,4. i 6. DP walczyły o opanowanie Kanału Hohenzollernów 1. Dywizja Piechoty osiągnęła w tym czasie południowy brzeg kanału Rupinner, a w następnych dniach do 30 kwietnia umacniała pozycje obrony, współorganizując zewnętrzny pierścien okrążenia Berlina. Właśnie 30 kwietnia jej oddziały zostały włączone do bezpośrednich walk i szturmu na Berlin.

Pozostałe dywizje 1. AWP nadal walczyły na terenie Brandenburgii. 1 maja 6. Dywizja Piechoty sforsowała Hawelę i 3 maja o godz. 16.00 jako pierwsza osiągnęła Łabę, likwidując do 6 maja zgrupowanie niemieckie pod Klitz. 2. Dywizja zdobyła 1 maja Fehbellin.

Po dojściu do Łaby 1. AWP nawiązała kontakt z 9. Armią amerykańską, a następnie do 9 maja przekazała swój odcinek frontu wojskom radzieckim i przeszła do rejonu na północ od Berlina.

W toku działań 1. AWP na terenie Brandenburgii poległo i zostało rannych 10 385 żołnierzy i oficerów, w tym 2958 zabitych i zmarłych od ran.

Wspomniano, że w tym samym czasie toczyły się wojenne zmagania na innych frontach, w tym rejonie Berlina, Drezna i innych miast. Pierwsze pociski artyleryjskie spadły na Berlin już 20 kwietnia, bezpośrednie walki o miasto zaczęły się trzy dni później, kiedy oddziały z 3. Armii Uderzeniowej, 2. Gwardyjskiej Armii Pancernej, 47. Armii i 5. Armii Uderzeniowej w różnych miejscach osiągnęły przedmieścia Berlina, wdarły się w zewnętrzny obszar obrony Berlina i rozpoczęły manewr oskrzydlania miasta od północnego zachodu, a także ostrzał artyleryjski centrum Berlina. W tym czasie oddziały marszałka Koniewa zbliżały się do granic stolicy III Rzeszy od południa.

Przez kilka dni trwały walki na ulicach i placach Berlina. Uczestniczyli w nich oprócz wspomnianych jednostek radzieckich wytypowane za zgodą Naczelnego Wodza Józefa Stalina jednostki Wojska Polskiego. Marszałek Żukow wydał rozkaz przewiezienia w rejon bezpośrednich walk 1. Dywizji Piechoty i przydzielenia poszczególnych pułków do radzieckich jednostek pancernych. W ten sposób Polacy mieli uczestniczyć oficjalnie w historycznym szturmie Berlina. W walkach o Berlin brały udział następujące polskie oddziały: wspomniana już 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, 2. Brygada Artylerii Haubic, 6. Samodzielny Warszawski Zmotoryzowany Batalion Pontonowo-Mostowy i 1. Samodzielna Brygada Moździerzy. Łącznie Wojsko Polskie w ostatniej bitwie frontu wschodniego wystawiło około dwunastu tysięcy ludzi. Mając na uwadze liczebność żołnierzy Armii Czerwonej biorących udział w szturmie Berlina, była to wielkość symboliczna.

Kilka słów o miejscu walk polskich jednostek:

1. Samodzielna Brygada Moździerzy była to pierwsza polska jednostka, obejmująca cztery pułki, które od 25 kwietnia wzięły udział w szturmie Berlina. Dowodzona przez pułkownika Wasyla Jurina brygada weszła w skład 47. Armii,

walczyła na przedmieściach stolicy Niemiec, wykazała się w zdobywaniu dzielnicy Spandau.

6. Samodzielny Warszawski Zmotoryzowany Batalion Pontonowo-Mostowy był drugą jednostką Wojska Polskiego włączona do walk w Berlinie od 26 kwietnia. Żołnierze tej jednostki budowali przeprawy dla radzieckich oddziałów pancernych. Saperzy przygotowywali drogi, wysadzając lub rozbierając niemieckie barykady i usuwając miny. Batalion został przydzielony bezpośrednio do radzieckiej 2. Armii Pancernej Gwardii.

2. Brygada Artylerii Haubic od 27 kwietnia wspierała ogniem radzieckie oddziały szturmujące Berlin. W czasie walk o stolicę III Rzeszy artylerzyści brygady walczyli w pierwszej linii, a w walkach wyróżniły się 5. i 2. bateria 7. Pułku. W ostatnim dniu walk o Berlin jedne oddziały brygady znalazły się w rejonie Tiergarten, drugie nad Szprewą, w rejonie stacji kolei miejskiej Bellevue oraz przed pałacem o tej samej nazwie. Brygada do końca wspierała oddziały radzieckie i polskie, które nacierały w rejonie Reichstagu i Bramy Brandenburskiej.

Najpóźniej, bo 30 kwietnia w godzinach południowych, do walki o Berlin została włączona największa polska jednostka – 1. Dywizja Piechoty im. T. Kościuszki pod dowództwem generała brygady Wojciecha Bewziuka. Punktem koncentracji 1. DP była berlińska dzielnica Charlottenburg. Poszczególne pułki 1. DP zostały przydzielone do różnych jednostek 2. Gwardyjskiej Armii Pancernej, ale wszystkie działały w jednym kierunku natarcia, którego celem była dzielnica Tiergarten oraz dalej położona na wschód słynna Brama Brandenburska i centrum miasta, tak zwany sektor Z.

Kościuszkowcy mieli za zadanie zapewnienie jednostkom 2. GAP wsparcia piechoty w czasie zażartych walk w mieście celem ograniczenia strat czołgów. Czołgi radzieckie niszczyły zabudowania i miejsca oporu, a piechota natychmiast miała te ruiny i zgliszcza obsadzić tak, by można było podciągnąć odwody.

Mimo beznadziejnej sytuacji w jakiej znaleźli się obrońcy stolicy Niemiec, ich opór był zaciekły. Trudne walki pod stałym ostrzałem karabinowym i moździerzowym toczyły się o każdy dom, a raczej ruiny i początkowe plany przypuszczenia szturmu generalnego 1 maja trzeba było zweryfikować.

Żołnierze 1. dywizji zostali skierowani do ataku na stację kolei podmiejskiej, na zabudowania politechniki berlińskiej oraz podziemne zabudowania metra. Podobnie jak w poprzednich dniach Niemcy zażarcie bronili swoich pozycji i dopiero po kilku atakach krwawe walki zakończyły się sukcesem.

Zdobycie przez kościuszkowców 2 maja nad ranem budynków politechniki, stacji kolei podmiejskiej oraz toru kolejowego w pobliżu Ogrodu Zoologicznego spowodowało przerwanie od zachodu centralnego pierścienia obrony. Udany atak spowodował wyjście polskich i radzieckich oddziałów na tyły Reichstagu

i opanowanie ogrodu Tiergarten. Natarcie ze wszystkich stron na centrum Berlina stało się możliwe.

Widząc tragiczne położenie, bezsens dalszej walki i niemożność przebicia się obrońców na zachód oraz samobójstwo Adolfa Hitlera w dniu 30 kwietnia, dowódcy obrony Berlina rozpoczęli z radzieckim dowództwem pertraktacje w sprawie przerwania ognia. Strona sowiecka przekazała niemieckim parlamentariuszom żądanie poddania się do godziny siódmej rano 2 maja 1945 r. Około tej właśnie godziny pododdziały 8. Gwardyjskiej Armii generała Wasilija Czujkowa doszły do historycznej Bramy Brandenburskiej. Zaraz potem coraz więcej żołnierzy radzieckich, a później i polskich, zgromadziło się na Aleksanderplatz i alei Unter der Linden. Świętowali zwycięstwo, cieszyli się radością zwycięzców, płacząc, obściskując się i strzelając na wiwat. Na Bramie Brandenburskiej zawisły radzieckie czerwone sztandary, a na Siegessäule - Kolumnie Zwycięstwa i na Reichstagu polska biało-czerwona flaga. Był to piękny symbol wieńczący walkę polskich żołnierzy na frontach II wojny światowej.

Ks. kpt. Antoni Kij czwarty od lewej) z grupą żołnierzy i oficerów swojej jednostki przez Bramą Brandenburską w Berlinie w maju 1945 r.

Tak jak wszędzie na wojnie, tak i tu zwycięstwo zostało okupione ranami i śmiercią żołnierzy. 1. dywizja straciła w trakcie walk o Berlin 539 zabitych i rannych żołnierzy – 8% stanu wyjściowego.

W końcowym okresie wojny, w forsowaniu Odry, w operacji berlińskiej, w walkach o Berlin brali udział czernielowianie. Niestety, nie udało się ustalić nazwisk wszystkich żołnierzy powiązanych z Czernielowem, którzy w kwietniowych

i majowych dniach 1945 roku znaleźli się na froncie w tym rejonie. Wspomnienie dotyczyć będzie tylko niektórych z nich:

Z wywiadu Andrzeja Kordylasińskiego *Uciekajaca panna młoda* wiadomo o braciach Janie i Michale Bigusach. W „Głosie Pomorza" w 2007 roku dziennikarz zanotował: *Z Kołobrzegu przerzucili ich w okolice Siekierek. Polacy w tzw. operacji berlińskiej mieli forsować Odrę. Początkowo stacjonowali w polu w Żelichowie. Później przerzucono ich do Gozdowic nad Odrą. Mieli swoje zadanie przy forsowaniu Odry w drugiej połowie kwietnia 1945 r. 16. pułk artylerii przeciwlotniczej w operacji berlińskiej zabezpieczał przeprawy na Odrze i Starej Odrze. Szlak bojowy zakończył 7 maja 1945 r. pod Rhinow.*

Z przekazu rodzinnego wiadomo o Józefie Cieplaku z Czołhańszczyzny, który wraz z 10. pp przeprawiał się przez Odrę. Jego syn Stanisław Cieplak opowiedział o wspominanym już przy okazji opisu zaślubin z morzem Marianie Hrycaju. Urodzony w 1923 roku czernielowianin walczył wraz z żołnierzami 10. pp i przeszedł ten sam szlak bojowy co Józef Cieplak. Tak jak w przypadku udziału w poczcie sztandarowym w czasie uroczystego zanurzenia sztandaru 10. pułku w Bałtyku, był on i tym razem w poczcie sztandarowym, gdy po sforsowaniu Odry przez 1. Armię WP, w kwietniu 1945 roku poddodziały jego pułku na czele z dowódcą płk. Wincentym Potapowiczem kroczyły uroczyście po moście pontonowym na lewy brzeg rzeki.

Pododdziały 10. pp z płk. W. Potapowiczem przekraczają Odrę w kwietniu 1945 roku, obok niosącego sztandar - Marian Hrycaj

Jak opisywał Stanisław Cieplak, zgłębiający wiedzę o czernielowianach z 10. pp, ich szlak bojowy po sforsowaniu 16 kwietnia 1945 r. Odry w rejonie Gozdowic wiódł dalej przez tereny Brandenburgii, gdzie zajmowali miejscowości: Wriezen, Paulshof, Rudnitz i dalej do Kanału Hohenzollernów. Poległo tam dużo żołnierzy. Posuwali się dalej na zachód, forsując rzekę Hawelę. 6 maja nad Łabą zakończyli swój szlak bojowy.

To samo napisał w swoich żołnierskich wspomnieniach Józef Czubko: *17 kwietnia 1945 r. 4. Dywizja Piechoty przeszła przez most pontonowy na Odrze w Gozdowicach i brała udział w walkach na terenie Niemiec nad Kanałem*

Hohenzollernów. Szlak bojowy nasz pułk, jak i cała dywizja zakończył nad Elbą (Łabą) 6 maja 1945 roku.

Franciszek Bachalski

W 4. Dywizji Piechoty, w 10. pułku walczył w czasie wojny urodzony w 1923 roku w Czernielowie Franciszek Bachalski, syn Józefa. Kilka informacji przekazała o nim jego córka Anna Szadej: W stopniu plutonowego był dowódcą 2. drużyny, w jednym z trzech plutonów w kompanii moździerzy 82 mm. Jego wojenny szlak wiódł z Kiwerc przez Chełm, Lublin, Warszawę, Wał Pomorski, Kołobrzeg, forsowanie Odry, by po walkach w rejonie Kanału Hohenzollernów zakończyć na Łabie.

O żołnierzach z Czernielowa, którzy wzięli udział w bezpośrednich walkach o Berlin wiadomo niewiele. Jednym z nich był Franciszek Klepajczuk. Jak wcześniej nadmieniono, po szkoleniu w Sumach trafił do 2. Brygady Artylerii Haubic i wraz z jej 7. pułkiem walczył o uchwycenie przyczółków na Wiśle pod Puławami, brał udział w walkach o Warszawę, Wał Pomorski, Kołobrzeg.

Dalszy szlak bojowy 7. pułku wiódł nad Odrę, gdzie artylerzyści przyczynili się do przełamania obrony niemieckiej na linii toru kolejowego pod Wriezen. Kolejnym etapem walk 7. Pułku Artylerii Haubic był Berlin.

Napisała o tym Krystyna Kowalczyk, córka Franciszka Klepajczuka: *W dniach 12-20 kwietnia1945 r. bateria wchodząca w skład 7. pułku z udziałem Franciszka wspierała ogniem natarcie radzieckich czołgów na Reichstag. W ogniu, huku, tumanach kurzu z burzonych murów – toczyły się ciężkie, zacięte walki. Wreszcie 2 maja rozległ się z głośników rozkaz: „Przerwać ogień - Berlin skapitulował". Jego oczom ukazała się na murach Reichstagu najpierw czerwona, a następnie biało-czerwona flaga.*

Prawdopodobnie w 2. Brygadzie Artylerii Haubic był również urodzony w 1902 roku mieszkaniec Czernielowa Bartłomiej Murmyło. Jego syn Marian w marcu 2015 roku wspominał, że ojciec przeszedł cały szlak wojenny, był w ciężkiej artylerii, doszedł do Berlina.

W jednym z artykułów prasowych dotyczących Franciszka Klepajczuka jest mowa o dwóch „berlińczykach" po wojnie zamieszkałych w Rurce koło Chojny. Pierwszy to wielokrotnie wspominany Franciszek Klepajczuk, żołnierz 7. Pułku Artylerii Haubic, a drugim był Józef Koryluk. Niestety, nie udało się ustalić, w jakiej jednostce wojskowej walczył ten czernielowianin.

O dotarciu do stolicy Niemiec, po trudnej przeprawie przez Odrę, gdzie zginęła część jego przyjaciół, opowiadał w rodzinie Franciszek Waldun. Nie wiadomo jednak dokładnie, w jakiej formacji służył i z jaką jednostką brał udział w walkach o Berlin. Wspomnienie o nim przekazał wnuk Mirosław Wilk.

Nierozpoznani żołnierze z Czernielowa

Z lewej Józef Cieplak nad brzegiem Bałtyku

NN

Z lewej Marian Żarkowski

Franciszek Bachalski

Kazimierz Klepajczuk

Franciszek Kolasa

Andrzej Jacykowski

Z lewej Jan Mielnik „Bogaczyna”, z prawej Studenny

Z prawej Franciszek Klepajczuk

Z prawej Marian Żarkowski

Chwila odpoczynku na froncie, drugi od lewej ppor. Jan Darmograj

Z prawej siedzi Franciszek Jakubiszyn

Z prawej siedzi Józef Rajfur

Z lewej stoi Franciszek Żarkowski, z gazetą Sławek Jacykowski

Nierozpoznani czernielowianie

Drugi od lewej Antoni Romaniuk

Drugi z lewej Józef Rajfur

Z prawej ppor. Józef Rajfur

Z lewej ks. Antoni Kij

Z lewej Józef Mielnik

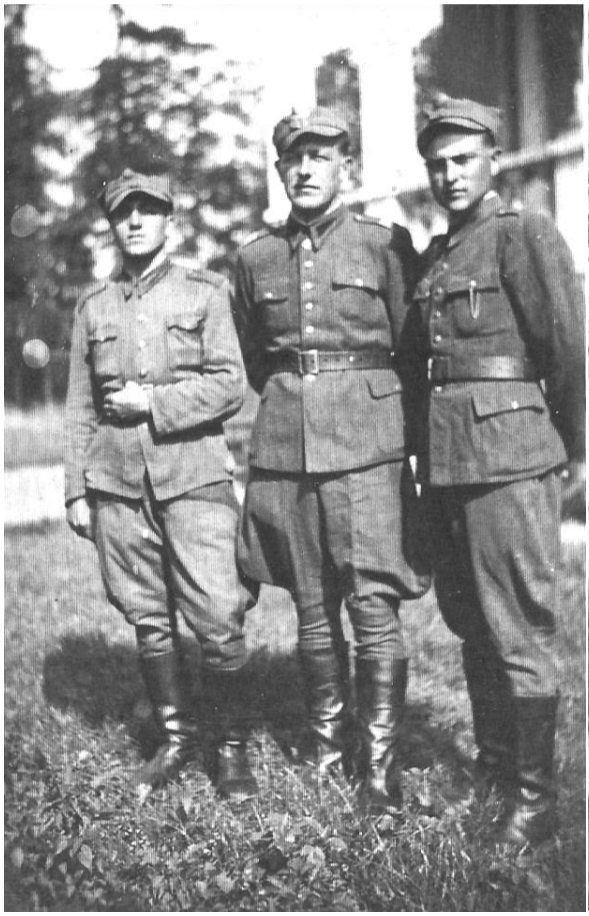

Na pierwszym zdjęciu - w środku Franciszek Woźniak, na drugim zdjęciu - drugi od lewej Franciszek Bachalski

Drugi z prawej Jan Waldun

W środku Antoni Murmylo

Kielce, lipiec 1946 r. Józef Czubko z kolegami przed koszarami, siedzi po lewej stronie działa

Z lewej przy słupie granicznym Jan Waldun

Żołnierze 7. Pułku Artylerii Haubic na odpoczynku po zdobyciu Berlina. Drugi z lewej plut. Franciszek Klepajczuk

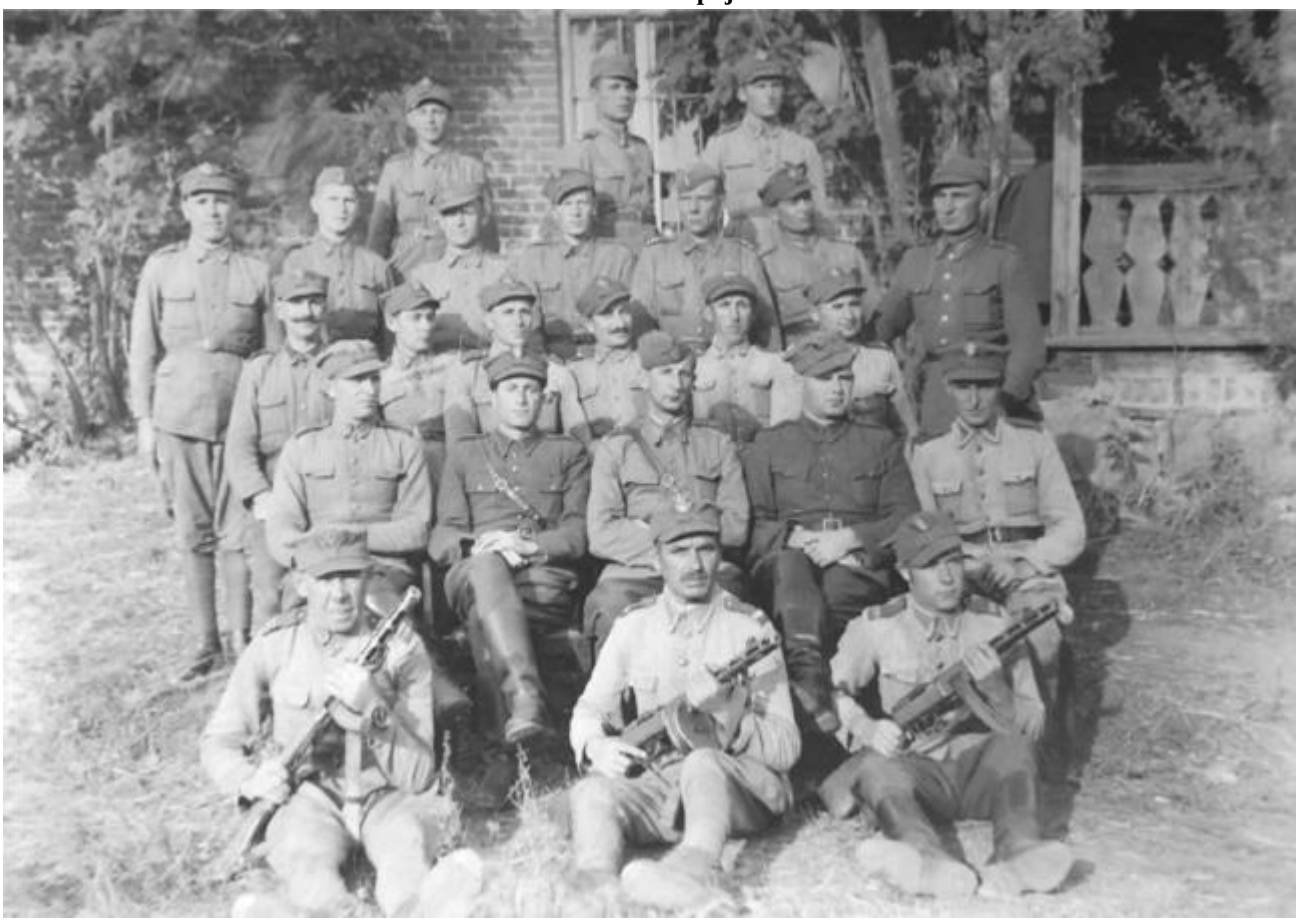

Wśród żołnierzy - w drugim rzędzie od góry, czwarty od lewej Franciszek Klepajczuk

W walkach o Berlin uczestniczył jako żołnierz 1. Dywizji Piechoty pochodzący z Czołhańszczyzny Bartłomiej Chabza. Jak wcześniej odnotowano jego żołnierska droga była wyjątkowo długa. Do Armii Czerwonej trafił już jesienią 1940 roku. Później pracował w strojbatalionach na Uralu, a w maju 1943 roku zmobilizowano go do 1. Dywizji im.T. Kościuszki. Został zwiadowcą, walczył pod Lenino. Potem był kierowcą i bombardierem. Jego szlak bojowy wiódł przez Warszawę, Wał Pomorski, Kołobrzeg, Siekierki, do Berlina.

Michał Chabza, młodszy brat Bartłomieja, po zdobyciu Kołobrzegu zachorował na malarię, przebywał w szpitalu. Potem razem ze swoją 3. dywizją przebył marszem drogę nad Odrę, w rejon Cedyni i Siekierek. Tu na wale Odry nieszczęśliwie wpadł do okopu i dalszą drogę przez Odrę odbył w wozie sanitarnym. Gdy wrócił do zdrowia, dołączył do swojej kompanii prowadzącej pościg za wycofującymi się oddziałami niemieckimi. Po sforsowaniu Kanału Hohenzollernów jego jednostka znalazła się wspólnie z jednostkami radzieckimi w pasie frontu okrążenia zewnętrznego Berlina. Swój szlak bojowy zakończył na Łabie.

W trakcie bitwy o Berlin w walkach na zewnętrznym pierścieniu stolicy III Rzeszy nad kanałem Ruppiner pod Kremmen i Flatow brał udział Jan Ziemba z 3. Pułkiem Artylerii Lekkiej, z 3. DP im. R. Traugutta i wraz ze swoim pułkiem szlak bojowy zakończył po zdobyciu miejscowości Konigsdorf i Biesenthal.

Niestety, nie udało się ustalić szlaku bojowego jego kolegów: Bronisława Sowy i Kazimierza Szumlicza, którzy po wojnie tak jak on zamieszkali w Rurce.

W tym czasie, gdy po sforsowaniu Odry, trwały walki na terenie Brandenburgii i w rejonie Budziszyna i Drezna, w niewyjaśnionych okolicznościach 22.04.1945 r. w Lublinie poległ żołnierz 9. pp Józef Hrycaj, syn Mikołaja, urodzony w Czernielowie w 1923 roku. Jego nazwisko zostało zapisane na stronie internetowej w stratach osobowych z uwagą, że zmarł podczas służby wojskowej i został pochowany na cmentarzu w Lublinie przy ul. Białej.

W ostatnich dniach wojny w czasie walk w Brandenburgii został ranny i trafił do niewoli niemieckiej żołnierz 3. dywizji Józef Mielnik. W swoich wspomnieniach te trudne momenty i dni opisał następująco: *Potem czekał nas marsz na Schwedt od południa. Gdy nasze jednostki podchodziły pod Schwedt i znalazły się w bliskiej odległości od miasta niemiecka obrona dała o sobie znać. Nasze wojska okopały się, spodziewano się kontruderzenia. Była ciężka kanonada z jednej i drugiej strony. Ale po dwóch dniach Niemcy opuścili swoje stanowiska obronne i w pośpiechu wycofali się. Droga na Berlin została otwarta. Po zajęciu Schwedt bez boju zajęte zostało Eberswalde i dalej na zachód Flatow. Tu nasze wojska okopały się na kraju lasu, po prawej stronie głównej drogi, która prowadziła w lewym odchyleniu na Berlin. Przed nami teren pofałdowany i nierówny. Spodziewano się kontruderzenia. Na drugi dzień wezwany zostałem do dowódcy pułku i dostałem rozkaz udania się na oznaczone miejsce na zwiad. Czterech nas tam pojechało rowerami. Niedaleko naszych stanowisk, obok drogi głównej była droga boczna, z porośniętymi krzakami na poboczu, niedaleko było gospodarstwo. Mieliśmy za zadanie pojechać rowerami i zaobserwować. No cóż można było zobaczyć? Z niemieckiej strony cisza jakby wojny nie było. Widać jak na dłoni wzgórza, gdzie Niemcy okopywali się. Gdy jeszcze chodziliśmy po tym gospodarstwie, słychać było jakiś szum. Mówiliśmy do siebie, że*

to chyba z naszej strony coś przyjechało. Zaczęliśmy wracać, ja jechałem ostatni. Wtem silny szum obok mnie i podmuch zwalił mnie z roweru, straciłem przytomność.

Gdy przyszedłem do siebie, zdawało mi się, że zostałem oblany wrzącą wodą. I na tej drodze widzę czołg, czołg niemiecki jedzie prosto na mnie, lufę kieruje na mnie. Widzę koniec mojego życia, widzę śmierć na własne oczy. Gdy podjechał jakieś cztery, pięć metrów ode mnie, to jeszcze wystrzelił za moimi kolegami i stanął. Obok tej drogi stał drugi czołg i też strzelał. Za chwilę w pierwszym czołgu otworzył się właz i wyskoczyło trzech szwabów z bronią gotową do strzału. Słyszałem, że jeden z nich mówił: „szisenkomunist". Nie zrozumiałem: czy zabity komunista, czy zastrzelić go. Ja żyłem i leżałem na drodze. Tylko myślą przeleciałem przez swoje młode życie. Żal mi było z życiem się rozstać. Pomyślałem, że w domu zostawiłem żonę i synka, który miał dopiero dwa latka. I pomyślałem, że jak mnie zabiją, to żeby choć dziecko wiedziało, gdzie mnie zabito, i że za Polskę oddałem życie. W przeciągu jednej minuty wspomniałem swoje lata dziecięce, młode lata pełne nadziei.

Niemcy natomiast szukali czegoś dookoła mnie. Jeden z nich podszedł i odwrócił mnie, bo leżałem twarzą do ziemi. Podniósł mi głowę do góry. Popatrzyłem i ja na niego i pomyślałem sobie: „Boże mój, ratuj!". Potem podszedł drugi, podnieśli mnie do góry. Wstałem na nogi i zobaczyłem kałużę krwi. Trząsłem się cały, a rana na nodze zaczęła piec. Obszukali mnie po kieszeniach, zabrali automat, dwa granaty i wszystkie dokumenty, jakie miałem. Jeden z nich rozdarł mi spodnie i zabandażował nogę. Wsadzili mnie na czołg, który odjechał do tyłu.

Dalej Józef Mielnik opowiedział o losie swoich kolegów ze zwiadu, który poznał, gdy spotkali się na zjeździe w 1980 roku. Jeden z kolegów schował się do kanału ściekowego, gdzie przesiedział dwa dni i dopiero trzeciego dnia po zrzuceniu munduru doczołgał się rowem do swoich, którzy go początkowo nie poznali. Dwom pozostałym też udało się szczęśliwie wrócić do oddziału. Jego natomiast koledzy uznali za zaginionego. Tymczasem Niemcy zawieźli go do sztabu i przesłuchowali w obecności tłumacza, pytając, za co Polacy walczą, czy za Stalina i kołchozy w Polsce, skąd się wziął w ZSRR, czy jest ochotnikiem, gdzie jest jego rodzina. Pytali też o sprawy wojskowe, czy nie ma w polskim wojsku oddziałów złożonych z Niemców. Na drugi dzień otrzymał jedzenie i został odtransportowany do szpitala jeńców wojennych. Szpital mieścił się na barkach na jeziorze w Schwerinie. Tu zostali oswobodzeni przez Amerykanów.

Jedną z ofiar w ostatnich dniach wojny był Karol Maliszkiewicz. Spokrewniona z nim Stanisława Kłos napisała, że pochodził z Czernielowa, mieszkał Na Błotach. Po ślubie przeprowadził się do Bajkowiec. Był ranny w walkach na Pomorzu.

Karol Maliszkiewicz, ok.1930 r

Na stronie www.straty.pl zarejestrowano o nim następujące informacje: Karol Maliszkiewicz, syn Marcina, urodzony w 1905 roku, według innego źródła w 1900 roku, w Bajkowcach. Był szeregowym, żołnierzem 2. pp 1. Dywizji Piechoty. Zmarł w Bydgoszczy 6 maja 1945 r. w wyniku odniesionych ran. Pochowany w tym mieście na cmentarzu przy ul. Zaświat.

Tyle udało się ustalić, jeśli chodzi o udział czernielowian w ostatnich walkach przed zakończeniem wojny. Z pewnością było ich znacznie więcej niż wymienieni na kartach opracowania. Pamięć o nich pozostała w kręgu rodzin.

Na zakończenie tego tematu warto jeszcze zwrócić uwagę na często występujące przypadki służby w wojsku i udziału w wojnie dwóch, trzech, czasem większej liczby żołnierzy z jednej czernielowskiej rodziny, nie mówiąc o powiązaniach rodzinnych wśród żołnierzy tak powszechnie w Czernielowie występujących. Wynikało to z wielodzietności rodzin i szerokiej rozpiętości roczników, od18 do 50 lat, powołanych do wojska na wiosnę 1944 roku. Dlatego nie dziwi, że na froncie rzadko obok siebie, a najczęściej w różnych formacjach wojskowych walczyli bracia oraz ojcowie i synowie. Przywoływane były wielokrotnie imiona i nazwiska dwóch, trzech braci, ojca i syna lub synów, którzy walczyli, byli ranni, a niektórzy zginęli na froncie. Wymieniono wcześniej pięciu braci Mielników, synów Anny i Mikołaja, żegnanych przez matkę gdy wyruszali na wojnę: Jana, Piotra, Józefa, Antoniego i Mariana. Znani byli pod przezwiskiem „Bogaczyny". Poza Józefem Mielnikiem, którego wspomnienia *Żołnierski chleb* obszernie cytowano, nie udało się ustalić szczegółów dotyczących jednostek, w których służyli i drogi, którą przeszli. Najstarszy Jan był bombardierem, Piotr czołgistą, Antoni służył w piechocie. Wszyscy przeżyli wojnę i wrócili do swoich. Ich brat Leon, jak opisano, zabrany na roboty przymusowe do Niemiec po wojnie tam pozostał. Pokrótce wspomniano o losach i udziale w działaniach frontowych braci Jacykowskich: Janie, Józefie i Tomaszu; o braciach Żarkowskich Janie i Antonim i ich ojcu Franciszku; o braciach Żarkowskich z Zadusznego Końca: Józefie i Franciszku; o Marianie Hrycaju i jego ojcu Justynie; o braciach Franciszku i Janie Waldunach i ich ojcu Janie; o braciach Michale i Bartłomieju Chabzach; o braciach Tadeuszu i Józefie Cieplakach; o braciach Janie i Michale Bigusach; o braciach: Michale, Franciszku i Kazimierzu Klepajczukach; o braciach Karolu i Janie Ziembach; o braciach Janie i Antonim Darmograjach; o braciach Hrycajach: Władysławie i Janie, który zginął za Odrą i zapewne wielu innych, pominiętych tu ze względu na brak informacji o nich lub o łączącym żołnierzy pokrewieństwie.

Za udział w wojnie, w poszczególnych bitwach czernielowscy żołnierze zostali wielokrotnie odznaczeni medalami, odznakami, krzyżami zasługi. Były one dla nich

symbolem uznania za ich odwagę, męstwo, trud, poświęcenie, za narażenie życia, za utratę zdrowia, a w wielu wypadkach za oddanie życia za wyzwolenie Ojczyzny. Nie sposób uhonorować wszystkich czernielowian, imiennie podając ich nazwiska. Dlatego załączone odnaczenia są bezimienne i oddają hołd wszystkim byłym mieszkańcom Czernielowa i okolic biorącym udział w II wojnie światowej.

Medaleza udział w wojnie: wyżej - *Za Warszawę 1939-1945; Obrońcom, Bojownikom, Oswobodzicielom,* niżej - *Za Odrę, Nysę i Bałtyk*; *RP Zwycięzcom III 1945 IV 1945*

Medale za udział w II wojnie światowej: wyżej Ministerstwa Obrony Narodowej *Za udział wwalkach o Berlin*, niżej Krajowej Rady Narodowej *Zwycięstwo i Wolność 9 V 1945*

Krzyż Virtuti Militari; *Zasłużonym na Polu Chwały 1944*

Z boków *Krzyż bitwy pod Lenino*, w środku odznaka *Grunwald Berlin1410-1945*.

Medale *За освобождение Варшавы* (Za wyzwolenie Warszawy), *Наше дело правое, Мы победим* (Słuszność po naszej stronie, Zwyciężymy),За победу над Германией (Za zwycięstwo nad Niemcami),*За взятие Берлина* (Za zdobycie Berlina)

Medal *Za zasługi dla obronności kraju*, Krzyż Walecznych, Manifest PKWN

Medale czernielowian i mieszkańców okolicznych wsi: ***Za udział w walkach o Berlin, Za Warszawę 1939-1945, Za Odrę, Nysę i Bałtyk***

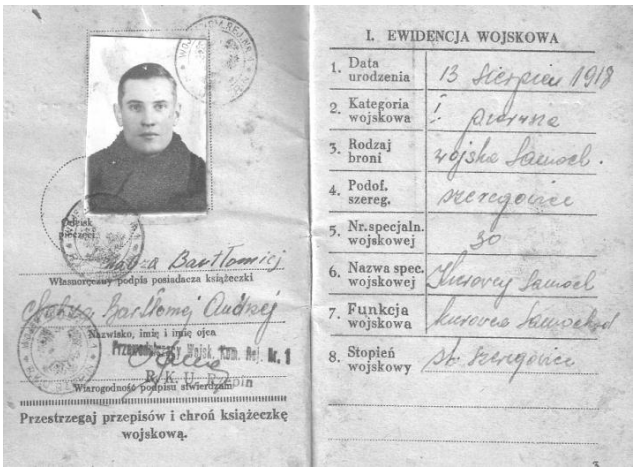

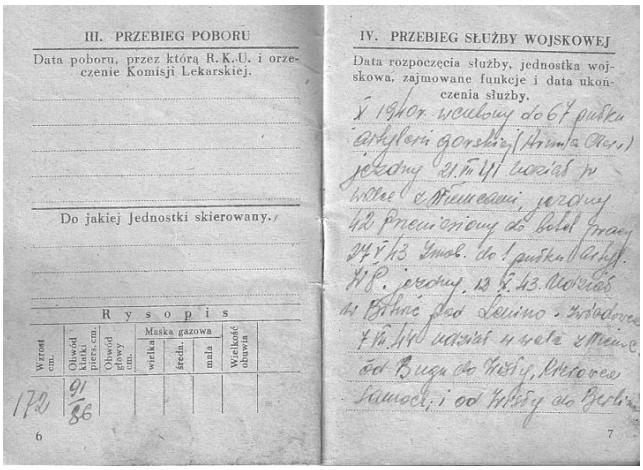

Książeczka wojskowa Bartłomieja Chabzy

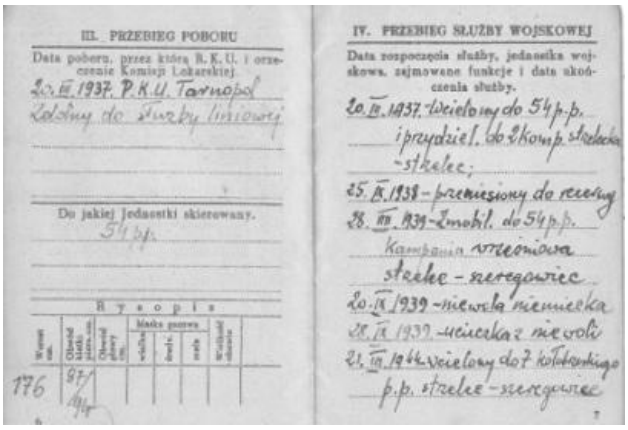

Książeczka wojskowa Franciszka Jakubiszyna

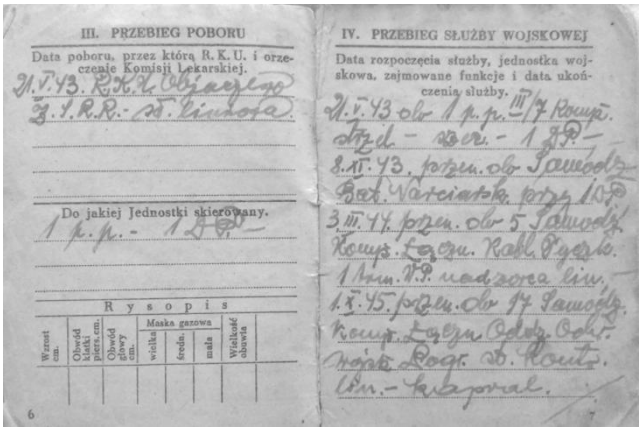

Książeczka wojskowa Mariana Świcarza

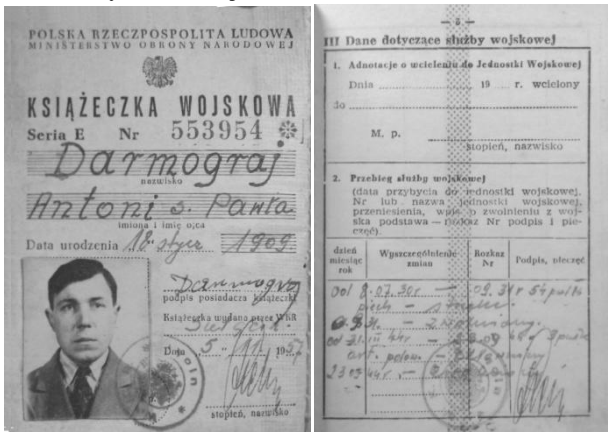

Książeczka wojskowa Antoniego Darmograja

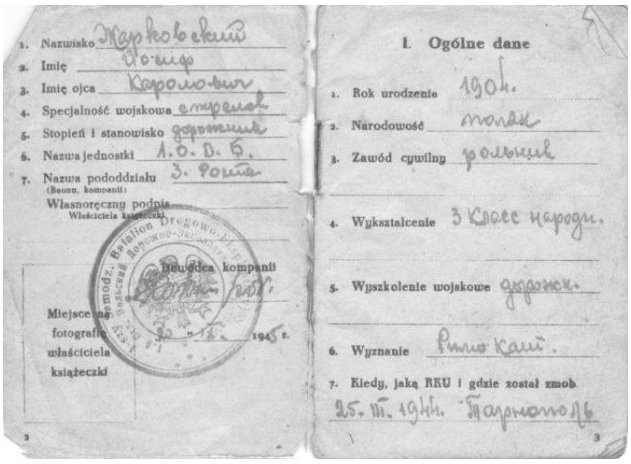

1. Nazwisko Żarkowski
2. Imię Józef
3. Imię ojca Karolowicz
4. Specjalność wojskowa strzelec
5. Stopień i stanowisko szeregowy
6. Nazwa jednostki 1. O. D. B.
7. Nazwa pododdziału 3. Rota

Własnoręczny podpis Właściciela książeczki

Dowódca kompanii

Miejsce na fotografię właściciela książeczki

I. Ogólne dane

1. Rok urodzenia 1904.
2. Narodowość polak
3. Zawód cywilny rolnik
4. Wykształcenie 3 klasy szkoły powszechnej.
5. Wyszkolenie wojskowe zasadnicze.
6. Wyznanie rzymsko katolickie.
7. Kiedy, jaką RKU i gdzie został zmob. 25. III. 1944. Tarnopol

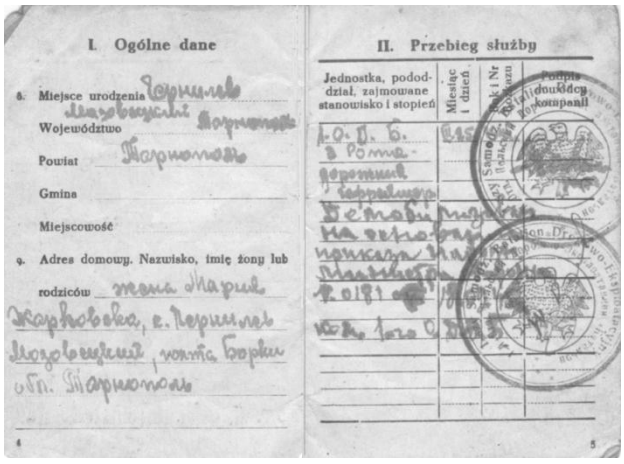

I. Ogólne dane

8. Miejsce urodzenia Czernielów
Województwo Tarnopolskie
Powiat Tarnopol
Gmina
Miejscowość
9. Adres domowy. Nazwisko, imię żony lub rodziców Żarkowska Maria Żarkowska, z. Czernielów Drohowyżowski, powiat Borki obł. Tarnopol

II. Przebieg służby

Jednostka, pododdział, zajmowane stanowisko i stopień	Miesiąc i dzień	Podpis dowódcy kompanii
1. O. D. B. 3 Rota - szeregowy		
Ukończył szkołę podoficerską w Kowlu		
Mianowany na stopień starszego strzelca		
Mianowany na stopień kaprala		

Książeczka wojskowa Józefa Żarkowskiego

СССР

ВОЕННЫЙ БИЛЕТ

(личная подпись владельца военного билета)

Подпись заверяющего

(должность и фамилия)

Будь готов к защите социалистического отечества!

Береги военный билет, прочти правила военного учета, знай и выполняй их!

(фамилия, имя, отчество)

Выдан (наименование части (учреждения), выдавшей военный билет)

М. П. (Подпись, звание, фамилия)

III. Сведения о прохождении призыва

Неграмотный, малограмотный, начальная школа 3 класса

Неполная средняя школа класс (подчеркнуть и указать конч. классов)

Средняя школа

Рабфак

Техникум

Высшее учебное заведение

Область (край, республика) Тарнопольская

Район (город) г. Збаражский

Сельский совет Струмилов-Дворы

Деревня Струмилов, Мурованый

Измерения роста, головы, ступни в сантиметрах или условных номерах (ростовых)			
Рост	Окружность головы	Размер противогаза	Размер обуви

Ksiażeczka wojskowa Józefa Szelepki

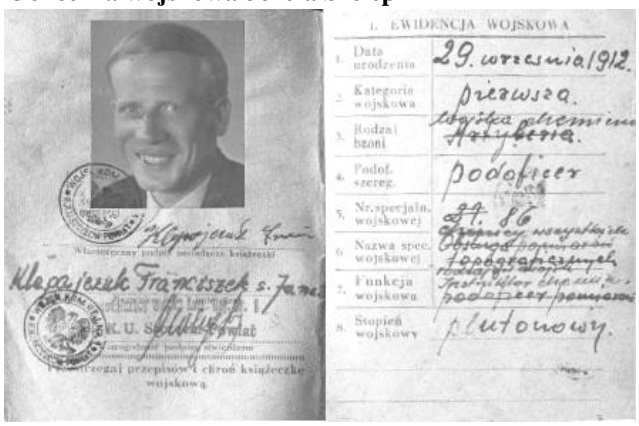

1. EWIDENCJA WOJSKOWA

1. Data urodzenia 29. września 1912.
2. Kategoria wojskowa pierwsza.
3. Rodzaj broni piechota.
4. Podof. szereg. podoficer
5. Nr specjaln. wojskowej 44. 86
6. Nazwa spec. wojskowej podoficer piechoty
7. Funkcja wojskowa dowódca plutonu, podoficer pomocniczy
8. Stopień wojskowy plutonowy.

Klepajczek Franciszek s. Jana

Przechowuj przepisowo i okaż książeczkę wojskową

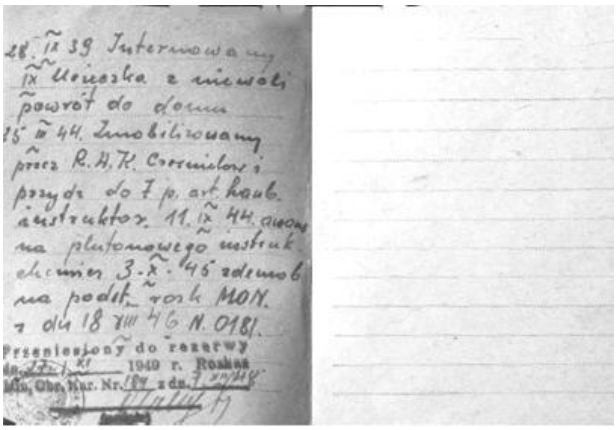

28. IX 39 Internowany
IX Ucieczka z niewoli
powrót do domu
15 III 44. Zmobilizowany
przez R.H.K. Czerniłów i
przydz. do 7 p. art. haub.
instruktor. 11. IX 44. dowódca
na plutonowego instruktor
skreślony 3. X. 46 zdemob
na podst. rozk. MON.
z dn. 18 VII 46 N. 0181.

Przeniesiony do rezerwy
[illegible] 1940 r. Rembertów
Mia. Okr. Nar. Nr. [illegible] z dn. [illegible]

książeczka wojskowa Franciszka Klepajczuka

Удостоверение № 503

МЕХАНИК-ВОДИТЕЛЬ

Место для фотокарточки

М. П.

Личная подпись механика-водителя

Звание Рядовой

Фамилия Клепайчук

Имя Казимир

Отчество Иванович

Имеет право водить танки среднего танка т-34

Командир [illegible]

Квалификационной комиссией 26 отмп (части, соединения)

на основании приказа № 195

от „18" сентября 1944 г.

присвоено звание — механик-водитель 3-го класса

К моменту присвоения звания имеет:

Стаж вождения танков т-34 (марка) 8.30 час.

Боевых танко-выходов (количество)

Сдал экзамен по технической подготовке хорошо (оценка)

Председатель квалификационной комиссии

М. П.

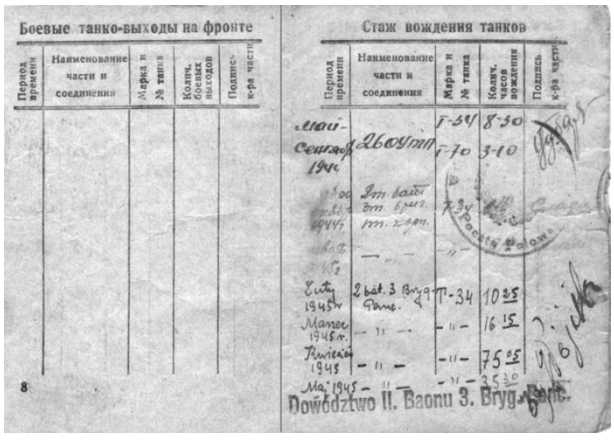

Боевые танко-выходы на фронте

Период времени	Наименование части и соединения	Марка и № танка	Колич. боевых выходов	Подпись к-ра части

Стаж вождения танков

Период времени	Наименование части и соединения	Марка и № танка	Колич. часов вождения	Подпись к-ра части
[illegible] 1944	26 отмп	т-34	8-30	
		т-70	3-10	
[illegible] 1944	2 бат. 3 Бриг. Гвард.	т-34	7-30	
	т. ком.			
	— —	— —	— —	
Luty 1945 г.	2 bat. 3 Bryg. Gwar.	T-34	10 25	
Marzec 1945 г.	— —	— —	16 15	
Kwiecień 1945	— —	— —	75 25	
Maj 1945	— —	— —	253 30	

Dowództwo II. Baonu 3. Bryg. Gwar.

Prawo jazdy kierowcy-mechanika Kazimierza Klepajczuka

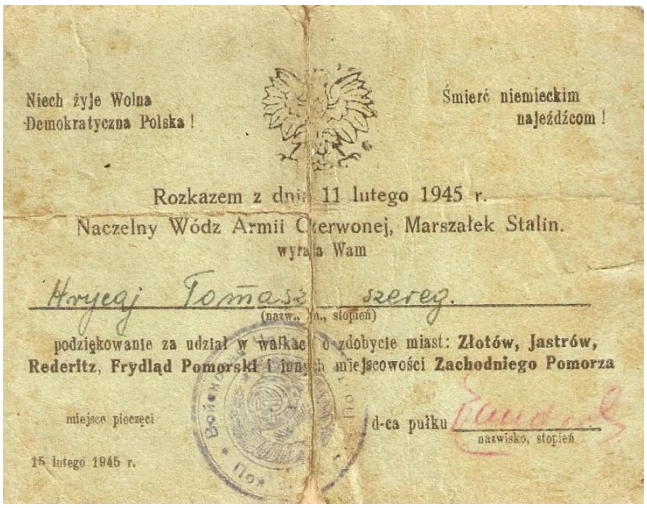

Niech żyje Wolna Demokratyczna Polska!

Śmierć niemieckim najeźdźcom!

Rozkazem z dnia 11 lutego 1945 r.
Naczelny Wódz Armii Czerwonej, Marszałek Stalin.
wyraża Wam

Hryciaj Tomasz szereg.
(nazw., im., stopień)

podziękowanie za udział w walkach o zdobycie miast: **Złotów, Jastrów, Rederitz, Frydląd Pomorski** i innych miejscowości **Zachodniego Pomorza**

miejsce pieczęci

d-ca pułku
nazwisko, stopień

15 lutego 1945 r.

Podziękowanie za udział w walce o zdobycie miast i miejscowości Pomorza Zachodniego dla szeregowego Tomasza Hrycaja

Niech żyje Wolna Demokratyczna Polska!

Śmierć niemieckim najeźdźcom!

KOŁOBRZEG NA WIEKI POZOSTANIE POLSKI!

Wódz Naczelny Armii Czerwonej **Marszałek STALIN**
rozkazem z dnia 18 marca 1945 roku wyraża Wam

obyw. kpr. C Z U B K O J O Z E F
(nazwisko, imię, imię ojca)

podziękowanie za udział we wspaniałych działaniach bojowych [illegible] Armii w zdobyciu przastarego słowiańskiego portu nad Bałtykiem
KOŁOBRZEGA

Na cześć zwycięstwa, w Moskwie oddano dnia 18 marca 1945 r.
12 salw artyleryjskich z 120 dział.

Chwała zdobywcom Kołobrzegu!

Marzec 1945 r.

D-ca pułku

Podziękowanie za udział we wspaniałych działaniach bojowych 1. Armii i zdobycie Kołobrzegu dla kpr. Józefa Czubki

WOJSKO POLSKIE

Tymczasowe zaświadczenie Nr 79700

Okaziciel niniejszego kapr. Waldun Jan
s. Jana
(Stopień, nazwisko, imię, imię ojca)

odznaczony Rozkazem Dowódcy 3 Pomorskiej Dywizji
(dekretem lub rozkazem)

Piechoty Nr 01/pocku z 18 marca 1946 r.

ZA BOHATERSKIE CZYNY i DZIELNE ZACHOWANIE SIĘ W WALCE Z NIEMIECKIM NAJEŹDŹCĄ

Orderem, medalem Za Odrę, Nysę i Bałtyk

d-ca 97 P.P.

Podpis wręczającego

Zajmowane stanowisko i stopień

M. p. 27 08 1946 r. (—) Zarczny Major

WOJSKO POLSKIE

Tymczasowe zaświadczenie Nr 25606

Okaziciel niniejszego Kaprol Waldun
Jan s. Jana

odznaczony Rozkaz Personalny Ministra Obrony
(dekretem lub rozkazem)

Narodowej Nr 2/w z „1" marca 1946 r.

ZA BOHATERSKIE CZYNY i DZIELNE ZACHOWANIE SIĘ W WALCE Z NIEMIECKIM NAJEŹDŹCĄ

Orderem, medalem Za Warszawę

d-ca 9 Pomorskiej Dyw.
Podpis wręczającego

Zajmowane stanowisko i stopień

„1" marca 1946 r. I-1 Gł. Starszy Inż. p. płk

Tymczasowe zaświadczenia o odznaczeniu orderami Za Warszawę, Za Odrę, Nysę i Bałtyk Jana Walduna

W celu upamiętnienia bohaterskiej historii Warszawy w wojnie z hitlerowskim najeźdźcą, historii żołnierza, który bronił Stolicy we wrześniu 1939 roku, walczył nieugięcie w okresie okupacji i ginął ofiarnie w tragicznym powstaniu, a także celem upamiętnienia zniszczeńczego wyzwolenia Warszawy przez Odrodzone Wojsko Polskie w sojuszu z Armią Czerwoną oraz celem nagrodzenia uczestników tych walk o Stolicę ustanawia się odznaczenie wojskowe pod nazwą:

MEDAL ZA WARSZAWĘ
1939-1945

(Art. 1 Dekretu o ustanowieniu Medalu za Warszawę.)

NA PODSTAWIE DEKRETU PREZYDIUM KRAJOWEJ RADY NARODOWEJ Z DN. 26 PAŹDZIERNIKA 1945 R.
MINISTER OBRONY NARODOWEJ
nadał:
Ob. Kan. Hrycaj Tomasz
s. Stefana ur. w r. 1910.

odznaczenie wojskowe:
MEDAL ZA WARSZAWĘ
1939-1945

Pieczęć (Stanowisko) Z-ca Komendanta P.K.U. Kier. Referatu M...
(podpis wręczającego)
(—) Bujta Franciszek
(stopień)

Nr 013351

Rzepin Dn. 8 lipca 1946 r.

Potwierdzenie nadania medalu za Warszawę kan. Tomaszowi Hrycajowi

W celu upamiętnienia [illegible] historii polskiego, który walczył o swoje granice na Odrze i Nysie i na wybrzeżu Bałtyku, odbudowuje dla Polski prastare ziemie słowiańskie na zachodzie i północy, oraz celem nagrodzenia uczestników tych walk, ustanawia się odznaczenie wojskowe pod nazwą:

MEDAL
ZA ODRĘ, NYSĘ, BAŁTYK

(Art. 1 Dekretu o ustanowieniu Medalu za Odrę, Nysę, Bałtyk.)

NA PODSTAWIE DEKRETU PREZYDIUM KRAJOWEJ RADY NARODOWEJ Z DN. 26 PAŹDZIERNIKA 1945 R.
MINISTER OBRONY NARODOWEJ
nadał:
Ob. kpr. Czubko
Józef s. Jana

MEDAL
ZA ODRĘ, NYSĘ, BAŁTYK

Pieczęć Komendant Rej...
(podpis wręczającego)
(stopień)

Nr 011394

Kamień Pom. 21. 1. 1947

Potwierdzenia nadania medalu za Odrę, Nysę, Bałtyk kpr. Józefowi Czubce

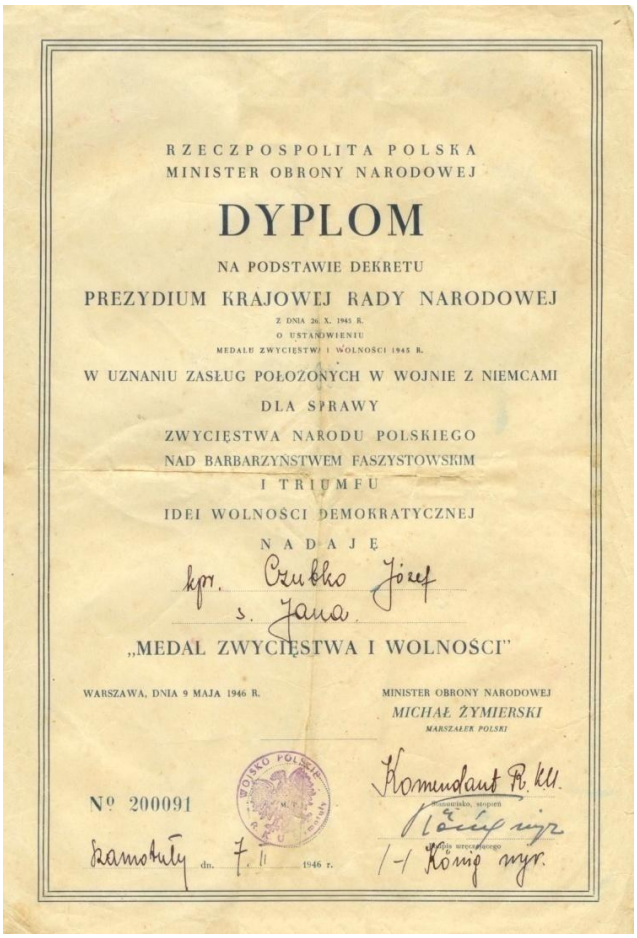

RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTER OBRONY NARODOWEJ

DYPLOM

NA PODSTAWIE DEKRETU
PREZYDIUM KRAJOWEJ RADY NARODOWEJ
Z DNIA 26 X. 1945 R.
O USTANOWIENIU
MEDALU ZWYCIĘSTWA I WOLNOŚCI 1945 R.

W UZNANIU ZASŁUG POŁOŻONYCH W WOJNIE Z NIEMCAMI
DLA SPRAWY
ZWYCIĘSTWA NARODU POLSKIEGO
NAD BARBARZYNSTWEM FASZYSTOWSKIM
I TRIUMFU
IDEI WOLNOŚCI DEMOKRATYCZNEJ
NADAJĘ

kpr. Czubko Józef
s. Jana

„MEDAL ZWYCIĘSTWA I WOLNOŚCI"

WARSZAWA, DNIA 9 MAJA 1946 R.

MINISTER OBRONY NARODOWEJ
MICHAŁ ŻYMIERSKI
MARSZAŁEK POLSKI

Nº 200091

Szamotuły dn. 7. II 1946 r.

Komendant P. K.U.
Pieczęć urzędowa
/-/ Król wyr.

BOJE I i II ARMII

RZECZPOSPOLITA POLSKA

LEGITYMACJA
ODZNACZENIA WOJSKOWEGO
MEDAL
ZA ODRĘ, NYSĘ, BAŁTYK

„60 ЛЕТ ПОБЕДЫ
В ВЕЛИКОЙ ОТЕЧЕСТВЕННОЙ ВОЙНЕ
1941 – 1945 гг."

Чубко
Юзеф

Указом
Президента Российской Федерации
от 28 февраля 2004 г.
награжден(а) юбилейной медалью
„60 ЛЕТ ПОБЕДЫ
В ВЕЛИКОЙ ОТЕЧЕСТВЕННОЙ
ВОЙНЕ 1941 – 1945 гг."

От имени
Президента Российской Федерации
медаль вручена
12 января 2005 г.
Генеральный консул России в Познани

А № 8433360

РОССИЙСКАЯ ФЕДЕРАЦИЯ

УДОСТОВЕРЕНИЕ
К ЮБИЛЕЙНОЙ МЕДАЛИ
„60 ЛЕТ ПОБЕДЫ
В ВЕЛИКОЙ ОТЕЧЕСТВЕННОЙ
ВОЙНЕ 1941 – 1945 гг."

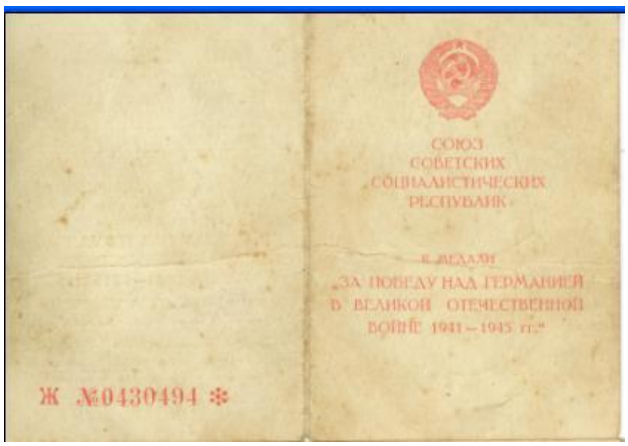

СОЮЗ
СОВЕТСКИХ
СОЦИАЛИСТИЧЕСКИХ
РЕСПУБЛИК

К МЕДАЛИ
„ЗА ПОБЕДУ НАД ГЕРМАНИЕЙ
В ВЕЛИКОЙ ОТЕЧЕСТВЕННОЙ
ВОЙНЕ 1941 – 1945 гг."

Ж №0430494

„ЗА ПОБЕДУ НАД ГЕРМАНИЕЙ
В ВЕЛИКОЙ ОТЕЧЕСТВЕННОЙ ВОЙНЕ
1941—1945 гг."

УДОСТОВЕРЕНИЕ

ЗА УЧАСТИЕ В ВЕЛИКОЙ
ОТЕЧЕСТВЕННОЙ ВОЙНЕ
мл. сержант
Чобко
Иосиф Иванович

УКАЗОМ ПРЕЗИДИУМА ВЕРХОВНОГО
СОВЕТА СССР от 9 мая 1945 года
НАГРАЖДЕН МЕДАЛЬЮ
„ЗА ПОБЕДУ НАД ГЕРМАНИЕЙ
В ВЕЛИКОЙ ОТЕЧЕСТВЕННОЙ
ВОЙНЕ 1941—1945 гг."

От имени ПРЕЗИДИУМА ВЕРХОВНОГО
СОВЕТА СССР медаль вручена
10 апреля 1946 г.

Командир
Печать
/-/ Вельбовский

„ЗА ПОБЕДУ НАД ГЕРМАНИЕЙ
В ВЕЛИКОЙ ОТЕЧЕСТВЕННОЙ ВОЙНЕ
1941—1945 гг."

УДОСТОВЕРЕНИЕ

ЗА УЧАСТИЕ В ВЕЛИКОЙ
ОТЕЧЕСТВЕННОЙ ВОЙНЕ
мл. серж. Чубко
Иосиф
Иванович

УКАЗОМ ПРЕЗИДИУМА ВЕРХОВНОГО
СОВЕТА СССР от 9 мая 1945 года
НАГРАЖДЕН МЕДАЛЬЮ
„ЗА ПОБЕДУ НАД ГЕРМАНИЕЙ
В ВЕЛИКОЙ ОТЕЧЕСТВЕННОЙ
ВОЙНЕ 1941—1945 гг."

От имени ПРЕЗИДИУМА ВЕРХОВНОГО
СОВЕТА СССР медаль вручена
7. V 1946

Командир
Печать
/-/ Кийко Маер

Potwierdzenia odznaczeń i medali Józefa Czubki

Zakończenie wojny. Ludzkie losy

II wojna światowa w Europie skończyła się 8 maja 1945 r. Poprzedniego dnia w godzinach porannych w kwaterze głównej Alianckich Sił Ekspedycyjnych generała Eisenhowera w Reims we Francji Niemcy skapitulowały przed przedstawicielami armii USA i Wspólnoty Brytyjskiej oraz Armii Czerwonej. Podpisany akt kapitulacji, później nazywany wstępnym protokołem kapitulacji, mówił o zaprzestaniu działań zbrojnych przez wszystkie siły lądowe, morskie i powietrzne będące pod dowództwem niemieckim w dniu 8 maja o godzinie 23.01 czasu środkowoeuropejskiego.

Na żądanie Stalina 8 maja (według czasu moskiewskiego był już 9 maja) w kwaterze marszałka Żukowa w Berlinie powtórzono podpisanie bezwarunkowej kapitulacji Wehrmachtu i innych sił zbrojnych III Rzeszy przed przedstawicielami trzech mocarstw sojuszniczych – ZSRR, USA i Wielkiej Brytanii, przy czym świadkiem podpisania tego aktu był przedstawiciel Francji.

Kapitulacja III Rzeszy i zakończenie działań wojennych oznaczały, że dla milionów ludzi w Europie kończył się okres niemal 6-letniego koszmaru wojny. Nadal jednak toczyły się walki z Japonią na Dalekim Wschodzie. Dopiero jej kapitulacja - 2 września 1945 r. - była końcem II wojny światowej, która pochłonęła ponad 50 mln ofiar - poległych, zamordowanych i zmarłych w wyniku działań wojennych. Polskie straty wojenne i ofiary represji pod dwiema okupacjami są szacowane na 5,6 do 5,8 milionów zmarłych i zaginionych obywateli, w tej liczbie połowę stanowią polscy Żydzi.

Bilans wojny nie ograniczał się do nieodwracalnych strat ludzkich. Nastał czas wdrażania w życie podjętych pod koniec wojny przez trzy mocarstwa decyzji dotyczących zmian terytorialnych na wschodzie i zachodzie Europy i ustalonych stref wływów. Zmiany terytorialne dotyczące Polski i innych państw pociągnęły za sobą olbrzymią falę przesiedleń i deportacji ludności. Przesiedlenia ludności cywilnej z ziem zabranych Polsce na wschodzie na Ziemie Odzyskane skumulowały się z masowym powrotem z Zachodu, z terytorium III Rzeszy i innych państw: żołnierzy, robotników i rolników wywiezionych w czasie wojny na roboty przymusowe, jeńców wojennych i więźniów uwolnionych z obozów koncentracyjnych. Jak można przeczytać w popularnych opracowaniach historycznych drogami Europy w różnych kierunkach przemieszczało się w sumie około 20 mln ludzi, a wśród nich olbrzymia grupa ludzi, którą alianci nazywali *displaced persons*, osoby przemieszczone. Spolszczone słowo *dipisi* oznaczało osoby, które w wyniku wojny znalazły się poza swoim państwem i chcą albo wrócić do kraju, albo znaleźć nową ojczyznę, lecz bez pomocy uczynić tego nie mogą.

Józef Kubiszyn, przy murze, obok harmonisty, ze swoją jednostką w Katowicach w 1945 roku

Józef Kubiszyn, trzeci od prawej w Katowicach w 1945 roku

Grupa oficerów 1. baonu 26 pp, Jaroslaw, 1946 r., wśród stojących drugi z lewej ppor. Józef Rajfur, w środku Edward Zaleski

Wśród żołnierzy czernielowianie, być może Józef Nietreba, Mikołaj Chabza lub Antoni Romaniuk

Wśród żołnierzy Franciszek Bachalski

Ani demobilizacja żołnierzy z wojska, ani powrót więźniów z obozów koncentracyjnych czy jenieckich, ani z przymusowych robót w Niemczech czy z zesłania na Sybir nie odbyły się się z dnia na dzień. Tworzono punkty zborne i obozy przejściowe, by tę masę ludzką po przeżyciach wojennych przygotować do powrotu do Polski, do domu. Szacunki mówią o 2 milionach Polaków, którzy po wojnie trafili do obozów przed powrotem do Polski. A powroty z powodów politycznych w nowej powojennej rzeczywistości były trudne. Wszyscy, a zwłaszcza ci, którzy zetknęli się z życiem na zachodzie, jak i ci, którzy mieli świadomość zasadniczych zmian politycznych, które już w Polsce nastąpiły i nastąpią po zakończeniu wojny, przeżywali rozterki związane z podjęciem decyzji o powrocie do kraju. Dziesiątki tysięcy osób pozostawały przez wiele lat w obozach dla uchodźców w okupowanych Niemczech.

Józef Czubko w swoich żołnierskich wspomnieniach opisał te problemy następująco: *Wojnę zakończyliśmy za Berlinem nad Elbą (Łabą). Za rzeką byli Amerykanie. Dowódcy nie pozwolili nam na rozmowy z Amerykanami. Ci, którzy byli bardziej zaradnymi, to sami dostali się na drugi brzeg rzeki. Z mojej drużyny poszło do Amerykanów dwóch żołnierzy. Im Amerykanie zaproponowali dwuletni kontrakt w swojej armii. Po zakończeniu tego kontraktu mieli uzyskać amerykańskie obywatelstwo. Polacy ci nie chcieli służyć w wojsku. Po dwóch tygodniach wrócili do nas. Poza kontraktami wojskowymi Amerykanie niczego nie obiecywali. Mówili naszym żołnierzom, że Ameryka jest wolnym krajem, każdy może robić tu wszystko, czego nie zabrania prawo.*

Ja wprawdzie miałem rodzinę w USA, ale nie chciałem bardzo ciężko pracować w kopalni węgla kamiennego pod ziemią, tak jak pracował mój ojciec, więc nawet nie byłem na amerykańskim brzegu Łaby. Większość z berlingowców, którzy byli u Amerykanów, powróciła do naszego pułku po dwóch tygodniach. Zostali ci, którzy mieli rodzinę na Zachodzie. Oni mogli liczyć na pomoc w rozpoczęciu nowego życia w obcym środowisku.

Oficerowie Wojska Polskiego informowali nas, że każdy żołnierz od władzy ludowej otrzyma na własność 10 hektarów ziemi. Hektar był dużo większy od morgi zabugowskiej. To działało na naszą wyobraźnię. Dla biednych chłopów galicyjskich, którzy odczuwali głód ziemi, tyle pola to było prawdziwe bogactwo (...)

Na początku czerwca 1945 roku nasza dywizja rozpoczęła wycofywanie do Polski, ale ja już byłem w szpitalu.

Z jednej strony wielka niewiadoma co do losu za oceanem, z drugiej perspektywa otrzymania ziemi w ilości działającej na wyobraźnię młodych i w średnim wieku żołnierzy były czynnikami ważącymi przy wyborze dalszej drogi życiowej. Zdecydowana większość represjonowanych i żołnierzy wybrała powrót do kraju. Będzie o tym mowa w dalszej części.

W opracowaniu wielokrotnie opisano jak różne nieszczęścia dotknęły w czasie wojny licznych mieszkańców Czernielowa i okolicznych wsi oraz jak udziałem wszystkich był codzienny strach, obawa o życie swoje i bliskich. Jednym z jaśniejszych obrazów na tle tragicznych wydarzeń wojny i ogólnego marazmu pierwszej połowy lat 40. XX w. stały się pobyty w obozach w Afryce i innych częściach świata wcześniejszych zesłańców na Sybir.

Jak wspomniano w poprzednich rozdziałach, z armią żołnierzy generała Andersa Związek Radziecki opuściło około 40 tysięcy cywilów, głównie kobiet i dzieci. Stali się uchodźcami i bezpieczne schronienie do końca wojny znaleźli w obozach w Indiach, Libanie, Meksyku, Nowej Zelandii, Unii Południowej Afryki (obecnie RPA), a przede wszystkim w brytyjskich koloniach w Afryce. Kraje te odpowiedziały na apel rządu RP na Uchodźstwie skierowany do Ligi Narodów o pomoc ewakuowanym dzieciom. Dzięki współpracy kilku rządów i tysięcy osób dobrej woli wybudowano dla nich obozy, niekiedy osiedla, przygotowując w nich warunki do mieszkania i życia dla tysięcy przymusowych emigrantów ze szkołami różnego typu, warsztatami i zakładami wytwórczymi, sklepami, szpitalami, kościołem i innymi obiektami na potrzeby rodzin i sierot wojennych.

Szczególnie dobrze zostały zapamiętane obozy i pomoc zorganizowana przez hinduskiego maharadżę Jam Saheb Digvijay Sinhji, władcę Nawangaru (Dobrej Ziemi) w zachodnich Indiach, który dla ratowania polskich dzieci z własnych środków zorganizował dla nich sierociniec w Balachadi, na południe od Bombaju, na półwyspie Kathiawar, obok swojej rezydencji.

Maharadża przyjął osierocone w czasie wojny polskie dzieci w wieku od 2 do 15 lat, które wcześniej dzięki zaangażowaniu wielu polskich ochotników były wyszukiwane w sierocińcach na terenie Związku Radzieckiego i trafiały do polskiego sierocińca zorganizowanego w Aszchabadzie, przy granicy z Iranem. Kiedy po długiej podróży ciężarówkami, przez Iran i Pakistan polskie dzieci stanęły na ziemi indyjskiej, przywitał je widok Polish Children Camp z kilkudziesięcioma nowymi domkami, z masztem, na którym powiewała biało-czerwona flaga.

Po ubogich warunkach życia w sowieckich dietskich domach osierocone dzieci znalazły się w zupełnie odmiennej, niemal bajkowej rzeczywistości - w dobrym klimacie, sprzyjającym rekonwalescencji, wśród palm, słoni, gdzie nie brakowało jedzenia i gdzie całym sercem opiekował się nimi najprawdziwszy maharadża.

Za przykładem Jama Saheba poszli inni maharadżowie. Dzięki ich działaniu, dzięki akcjom zorganizowanym przez nich i przez Komitet Pomocy Polskim Dzieciom oraz Indyjski Czerwony Krzyż wojenną zawieruchę przetrwało w Indiach około pięciu tysięcy polskich dzieci.

Jak wspomniano bezpieczne schronienie polscy uchodźcy znaleźli przede wszystkim w obozach zorganizowanych w brytyjskich koloniach w Afryce.

Gdy wiadomo było, że ze Związku Radzieckiego można spodziewać się napływu do Iranu, oprócz zesłańców zmobilizowanych do wojska Andersa, także dużych mas ludności cywilnej, w tym tysięcy dzieci, już w czerwcu 1942 roku rząd brytyjski z zarządami swych kolonii w Afryce Wschodniej na konferencji gubernatorów w Nairobi zdecydował o umieszczeniu Polaków w Kenii, Ugandzie, Tanganice i Niasie.

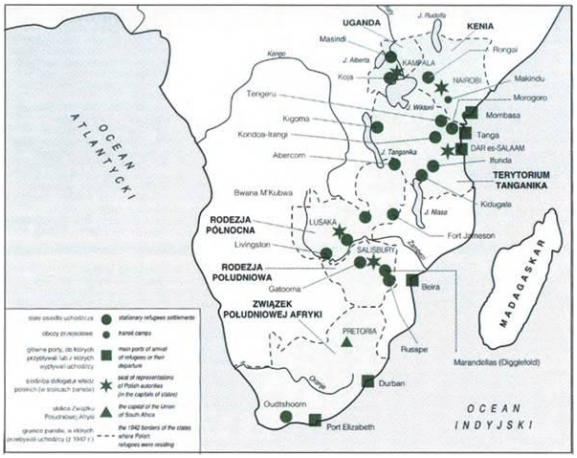

Obozy polskich zesłańców z Sybiru w Afryce

Do tego postanowienia przyłączyły się Rodezje Północna i Południowa oraz Unia Południowej Afryki (RPA). Do przyjęcia Polaków zobowiązał się także Meksyk. Ogółem w latach 1942-1943 w Afryce Wschodniej rozmieszczono ponad 13 tysięcy Polaków, a w Afryce Południowej około 5 tysięcy. Ze względu na skalę migracji było to wydarzenie bez precedensu w historii kontynentu afrykańskiego.

Pierwszy transport polskich migrantów wyjechał z Teheranu do Ahwazu i Afryki we wrześniu 1942 roku. Początkowo, przyzwyczajeni do miejscowych warunków, nie znając nowych w obozach w Afryce, uchodźcy protestowali i niechętnie opuszczali dotychczasowe przejściowe obozy w Teheranie i Isfahanie. Dopiero optymistyczne listy z Afryki, pełne zadowolenia, a nawet zachwytu przekonały następne grupy do transportu na Czarny Ląd. A tam przygotowano kilkanaście mniejszych i większych polskich osiedli dobrze zorganizowanych, w których dzieci, młodzi i starsi ludzie znaleźli dobre warunki, by mogli otrząsnąć siępo przeżyciach Sybiru i koszmarze drogi, którą musieli przebyć, by dotrzeć do Iranu.

Trzeba jeszcze dodać, że mimo traktowania pobytu małych uchodźców w Iranie za przejściowy, do czasu zorganizowania docelowego dla nich miejsca, stworzono tu od początku doskonale działający system edukacyjny, który składał się z przedszkoli, szkół powszechnych, gimnazjów, liceów, szkół zawodowych oraz wszelkiego rodzaju kursów dokształcających. Jego istotnym uzupełnieniem były zajęcia pozaprogramowe. Liczba placówek oświatowych była płynna, zmieniała się wraz z liczbą dzieci, które opuszczały Iran, wyjeżdżając do innych krajów. Według oficjalnych danych władz polskich w sierpniu 1943 roku dzieci i młodzież uczyły się w 24 szkołach, z czego w Teheranie działało dziewięć szkół powszechnych i trzy gimnazja, w Isfahanie osiem szkół powszechnych i jedno gimnazjum.

Podobny system szkolnictwa rozwinął się w obozach uchodźczych w Afryce. Pomoc dla uchodźców nie była w całości finansowana ze środków państw przyjmujących ofiary wcześniejszych deportacji. Dużą część kosztów utrzymania obozów i wyżywienia przejął rząd RP na Uchodźstwie, zaciągając na ten cel

pożyczki w Wielkiej Brytanii i USA. Niektóre jednak państwa, jak na przykład Nowa Zelandia we własnym zakresie przejęły finansowanie pobytu polskich dzieci.

Ze względu na powiązanie z ludźmi o czernielowskich korzeniach uwaga będzie skupiona tylko na dwóch i powiązanych z nimi innych obozach w Afryce. Będzie to obóz w Masindi, w Ugandzie, do którego według przekazu rodziny trafili po trudach podróży z Sybiru członkowie dwóch rodzin: Anny Niebieszczańskiej z dziećmi: Stanisławą i Kazimierzem oraz Wiktorii Kolasy i jej dorosłej córki Marii Studennej. Drugi obóz, w którym przebywała rodzina o czernielowskich korzeniach, to obóz w Ifundzie w powiązaniu z obozem w Kidugala. W tym obozie znalazła się Maria Marchewka, z d. Nietreba, z dziećmi Janiną i Kazimierzem. Była o nich wielokrotnie wcześniej mowa jako o deportowanych w lutym 1940 roku z Buchtanki koło Płotyczy do Republiki Komi oraz z Borek i Stupek do Ozierek nad Tawdą w obwodzie swierdłowskim. Ich los zostanie opowiedziany na podstawie przekazu rodzin.

Anna Niebieszczańska, żona Franciszka, przybyła do obozu w Massindi z dziećmi: przednastoletnią *(pre-teen*) Stanisławą i kilkuletnim Kazimierzem. Mieszkali tam kilka miesięcy i wtedy Anna zachorowała i znalazła się w szpitalu. Jej dzieci trafiły pod opiekę do miejscowego sierocińca, znajdującego się w dziecięcej wiosce. Podczas pobytu w sierocińcu, zachorowała na malarię Stanisława i też znalazła się w szpitalu, ale z mamą nie spotkały się, bo Anna opuściła już szpital i z grupą kobiet została skierowana na rekonwalescencję. Dzieciom przekazano, że mama może je zarazić i nie może się nimi zajmować. Anna została w Masindi lub w jakimś swego rodzaju sanatorium, a Stanisławę i Kazimierza prawdopodobnie z powodu przebytej malarii przeniesiono do sierocińca w Rongai, w Kenii. To było osiedle dla sierot, leżące na znacznej wysokości słynące z dobrego powietrza. Kierowały nim zakonnice, kilkanaście sióstr nazaretanek, które też przeszły taką samą drogę - z Syberii do Afryki. Stanisława zapamiętała je jako Zakonnice Przymierza. Młodzi Niebieszczańscy przebywali w Rongai około roku, może półtora. Chodzili tu do szkoły, którą prowadziły zakonnice. Stanisława była harcerką.

Tu trzeba podkreślić ogromną rolę szkoły i harcerstwa w wychowaniu i kształtowaniu postaw patriotycznych u młodych wychowanków. W obozach dla uchodźców przywiązywano dużą wagę do podkreślania polskości i rozbudzania patriotyzmu. Patriotyczną postawę kształtowano na lekcjach polskiego, historii, geografii, religii, w organizowanych teatrzykach, zbiórkach harcerskich, zawodach sportowych. Okazją do manifestowania polskości w odległej od Polski Afryce były święta państwowe II Rzeczpospolitej, szczególnie 3 Maja i ustanowione niedługo przed wojną święto 11 Listopada. Były wtedy przedstawienia, deklamacje. Dla podkreślania polskich korzeni wykorzystywano każde większe święto kościelne, przypominając polskie tradycje i zwyczaje. Zwłaszcza przygotowania do świąt.

A same święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy odbywały się w duchu nawiązującym do zwyczajów zapamiętanych z kraju, które korygowano w nowych okolicznościach. Wielu uczestników obozów zapamiętało, że na Boże Narodzenie był opłatek, przygowywano łańcuchy, wydmuszki z jajek do strojenia czegoś podobnego do drzewka. Inni podkreślali, jak dużo uciechy ze względu na ciepło sprawiał śmigus–dyngus w drugi dzień świąt Wielkiejnocy. Dzieci i młodzież mogli polewać się wodą od rana do wieczora.

Po tej dygresji wracamy do losu młodych Niebieszczańskich.

Po upływie kilkunastu miesięcy znowu zostali przeniesieni do innego sierocińca. Być może było to związane z zakończeniem wojny i likwidacją obozu w Rongai. Stanisława i Kazimierz znaleźli się w osiedlu dla polskich dzieci i rodzin w sierocińcu w Ifunda w Tanganice. Stanisława wspomniała, że szkoła, do której uczęszczali była prowadzona przez świeckich nauczycieli. Również tutaj dziewczynka należała do harcerstwa. Prawdopodobnie z tego okresu Stanisława zapamiętała kolacje w polskiej restauracji w obozie, na które raz na jakiś czas chodziła razem ze swoją przyjaciółką. Bardzo to jej podobało się i była to jedna z nielicznych przyjemności, na którą czekała nastoletnia dziewczynka, gdy przebywała w sierocińcu. Małe kieszonkowe ze swego żołdu przysyłał jej co miesiąc ojciec.

Tymczasem ich ojciec po zakończeniu wojny opuścił Armię Andersa. Wobec faktu, że tereny Buchtanki koło Płotyczy i Czernielowa nie należały już do Polski, podjął decyzję, że nie chce zamieszkać na ziemiach przydzielonych Polsce po wojnie. Bał się uwięzienia.

Franciszek Niebieszczański po demobilizacji udał się do obozu przejściowego dla przesiedleńców w Anglii. Za jakiś czas podjął pracę jako kucharz w jednym z hoteli. Zaczął czynić starania o połączenie z rodziną. Niestety, mimo poszukiwań nie mógł odnaleźć swojej żony Anny. Dzieci: Stanisława już prawie dorosła, Kazimierz nastoletni, opuściły Ifundę w marcu 1948 roku. Z portu w Mombasie w Kenii na statku *Orbita* młodzi Niebieszczańscy udali się do Anglii. Do Liverpoolu przybyli 1 kwietnia 1948 r. Od momentu rozstania z ojcem w 1942 roku minęło 6 lat. Dzieci wydoroślały. Razem z ojcem rozpoczęły w nowych warunkach życie w Anglii. Stanisława wkrótce wyszła za mąż za Leonarda.

A tymczasem Anna Niebieszczańska, jak wynikało z poszukiwań wnuczki Kris prowadzonych za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, z obozu w Afryce udała się na tereny dawniej należące do Polski, ale po II wojnie światowej przyznane sowieckiej Ukrainie. Przebywała w kilku miejscowościach: najpierw w rejonie Lwowa w miejscowości Nadyby, a potem zamieszkała w Załoźcach w Tarnopolskiem. Prawdopodobnie swoich dzieci poszukiwała bezskutecznie w Polsce. Rodzina Niebieszczańskich nigdy się już nie spotkała.

Opisując wywózki na Sybir w lutym i kwietniu 1940 roku, wymieniono nazwiska kilkunastu rodzin o czernielowskich korzeniach, które trafiły do różnych miejsc zesłania. Ich losy były różne. Wielu z nich nie przeżyło trudów pobytu na Sybirze i o niektórych z nich już była mowa.

Wspomniano wcześniej, że kilka młodych kobiet wstąpiło do Armii Andersa. Ich rodziny znalazły się w obozach dla polskich uchodźców w Afryce.

Franciszka, młodsza córka Wiktorii i Jana Kolasów, jak opisywano, była w Pomocniczej Służbie Kobiet, tak zwanych *pestkach* i jako kierowca uczestniczyła w transportowaniu żołnierzy i wyposażenia dla wojska na Bliskim Wschodzie, prawdopodobnie nie była na Półwyspie Apenińskim. Franciszka wyszła za mąż za Stefana Ponkę, po wojnie wybrali życie w Anglii.

W obozie w Masindi, w Ugandzie. Siedzi Wiktoria Kolasa, druga od lewej jej córka Maria Studenna

Niewiele wiadomo o pobycie w obozie Wiktorii Kolasy i jej starszej córki Marii. Z zachowanych w rodzinie i podpisanych zdjęć wynika, że przebywały w Masindi w Ugandzie. Jakiś czas po zakończeniu wojny Wiktoria Kolasa z córką Marią z Afryki wróciły do Polski. Zamieszkały w Krzelowie, wsi na Dolnym Śląsku, w której osiedliło się wielu mieszkańców z Borek Wielkich, w tym Antoni i Franciszek Kolasowie, synowie Wiktorii i Jana. Wkrótce po przyjeździe do kraju w 1947 roku Wiktoria Kolasa zmarła. Miała 67 lat. Maria Studenna mieszkała w Krzelowie ponad 40 lat. Spotykała się z siostrą Franciszką, gdy ta przyjeżdżała w odwiedziny do rodziny w Polsce. Maria Studenna zmarła w 1991 roku w wieku 78 lat.

Obraz warunków i życia codziennego w afrykańskim obozie przybliżają dostępne w Internecie wspomnienia Danuty Wójtowicz Zajiczek zatytułowane*: Polacy w Afryce: Massindi.* Warto zwrócić uwagę na doskonały system organizacji obozu, przedsiębiorczość uchodźców i różnorodność zajęć dla dzieci i młodzieży. Autorka pisała między innymi: *15 sierpnia 1942 przez Krasnowodsk dostaliśmy się do Pahlavi, potem Teheranu, Achwazu, Karachi. Tam zapadła decyzja, gdzie nas*

ulokują. Część uchodźców przyjęły Indie, Nowa Zelandia, Meksyk, a nas rozlokowano w Afryce Wschodniej.

Na terenie Afryki było 18 większych lub mniejszych polskich osiedli. Z większych skupień ludności trzeba wymienić Tengeru (4000), Lusaka (1400), Kidugala (1000), Ifunda (800), Rusape (600), Abercon (600). Nam los przydzielił Ugandę Masindi (prawie 5000), Koja (3000). Koja była bardzo ładnie położona w zatoce Jeziora Wiktorii, względnie niedaleko Entebee i Kampali, stolicy Ugandy. Dla nas w Masindi wykarczowano kawał dżungli o powierzchni około 5 km pomiędzy Jeziorem Alberta i jeziorem Kyoga, na którym stopniowo budowano domy z gliny, pokryte trawą słoniową. Podłoga z uklepanej gliny, zamiast okien drewniane okiennice, światło - naftowa lampa. Umeblowanie bardzo prymitywne – prycza z moskiterą od komarów, stół i dwie ławki. Każdy dom podzielony na trzy izby. Każda izba na jedną rodzinę, chyba że rodzina była duża, to dostawała dwie.

Prowiant dostawaliśmy z magazynu (każda wioska miała swój) rozdzielany przez specjalnie zaangażowane osoby. Gotowaliśmy sobie sami, na drzewem opalanej kuchence, zbudowanej niedaleko domu. Racje żywnościowe nie były zbyt hojne, ale nie byliśmy już głodni, tym bardziej że po wyjściu z syberyjskiej szkoły, ludzie zakasywali rękawy i brali się do zakładania ogrodów warzywnych, hodowania kur itd. Owoców też było dużo. Banany i pew-pew rosły dziko. Ananasy, zanim jeszcze były dojrzałe, zaradne gosposie szatkowały i robiły z nich „kiszoną kapustę".

Transporty uchodźców zaczęły napływać już jesienią roku 1942. Jedna tylko wioska - Przejściówka - była gotowa na ich przyjęcie. Po zbudowaniu następnych, ludzie byli przenoszeni do nowych wiosek, a Przejściówka nadal witała nowo przybyłych. W sumie było 8 wiosek, w tym jedna była siedzibą sierot. Szosa, pod fantazyjną nazwą „Rób, co chcesz" opasywała łukiem osiedle, od bramy wejściowej aż po jego krańce. Była miejscem spacerów zakochanych par.

Wioski były budowane w kształcie krzyża albo w kształcie litery H. W środku była studnia-pompa, a cztery piaszczyste drogi rozchodziły się na cztery strony świata. U wylotu każdej był kran, z którego ludzie nabierali wiadrami wodę. Wzdłuż drogi domki, po pięć z każdej strony. Z higieną było trochę na bakier - wygódka strategicznie ulokowana niedaleko kuchni, a miednica do prania oraz do osobistego użytku. Ale mimo tych skromnych możliwości ludzie wyglądali schludnie, a nawet własnym przemysłem szykownie ubrani, czyści i zadbani.

Osiedle nasze było spore, miało chyba jakieś 5 km kwadratowych. Mniej więcej w środku ulokowane było nasze gimnazjum, które otworzyło swoje drzwi w roku 1943. W roku 1944 powstało liceum, a szkoła dostała nazwę „Gimnazjum Ogólnokształcące i Liceum Humanistyczne", z K.L. Arnoldem jako dyrektorem na czele. Przez następne cztery lata, kolejne klasy zdawały egzamin dojrzałości - maturę. (w sumie około 120 osób). Sił pedagogicznych nadal brakowało (jak również

podręczników), tak że starsi maturzyści, po ukończeniu kursu pedagogicznego, zaczynali uczyć dzieci w szkołach powszechnych, jak również w niższych klasach gimnazjum. Oprócz tego było jeszcze gimnazjum handlowe, bieliźniarskie i parę szkół powszechnych. Kwitło harcerstwo, kółko dramatyczne i sporty. Mieliśmy świetlicę, gdzie odbywały się zabawy, przedstawienia, koncerty, wieczorki harcerskie i wyświetlane były filmy. Mieliśmy bibliotekę, wprawdzie nie zanadto wyposażoną, ale bardzo poczytną, orkiestrę i chór. Chodziło się na wycieczki. Jeździło się na harcerskie i żeglarskie (tylko chłopcy) obozy i do Butiaby na pływanie w Jeziorze Alberta.

Mieliśmy też polskiego komendanta osiedla inż. Fr. Hawlinga, nasze własne biuro administracyjne, szwalnię, stolarnię, piekarnię, cegielnię i szewca. Dwa sklepy, szpital z pełnym personelem medycznym (4 lekarzy) i jednego dentystę. Na poważniejsze zabiegi i operacje woziło się pacjentów do Kampali, oddalonej o jakieś 300 km.

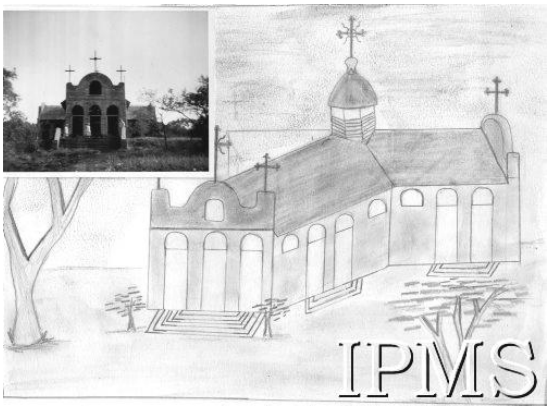

Rysunek kościoła w Masindi wykonany przez uczennicę Stanisławę Niebieszczańską, 1943-46,

I mieliśmy nasz kościół. Zbudowany w latach 1943-1945 wspólnym wysiłkiem, przeważnie kobiet i dzieci, ze składek mieszkańców osiedla, pod czujnym i fachowym okiem P. Franciszka Wolaka, rady doradczej oraz ks. Fr. Wińczowskiego. To był piękny murowany kościół, zbudowany u podnóża Góry Wandy (Nyabyeya), górujący nad całym osiedlem. Nasza duma i radość. Z białym orłem na szczycie, napisem - Polonia Semper Fidelis i tablicami umieszczonymi przy głównym wejściu:„Ten kościół ku czci Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej wybudowali polscy wygnańcy podczas tułaczki do wolnej Ojczyzny" - po polsku, angielsku, suahili i łacinie. Do kościoła tego przez następne parę lat, aż do roku 1948 zanosiliśmy (do Boga – dop. K.M.) *nasze modlitwy za życie i zdrowie naszych bliskich walczących na frontach i pomyślne zakończenie wojny. Zanosiliśmy tam też nasze małe troski i radości.*

Może mniej szczegółowy niż przedstawiony wyżej opis codzienności w jednym z obozów w Masindi, ale również przybliżający temat organizacji pomocy dla uchodźców w obozie w Ifundzie, w Tanganice (obecnie Tanzania), zawierały cytowane już wspomnienia urodzonej w 1930 roku Janiny Marchewki, które zamieściła w korespondencji w 1995 roku do kuzyna Zbigniewa Kubowa. Oto dalsze ich fragmenty, opisujące los rodziny Marchewków po opuszczeniu miejsca zesłania i tułaczej wędrówki, przyjazdu do Teheranu, pożegnania z ojcem: *Po trzech miesiącach pobytu w Teheranie zostaliśmy przeznaczeni na wyjazd do Afryki i tak przez Indie, Ahwaz, Karaczi, port Bomabaj a potem na okręt przez Ocean Indyjski*

dotarliśmy do Mombasy, dużego portu, pięknego miasta jak na owe czasy. To było pod okupacją angielską i tu już byliśmy jako „Polish refugees" pod dozorem angielskim. Z Mombasy odjechaliśmy do Dar es Salaam. Tu przeładowali nas na otwarte ciężarówki i dojechaliśmy do obozu Ifunda. Obóz nie był duży. Było nas 800 osób w czterech podobozach po 200 osób. Życie bardzo proste: stołówka, śniadanie o ósmej rano, obiad o dwunastej-pierwszej w południe, kolacja o szóstej. Jedzenie również bardzo proste, skromne: przeważnie fasola i wołowina z afrykańskich bawołów, które było bardzo twarde. Trzeba je było gotować czy smażyć około dwunastu godzin, żeby było możliwe do jedzenia. Ale jedna dobra rzecz się nam zdarzyła. Z chwilą unormowania warunków w obozach zaraz były otwarte polskie szkoły. Może tylko brak było odpowiednich nauczycieli, a przede wszystkim podręczników, bo jeden podręcznik przypadał na kilkoro dzieci, ale że wszyscy byliśmy w obozie, to nie było problemu, podawaliśmy sobie kolejno. Nauka odbywała się w przyśpieszonym tempie. W ciągu dwóch lat skończyłam czwartą, piatą i szóstą klasę szkoły powszechnej i zdałam do gimnazjum. Brat Kazik, młodszy ode mnie prawie o 6 lat, też już chodził do szkoły. Do gimnazjum trzeba było wyjechać do drugiego obozu odległego o dzień jazdy. Prócz otwartych lor nic innego do transportu nie było. I tak po dniu spiekoty na słońcu dotarliśmy do obozu o nazwie Kidugala.

Rok szkolny zaczęliśmy zaraz po rozpakowaniu i umieszczeniu nas w internacie, gdzie nas było 90 dziewcząt a 10 chłopców. Trzeba było się starać i pilnować nauki, bo też był brak podręczników, ale zapał do nauki to wszystko pokonał. Okna zasłaniało się kocami, aby wychowawczyni nie podejrzała, że siedzimy do późna przy latarkach. Do matek przyjeżdżałyśmy raz w roku, na duże wakacje. W Kidugali skończyłam trzy klasy gimnazjalne, a czwartą zaczęłam, ale już w Ifundzie, bo zaczęli już stopniowo likwidować obozy i przystąpiono do łączenia się rodzin. I tak w maju 1948 roku, po sześciu latach w Afryce, przyjechaliśmy do Southampton, gdzie ojciec i wielu innych ojców, mężów, braci, wujków czekało na swoje rodziny. Pierwszeństwo w łączeniu rodzin mieli ci, którzy mieli kogoś w wojsku. Po załatwieniu formalności każda rodzina została zabrana przez swoich sponsorów. Dwa lata było przewidziane na przystosowanie do pracy, a prace były w rolnictwie, tekstyliach i górnictwie, a ci co dostali się do Londynu – w hotelerstwie.

Na podstawie list pasażerów statków można dodać, że Marchewkowie przypłynęli do Southampton w Anglii 4 maja 1948 roku na pokładzie statku *Castle Carnarvon* poprzez porty Mombasa, Durban, Cape Town (Kapsztad) w Republice Południowej Afryki.

Tak jak wynika ze wspomnień Maria Marchewka, z d. Nietreba, spędziła z dziećmi Janiną i Kazimierzem w obozie w Afryce kilka lat. W międzyczasie dzieci podrosły, uczęszczały do szkół. W lutym 1940 roku ze Stupek na Sybir do Ozierek

Kościół w Masindi

Kobiety i dzieci z obozów w Afryce przed kościołem w Ifunda. Lekko w prawo za mężczyzną w białym ubraniu i na tej samej wysokości oczu (obok pani w kapeluszu) stoi Maria Marchewka, z d. Nietreba

I Komunia św. Kazimierza Marchewki w obozie w Afryce

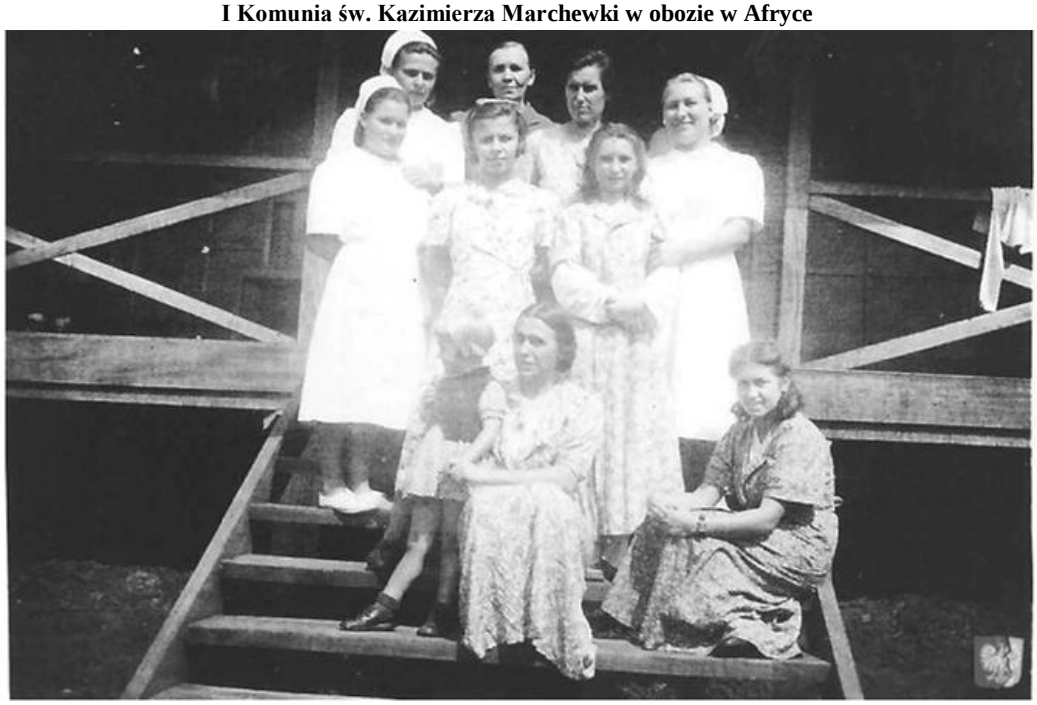

2 **Pacjentki i pielęgniarki w polskim szpitalu w osiedlu w Masindi, w Ugandzie**

Anna Niebieszczańska, żona Franciszka, w fotelu w środku, w szpitalu w Masindi

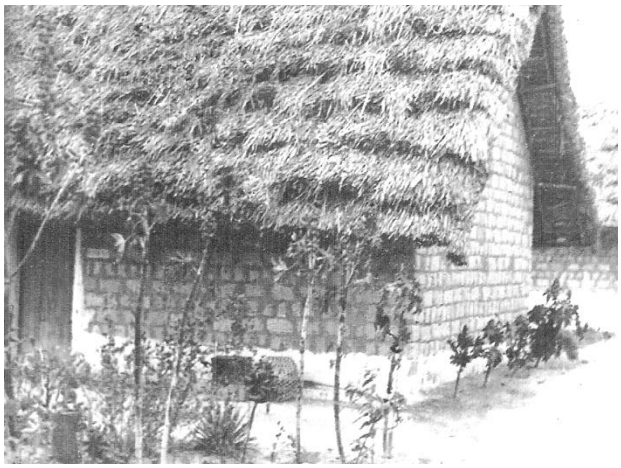

Chata w obozie w Afryce, po prawej Stanisława Niebieszczańska

W szkole w Afryce, któryś z chłopców to prawdopodobnie Kazimierz Marchewka

Maria Marchewka, z d. Nietreba, z dziećmi Janiną i Kazimierzem

Stanisława i Kazimierz Niebieszczańscy w Masindi

Grupa dziewcząt w obozie w Rongai, wśród nich Stanisława Niebieszczańska

Pierwsza z lewej Stanisława Niebieszczańska

Dzieci na występach w obozie w Ugandzie

Młodzież w obozowym teatrze, w drugim rzędzie jako pielęgniarka Stanisława Niebieszczańska

W Masindi lub Rongai, druga z lewej Stanisława Niebieszczańska

Stanisława Niebieszczańska w roli pielęgniarki w obozowym teatrzyku

W obozie w Rongai, z prawej Stanisława Niebieszczańska

Dwie Władki, koleżanki Stanisławy, w obozie w Rongai, 1.08.1947 r.

W obozie w Rongai, z prawej Stanisława Niebieszczańska

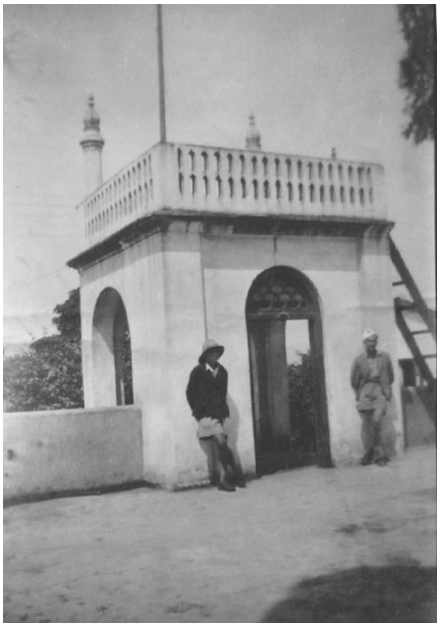

W jednym z miejsc pobytu uchodźców w Afryce, na drzewie po prawej Stanisława Niebieszczańska

W obozach dla uchodźców w Afryce, lata 40.XX w.

Wyżej i niżej pierwsza z lewej Stanisława Niebieszczańska

Wyżej i niżej druga z prawej Stanisława Niebieszczańska

Prawdopodobnie w obozie w Ifundzie, w środku i druga od lewej Stanisława Niebieszczańska.Ok.1948 r.

Żołnierze Armii Andersa w czasie wojny. Drugi od lewej w fartuchu kucharza stoi Franciszek Niebieszczański

Pierwszy z prawej Franciszek Niebieszczański

W Anglii, początek lat 50.XX w. Od lewej: Leonard, w fotelu siedzi Franciszek Niebieszczański z Kris, stoi Stanisława

Lata 50.XX w. Od prawej: Paweł Sowa, Janina Ratowska-Helman (siostra Józefa Ratowskiego), jej mąż Władysław Helman, Bronisława Sowa, córka Pawła oraz dzieci Janiny i Władysława Helmanów

Stefania, z d. Dąbrowska, i Jan Demczukowie w Anglii, koniec lat 50.XX w. lub początek 60.

Zdjęcie ślubne Kazimierza Marchewki, z prawej pan młody, żona Eryka, i rodzice Kazimierza - Maria z d. Nietreba, i Józef Marchewka, z lewej Janina Marchewka z mężem Stanisławem, najbardziej z lewej Szymon Marchewka, brat Józefa (prawdopodobnie to nie są dzieci Janiny Marchewki)

Lata 50.XX w. w Bradford. Marchewkowie - od lewej rodzeństwo: Kazimierz i Janina, Maria z Nietrebów Marchewka, z prawej: Józef Marchewka i mąż Janiny

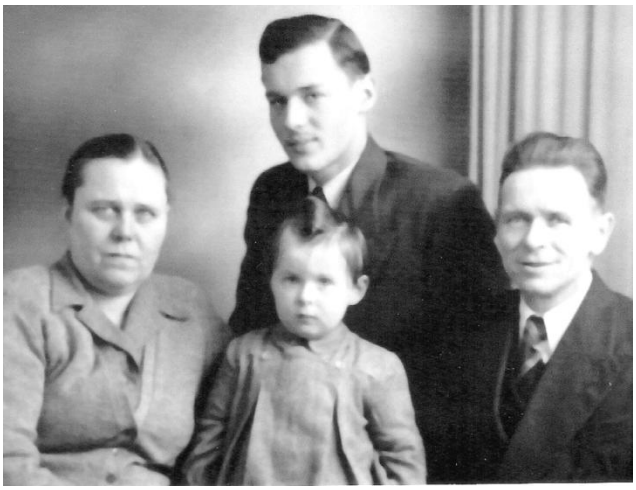

Lata 50. XX w. Marchewkowie. Maria z Nietrebów, w środku Kazimierz, z prawej Józef Marchewka, dziecko to Irena, córka Janiny

W Anglii. Władysław Rajfur z żoną w latach 40-50. i w latach 90. XX w.

były deportowane w wieku 9 i 4 lat. W 1948 roku gdy przypłynęli do Anglii, Janina miała 18 lat, a Kazimierz 13 lat. Po długim okresie rozłąki spotkali się Józefem Marchewką, mężem i ojcem, który zakończył służbę w wojsku. Po okresie adaptacji Marchewkowie zdecydowali się na stałe pozostać w Anglii. Józef Marchewka z córką, a po pewnym czasie również Maria, podjęli pracę, kupili dom i przystosowali się do życia w innym kraju. Po latach tułaczki znaleźli swoje miejsce do życia. To z pewnością nie był łatwy dla nich okres, ale poradzili sobie.

W 1995 roku Janina tak opisywała pierwsze lata pobytu w Anglii: *W Anglii byliśmy z ojcem w kilku obozach: w Newgay, Cornwalia, Daglingworth, Glostershire, później w Ulton Park Chestershire, skąd przyjechaliśmy w marcu 1949 roku do Bradford i tu pozostaliśmy. Ojciec wynajął dwa pokoje, aby tylko było gdzie mieszkać. Ja z ojcem zaczęliśmy pracę w fabryce tekstylnej, Kazik poszedł z powrotem do szkoły, a mama trochę gospodarzyła w domu, robiła zakupy. Pomimo że wszystko było na kartki, ale zawsze coś dostała bez kartek i nawet zupa na kościach po obozowym wyżywieniu smakowała dużo lepiej. Ale nie trwało to długo. Zarobki w tym czasie były niskie, letnie ubrania z Afryki nie nadawały się do noszenia, trzeba było się ubrać. Ubrania jak na owe czasy były też drogie i też na kartki. Warunki zmusiły nas, by mama również poszła do pracy. To poprawiło nasz budżet. W wynajętych pokojach mieszkaliśmy do jesieni. We wrześniu za zaoszczędzone w wojsku pieniądze, pożyczkę prywatną i z banku, ojciec kupił nieduży domek. Dom nie był drogi, bo kosztował 750 funtów. W tym czasie mężczyzna zarabiał 4,5-5 funtów na tydzień. To była dość duża cena. Oczyściliśmy go, wymyliśmy i po kilku dniach wprowadziliśmy się do swego domu. Żeby było trochę taniej utrzymać go, podnajęliśmy go czterem lokatorom. Zaczęliśmy stopniowo odnawiać pokoje. I takie były początki w Bradford. Każdy z obcokrajowców tak się urządzał, aby u siebie mieszkać.*

Tu trzeba zaznaczyć, że pobyty dzieci i niektórych dorosłych, zwłaszcza kobiet w obozach w Afryce w czasie wojny, to jaśniejsza strona życia Polaków w tym okresie.

Na froncie wschodnim i zachodnim trwały walki o wyzwolenie okupowanych przez Niemców terytoriów, żołnierze ginęli, byli ranni, szli do niewoli, przebywali w obozach jenieckich, w tak zwanych stalagach, na terenie III Rzeszy. Była też ogromna rzesza ludzi, którzy nie ze swej woli znaleźli się w Niemczech jako robotnicy przymusowi.

Jak opisano, na terenie Niemiec byli też czernielowianie, którzy w czasie wojny zostali wywiezieni na roboty przymusowe, najczęściej do gospodarstw rolnych, między innymi: Stanisław Gęślowski, Leon Mielnik, Franciszek Murmyło, Sławek Poprawski, a z Czołhańszczyzny: Ferdynand Matuszek, Józef Marchewka, Mikołaj Pulka, Bronisława Kubiszyn. Większość z nich bezpośrednio po zakończeniu

wojny lub po okresie pobytu w obozie przejściowym wróciła do Polski w nowych granicach, odszukując swoje rodziny w miejscu osiedlenia. Opisano wcześniej losy Stanisława Gęślowskiego, wspomniano o Józefie Marchewce, nadmieniono o pozostaniu w Niemczech Leona Mielnika i Ferdynanda Matuszka. Niewiele wiadomo o Sławomirze Poprawskim i innych robotnikach przymusowych. W przekazie rodziny jest mowa o niewoli, o pracy w czasie wojny pod Rostockiem, ktoś inny wspominał na podstawie rozmowy z Poprawskim o jego ucieczce i pobycie do końca wojny u sióstr zakonnych. Trudno po latach bez udziału zainteresowanych ustalić stan faktyczny.

W nawiązaniu do pobytu w czasie wojny w Niemczech na robotach Stanisława Gęślowskiego warto dodać jeszcze opisane przez niego w korespondencji dwukrotne odwiedziny u niemieckiej rodziny. Pierwszy raz pojechał tam w 1994 roku z synami Edwardem i Ludwikiem, prawie 50 lat po powrocie z robót w Niemczech. W grudniu 2016 roku Stanisław Gęślowski tak pisał o tej wizycie: *Wyjechaliśmy w sobotę rano i dotarliśmy na miejsce na około 18 godzinę. Wyszedłem z samochodu i poszedłem do mieszkania, było otwarte, nikogo nie było. Pokazałem synom, po jakich górach kosiłem trawę, jak ściągałem do drogi i kładłem na wóz. Wróciliśmy w kierunku domu. Gdy syn gospodarza, Erwin zobaczył, że idę po schodach do mieszkania wyszedł nam naprzeciwko. Zapytałem go po niemiecku: „Czy nazywa się Erwin Gruber?", odpowiedział, że tak. Zapytałem: „Czy wie, kim ja jestem?", odpowiedział, że nie wie. Zapytałem go jeszcze raz: „Czy to prawda, że jesteś Erwin Gruber?", odpowiedział: „doch". Przedstawiłem się, powiedziałem, że jestem Polakiem, pracowałem w gospodarstwie rodziców, wtedy mówili na mnie Stefan. On nie wierzył. Miałem ze sobą dokument Arbeitskarte i tam było napisane. Zaprosił nas do mieszkania. Dostaliśmy kolację, zaprosił na nocleg, rano ugościł śniadaniem. Wróciliśmy do domu. Od tego czasu korespondowaliśmy. Drugi raz pojechałem w maju 1996 roku, na Zielone Świątki, z żoną i synem Edwardem. Byliśmy tam cztery dni. Erwin był zadowolony, że go odwiedzam, pokazywał swoją rodzinę. Mówił: „Wiesz Stefan, ty jesteś nasza rodzina".*

W niniejszej monografii opisano fakt dostania się do niewoli niemieckiej wielu czernielowian w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku oraz w czasie powstania warszawskiego w 1944 r. Wtedy to miał miejsce, jak już opisano, desant na Czerniaków żołnierzy 1. AWP niosących pomoc powstańcom. 23 września 1944 r., gdy zabrakło amunicji, załamała się obrona na Czerniakowie i czernielowscy berlingowcy zostali pojmani do niewoli niemieckiej. Byli wśród nich: Antoni Darmograj, Andrzej Gęślowski, Józef Jacykowski, Michał Klepajczuk, Antoni Nietreba, Wiktor Mielnik i Jan Woźniak. W czasie operacji berlińskiej w kwietniu 1945 r. do niemieckiego niewoli trafił czernielowianin Józef Mielnik.

Oto jak potoczyły się ich losy:

Wiktor Mielnik został jeńcem krótko po przeprawieniu się z Pragi na Czerniaków. W napisanych na początku lat 80. *Wspomnieniach*, pełnych emocji, przedstawił szczegółowo historię swego pobytu w niemieckim Stalagu XB w Sandbostel, 9 km od Bremervörde, 43 km na północny wschód od Bremy, a potem w Westertimke, 30 kilometrów na północny wschód od Bremy. W ostatnim cytowanym fragmencie pisał o opuszczeniu Warszawy wraz z grupę jeńców: *Idziemy przez podwarszawskie okolice, mijamy wioski, a ponieważ jest to niedziela, to ludność patrzy na nas z litością, podają nam chleb, mimo że żandarmi nie pozwalają, ostrzegawczo strzelając w górę. Mimo to małe dzieci podbiegają do nas, podając lub rzucając chleb. Po kilku kilometrach załadowano nas na samochody i jedziemy, oddalając się od frontu. Jesteśmy zadowoleni, że już nie spadają na nas pociski, a że to niewola, to trudno. Będzie, co Bóg da. Po niedługim czasie wjeżdżamy do małego lagru w Szymanowie. Jest niedziela 24 września, jesteśmy w lagrze, upragniona woda i możemy się z wielką przyjemnością umyć. Na froncie nie było ku temu okazji, bo nie było wody, a cały czas przebywaliśmy w kurzu, dymie i brudzie. Tu w barakach mamy prycze, karmią nas zupą, chlebem, dostajemy niesłodzoną herbatę i możemy się wreszcie wyspać po tylu frontowych trudach i poniewierce. Nie mamy nakazanych żadnych zajęć. Każdego dnia przywożą nowych jeńców i rozbitków z Warszawy, a po kilku dniach Warszawa skapitulowała. Kto został żyw, szedł do niewoli, a Niemcy znowu zajęli całe miasto. Po dwóch miesiącach przelewu krwi i kompletnym zniszczeniu miasta okazało się, że ten heroiczny zryw był na darmo. Jest bardzo dużo rannych, szpitale są przepełnione. Zakonnicy z Niepokalanowa przywożą nam chleb i inne produkty żywnościowe, bo w obozie był już odczuwalny głód.*

Po kilku dniach wysyłają nas w pole do kopania kartofli. Tu spotykamy się z ludźmi z wiosek, którzy przynoszą nam chleba, a także łyżki i garnuszki, bo nasze naczynia zostały pod gruzami. 1 października prowadzą nas na stację, ładują do wagonów i wiozą nas cały dzień bez jedzenia. Wieczorem pociąg się zatrzymał na stacji Skierniewice. Tu wysiadamy i prowadzą nas do baraków o wiele większych niż te w Szymanowie. Tu spotykamy się z kolegami, którzy tu wcześniej przybyli i idziemy spać bez kolacji. Rano dają nam chleb i zupę i siedzimy za drutami, a co chwila przebywają nowe transporty z jeńcami i akowcami. Po paru dniach, 4 października rano odprowadzają nas na stację. Idziemy przez miasto, ludność cywilna chce podać nam chleba, a wachmani nie pozwalają zbliżyć się do nas. Ładujemy się do wagonów po 50 ludzi. Plombują drzwi do wagonów i po sformowaniu składu odjeżdżamy ze Skierniewic w stronę Niemiec. Lokomotywa gwiżdże, kłęby pary idą do góry, pociąg ruszył i odjeżdżamy na tułaczkę, żegnając się z ojczyzną. Jedziemy bez przerwy całą noc i dzień, bez otwierania drzwi, zostawiając za sobą rozległe tereny i tylko przez zakratowane okienko możemy spoglądać na świat, przyglądając się różnym wioskom

i miastom. Pociąg rzadko stawał na stacjach, a po dwóch dniach zatrzymał się na przedmieściach Berlina. Tu otworzyli drzwi wagonów, napuścili świeżego powietrza i dali nam wodnistej zupy grochowej i po parę sucharów. Wszyscy rzucili się na to jedzenie jak głodne wilki. Po krótkim postoju zamknięto wagony i pociąg ruszył dalej. Jedziemy całą noc, a około godziny 10 rano pociąg stanął na maleńkiej stacji i słyszymy syreny alarmu lotniczego. Od naszych wagonów odczepiono lokomotywę i odjechała ona daleko w pole, a my pozostaliśmy w zamkniętych wagonach na stacji na pastwę losu i tylko przez okienka wyglądamy w niebo, na którym pokazała się chmara samolotów. Po alarmie lokomotywa wróciła i pojechaliśmy dalej. Po paru godzinach wjeżdżamy do miasta Bremervörde i tu wysiadamy wreszcie z wagonów. Formują nas w czwórki i maszerujemy dalej szosą. Po drodze mijamy ogrody i sady, a mimo późnej jesieni drzewa uginają się pod ciężarem owoców. Po paru kilometrach marszu docieramy do obozu Sandbostel. Już z daleka zobaczyliśmy baraki z wieżami strażniczymi, jak drapacze chmur. Wchodzimy do tego miasta przez bramę z drutu kolczastego, robią nam rewizje, zabierają dokumenty, pieniądze, brzytwy. Po rewizji zaprowadzają do nieoświetlonego baraku. Bałagan w ciemnościach, ale dają nam chleb, konserwy, kartofle i po tym posiłku kładziemy się spać na podłogę jeden za drugim. Tak 9 października znaleźliśmy się w międzynarodowym obozie w Sandbostel Stalag X B.

Wielotysięczna rzesza ludzi w tym mieście–obozie była wypełniona różnymi narodowościami, z którymi wojowali Niemcy. Tu zaczęło się nasze codzienne życie obozowe: mycie, strzyżenie, robienie zdjęć, przydział numerów, no i codziennie rano i wieczorem apele, na których sprawdzano, czy ktoś nie uciekł. Apele trwały nieraz bardzo długo. Staliśmy godzinami w szeregach. W barakach ciasno, nie ma gdzie się kłaść spać. Każdy nerwowy, bo głodny. Dostawaliśmy kilogramowy chleb na sześć osób i listek margaryny, łyżkę marmolady, ½ litra zupy z brukwi. Wszystko to jednocześnie i nie było czym się najeść. Ciągle byliśmy poddenerwowani, chodziliśmy pod druty i myśleliśmy o jedzeniu, a tu w tym mrowisku ludzi zamkniętych w klatce z drutu kolczastego i strzeżonych przez wachmanów dniem i nocą, nic nie można było znaleźć do jedzenia.

Prawie każdego dnia przybywały nadal nowe grupy jeńców i więźniów z powstania, w tym kobiety i dzieci małoletnie bez rodziców. Baraki zapełniały się coraz to nowymi lokatorami. Wszyscy w zamknięciu, wygłodniali oddają pierścionki, zegarki i inne posiadane jeszcze wartościowe rzeczy za menażkę zupy. Korzystają na tym Rosjanie, którzy są zatrudnieni u okolicznych bauerów i podchodzą z jedzeniem pod obóz. Ten handel przez druty kolczaste idzie pełną parą i dotyczy wszystkich narodowości.

Nadeszła zima, ludzie wycieńczeni, wygłodniali, w barakach zimno i tak całymi dniami i nocami człowiek niezadowolony ze swojej doli i niewoli. Z wielką radością

witamy paczki dostarczane przez Czerwony Krzyż, a wysyłane z różnych krajów i taka paczka wystarcza nam na parę dni jedzenia, a później niestety znowu głodówka i oczekiwanie kiedy będą następne paczki. Z nadejściem wiosny zaczynają nas wywozić na roboty w różne strony kraju. Rozdzielają się bracia, koledzy i znajomi, żegnając się ze łzami w oczach, może już na zawsze. Jedni zapisują się na ochotnika, licząc, że znajdą lepsze życie w nowym miejscu, a inni się boją, że może być gorzej i chcą pozostać w obozie. Ci, co zostali w obozie, zatrudniani są do prac porządkowych, jak: opróżnianie i wywożenie zawartości latryn, wożenie węgla, kartofli, brukwi i innych produktów żywnościowych do kuchni obozowej. Przy takich pracach mimo rewizji, można było czasami przemycić jakąś żywność na swoje potrzeby i to trzeba było gotować całymi nocami i w ten sposób można było trochę zaspokoić swój głód. Z biegiem czasu nasze życie unormowało się i utarło. Trochę mieliśmy pracy w obozie, a resztę czasu zajmowała nam ważna czynność podziału prowiantu: bochenek chleba należało podzielić na sześć równych porcji wielkości pudełka zapałek i jeszcze żeby różnica wagi nie była większa niż ½ grama. Tak samo inne produkty, np. zupa, musiała być rozlana łyżką na równe części, a kartofle ułożone w szeregu na stole według wielkości. Tak więc więcej czasu zajmował sprawiedliwy podział żywności niż samo jedzenie (...)

Przeszła jesień, nastała zima i w tym czasie zaczęły przychodzić paczki z pomocą amerykańską, a w tych paczkach papierosy, konserwy, czekolada i inne produkty, a co ważne paczki te przychodzą dosyć często i wyraźnie polepszają nasz byt. Przed świętami Bożego Narodzenia dostajemy mundury, buty, bieliznę, właściwie całe umundurowanie, oraz żywność, jak: boczek, słoninę, ryż, kaszę, figi, smalec. Tak więc na świąteczne dni nikt nie był głodny i niezadowolony. Jednak w ten świąteczny wieczór każdy sięgał myślą do stron ojczystych, gdzie została rodzina i każdy rozpamiętywał, jak ten wieczór wigilijny przebiegał w jego domu, gdy cała rodzina zasiadała do stołu, łamiąc się opłatkiem, a dziś obchodzimy tę uroczystość rozłączeni, nic nie wiedząc o swoich bliskich. Niestety, my te święta musimy spędzać daleko na obczyźnie, w obozie za drutami w zimnych i mokrych barakach, składając życzenia towarzyszom niedoli. Myślimy o naszych rodzinach i o tym, że oni też ten dzień spędzają w smutku i ze łzami w oczach. Po naszej wigilii poszliśmy na pasterkę odprawianą przez polskiego księdza w kaplicy urządzonej w jednym z baraków. Była udzielana komunia św., a ksiądz złożył nam życzenia wesołych świąt, przedstawił nam nasze położenie i użył takiego porównania, że Pan Jezus też urodził się w nędzy i ubóstwie może gorszej od naszej, a później dźwigał swój krzyż i my też mamy swój krzyż do dźwigania. Szopka betlejemska podobna była do naszych baraków, obdartych, zimnych, przeszytych wiatrem, a każdemu z nas płynęły łzy z oczu, a z ust cicha kolęda, a myśli nasze biegły do stron ojczystych, gdzie nasze rodziny

obchodziły to szczególne święto bez nas. Po powrocie do swoich baraków dalej śpiewaliśmy kolędy i świętowaliśmy jak jedna wielka rodzina. Przed Nowym Rokiem dostaliśmy znowu paczki i byliśmy bardzo zadowoleni, a po nasyceniu głodu, trochę zapomnieliśmy o swojej ciężkiej doli. Tak niewiele potrzeba było nam do szczęścia.

Tak zakończył się rok 1944, pełen nieszczęść, niepowodzeń i smutku. Gdy wybiła godzina 12, uścisnęliśmy sobie dłonie, składając życzenia noworoczne, wszyscy jak jedna wielka rodzina, w jednych warunkach życiowych i pocieszając się wzajemnie tym, że na pewno rok 1945 będzie szczęśliwy i przyniesie nam wyzwolenie z tych drutów kolczastych.

Czas biegnie szybko i mimo ciężkich warunków rok 1944 jest już za nami. Wszyscy w skrytości myśleli, że nowy rok przyniesie jakiś przełom i nastąpi koniec tej już 5-letniej wojny. Niestety, zawiedliśmy się wszyscy. Od nowego roku wszystko idzie tym samym rytmem, nic się nie zmieniło. Ja kilka dni w tygodniu chodzę do pracy, a w dni wolne leżymy na pryczach i odpoczywamy, potem wstajemy i zaczyna się dokładne dzielenie prowiantu, potem jedzenie, apel i spanie do godziny 7 rano. W dniach, w których idę do pracy, czasem udaje się przemycić kilka kartofli czy brukwi albo brykietów i wtedy mamy zajęcie przy gotowaniu, czas biegnie szybciej i łatwiej oszukać głód. Tak biegnie dzień po dniu prawie bez zmian. Dzięki paczkom z Czerwonego Krzyża, sprzymierzeńcy wspomagają nas wszystkim co tylko potrzebne do życia. Prawie każdego dnia spodziewamy się jakiejś paczki. Gdy coś dostaniemy, to panuje ogólna radość, podniecenie i wesołe rozmowy. Tak leci dzień po dniu, miesiąc po miesiącu i tak człowiek się wciągnął w ten tryb życia, że staliśmy się jakby jedną wielką rodziną.

Czas leci, ale wojna nadal trwa. Od czasu do czasu dochodzą do nas wieści z frontu o niepowodzeniach Niemców. Przyjmujemy te wiadomości z wielkim zadowoleniem. Również Niemcy często czytają nam swoje oficjalne komunikaty wojenne, które potwierdzają wcześniej uzyskane przez nas informacje. Niemcy nie mogą już tego ukryć, tym bardziej że sami obserwujemy coraz większą ilość przelotów formacji samolotów alianckich na naszymi głowami, a z każdym dniem zbliża się front, bo do naszego obozu przysyłani są nowi jeńcy ze wschodnich obozów ewakuowanych z linii frontu. Spodziewamy się, że wkrótce i nasz obóz zostanie ewakuowany na zachód. Przybliża się wiosna. Przenoszą nas do lepszych, cieplejszych baraków niż do tej pory zajmowaliśmy, jednak okazało się, że są one zapluskwione i w nocy te pluskwy nie dają spać. W poprzednich barakach było zimno, a tu pluskwy. Zawsze coś przeszkadza. Plusem nowego miejsca jest to, że bramy do naszej części obozu są otwarte, a w starej części byliśmy pod kluczem, bo mieliśmy status „polischbanditen" (powstańcy warszawscy). Teraz możemy chodzić po całym obozie i uczestniczyć w wielkim handlu wymiennym z różnymi narodowościami: Francuzi, Włosi, Serbowie i inni. Walutą są papierosy i kawa. W takich warunkach

doczekaliśmy Świąt Wielkanocnych. Przed świętami dotarły do nas paczki od Amerykanów i z zadowoleniem spędzamy święta. W obozie mamy kaplicę i jest dużo księży francuskich. Co dzień odprawiają po kilka nabożeństw, a także w Wielkim Poście co piątku drogę krzyżową, a w Niedzielę Palmową była procesja dookoła kaplicy, a po drodze zasłanej gałązkami świerku stąpał ksiądz. Było prawie tak, jak w kościele katolickim: był Boży Grób i adoracja przy Grobie Pańskim w dzień i w nocy. Potem spowiedź wielkanocna, święcenie wody, potraw: Braliśmy na pokrywkę kawałeczek chleba, mięsa z konserwy i ten skromny dar nieśliśmy święcić, ażeby spełnić tradycję ojców naszych, mimo że byliśmy tu w niewoli. Rezurekcja się odprawiła. Śpiewał chór. Kaplica wypełniona była po brzegi jeńcami różnych narodowości, Polakami, Francuzami i innymi. Polacy modlili się na wyczucie po swojemu, bo ceremoniał odprawiał ksiądz po francusku i nie wszyscy go rozumieli, ale duch i cel był wspólny. Dni świąteczne były wolne od pracy. Było co jeść, bo były paczki, no i papierosy też były.

Wiosna rozkwitała w całej pełni. Każdego dnia dochodzą nas nowe wiadomości z frontu. Widać jak linia frontu zbliża się do nas i zmienia się na mapie. Z zadowoleniem oczekujemy rychłego wyzwolenia i wydostania się z obozowych drutów. Dniem i nocą słyszymy setki samolotów przelatujących nad naszym obozem. Z każdym dniem zbliża się koniec panowania Niemców, ale widzimy też, że zmniejszają się nasze racje żywnościowe. Teraz dostajemy jeden chleb na dziesięciu, a po jakimś czasie w ogóle nie dają chleba, tylko kartofle i zupę z brukwi, więc tym bardziej czujemy się głodni i osłabieni tym wyżywieniem przez całą zimę. Każdego dnia przywożą do naszego obozu, ludzi z innych obozów koncentracyjnych. Wyglądają oni strasznie. Zgroza patrzeć na te ludzkie cienie, snują się bez celu lub leżą nieprzytomni i bezwładni jak trupy.

Późnym wieczorem 14 kwietnia oznajmili nam, że nastąpi ewakuacja naszego batalionu. Całą noc przygotowywaliśmy się do wymarszu. Jest niedziela 15 kwietnia rano. Zbiórka na placu wszystkich zdolnych do marszu. Chorzy zostają w obozie. Ewakuowani zostali Amerykanie, Francuzi i nasz polski batalion. W obozie pozostało około 40 tysięcy chorych i niezdolnych do marszu więźniów różnych narodowości. Po wyjściu z baraków zrobiono nam rewizję i odbierano koce, menażki i inne przedmioty, a dano nam suchy prowiant na drogę: dwie porcje chleba i kawałek końskiej kiełbasy. Później podeszliśmy pod magazyn Czerwonego Krzyża i tam dostaliśmy paczki amerykańskie, w których było m.in. po 100 papierosów. Bardzo zadowoleni opuszczamy obóz i wychodzimy w drogę, mijając pamiętną bramę, w której wielokrotnie robiono nam rewizję, jak wracaliśmy do obozu z pracy. Idziemy polnymi drogami przez wioski, lasy i wszędzie spotykamy dużo Polaków wywiezionych w czasie wojny na roboty. Nad nami bez ustanku krążą samoloty, słychać wybuchy bomb i ziemia się trzęsie. Widać wiele pożarów i zniszczeń,

a ludność niemiecka chodzi smutna ze spuszczoną głową, gdyż zdają sobie sprawę, że klęska jest już blisko i nie wiadomo, co się z nimi stanie, gdy wkroczy zwycięska armia. Po całym dniu marszu i odpoczynku wchodzimy do obozu Westertimke. Jest to obóz mniejszy od tego w Sandbostel, ale jest położony w ładniejszej okolicy. Dookoła lasy, wioski i piękne krajobrazy, wszystko w wiosennej zieleni. Wchodzimy przez bramę główną i widzimy wozy ze spakowanym dobytkiem dowództwa obozu przygotowane do ucieczki. Nas prowadzą do baraków. Wchodzimy do środka i zastajemy wielki bałagan pozostały po wyjściu stąd jeńców angielskich. Widać jednak, że były tu lepsze warunki do życia, prawie jak nie w niewoli. Widać to po pozostawionych łóżkach, siennikach, stołach i naczyniach z resztkami jedzenia. Chyba byli tu internowani oficerowie angielscy wysokich szarż. Zabraliśmy się do sprzątania baraków. Ustawiamy łóżka, sprzątamy i wynosimy śmieci. Tu już nie ma prycz, więc po sprzątaniu kładziemy się na łóżkach z miękkimi materacami. W nowym obozie nie ma porannego apelu, nie ma obowiązkowej pracy i można spać ile się chce. Jest tylko jeden apel wieczorny. Obsługa obozu patrzy na wszystko przez palce i widać wyraźnie, że zbliża się już kres ich panowania, a w każdej chwili może paść rozkaz do opuszczenia obozu. Mimo że siedzimy za drutami w obozie, to dociera do nas atmosfera bliskiego frontu. Słychać strzały, wybuchy bomb i w każdej chwili może nastąpić oswobodzenie obozu. Czekamy na ten moment w napięciu, aż jednego dnia front zbliża się i zaczynają padać dookoła obozu pociski. Obozowe dowództwo ucieka, pozostawiając kilku wachmanów do pilnowania nas i przekazania obozu władzom amerykańskim. Po wachmanach też widać, że chcą już się poddać i iść do niewoli, więc właściwie razem oczekujemy wyzwolenia. Jednego wieczoru samolot zrzucił bombę na nasz obóz. Jeden barak został zburzony i zginęli ludzie, a w naszym baraku odłamki przebiły ścianę i raniły śmiertelnie jednego kolegę. Reszta nocy przeszła u nas spokojnie, tylko baraki się trzęsły od bliskich wybuchów bomb i pocisków armatnich, a dookoła widać łuny pożarów. Kopiemy więc schrony, ażeby można było gdzieś się schronić od bomb. Nastąpiło kilka dni trwożnego oczekiwania.
27 kwietnia wojska niemieckie się wycofują. Zostawili nas w spokoju, a zaraz rano pojawiły się angielskie czołgi. Rozbroili obsługę obozu i wkroczyli witani przez nas wiwatami i chóralnymi okrzykami. Ten dzień 27 kwietnia był dla nas tysięcy niewolników najpiękniejszym, długo oczekiwanym dniem wybawienia z niewoli. Wielka radość spłynęła w serca nasze. Około godz. 9 na obozowy maszt wciągnęliśmy polską flagę, a inne narodowości też wciągnęły swoje flagi. Było bardzo podniośle, że po tylu latach niewoli, tu na obcej ziemi, ziemi wroga, który nas tyle prześladował, my możemy wreszcie podnieść swój symbol zwycięstwa. Wielka radość i euforia powstała wśród jeńców wszystkich uwolnionych narodowości. Wreszcie wysiłkiem aliantów po tylu latach walki potężny wróg i ciemiężca wielu

narodowości leży pokonany w gruzach i mimo rozpaczliwego oporu musi poddać się zwycięzcom, a dzielny niemiecki żołnierz musi iść do niewoli.

27 kwietnia symbolicznie pękły druty obozu i cała ta masa ludzka rozeszła się po okolicy w różnych kierunkach. Ludność niemiecka, wystraszona wojną i ostatnimi wydarzeniami, kryje się po schronach i piwnicach, pozostawiając cały dobytek na pastwę losu. Po niedługim czasie nasi chłopcy wracają do obozu na rowerach, a niektórzy nawet na motocyklach i przywożą wiele produktów żywnościowych, kiełbasy, słoninę, jaja, a nawet świnie i cielaki. Mamy wreszcie jedzenia do woli, a kuchnia pracuje pełną parą. Skończyła się wreszcie brukiew i kartofle w mundurkach. Anglicy też przywieźli prowiant: chleb biały, konserwy, makaron. Przyjechała też kantyna i są wreszcie papierosy bez ograniczeń. Bezpłatnie dają torebki, w których są artykuły i towary pierwszej potrzeby, jak: mydełka, przybory do golenia, igły, nici, a także czekolada, papierosy i wszystko, co potrzebne do osobistego użytku. Zaczęło się wreszcie życie, takie jakie może być tylko na wolności. Gdzie kto chce, to tam idzie. Je ile chce i co chce. Mięsa jest do woli, aż się poniewiera, a jeszcze tak niedawno człowiek szukał kartofla, a brukiew zajadał z apetytem, bo to było dobre, tylko było za mało, a dziś mięso czasem pod nogami się poniewiera. Jak szybko zmieniła się sytuacja. Dotychczas człowiek marzył, żeby najeść się choć raz do syta i na stole jeszcze zostało. No wreszcie Bóg nam dał dożyć tych szczęśliwych dni, o których marzyliśmy przez wszystkie lata niewoli.

Nasi chłopcy wyjeżdżając dalej poza obóz, spotykają po okolicznych wioskach wielu rodaków, którzy byli wywiezieni na roboty przymusowe i zatrudnieni byli u okolicznych bauerów. Spotykaliśmy nawet jeńców z 1939 roku. Po drogach przemieszcza się dużo wojska, samochody, działa i różne maszyny. Wszystkie jednostki są zmotoryzowane. Widujemy dużo żołnierzy Murzynów z bronią. Są sympatyczni i często się do nas uśmiechają.

Nasze święto 3 Maja uczciliśmy w obozie. Mszę św. odprawił ksiądz francuski na placu pod gołym niebem, a później odbyła się nasza defilada. Także w każdą niedzielę i święta odbywały się w naszym obozie msze św. Tak nam upływał ten czas, a wokoło trwała piękna wiosenna zieleń. Zakwitły ogrody i można się przechadzać w zieleni i kwiatach, wygrzewając się w majowym słońcu, wolni od wszelkich zajęć i obowiązków.

W międzyczasie rozpoczęła się ewakuacja naszego obozu. W pierwszej kolejności opuszczają obóz jeńcy amerykańscy. Odlatują oni samolotami do swego kraju. Następnie pociągami wyjeżdżają Francuzi i Anglicy. Wszystkie narody cieszą się, że wracają do swych krajów, tylko my zostaliśmy w obozie. Na zwolnione miejsce w obozie przypędzają teraz jeńców niemieckich: szeregowych, oficerów, nawet generałów. Tacy dzielni wojacy, ale muszą iść za druty, a nam dali karabiny i mamy ich pilnować. Po pewnym czasie nas wywożą do innego obozu, a właściwie nie jest to

obóz, ale letnie koszary marynarki. Nie ma tu drutów kolczastych, są za to boiska do gry, baseny, alejki z ozdobnymi drzewami. Będziemy mieszkać w małych domkach. Zabieramy do nich swoje łóżka z materacami i mamy pełne wygody. Jest też stołówka i kaplica, a niedaleko jest lotnisko. Obóz zaczyna się zapełniać naszymi rodakami, niedługo jest już około dwa tysiące Polaków: rodziny z małymi dziećmi, starcy, młodzież. Jest też dwóch księży. Wszyscy niby czekają na wyjazd do kraju. Na razie dobrze jest nam tutaj. Dobrze nas karmią, nic nie każą robić, szukamy sobie rozrywek według upodobań. Powstała np. orkiestra i objawiła się duża liczba muzykantów. Instrumenty są bardzo różnorodne i granie idzie na całego. Codziennie są potańcówki, a nawet zdarzają się wesela. Ludzie żenią się między sobą, księża głoszą zapowiedzi i dają śluby, nie pytając o metryki. Dla ludzi samotnych to raj na ziemi, a dla tych mających rodziny powód do troski i smutku o rodzinę, gdyż nie mamy z nią żadnego kontaktu. Życie w obozie biegnie w miarę normalnie. Działa szkoła, dzieci się uczą, chodzą do pierwszej komunii, jest prawie jak Polsce. Nachodzi nas refleksja, że mimo końca wojny nadal trwa nasza tułaczka, a nasz naród zaznał tyle cierpienia i bólu, ale nie ustawał w pracy i ślady naszej aktywności są widoczne dookoła.

Lato 1945 roku w pełni. Opalamy się na słońcu, kąpiemy się w basenie, zaczęło się nowe życie. Skończyło się samodzielne gotowanie i organizowanie wyżywienia. Skończyły się też „szabry". Tak schodzi dzień po dniu. Lato rozkwitło się w całej pełni, a my nadal czekamy, nie bardzo wiedząc na co. Nadal nie docierają do nas wieści od naszych rodzin. Słuchamy radia i omawiamy różne wiadomości dochodzące z różnych stron świata. Jest to czas konferencji w San Francisco. Słyszymy o nowych porządkach światowych i powstaniu nowych państw. Niektóre te wiadomości drażnią nam serca i powodują nerwowość. Skończyła się niby niewola niemiecka, druty i wachmani, a zaczęła się niewola angielska. Odczuwamy wielki ból i wściekłość, że nas tu trzymają. Wszyscy chcemy już wracać do domu. Cały czas wyjeżdżają do swoich krajów ludzie różnych narodowości: Rosjanie jadą samochodami z czerwonymi sztandarami i pieśnią na ustach. Jadą jako zwycięzcy, pozdrawiani przez swych rodaków kwiatami i wiwatami. Jest to największa zapłata, jaka może być dla żołnierza wracającego po skończonej wojnie. Widać też żołnierzy niemieckich maszerujących poboczami drogi ze spuszczoną głową. Nikt się nimi nie interesuje, a w ich oczach można odczytać wielką rozpacz.

Każdego dnia słuchamy nowych wiadomości z radia, może co będzie pocieszającego dla nas. Niestety, nadal nie zapowiadają się dla nas jakieś zmiany. Czas leci szybko. Lato w całej pełni. Dojrzewają już zboża i wreszcie pokazały się na zżętych polach kopy żyta. Znowu z bólem serca patrzymy na te widoki, a myśli nasze zwrócone są w ojczyste strony, tam gdzie zostali nasi najbliżsi: Spokojna wioska, szum rzeki płynącej przez ogrody i ten nasz kościół i lud Boży modlący się do Matki

Najświętszej wznoszącej ręce ku niebu i dźwięk dzwonów wołających na Anioł Pański…

Wreszcie 21 sierpnia kilku nas zdecydowało się wyjechać na własną rękę. Żegnamy się z kolegami, z którymi tyle razem przeżyliśmy w niewoli i w radosne dni wyzwolenia. Było nas około 20, w większości warszawiacy. Niektórzy znają język niemiecki. Mamy mapy. Wyruszamy w kierunku granicy czeskiej. Na szosie łapiemy samochód i jedziemy do Bremen. Po południu wsiadamy do pociągu i jedziemy do Kasel. W pociągu wielkie przepełnienie, jedziemy na stojąco całą noc. Rano jesteśmy w Kasel i tu czekamy do godziny drugiej po południu. Miasto jest duże, ale strasznie zbite. Wsiadamy do pociągu i znowu ścisk jest niesamowity. Ludzie z całej Europy podróżują na dachu, na schodkach, w przejściach, gdzie tylko można się wcisnąć. Również na dworcach kolejowych jest niesamowita międzynarodowa ciżba ludzka.

Zacytowano tak obszerny fragment wspomnień Wiktora Mielnika, by pokazać w jakich warunkach żyli czernielowianie w obozach w czasie wojny, jakie uczucia towrzyszyły im w niewoli każdego dnia, jak wyglądały ich powroty po wojnie do rodziny, do innego domu, bo stary rodzinny dom został „po tamtej stronie granicy".

I jeszcze zdanie o niewoli Wiktora Mielnika na podstawie danych PCK zarejestrowanych na www.straty.pl: urodzony 9.02.1902 r., z zawodu rolnik, stopień wojskowy podoficer, miał numer jeniecki 221 232, przebywał w Stalagu X B.

O wspominanych pozostałych „czernielowskich" jeńcach wojennych po powstaniu warszawskim wiedza jest bardzo znikoma. O Michale Klepajczuku i Antonim Nietrebie z przekazu rodzinnego wiadomo, że znaleźli się w tym samym obozie w Hamburgu lub okolicy. Na podstawie danych Polskiego Czerwonego Krzyża zaewidencjonowanych na www.straty.pl udało się ustalić jedynie,w jakim obozie jenieckim przebywał Michał Klepajczuk. Z podanym zawodem szewc zarejestrowano go jako jeńca z numerem 220 944 w Stalagu X B. Był to ten sam Stalag Sandbostel, do którego po powstaniu warszawskim trafił Wiktor Mielnik. Według Wandy Zdziarskiej, córki, Michał Klepajczuk jako jeniec pracował przy odgruzowywaniu Hamburga. Prawdopodobnie więc z obozu Sandbostel został przeniesiony do obozu w samym Hamburgu lub pod Hamburgiem. Zapewne nie były to jedyne prace, które wykonywał w czasie siedmiomiesięcznego pobytu w obozie, od października 1944 roku do kwietnia 1945 roku. Obóz jeniecki został wyzwolony w kwietniu przez wojska amerykańskie. Prawdopodobnie po okresie rekonwalescencji w obozie wojskowym trafił do miejsca zgrupowania Polaków oczekujących na powrót do kraju lub starających się o wyjazd zagranicę. Prawdopodobnie był to obóz przejściowy w Lubece, bo stąd, z terytorium Lubeka-Tryo Michał Klepajczuk przybył 29 grudnia 1945 r. do Polski i zarejestrował się w Punkcie Przyjęcia Gdynia Port. Również ta informacja na podstawie listy okrętowej statku „Togo" została odnotowana w Archiwum Państwowym w Gdyni.

Z Gdyni rozpoczął poszukiwania rodziny. Najpierw 3 stycznia 1946 r. był w Punkcie Etapowym w Łodzi, następnie 9 stycznia zgłosił się do Oddziału PCK w Chojnie. Dopiero 14 stycznia na posterunku MO w Gryfinie został poinformowany, że bliskich należy szukać w Lisim Polu.

Rodzina Michała Klepajczuka: żona Anna, z d. Nietreba, wraz synem Zbigniewem, siostrą Antoniną Nietrebą i rodzice Michała przyjechali z Czernielowa do Chobrynia–Lisiego Pola trzecim transportem 8 września 1945 r. I tu się spotkali.

Antoni Nietreba według przekazu rodziny jako jeniec wojenny pracował w Hamburgu u niemieckiego przedsiębiorcy. Niestety, nie ma o nim tak szczegółowych informacji jak o Michale Klepajczuku. Na www.straty.pl przy nazwisku Netreba Antoni, urodzony 3.09.1921 r., podano jedynie, że przebywał w Niemczech w Hesji, w miejscowości Alsfeld. Ze względu na niezgodność daty urodzenia można sądzić, że informacja o miejscu pobytu nie dotyczy Antoniego Nietreby z Czernielowa. Po wyzwoleniu obozu, prawdopodobnie tak jak Michał Klepajczuk i wielu innych Polaków przebywał przez jakiś czas w obozie przejściowym, a gdy nastąpiły możliwości wyjazdu do Polski i nie mógł już po zmianie granic wrócić do rodzinnej wsi, przyjechał do Marianowa-Baniewic, gdzie po przesiedleniu z Czernielowa we wrześniu 1945 roku z rodziną zamieszkała jego żona Józefa z córeczką.

W rejestrze strat osobowych i osób represjonowanych na podstawie danych PCK odnotowano, że urodzony w Czerniejowie Mazowieckim 18.01.1909 r. Antoni Darmohraj, podoficer, w innym miejscu kapral, z zawodu rolnik, był jeńcem Stalagu X - B, nr jeńca 221 318. Od 11.11.1944 r. do 05.12.1944 r. przebywał w szpitalu rezerwowym Sandbostel. Natomiast w rodzinie Antoniego Darmograja przetrwała pamięć o jego pobycie w obozie w Dachau. Po powstaniu warszawskim do Konzentrationslager Dachau w pobliżu Monachium trafił tranport około 3000 Polaków, wśród nich była grupa powstańców przebranych w cywilne ubrania, aby uniknąć pewnej śmierci.

Antoni Darmograj w mundurze angielskim, 1945 r.

Można przypuszczać, że Antoni Darmograj jako jeniec po powstaniu warszawskim nie znalazł się od razu w Dachau, ale po kilku miesiącach pobytu w obozie Sandbostel, gdy rozpoczęły się ewakuacje więźniów na zachód w tak zwanych marszach śmierci został przeniesiony do tego właśnie obozu lub jego filii.

W dniu 29 kwietnia 1945 r. wojska amerykańskie oswobodziły główny obóz Dachau. W tym czasie w barakach i na terenie obozu przebywało jeszcze ponad 32 000 więźniów. W ostatnich dniach przed wyzwoleniem więźniowie różnych

narodowości utworzyli wspólnotę obozową, która miała im pomóc przeżyć aż do przybycia wojsk alianckich. Ogólnie znane są fakty uśmiercenia tuż przed wyzwoleniem tysięcy więźniów i w odwecie masowej egzekucji dokonanej w tym obozie na strażnikach SS i członkach Waffen-SS przez amerykańskich żołnierzy. Później Międzynarodowy Komitet Więźniów pełnił funkcję samorządu wyzwolonych więźniów, którym amerykańskie jednostki zapewniły opiekę medyczną i którzy opuścili obóz w Dachau w następnych tygodniach i miesiącach.

Taką rekonwalescencję pod opieką zorganizowaną przez Amerykanów po kilkumiesięcznym pobycie w hitlerowskim obozie przechodził też Antoni Darmograj. Zachowały się zdjęcia z jego pobytu w Niemczech po zakończeniu wojny. Wskazują one na przebywanie Antoniego Darmograja w Bomlitz, w powiecie Heidekreis w Dolnej Saksonii. Z tego okresu pochodzi też pamiątkowy słowniczek języka angielskiego pomagający obozowiczom w komunikowaniu się z otoczeniem.

Kilka zdań o wojennym losie Józefa Jacykowskiego można podać na podstawie wywiadu z jego synem Piotrem Jacykowskim zamieszczonym w nr 1 z marca 2017 r. „Sulęcińskiego Magazynu Samorządowego". Wcześniej na podstawie biogramów powstańczych napisano, że Józef Jacykowski walczył w powstaniu warszawskim na Górnym Czerniakowie i po upadku powstania dostał się do niewoli niemieckiej. Miał numer jeniecki 220 948. Piotr Jacykowski, wspominając pochodzących z Czernielowa Mazowieckiego i Czołhańszczyzny swoich rodziców Józefa i Franciszkę, wyjaśnił, że: *Józef Jacykowski jako młody chłopak w czasie II wojny światowej uczestniczył w walkach powstańczych. Początkowo działał w szeregach Wojska Polskiego, jednak w sierpniu 1944 roku zdezerterował, by przyłączyć się do powstania warszawskiego. Po upadku powstania został wywieziony do obozu jenieckiego w Innsbrucku. Po zakończeniu wojny mógł wybrać życie w Austrii, emigrację na terenie Wielkiej Brytanii lub powrót do kraju– zdecydował wrócić. Będąc już w Polsce, dowiedział się, że całą rodzinę przesiedlono na ziemie odzyskane i po wielu tygodniach odnalazł najbliższych w Trzebowie. Tu po trzech latach ożenił się z moją mamą Franciszką. Mogę śmiało powiedzieć, że mimo trudnego losu i konieczności opuszczenia rodzinnych stron, które zawsze gościły w sercu moich rodziców, ziemia sulęcińska była ich miejscem na ziemi.*

Można dodać, że po wojnie Józef Jacykowski z rodziną mieszkał wTrzebowie i tu zmarł w 1997 roku.

Kilka informacji o jego pobycie w obozach uzyskanych z danych Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, zawiera rejestr osób represjonowanych na www.straty.pl.

Józef Jacykowski, syn Michała, urodził się 22.06.1922 r. w Czernielowie. Jako żołnierz 9. pp (I.R.- Infanterie Regiment) był uczestnikiem powstania warszawskiego. Do niewoli został wzięty 21.09.1944 r.

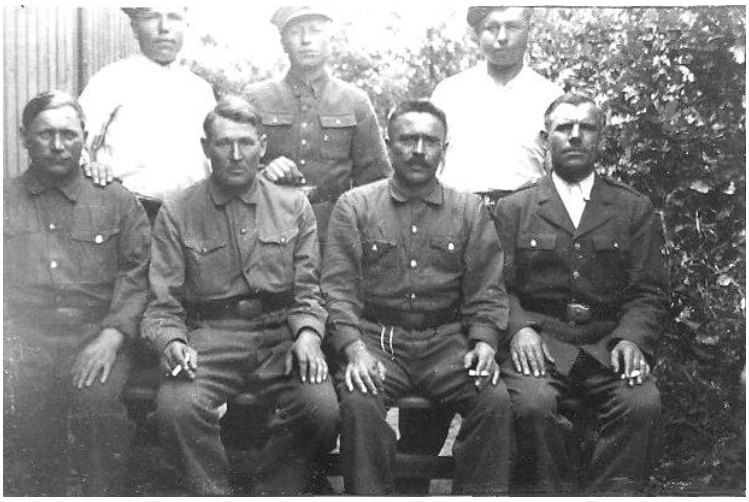

W Niemczech, w obozie w Hamburgu lub w Lubece. 1944-45.
W środku stojących Michał Klepajczuk, pierwszy z prawej siedzących - Antoni Nietreba

Na zdjęciu obok: trzeci od lewej Michał Klepajczuk

Antoni Darmograj, pierwszy z prawej, w obozie Niemczech

Zdjęcia z Antoniego Darmograja z pobytu w Niemczech po zakończeniu wojny w obozie dla uchodźców

Zdjęcia z pobytu Józefa Mielnika w obozie dla uchodźców w Niemczech w 1946 roku

Z numerem jenieckim 220 948 figurował na stanie Stalagu X B w Sandbostel, skąd 13.11.1944 r. został przeniesiony do Stalagu XVIII C. Był to obóz karny, w którym przebywali wieźniowie z dziewięciu krajów. Znajdował się w Reinsbach koło St. Johann im Pongau (w czasach hitlerowskich Markt Pongau), w kraju związkowym Salzburg w Austrii.

Jak wcześniej wspomniano w szpitalu niemieckim w czasie wojny był też Jan Woźniak, syn Antoniego. Ranny w czasie powstania warszawskiego w obie nogi znalazł się szpitalu w Krakowie i przebywał tam aż do nadejścia Armii Czerwonej w lutym 1945 roku. Potem wrócił do Czernielowa i razem z rodzicami pierwszym transportem czernielowian wyjechał na zachód. Mieszkał w Skoroszowie i Rurce.

W żołnierskich wspomnieniach *Z Czernielowa Mazowieckiego do Wizan* swoje problemy ze zdrowiem i nie tylko, opisał Józef Czubko z 10. pp 4. dywizji: *26 maja 1946 roku uchwałą Rządu Tymczasowego 10. Pułk Piechoty posłużył do sformowania oddziałów Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW). Na początku czerwca 1945 roku nasza dywizja rozpoczęła wycofywanie do Polski, ale ja już byłem w szpitalu. W czasie walk w okolicach Kołobrzegu zachorowałem na zapalenie oczów. Nie leczono mnie na froncie, bo w wojsku nie było okulisty. Zapalenie oczu przeszło w poważną chorobę.*

Na tarasie szpitala, pierwszy z lewej Józef Czubko, Libon Bondar i Lucjan Wiszniak

Józef Czubko w szpitalu w Otwocku, w górnym rzędzie w środku. Luty 1946 r.

Lekarz skierował mnie do Szpitala Wojskowego w Otwocku już po zakończeniu działań zbrojnych na froncie w maju 1945 roku. Komendant szpitala, lekarz w stopniu pułkownika, Rosjanin, powiedział mi, że to jest choroba niewyleczalna i trzeba mnie zwolnić z wojska. Mówił, że ta choroba nazywa się trachomą i mogę

oślepnąć. Natomiast polska lekarka, kapitan Jabłońska z Łodzi, twierdziła, że ta choroba po polsku nazywa się jaglicą i jest wyleczalna. Chciałem, żeby mnie leczono i nie chciałem oślepnąć w młodym wieku. Wtedy miałem 23 lata. Poddano mnie zabiegom medycznym. Zdejmowano mi z powiek narastającą narośl 3 razy. Narośl miała wielkość kaszy jaglanej. Stąd nazwa polska nazwa choroby. Po każdym zabiegu zalewano moje powieki specjalnym płynem. Ten zabieg był bardzo bolesny. Bolesność zabiegu medycznego wspominam jeszcze dziś.

W szpitalu wojskowym obowiązywały wojskowe zasady. Jak był obchód lekarski codziennie rano, to każdy żołnierz musiał wstać, przedstawić się ze stopnia wojskowego, nazwiska i imienia. W tej lecznicy byłem 10 miesięcy do lutego 1946 roku (...) Gdy wyszedłem ze szpitala, to postanowiłem pojechać na granicę polsko-radziecką w Przemyślu. Tam pytałem się, czy mogę jechać do miejscowości, gdzie się urodziłem i gdzie mieszkają moi rodzice, aby ich zabrać ze sobą na Zachód. Rosyjscy wojskowi powiedzieli mi, że najpierw muszę się zrzec polskiego obywatelstwa i przyjąć obywatelstwo ukraińskie. A jak przyjmę ukraińskie obywatelstwo, to mogę jechać do rodzinnej wsi, ale na powrót do Polski mi już nie pozwolą. Musiałbym tam zostać. Nie chciałem mieszkać na radzieckiej Ukrainie, bo wiedziałem, jak się żyje pod okupacją radziecką (...)

Nasi oficerowie, z reguły to byli Rosjanie lub zrusyfikowani Polacy, mówili nam, że tu są Ziemie Piastowskie. Tu będzie nowa Polska i tu osiedlą się Polacy nie tylko z Galicji Wschodniej, ale także z Białorusi, z Francji i z całego świata. Kazali nam tu ściągać swoje rodziny.

Józef Czubko ostatecznie nie pojechał do Czernielowa. Po demobilizacji znalazł się w okolicach Krzyża Wielkopolskiego. Będzie o tym mowa.

Nawiązując do pobytu Józefa Czubki w szpitalu wojskowym w Otwocku, warto napisać kilka słów o pracującej w tym szpitalu pielęgniarce Marii Nawareckiej, córce nauczyciela, kierownika szkoły Józefa Nawareckiego z Czołhańszczyzny.

Według mieszkającej w tej wsi od czasu wyjścia za mąż w 1940 roku, Marii Cieplak, z d. Piotrowskiej, miała na imię Anna, mówili na nią Nuśka. Maria Nawarecka do służby w wojsku trafiła po poborze wiosennym 1944 roku. Gdy w Tarnopolskie w marcu 1944 roku wkroczyli Rosjanie, miała 20 lat. Tak jak większość poborowych najpierw znalazła się w Sumach.

Maria Nawarecka, 1946 r.

Z prawej strony stojącej pielęgniarki ppor. Marian Żarkowski

W szpitalu wojskowym w Wittechanau k. Drezna, z laską w drugim rzędzie Kazimierz Klepajczuk, w 1945 r.

Pamiątkowe zdjęcia z pobytu w szpitalu w Otwocku Józefa Czubki z grupą żołnierzy z Kresów Białoruskich. Na zdjęciach w mundurze-trzeci i czwarty z lewej Józef Czubko

Prawdopodobnie w celu zdobycia wiedzy teoretycznej i praktycznej została skierowana na przeszkolenie medyczne i została pielęgniarką sanitariuszką. Marię Nawarecką, swoją krajankę, w szpitalu w Otwocku spotykali leczący się tu czernielowianie, między innymi Józef Czubko i Józef Kubiszyn. O tym, że pracowała w tym szpitalu opowiedział Stanisławowi Cieplakowi jego krewny Jan Cieplak, który po odniesieniu ran, gdy walczył na Wale Pomorskim pod Złotowem czy Jastrowiem, i po wyleczeniu nie wrócił już na front, lecz razem z Piotrem Dębickim z Berezowicy zostali skierowani do wojskowej służby sanitarnej, której zadaniem było zbieranie rannych ze szpitali polowych i odwożenie ich do Otwocka. Tam sanitariusze spotykali się z pochodzącą ze „ swoich stron" pielęgniarką.

Powołanie do wojska otrzymał też młodszy brat Marii, Tadeusz. Jego żołnierski los nie jest bliżej znany. Według przekazu rodzinnego „szedł na Berlin".

Opisując losy niektórych żołnierzy na szlaku bojowym, wspomniano o rannym w ostatnim dniu wojny na terenie Czech Kazimierzu Klapajczuku z załogi czołgu T-34 z 1. Korpusu Pancernego.

Kazimierz Klepajczuk

W ostatniej części wywiadu *Byłem na własnym apelu poległych* opowiedział, jak potoczyły się jego losy: *W szpitaliku opatrzyli mnie, dali zastrzyk, żebym nie dostał zakażenia i po dwóch dniach odwieziono mnie do polskiego szpitala wojennego w miasteczku Wittechenau koło Drezna. Byłem tam parę miesięcy. Miałem ranę głowy i okolicy kolana. Odłamek rozszarpał mi błonę bębenkową i na jedno ucho zupełnie nie słyszę.*

Jednak po rekonwalescencji musiałem zgłosić się do swojej jednostki wojskowej. Odnalazłem ją po uprzednim pobycie w punkcie zbornym w Biedrusku koło Poznania. Moja 3. Brygada stacjonowała w Opolu. Do Opola przyjechałem na dwa dni przed Wszystkimi Świętymi. Nie zgłosiłem się od razu do dowództwa, tylko poszedłem rozpytywać o kolegów. Gdy ich odnalazłem, była wielka radość i muszę się przyznać, że dwa dni balowaliśmy. W dniu 1 listopada stanęłem wraz z nimi na placu apelowym. Był uroczysty apel, odczytywano długą listę poległych. Ku wielkiemu zdziwieniu usłyszałem swoje nazwisko. Koledzy się śmiali: „Ty, to masz szczęście, byłeś na własnym apelu poległych.". Kto nie był na wojnie, ten nie ma o niej żadnego wyobrażenia. Tam jest duże zamieszanie, wiele różnych zdarzeń i zwykłego bałaganu. Uznali, że nie żyję. Wiedzieli na pewno, że zostałem ranny, a skoro się nie zgłosiłem do jednostki, uznali, że zginąłem. W piechocie łatwiej było rozliczyć się żołnierzy, a wśród pancerniaków każdy czołg był zdany na siebie. Załoga miała swojego dowódcę i on decydował w danej chwili, co należy robić. Gdy kogoś zabrakło, uzupełniał skład i jechali dalej.

Kazimierz Klepajczuk został zdemobilizowany w stopniu starszego sierżanta we wrześniu 1946 roku. Pojechał do Chobrynia-Lisiego Pola, do rodziców, którzy z dużą grupą rodzin z Czernielowa osiedlili się tu akurat rok temu. Jego dalszy los był związany z tą miejscowością. Niedaleko, bo w Strzeszowie koło Trzcińska-Zdroju odnalazł Stefanię, swoją sympatię z rodzinnej wsi. Wkrótce pobrali się. Mieli dwóch synów. Jeden z nich mieszka w Gorzowie, a drugi, Edward, w Lisim Polu.

Pisząc o losach czernielowian, którzy po kampanii wrześniowej trafili do obozu w Rumunii, wspomniano o Karolu Ziembie, który w sierpniu 1940 roku z Rumunii został jako jeniec wojenny z numerem 42 350 przeniesiony do obozu w Austrii, Stalag XVII-A, a następnie do Stalagu V-B w Villingen, 40 km od Freiburga. Został zarejestrowany w tym obozie i pracował około 2,5 roku w gospodarstwie niemieckim Huberta Fajtera we wsi Ag, niedaleko miasta Walend. To było niedaleko granicy niemiecko-szwajcarskiej-francuskiej. Wraz z trzema takimi jak on jeńcami-robotnikami udało mu się na początku grudnia 1943 roku uciec do Szwajcarii, przepływając Ren na dętkach od wozu.

Szczegóły tej ucieczki na podstawie opowiadania Karola Ziemby po jego powrocie do Polski opisała w *Historii rodzinnej* Stefania Górska, z d. Woźniak: *Jak już Karol dobrze poznał się z kolegami, zaczęli myśleć o ucieczce. Ta wieś, gdzie on był przydzielony do gospodarstwa, była nad rzeką Ren, blisko był las, ale gęsto stała straż graniczna z psami. Szwagier z kolegami zaczęli chodzić do lasu, niby na spacery. Te spacery były po to, żeby się dobrze przyjrzeć, gdzie najlepiej można przepłynąć Ren, który jest rzeką szeroką i bystrą. Upatrzyli sobie miejsce, uzgodnili dzień i czekali, kiedy nie będą mieli zajęć. Było ich czterech, ale w dniu wyznaczonym do ucieczki jeden z nich nie przyszedł. Nie wiadomo, czy się rozmyślił, czy coś mu przeszkodziło. Ale postanowili poszukać innego miejsca na przeprawę przez rzekę, bali się, że może ich zdradzić i zaczną ich szukać. Noc była bardzo ciemna, na krok nie było widać, bali się żeby nie wejść na straż. Postanowili poczekać aż się trochę rozjaśni. Dopiero wtedy zorientowali się, że stoją kilka metrów nad urwiskiem. Wypatrzyli straż i czekali aż odejdzie trochę dalej. Każdy miał przygotowaną nadmuchaną dętkę z koła wozu i już nie było odwrotu. Jak najciszej rzucili się do wody, zaczęli płynąć, ale psy ich wyczuły i zaczęły szczekać, a straż zaczęła strzelać. Ren jednak niósł ich bardzo szybko,rozpłynęli się po rzece, byli w różnych miejscach i nie mogli wyjść ze względu na stromy brzeg. W końcu, wyszli na brzeg, odnaleźli się, zaczęli się suszyć i tak ich znalazła straż szwajcarska. Zaraz się nimi zajęli, dali im suche ubrania na przebranie, gorącą herbatę i tam poczekali do rana. Rano po przebraniu w swoje ubrania Szwajcarzy zaprowadzili ich do jakiegoś urzędu, gdzie złożyli jakieś wyjaśnienia i dowiedzieli się, że są wolni. W szwajcarskim urzędzie dostali też pieniądze. Teraz od siostrzeńca dowiedziałam się, że to była pomoc amerykańskiego banku dla uciekinierów. Szukali w Szwajcarii pracy, ale nigdzie nie*

dostali, rozstali się i każdy poszedł w swoją stronę. Szwagier napisał list do Francji, do swojego kuzyna, Franciszka Romaniuka i do niego pojechał. Nie wiem, jak długo przebywał w gościnie.

Wyjazd Karola Ziemby do Francji nastąpił prawdopodobnie w późniejszym czasie, ponieważ według Kazimierza Ziemby, syna Karola, na ponad 10 miesięcy do września 1944 roku, polscy uciekinierzy zostali w Szwajcarii skierowani do obozu dla internowanych. Dalsze losy ojca Kazimierz przedstawił na podstawie zasłyszanych rodzinnych opowieści i dokumentów: *We Francji ojciec znalazł się 20 września 1944 r. Przebywał w koszarach w Marsylii, ale pod dowództwem angielskim. Prawdopodobnie z tego okresu pochodzi umundurowanie angielskie ojca widoczne na kilku zdjęciach. Z dalszych dokumentów wynika, że od 1 lutego 1945 roku został przeniesiony do Anglii. Prawdopodobnie w Szkocji przechodził szkolenie wojskowe przed pójściem na front. Nie zdążył wziąć udziału w wojnie. Gdy skończyły się działania wojenne, jak wielu Polaków zastanawiał się nad wyjazdem do Kanady. Zachował się dokument - oświadczenie złożone pod przysięgą przed notariuszem w lipcu 1946 roku w Kanadzie, w prowincji Saskatchewan, przez Aleksa Szumlicza, brata Anny Ziemby, z d. Szumlicz, czyli brata mojej babci, w sprawie przyjęcia do Kanady Karola Ziemby, członka Polskich Sił Zbrojnych. Aleks Szumlicz potwierdzał, że znał ojca zanim w 1926 roku wyjechał do Kanady. Potwierdził też, że Karol Ziemba mieszkał do 1939 roku w Polsce, a gdy Polska została zdobyta, wraz z innymi członkami Wojska Polskiego, opuścił własny kraj i od tego czasu mieszka za granicą. Obecnie jest w służbie sił polskich P.78 A Szkocja. Aleks Szumlicz oświadczył, że jest farmerem, właścicielem nieruchomości w Redfield, w prowincji Saskatchewan, i deklarował pokrycie kosztów transportu swego siostrzeńca Karola Ziemby do Kanady, zapewniał mu wszelkie niezbędne środki do życia, osiedlając go na farmie i wspierając go we wszystkich jego potrzebach. Brał odpowiedzialność za jego wsparcie i utrzymanie w Kanadzie. Ponieważ moja mama, Agnieszka, nie wyraziła zgody, ostatecznie do wyjazdu nie doszło. Do czasu przyjazdu do Polski w grudniu 1947 roku tata pracował na dole w kopalni węgla kamiennego.*

Karol Ziemba, 1947 r.

Karol Ziemba przypłynął statkiem do portu w Gdyni i zarejestrował się Punkcie Przyjęcia Państwowego Urzędu Repatriacyjnego 6.12.1947 r., Otrzymał zaświadczenie do bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do Czeszowa i Kuźnicy w województwie wrocławskim.

Do Kużnicy przyjechał 8 grudnia. Minęło osiem lat od momentu pożegnania z rodziną w Czernielowie, gdy wraz ze swoją jednostką udawał się we wrześniu 1939 roku w kierunku granicy rumuńskiej.

Na obydwu zdjęciach z lewej Karol Ziemba prawdopodobnie w obozie wojskowym w Marsylii

Z lewej Karol Ziemba w obozie wojskowym

W środku Karol Ziemba, prawdopodobnie w obozie we Francji

Z lewej Karol Ziemba, Boże Narodzenie w obozie wojskowym we Francji

Jego córka Weronika skończyła już 9 lat i jak pisała we *Wspomnieniach* Stefania Górska, z d.Woźniak, pytała swoją mamę*: Co ten pan tak siedzi u nas, czy jeszcze długo będzie?* Nic dziwnego miała niewiele ponad roczek, gdy jej tata szedł na wojnę.

Wspomniano wcześniej o internowaniu na Węgrzech urodzonego w 1913 roku mieszkańca Czernielowa Franciszka Koryluka. Jego wojenny los nakreślony pokrótce w 2017 roku przez synów przekazano, omawiając temat niemieckich stalagów. A jak ułożyły się dalsze losy Franciszka Koryluka po ucieczce z transportu?

Opowiedzieli o tym jego synowie: Pracując jako stangret u węgierskiego dziedzica w Rababogyoszlo, poznał swoją przyszłą żonę, Marię Vrečič (Wreczycz), Słowenkę, która tak jak on była zatrudniona w majątku.

W marcu 1945 roku obydwoje znaleźli się w Polsce. 9 maja 1945 roku na stacji w Poznaniu dowiedzieli się o zakończeniu wojny. Rosyjscy żołnierze z tej okazji strzelali na wiwat z karabinów. W maju 1945 roku dotarli do Glashütte, czyli Huty Szklanej koło Krzyża Wielkopolskiego i tu zamieszkali: początkowo pod numerem 15, po pół roku przenieśli się pod numer 1 i po pół roku ponownie zamieszkali na stałe pod numerem 15. Wspominano, że gdy Franciszek Koryluk dowiedział się, że w Krzyżu zatrzymał się pociąg z przesiedleńcami z Czernielowa Mazowieckiego, to udał się na stację i odszukał czernielowski eszelon. W jednym z wagonów spotkał swojego brata Jana. Rodzina brata wysiadła na stacji w Krzyżu i udała się do Glashütte, gdzie przez krótki okres mieszkała pod numerem 15. Ostatecznie jednak Jan Koryluk z rodziną zrezygnowali z mieszkania w Hucie Szklanej i osiedlili się w okolicy Sulęcina.

Wypada też wspomnieć o losach cichociemnego Bronisława Czepczaka–Góreckiego, zaprzysiężonego w maju 1944 roku w Oddziale VI Sztabu Naczelnego Wodza PSZ na rotę Armii Krajowej.

Na spotkaniu z kadrą oficerską w bazach jednostek specjalnych USA w 1995 roku opowiedział dalszy ciąg swojej służby: *Po upadku powstania warszawskiego trafiłem na stację wyczekiwania zorganizowaną w Ostuni k. Brindisi, gdzie w grupie 6 cichociemnych czekaliśmy na lot. Wykonaliśmy nocny lot ćwiczebny w pełnym wyposażeniu, zakładający dojście do wyznaczonego celu w trudnym górskim terenie. Byliśmy izolowani od kontaktów z ludnością, nosiliśmy cywilne ubrania, używaliśmy tylko pseudonimów. Złożyliśmy przysięgę, że rannego kolegi nie zostawimy Niemcom i jeśli nie będzie w stanie przyjąć trucizny, musimy mu pomóc umrzeć*.

Bronisław Czepczak-Górecki

Codziennie do godziny 11.00 czekaliśmy na wiadomość, czy warunki meteorologiczne i radiogram o gotowości placówki odbiorczej pozwolą nam na lot. Startowaliśmy i wracaliśmy dwa razy. Drugi raz aż znad Karpat, siedząc we wnętrzu Liberatora, w chłodzie i huku potężnych silników. Wreszcie w grudniu zostaliśmy zrzuceni w zalesionych terenach górskich, na południe od Krakowa, i po dwóch godzinach nawiązałem łączność z kolegami z bazy. 28 grudnia otrzymaliśmy zrzut zaopatrzeniowy – ostatni zrzut, jaki przeprowadzono dla AK.

13 stycznia 1945 r. o świcie niemiecki oddział pacyfikacyjny uderzył na nasz obóz, ale dobrze uzbrojeni partyzanci dali skuteczny odpór. Było tu 12 cichociemnych z dwóch zrzutów, oczekujących na służbowe przydziały. Na wóz konny załadowano część zrzuconego wyposażenia (m.in. około 2 milionów dolarów) i po trzech nocach marszu dotarliśmy na miejsce przeznaczenia. W tym czasie żaden Niemiec nie odważył się wejść w zalesione tereny nocą. 16 stycznia widzieliśmy wkraczające oddziały sowieckie. Przebraliśmy się w cywilne ubrania i parami wyruszyliśmy, aby znaleźć schronienie w przygotowanych melinach. 17 stycznia 1945 r. byłem w Krakowie, a 18 dostarczono nam dwie radiostacje. W dniu 19 stycznia 1945 r. w wieczornej audycji BBC podano, że Komendant Główny AK cichociemny generał Okulicki wydał rozkaz rozwiązania Armii Krajowej. Po tygodniu dotarła łączniczka z propozycją podjęcia dalszych działań na Obszarze Zachodnim rozwiązanej AK. W ten sposób rozpoczęła działalność nowa tajna organizacja. Jej głównym zadaniem było utrzymywanie łączności z bazami w Wielkiej Brytanii i we Włoszech.

Bronisław Czepczak-Górecki w Bazie Powietrznych Operacji Specjalnych w Hurlburt Field

Z bogatym życiorysem Bronisława Czepczaka–Góreckiego można zapoznać się na podstawie jego książki pt. *Na szachownicy losu. Wspomnienia skoczka* oraz *Słownika biograficznego cichociemni* Krzysztofa Tochmana. W grudniu 1945 roku Bronisław Czepczak został po raz pierwszy aresztowany i przewieziony do Ministerstwa Bezpieczeństwa w Warszawie. Na podstawie sfałszowanego życiorysu, którym posługiwał się, został skazany na 5 lat więzienia. Na mocy amnestii wyszedł na wolność w maju 1947 roku. Pracując, rozpoczął studia. W październiku 1950 roku został ponownie aresztowany i wobec dysponowania przez przesłuchujących go informacjami z bazy w Wielkiej Brytanii, musiał ujawnić tożsamość. Po dwuipółletnim śledztwie został skazany na 15 lat więzienia i przewieziony do Wronek. Wyszedł na wolność po 6 latach odsiadki. Rozpoczął pracę w Instytucie Elektroniki Ośrodku Badawczo-Rozwojowym w Warszawie i studia na Politechnice Warszawskiej. Po 25 latach pracy przeszedł na emeryturę. Był działaczem związkowym, później kombatanckim, należał do Światowego Związku Żołnierzy AK, przewodniczył komisji historycznej środowiska cichociemnych. Był związany ze środowiskiem spadochroniarzy, z jednostką GROM.

Zmarł w 2001 roku w Warszawie. Jest pochowany na Powązkach.

Jeszcze kilka słów o matce i siostrach, które razem z nim były na Sybirze. Jak opisano urodzona w 1896 roku Maria Czepczak i jej córki, siostry Bronisława: Adela z 1924 roku i Maria z 1920 roku przebywały do czasu wstąpienia Bronisława do Armii Andersa w fermie hodowlanej Dmitrowka w oktriabskim rejonie Mariewka w północnym Kazachstanie. W referacie dla kadry oficerskiej jednostek specjalnych Stanów Zjednoczonych Bronisław Czepczak-Górecki mówił, że jedna z jego sióstr zmarła na Syberii, a matka i druga siostra zostały repatriowane do Polski. We wspomnieniach *Na szachownicy losu…* nadmienił, nie podając szczegółów i okoliczności, że jego starsza siostra Maria zmarła 27 maja 1944 roku. Matka Maria Czepczak wraz z młodszą siostrą Adelą po powrocie z Sybiru po wojnie zamieszkały w Jeszkowicach pod Wrocławiem.

Wspomniano też wcześniej o Janie Demczuku ze Stupek, który razem z Bronisławem Czepczakiem pokonał drogę z miejsca zesłania do Armii Andersa. Ostatni raz widzieli się maju 1942 roku w Jerozolimie, rozmawiali o rodzinach. Losy Jana Demczuka w wojsku nie są znane. Z przekazu rodziny wiadomo, że po wojnie znalazł się w Anglii. Tu udało mu się spotkać z żoną Stefanią, która, jak pamiętamy, z córką Janeczką i siostrą męża przebywała na zesłaniu na tej samej farmie, co rodzina Bronisława Czepczaka. Stefania Demczuk, z d. Dąbrowska, po powrocie z Sybiru z córką zamieszkały w Górze na Dolnym Śląsku, gdzie osiedliła się po przyjeździe ze Smykowiec jej siostra Stefania Rogowska z rodziną, a w niedalekim Krzelowie bracia Julian i Antoni Dąbrowscy z rodzinami. Los nie był łaskawy dla rodziny Demczuków. Jan Demczuk po wyjeździe z Anglii do Kanady, dokąd jeszcze

w latach 30. XX wieku wyemigrowali siostra i brat Stefanii, czynił starania o przyjazd żony i córki. Gdy Stefanii udało się uzyskać pozwolenie na wyjazd i spotkali się ponownie, Jan wkrótce zmarł.

Można jeszcze wspomnieć o dwóch rodzinach: Sowach-Ratowskich i Sokołowskich, którzy, jak pamiętamy, po przeżyciach Sybiru w Ozierkach nad Tawdą w obwodzie swierdłowskim trafili do Armii Andersa i do obozów dla uchodźców. Po zakończeniu wojny Janina Ratowska wraz z ojczymem Pawłem Sową i przyrodnią siostrą Bronisławą znaleźli się w Anglii, a wkrótce dzięki pomocy rodziny wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. W podobnej sytuacji byli też Sokołowscy: Katarzyna z synami Franciszkiem i Janem. Też po jakimś czasie znaleźli się w USA. Obydwie rodziny. utrzymywały kontakt z krewnymi w Polsce, niektórzy przyjeżdżali w odwiedziny.

Maria Niebieszczańska, ok. 1960 r.

I jeszcze kilka zdań o losach zesłanej na Sybir rodziny Niebieszczańskich, która, jak opisano po ucieczce z Republiki Komi trafiła do Uzbekistanu, gdzie na tyfus zmarł Józef Niebieszczański. Osierocona rodzina: Maria Niebieszczańska, z d. Żarkowska, rocznik 1903, i dzieci - Bronisława z 1928 roku i Leon urodzony w 1936 roku - razem z rodziną Pasiecznych i innymi przemieściła się potem do Ryszowki na północny zachód od Czkałowa w rejonie Uralu. Na zesłaniu od lutego 1940 roku byli kilka lat. Jak wspomniano do Polski przyjechali dopiero w kwietniu 1946 roku. Byli szczęśliwi, że przeżyli.

Osiedlili się w Drzewianach koło Bobolic w Koszalińskiem. W Drzewianach zamieszkała też rodzina Pasiecznych. Na podstawie wspomnień Edwarda Pasiecznego *Na skraju życia* i relacji Bronisławy Statkiewicz, z d. Niebieszczańskiej, Zbigniew Woźny opisał w gawędzie o Czernielowie i rodzinie Żarkowskich ich perypatie związane z powrotem do Polski:

Na początku 1945 roku polscy zesłańcy dowiedzieli się, że w Pokrawce niedaleko Czkałowa urzędował oddział Związku Patriotów Polskich, który udzielał pomocy takim jak oni. Wszystkie Polki pojechały do tej miejscowości, aby się zapisać do organizacji pomocowej. 10 maja 1945 r., dzień po hucznych obchodach zakończenia drugiej wojny światowej we wsi Ryszowka, do przybyłych gości z NKWD udały się Maria Niebieszczańska i Zofia Pasieczna, aby dowiedzieć się od nich, co czeka Polaków. Chciały wrócić do Polski, wojna się zakończyła. Buńczuczny enkawudzista wmawiał zesłańcom, że Polski nie ma, są tylko ziemie wyzwolone przez Armię Czerwoną i polscy zesłańcy mają się czuć obywatelami sowieckimi. Natomiast jakąś nadzieję na powrót do Polski dawali pracownicy ZPP, którzy zaopatrywali zesłańców w paczki żywnościowe dostarczane przez Unrrę.

W lutym 1946 roku poinformowano Polaków z Ryszowki, że zostali wszyscy wpisani na listę osób przeznaczonych do repatriacji. O zakwalifikowaniu do repatriacji decydowała ostatecznie mieszana komisja polsko-sowiecka z Czkałowa. Tej komisji należało przedstawić polskie dokumenty potwierdzające polskie obywatelstwo. Kłopoty miała Bronisława Niebieszczańska, która ukończyła 14 lat, i była uznawana przez Sowietów za osobę dorosłą. Tu wychodził cynizm bolszewików, bo Bronisława takich dokumentów nie posiadała. Odpowiednie poświadczenie na korzyść córki Marii Niebieszczańskiej złożyły Zofia Pasieczna i Ochmanowa, wskazując w nim, że znały się z Bronisławą sprzed czasów wojny. Nie wszyscy zesłańcy wyjechali do Polski właśnie z tego powodu.

10 marca 1946 r. telefonicznie poinformowano kołchoz w Ryszowce, aby zesłańcy szykowali się do repatriacji. Na Uralu wtedy panowała sroga zima, było pełno śniegu. Tylko zasypane słupy telefoniczne wskazywały szlak komunikacyjny. Ostatnie 70 km drogi kolejowej repatrianci pokonali w półtorej dnia. Cudem zdążyli na eszelon jadący do Polski. Nie wiedzieli, do jakiej Polski wracają, bo przez 6 lat zostali skutecznie odcięci od jakiejkolwiek informacji. Jechali po 40 osób w jednym zimnym wagonie, wyścielonym słomą. Po przekroczeniu dawnej polskiej granicy dowiedzieli się, że to nie są już polskie ziemie, co boleśnie przeżyli. Z Brześcia pociąg został skierowany do Koszalina, gdzie dojechał 14 kwietnia 1946 r.

Bronisława Statkiewicz, z d. Niebieszczańska, l. 60. XX

Niebieszczańscy i inni zesłańcy przeżyli piekło kołchozu. Wszyscy Sybiracy z jednego wagonu z tego eszelonu osiedlili się w Drzewianach (Drahwen). 1 września 1946 r. 10-letni Leon Niebieszczański rozpoczął naukę w miejscowej szkole podstawowej. Po 6 latach tułaczki nie znał języka polskiego.

Leon Niebieszczański, 1972 r.

Po przyjeździe do Polski w obcym środowisku rodzina Niebieszczańskich chciała odszukać swoich dalszych krewnych: Żarkowskich, Stankiewiczów, ludzi z Czernielowa. Bronisława Statkiewicz opowiadała Zbigniewowi Woźnemu, że księgi ze spisami osób, które po wojnie opuściły Kresy i zamieszkały w nowych granicach PRL-u, znajdowały się w trzech miejscowościach w Polsce. Jeden ze spisów był w Przemyślu, kolejny w Częstochowie, w klasztorze jasnogórskim. Tam zainteresowani jeździli i odszukiwali w księgach dane adresowe swoich krewnych. Tak Niebieszczańscy trafili na adres rodziny Anny i Marcina Stankiewiczów zamieszkałych po 1945 roku w Hucie Szklanej. O ich osiedleniu w tej wsi i innych rodzin z Czernielowa i okolic będzie mowa w części IV.

Tadeusz Cieplak po wojnie

Wymieniając żołnierzy zabranych jesienią 1940 roku do Armii Czerwonej z Czernielowa Mazowieckiego i okolic podano nazwisko Tadeusza Cieplaka z Czołhańszczyzny. Na podstawie jego wspomnień *W cieniu historii* opisano jak ze swoją jednostką trafił do strojbatalionu do miejscowości Złatotust na środkowym Uralu, gdzie ich głównym zajęciem było wycinanie sosen w lesie. W pierwszych dniach września 1941 roku strojbatalion transportowano 100 km na północ od Ufy, stolicy autonomicznej republiki tatarów baszkirskich.

W czasie przerwy w podróży w jednym ze sklepików Tadeusz Cieplak przeczytał stare, sprzed miesiąca wydanie gazety „Prawda", a w niej znane już informacje o pakcie Sikorski-Majski, o tworzeniu Armii Polskiej pod dowództwem generała Andersa w Buzułuku i Tockoje. Była też notka, że ambasadorem Rzeczpospolitej Polskiej w Moskwie został nominowany profesor Kot, znany Cieplakowi z czasów studiów. Napisał do niego list do ambasady, ale nie otrzymał odpowiedzi. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że towarzysząc w podróży służbowej dowódcy strojbatalionu pojechał z nim do Ufy po ciepłą odzież. Gdy nadarzyła się okazja na dworcu dołączył jako cywil do licznej grupy Polaków jadących z Archangielska do Polskiej Armii w Buzułuku. Przez cały czas dopisywało mu szczęście. W Buzułuku spotkał szkolnych kolegów Czesława Blicharskiego, i Władysława Rubina oraz swego profesora matematyki z gimnazjum w Tarnopolu. Tu też dotarła do niego wiadomość, że ambasador Kot wzywa go do Kujbyszewa. Od tej pory pracował w służbie dyplomatycznej. Zaczął od pracy w dziale opieki społecznej przy sortowaniu nagromadzonej korespondencji od Polaków w ZSRR.

W połowie grudnia 1941 roku, dzięki wstawiennictwu profesora Kota, Tadeusz Cieplak wyjechał ze Związku Radzieckiego. Dalej jego droga wiodła przez Teheran, Bagdad, Stambuł, Jerozolimę, Kair, Gibraltar. W latach 1942-43 pracował jako urzędnik Konsulatu Generalnego RP na uchodźstwie w Stambule, a następnie do 1945 roku, w Poselstwie RP w Lizbonie, w dziale łączności z krajem.

Po wojnie kontynuował studia prawnicze w Oksfordzie i w zakresie nauk politycznych zakończone doktoratem w Montrealu. Od 1963 roku przy okazji nadania obywatelstwa USA jego wojenny pseudonim Nowak został włączony do nazwiska. Pracował jako pedagog i politolog w uniwersytetach i kolegiach w San Francisco, Pensylwanii, Nowym Jorku. Główne kierunki jego badań naukowych to: polski system partyjny, ruch ludowy, rola Kościoła w czasie trwania systemu komunistycznego.

Był aktywnym działaczem polonijnym, autorem wielu książek na temat historii i nauk politycznych. Zmarł w 2006 toku w wieku 88 lat.

I na koniec kilka słów o losach rodziny Kozłowskich i Jana Murmyło.

Pisząc o wstępowaniu do 1. Dywizji Piechoty młodych mężczyzn zesłanych na Sybir i bitwie pod Lenino, wspomniano o Marianie Kozłowskim, synu pochodzących z Czernielowa Michała Kozłowskiego i Eudoksji, z d. Jacykowskiej, spokrewnionej z Niebieszczańskimi. Rodzina Michała i Eudoksji z dziećmi: Marianem, rocznik 1922, i młodszymi Eugenią i Mieczysławem, mieszkająca przed wojną w Buchtance koło Płotyczy, została w lutym 1940 r. jako koloniści–osadnicy wywieziona przez Rosjan do Republiki Komi. Ich miejscem zesłania była Noszul-Baza.

Z przekazu rodzinnego wiadomo, że Eudoksja i Michał Kozłowscy nie wytrzymali trudów zesłania na północy ZSRR i zmarli. Najstarszy syn Marian dostał powołanie do tworzącej się Armii Berlinga, a młodsi Eugenia i Mieczysław trafili do sierocińca. Po zakończeniu wojny razem z innymi polskimi dziećmi z domów dziecka przyjechały do Polski. Jako sieroty wojenne przebywały w Domu Dziecka w Sztumie. Poszły do szkół.

Z lewej Mieczysław Kozłowski, w środku Antonina Rajfur, z d. Kozłowska, z dziećmi brata Michała: Gienią i Mietkiem. Strzeszów 1960 r., z prawej Marian Kozłowski.

Mieczysław studiował na Uniwersytecie Gdańskim. W czasie studiów przypadkowo spotkał pochodzącego z Czernielowa swego kuzyna Bronisława Czubkę. W ten sposób młodzi Kozłowscy: Mieczysław i Eugenia nawiązali kontakt z rodziną osiedloną na Pomorzu Zachodnim, w Strzeszowie. Losy Eugenii były związane ze Sztumem, gdzie pracowała jako przedszkolanka. Mieczysław po studiach skierował swe kroki do Opola.

Natomiast Marian Kozłowski, jak już wspomniano, brał udział w bitwie pod Lenino, doszedł do Berlina. Po zakończeniu wojny nie miał gdzie wracać. Nie wiedział, gdzie jest jego rodzeństwo i rodzina z Buchtanki i Czernielowa. Kolega warszawiak zaproponował podróż i zamieszkanie w Warszawie. Dalsze jego losy były związane z tym miastem.

Z rodziną Kozłowskich powiązana jest rodzina Jacykowskich i Murmyło. Pisząc o wywózkach na Sybir, o miejscu zesłania rodzin o czernielowskich korzeniach w Republice Komi w specposiołku Noszul- baza, w rejonie priłuzskim, wspomniano o deportowanej z Buchtanki koło Płotyczy rodzinie Tomasza Murmyły, jego żony Marii, z d. Jacykowskiej i rodziny ich córki Katarzyny Jarosz.

Jan Murmyło, syn Marii i Tomasza Murmyło, urodzony w Czernielowie Mazowieckim w 1910 roku, ze swoją żoną Marią, z d. Tymoczko, nie mieszkał na kolonii w Buchtance, lecz w niedalekim Iwaczowie Dolnym i dzięki temu uniknęli deportacji w 1940 roku. Mieli dwoje dzieci: córkę Darinkę, która zmarła jako dziecko i syna Romana.

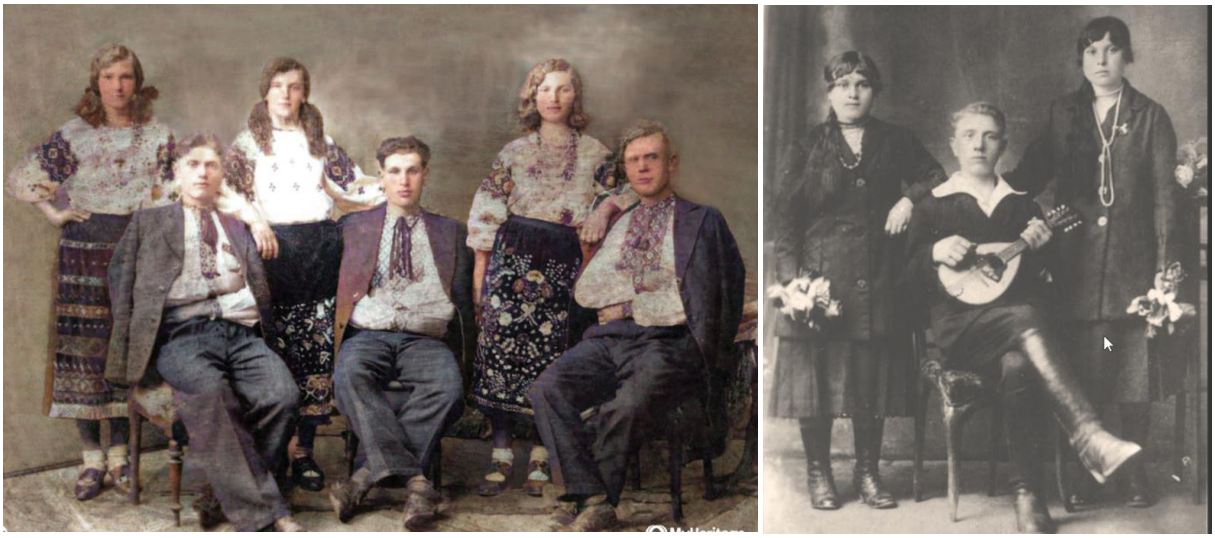

Rodzina Marii Tymoczko przed wojną, Maria z prawej strony, na drugim zdjęciu w środku Jan Murmyło

W czasie wiosenngo poboru 1944 roku Jan Murmyło został powołany do polskiego wojska. Jego syn Roman miał wtedy trzy lata. Jan Murmyło służył jako szeregowiec w 10. pp. 4. Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego, której dowódcą był gen. Bolesław Kieniewicz. Zapewne spotkał się z żołnierzami z Czernielowa i okolic, których wielu walczyło w tym pułku i niektórzy zostali wymieni z nazwiska na kartach opracowania.

Jan Murmyło zginął w bitwie na Wale Pomorskim 10 lutego 1945 r. w akcji w Lubieniu. Z kilkoma innymi żołnierzami o czernielowskich korzeniach figuruje w *Księdze poległych na polu chwały*. Jego nazwisko jako żołnierza urodzonego Czernielowie Mazowieckim, poległego w Lubieniu i pochowanego na 29 CW w Wałczu Bukowinie zostało też zarejestrowane na stronie internetowej www.straty.pl *Straty osobowe i ofiary represji pod okupacją niemiecką*.

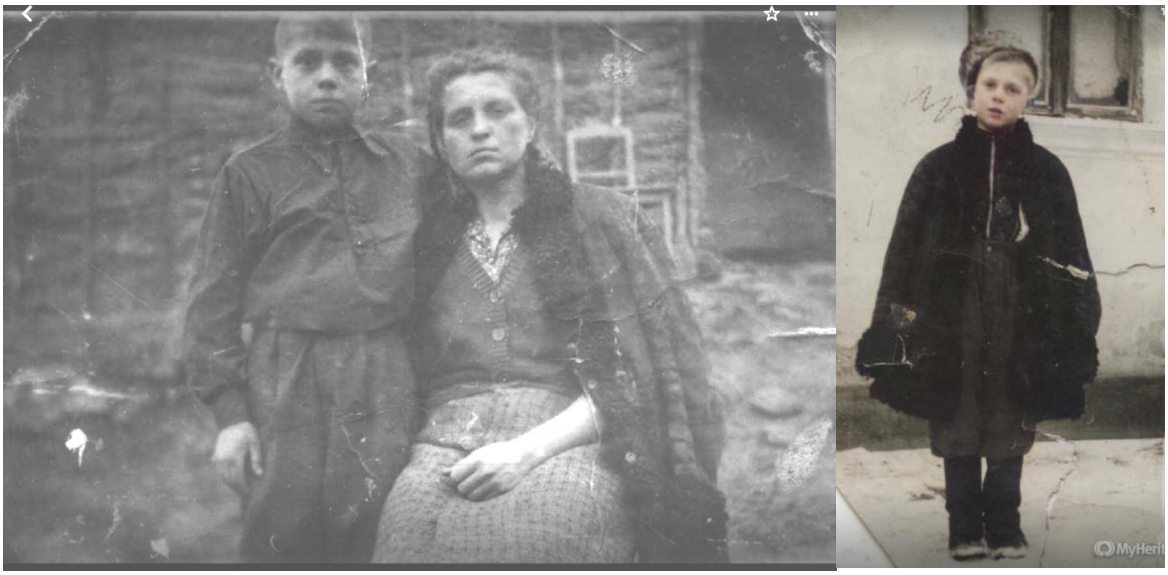

Maria Murmyło, z d. Tymoczko z synem Romanem w 1946 roku, po prawej Roman w pobliżu domu zbudowanego przed wojną przez Jana Murmyło w Iwaczowie Dolnym

Maria Murmyło, żona Jana, jak pisała Galyna, całe życie mieszkała sama z synem Romanem. W okresie powojennym byli bardzo biedni.

Przedstawione historie i ludzkie losy to tylko mała cząstka z ogromu przeżyć czernielowian, a także ludzi z okolicznych wsi oraz rodzin o czernielowskich korzeniach, których życie czy to dorosłe, czy dzieciństwo i młodość przypadły na okres II wojny światowej. W rodzinach i wśród znajomych, opowiadane były fragmenty ich życiorysów jako zwykłe i niezwykłe zdarzenia ludzi, których znali nasi rodzice i dziadkowie. Niezapisane, niezweryfikowane, z czasem obrosły w legendę i w różnych wersjach były przekazywane we wspomnieniach z dawnych lat.

Ktoś powiedział: *Czas rozmywa prawdę, a to, co zostaje, zamienia w mit i legendę.* Opisane tu przeżycia i losy ludzi są próbą utrwalenia pamięci o nich, zanim czas do końca rozmyje prawdę…

Na tym kończy się podrozdział zatytułowany *Zakończenie wojny. Ludzkie losy* i część III opracowania *Czernielów Mazowiecki i okolice - czas wojny, czas pokoju*.

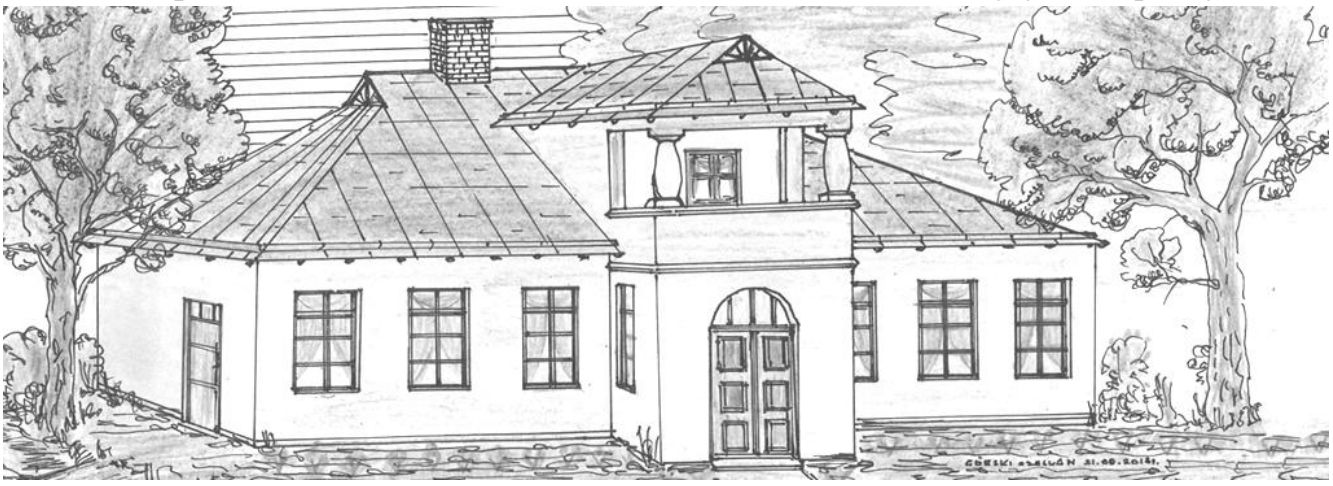

Dom Ludowy w Czernielowie Mazowieckim k. Tarnopola

Bibliografia

Jewgien Baran - *Нариси з історії Ступок* (Szkice z historii Stupek), Tarnopol, Wydawnictwo Dżura, 2014.
Tadeusz Borsa - *Dwór w Bajkowcach Starych w powiecie tarnopolskim* [w:] *Dwór polski*, Warszawa 2002, t. 6.
Bronisław Czepczak-Górecki – *Na szachownicy losu. Wspomnienia skoczka*, Wyd. Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2017.
George F. Cholewczyński – *Rozdarty naród. Polska Brygada Spadochronowa w bitwie pod Arnhem*, AMF+, Warszawa 2006.
Norman Davies – *Powstanie '44,* Wydawnictwo Znak, Kraków 2004.
Ks. Tadeusz Fedorowicz - *Drogi Opatrzności*, Norbertinum, Lublin 1991.
Tadeusz Nowak-Cieplak – *W cieniu historii, Wspomnienia*, Agencja Wydawnicza Remix, Olsztyn 2003.
Antoni Karpiński - *Okruchy osobistych wspomnień*, Warszawa 1981 r., rękopis, tłum. na j. ukraiński Burczenija D. Ju. [w:] Roman Maceluk, Bogdan Pobier, Wołodymyr Chanas - *Великі Бірки. З глубини віків до наших днів* (*Borki Wielkie. Od dawnych wieków do naszych dni*), Wydawnictwo Dileja, Tarnopol 2005.
Ks. Antoni Kij – *Od Ołyki do Berlina…* [w:] *Wspomnienia wojenne kapelanów wojskowych 1939-45*, Wydawnictwo Caritas, Warszawa 1974.
Jerzy Kirchmayer – *Powstanie warszawskie*, Książka i Wiedza, Warszawa 1984.
Łucjan Z. Królikowski - *Skradzione dzieciństwo*, Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1991.
Władysław Kubów - *Terroryzm na Podolu*, Warszawa 2003 - wersja elektroniczna.
Leon Lubecki - *Na południe od Berlina*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1973.
Leon Lubecki - *Zatrzymać odsiecz*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1974.
Roman Maceluk, Bogdan Pobier, Wołodymyr Chanas, - *Великі Бірки. З глубини віків до наших днів* (Borki Wielkie. Od dawnych wieków do naszych dni), Wydawnictwo Dileja, Tarnopol 2005.
Ks. Marian Mościński – *Moje przejście przez Wał Pomorski* [w:] *Wspomnienia wojenne kapelanów wojskowych 1939-45*, Wydawnictwo Caritas, Warszawa 1974
Agnieszka Michna - *Siostry zakonne – ofiary zbrodni nacjonalistów ukraińskich na terenie metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego w latach 1939-1947*, IPN, (seria „Monografie", t. 61), Warszawa 2010, pdf.
Roman Niedzielko - *Kresowa księga sprawiedliwych 1939–1945. O Ukraińcach ratujących Polaków poddanych eksterminacji przez OUN i UPA*, IPN, Warszawa 2007, (seria: „Studia i Materiały", t. 12), pdf.
Sylwia Rembecka – *Genealogia rodziny repatriantów z Ukrainy*, Uniwersytet Opolski, Opole 2003, praca magisterska.

Polskie podziemie 1939-1941: Lwów, Kołomyja, Stryj, Złoczów = Польське підпілля 1939-1941: Львів, Коломия, Стрий, Золочів, red. nauk. Zuzanna Gajowniczek, tł. Małgorzata Słoń-Nowaczek, t. 1, Rytm, Warszawa-Kijów 1998.
Jacek Praga - *Obozy dla polskich jeńców wojennych na wschodzie* [w] - *Obozy jenieckie NKWD IX 1939-VIII 1941*, red. nauk. Stanisław Jaczyński, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1995, s. od 121 do 141,
Władysław Klemens Stasiak – *W locie szumią spadochrony. Wspomnienia żołnierza spod Arnhem*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1991 r.
Alojzy Sroga - *Na drodze stał Kołobrzeg*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1985 r.
Bogdan Stroceń, Zinowij Iwachiw, Ganna Makuch, Irina Gumienna - *Чернелів-Руський*: *історичний нарис* (Czernielów Ruski - szkic historyczny), Terno-graf, Tarnopol 2011.
Friedhelm Schäffer, Oliver Nickel - *Ich hatte nichts gegen Deutsche, nur gegen Faschisten: Die Lebensgeschichte des Ferdinand Matuszek* (Nie miałem nic przeciwko Niemcom, tylko przeciw faszystom. Historia życia Ferdynanda Matuszka), BoD-Books on Demand, Norderstedt 2014.
Słownik biograficzny cichociemnych. T. 3., Obywatelskie Stowarzyszenie „Ostoja", Rzeszów 2002, s. 29–35.
Anna Zapalec – *Ziemia Tarnopolska w okresie pierwszej okupacji sowieckiej (1939 -1940*), Księgarnia Akademicka, Kraków 2006.

Wspomnienia, wywiady, artykuły, informacje, wypowiedzi korespondencyjne i telefoniczne:

Jan Bachalski – *Wspomnienia–zapiski*. 2001, *Informacja o siostrach zakonnych: Annie, Antoninie i Helenie Żarkowskich*, 2005.
Ryszard Bachalski – *Informacja o rodzinie, o siostrach zakonnych z rodziny Żarkowskich. Biogramy.*
Adam Balik - *Informacja o obozie w Romanówce*.
Barbara Barszczewska - *Informacje o rodzinie Świcarzów i Rajfurów*. *Zapis rozmów ze starszymi czernielowianami*. Korespondencja.
Krzysztof Barcikowski - *Moi przodkowie - dzieje rodzin…,* t. II, *Nawareccy*.
Jan Biernacki – *Informacje o rodzinie Andrusyszyn*. Korespondencja.
Anna Bigus, z d. Maliszkiewicz, Andrzej Kordylasiński – *Uciekająca panna młoda*, [online], [dostęp: 14.08.2015 r.], dostępny w Internecie: https://gp24.pl
Błaszkiewiczowie, Franciszek i Weronika – *Informacje o rodzinie, o przesiedleniu, o zdarzeniach w Czernielowie w czasie wojny*. Korespondencja. Rozmowy telefoniczne.

Władysław Błaszkiewicz, Grzegorz Racinowski – *W naszej wsi mieszkał generał Żukow* – „Gazeta Gryfińska" 4.06.2019 r.
Stanisława Bodnar – *Moje życie, mój los,* Gorzów 2006.
Roman Brzozowski - *Informacje o rodzinie*. Korespondencja.
Wanda i Stanisław Chabzowie - *Informacje o rodzinie*. *Zapis rozmów z starszymi czernielowianami.* Rozmowy telefoniczne i korespondencja.
Michał Chabza – *Opowiadanie o szlaku bojowym brata Bartka*.
Maria Cieplak, z d. Piotrowska - *Wspomnienia o Czernielowie i informacja o obozie pracy w Czołhańszczyźnie.* Tematyczne konsultacje telefoniczne.
Stanisław Cieplak - *Wspomnienia o przesiedleniu. Korespondencja tematyczna, informacje o żołnierzach 1. i 2. AWP z Czernielowa i Czołhańszczyzny.* Konsultacje telefoniczne.
Stanisław Ciesielski - *Polscy zesłańcy w Komi ASRR w latach 1940–1941* [online], [dostęp:10.01.2016 r.], dostępny w Internecie: sciesielski.republika.pl/losy/komi.html
Józef Czubko - *Z Czernielowa Mazowieckiego do Wizan – wspomnienia żołnierza*.
Marian Czubko - *Informacja o rodzinie. Uzupełnienie wspomnień ojca Józefa Czubki*.
Janina Dochniak, z d. Jacykowska – *Wspomnienia o Czernielowie.*
Teresa Dudek - *Wspomnienie o ojcu*. Korespondencja.
Wiktor Duży - *Wspomnienia o pobycie na Syberii i w wojsku.* Korespondencja.
Antoni Dziadas – *Krótkie wspomnienie o Czernielowie.*
Ludwika Dziadas, z d. Jacykowska - *Wspomnienia o Czernielowie.*
Marian Dziadas - *Wspomnienia o Czernielowie i domu rodzinnym.*
Kris Feinwick - *Wspomnienia mamy. Informacje o rodzinie*. Korespondencja.
Krystyna Kowalczyk – *Wspomnienie o Franciszku Klepajczuku.* Rozmowy telefoniczne. Korespondencja.
Marian Figiel – *Informacje o rodzinie, o Baudienscie*. Korespondencja. Rozmowy telefoniczne.
Marian Figiel, Szymon Kozica – „Ciągle myślę o moim Podolu", „Gazeta Lubuska" 25-26.01.2014 r.
Marian Figiel, Szymon Kozica – „Jak nam nie kochać tej ziemi", „Gazeta Lubuska" 22-23.03.2014 r.
Marian Figiel, Szymon Kozica – „Żegnaj, żegnaj, ziemio moja!" „Gazeta Lubuska" 1.02.2014 r.
Marian Gęślowski – *Wspomnienia z Czernielowa i pobytu na robotach w Niemczech*. Korespondencja. Rozmowy telefoniczne.
Marek Glogier - *Informacja o rodzinie. Zapiski z telefonogramu.* Korespondencja
Mieczysław Gnitecki - *Informacja o rodzinie*. Korespondencja.
Stefania Górska, z d. Woźniak - *Historia rodzinna. Wspomnienia z mego dzieciństwa i nie tylko*. Legnica 2009.

Bronisława Honc, z d. Ruścińska - *Wspomnienia o rodzinie, o przesiedleniu.* Korespondencja.
Maria Hrycaj, Stanisława Piotrowska, *W Czernielowie Mazowieckim generała Żukowa widziałam…,* wywiad przepr. i oprac. Andrzej Krywalewicz, [online], [dostęp: 23.03.2019 r.], dostępny w Internecie:www.chojna24.pl.
Kazimiera Jacykowska – *Informacje o rodzinach Laków i Hrycajów*. Korespondencja.
Maria Jakubiszyn, z d. Żarkowska – *Wspomnienia z Czernielowa.*
Jan Kanas – *Podolskie korzenie*. 2002 - wersja elektroniczna.
Edward Klepajczuk – *Informacje o rodzinie.*
Franciszek Klepajczuk - *Pierwszy rok odrodzenia* „Tygodnik Ludowy" nr 28, 24.07.1983 r.; Emilia Kędra - *Żołnierski szlak* „Dziennik Ludowy" 12-13.07.1969 r. nr 165; Waldemar Sobiecki - *A kiedyśmy wracali* , Magazyn ilustrowany „Przyjaźń" 6.05.1973 r.; Jan Budziński - *Franka Klepajczuka droga do Berlina* „Żołnierz Wolności" nr 113
Kazimierz Klepajczuk, Tadeusz Wójcik - *Byłem na własnym apelu poległych* - „Gazeta Chojeńska", nr 11-15 (401-405), 2000 r.
Kazimierz Klepajczuk, Andrzej Kordylasiński - *Pochowali go za życia* „Głos Szczeciński", 7 maja 2007 r. - wersja elektroniczna.
Stanisława Kłos - *Wspomnienia rodzinne o Czernielowie*. Korespondencja.
Maria Kordas - *Informacje o rodzinie.* Korespondencja. Rozmowy telefoniczne.
Julian i Jan Korylukowie - *Opowieść o ojcu*.
Maria Larenta-Kozyra - *Informacje o rodzinie.* Korespondencja. Rozmowy telefoniczne.
Zofia Lis– *Informacje o rodzinie, o czernielowianach osiedlonych na Pomorzu Zachodnim*. Korespondencja. Rozmowy telefoniczne.
Marian Kubiszyn, Szymon Kozica – „Najgorzej było nam za Niemca", Gazeta Lubuska 12-13.04. 2014 r.
Marian Kubiszyn – *Informacje o Czołhańszczyźnie*. Korespondencja.
Zbigniew Kubów - *Informacje o obozie w Stupkach. Informacje o rodzinie Marchewków, o mieszkańcach Stupek*. Korespondencja i rozmowy telefoniczne.
Elżbieta Laska - *Praca przymusowa Polaków na rzecz III Rzeszy* - wersja elektroniczna.
Anna Madej, Jerzy Stopa - *Z autorem Słownika geograficznego województwa tarnopolskiego Jerzym Stopą rozmawia Anna Madej* [online], [dostęp:10.02.2016 r.], dostępny w Internecie: www.cracovia-leopolis.pl/index.php?pokaz=art&id=2437.
Maria Markowicz, z d. Paliwoda – *W Bajkowcach na Podolu*- „Głosy Podolan", nr 87 2007 r. - nr 95 2009 r.,
Józef Maśluk – *Wspomnienia*, 2003.

Magdalena Maśluk–Meller – *Informacje o rodzinie*. Korespondencja.
Adam Miglujewicz - *Informacja o rodzinach Dziadasów i Szełepków*. Korespondencja.
Józef Mielnik - *Żołnierski chleb. Moje wspomnienia z czasów II wojny światowej*, 1990 r.-Rękopis
Wiktor Mielnik – *Pamiętnik–wspomnienia. 1980*. Kserokopisa rękopisu.
Stanisław Mróz - Rozmowa telefoniczna.
Stanisław Mróz, Andrzej Krywalewicz – *Dziesiąty luty będziem pamiętali…* [online], [dostęp:16.02.2016 r.], dostępny w Internecie: chojna24.pl.
Helen Galyna z d. Murmyło- *Informacje o rodzinie Murmyło i Jarosz*
Marian Murmyło - *Wspomnienia o Czernielowie.*
Dorota Nazwalska – *Informacja o rodzinie.*
Stefania Nowak – *Informacja o rodzinie.*
Kazimiera Ochendowska - *Informacja o rodzinie.* Korespondencja.
Jacek Ostrowski – *Tylko 55 wyrwanych z oblężenia… Obrona garnizonu w Tarnopolu.* 10.09.2014 r. [online], [5.09.2018 r.], dostępny w Internecie: www.nowastrategia.org.pl.
Józef Paliwoda - *Wyboista droga* – wspomnienia, część XIV , „Głosy Podolan", nr 141, 2017 r.
Bolesław Piotrowski - *Informacja o czernielowianach osiedlonych w Sulęcinie*. Rozmowy telefoniczne.
Krzysztof Piotrowski – *Bitwa o Monte Casino* „Nasz Świat" maj 2016 r., - wersja elektroniczna.
Edward Piotrowski – *Informacje o rodzinie.* Korespondencja.
Leon Podleski - *Niektóre moje przeżycia wojenne, w czasie obu wojen światowych* 4 XI 1946 r., Zakład Narodowy im. Ossolińskich, rękopisy, sygn. Akc 35/85
Leon Podleski - *Pamiętnik,* cz. II, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, rękopisy, sygn. Akc 35/85.
Jadwiga Podleska - *Materiały do Ziemiańskiego słownika biograficznego*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, rękopisy, sygn. Akc 26/89.
Jadwiga Podleska - *Odpowiedź na ankietę PAN Ziemiaństwo polskie w latach II wojny światowej*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, rękopisy, sygn. Akc 26/89.
Jadwiga Podleska - *Moje wspomnienia z Tarnopolszczyzny pod okupacjami (1939-1945)* cz. I, II, III i *Uzupełnienie*, „Głosy Podolan", biuletyny: nr 21 i 25 z 1997 r. i nr 26-28 z 1998 r..
Andrzej Rajfur - *Informacje o Czernielowie*. Korespondencja.
Józefa Rajfur - Wywiad z książki Piotra Słomskiego *Do zobaczenia, kasztanku!* [online], [dostęp:2.08.2019], dostępny w Internecie: *Świadkowie historii. Deportacje na Syberię*. 2018.

Marian Rajfur – *Informacja o czernielowianach*. Rozmowy.
Jan Raniczkowski – *Urodziłem się w Kamieńcu Podolskim. Wspomnienia*, cz. II - wersja elektroniczna.
Maria Rosochacka – *Informacja o ojcu Antonim Murmyle.*
Jerzy Stopa – *Wspomnienia*. Korespondencja. Rozmowy telefoniczne.
Weronika Śniechowska - *Informacja o rodzinie*. Korespondencja.
Szczepan Studenny - *Okres pamięci z czasów dzieciństwa w Czernielowie Mazowieckim.* Rozmowy telefoniczne.
Adrian Świątek – *Historia rodziny Darmograj*. Korespondencja.
Anna Szadej - *Informacja o ojcu Franciszku Bachalskim.*
Krzysztof Szumlewicz – *Informacja o ojcu Józefie Szumlewiczu*. Korespondencja.
Janusz Szewczuk - *Informacja o rodzinie*. Korespondencja.
Mirosław Wilk – *Informacje o rodzinie Waldunów*. Korespondencja
Stanisława Wysocka - *Informacje o rodzinie*. *Wspomnienie o Klarze Watz*. Korespondencja. Rozmowy telefoniczne.
Marian Ważny - *Proboszcz z żołnierskim rodowodem*. „Kresowiak Galicyjski" nr 6 1996 r.
Anna Wojciech - *Informacje o rodzinie*. Korespondencja.
Katarzyna Winiarska - *Informacje o rodzinie*. Korespondencja. Rozmowy telefoniczne.
Tadeusza Winiarskiego opowieść o Czołhańszczyźnie spod Tarnopola i spóźnionej „repatriacji" z 1959 r., oprac. Z. Woźny - wersja elektroniczna.
Zbigniew Woźny - *O Czernielowie Mazowieckim – zapamiętane ze wspomnień rodzinnych. Historia chłopskiej rodziny Żarkowskich od XIX do XXI wieku* - wersja elektroniczna.
Zbigniew Woźny - *Od Czernielowa Mazowieckiego do Sobornego. Gawęda o rodzinie Żarkowskich z dziejami podolskiej wsi podtarnopolskiej w tle* - wersja elektroniczna.
Stanisława Zarzycka – *Informacja o rodzinie*. Korespondencja.
Wanda Zdziarska – *Historia rodziny*. Korespondencja.
Maria Zawiślańska - *Wspomnienie o rodzinach Słobodów i Kubiszynów*. Korespondencja.
Jan i Jacek Zgórowie - *Wspomnienie o rodzinie Zgórów*. Korespondencja.
Karol Ziemba – *Informacja o szlaku bojowym ojca Jana Ziemby.*
Andrzej Żarkowski – *Informacja o rodzinie*. Korespondencja.
Zieliński Witold – *Tarnopol na drodze rozwoju i klęski* (1815-1945) http:// www.cracovia-leopolis.pl/index.php?pokaz=art&id=291- wersja elektroniczna).
Bronisława Ziemba, z d. Dziadas – *Podróż na Zachód*. Korespondencja. Rozmowa bezpośrednia latem 2018 roku i telefoniczne.

Kazimierz Ziemba – *Informacje o pobycie ojca Karola Ziemby w niewoli i w wojsku*. *Zapamiętane opowieści mamy Agnieszki*. Korespondencja, rozmowy telefoniczne.
Karol Ziemba – *Informacja o szlaku bojowym ojca Jana Ziemby.*
Andrzej Żarkowski – *Informacja o rodzinie*. Korespondencja.

Źródła internetowe, wybór:

Wikipedia pl.
https://sztetl.org.pl/pl/slownik/armia-polska-na-wschodzie
https://dzieje.pl/aktualnosci/wybuch-ii-wojny-swiatowej
http://www.1939.pl/przed-wybuchem-wojny/pakt-ribbentrop-molotov/index.html
wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,17844421,Kalendarium_II_Wojny_Swiatowej.html
https://pl.wikipedia.org/wiki/Agresja_ZSRR_na_Polskę
https://pl.wikipedia.org/wiki/Polskie_Si%C5%82y_Zbrojne_w_ZSRR_(1943%E2%80%931944)
www.polskieradio.pl/.../1075414, Armia-Berlinga-posluchaj-wspomnien-bylych-zolni...
https://pl.wikipedia.org/wiki/Niemieckie_obozy_jenieckie_1939–1945
https://dzieje.pl/aktualnosci/wybuch-ii-wojny-swiatowej
http://www.1939.pl/przed-wybuchem-wojny/pakt-ribbentrop-molotov/index.html
wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,17844421,Kalendarium_II_Wojny_Swiatowej.html
https://pl.wikipedia.org/wiki/Agresja_ZSRR_na_Polskę
https://pl.wikipedia.org/.../Obozy_internowania_żołnierzy_polskich_w_czasie_IIwoj.
https://dzieje.pl/aktualnosci/sowiecka-agresja-na-polske
https://pl.wikipedia.org/wiki/Układ_Sikorski-Majski
https://www.ipsb.nina.gov.pl/a/artykul/polskie-sily-zbrojne-na-zachodzie
https://ww2.pl/polskie-sily-zbrojne-na-zachodzie
http://www.sww.w.szu.pl/index.php?id=polska_powstanie_polskich_sil_zbrojnych_na_zachodzie
www.sww.w.szu.pl/index.php?id=polska_samodzielna_brygada...karpackich
https://pl.wikipedia.org/wiki/Operacja_wiślańsko-odrzańska
https://ciekawostkihistoryczne.pl/.../to-byla-armia-nedzarzy-jak-powstalo-wojsko-ande..
https://pl.wikipedia.org/wiki/Prze%C5%82amanie_Wa%C5%82u_Pomorskiego
https://twojahistoria.pl/.../walki-o-przelamanie-walu-pomorskiego-31-stycznia-12-lute...
https://dzieje.pl/aktualnosci/bitwa-o-kolobrzeg-jedenascie-dni-krwawych-bojow-1-armii-wojska-polskiego
http://portalwiedzy.onet.pl/4381,,,,armie_wojska_polskiego_1944_1945,haslo.html
https://pl.wikipedia.org/wiki/5_Kresowa_Dywizja_Piechoty

https://sztetl.org.pl/pl/miejscowosci/t/912-tarnopol/99.../138150-historia-spolecznosci
21-26 kwietnia 1945 r. – bitwa pod Budziszynem. Hekatomba 2. Armii Wojska Polskiego.(wersja elektroniczna)
http://www.dbc.wroc.pl/Content/7409/Szustakowski_Od_Zbaraza.pdf
(http://kopysno.republika.pl/historia.html
http://www.cracovia-leopolis.pl/index.php?pokaz=art&id=291
http://www.ziemianie.org.pl/index.php?p=1_22_W-adze-PTZ
http://www.dbc.wroc.pl/Content/7409/Szustakowski_Od_Zbaraza.pdf wspomnienia
http://www.polska1918-89.pl/pdf/ukrylismy-ich-w-ziemiankach,2976.pdf
http://armiaandersa.pl/topics/show/153 zdjecia - szlak nadziei
http://www.pan-ol.lublin.pl/wydawnictwa/TArch7/18Przesmycka.pdf
http://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/255257,Ratowali-Zydow
https://nowahistoria.interia.pl/.../news-pomocnicza-sluzba-kobiet-byly-wszedzie-tam-
http://www.ryshttp://cgw.poznan.uw.gov.pl/zlotow-cmentarz-wojenny-w-zlotowiehttp://www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/Jozef_Jacykowski
http://archiwum.wojsko-polskie.pl/pl/tradycje-i-ceremonial/kronika-uroczystosci/43059,74-rocznica-utworzenia-polskich-sil-zbrojnych-w-zsrr.html (dot. Armii Andersa i artykułu płk. Ryszard Najczuk
http://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/255257,Ratowali-Zydow
http://portalwiedzy.onet.pl/4381,,,,armie_wojska_polskiego_1944_1945,haslo.html
https://kresy-siberia.org/galleries/refugees/polish-refugees-in-africa/?lang=pl
https://nowahistoria.interia.pl/polska.../news-afryka-byla-najblizej-polski-uratowani-..
http://www.sztetl.org.pl/pl/article/tarnopol/5,historia/?action=view&page
http://www.ostrovok.lg.ua/sites/default/files/lemki1.pdf
http://www.pan-ol.lublin.pl/wydawnictwa/TArch7/18Przesmycka.pdf
http://www.ryshttp://cgw.poznan.uw.gov.pl/zlotow-cmentarz-wojenny-w-zlotowie
http://www.1944.pl/historia/powstancze-biogramy/Jozef_Jacykowski
http://rcin.org.pl/Content/44153/WA303_58772_A453-SzDR-R-30_Bockowski.pdf
http://muzeum.koszalin.pl/?q=node/416
tarnopolskie
https://pl.wikipedia.org/wiki/Operacja_berlińska
http://zeslaniec.pl/41/Regal_z_ksiazkami.pdf
http://www.nto.pl/magazyn/reportaz/art/4455719,moje-kresy-zaleszczyki-miasto-slonca-cz-2,id,t.html (wrzesień 1939)
http://www.beskid-niski-pogorze.pl/region/lemkowszczyzna.php
https://histmag.org/beskid-niski-sladami-kultury-lemkowskiej-12529 i
http://www.sybiracy2010.sybiracy.pl/wspomnienia/Tadeusz_Niebrzegowski.pdf
http://www.wojsko-polskie.pl/pl/tradycje-i-ceremonial/kronika-uroczystosci/17956,70-rocznica-utworzenia-polskich-sil-zbrojnych-w-zsrr.html

http://www.hirschberg.se/pl/zeznanie-salomona-hirschberga-o-pogromie-w-tarnopolu/
file:///C:/Users/Mo%C5%82ody%C5%84scy/Downloads/historic@_nr8.pdfZ Teheranu do Indii i dalej do Afryki
http://www.sztetl.org.pl/pl/article/tarnopol/5,historia/?action=view&page=3
http://archiwum.wojsko-polskie.pl/pl/tradycje-i-ceremonial/kronika-uroczystosci/43059,74-rocznica-utworzenia-polskich-sil-zbrojnych-w-zsrr.html (dot. Armii Andersa i artykułu płk. Ryszard Najczuk
http://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/255257,Ratowali-Zydow
https://historiamniejznanaizapomniana.wordpress.com/2015/04/16/forsowanie-odry-i-nysy-1945/
https://historiamniejznanaizapomniana.wordpress.com/2015/04/30/szturm-berlina-1945/
https://dorzeczy.pl/historia/58146/Kociol-w-miescie-Stalina-Bitwa-decydujaca-o-losach-swiata.html
www.polskieradio.pl › 670086,Kursk-najwieksza-bitwa-pancerna-w-historii
https://dzieje.pl › aktualnosci › historyk-bitwa-2-armii-wp-pod-budziszyne...
www.lubanski.eu › rzez-na-luzycach-68-rocznica-forsowania-nysy-luzyckiej
https://pl.wikipedia.org › wiki › Fronty_radzieckie
https://pl.wikipedia.org › wiki › Walki_w_Brandenburgii_(1945)
https://dzieje.pl/aktualnosci/ii-wojna-swiatowa-kalendarium-wydarzen
www.polska-zbrojna.pl › home › articleshow › t=Polacy-w-szturmie-Berlina
https://dzieje.pl › tag › brygada-strzelcow-karpackich

Źródła fotografii i skanów dokumentów

Nr strony	Nazwa fotografii	Źródło
6	Mapa: Zmiany terytorialne państwa polskiego	Atlas historyczny Polski, PWWK, Warszawa, 1979 r.
20	Obwieszczenie mobilizacji	Internet
23	Dożynki w Czernielowie w sierpniu 1939 r.	Zbiory Katarzyny Winiarskiej
28	Mapa województwa tarnopolskiego, 1939 r.	*Ziemia tarnopolska w okresie pierwszej okupacji sowieckiej* Anny Zapalec
30	Pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego	Internet
31	Tadeusz Cieplak z kolegą	*W cieniu historii*. Wspomnienia Tadeusza Nowaka-Cieplaka
33	Franciszek Żarkowski z żołnierzami swego plutonu	Zbiory Mieczysława Gniteckiego
34-35	Żołnierze z Czernielowa	Zbiory rodzin: Błaszkiewiczów, Hrycajów, Mieczysława Gniteckiego, Andrzeja Rajfura, Mirosława Wilka
37	Karol Ziemba	Zbiory Kazimierza Ziemby
37-38	Stalag XVII A, mapka obozów jeńców wojennych w III Rzeszy	Internet
39-42,46	Franciszek Klepajczuk, Franciszek Koryluk Franciszek Żarkowski Tablica na kościele w Sárvár	Zbiory rodzin: Edwarda Klepajczuka, Jana i Juliana Koryluków, Krystyny Kowalczyk, Andrzeja Rajfura, Józefy Żarkowskiej, Internet
51	Polscy żołnierze jeńcy we wrześniu 1939 r.	Internet. *Ziemia tarnopolska w okresie pierwszej okupacji sowieckiej* Anny Zapalec
54	Rudolf Weidel	Internet, Kolekcja Czesława Blicharskiego
73	Szkoły w Czernielowie Mazowieckim i Czołhańszczyźnie	Zbiory Ewy i Jana Wyskwarskich i Mariana Kubiszyna
89-91 119	Akwarele stepu i ziemianek na zesłaniu w Kazachstanie	*Na szachownicy losu*…Bronisław Czepczak-Górecki
99-100, 102	Tadeusz Cieplak i Józef Mielnik w Armii Czerwonej	*W cieniu historii*. Wspomnienia Tadeusza Nowaka-Cieplaka, zbiory rodziny Zbigniewa Mielnika

105	Wyrąb lasu na zesłaniu	Artykuł Andrzeja Krywalewicza *Dziesiąty luty będziem pamiętali*
121-124	Wiktor Marchewka, Janina Ratowska, Maria Marchewka, z d. Nietreba, z dziećmi oraz Waleria Biernacka w Ozierkach	Zbiory rodzin: Zbigniewa Kubowa, Janusza Szewczuka oraz Walerii Biernackiej (skan Joanna Sosa-Misiak)
135-136	Rachunki i dokumenty z okresu okupacji sowieckiej i niemieckiej	Archiwum Podgórskich – Kityków z Sobornego, zbiory rodzin: Błaszkiewiczów, Marii Kordas
138- 139	Marian Chabza, Józef Czubko	Zbiory rodzin: Stanisławy Wysockiej, Mariana Czubki
141-142	Praca czernielowian w czasie wojny	Zbiory rodzin: Barbary Barszczewskiej, Jadwigi Luboś, Bronisławy Gelczuk, Magdaleny i Mikołaja Maśluków-Mellerów,
143-146	Młodzi czernielowianie i czernielowskie rodziny	Zbiory rodzin: Bronisławy Gelczuk, Andrzeja Żarkowskiego, Zbigniewa Mielnika, Białogłowskich, Stanisławy Zarzyckiej, Stanisławy Wysockiej Kazimierza Ziemby
152,155	Tarnopol. Handlujący w getcie Żydzi. Kramy na Rynku w Tarnopolu	*Ziemia tarnopolska w okresie pierwszej okupacji sowieckiej* Anny Zapalec
146, 162, 163	Maria i Józef Nietrebowie, życzenia Klary Watz,	Zbiory Stanisławy Wysockiej
165	Pomnik pamięci Żydów tarnopolskich	Zbiory Zbigniewa Kubowa
168-174	Borki Wielkie i okolice- fragment mapy, Obóz Pracy dla Żydów w Stupkach	Wojskowy Instytut Gegraficzny- zbiory Jerzego Stopy, Internet, *Ich hatte nichts gegen Deutsche…* Friedhelm Schäffer und Oliver Nickel
180	Rodzina Nawłoków oraz Rozalia Wassner	Internet
191-192	Ferdynand Matuszek	*Ich hatte nichts gegen Deutsche…* Friedhelm Schäffer und Oliver Nickel
222	Bronisław Czepczak-Górecki	*Na szachownicy losu…* Bronisław Czepczak-Górecki
229	Franciszka Kolasa i Stefan Ponka	Zbiory rodziny Iżykowskich

230-231, 239	Helena Mołodyńska, żołnierze z Armii Andersa w Egipcie, Odznaki Heleny Mołodyńskiej	Zbiory Anny Wojciech, Internet
238	Wojciech Koryluk	*Genealogia rodziny repatriantów z Ukrainy* Sylwia Rembecka
240	Józef Marchewka	Zbiory Zbigniewa Kubowa
241	Józef Ratowski	Internet
244	Władysław Rajfur	Zbiory Barbary Barszczewskiej,
253, 255	Polscy żołnierze i czołg T-34 przed bitwą, Marian Świcarz i Bartłomiej Chabza	Zbiory NAC, sygn.37-842-2, zbiory rodziny Świcarzów oraz Wandy i Stanisława Chabzów
256, 264-269	Zdjęcia Tarnopola, Czernielowa Mazowieckiego i okolic, w tym z Borek Wielkich	Zbiory Katarzyny Winiarskiej i Jerzego Stopy
281-289	Zdjęcia portretowe i inne mieszkańców Czernielowa	Zbiory rodzin: Barbary Barszczewskiej, Białogłowskich, Weroniki i Franciszka Błaszkiewiczów, Stanisławy Kłos, Jadwigi Luboś, Karoliny Noszczyk, Doroty Pawlik, Zbigniewa Mielnika, Krystyny Mołodyńskiej, Weroniki Szabath, Katarzyny Winiarskiej, Zbigniewa Woźnego, Stanisławy Wysockiej, Ewy i Jana Wyskwarskich, Marii Zawiślańskiej, Bronislawy Ziemby, Wandy Zdziarskiej, Żarkowskich, Jacka Zgóry, Andrzeja Żarkowskiego.
348	Szkic sytuacyjny	*Wspomnienia-zapiski* Jana Bachalskiego.
355	s. Izabela Mielnik	Zbigniew Bodnar
355	Krzyż i tablice z nazwiskami zamordowanych przez UPA w Berezowicy Małej	Internet
356	Józef Mielnik	Zbiór rodziny Zbigniewa Mielnika
357	Józef Czubko i Józef Żarkowski	Zbiory Zbigniewa Woźnego i Mariana Czubki
358	Władysław Dziadas	Zbiór Jadwigi i Adama Miglujewiczów,

365	Rodzeństwo Bigusów	Zbiór Marii Mazurek
374	Ołtarz z tryptykiem Matki Boskiej z obozu Grossborn	Wspomnienia ks. Mościńskiego *Moje przejście przez Wał Pomorski*
379	Ślubowanie sztandarem 10.pp	Internet
380	Tomasz Kozłowski	Zbiory rodzin Wandy i Wacława Kozłowskich,
381	Na cmentarzu w Kołobrzegu	Fragment zdjęcia Zofii Lis
382-384	Listy i karty pocztowe żołnierzy	Zbiory rodzin: Maliszkiewiczów, Żarkowskich, Wandy i Wacława Kozłowskich, Katarzyny Winiarskiej, Jadwigi i Adama Miglujewiczów.
290, 303, 306, 321, 324 326-330, 332, 359- 360 385-389 396, 398, 400-403 406- 407 410-418	Żołnierze z Czernielowa Mazowieckiego i Czołhańszczyzny	Książka *Na południe od Berlina* Leona Lubeckiego, wspomnienia Stanisławy Bodnar *Moje życie, mój los*, artykuł *Byłem na własnym apelu poległych,* Internet i zbiory rodzin: Stanisława Cieplaka, Anny Szadej, Żarkowskich, Edwarda Klepajczuka, Iżykowskich, Adama Jacykowskiego, Karoliny Noszczyk, Krystyny Kowalczyk, Maliszkiewiczów, Adriana Świątka, Teresy Dudek, Rajfurów, Stanisławy Wysockiej, Zbigniewa Mielnika, Jadwigi Luboś, Krzysztofa Szumlewicza, Mirosława Wilka, Zbigniewa Woźnego, Katarzyny Winiarskiej, Marii Zawiślańskiej, Bronisławy Ziemby.
421	Karol Maliszkiewicz	Zbiory rodziny Kłosów
422-426	Medale i odznaczenia wojskowe	Zbiory rodzin: Marii Zawiślańskiej, Wandy i Stanisława Chabzów, Mirosława Wilka, Mariana Czubki,
427, 428	Książeczki wojskowe	Zbiory rodzin: Wandy i Stanisława Chabzów, Teresy Dudek, Mariana Świcarza, Adriana Świątka, Zbigniewa Woźnego, Jadwigi i Adama Miglujewiczów, Krystyny Kowalczyk, Edwarda Klepajczuka

429, 430	Dokumenty związane z odznaczeniami	Zbiory rodzin: Mariana Czubki, Mirosława Wilka, Tomasza Hrycaja
432, 433	Żołnierze po wojnie	Zbiory rodzin: Marii Zawiślańskiej, Stanisławy Wysockiej, Anny Szadej, książka *Na południe od Berlina* Leona Lubeckiego
439	Wiktoria Kolasa i Maria Studenna w obozie w Masindi	Zbiory rodziny Iżykowskich
436, 441	Obozy w Afryce, rysunek kościoła w obozie Massindi	Internet
443-449	W obozach dla uchodźców w Afryce	Internet, zbiory Zbigniewa Kubowa, Kris Fenwick,
449-450	Zesłańcy na Sybir i internowani po wojnie	Zbiory Zbigniewa Kubowa, Bronisławy Ziemby, Wandy Zdziarskiej, Barbary Barszczewskiej, Krystyny Mołodyńskiej
462, 464, 465	W obozach niemieckich w czasie wojny i dla uchodźców po wojnie	Zbiory Wandy Zdziarskiej, Adriana Świątka, Zbigniewa Mielnika
467	Maria Nawarecka	Zbiory Krzysztofa Barcikowskiego
466, 468, 469	Czernielowianie w czasie wojny na leczeniu: Marian Żarkowski, Kazimierz Klepajczuk, Józef Czubko	Zbiory rodzin Żarkowskich, Edwarda Klepajczuka i Stanisławy Bilińskiej
470	Kazimierz Klepajczuk	Zbiory Edwarda Klepajczuka
472, 473	Karol Ziemba	Zbiory Kazimierza Ziemby
474, 475	Bronisław Czepczak-Górecki	*Na szachownicy losu. Wspomnienia skoczka*
477,478	Maria i Leon Niebieszczańscy, Bronisław Statkiewicz z d. Niebieszczańska	Zbiory rodzinne Zbigniewa Woźnego
479	Tadeusz Cieplak po wojnie	Zbiory Stanisława Cieplaka
480	Rodzina Kozłowskich: Eugenia, Mieczysław, Marian i Antonina Rajfur, z d. Kozłowska	Zbiory Marii Kordas
481	Rysunek Domu Ludowego w Czernielowie Mazowieckim	Czesław Górski

Mapy i tabele

Mapy:

Lp.	Wyszczególnienie	Nr strony
1.	Zmiany terytorialne państwa polskiego – Atlas historyczny Polski, Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych, 1979 r.	6
2.	Mapa województwa tarnopolskiego, 1939 r.	28
3.	Obozy jenieckie w Niemczech - Wikipedia	38
4.	Borki Wielkie i okolice - fragment mapy województwa tarnopolskiego z 1939 r. Wojskowego Instytutu Geograficznego z oznaczeniami Zbigniewa Kubowa: miejsca wydobycia piasku, kolonii w Borkach, folwarku- Żydowskiego Obozu Pracy w Stupkach, posiadłości rodziny Kubów i Józefa Marchewki w Stupkach - zbiory Jerzego Stopy	168
5.	Walki 2. Korpusu Polskiego pod Monte Cassino- 3 DSK- 3. Dywizja Strzelców Karpackich i 5 KDP - 5. Kresowa Dywizja Piechoty -Wikipedia 2.Korpus Polski	234
6.	Obozy polskich zesłańców z Sybiru w Afryce	436

Tabele :

Lp.	Wyszczególnienie	Nr strony
1.	Członkowie AK w Czernielowie Mazowieckim	204
2.	Nazwy jednostek wojskowych i liczba żołnierzy w nich służących	256

Załącznik do tomu II. Część A

Lista mieszkańców Czernielowa Mazowieckiego – ofiar II wojny światowej

Lp.	Nazwisko i imię	Rok urodzenia	Rodzice	Data śmierci	Uwagi o miejscu śmierci
1.	Bereza Sławomir				
2.	Berkieta Stefan				
3.	Czubko Marian	1925	Mikołaj	4.03.1945	10.pp kapral, zginął 4.03.1945 r. pod m. Łobez,
4.	Darmograj Jan	1918	Paweł	18.12.1945	zginął w miejscw. Kopyśna, gm. Rybotycze
5.	Dochniak Franciszek	1915	Jan i Justyna		Przebywał w niemieckiej niewoli skąd próbował bezskutecznie uciec. Wg przekazu rodziny nie przeżył wojny
6.	Dunajowski Antoni				
7.	Dyczko Jan	1909	Jan i Helena		www.zaginieni1939-1945.pl
8.	Dziadas Marian	1925	Tomasz	2.02.1945	WP, 3 pp zginął w Popławie, cmentarz Drawsko Pomorskie
9.	Dziadas Jan				
10.	Gęślowski Andrzej	1902	Jan	23.09.1944	szeregowi, 9. pp uczestnicy walk powstania warszawskiego,
11	Gęślowski Józef	1913	Karol	22.09.1944	
12.	Hrycaj Antoni	1912		31.07.1942	www.straty.pl ur. Czernichów k. Tarnopola, strzelec, zmarł podczas służby w Armii Andersa, w Uzbekistanie m. Kenimech, na północny zachód od Samarkandy
13.	Hrycaj Jan		Eliasz		zaginął bez wieści za Odrą w kwietniu 1945 r.
14.	Hrycaj Józef	1923	Mikołaj	22.04.1945	9. pp zmarł podczas służby w wojsku w Lublinie, pochowany 22-KW Lublin, ul. Biała, cmentarz komunalny

15.	Hrycaj Justyn				Wskutek choroby
16.	Jacykowski Michał	1918	Cyryl	23.09.1944	zginął w czasie powstania warszawskiego
17.	Kłaptij Władysław				prawdopodobnie zginął w czasie powstania
18	Konotopski Damian	1910		02.1945r.	zginął na Wale Pomorskim
19.	Koszuliński Jan				
20.	Koszuliński Franciszek	1921	Grzegorz	18.09.1944	żołnierz 9. pp uczestnik walk powstania warszawskiego, jest pochowany na cmentarzu wojskowym powstańców Warszawa Wola
21.	Koszuliński Michał				
22.	Kozłowski Tomasz	1919	Franciszek	03.1945r.	zginął w czasie walk o Kołobrzeg
23.	Lak Jan	1925	Jan	16.03.1945	10. pp, kpr, zginął w bitwie o pochowany "z tyłu parowozowni" nr grobu 36. Ekshumowany, 5 VI 1948 jako nieznany i pochowany na Cm. Woj. - kw. E płyta 32
24.	Lak Michał				
25.	Łohin Jan				
26.	Maliszkiewicz Ignacy				
27.	Maliszkiewicz Stanisław	1901	Wawrzyniec	23.09.1944	plutonowy w 9. pp zginął w czasie powstania warszawskiego
28.	Maśluk Julian	1921		marzec 1945 r.	żołnierz 9. pp zginął na Wale Pomorskim lub w Kołobrzegu
29	Maśluk Jan	1912	Paweł	13.03.1945	WP, 9. pp kapral, w Kołobrzegu
30.	Mielnik Franciszek	1900	Mikołaj	23.09.1944	zginął w czasie powstania warszawskiego
31.	Murmyło Jan	1922	Bartosz	10.08.1944	plutonow w 9. pp poległ 10.08.1944 w Chmielówku, pochowany w kwaterze wojskowej cmentarza w Magnuszewie
32.	Murmyło Jan	1910	Tomasz	10.02.1945	szer. 10. pp zginął w akcji w Lubieniu, pochowany w Wałczu-Bukowinie

33.	Murmyło Jan	1907	Wincenty	20.09.1944	szer. 8. pp Warszawa
34	Niebieszczański Andrzej	1916 1905 wg Kris	Karol	3.03.1945	11. pp Borujsko, cmentarz Złocieniec wg Kris Drawsko
35.	Paleń Kazimierz				Wg St. Gęślowskiego był Korpusie Ochrony Pogranicza w Cieszynie i prawdopodobnie został zabity na początku wojny
36.	Pałętka Michał				
37.	Piotrowski Marcin			03.1945	zginął pod Kołobrzegiem
38.	Podkasany Jan	1907	Franciszek	27.02.1945	WP, kan. pm w Mirosławcu, pochowany w Wałczu Bukowinie.
39.	Pulka Ignacy	1907	Jan	23.08.1944	Zginął w czasie powstania warszawskiego
40.	Rajfur Franciszek	1921	Marcin	urodzony w Kujdańcach	zginął w czasie forsowania Odry, pochowany na cmentarzu w Siekierkach
41.	Ratowski Józef	5.01.1922	Franciszek i Rozalia, z d. Rajfur	23.09.1944 19.09.1944	ur. w Czernielowie, zginął Oosterbeek pod Arnhem
42.	Rewa Matwij				
43.	Salecki Piotr	1907	Karol	25.02.1945	WP, szer. 10. pp zginął, pochowany w Wałczu -Bukowinie
44.	Stankiewicz Franciszek	1926	Andrzej	8.02.1945	WP, kpr. 10. pp, zginął w Dobrzycy
45.	Tereniuk Józef				
46.	Zwarycz Mikołaj				
47.	Zwoliński Jan	1904	Jan	17.04.1945	WP, szer. 7. pp, zginął w m. Gądno, cmentarz Siekierki
48.	Ziemba Leon	1925	Marcin	18.03.1945	Kpr. 9. pp, zginął pod Kołobrzegiem spoczywa CW, kw. C, płyta 9
49.	Żarkowski Antoni (dyrygent)	1903	Wojciech	19.08.1944	Plutonowy 10. Pułku Artylerii Haubic, zginął w Woli Cichrowskiej. Pochowany na cmentarzu w Grabowie nad Pilicą
50.	Żarkowski Antoni	1926	Franciszek	2.02.1945	plut. 10. pp, zginął w czasie walk o

			i Anastazja		Wał Pomorski pochowany na cmentarzu w Złotowie
51.	Żarkowski Franciszek	29.01.1900	Karol i Tekla, z d. Rejfur	23.09.1944	Datę urodzenia przekazał M. Gnitecki, w innych źródłach podano 1897 (1899)
52.	Żarkowski Franciszek	8.02.1914	Wawrzyniec	1945	ur. Czerniłów cmentarz w Wałczu
53.	Żarkowski Wojciech				
Lista mieszkańców, którzy zginęli w czasie wojny w Czernielowie lub okolicach					
1.	Burak Michał			Marzec-kwiecień 1944 r.	zmarł po postrzeleniu przez Rosjan w czasie ucieczki z lochu, gdy płonęła chata M. Koszulińskiego w czasie oblężenia Tarnopola
2.	Chabza Marian		Mikołaj	1943	śmiertelnie postrzelony przez Niemców w czasie próby aresztowania po ucieczce z Baudienstu
3.	Łohin Marian			1944	śmiertelnie postrzelony przez kolegę z *istriebitielnego batalionu*
4.	Maliszkiewicz Aleksander -			2.11.1941	Zginęli od wybuchu pocisku przy pozostawionym przez Rosjan czołgu koło Stupek
5.	Piotrowski Karol	1925	Jan i Marta, z d. Król	2.11.1941	
6.	Zarzycki Julian			1945	Zginął z rąk członków UPA w czasie akcji *istriebitielnego batalionu*, prawdopodobnie w Chodaczkowie Małym
7.	Zwarycz Stefan			1945	Wg jednej wersji zaginął, wg innej- zginął we wsi Krasówka

Pierwotną listę poległych i zmarłych na skutek wypadków w czasie wojny ułożyły w 2009 roku Stefania Górska, z d. Woźniak, i Agnieszka Ziemba, z d. Woźniak. Lista została w części zweryfikowana w oparciu o dostępne dane z Internetu i rozmowę z Franciszkiem Błaszkiewiczem. Dodano nowe nazwiska, pozostałych nazwisk nie udało się zweryfikować.

O monografii napisali:

Praca robi ogromne wrażenie. Historie Czernielowa Mazowieckiego, losy mieszkańców są niezwykle skrupulatnie opisane. Autorka dotarła do poszczególnych historii, udokumentowała je wspomnieniami innych ludzi, przytoczyła olbrzymią ilość dat, miejsc i właśnie to robi olbrzymie wrażenie. Na pewno można określić pracę Pani Krystyny Mołodyńskiej jako pracę tytaniczną, tym bardziej że przytoczone fakty, historie, losy zdarzyły się kilkadziesiąt lat temu, czas pozacierał wiele śladów, zdarzenia, daty, osoby zatarły się w pamięci. Raz jeszcze podkreślę - jest to tytaniczna praca autorki. I moja osobista uwaga - jest mi żal, że moi dziadkowie Tekla Mielnik, z domu Piotrowska, i jej drugi mąż Józef Bachalski oraz moja Mama, Stanisława Bodnar, z domu Mielnik, nie mogli wziąć do ręki tej pozycji, nie mogli przeczytać o losach swojej miejscowości, swojej rodziny, swoich sąsiadów- mogli odbyć podróży w czasie. Dziękuję autorce.

Zbigniew Bodnar

….Nigdy nie zapomnę zdziwienia archiwisty Uniwersytetu Papieskiego w Krakowie, kiedy poprosiłem go o skany ksiąg metrykalnych Czernielowa Mazowieckiego. Mazowiecki? Na Kresach? Zdziwienie jego było jeszcze większe, gdy okazało się, że nie jestem wariatem, a miejscowość taka rzeczywiście istnieje w zbiorach archiwum.

Nastąpiła wtedy u mnie smutna konstatacja. W pamięci Polaków zachowała się polskość Lwowa, Stanisławowa, czy nawet Berdyczowa. Każdy będzie też wiedział, kim byli wielcy ludzie Kresów, jak np.: Maria Konopnicka, Stefan Banach i in. Napisano dziesiątki tysięcy książek o kresowych grodach i ich wybitnych mieszkańcach. A co z nami? Co z kilkusetletnią historią naszego Czernielowa? Co z pamięcią o pochodzeniu naszych rodzin? W wyniku różnych życiowych kolei losu, zacierają się wiadomości o czernielowianach. Smutne to, ale wiele rodzin odeszło już w historyczny niebyt. Młodsze pokolenia, często nawet nie wiedzą, skąd pochodzili ich dziadowie czy pradziadowie... Czy za kilkadziesiąt lat ktoś będzie pamiętał o kresowych korzeniach Ratowskich, Niebieszczańskich, Rajfurów, Murmyłów... czy Waldunów? A gdy nawet ktoś za te kilkadziesiąt lat będzie chciał się dowiedzieć o losach swoich przodków, to kogo zapyta? Gdzie znajdzie informacje o pięknej podolskiej polskiej wsi, leżącej nad rzeką Gniezną i noszącej dumną, historyczną nazwę – Czernielów Mazowiecki?

I wtedy pojawiła się Pani Krystyna Mołodyńska z niniejszą monografią o Czernielowie. Byłem pośrednim świadkiem powstawania tej pracy. Wiem, a zdaję sobie sprawę, że moja wiedza jest jedynie szczątkowa, ile trudu kosztowało dotarcie przez Autorkę do poszczególnych rodzin, zbieranie informacji, ich weryfikacja, gromadzenie dokumentacji fotograficznej. Długie telefoniczne rozmowy, maile... Tytaniczna, wieloletnia praca, z której powstała książka, którą obowiązkowo musi mieć w swoim domu każdy pochodzący z Czernielowa…

Mirosław Wilk

…Jak to Krystyna Mołodyńska zrobiła, że ziomkowie, dzieci i wnukowie ziomków czernielowskich i o czernielowskich korzeniach, a także ekspatrianci z sąsiednich wsi chętnie udzielali jej informacji na temat przeszłości osady i mieszkających tam swoich rodzin? (…) Czyżby umiała wyłuszczyć swoim rozmówcom, że dla historii przesiedleń ważne jest, aby każdy najstarszy przesiedleniec z każdej rodziny opowiedział o swoim postrzeganiu życia na ojcowiźnie i wypędzeń z małych ojczyzn, bo historię tworzą nie tylko władcy i ich marszałkowie, odkrywcy i wynalazcy, filozofowie czy artyści. Dziś wiemy, że historię tworzą szarzy zjadacze chleba, a ich opowieści na temat doświadczeń życiowych są równie ważne, jak opowieści luminarzy światowych. Szarzy czernielowscy ludzie umieją opowiadać o swojej przeszłości, o swojej rodzinie, o swoich przeżyciach, o swoich marzeniach, o swojej codziennej mozolnej pracy (…) Umieją spisać swoje opowieści. Czynią to czasem nieporadnie, językiem chropawym, niegramatycznie, używając gwary, powtarzając wielokrotnie te same zwroty i wyrażenia, wtrącając w swoją wypowiedź liczne rutenizmy, gubiąc wątek główny, zakręcając się w nieistotnych szczegółach czy detalach. Ale ich opowieści są autentyczne, odzwierciedlają czas i miejsce, w którym żyli, oddają ducha epoki i ich sposób myślenia. oddają emocje i ich wyobrażenie o świecie i życiu. Warto było je zebrać w jedno miejsce, uporządkować czasowo, dodać ogólną wiedzę historyczną o epoce i procesach w niej zachodzących. I na takim podglebiu historycznym osadzić opowieści czernielowian o ich życiu codziennym w czasie pokoju i w czasie wojny. (…) Zbigniew Woźny

ISBN 978-83-60218-57-0